



ANNE
JACOBS

W LABIRYNCIE
WSPOMNIENIŃ

Prószyński i S-ka

ANNE
JACOBS

W LABIRYNCIE
WSPOMNIENI

Przełożyła
Ewelina Twardoch-Raś

Prószyński i S-ka

CZĘŚĆ I

LUTY 1916 – STYCZEŃ 1917

Nad przemysłową dzielnicą Augsburga zapadł wczesny, ponury zmierzch. W kilku fabrykach paliły się jasne światła – mimo kłopotów ze zdobyciem surowców wciąż trwały tam prace. W pozostałych zakładach było już zupełnie ciemno. W fabryce tekstyliów należącej do rodziny Melzerów kobiety i starsi mężczyźni zakończyli właśnie swoją zmianę. Wychodząc, stawiali wysoko kołnierze palt, a szalikami i czapkami próbowali chronić się przed ulewnym deszczem. Bulgocząca woda płynęła w dół brukowanych uliczek. Ten, kto nie miał dobrych butów, wyprodukowanych w czasach przedwojennych, i chodził w drewniakach, z pewnością miał dzisiaj przemoczone stopy.

W zbudowanej z solidnej cegły rodzinnej willi Paul Melzer, syn właściciela fabryki, stał w oknie jadalni i wpatrywał się w niewyraźny zarys miasta, które coraz bardziej rozmywało się w narastającej ciemności. W końcu opuścił zasłonę i westchnął.

– Paul, usiądź wreszcie koło mnie i napij się ze mną! – zabrzmiał głos jego ojca.

Szkocka whisky, po ustanowieniu blokady morskiej przez przeklętych Anglików, była teraz na wagę złota. Johann Melzer wziął z barku dwie szklanki i wlał do nich aromatyczny płyn w kolorze miodu. Paul rzucił krótkie spojrzenie na pełne szklanki i potrząsnął energicznie głową.

– Później, ojcze. Dopiero gdy będziemy mieć ku temu powód. A Bóg da, że stanie się to niebawem.

Z korytarza dobiegły nagle pośpieszne kroki i Paul rzucił się do drzwi. To była pokojówka Auguste, o kształtach pełniejszych niż kiedykolwiek, rumianych policzkach i krzywo włożonym białym czepku na potarganych włosach. W rękach trzymała kosz z białymi prześcieradłami i ręcznikami.

– Nadal nic?

– Niestety, panie Melzer. To potrwa jeszcze trochę.

Dygnęła i pobiegła w stronę schodów, by jak najszybciej zanieść kosz na dół, do kuchni.

– Ale to już trwa ponad dziesięć godzin, Augus-te! – krzyknął do niej Paul. – Czy to normalne? Czy na pewno wszystko dobrze z Marie?

Auguste zatrzymała się i z uśmiechem zapewniła go, że każdy poród jest inny. Niektóre kobiety rodzą dzieci w pięć minut, inne męczą się przez cały dzień. Paul, wyraźnie zdenerwowany, skinął tylko głową. Pocieszał się, że Auguste musi wiedzieć, co mówi. Sama już dwa razy rodziła i wyłącznie dzięki wielkoduszności swoich państwa wciąż mogła pracować w willi jako pokojówka.

Nagle z dolnego piętra dobiegły do nich przytłumione krzyki. Paul bezwiednie zrobił kilka kroków w stronę schodów, ale zaraz się zatrzymał bezradnie. Gdy tylko pojawiła się akuszerka, jego matka wyrzuciła go z sypialni, a i Marie prosiła go, żeby poszedł na górę. Po poważnym ataku serca jego ojciec Johann Melzer był bardzo słaby i Paul powinien się nim zaopiekować. To była jedynie wymówka, oboje dobrze o tym wiedzieli, ale Paul nie chciał się kłócić z żoną, zwłaszcza teraz, w jej stanie. W milczeniu

zgodził się spełnić prośbę.

– Dlaczego sterczysz na korytarzu? – skarcił go ojciec. – Poród to wyłącznie kobieca sprawa. W odpowiednim czasie dadzą nam znać. A teraz pij!

Paul posłusznie usiadł przy stole i wypił duszkiem zawartość szklanki. Whisky zapłonęła w jego żołądku żywym ogniem i dopiero wtedy przypomniał sobie, że od śniadania nic nie jadł. Około ósmej rano Marie poczuła delikatne ukłucia w krzyżu. Nie przejęła się nimi, zażartowała nawet, że to tylko jedna ze zwyczajnych ciążyowych niespodzianek, które przytrafiają się jej każdego dnia. Paul z lekkim sercem poszedł więc do fabryki. Krótco przed przerwą obiadową zatelefonowała matka i powiedziała mu, że Marie zaczęła rodzić. Posłano już po akuszerkę. Ma się jednak o nic nie martwić, bo akcja przebiega prawidłowo.

– Gdy twoja matka przed dwudziestu siedmiu laty wydawała cię na świat – powiedział Johann Melzer, z głęboką powagą pijąc whisky – siedziałem w biurze w fabryce i robiłem skomplikowane obliczenia. W takiej sytuacji człowiek musi się zająć pracą, bo inaczej zjedzą go nerwy.

Paul przytaknął, ale z przejęciem nasłuchiwał, co dzieje się na korytarzu. Wychwytywał kroki pokojówki, idącej na wyższe piętro, bicie starego zegara, głos matki, która kazała Else przynieść z pralni dwa komplety czystej pościeli.

– Już wtedy był z ciebie kawał chłopca – powiedział ojciec z uśmiechem i napełnił mu szklankę. – Alicia męczyła się z tobą całą noc. Mało brakowało, by twoja matka zapłaciła za to życiem.

Te słowa bynajmniej nie uspokoiły Paula i Johann Melzer natychmiast zdał sobie sprawę, jak niefortunna była jego uwaga.

– Tylko się nie denerwuj! Kobiety uważa się za słabe, ale tak naprawdę są silniejsze i bardziej wytrzymałe, niż można by przypuszczać.

Wziął porządną łyk miodowego trunku.

– A co dzisiaj będzie z kolacją? – warknął i z impetem nacisnął elektryczny dzwonek, przywołujący służbę. – Jest już po szóstej. Czy dzisiaj cały świat przewrócił się do góry nogami?

Gdy zadzwonił ponownie, w drzwiach pojawiła się Hanna, pomoc kuchenna, ciemnowłosa płochliwa istota, która cieszyła się szczególną sympatią Marie. Gdyby nie żona Paula, Alicia Melzer dawno by już odesłała tę małą, bo dziewczyna w ogóle nie garnęła się do pracy i potłukła więcej naczyń niż którakolwiek z jej poprzedniczek.

– Kolacja, łaskawy panie.

Dziewczyna trzymała w rękach dwa talerze pełne kanapek z ciemnego pieczywa z kielbaskami z wątróbki i roztopionym serem, przyprawionym kminkiem i ogórkami z domowej grządki, którą Marie zaczęła uprawiać minionej jesieni. Mięso, wędliny i tłuszcze były dostępne wyłącznie na kartki żywnościowe. Jeśli ktoś chciał kupić jakiś wyszukany smakołyk albo choćby zwyczajną czekoladę, mógł je nabyć po znajomości i za wygórowaną cenę. Wszyscy mieszkańcy w domu Melzerów byli lojalni wobec cesarza i postanowili wypełniać sumiennie swoje patriotyczne obowiązki. Jednym z nich była zdolność do wyrzeczeń, gdy czasy tego wymagają.

– Hanna, dlaczego dzisiaj czekaliśmy tak długo? Co takiego aż tak zajmuje

kucharkę?

Hanna z rozmachem postawiła talerze na stole i dwie kanapki spadły na świeżo uprany biały obrus. Dziewczyna bez zastanowienia wzięła je w ręce i położyła z powrotem na talerzu. Paul z westchnieniem uniósł brwi – zupełnie bezcelowe było ciągle przywoływanie do porządku tej dziewczyny. Wszystko, co się do niej mówiło, ona jednym uchem wpuszczała, a drugim wypuszczała. Humbert, który do tej pory im usługiwał, wykonując swoją pracę perfekcyjnie i z wielkim zaangażowaniem, zaraz na początku wojny został skierowany na front. Biedny chłopak, zupełnie nie nadawał się na żołnierza.

– To moja wina – wybełkotała Hanna, ale nie było widać, żeby miała wyrzuty sumienia. – Pani Brunnenmayer przygotowała obydwie talerze, a ja wzięłam je przez pomyłkę z innymi potrawami i dopiero później się zorientowałam, że te kanapki były przeznaczone dla łaskawych panów.

Okazało się, że kucharka miała dzisiaj przygotować posiłek również dla osób, które ulokowali na drugim piętrze. Przede wszystkim akuszerki, która cieszyła się ogromnym apetytem i piła już trzeci kufel piwa. Panie Elisabeth von Hagemann i Kitty Bräuer również zapowiedziały, że będą dzisiaj jeść w domu rodzinnym. Paul poczekał, aż Hanna wyjdzie, i potrząsnął gniewnie głową. Kitty i Elisabeth – jego siostry. Jakby dzisiaj i tak nie było zbyt wielu kobiet w willi!

– Kucharka! – z wyższego piętra zagrzmiął obcy głos. – Filiżankę kawy dla mnie! Ale ma być z prawdziwych ziaren, nie z jakiegoś tam zmielonego grochu!

To musiała być akuszerka. Paul jeszcze jej nie widział, ale sądząc po głosie, była to kobieta silna i bardzo stanowcza.

– Ma cięty język, bez wątpienia – powiedział ojciec Paula nieco kąśliwie. – Przypomina tę pielęgniarkę, którą Alicia zatrudniła dwa lata temu. Jak ona się nazywała? Ach, Ottilie. Ona mogłaby dyrygować całym pułkiem wojska.

Na dole zadźwięczał dzwonek do drzwi. Jeden. Potem drugi. Wreszcie – szturm. Odgłosom wtórował tępy dźwięk wydawany przez kołatkę wykonaną z metalu, którą uderzano w metalową płytkę wbudowaną w drzwi.

– Kitty – wycedził Johann Melzer przez zaciśnięte zęby. – To może być tylko Kitty.

– Już idę, już idę – wołała Hanna, której głos tak czysty i donośny jak dzwon było słyhać nawet na trzecim piętrze. – Co za dzień! Święta Matko Bos-ka, co za dzień!

Paul skoczył na równe nogi i zbiegł na dół, do drzwi wejściowych. Wizyty Kitty były w ostatnim czasie mocno uciążliwe, ale teraz bardzo się ucieszył, że przyszła. Nic nie było tak wyczerpujące jak bezczynne siedzenie i czekanie. Gdziekolwiek się pojawiła Kitty, zarażała wszystkich radością, teraz też pomoże zapomnieć o zmartwieniu. Już na schodach słyszał jej głos pełen entuzjazmu. Kitty prawie od roku była żoną bankiera Alfonsa Bräuera i sama spodziewała się dziecka. Miała rodzić za kilka miesięcy, ale zupełnie nie było po niej tego widać. Wydawała się krucha i szczupła jak zawsze. Paul musiał uważnie się jej przypatrzeć, by dostrzec niewielkie wybrzuszenie pod luźną spódnicą.

– Boże drogi! Hanno, jaka ty jesteś powolna! Kazałaś nam stać wieki w tym deszczu! Śmierć mogłaby nas dopaść w tę okropną pogodę. Ach, ci nasi biedni żołnierze,

marzną teraz gdzieś w Rosji i we Francji. Mam nadzieję, że się nie przeziębią. Elisabeth, ja cię bardzo proszę, zdejmij wreszcie ten kapelusz. Wyglądasz w nim wręcz przerażająco, twoja teściowa ma fatalny gust. Hanno, przynieś mi moje kapcie, te małe pantofelki wyszywane jedwabiem. Czy dziecko już jest na świecie? Nie? Bogu niech będą dzięki, już się bałam, że wszystko mnie ominęło.

Siostry przyjechały bez szofera. Prawdopodobnie Elisabeth prowadziła samochód. Kitty wciąż nie chciała nauczyć się jeździć. Nie było jej to potrzebne, bo bankierzy Bräuerowie posiadali kilka samochodów i własnego szofera. Podczas gdy Kitty zdejmowała płaszcz, kapelusz i buty, Elisabeth wciąż stała przed owalnym lustrem w stylu empire i robiła zbolaną minę. Kitty, przy całym swoim naturalnym wdzięku, potrafiła być czasami zupełnie nieczuła, pomyślał Paul. Zawołał więc głośno:

– Lisa, sądzę, że świetnie wyglądasz w tym kapeluszu! On ci dodaje...

Więcej nie zdążył powiedzieć, bo Kitty rzuciła mu się na szyję, ucałowała go w oba policzki i nazwała swoim biednym, kochanym Paulem.

– Wiem przecież, jak okropna jest sytuacja ojców czekających na narodziny dziecka – zachichotała. – Cóż, zrobili, co zrobić mieli, i są bezużyteczni. To, co się dzieje później, to wyłącznie nasza sprawa, prawda, Liso? No bo co mężczyzna może zrobić z takim noworodkiem? Może go uspokoić? Nakarmić? Kołysać? Tak naprawdę to niczego nie może!

– No, siostrzyczko, daj już spokój – przerwał jej Paul z uśmiechem. – A kto się troszczy o to, żeby matka i dziecko mieli dach nad głową i jedzenie?

– No tak. – Wzruszyła ramionami i przesunęła się, żeby podnieść pantofelki, które Hanna postawiła przed nią na podłodze. – Ale to trochę za mało, mój kochany Paulu. Wiesz, że w Czarnej Afryce ojcu, czekającemu na dziecko, robi się głęboką ranę w nodze i posypuje ją solą? Wydaje się to całkiem rozsądne, bo dzięki temu mężczyźni mogą choć trochę współodczuwać ból porodu z kobietą.

– Rozsądne? To czyste barbarzyństwo!

– Ach, ale z ciebie tchórz, kochany Paulu! – zaśmiała się. – Ale nie bój się. W naszym kraju ta praktyka jeszcze nie jest w modzie. A gdzie się podziewa mama? Jest na górze z Marie? Posłaliście pewnie po tę obrzydliwą starą akuszerkę? Tę Koberin? Ona była przy mojej przyjaciółce Dorothei, gdy rodziła, i wyobraź sobie, kochany Paulu, że ta kobieta była w sztok pijana, gdy odbierała dziecko. O mały włos nie upuściła maleństwa...

Paul poczuł dreszcz na całym ciele. Mógł jedynie mieć nadzieję, że jego matka wybrała osobę, która zna się na swoim fachu. Gdy on jeszcze to rozważał, nieustannie pobudzony umysł Kitty zajął się już inną sprawą.

– Idziesz wreszcie, Elisabeth? Mój Boże, naprawdę wyglądasz w tym kapeluszu niczym grenadier! Naprawdę ponuro i jakbyś się nastawiła na jakąś fatalną okoliczność. Hanno? A ty gdzie się podziewasz? Masz jakieś wieści od Humberta? U niego wszystko w porządku? Pisuje do nas regularnie? Nie? Jakże to przykre. Chodź, Elisabeth, musimy pójść szybko do Marie na górę. Co sobie o nas pomyśli, gdy się dowie, że jesteśmy już w domu, a nie interesujemy się nią.

– Nie jestem pewien, czy Marie teraz będzie miała dla ciebie czas... – zwrócił się

do siostry Paul, gdy ta, mimo że w ciąży, wciąż bardzo zwinnie wchodziła po schodach na górę.

– Szczęść Boże, tatusiu! – krzyknęła, przechodząc przez korytarz od razu na wyższe piętro, gdzie znajdowały się sypialnie.

Przy najlepszych chęciach Paul nie mógł sobie nawet wyobrazić, co działo się w tamtej części domu, podejrzewał natomiast, że Kitty udało się od razu znaleźć w samym centrum wydarzeń. A jemu, czekającemu niecierpliwie przyszłemu ojcu, stanowczo tego zabraniano.

– Jak się czuje tata? – zapytała Elisabeth, która wreszcie zaczęła zdejmować palto i kapelusz. – Mam nadzieję, że nie przerasta go ta sytuacja.

– Myślę, że radzi sobie całkiem dobrze. A ty chcesz wesprzeć kobiecie kółko wzajemnej adoracji tam na górze czy bardziej lubisz swojego ojca i dotrzymasz mu towarzystwa?

– Zostanę tutaj na dole. Przy okazji chcę z nim coś omówić.

Paul odetchnął z ulgą, że chociaż Elisabeth zostanie z nim w jadalni, bo Kitty już z pewnością naraziła się akuszerce. Boże drogi, niech to już się skończy! Myśl o tym, że Marie teraz strasznie cierpi, była nie do zniesienia. Bo czy on nie był tego sprawcą? On, który spłodził to dziecko?

– Masz taki wyraz twarzy, jakbyś musiał połknąć żabę – powiedziała Elisabeth z uśmiechem. – A przecież powinieneś się cieszyć. Zostaniesz przecież ojcem!

– A ty Liso, będziesz ciocią – odpowiedział bez zachwyty w głosie.

W jadalni Johann Melzer przeglądał uważnie „Augsburger Neuesten Nachrichten”. Chciał jeszcze raz przestudiować artykuł opisujący przebieg wojny. Jeśli wierzyć w entuzjastyczne doniesienia, Rosja była już pokonana, a dalsza rozprawa z Francuzami również miała być krótka. Tymczasem mijał już trzeci rok od wybuchu wojny, a Johann Melzer, mimo pełnego lojalności stosunku do cesarza, pozostał realistą i sceptykiem. Entuzjazm, z którym wszyscy przyjęli początek wojny, już dawno minął.

– Tato, czy ty pijesz? – zapytała Elisabeth. – Wiesz doskonale, że doktor Geiner zabronił ci alkoholu!

– Niedorzeczność! – odpowiedział ze złością. Już od dawna wszyscy mieszkańcy willi przestali go traktować jak bezwolnego pacjenta, nawet matka skończyła z ciągłym strofowaniem go i dawaniem mu ostrzeżeń i nakazów. Elisabeth nie potrafiła jednak powstrzymać się przed pilnowaniem ojca. Ktoś przecież musiał dbać o jego zdrowie.

– A co nasz porucznik pisze o przebiegu wojny na Zachodzie? – zapytał Melzer, najpewniej chcąc uniknąć wysłuchiwanie dalszych wyrzutów.

Elisabeth od ponad roku była żoną majora Klause von Hagemanna. Ich ślub odbył się w pośpiechu zaledwie kilka dni po wybuchu wojny. Niewiele później Klaus von Hagemann wraz ze swoim pułkiem kawalerii wziął udział w bitwie nad Marną. Na początku zaś 1915 roku pobrali się Marie i Paul oraz Kitty i Alfons Bräuer.

– Dzisiaj właśnie przyszła najnowsza wiadomość od Klause – powiedziała Elisabeth i wyciągnęła z torebeczki kartkę z pola bitwy. – Stacjonuje ze swoim pułkiem

w Antwerpii, ale wygląda na to, że niebawem otrzymają rozkaz wymarszu na południe. Tam, skąd oczywiście nie będzie już mógł pisać...

– Na południe, ach tak – wycedził Johann Melzer. – A tobie dalej to odpowiada?

Pod badawczym spojrzeniem ojca Elisabeth zaczerwieniła się. Jej mąż w październiku minionego roku spędził kilka dni w ojczyźnie i wówczas uczciwie spełniali swoje małżeńskie obowiązki. Tak bardzo liczyła na to, że tym razem zajdzie w ciążę. Na próżno. Uciążliwa miesiączka znów się pojawiła, na czas i bez żadnych odstępstw od normy – z towarzyszącymi jej okropnymi bólami głowy i brzucha.

– Tak, odpowiada mi to, tato. Dziękuję, że pytasz.

Paul podsunął jej swój talerz i zachęcił ją, żeby się poczęstowała. On nie mógł przełknąć nawet kęsa. Elisabeth nie potrafiła się oprzeć tłustej kiełbasie z wątróbki. Dobry Boże, ależ Paul potrafił sobie ułożyć życie! Może to nie był teraz najlepszy czas dla Marie, ale właśnie rodzi dziecko, a Kitty również jest przy nadziei. Tylko jej jednej odmówiono doświadczenia daru macierzyństwa, ale przecież od początku mogła się spodziewać, że tak właśnie będzie. Kitty była dzieckiem szczęścia, istotą hołubioną przez los, małym słodkim elfem. Wszystko, czego pragnęła, zaraz zjawiało się u jej stóp. Dosłownie. Elisabeth musiała zebrać w sobie całą siłę, żeby nie pogrążyć się w samoudręczeniu. Cóż, była zdecydowana, że w inny sposób wypełni swoje obowiązki wobec cesarza i ojczyzny.

– Wiesz, tato – zaczęła z uśmiechem, gdy Paul ponownie wyszedł na korytarz. – Biorąc pod uwagę naszą pozycję społeczną i sporą przestrzeń naszej willi, sądzę, że właściwie nie mamy innego wyboru. Klaus powiedział mi bardzo wyraźnie, że nie zrozumiałby, gdybyś się wahał, bo to po prostu nasz patriotyczny obowiązek...

– O czym ty właściwie mówisz? – zapytał Johann Melzer podejrzliwie. – Chyba nie o tym szalonym pomysle, żeby urządzić w domu szpital polowy? Lepiej wybij to sobie od razu z głowy, Elisabeth!

Spodziewała się takiej reakcji i wcale jej to nie zniechęciło. Mama już niemal wyraziła zgodę, pani von Sontheim stworzyła u siebie w domu szpital dla ofiar wojny, a rodzice jej najlepszej przyjaciółki Dorothei też przeznaczili na ten cel jeden ze swoich domów. Tylko dla żołnierzy wysokich rangą, rzecz jasna, nie chcieli przecież zajmować się brudnym, niewykształconym plebsem.

– Na dole w holu byłoby miejsce na co najmniej dziesięć łóżek, a w pralni można by urządzić salę operacy...

– Nie!

Aby wzmocnić swój sprzeciw, Johann Melzer sięgnął po butelkę i nalał sobie sporą ilość whisky do szklanki. Potem wyjaśnił, że na dole, w holu, panuje ustawiczny przeciąg, co bez wątplenia nie służyłoby chorym, jest tam za słabe światło, a poza tym każdy będzie musiał przechodzić slalomem między łózkami, bo to przestrzeń, do której wchodzi się głównym wejściem.

– Zapominasz, ojcze, że jest jeszcze drugie wejście – z ogrodu przez taras. A przeciągowi można zapobiec, jeśli powiesi się w drzwiach kotarę z grubego materiału. Tak, sądzę, że główny hol nadaje się idealnie, jest przestronny, łatwo go wywietrzyć, znajduje się też blisko pomieszczeń gospodarczych, gdyby było trzeba z nich skorzystać.

Johann Melzer wypił całą szklankę jednym haustem i z impetem odstawił ją na stół.

– Tak długo, jak ja mam coś do powiedzenia w tym domu, na nic tak niedorzecznego się nie zgodzę. I tak mamy sporo gęb do wykarmienia, a do tego jeszcze całe mnóstwo obaw o fabrykę.

Elisabeth otworzyła usta, żeby odpowiedzieć ojcu, ale on ją uprzedził.

– Nie wiem, z czego zapłacę pracownikom i jak długo będę ich mógł zatrudniać – zdenerwował się Melzer. – Bawełny nie można kupić już od początku wojny, wełnę też jest trudno zdobyć, a nie mam maszyn, które potrafiłyby tkać nici z konopi. Daj mi więc spokój z tym szalonym pomysłem albo inaczej to rozwiążę.

Na zewnątrz, w korytarzu, usłyszeli wyraźne poruszenie. Słysząc było głos podekscytowanej Kitty, na górze trzaskano drzwiami, a Else biegła z koszykiem pełnym ręczników. Elisabeth z przerażeniem dostrzegła, że na białym materiale widnieją jasne plamy krwi.

– Masz córkę, kochany Paulu! – krzyknęła Kitty z góry. – Słodką, maleńką córeczkę. Mój Boże, ona jest taka maleńka, ale ma już rączki, nóżki, nawet paznokietki u rączek i stópek. Akuszerka dała ją Auguste, żeby ją wykąpała.

Paul pobiegł schodami w górę, żeby wreszcie wejść do Marie, ale Kitty rzuciła mu się w ramiona i rozplakała ze szczęścia.

– Zostaw mnie, Kitty... – Zniecierpliwiony próbował wyrwać się z objęć siostry.

– Tak, tak, oczywiście – szlochała Kitty, ale nie puściła go z uścisku. – Tylko poczekaj, aż ją wykąpią. Wtedy dostaniesz w ramiona swoją córeczkę czystą i gotową do tulenia. Ach, kochany Paulu, ona jest zachwycająca! A Marie była taka dzielna. Ja na pewno nie będę taka wytrzymała, już teraz to wiem. Ja postawię na nogi cały Augsburg swoim krzykiem, jeśli będę musiała znosić takie katusze.

Elisabeth westchnęła z irytacją, stojąc na progu jadalni. Akurat teraz Marie musiała urodzić to dziec-ko! Miała jeszcze całą masę świetnych argumentów w zanadrzu, które najpewniej zapędziłyby ojca w kozi róg, ale wstał i wyszedł, by zobaczyć małą.

– Dziewczynka – stwierdził z niezadowoleniem. – No, ale najważniejsze, że matka i dziecko mają się dobrze.

Musiał odsunąć się na bok, bo Auguste wносиła właśnie drewnianą kołyskę, w której najpierw spał Paul, a potem jego dwie siostry. Kołyska należała do von Maydornów, rodziny z Pomorza, i zapewne wcześniej również służyła licznym tamtejszym niemowlętom do snu.

– Marie! – krzyknął Paul, stojąc na górnym korytarzu. – Marie, mój skarbie, dobrze się czujesz? Wpuście mnie wreszcie do niej!

– On powinien poczekać! – zagrzmiał władczy głos akuszerki.

– Ta kobieta jest odrażająca! – powiedziała Kitty z oburzeniem. – Gdy przyjdzie czas na mnie, za nic na świecie nie chcę mieć tej wiedźmy obok siebie. Zachowuje się tak, jakby należała do niej cała willa. Wyobraź sobie, że ona nawet mamie wydaje polecenia...

Elisabeth zdecydowała niechętnie, że jednak wyjdzie z jadalni i weźmie udział w tym wydarzeniu. Najbardziej była ciekawa, jak wygląda to niemowlę. Dziewczynka! To mogło się przydarzyć tylko Marie. Z jakim rozczarowaniem ojciec przyjął tę wiadomość! Miał nadzieję na potomka, który przejmie fabrykę po nim i Paulu...

Z góry było słycać teraz wyłącznie szepty. Paul i Kitty stali na schodach z zasmuconymi minami. Bardzo dziwne, pomyślała Elisabeth. Czyżby z Marie nie wszystko było dobrze? Straciła zbyt dużo krwi? Zmarła z wyczerpania?

Elisabeth poczuła gwałtowne bicie serca i musiała się trzymać poręczy, gdy wchodziła po schodach. O niebiosa! Życzyła Marie niewielkiej gorączki, nie musiała przecież od razu odchodzić z tego świata! Otworzyły się drzwi sypialni i wyszła przez nie mama – straciła całe swoje opanowanie, biedactwo. Czerwona na twarzy, na bluzce miała plamy z potu, a jej dłonie drżały, gdy odgarniała z czoła pasemka włosów.

– Paul, mój najdroższy Paul.

– Mamo, na Boga! Co się stało? – rzucił się na nią, ale głos odmówił mu posłuszeństwa.

– To jest... jest niewiarygodne! – szlochała Alicia Melzer. – Masz syna!

Nikt nie rozumiał, co ma na myśli, nawet Elisabeth. Dopiero co była mowa o córce, a teraz jest to syn. Czy akuszerka jest zupełnie pijana? Nie potrafiła odróżnić chłopca od dziewczynki?

– Syn? – wyjąkał Paul. – To znaczy, że nie córka, tylko syn? Ale co się dzieje z Marie?

Alicia musiała się oprzeć o ścianę, zamknęła na chwilę oczy i położyła dłonie na rozpalonym czole. Potem się uśmiechnęła.

– Twoja żona urodziła bliźniaki, Paul. Dziewczynkę i chłopca! A jak się ma Marie? Cóż, teraz to chyba jeszcze wspanialej!

Elisabeth stała sparaliżowana na środku schodów, a jej strach zamienił się w niepohamowany gniew. Bliźniaki! Jak to się mogło stać! Niektórzy ludzie to już naprawdę nie mogą mieć więcej! A ona jeszcze jest przy tym zdrowa. Teraz też już było słycać piski niemowląt, słabe i nieco chrapliwe, jakby te małe istoty musiały bardzo mocno się wysilić, żeby wydać z siebie te dźwięki. Nagle Elisabeth ścisnęło się serce i załało ją uczucie nieoczekiwanej czułości. Niemowlęta na pewno są maleńkie – musiały przecież dzielić się miejscem w brzuchu matki. Wreszcie pojawiła się też akuszerka, krępa kobieta z siwiejącymi włosami i pulchnymi policzkami, usianymi kłębowiskiem czerwonych, drobnych żyłek. Miała na sobie świeżo wykrochmalony fartuch, który włożyła na czarną suknię. W jej potężnych ramionach znajdowały się dwa niewielkie, białe pakunki. Niemowlęta szczelnie zawinięte w białe chusty, tak że było jedynie widać ich różowe główki. Paul wpatrywał się ze zmarszczonym czołem w swoje dzieci. Jego wzrok wyrażał niedowierzenie albo raczej dziwny rodzaj oszołomienia.

– One... one są zdrowe, prawda? – zapytał akuszerkę.

– Przecież widać, że są zdrowe!

– Tak, ja tylko mówię, że... – bełkotał dalej Paul.

Nie wyglądał jak dumny ojciec, gdy tak stał i wpatrywał się osłupiały w swoje dzieci. Ich twarzyczki były dziwnie skrzywione, oczka tworzyły wąskie szparki, noski dwa maleńkie otworki, jedynie usta sprawiały wrażenie dużych. Jedno z dzieci pojękiwało, wydając dźwięki wyrażające bezradność.

– Który to chłopiec? – chciał wiedzieć Johann Melzer, który niepostrzeżenie wszedł na górę.

– Ten mały krzykacz. Jest lżejszy od swojej siostry, ale już teraz postanowił dać wyraz niezadowoleniu ze swojego pobytu na tym świecie.

Akuszerka się uśmiechnęła, a przynajmniej pokazała, że jest usatysfakcjonowana z wyniku swoich wysiłków. Teraz nie miała już nic przeciwko temu, by Paul wszedł do sypialni.

– Marie! – Elisabeth usłyszała, jak prawie krzyknął. – Moja biedna, słodka żono, jak wiele musiałaś znieść! Jak się czujesz? Nasze dzieci są wspaniałe! Nasze dzieci...

– Podobają ci się? – zaśmiała się lekko. – Dwoje za jednym zamachem – czy to nie jest praktyczne?

– Marie... – szepnął Paul z ogromną czułością.

Elisabeth nie usłyszała, co jeszcze powiedział, najwyraźniej słowa te nie były przeznaczone dla ciekawskich. Poczła nagle gulę w gardle, która zdawała się pęcznieć z minuty na minutę. Drogi Boże, jakie to wszystko było poruszające! I tak szaleńczo pragnęła, żeby Klaus skierował kiedyś do niej słowa przepelnione tak wielką tkliwością. Podeszła do matki, żeby ją objąć, i zauważyła, że Alicia płacze.

– Macie już państwo imiona dla tej dwójki? – zapytała akuszerka.

– Oczywiście – odpowiedziała Alicia Melzer, głaszcząc plecy Elisabeth. – Dziewczynka będzie miała na imię Dorothea, a chłopiec Leopold.

– Dodo i Leo! – krzyknęła podekscytowana Kitty. – Tatusiu, musisz otworzyć szampana! Ja będę rozlewać. Och, gdyby tylko nasz drogi Humbert był tutaj z nami! Nikt nie otwiera szampana i nie rozlewa go do kieliszków tak jak on. Idziemy, idziemy już, ci dwoje w środku ciągle do siebie szepczą – wystarczy.

Wszyscy poszli do czerwonego salonu, posłano po Else, żeby przyniosła kieliszki, a Johann Melzer zszedł do piwnicy po odpowiedni na tę okazję trunki. W tak radosny dzień służba też powinna wypić łyżeczek szampana za dopiero co narodzonych, nowych potomków Melzerów. Kitty napełniła kieliszki, Alicia wezwała kucharkę i Hannę z kuchni, Else przysłała z tacą prosto do sypialni. Najpierw zobaczyła tam szczęśliwych małżonków, którzy właśnie zostali rodzicami, a później także Auguste i kucharkę z kieliszkami z musującym szampanem w rękach.

– Toast za nowych mieszkańców tej ziemi! – krzyknął Johann Melzer. – Niech aniołowie Boży czuwają nad nimi, tak jak trzymają pieczę nad naszą ukochaną ojczyzną i naszym drogim cesarzem...

Wzniesli toast za Dodo i Lea, za Marie – młodą matkę, za świeżo upieczonych rodziców i oczywiście za cesarza. Kucharka Brunnenmayer powiedziała, że od dawna wiedziała, że to będą bliźnięta, bo łaskawej paniencie spuchły nagle nogi, a Hanna dodała, że będzie pchać wózek podczas spacerów z maluchami. Obiecała to już wcześniej Marie, no i oczywiście będzie to robić tylko w towarzystwie odpowiedniej opiekunki, która zostanie zatrudniona.

– Już dawno nie byłam taka radosna i rozluźniona – oznajmiła Alicia, gdy rodzina znów była razem. Oczy jej błyszczały, po przeżyciach dzisiejszego dnia pół kieliszka szampana wystarczyło, by poczuła się lekko odurzona. – Wydaje mi się, że powróciły dawne czasy. Gdy my dwoje byliśmy młodzi, Johannie. A nasze dzieci jeszcze małe. Pamiętasz? Ich radosne głosiki na korytarzach. Gdy biegały po parku i doprowadzały do

rozpaczy biednego ogrodnika.

Johann Melzer powoli sączył swój szampan. Po chwili odstawił kieliszek i wziął żonę w ramiona. Od dawna już tego nie robił. Elisabeth dostrzegła, że jej matka z uśmiechem na ustach przymknęła oczy, a twarz oparła na ramieniu ojca.

– Wspaniałe życie ma ten, kto z radością spogląda na dawne chwile szczęścia. To skarb, którego nikt nie może mu odebrać – powiedział.

Co tak długo się guzdrałaś? – Else upominała Hannę. – Czekam już bity kwadrans, tutaj, w tym okropnym deszczu! Jeśli nie przyniesiemy dzisiaj do domu żadnego mięsa ani kielbasy, to na pewno doniosę łaskawej pani, czyja to wina.

Else była dzisiaj w gorszym nastroju i nie miała skrupułów, by dać odczuć swój stan małej Hannie. Nagle nie była już tą cichą i nierzucającą się w oczy Else, która nigdy nie odważyła się postawić stanowczej Auguste ani nawet energicznej kucharce. A wobec łaskawych państwa zawsze była całkowicie uległa. Hanna natomiast, którą ciągle upominano i karano, była dla pokojówki Else doskonałym chłopcem do bicia. Dziewczyna dźwigała ciężki kosz z uchwytem wyścielany grubym bawełnianym płótnem – miały nadzieję, że uda im się kupić trochę ziemniaków.

– Musiałam jeszcze umyć naczynia i przynieść wiadro z węglem – wyjaśniła Else, czekającej na nią w kapeluszu i płaszczu pod dachem, wspartym na filarach przy głównym wejściu. Stała tam, gdzie nie powinna, gdyż służba używała dwóch wejść bocznych. Else wcale nie zmokła, na jej płaszczu nie było ani kropelki deszczu.

– Co za pogoda! – narzekała Else, bo musiała opuścić swoje idealne schronienie i pójść z Hanną. – Pada i pada, żebym tylko się nie przeziębila! Gdy tak majtasz spódnicą, to na mnie pryskasz. Mogłabyś choć raz zrobić coś z rozwagą? Nawet nie potrafisz iść prosto. Uważaj tylko, żeby kosza nie...

Nagle Else krzyknęła, rozłożyła ręce w komicznym geście i zatoczyła się do przodu. Sucha gałąź, którą wiatr urwał ze starego kasztanowca, spadła tuż przed nią na drogę i pokojówka się o nią potknęła. Pech chciał, że wpadła w sporą kałużę i zamoczyła lewy but, ten, który akurat był dziurawy.

– Musisz być ostrożna, Else – powiedziała Hanna z poważną miną, za którą ukryła rozpierającą ją wewnętrzną radość. – Na drogę spadła sucha gałąź.

Teraz to dopiero Else była wściekła! Oczywiście Hanna nie ponosiła winy za jej pecha, ale zawsze był jakiś powód, by zbesztać dziewczynę. Jej zbyt donośny głos. Jej niezdarność. Gdy wczoraj wieczorem myła naczynia, stłukła drogi kieliszek do szampana. W drodze przez park Hanna usłyszała całe mnóstwo wyrzutów. Tego dnia jednak jej to nie przeszkadzało, myślała tylko o tym, jak nieprzyjemnie się chodzi w kłapiącym od wody lewym bucie. A dół spódnicy Else również został porządnie zmoczony.

Gdy wyszły na ulicę, widziała w oddali – między budynkami fabrycznymi, zajezdnią i sadami jabłoni – spiczasty dach bramy Jakoba. W rzęsimym deszczu domy i kamienice wyglądały mało zachęcająco, były szare i obdrapane. Hanna rozłożyła chustę tak, żeby osłonić przed deszczem głowę i ramiona. Nie na wiele się to zdało, krople deszczu z łatwością przenikały przez materiał. W tej kwestii Else niestety miała rację.

– A nasza młoda pani ma takie okropne zmartwienie. A dopiero wczoraj została matką...

Co za brednie mówi ta Else! Młodej pani Melzer jest na pewno teraz zupełnie obojętne, czy jest jedenaście, czy dwanaście kieliszków do szampana. A poza tym młoda

pani zawsze staje w obronie Hanny. Tak jak i młody pan. To on ją zabrał do szpitala, gdy zdarzył się ten straszny wypadek w fabryce. To jest dobry człowiek, zupełnie inny niż jego ojciec. Ten był ciągle ze wszystkiego niezadowolony i potrafił wyzywać się na pracownikach. Jedynie z kucharką Brunnenmayer nawet on się liczył. Ona jest wyjątkiem, bo w małym palcu ma te wszystkie tajemnice sztuki gotowania. Brunnenmayer potrafiła porządnie obrugać, ale była zawsze szczerą i uczciwą, nigdy nie obgadywała nikogo za plecami. A tak robią ciągle Else i Auguste. Auguste w ogóle jest okropna. Na nią trzeba szczególnie uważać. Zwłaszcza teraz, gdy jej mąż Gustav został wysłany na front. Zanim wyjechał, Auguste była zupełnie inna. Wesoła, czasem nawet dobroduszna. A teraz stała się prawdziwą wiedźmą!

Weszły do miasta przez bramę Jakoba i patrzyły z zazdrością, jak jakaś młoda para wsiada do limuzyny i odjeżdża. Ci to mieli dobrze, nie musieli moknąć jak one. Niewiele było teraz na ulicach prywatnych samochodów, bo paliwo przeznaczono na potrzeby armii, ale tak bogatych ludzi jak bankier Bräuer stać było na kupno benzyny. Jednak całe to bogactwo nie pomogło młodemu panu Bräuerowi, bo i tak musiał iść walczyć na froncie jak wszyscy inni.

Na Maximilianstraße faktycznie znajdowało się stoisko, przy którym wydawano ziemniaki. Ustawiła się przed nim długa kolejka, składająca się przede wszystkim z kobiet, ale także z dzieci, starszych mężczyzn i kalek – poszkodowanych w czasie wojny. Cenne warzywa zapakowane w worki leżały na przyczepie, a dwóch mężczyzn w mundurach ważyło ziemniaki na wadze ustawionej na drewnianej skrzyni.

– To stanowczo za mało – oceniła Else. – Musisz powiedzieć, że u nas w domu jest dziesięć osób do wykarmienia, a wśród nich młoda matka, która wczoraj rodziła. Tutaj masz pieniądze. Tylko uważaj, nie pozwól się oszukać!

Else zabrała z rąk Hanny kosz na zakupy, wcisnęła jej płócienny worek i popchnęła w kierunku kolejki po cenne zdobycze wojenne. Hanna posłusznie ustawiła się na końcu, choć nękało ją dojmujące uczucie, że stoi w tym okropnym deszczu zupełnie na darmo. Przed nią było więcej niż trzydzieści osób, a teraz jeszcze wpełznąła się między nich jakaś staruszka, która tak strasznie dygotała, że nikt nie miał serca przepędzić jej na koniec. Hanna z zazdrością patrzyła na Else, która z wielkim koszem weszła teraz do piekarni i na pewno kupiła tam świeże pieczywo, może nawet pięknie pachnące bułeczki. Później pójdzie po mleko i masło, ale prawdopodobnie znów dostanie tylko ten okropny substytut smalcu, na który Brunnenmayer tak zawsze pomstuje.

– Patrzcie no tylko, co za leniwa hołota! – warknęła kobieta w niebieskim wełnianym płaszczu, która stała kilka osób przed Hanną. – Siadają sobie i gadają, zamiast pracować!

Hanna spojrzała z zaciekawieniem w kierunku wskazywanym palcem przez kobietę. Zobaczyła tam robotników zatrudnionych do naprawy chodnika. Przemoczeni, w podartych ubraniach, niektórzy nie mieli nawet czapek na głowie, po włosach spływała im woda. Byli to jeńcy wojenni, których pilnowali dwaj mężczyźni w mundurach.

– Mają teraz przerwę – wyjaśnił młody mężczyzna, bardzo blady i prosty jak świeca. Gdy się poruszał, chwiał się dziwnie przy każdym kroku, bo na prawej nodze miał protezę. – Biedne świnię. Nie potrafią robić nic innego jak tylko walczyć na froncie za

ojczyznę.

– Brudni Rosjanie! – wymyślała im kobieta w niebieskim płaszczu. – Zawszeni i bezczelni. A jak się gapią te typki na nasze dziewczęta! Miej się przed nimi na bacności, maleńka!

Miała na myśli Hannę, która z szeroko otwartymi oczami patrzyła na wyczerpanych mężczyzn. Ci jeńcy wojenni nie wyglądali na niebezpiecznych łotrów, wydawali się jej raczej zagłodzeni i stęsknieni za własnymi domami. Cóż to za bezsensowna sprawa ta wojna! Najpierw wszyscy byli nią podekscytowani. „Potniemy Francuzów na kawałeczki”, mówili. „A na Boże Narodzenie wszyscy znowu będziemy w domu!”. Młoda pani Melzer i jej szwagierki pojechały na dworzec kolejowy, a Else, Auguste i ona, Hanna, ciągnęły za nimi olbrzymi kosz pełen wypieków i innych przysmaków, by obdzielić tym pysznym jedzeniem żołnierzy, którzy w bardzo długim pociągu podróżowali na Zachód. Ludzie machali flagami, wiwatowali, wszyscy jakby oszaleli. Dla cesarza. Dla naszej niemieckiej ojczyzny. W szkołach odwołano lekcje, co akurat Hannie bardzo się podobało. Dwóch jej braci dobrowolnie zgłosiło się na front. Jacy byli z siebie dumni, gdy po dokładnym badaniu dostali przydział i odpowiednie umundurowanie. Zostali zabici już w pierwszym roku wojny, starszy zmarł z powodu gorączki, młodszy poległ gdzieś we Francji, nad rzeką, nazywaną Sommą. Nawet nie zobaczył Paryża. A obiecali Hannie, że jak tylko wkroczą do stolicy Francji, wyślą jej stamtąd kartkę pocztową.

Teraz, gdy wojna trwa trzeci rok, Hanna od dawna wiedziała, że zostali wtedy oszukani. Co do obiecanego powrotu na Boże Narodzenie również. Wojna zagnieździła się w świecie na dobre, unosiła się nad ziemią jak złowrogi duch i pożerała wszystko, co tylko udało się jej dopaść. Chleb i mięso, mężczyźni i dzieci, pieniądze, konie, benzynę, mydło, mleko i masło. Wydawało się, że nigdy nie będzie miała dość. Zabierała stare ubrania, metal, gumę, pestki owoców i papier. Nawet kobiece włosy miały dla niej wartość. Niedługo najpewniej będzie też chciała zabrać ich dusze, jeśli jeszcze tego nie zrobiła...

– Nie śpij, mała – powiedział do Hanny młody mężczyzna z drewnianą protezą. – Zaraz będzie twoja kolej.

Przestraszyła się i uświadomiła sobie, że nie czekała na próżno. Mężczyzna odważył jej dwa funty ziemniaków i robiąc zapraszający ruch głową, powiedział:

– Dawaj dwadzieścia cztery fenigi.

– Ale ja potrzebuję więcej kartofli! – odpowiedziała Hanna. – Jest nas w domu dziesięcioro, a w tym młoda matka, która wczoraj urodziła bliźnięta...

W tym samym momencie usłyszała za sobą złośliwe docinki i głośny śmiech. Wszyscy mieli w domu sześcioro głodnych dzieci i starych rodziców.

– Bliźnięta? – krzyknął jakiś łobuziak. – Ja to jestem z pięcioraczków!

– A ja ze storaczków!

– Spokój! – wrzasnął mężczyzna stojący przy wadze. Był zmęczony, bolały go ręce. – Dwa funty. Komu się nie podoba, ten nie dostanie nic. Koniec dyskusji.

Ziemniaki, które zostały wrzucone do worka Hanny, nie były duże. Po dwa dla każdego w willi, policzyła. Zepchnięto ją na bok, następna osoba dostała swoje dwa funty

ziemniaków, a gdy Hanna rzuciła okiem na samochód, zobaczyła, że zostało jeszcze zaledwie kilka worków do obdzielenia. Else oczywiście znowu na nią nakrzyczy, ale to naprawdę nie była jej wina, że nie dostała więcej. Niezdecydowana stała na swoim miejscu i zastanawiała się, czy powinna znowu ustawić się w kolejce. Być może mężczyzna by jej nie poznał i dał jej kolejne dwa funty. Wtedy poczuła, że ktoś się w nią wpatruje. Nie spuszczał z niej ciemnych oczu jeden z jeńców wojennych – wszyscy już wrócili do pracy. Był to szczupły chłopak, blady, z ciemnym puszkim na brodzie i na policzkach. Stał z szeroko rozstawionymi nogami i patrzył na nią. Uśmiechnął się nawet, aż pilnujący szturchnął go w ramię i wtedy on chwycił z powrotem kilof, zamachnął się i uderzył w chodnik. Przez jakiś czas pracował bez przerwy, uderzając w kamienne podłoże z dużą siłą, napędzaną widoczną wściekłością, a Hanna zastanawiała się, jak ktoś, kto na pewno od dawna nie jadł nic pożywnego, może mieć tyle siły. Rosjanin, pomyślała. Ale za to naprawdę śliczny Rosjanin. Choć i tak na pewno miał wszy.

– No patrzcie ją! – zagrział kobiecy głos, który z trudem rozpoznała. – Gapisz się na tych mężczyzn, co? Ładną ja sobie pannę wychowałam, proszę, proszę! No co, zbyt ważna już jesteś, żeby przywitać się z matką?

Hanna się odwróciła i z przerażeniem spostrzegła, że twarz jej matki jest cała czerwona, a kapelusz na głowie przekrzywiony. Czy to możliwe, że była pijana już tak wcześnie rano?

– Dzień dobry, mamó. Czy ty też przyszedłaś po ziemniaki?

Chmura wypuszczonego przez matkę powietrza, przesycona alkoholem, utwierdziła Hannę w jej przypuszczeniach. Grete Weber w minionym roku została zwolniona z fabryki, jak wielu innych pracowników. Od tego czasu coraz więcej piła.

– Kartofle? – wychrypiała matka i uśmiechnęła się szeroko. – A skąd ja mam mieć pieniądze, żeby kupić kartofle? Wiesz dobrze, dziewczyno, że już nie zarabiam pieniędzy. Twój pracodawca, wielki młody pan Melzer, mnie wyrzucił. Po tym jak przez dziesięć lat wiernie i sumiennie stałam przy przędzarce i wykonywałam swoją pracę, on tak po prostu wyrzucił mnie na ulicę!

Hanna milczała, wiedziała z doświadczenia, że jakiegokolwiek przeciwstawianie się było bezcelowe choćby dlatego, że jej matka zawsze wygadywała całe mnóstwo kłamstw. Przez dziesięć lat wiernie i sumiennie... Mogłaby chociaż nie krzyczeć tak głośno, nie musiał każdy wiedzieć, że była pijana w sztok! Skąd miała pieniądze na wódkę? Ojciec został wysłany na front, dwóch młodszych braci zabrała do siebie, do Böblingen, ich ciotka.

– Hanna, moje dziecko, jesteś moim jedynym wsparciem – wychrypiała teraz z płaczem i chwyciła Hannę za rękę. – Wszyscy stąd odeszli. Zabici. Zmarli. Zostawili mnie samą. A ja muszę teraz głodować i marznąć.

– Bardzo mi przykro, mamó. Gdy dostanę wypłatę, to coś ci dam, ale to dopiero pod koniec miesiąca.

– Co ty mówisz? Dopiero na koniec miesiąca? Okłamujesz mnie, własną matkę? Żebym cię kiedyś nie nawiedzała zza grobu!

Uścisk matki był teraz tak silny, że Hanna musiała zacisnąć zęby, żeby nie

rozplakać się z bólu. Próbowwała się wyswobodzić, ale Grete Weber była niesamowicie silna, nawet gdy była pijana.

– Natychmiast dawaj mi pieniądze! – warknęła i zaczęła szturchać Hannę raz po raz. – I to już! Chcesz zagłodzić własną matkę, ty niewdzięczny bachorze? Tylko patrzcie, jakie ma dobre buty! I chustę z grubej wełny! Ale matka może chodzić w łachmanach.

– Przecież kupujesz wódkę, na to masz pieniądze... – odpowiedziała Hanna, rozpaczliwie próbując uwolnić się z rąk matki.

– Tak do mnie mówisz? – wrzeszczała pani Weber rozsierdzona do żywego. – Do własnej matki tak mówisz? Jak ty w ogóle...

Nieoczekiwanie wymierzyła Hannie policzek. Była bardzo silna. Wychowała czterech chłopców i dziewczynkę, wiedziała, jak trzeba bić. Hanna cofnęła się, krzycząc z zaskoczenia i wypuszczając z ręki worek z kartoflami. Schyliła się, żeby go podnieść, ale szybciej, niż mogłaby przypuszczać, złapała go matka.

– Teraz wezmę to, a jutro rano przyjdę do willi, żeby odebrać pieniądze.

– Nie! – wrzasnęła Hanna i próbowała wyrwać matce worek. – To nie są moje ziemniaki! One należą do łaskawych państwa. Oddaj mi je!

To było bezcelowe. Grete Weber przebiegła już na drugą stronę ulicy i szła teraz, kryjąc się za konną furmanką, wyładowaną beczkami piwa. Hanna o mały włos nie wpadła pod koła wozu.

– Jesteś ślepa i głucha, dziewczyno? – wrzasnął wściekły woźnica. – Te baby zawsze takie, że nie potrafią uważać, co robią!

Gdy furmanka wreszcie przejechała, jej matka już ukryła się gdzieś między domami. A nawet gdyby Hanna ją dogoniła, Grete Weber z pewnością dobrowolnie nie oddałaby jej worka, doszłoby do rękoczynów. Na pewno wymieni ziemniaki na wódkę, pomyślała zrezygnowana Hanna. Pójdzie do najbliższej knajpy i dobije targu. Jakie to straszne mieć taką matkę. Pocieszała się, że Else nie widziała tego zajścia, w przeciwnym razie opowiadałaby w kuchni, że Hanna pochodzi z nizin społecznych i że musi bardzo uważać, żeby nie trafić do rynsztoku. Kiedyś jej matka faktycznie była sumienną pracownicą. Co prawda było to dawno temu, ale Hanna wciąż dobrze o tym pamiętała. Wtedy to ojciec ciągle był pijany i wyżywał się na nich. Matka wstawiała się za dziećmi, a nawet zasłaniała je własnym ciałem przed biciem. Wtedy matka dorabiała jeszcze szyciem, aby posłać jej braci do szkoły. Z czasem jednak i Grete Weber zaczęła zaglądać do kieliszka i nie była w stanie wywiązać się ze swoich obowiązków w fabryce. Młody pan Melzer zatrudnił ją już tylko z litości jako robotnika pomocniczego.

Hanna zastanawiała się, co powinna zrobić w tej fatalnej sytuacji. Spojrzała na samochód i zobaczyła, że na platformie załadunkowej leżą już tylko puste worki. Mężczyźni pakowali właśnie wagę do dużej skrzyni, potem wnieśli ją do przyczepy, a sami wspięli się do szoferki. Silnik zawarczał i samochód powoli ruszył. Ludzie, którzy ociągali się z odejściem, musieli się odsunąć, żeby nie zostać przejechanym. Jak na razie nie jest źle, pomyślała Hanna. Mogła powiedzieć Else, że ziemniaków zabrakło i przez cały ten czas stała w kolejce na darmo. Niestety, problem polegał na tym, że nie miała pieniędzy, którymi zapłaciła za ziemniaki. Dwadzieścia cztery fenigi. Za to można było kupić chleb żytni. Albo dwa jajka. A nawet cały litr mleka...

Odwróciła się, zastanawiając, czy powinna pójść do mleczarni, żeby poszukać Else. Mogłaby tam tak czy inaczej postać przez kilka minut, bo deszcz przybrał na sile, jej chusta była cała przemoczona, krople wody spływały jej po plecach. Gdy postanowiła, że pójdzie szukać Else, znów napotkała, nie wiedzieć czemu, ten uporczywy wzrok. Rosyjski jeniec stał pochylony, w obu rękach trzymając łopatę. Głowę miał zwróconą w jej stronę. W jego spojrzeniu widać było, że nie rozumie sytuacji, którą obserwował, i jakiś rodzaj mimowolnego współczucia. Podążał za nią wzrokiem, gdy wchodziła do mleczarni, i dopiero gdy ktoś z wściekłością krzyknął na niego, wrócił do swojej pracy.

Ach, jeszcze i to, pomyślała Hanna. Najpewniej wyobraża sobie, że jakaś złodziejka ukradła mi ziemniaki. Jak dobrze, że nie wie, kim jest ta złodziejka – że to moja własna matka. A co mnie właściwie obchodzi, co myśli o mnie ten Rosjanin? Powinien mi być zupełnie obojętny. Co za bezczelny typ, skoro ciągle się tak na mnie gapił. Najlepiej by było, gdyby go zabrali z powrotem do Rosji, wtedy tam wybałuszałby gały na jakieś dziewczyny.

Już chciała wejść do mleczarni, gdy zobaczyła Else wychodzącą od rzeźnika. Podstarzała pokojówka – Else miała już ponad czterdzieści lat – stała na podeście przed sklepem i uśmiechała się naiwnie, jak zawsze wtedy, gdy rozmawiała z osobą, na której jej zależało. W istocie, dokładnie w tej chwili ze sklepu wyszła kobieta ubrana na czarno, w okropnie staromodnym kapeluszu. Czy ona nie знаła przypadkiem tego kapelusza? Oczywiście! Należał on do panny Schmalzler, która miała przywieźć pocztę do willi, dla łaskawej pani. Pół roku temu łaskawa pani pożyczyła Schmalzler swojej córce i od tej pory to ona zajmowała się prowadzeniem domu i nadzorowaniem pracowników Kitty. Auguste opowiadała, że w pięknej willi Bräuerów panuje wieczny bałagan. Służba cieszy się całkowitą swobodą, podczas gdy łaskawa panienka maluje albo młotkiem i dłutem obrabia marmurowe bloki, zamiast dbać o dom.

Schmalzler idealnie nadawała się do tej pracy. Hanna niespecjalnie lubiła byłą gospodynię, ale musiała przyznać, że przed okiem Eleonore Schmalzler nie mógł się ukryć żaden drobiazg i starała się sprawiedliwie traktować wszystkich. Nie oczekiwała wiele po Hannie. Kilka miesięcy temu powiedziała jej, że nie będzie z niej nigdy godnej zaufania służącej, i najpewniej miała rację. Hanna stała i patrzyła, jak Schmalzler rozkłada czarny parasol i plotkuje pod nim z Else. Na początku Schmalzler zapytała Else, co w ostatnim czasie wydarzyło się w willi. Pokojówka na pewno jej powie, że ta niezdarna dziewczyna, pomoc kuchenna, stłukła jeden z najcenniejszych kieliszków do szampana. Hanna westchnęła i starła z twarzy krople deszczu. Było zimno, a ubranie nie chroniło jej zupełnie przed wilgocią. Jak długo te dwie chciały tam stać i paplać? Czy Else zapomniała już o swoim mokrym bucie? Przynajmniej wydawało się, że ma dobry humor. Gdy pożegnała się ze Schmalzler głębokim ukłonem i, odwracając się z pełnym koszem, zauważyła Hannę, na jej twarzy widać jeszcze było pozostałości dobrego nastroju i uśmiechu. Ta wymiana zasłyszanych plotek i spostrzeżeń dobrze jej zrobiła.

– Ach, tutaj jesteś – powiedziała do niej, jakby musiała jej długo szukać. – A gdzie masz ziemniaki?

Hanna opowiedziała z przejęciem o tym, jak czekała w długiej kolejce i właśnie w chwili, gdy nadeszła jej kolej, mężczyzna stojący przy wadze oświadczył, że ma

wyjątkowego pecha, bo ziemniaki niestety już się skończyły. Else wciąż była w dobrym nastroju, więc potrząsnęła jedynie głową z dezaprobatą i zapytała, czy Hanna nie próbowała jakoś przepchnąć się do przodu. Nie była przecież w ciemię bita.

– Ludzie dobrze pilnowali! Gdy jakiś chłopak chciał się wepchnąć do kolejki, jakaś kobieta mocno go uderzyła.

– Och! – mruknęła Else i dodała, że głód zamienia ludzi w dzikie zwierzęta. Wręczyła Hannie ciężki kosz. – A worek połów na wierzchu, nie każdy musi widzieć, że mamy na dzisiaj świeże bułeczki.

No i to był prawdziwy problem. Worka nie było, bo zabrała go matka. Teraz brakowało tylko, żeby Else zapytała o pieniądze.

– Worek ja dał... ja go dałam...

Else aż stanęła ze zdumienia. To doprawdy skandal! Ta dziewczyna rozdawała przedmioty, które należały do łaskawych państwa!

– Dałaś go? Czyś ty już do reszty zgłupiała?

Sytuacja zrobiła się naprawdę niebezpieczna. Hanna musiała wymyślić coś mądrego, żeby się z tego wywinąć.

– Dałam worek takiemu biednemu kalece – powiedziała, ze wzrokiem łamiącym serce. – Kuśtykał między straganami i drżał z zimna. Nie miał w ogóle nóg, tylko dwa drewniane kikuty. Dałam mu więc pus-ty worek, żeby mógł go sobie zarzucić na ramiona...

Słowa Hanny były prawie tak poruszające jak historia świętego Marcina, który podzielił się z żebrakiem swoim płaszczem. Else pozostawała jednak sceptyczna. Gdy trzeba było wymyślić jakąś historię, fantazja Hanny nie miała wręcz granic. Else rozglądała się wokół, ale pomiędzy stoiskami nie zauważyła żadnego kaleki, jedynie młodą kobietę z dzieckiem, która oferowała ludziom kolorowe wojenne kartki pocztowe.

– No i gdzie jest ten twój kaleka?

– Już dawno sobie poszedł.

– Na tych kikutach, tak? Ale śmieszne! Ty wstrętna kłamczucho! Poczekaaj tylko, aż wrócimy do domu, wtedy dopiero powiem ci do słuchu! Zasłużyłaś na lanie!

Nie było to dobrze przemyślane wyjaśnienie, Hanna musiała to sama przed sobą przyznać. Było co prawda wiele kalek chodzących na drewnianych protezach, ale cała ta historia budziła zbyt wiele wątpliwości. Zrezygnowana pobięła za Else, która energicznym krokiem szła już w stronę bramy Jakoba i była przerażająco milcząca. No cóż, na pewno znów dostanie karę, pewnie potracą jej coś z pensji, a w dodatku musi jeszcze z niewielkiej sumy, którą oszczędziła, wziąć dwadzieścia cztery fenigi, o które, miała nadzieję, Else upomni się już w willi. Hanna była i tak gotowa przyjąć wszelkie kary i przykrości, byleby tylko nikt się nie dowiedział, co naprawdę się wydarzyło. I tak już bardzo się wstydyła za swoją matkę.

– Tylko sobie nie myśl, że dostaniesz jakąś bułeczkę! – Else znów zaczęła ją besztać. – One są dla państwa i dopiero gdy coś zostanie, inni mogą je zjeść.

Hanna milczała. Co właściwie mogła odpowiedzieć? Czuła wyraźnie zapach pysznych złotobrazowych bułeczek, mimo że leżały w papierowej torbie. Cóż to był za zapach! Biała mąka, trochę mleka, do tego sól i drożdże. Miękkie i pyszne. Zupełnie inne

niż twardy jak kamień ciemny żytni chleb, który, jak twierdziła kucharka, był pieczony z trocin.

– Każdy dostaje to, na co zasłużył – zakończyła Else szyderczo.

Najwyraźniej podobało się jej, że ma powód, żeby znów ukarać Hannę. Jak bardzo się do tego przyzwyczaiłam, pomyślała dziewczyna. I jakie to niesprawiedliwe! Nie zrobiłam nic złego!

Nagle jej lewa ręka zyskała własną świadomość. Sięgnęła do papierowej torby i wyjęła z niej bułeczkę. To, co się teraz działo, to było przecież okropne przestępstwo, okradała cesarza i ojczyznę. Ale Hanna nie potrafiła się powstrzymać. Schowała bułeczkę pod chustę, gdy przechodziły obok jeńców, naprawiających chodnik. Później jej ręka nagle przekręciła się pod chustą i okrągła, pyszna bułeczka zmieniła właściciela. Wszystko rozegrało się w mgnieniu oka i tylko dwie osoby o tym wiedziały: pomoc kuchenna Hanna Weber i młody Rosjanin, który schował ten cudowny dar pod swoją podartą kurtkę.

Sekretarka Ottilie Lüders dwukrotnie pukała do drzwi biura Paula i pytała, czy młody pan nie marznie i czy nie dołożyć drewna do pieca. Paul zaprzeczał z grymasem z zimna na twarzy – przecież nie miał odmrożeń. Na wyższym piętrze, w halach, gdzie pracownice stały całą dnię przy selfaktorach, też nie palono w piecu. Lüders stłumiła głębokie westchnienie i bez pytania postawiła filiżankę kawy zbożowej na jego biurku. Każdy człowiek w tak chłodny i ciemny zimowy poranek powinien się napić czegoś ciepłego.

– Zawsze współczująca panna Lüders, dziękuję! – powiedział Paul.

Pochylił się na krzesło, żeby krytycznie przyjrzeć się swoim rysunkom. Gdyby tylko żył ojciec Marie! Jacob Burkard z łatwością zaprojektowałby każdą maszynę! Potrząsnął głową i sięgnął po gumkę, żeby wprowadzić poprawki, kreślił przez chwilę, posługując się cyrklem oraz linijką, i przytaknął sam sobie z zadowoleniem. Nie był geniuszem jak ten biedny Burkard, miał jednak praktykę i nieźle potrafił prowadzić interesy. Poprosi jeszcze Bernda Gundermanna z przedzalni, żeby spojrzął na jego projekty. Gundermann przed wielu laty przeniósł się tutaj z Düsseldorfu. Pracował tam u Jagenbergów, którzy już wtedy produkowali włókno z papieru. Ogromne role papieru były cięte na paski o szerokości od dwóch do czterech milimetrów, które sklejano na końcach i zwijano jak nici. Te papierowe nici nadawały się do tkania materiału. Były to głównie grube materiały, używano ich do produkcji worków, pasów napędowych, taśm do spinania dużych przedmiotów, ale, jeśli zostały wzmocnione, można z nich było również szyć ubrania. Oczywiście nie były one zbyt wygodne, nie można ich było prac w tradycyjny sposób, a przekonywali się o tym przede wszystkim ci, którzy stali w nich długo na deszczu. Z powodu katastrofalnego braku innych materiałów promowano włókno papierowe jako dobrą formę zastępczą. Funkcjonowanie fabryki Melzerów od jakiegoś czasu stało pod znakiem zapytania. Gdyby więc udało się rozwinąć produkcję tych włókien... Delikatne pukanie do drzwi wyrwało Paula z zamyślenia.

– Paul?

Doznał dość nieprzyjemnego wrażenia. Dlaczego ojciec pukał? Zawsze przychodził do syna niezapowiedziany, kiedy miał na to ochotę.

– Tak, tato? Mam wyjść do ciebie?

– Nie, nie.

Drzwi się uchyliły, później powoli się otworzyły i Johann Melzer wszedł do środka. Od ataku serca, który przeszedł dwa lata temu, był wychudzony, jego włosy były białe jak śnieg, a ręce drżały. Kryzys w fabryce, trwający już od ponad roku, sprawiał, że było mu niezwykle ciężko na sercu. Zwłaszcza że początek wojny okazał się bardzo pomyślny dla interesów, z bawełny i wełny produkowano materiały odpowiednie na mundury. Było to niezwykle ważne przedsięwzięcie i powód, dla którego młody dyrektor Paul Melzer zdołał uniknąć powołania do wojska.

– Przyszła do ciebie poczta, Paul.

Melzer wyciągnął list, a potem położył go na biurku syna, w miejscu, do którego dochodziło jeszcze światło lampy biurowej. Następnie cofnął się o krok. Paul patrzył na adres nadawcy. Magistrat Miasta Augsburga, urząd komunalny. Coś w jego wnętrzu wzbraniało się z całych sił, by uwierzyć w taką przewrotność losu. Czemu właśnie teraz? Gdy tak bardzo się cieszył, że Marie urodziła bez problemów. Gdy snuł plany na przyszłość.

– Kiedy to przyszło? – zapytał i podsunął pismo do lampy, żeby odszyfrować stempel na znaczku pocztowym. To nie mogło przyjść dzisiaj, bo było dopiero kilka minut po ósmej, a listonosz przychodził z pocztą do fabryki około dziewiątej.

– Przedwczoraj – odparł głucho ojciec. – Ale w wirze ostatnich zdarzeń zapomniałem ci to dać.

Szybki rzut oka na zmiętą twarz ojca kazał Paulowi wątpić w prawdziwość jego słów, ale nic nie powiedział. Sięgnął po srebrny otwieracz do listów, rozciął kopertę i wyciągnął pismo. Przez chwilę łudził się nadzieją, że to może być jakiś zwykły wniosek władz urzędu komunalnego dotyczący pracowników fabryki. Zanim jednak zdołał rozłożyć pismo, rzucił mu się w oczy napis wytłoczony tłustym drukiem *Powołanie do walki na froncie*. Krótko i jasno poinformowano go, że w tę środę, dziewiątego lutego, ma się stawić na przeszkolenie wojskowe. Jego uprzywilejowana pozycja dyrektora fabryki tekstylnej właśnie przestała mieć znaczenie. A to, że dwa dni temu został ojcem i będzie musiał zostawić swoją żonę samą – kogo to obchodziło?

W pomieszczeniu panowała absolutna cisza, ani Paul, ani jego ojciec nie byli w stanie wypowiedzieć choćby najprostszycy słów, które zazwyczaj towarzyszyły otrzymywaniu tego typu wezwań. Przecież to zupełnie oczywiste i sprawiedliwe, że każdy powinien wypełnić swój patriotyczny obowiązek. Z pewnością powinien się cieszyć, że może bronić swojego kraju i cesarza, podczas gdy Marie sama zajmie się wychowaniem bliźniaków. Okazywanie tchórzostwa, gdy inni poświęcili swoje życie na ołtarzu ukochanej ojczyzny, byłoby przecież hańbą.

– Jutro – powiedział Paul z odrobiną wisielczego humoru. – Musiałeś mi przynieść to pismo w odpowiednim momencie, prawda?

Jego ojciec kiwnął głową i odwrócił się. Podeszedł do okna i patrzył w dół, na puste podwórze fabryki, oświetlone przez lampy elektryczne. Było już prawie jasno, światła zaraz zostaną wyłączone.

– Zadzwoń do doktora Greinera, dzisiaj po południu możesz z nim porozmawiać.

Paul westchnął z irytacją. Ciekawe, jakie oszustwo zaplanował za jego plecami.

– Jak mógłby mi pomóc?

– Może wystawić zaświadczenie, że cierpisz na chorobę serca. Albo że masz problemy z płucami. Wtedy nie zostaniesz wysłany na front, Paul. Potrzebujemy cię tutaj.

Paul potrząsnął głową. Jeśli już ma stanąć do walki, to naprawdę, a nie jak tchórzliwy oszust. Poza tym sytuacja niemieckiej armii nie była obecnie niekorzystna. We Francji panowała chwilowa stagnacja, ale Rosja była bliska ogłoszenia kapitulacji.

– Oczywiście jeśli można wierzyć doniesieniom z frontów – powiedział Johann Melzer dziwnym tonem.

Paul złożył wezwanie, wsadził do koperty i włożył do wewnętrznej kieszeni marynarki. Stało się tak, a nie inaczej. Teraz trzeba było zrobić to, co wydawało się najlepsze w tej sytuacji. Nie był jedyny. Setki, a nawet tysiące młodszych jeszcze mężczyzn z całej Europy musiało pójść tą drogą. Dlaczego on, Paul Melzer, miał być w wyjątkowy sposób chroniony?

– Ojciec, zostanę tu do południa, aby dokończyć swoją pracę – powiedział ze spokojem, który zaskoczył nawet jego samego. – Popołudnie i wieczór chciałbym natomiast spędzić z żoną i dziećmi.

Johann Melzer przytaknął. Stwierdził, że doskonale to rozumie.

– Nie martw się, synu. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebym znów samodzielnie zajął się fabryką. Przeciwnie, to mi doda młodzieńczego wigoru, cieszę się z tego powodu.

– Chciałem zlecić budowę maszyny tnącej papier, ojciec. Przecinarki papieru. Według tych tutaj planów. A do tego stworzenie specjalnej przędzarki, która zwijałaby paski papieru jak nici. Zobacz – tak będzie wyglądać...

Paul dobrze wiedział, że ojciec nie pochwalał mody na te głupie papierowe materialiki. Nici tką się z wełny, jedwabiu, bawełny oraz lnu – nigdy z papieru ani ligniny. On, Johann Melzer, nigdy nie zniżyłby się do tego, żeby tkąć tanie zamienniki, które się rozpruwają przy mocniejszym szarpnięciu. W Bremie widział, że przywieziono z kolonii kilka ładunków bawełny, ale te dranie zatrzymały cały towar dla siebie, żeby produkować materiały we własnych fabrykach.

– Zobaczymy.

– Jeśli wojna potrwa dłużej, jest to nasza jedyna szansa, ojciec.

Paul postanowił, że doprowadzi tę sprawę do końca, jak zaplanował. Gdy tylko ojciec opuścił biuro, zawołał do siebie Lüders, żeby podyktować jej kilka ważnych pism. Chodziło o to, by wynegocjować korzystne ceny za papier i ligninę oraz żeby mieć stały dostęp do dobrego towaru. Otilie Lüders napisała na maszynie, sprawnie jak zawsze, wszystkie listy i przygotowała do wysłania.

– Czy powinnam zostawić je na biurku pańskiego ojca?

Lüders umiała przewidzieć każdą sytuację. Oczywiście wiedziała, że już jutro go tutaj nie będzie. Prawdopodobnie jej koleżanka, Hoffmann, podsłuchiwała pod drzwiami. Lüders nie była do tego zdolna. Obie sekretarki musiały się pogodzić z cięciem płac, tak zresztą jak wszyscy pozostali pracownicy fabryki, nie tylko ci fizyczni. Przede wszystkim ze względu na nich nie chciał opuszczać swojego stanowiska. Czuł się odpowiedzialny za tych ludzi, musiał zdobyć nowe zlecenia dla fabryki, znaleźć nowe sposoby, by dać im pracę i chleb. Tak się złożyło, że obecnie zatrudniali niemal wyłącznie kobiety. Nieliczni mężczyźni, którzy zostali w fabryce, byli albo za starzy do walki na froncie, albo do niej niezdolni. Kobiety musiały wyżywić rodziny, wiele z nich już było wdowami, a inne często nie wiedziały, co dzieje się z ich mężami. Żadnych wiadomości, żadnych telegramów z frontu – jakby przepadli bez wieści.

Paul nie chciał się zastanawiać, co będzie dalej. Kochał Marie, byli małżeństwem dopiero od roku. Wierzył, że Bóg ocali jego i jego rodzinę.

Potem Paul zawołał do siebie Bernda Gundermanna, by porozmawiać z nim o swoich planach konstrukcyjnych. Okazało się jednak, że mężczyzna miał słabą pamięć.

Przypominał sobie jedynie mglisty zarys wielkich maszyn używanych u Jagenbergów. Może przypomniałby je sobie lepiej, gdyby zobaczył je już gotowe. Na rysunkach technicznych się nie znał. Odpowiadał skwapliwie na wszystkie pytania Paula, ale potem odszedł, kuśtykając, z wyraźną ulgą. Gundermann stracił w wypadku wszystkie palce prawej stopy i został zwolniony ze służby w wojsku. Poza tym miał już prawie pięćdziesiąt lat.

Koło południa Paul uporządkował rzeczy na swoim biurku, zrobił kilka notatek dla ojca i pożegnał się z Lüders oraz Hoffmann. Obie kobiety miały taki wyraz twarzy, jakby uczestniczyły w pogrzebie, trzymały się jednak dzielnie, gdy ścisnął im dłonie na pożegnanie. Dopiero gdy schodził ze schodów, usłyszał ich szlochy. Kiedy zszedł na dolny korytarz, podeszło do niego dwóch pracowników działu finansowego, a także Mittermayer i Huntzinger z przedzalni – chcieli raz jeszcze życzyć mu powodzenia. Potem przyszło kilka kobiet z tkalni, które tkwały ręcznie najprawdopodobniej ostatnie już koce z prawdziwej wełny. Przy bramie pełnił służbę stary Gruber. Łzy płynęły mu po rumianej twarzy. Niesamowite, w jakim tempie rozchodziły się wieści w fabryce. I jak bardzo wszyscy darzyli go zaufaniem. Mimo zwolnień i cięć budżetowych, które był zmuszony przeprowadzić.

Pobiegł do willi, nie zważając ani na tnący deszcz, ani na lodowaty wiatr, który próbował zrzucić mu kapelusz z głowy. Dowody przywiązania pracowników z jednej strony mocno go poruszyły, z drugiej sprawiły, że poczuł się nieswojo, uczestnicząc w tak smutnym, łzawym pożegnaniu. Zamierza przecież wrócić tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. W dodatku cały i zdrowy. Był tutaj potrzebny.

Marie czekała na niego w holu, przy głównym wejściu, i wybiegła mu naprzeciw, gdy tylko wszedł. Tak pięknie wyglądała, tak kwitnąco... W jej oczach dostrzegł nieznaną mu dotąd rodzaj czułości. Objął ją mocno.

– Wszystko w porządku, kochanie? Jesteś dzisiaj piękniejsza niż kied...

Milczała i przytuliła się mocniej do niego. Chciała, żeby wyraźnie poczuł jej ciało, które za sprawą ciąży stało się teraz krągłejsze, bujne.

– Ojciec powiedział mi dzisiaj rano, Paul. To straszne, zwłaszcza teraz. Musimy jednak przyjąć wszystko, co zsyła nam Bóg.

Trzymał ją w ramionach i cieszył się, że jest taka opanowana. W przeciwnym razie sam nie byłby w stanie opanować łez. Czuł bardzo wyraźnie, co traci. Ukochaną żonę, którą tulił teraz do swego serca, wiedząc, że opuszcza ją na bardzo długo, a być może na zawsze.

– Chodźmy na górę, mój skarbie. Chciałbym przez chwilę pobyc tylko z tobą.

Trzymając się za ręce, szli po schodach, skradali się korytarzami jak dwoje złodziei i wreszcie przemknęli na drugie piętro. Paul otworzył pokój Kitty, który, odkąd wyszła za mąż, stał pusty i pełnił funkcję pomieszczenia dla gości. Wyczerpana szybkim marszem po schodach, Marie położyła się na jasnoniebieskiej sofie Kitty, a Paul usiadł przy niej. W milczeniu objął ją ramionami i zaczął całować. Nie umiał się powstrzymać, jakby wierzył, że w tej jednej chwili może okazać jej całą ogromną czułość, którą ją darzył. Na dole mama wołała Auguste – chciała wiedzieć, czy pan dyrektor i młody pan już przyszli. Nie usłyszał, co odpowiedziała pokojówka, i nie miało to dla niego znaczenia.

– Jestem z ciebie dumny, Marie – wyszeptał jej do ucha. – Jesteś taka silna. Taka wytrzymała. Uwierz mi, wewnątrz mnie szaleje wściekły sztorm. Nie potrafię pogodzić się z przeznaczeniem i jedyne, czego pragnę, to móc zostać przy tobie.

– Kiedy się dowiedziałeś? – zapytała.

– Kilka godzin temu...

– Trzymali to przed nami w tajemnicy.

Usłyszał w jej głosie pretensję. Potrząsnął zdecydowanie głową.

– Oni to zrobili dla naszego dobra, Marie. Dlatego nie jestem zły na ojca.

– Cóż, pewnie masz rację...

Z lekkim niepokojem zauważył, że Marie ściągnęła ciemnobrązowe brwi, jak zawsze, gdy coś się jej nie podobało. Nie lubiła apodyktycznej natury jego ojca, wielokrotnie się mu przeciwstawiała i Paul musiał zazwyczaj między nimi pośredniczyć. Marie miała teraz zostać sama, bez jego wsparcia, i mógł tylko mieć nadzieję, że będzie wystarczająco mądra, żeby nie prowokować ojca.

– Ojciec tak bardzo cieszy się z wnuków, Marie. Nie mogłaś mu sprawić większej radości!

– Ja? – zapytała, patrząc na niego kokieteryjnie. – Sądziłam, że ty też brałaś w tym udział.

– Tak bez wątpienia było.

– Nawet jeśli twój udział był maleńki – dodała.

– Nie taki znowu mały, moja słodka.

– Bardzo mały.

Pokazała kciukiem i palcem wskazującym długość nie większą od długości szpilki. Paul uniósł głowę i zmarszczył czoło.

– Mały, ale za to jak ważny! – ogłosił z triumfem.

– Jak moneta wrzucona do automatu.

Jaka ona była zuchwała, jego słodka żona. Sprawiała nawet, że zaczął się śmiać. A potem nakłoniła go, żeby za karę przyciągnął ją mocno do siebie i całował ją tak długo, aż zacznie prosić o litość.

– To jak duży jest mój udział? – chciał wiedzieć, gdy ona jęknęła, że zaraz ją udusi.

– Imponujący, kochanie.

– Imponujący? To za mało!

– Paul, przestań... ja naprawdę nie mogę złapać oddechu... Paul. Mój kochany...

Najukochańszy... Ojciec moich dzieci.

Próbowała go z siebie zepchnąć, położyła obie ręce na jego klatce piersiowej, żeby go odepchnąć, ale jej się nie udało. Uwielbiał tę grę jego niepokornej Marie, jego bezczelnej, słodkiej, mądrej, ale czasami okropnie upartej żony. Jak często robili wręcz niewiarygodny bałagan w sypialni! A potem, zanim wyszli z pokoju, skrupulatnie sprząтали, żeby nie dać Else i Auguste powodów do plotek.

– Powiedz to... Bo cię nie puszcze! – dyszał, znów przyciskając ją mocniej do siebie.

– Twój udział jest ogromny, mój panie. Nieskończony. Wielki jak ocean albo wszechświat... Teraz wystarczy? Czy może chciałbyś zostać nazwany Bogiem Ojcem?

– To by przecież nie zaszkodziło.

– To by ci bardzo odpowiadało.

Przejechała palcami po krótkich włosach na jego karku, a on zadrżał, bo ten delikatny dotyk zupełnie go obezwładnił. Jak złośliwy był los, że nie pozwalał mu spędzić choćby jednej namiętnej nocy z Marie. Jego wysyłał na front, gdy ona wciąż jeszcze była w połogu. Pozostaną mu więc jedynie wspomnienia, a wiedział już teraz, że przyniosą mu one tyle samo szczęścia, ile bólu.

– Ach, Paul – powiedziała cicho, opierając się na jego ramieniu. – Jak jesteśmy teraz głupi i naiwni. Dwoje dzieci, które z tęsknotą wtulają się w siebie. A powinniśmy być teraz bardzo rozsądni. Przekazać sobie najważniejsze sprawy. Nie zapomnieć, co jeszcze powinniśmy sobie powiedzieć. Teraz i na przyszłość...

– To co chciałabyś mi powiedzieć, moja mądra Marie?

Wydawało mu się, że szlocha, ale gdy podniosła wzrok, zobaczył uśmiech na jej twarzy.

– To, że cię kocham... nieskończenie. Bezgranicznie... Na zawsze, jak długo tylko będę żyła.

– To najmądrzejsza i najważniejsza rzecz, jaką dzisiaj powiedziałaś, moja kochana. Chciała zaprzeczyć, ale nie pozwolił jej dojść do słowa.

– I wyobraź sobie, że czuję dokładnie to samo.

– W takim razie na tym poprzestańmy, najdroższy.

W milczeniu obejmowali się, zamknęli oczy i wsłuchiwali w otulającą ich ciszę. Nie docierał do nich żaden dźwięk, nawet tykanie zegara. Upływający czas stracił na sile. Przez te kilka chwil, gdy ich oddechy połączyły się w tym samym rytmie, a serca biły do jednego taktu, wydawało się zupełnie niemożliwe, że mogliby siebie stracić.

– Łaskawy panie? Czy jest pan tam?

Pukanie Else przerwało szczęśliwy beczas i sprowadziło ich z powrotem na ziemię, do codziennych trosk.

– Łaskawa pani prosiła, żeby zapytać, czy przyjdą państwo do stołu.

Paul dostrzegł rozgniewany wzrok Marie i z czułością położył jej palce na ustach.

– Dziękuję, Else. Zejdziemy na dół.

Rodzice siedzieli już przy stole. Ojciec przyjął ich wejście z widocznym wyrazem dezaprobaty, matka natomiast uśmiechnęła się ze zrozumieniem i z troską.

– Krupnik? – powiedział Paul z udawanym zadowoleniem, rozkładając serwetkę. – I to nawet z kluseczkami nadziewanymi szpikiem! No to życzę wszystkim smacznego!

Podziękowano i Alicia wzięła od Else chochlę, by dzisiaj własnoręcznie nalać stołownikom zupę. Oczywiście matka już wiedziała, gdy na nią spojrzał, domyślił się, że płakała. Służba również była z nowinami na bieżąco. Widać to było po grobowej minie Else oraz po tym, że Brunnenmayer postarała się, żeby ugotować jego ulubione danie. Kluseczki ze szpikiem kostnym uwielbiał od dzieciństwa.

– Kitty zapowiedziała się na dzisiaj wieczór – zakomunikowała Alicia, zwracając się do Paula. – Elisabeth też przyjdzie. Mam nadzieję, że nie przeszkadza to wam dwojgu...

Marie spojrzała na Paula wymownie i powiedziała, że cieszy się bardzo z wizyty

obu szwagierek. Przede wszystkim z przyjścia Kitty, która zawsze wnosi sporo zamieszania i radości.

– Kucharka upiekła ciasto i przygotowała nawet sałatkę śledziową.

Rozmawiali przez chwilę o Brunnenmayer, która okazywała się prawdziwą czarodziejką. Z niewielkiej ilości dostępnych składników potrafiła przygotować niezwykle smaczne potrawy. Gdy Else wniosła główne danie – pieczeń wieprzową z knedlami i musem jabłkowym – najpierw zapanowała niezręczna cisza. Słysząc było dźwięk stawianych talerzy, a Johann Melzer uniósł kieliszek z winem i wszyscy napili się bez słowa. Wreszcie Alicia odważyła się przerwać milczenie.

– Spakowaliśmy kilka rzeczy, Paul. Te, których możesz potrzebować. Po obiedzie zerknij, proszę, na nie i sprawdź, czy o niczym nie zapomnieliśmy.

– Dziękuję, mamó.

Nikt już nie potrafił się cieszyć pięknie przyrządzoną pieczenią wieprzową. Paul przeżuwał ją bezmyślnie i nawet wziął drugą porcję, ale tylko po to, żeby nie sprawić przykrości Brunnenmayer. Jutro o tej porze rodzina będzie siedziała przy stole bez niego. Dlaczego mieliby zostać potraktowani lepiej niż inne rodziny? Ojciec przyjaciółki Elisabeth, Serafina, pułkownik von Sontheim, został zabity dwa tygodnie temu, podobnie jak wcześniej jej brat. Zginęli też trzej synowie dyrektora Wieslera. Herrmann Kochendorf z magistratu został wezwany na front. Mówiono, że leży ciężko ranny w szpitalu polowym w Belgii i nawet jego ogromny majątek na nic się nie zdał. Adwokat doktora Grünlinga walczył gdzieś w Rosji i nie było o nim żadnych wieści, co zawsze uznawano za zły znak. Tak wielu młodych mężczyzn, którzy jeszcze dwa lata temu tańczyli radośnie na balach w willi Melzerów i zalecali się do zachwycającej Kitty Melzer, leżało gdzieś w ziemi wroga, a ich rodzice nie wiedzieli nawet, gdzie znajduje się ich grób.

– Czy wiadomo cokolwiek o Humbercie? – zapytał Paul, by przerwać to straszne milczenie w ponurej atmosferze.

– O tak! – zawołała Marie. – Zupełnie o tym zapomniałam. Wyobraź sobie, Paul, że przysłał Brunnenmayer kartkę pocztową z frontu. Utknął gdzieś w Belgii przy robieniu posiłków, ale musi też pielęgnować konie i czyścić ich boksy.

Wszystkich to rozbawiło. Lokaj Humbert był niezwykle wrażliwy, widok pająka doprowadzał go do hysterii, jego ubrania były zawsze nieskazitelnie czyste, a buty świeżo wyczyszczone. Praca przy koniach z pewnością nie była dla niego przyjemnym zajęciem.

– Dziwny z niego chłopak – powiedział Johann Melzer. – Ale jakoś to przetrwa, jestem tego pewien.

Paul ucieszył się, gdy obiad wreszcie dobiegł końca. Nikogo nie zachwylił nawet smak pysznego budyniu waniliowego z syropem malinowym. Nastrój panujący przy stole był po prostu przytłaczający. Gdyby Kitty już tutaj była. Popołudnie i część wieczoru musiał spędzić z rodzicami i siostrami. Dopiero potem będzie mógł pobyć sam z Marie oraz dwójką ich małych dzieci.

– Co powiedziała akuszerka? – słyszał, jak jego matka cicho pyta w korytarzu.

– Jest zupełnie zdrowy – odpowiedziała Marie ścisłym głosem. – Tylko bardzo mały. Musi dużo jeść.

– Myślałam już o zatrudnieniu odpowiedniej pielęgniarki. Jutro rano przyjdą się przedstawić trzy kobiety...

Nagle Paula naszły obawy, że jego syn może umrzeć. Był zbyt mały, najpewniej nie chciał pić mleka, jak mógł przeżyć? Dlaczego mama umówiła pielęgniarki dopiero na jutro rano? Czy dzisiaj nie musiał jeść? I dlaczego Marie go nie karmiła? Otworzył drzwi do czerwonego salonu, gdzie Else podawała prawdziwą kawę, a potem poszedł schodami na górę, do sypialni, w której była Marie.

– Marie?

Wspiął się bardzo szybko, a wyszła mu naprzeciw Auguste, która chwilowo była opiekunką jego dzieci. Minionej nocy powierzono jej opiece bliźniaki i nie było żadnych problemów.

– Wszystko jest w porządku, łaskawy panie – powiedziała, dygając. – Łaskawa pani karmi je teraz piersią, będzie lepiej, jeśli łaskawy pan nie będzie przeszkadzał.

– A co z chłopcem? Czy już pije mleko?

– W końcu na pewno będzie pił.

Odpowiedź Auguste wcale go nie uspokoiła, ale zrozumiał, że niewiele może zrobić, i zszedł z powrotem na dół. W holu na dole czekał na niego ojciec i zaprosił go do gabinetu, gdzie na sofie były porozkładane potrzebne rzeczy: bielizna, skarpety, płaszcz przeciwdeszczowy, latarka z zapasem baterii, ciepła kamizelka, porządny nóż na łańcuszku, pudełko z przyborami do szycia i zapasowymi guzikami, pistolet Browninga, cukier, czekolada, ciepłe buty, rękawiczki.

– Jeśli czegoś brakuje, będziemy ci dosyłać – powiedział ojciec.

Paul wpatrywał się w te rzeczy i dopiero teraz stało się dla niego jasne, że cały swój dobytek będzie musiał nosić na plecach. Nie będzie już ciepłego pieca, miękkiego łóżka i codziennych kąpieli. Od jutra nie będzie traktowany lepiej niż jego najbiedniejszy pracownicy, nie był przecież oficerem, lecz szeregowym żołnierzem. W osobliwy sposób spodobała mu się myśl, że będzie znosił najróżniejsze trudy, że będzie maszerował całymi dniami – trzydzieści, pięćdziesiąt kilometrów dziennie. Dane dotyczące przemarszów niemieckiej armii były dość przerażające. Stanie się silniejszy, pozna swoje granice i jeśli będzie musiał, to je przekroczy, ale będzie walczył, żeby zapewnić bezpieczeństwo swojej niemieckiej ojczyźnie i swojej rodzinie. Musiał zachować głęboko w sobie tę myśl, bo to ona pomoże mu przejść przez grad kul, znosić wszelkie trudności i odnaleźć sens w swoich czynach i w wojennych zdarzeniach. To będzie czas wielkiej próby. Kiedy wróci – a oczywiście miał zamiar wrócić – będzie już kimś innym.

Usłyszał nagle dobiegający z holu, jak zawsze pełen ekscytacji, głos Kitty, a potem odezwała się Elisabeth, z czegoś wyraźnie niezadowolona, i wreszcie mama, która i tym razem starała się zapobiec kłótni między swoimi córkami.

– Daj mi spokój z tymi twoimi ciągłymi kazaniami, Lisa! – krzyczała Kitty. – Nie obchodzi mnie, co napisał twój nie wiadomo jak ceniony pan major, twój mężuś. Zwycięstwo, zwycięstwo i zawsze zwycięstwo! I gdzie ono jest, to zwycięstwo? Nigdzie go nie ma. To tylko kłamstwa i głupie brednie...

– Jak możesz o tym mówić w tak haniebnym sposobie, Kitty! To przecież zdrada cesarza i ojczyzny, kpina z dzielnych żołnierzy, którzy na polu chwały zakończyli życie.

Zwycięstwo jest w zasięgu ręki, Klaus tak napisał. A on zawsze wie, co mówi.

– Proszę cię, Elisabeth – wtrąciła się Alicia. – Nie ekscytuj się tak. Szczególnie dzisiaj wy dwie nie powinnyście...

– Ach, teraz oczywiście wszystko znowu moja wina. Mogłam się tego domyślić.

Paul spostrzegł, że ojciec uśmiecha się nieco rozbawiony tą sprzeczką. Lubił spontaniczną naturę Kitty, nawet jeśli bardzo rzadko to przyznawał.

– Mnie jest naprawdę zupełnie obojętne, czy wygramy, czy przegramy – ogłaszała dalej Kitty. – Po co nam właściwie ta Francja? Ja jej zupełnie nie potrzebuję! A tej brudnej Rosji to już ani trochę. A wszystkie kolonie też bym im chętnie oddała, gdyby tylko mój kochany, biedny Paul mógł z nami zostać. Już i tak zabrali mi mojego Alfonsa, więc z przyzwoitości mogliby mi zostawić chociaż Paula. Przestań przewracać oczami, Lisa! Już będę cicho, mam. Tak jak obiecałam, będę cicho. Jak myszka. Spokojna i cicha. – Przerwała na sekundę i kontynuowała: – Masz może chusteczkę, Lisa? Musiałam gdzieś zgubić swoją.

Matka zaprowadziła obie do ogrodu zimowego, gdzie podano kawę i zaraz miało zostać przyniesione ciasto. Paul spojrzał na zegarek – była czwarta po południu. Zostało mu jeszcze piętnaście godzin. Dlaczego czas płynął tak wolno? Wszystkie te rozmowy, te pożegnania, ten przymus, by zachowywać spokój, żeby nie okazywać lęku – to było tak strasznie męczące! Pamiętał, jak żegnano niektórych jego przyjaciół z młodości, którzy w pierwszym roku wojny zgłosili się jako ochotnicy. Wojna dopiero się zaczęła, wszyscy byli pełni entuzjazmu i nie mogli się doczekać, kiedy rzucą się na wroga. Dwóch jego szkolnych kolegów zostało uznanych za niezdolnych do walki z powodu fizycznej niepełnosprawności – och, jakże byli wściekli! Inni świętowali w podnieceniu powołanie do służby. W środku nocy z pochodniami maszerowali ulicami Augsburga i wykrzykiwali *Straż na Renie*¹. Paul był wtedy z nimi i zarażony ogólnym entuzjazmem, szczerze żałował, że nie idzie z kolegami na wojnę.

– Kochany Paul!

– Proszę, Kitty! – krzyknęła Alicia. – Musimy być opanowani i...

Było już na to za późno. Uczucia Kitty były silniejsze od jakichkolwiek obietnic i dobrych intencji. Ledwie Paul pojawił się w ogrodzie zimowym, ona już szlochała, przytulona kurczowo do jego piersi.

– Nie oddam cię! Będę cię trzymać bardzo mocno, Paul. Muszą mnie porozrywać na kawałki, jeśli chcą cię zabrać!

– Nie płacz, Kitty – wyszeptał jej do ucha. – Pomyśl o dziecku, które nosisz w swoim łonie. Wrócę niedługo, siostrzyczko.

Musiał dać jej swoją chusteczkę i poczekać cierpliwie, aż wysmarka nos i wytrze łzy. Potem podprowadził ją do wiklinowego fotela, na który osunęła się natychmiast, wyczerpana. Marie przysła ubrana w luźną sukienkę z białej, bawełnianej koronki, wełniany szal narzuciła na ramiona. Wyglądała na zaniepokojoną.

– Czy z maleństwami wszystko w porządku? – zapytał Paul.

– Młode matki zawsze na początku są pełne obaw – wyręczyła ją w odpowiedzi Alicia. – Wszystko w jak najlepszym porządku, synu.

Godziny mijały w żółtym tempie. Jedzenie cias-ta, picie kawy, wysłuchiwanie

wywodów Elisabeth o rychłym zwycięstwie ukochanej ojczyzny, widok załamanych oczu Kitty, przypominających jedną wielką ranę, uśmiech Marie, w którym kryło się tyle troski i niepokoju. A do tego pełne przekonania słowa ojca, że niedługo uda się kupić bawełnę, blada twarz mamy i jej usilne starania, by niczym syna nie martwić. Około piątej przyszedł stary Sibelius Grundig, który prowadził atelier fotograficzne na Maximilianstraße. Alicia zamówiła u niego zdjęcie rodzinne na pamiątkę. Rodzina ustawiła się zgodnie z życzeniem fotografa: Paul pomiędzy matką i Marie, obok niej ojciec i Kitty, a Elisabeth po drugiej stronie z miną, która mówiła: jestem tutaj tylko piątym kołem u wozu.

Wieczorem przyszła jeszcze z krótką wizytą Schmalzler. Uścisnęła dłoń Paula i życzyła mu błogosławieństwa Bożego. Przed laty przyjechała z Pomorza z młodą Alicją von Maydorn jako jej pokojówka, potem dość szybko została gospodynią Melzerów w Augsburgu i wychowała trójkę ich dzieci. Paul zawsze był jej ulubieńcem.

Po kolacji – czy naprawdę chciano, żeby pękł z przejedzenia? – poprosił wszystkich, by pozwolili mu pozostałe godziny spędzić z żoną i dziećmi. Nikt nie protestował, siostry ucałowały go na pożegnanie, a Kitty kazała mu jeszcze obiecać, że co najmniej trzy razy w tygodniu będzie im wysyłał wiadomości. Było już po ósmej, gdy wreszcie przyszedł do sypialni Marie. Położyła się już do łóżka. Usiadła teraz między poduszkami, spojrzała na niego z poważną miną i powiedziała:

– Chodź tu do mnie, mój kochany.

Ściągnął bonzurkę i buty, po czym wsunął się do jej łóżka, pod kołdrę, objął ją mocno i wdychał jej cudowny, tak dobrze mu znany zapach. Jej włosy, lawendowy zapach koszuli nocnej, miękka skóra, niewielkie wgłębienie pod podbródkiem, które tak bardzo lubił dotykać ustami. Nie, to nie będzie prawdziwa namiętna noc, to było niemożliwe, ona urodziła dopiero przedwczoraj. Ale to, że może ją trzymać w ramionach, czuć siłę spokoju, która kryje się w tym delikatnym ciele, to było właśnie to, do czego tęsknił dzisiaj przez cały dzień.

– Tak powinno być zawsze między nami, Marie – wyszeptał. – Na wieczność. Ty i ja tak bardzo blisko. I nic, co mogłoby nas rozdzielić.

Z pokoju obok dochodziło do nich popiskiwanie, cienkie, słodkie głosiki. Usta Marie zaczęły szukać jego ust, wymieniali pocałunki, a on poczuł jej narastającą tęsknotę i żałował coraz mocniej, że nie może jej zabrać ze sobą. Jakże zmieniło się jej ciało! Dotychczas była dziewczęco smukła, a teraz przypominała słynne rzeźby Wenus.

– Jesteś taka piękna, kochanie! Szaleńczo cię pragnę!

Zaczął rozpinąć guziki jej koszuli nocnej, żeby przynajmniej móc pieścić jej piersi, ale rozpiął jedynie dwa, a ona mocnym uściskiem powstrzymała jego dłoń.

– Poczekaj, kochanie...

– Co się dzieje?

Odsunęła się od niego i usiadła. Nasłuchiwała kwilenia dochodzącego z sąsiedniego pokoju.

– Auguste nie jest z dziećmi?

– Oczywiście, że jest.

Dopiero co kolejny raz podziwiał swoje potomstwo. Zabawnie małe: dwie

główek, dwie pary dość dużych usteczek, cztery tycie piąstki. Ten maluszek w niebieskiej czapeczce jest jego synem. Leopold, Leo.

– Jak lew to on jednak nie ryczy – zażartował i próbował położyć Marie na łóżku. Ona odsunęła go jednak i wstała.

– Lepiej pójdę sprawdzić. Zaraz do ciebie wrócę.

– Dobrze. Oczywiście.

Wyszła tanecznym krokiem, bardzo się śpiesząc, i zamknęła za sobą drzwi, żeby nie zakłócać jego spokoju. On jednak chciał być teraz przy niej. Siedział przez chwilę na łóżku i czekał. Wciąż było słyhać ciche kwilenie z sąsiedniego pokoju, więc matczyne wysiłki Marie najpewniej nie przyniosły żadnego rezultatu. W końcu wstał z głębokim westchnieniem, skorzystał z łazienki, włożył piżamę i pełen nadziei wrócił do sypialni. Ich małżeńskie łóżko było nadal puste.

– Marie?

Brak odpowiedzi. Zniecierpliwiony nacisnął klamkę drzwi prowadzących do sąsiedniego pokoju i jak najciszej je otworzył. Marie, jego słodka Marie, jego ukochana, wspaniała silna żona, siedziała na krześle z wyciągniętą prawą pierśią i próbowała włożyć różowy sutek w szeroko otwarte usteczka malucha ubranego w niebieską czapeczkę.

– Myślę, że on jest strasznie głodny – powiedziała z troską. – Nie wie jednak, jak zacząć ssać.

Paul patrzył na jej starania z mieszanymi uczuciami. Oczywiście był szczęśliwy, że ma syna. I córkę, która najwyraźniej była mądrzejsza od brata, bo spała najedzona i szczęśliwa w kołysce. Niezwykle dziwne było natomiast uczucie, że musi dzielić się słodkim ciałem Marie, jej pięknymi piersiami, ze swoim potomstwem. Do tego, jako mężczyzna, musiał się dopiero przyzwyczaić. Zwłaszcza że zostało mu zaledwie kilka godzin, które mógł spędzić u boku swojej ukochanej.

– A czy Auguste nie może ich karmić? Sama ma przecież niemowlę.

Marie była zdenerwowana, bo mały Leo po prostu nie potrafił chwycić jej sutka. Zrozpaczony krzyczał teraz z głodu, ale nie wiedział, skąd ma wziąć jedzenie. Odpowiedziała mu z wyczuwalnym oburzeniem w głosie:

– Paul, sądzisz, że pozwoliłabym, żeby to Auguste karmiła nasze dzieci? To mój obowiązek. Musi to robić ich matka.

Milczał, choć był innego zdania. Żałował, że ten ich ostatni wspólny wieczór przebiegał inaczej, niż sobie go wyobrażał. Marie rzadko była dla niego tak opryskliwa. Ale oczywiście było to zupełnie zrozumiałe. Wyczerpujący poród, jego wezwanie na front i teraz obawa o życie tych maleństw. Postanowił uzbroić się w cierpliwość i wrócić do łóżka. Drżąc z zimna, zwinął się w kłębek pod kołdrą. W pokoju było zimno, bo nie był ogrzewany bezpośrednio, ale dzięki kominowi znajdującemu się pod czerwonym salonem.

Ależ jestem zniewieściaty, pomyślał. Już niedługo nie będę miał ani kołdry, ani ciepłego komina. W schronach i okopach będzie co najwyżej słoma, jak mówią. Albo będzie trzeba spać na gołej ziemi.

– To na nic, łaskawa pani – mówiła Auguste. – Musi pani mocno chwycić sutek

w palce i go wetknąć. Tak! Tak, żeby chłopczyk spróbował, co z niego wypływa. No, niech pani tylko zobaczy! Teraz chwycił, mały szelma...

Bogu niech będą dzięki, pomyślał Paul, choć niespecjalnie mu się podobało, że usłyszał ten kobiecy dialog. Czy Marie to nie boli, gdy ich synek chwyta jej delikatny sutek? Cóż, jako ojciec musi się jeszcze wiele nauczyć. Jeśli tylko zostanie mu na to dany czas. Wziął w rękę zegarek, który położył na szafce nocnej. Dochodziła już dziesiąta. O szóstej musiał wstać. Około siódmej musi wyjść z domu. Ojciec zaproponował, że zawiezie go na miejsce zbiórki, ale odmówił. Gdyby wysiadł z samochodu jak bogaty pan, na pewno nie zrobiłby dobrego wrażenia na swoich przyszyłych towarzyszach. Podejmował służbę w obronie ojczyzny jak wszyscy inni.

Marie była w lepszym nastroju, gdy do niego wróciła. Prosiła, by wybaczył jej szorstką odpowiedź, przytuliła się do niego i głaskała po policzkach, po szyi.

– Jesteś teraz tak blisko – wyszeptwała. – Nie chcę nawet myśleć, że już niedługo zostanę bez ciebie. Będę cię czuć każdej nocy, kochany. Nawet gdy się znajdziesz setki kilometrów ode mnie, będę czuła twoje ciało i słyszała twój głos...

Był głęboko wzruszony. Wszystko się ułożyło, mały zaczął jeść i będzie rosnąć. Marie będzie na niego czekać. Klaus von Hagemann z pewnością ma rację, twierdząc, że zwycięstwo jest już blisko, za kilka miesięcy wojna się zakończy. Dłonie Marie poruszały się precyzyjnie po całym jego ciele, a on oddawał się temu dotykowi, który go pobudzał i odprężał. Jakże była zmysłowa jego słodka żona. Już będąc w ciąży, robiła takie rzeczy, o których nigdy nie mówi się oficjalnie, bo bali się, że mogą zaszkodzić dziecku, jeśli będą uprawiać miłość w tradycyjny sposób.

– Marie... Marie... – wymawiał jej imię z ogromną tęsknotą.

Nagle zastygła. Znowu usłyszeli cieniutkie kwilenie, dobiegające z drugiego pokoju.

– Co się znowu dzieje?

– Zaraz... zaraz...

Zerwała się z łóżka z prędkością wiatru, zniknęła w sąsiednim pokoju i spędziła tam bardzo dużo czasu. Najpewniej mały Leo wreszcie rozumiał, skąd się bierze jedzenie, i nie nasycił się jedną porcją. Paul odwrócił się na plecy i starał się walczyć z niepokojącą niechęcią, którą zaczął czuć do własnego syna.

Zanim Marie wróciła, jego podniecenie wygasło. Trzymali się tylko za ręce i rozmawiali. Poprosił, by wspierała jego ojca, mówił, że produkcja włókna z papieru to jedyny ratunek dla fabryki, więc musi go przekonać do tego pomysłu. Tylko jej ojciec posłucha. Marie domagała się, by obiecał, że nigdy nie będzie zgrywać bohatera, ale też nie będzie się zachowywać jak tchórz. Musi znaleźć dla siebie miejsce gdzieś pośrodku. On się uśmiechnął i obiecał, że tak będzie.

Jeszcze trzykrotnie rozległo się ciche kwilenie. Ostatnie wybudziło nawet Marie ze snu. Paulowi wydawało się, że z każdym razem płacz syna staje się głośniejszy i silniejszy. Marie powiedziała mu, że Dodo też domagała się jedzenia.

Policzek przy policzku spali razem przez te ostatnie godziny, trzymając się za ręce i śniąc te same sny. Przenikliwy dźwięk budzika sprawił, że wrócili do rzeczywistości, która w chłodzie wczesnego poranka wydawała się jeszcze bardziej odpychająca i nieprzejednana. Rozstanie. Niedola. Może nawet śmierć.

– Zostań w łóżku, kochana – wyszeptał Paul. – To ponad moje siły, jeśli będę się musiał z tobą żegnać w korytarzu czy w drzwiach wejściowych.

Było jeszcze ciemno w pokoju, więc się nie widzieli, ale pocałowali się po raz ostatni. Pocałunek miał smak łez.

1 *Die Wacht am Rhein* – niemiecka pieśń patriotyczna powstała w XIX wieku. Słowa napisał Max Schneckenburger, a melodię skomponował Karl Wilhelm.

Rosjanie, ci to żyją jak dzikie zwierzęta – powiedziała Auguste. – Oni nawet śpią z tańczącymi niedźwiedziami w tym samym łóżku.

Naciskała ciężkim żelazkiem na białe prześcieradło, bo len nie chciał się wygładzić. Nic dziwnego, piec kuchenny, na którym stawiała żelazko, żeby się nagrzało, był zaledwie letni. Mieli mało węgla, a drzewa też brakowało.

– Chodzą spać z niedźwiedziami do łóżka? – dopytywała się Hanna z niedowierzaniem. – To chyba wymyśliłaś, Auguste.

– To zapytaj śmiało Grete von Wieslers, która mi o tym opowiedziała – odwarknęła Auguste. – Jej narzeczony Hansl przyjechał do Augsburga na przepustkę z frontu. A on był w Rosji.

Brunnenmayer wykrzywiła swoją szeroką twarz i zaśmiała się szyderczo. Hansl był po prostu symbolem prawdomówności! Przecież on zawsze zmyślał różne historie.

Podniosła filiżankę i napiła się miętowej herbaty, otrząsnęła się i warknęła, że wprost nie znosi tego śmierdzącego paskudztwa.

– Gdy wojna się skończy, najpierw wypiję ogromną szklanekę prawdziwej ziarnistej kawy! – zawołała. – Żadnych palonych żołądźi ani kawałków rzepy. Tylko prawdziwa, mocna kawa z ziaren. Duża, czubata łyżka na filiżankę!

Else przewróciła oczami i zaczęła energicznie polerować uchwyt srebrnej łyżeczki. Czyszczenie srebra to było zajęcie, które nigdy nie miało końca. Trzeba było polerować cukiernicę i dzbanuszek na mleko, a potem znów się zająć sztućcami i talerzami. Była to jednak dość lekka praca, przy której można było siedzieć i plotkować, o wiele przyjemniejsza niż trzepanie dywanów czy wybieranie węgla.

– Nie godzi się opowiadać o takich marzeniach, droga pani Brunnenmayer – powiedziała Else, wydymając usta. – Wszyscy powinniśmy z zadowoleniem znosić wszelkie trudy i przez to wspierać naszych dzielnych żołnierzy, walczących na froncie.

– A w czym ja tak mogę pomóc tym naszym żołnierzom, gdy piję kawę parzoną z jakichś obierków z buraków? – odpowiedziała jej gniewnie Brunnenmayer.

– Całkowita racja – włączyła się Auguste, stawiając znów żelazko na letniej płycie kuchennej. – Mówi się nawet, że nasi żołnierze walczą we Francji z prawdziwą ziarnistą kawą, łososiem i homarami.

– A w Rosji za to muszą jeść wszy i mszyce – powiedziała kucharka zrzędliwie. – Dołóż no, Auguste, jeszcze ze dwa kawałki drewna, bo inaczej z prasowania nic dzisiaj nie będzie.

Auguste pochyliła się pośpiesznie, żeby wypełnić polecenie kucharki. Odkąd Schmalzler nie zarządzała willą, stwierdziła Brunnenmayer, brakuje coraz bardziej opału. Else pocierała zdrętwiałe palce, gdy ogień buchnął w kuchence, a potem zaczął powoli trzaskać, a Hanna zachwyciła się ciepłą szklanką herbaty miętowej, którą wreszcie mogła sobie zrobić. Miętę sami zebrali na łąkach w ubiegłym roku i ususzyli, a była ona nie tylko zdrowa, ale działała orzeźwiająco na organizm i odświeżała oddech.

– Co jeszcze ten Hansl opowiadał o Rosjanach? – dopytywała się Hanna. – Czy on ich kiedykolwiek spotkał i z nimi rozmawiał?

To, że Rosjanie nie zabierali niedźwiedzi do swoich łóżek, żeby z nimi spać, było dla Hanny oczywiste. Hansl chciał po prostu nabrać Auguste.

– Jakichś z pewnością spotkał – odpowiedziała Auguste. – Prawdopodobnie takiego z kulką w klatce piersiowej.

Zaśmiała się bezdusznie i sprawdziła palcem wskazującym, czy powierzchnia żelazka była teraz wystarczająco rozgrzana. Syknęła, gdy dotknęła gorącego żelaza.

– Wątpię, żeby on cokolwiek o nich wiedział – ciągnęła Hanna. – Jak żyją? Co jedzą? I co...

– Patrzcie no – przerwała jej Else i podniosła wyżej okulary, które musiała zakładać do czyszczenia srebra. – Nie dają ci spokoju ci Rosjanie, co? Tak, kokietowałaś tych obdartych typków, których spotkałyśmy na ulicy. Jesteś zupełnie zepsutą dziewczyną, Hanno.

– To nieprawda! – zaprzeczyła ze złością Hanna. – Było mi ich tylko szkoda, to wszystko. Dlatego na nich spoglądałam.

Jej sprzeciw wywołał szyderczy uśmiech na twarzach Else i Auguste, a Brunnenmayer jak zawsze nie wtrącała się do tego typu spraw i rozmów.

– Lepiej uważaj, gdzie patrzysz, bo możesz niedługo nosić rosyjskie dziecko – ostrzegła ją Auguste.

– Masz już w końcu swoje lata – dodała Else. – Możesz być w ciąży. A dzieje się to szybciej, niż myślisz.

Hanna zrobiła się czerwona i opuściła wzrok, wpatrując się w szklankę z herbatą miętową. Gdyby nie była taka głupia i nie powiedziała Else o swoim pierwszym krwawieniu. Ale wtedy, jesienią, tak strasznie się wystraszyła, gdy zobaczyła wielką plamę krwi na swojej bieliźnie. Sądziła, że zaraz umrze!

– Else, ty musisz najlepiej wiedzieć, jak szybko się to dzieje – powiedziała kąśliwie Brunnenmayer, bo denerwowało ją, że obie pokojówki ciągle się pastwiły nad biedną Hanną.

Else uniosła podbródek i zacisnęła wąskie wargi. Pozostała dziewicą i chyba była z tego dumna, choć w dzisiejszych czasach nikt już tak bardzo nie ceni kobiet, które zachowały dziewictwo. Nie była taka jak Auguste, która pozwoliła sobie zrobić dziecko, żeby zmusić mężczyznę do małżeństwa. Służący, który chciał zdobywać coraz lepszą pozycję i wiernie służyć swoim państwu, nie zakładał rodziny. Zawsze tak było, również Eleonore Schmalzler, która była tutaj gospodynią, nigdy nie wyszła za mąż. Tylko Auguste, tej szczwanej lisicy, udało się złowić męża, urodzić dwoje dzieci i zachować stanowisko. To było bardzo niesprawiedliwe, pomyślała Hanna, ale nie powiedziała tego głośno. Była na to zbyt ostrożna, bo wiedziała, że Auguste to mściwa kobieta.

– Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, Hanna – powiedziała Auguste, przesuując ciepłe żelazko po białej ściereczce. – Rosjanie są przede wszystkim bardzo brudni, tak twierdzi Hansl. Gdy się idzie przez ich wsie, całe buty aż za kostki ma się ubrudzone w błocie. Rosjanie to właśnie lubią. Ich kobiety chodzą w dziwacznych ubraniach, w których wyglądają jak zaparzaczkę do kawy. Hansl mówił też, że pod spodem nie noszą

prawie nic. Kiedyś wylądował z jedną Rosjanką na piecu...

Teraz znów wtrąciła się Brunnenmayer. Na piecu żaden człowiek nie może się położyć, może jedynie usiąść, ale wtedy co najwyżej przypali sobie zadek. Hansl najwyraźniej opowiadał to wszystko z butelką wódki z goryczki w ręce. Słowa kucharki wywołały reakcję Auguste. Brunnenmayer nie powinna z taką pewnością mówić o pewnych rzeczach, bo zupełnie nie znała rosyjskich warunków.

– Hansl powiedział, że w Rosji piece są duże i szerokie, murowane z cegły, jak nasze wielkie piece do pieczenia chleba. A w nocy, gdy ogień już się w piecu nie pali, jeszcze jest on ciepły, śpi na nim cała rodzina. Razem z psami i kotami. Tak właśnie jest w Rosji, Hanna...

– Na piecu – zachichotała Hanna. – Jak chleb. Z psami i kotami. A fuj!

Auguste nagle przestała prasować i podniosła głowę, nasłuchując. Ani Else, ani Brunnenmayer niczego nie usłyszały, ale Hanna, która miała dobry słuch, potwierdziła, że to kwilenie niemowlęcia.

– To musi znów do niego biec, nasza łaskawa... – powiedziała Auguste i uniosła brwi. – Odesłała wszystkie mamki i chce dzieci karmić sama. Zobaczymy, jak długo to wytrzyma. Musi wstawać co cztery godziny, a nawet częściej. W dzień i w nocy. Dzięki Bogu, że ja za każdym razem rodziłam tylko jedno dziecko.

– Ech, one są po prostu wiecznie głodne, te małe robaczki – powiedziała kucharka ze współczuciem. – Dla dwójki dzieci powinno się zatrudnić dwie mamki, tak myślę. Ale młoda pani jest w tym względzie strasznie uparta.

– Jeszcze pójdzie po rozum do głowy – przepowiedziała Auguste, gdy składała prześcieradło. Przez chwilę stała bez ruchu, patrząc bezmyślnie na dzwonek służący do wzywania służby, bo się jej wydawało, że młoda pani ją wzywa. Gdy dzwonek się nie odezwał, wzruszyła ramionami i wzięła do prasowania kolejną rzecz.

To jednak smutne, pomyślała, jak ostatnio nieprzyjaźnie i gwałtownie zachowuje się młoda pani w stosunku do swojej teściowej. Ona nie ma już nic do powiedzenia w tym domu, wszystko musi być tak, jak chce młoda łaskawa. A matka jej męża się nie przeciwstawia, bo jest łagodną osobą, nieskorą do prowadzenia kłótni.

Hanna chwyciła energicznie srebrne szczypcy do cukru, była wściekła na Auguste, która potrafiła tylko wygadywać bezsensowne kłamstwa. Młoda pani Melzer, która wcześniej pracowała tutaj z nimi w kuchni, była dobrą panią. Nikt nie wiedział tego tak dobrze jak ona, Hanna, która dzięki niej otrzymała tę posiadłość.

– Młoda pani Melzer jest po prostu bardzo smutna, bo młody pan Melzer walczy na wojnie! – powiedziała.

– No i co? – zapytała Auguste lekceważąco. – Dlaczego niby jej miałyby być lepiej niż nam? Mój biedny Gustav został powołany zaraz po wybuchu wojny, podobnie jak Humbert.

– A właśnie, Humbert! – krzyknęła Else. – Niech no pani przeczyta, pani Brunnenmayer, co napisał. Nie rozumiem, dlaczego za każdym razem robi pani z tego taką tajemnicę?

Kucharka jedynie machnęła ręką. Ten list z frontu był adresowany do niej i do nikogo innego. Poza tym przekazała już wszystkim pozdrowienia, które przesłał.

– Musi spać w stajni, tak? – zapytała Else drwiąco. – I czyścić konie. Biedaczyna. Choć i tak może się cieszyć, bo inni w tym czasie leżą w okopach.

– A on jest we Francji czy w Belgii? A może w Rosji? – zapytała z ciekawością Auguste. Brunnenmayer nie zareagowała na te pytania. Powiedziała już przecież, że jest w Belgii, i koniec gadania.

Zapadła cisza. Hanna piła ciepłą herbatę z cukrem, w piecu jeszcze tlił się ogień, a jej wiecznie domagający się jedzenia żołądek zaburczał głośno, co było mocno krępujące. Zaraz znów jej wypomną kradzież bułki, co robili najmniej dwa razy dziennie i co będzie trwało pewnie, aż stanie się stara i siwa. Miała jednak szczęście, bo Auguste paplała o tym, że młoda pani dostała już od swojego męża pięć długich listów z frontu, do matki napisał dwukrotnie, a do siostry tylko raz. Pani Kitty Bräuer oczywiście bardzo mocno to przeżywała.

– Jejku, ona zawsze jest taka pretensjonalna – skwitowała Else. – Czy ona sądzi, że jej brat nie ma nic innego do roboty, tylko pisanie do niej listów?

– Prawdopodobnie tak właśnie myśli – odpowiedziała Auguste i złożyła ostatnią rzecz, którą wyprasowała. – A dostaje przecież niezliczone listy od swojego męża. Gdyby tylko mój Gustl pisał tak często. A on wysyła co najwyżej kartkę pocztową.

Postawiła żelazko na podstawce z blachy i powiedziała, że musi już iść, bo jest po siódmej i jej służba dawno dobiegła końca. Od ślubu z synem starego ogrodnika Auguste mieszkała w domku pośrodku parku. Teraz, zimą, gdy w parku nie było zbyt wiele do roboty, stary ogrodnik zajmował się wnukami, gdy Auguste pracowała w willi. Latem mogła zabierać ze sobą małą Liesel i jej braciszka do posiadłości, bo maluchy dawały łaskawej pani wiele radości. Teraz jednak, gdy urodziły się jej własne wnuki, było lepiej, gdy Auguste zostawiała swoje dzieci w domku w parku. Właśnie włożyła płaszcz i zawiązała chus-tę na głowie, żeby chronić się przed deszczem, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

– No, patrzcie ją! – krzyknęła Auguste, gdy otworzyła drzwi. – Czyżbyś się za nami stęskniła, Mario? Wchodź, jesteś cała mokra!

Marię Jordan ledwie było widać pod szarą przeciwdeszczową peleryną ze spiczastym kapturem. Cała ociekająca wodą, stała w małym korytarzu prowadzącym do kuchni, rozpięła pelerynę i powiesiła ją ostrożnie na haku przy ścianie.

– Na świętego Piotra! – jęknęła. – Cóż za pogoda! Park to jedno wielkie bagno, a na podjeździe wchodzi się z jednej kałuży w drugą. Powinno się je zasypać piaskiem i żwirem, ale nie ma kto tego robić, ludzi za mało.

– Oczywiście – zgodziła się Auguste. – Gdy mój Gustav tutaj był, nie było kałuży na drodze... Co dobrego cię sprowadza, Mario? Przyniosłaś może karty?

Maria Jordan uniosła cienkie brwi i powiedziała, że faktycznie, przez czysty przypadek włożyła dzisiaj rano karty do torby. Swój wolny dzień przeznaczyła na to, żeby odwiedzić przyjaciół, a potem chciała zrobić sobie spacer po mieście. Ale z powodu deszczu nie ma na ulicach nawet psa z kulawą nogą.

Jordan była bardzo drobnej postury. Hanna uważała, że jej twarz wygląda staro, choć miała dopiero nieco ponad czterdzieści lat. Brązowe włosy spięła wysoko. Auguste nieraz twierdziła, że pośród tych zawsze ułożonych i tak samo wyglądających loków

ukryty jest kok ze sztucznych włosów, ale nikt nie był w stanie tego udowodnić. Maria Jordan była wcześniej zatrudniona w posiadłości jako starsza pokojówka, ale po ślubie Elisabeth Melzer z Klausem von Hagemannem poprosiła, żeby ją przeniesiono do domu młodej pary. Elisabeth spełniła jej prośbę. Wszyscy razem zaprosili gościa do kuchni, w pobliże pieca, w którym tlił się jeszcze niewielki ogień. Auguste dołączyła do nich, żeby zostać jeszcze dosłownie kwadrans. Maria Jordan zawsze była źródłem ekscytujących plotek, a poza tym przyniosła karty.

– Masz wolny dzień i przyszłaś prosto tutaj, Mario? – wycedziła Else. – Chociaż w mieście zorganizowano występ tancerek rewiowych i można zobaczyć filmy o miłości? Nie miałaś ochoty wziąć udziału w nocnym życiu Augsburga?

Maria Jordan spojrzała na Else nieprzyjaźnie i zignorowała pytanie. Ostrożnie wsypała łyżeczkę cukru do dopiero co zagotowanej herbaty miętowej, którą naląła jej Hanna, i zapytała niewinnie, czy jedli już wieczorny posiłek.

– Jesteś głodna?

Auguste spojrzała na Brunnenmayer, która zarządzała spiżarnią, ale kucharka nie żywiła sympatii do Marii Jordan.

– A czy pokojówka panienki jest zbyt skąpa, żeby w wolny dzień pójść do jakiejś gospody? – zapytała szyderczo.

Maria Jordan odpowiedziała jej, że w obecnych czasach w gospodach można dostać tylko brukiew z kaszą, no chyba że się jest zamożnym obywatelem, to wówczas podają gicz cielecą z kapustą. Za ceny, które dla biednych pracowników są zbyt wygórowane.

– No niech już pani coś przyniesie, Brunnenmayer – powiedziała Auguste. – Maria postawi nam karty, prawda, Mario?

– Jeśli tak bardzo chcecie...

Jordan lubiła, gdy proszono ją o powrót z kart. Potem nikt nie mógł jej zarzucić, że zmusiła go do wysłuchiwanie jej przepowiedni. Często twierdziła też, że miewa sny, które zawsze się idealnie sprawdzały.

– Ja nie potrzebuję, żeby ktoś mi stawiał karty – odburknęła Brunnenmayer. – To są same kłamstwa i brednie!

– Ale ja chcę poznać swoją przyszłość! – krzyknęła Hanna i spojrzała błagalnie.

Else też była zainteresowana, podobnie jak Auguste. Kucharka podniosła się więc niechętnie, prychnęła kilka razy i potoczyła się wolno w kierunku spiżarni. Hanna słyszała, że mocuje się z kluczem, co oznaczało, że przyniesie też coś z zakratowanej części spiżarni. Gdy wróciła, trzymała małą drewnianą tackę, na której znajdował się mały kawałek kaszanki, trochę górskiego sera, dwie kromki żytniego chleba i kilka ogórków.

– No to masz!

Szurnęła Jordan talerz pod nos i usiadła. Musztardę, o którą Jordan poprosiła, gdy zobaczyła kaszankę, przyniosła jej Hanna z półki, a Auguste pośpiesznie podała jej nóż.

– Bardzo dziękuję, pani kucharko.

Maria Jordan nie czuła się z powodu podanego jej z łaski posiłku jak żebraczka, jadła powoli i ze smakiem, robiła krótkie przerwy, żeby popić jedzenie herbatą miętową. O tym, że kaszanka była twarda jak kamień, a ser miał lekko spleśniałą skórkę, nie

wspomniała ani słowem.

– Żebyście tylko wiedziały, jak dzielna jest młoda pani Elisabeth! – powiedziała. – I co ona musi znosić od swoich krewnych! Święci Mario i Józefie!

Rozejrzała się i zobaczyła, że wszyscy patrzą na nią z ciekawością. Ach, to było dla niej tak bolesne, nosić w sobie ten cały żal. Odpowiadać na uszczypliwe pytania swojej teściowej. Patrząc na swoją młodszą siostrę i swoją szwagierkę Marie Melzer, które wypełniły wszystkie małżeńskie obowiązki.

– Czemu ona jeszcze nie jest w ciąży? – zapytała Auguste. – Na Boga, przecież musisz znać jakiś środek na to, Mario. Ty masz w końcu receptę na prawie wszystkie dolegliwości.

Jordan rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie. Ale Hanna i tak już usłyszała kiedyś, że Jordan przed kilkoma laty zaoferowała jej pewien medykament, żeby nie była w ciąży. Auguste za to ją wtedy jedynie zbluzgała.

– Oczywiście, że nieraz jej radziłam. I raz czy dwa gotowałam specjalną herbatkę. Ale to nie pomagało. Ale możliwe też, że jest tak nie z jej powodu, ale przyczyny należy szukać u pana majora von Hagemanna.

Auguste wydała z siebie histeryczny chichot, który spowodował, że wszyscy zwrócili wzrok na nią. Udawała, że się zakrztusiła, potem zakaszła i wzięła duży łyk zaparzonej mięty pieprzowej.

– Tam, w Austrii nad Dunajem – weszła im teraz w słowo Brunnenmayer. – Tam jest podobno jaskinia wykuta w wapieniu. Gdy kobieta nie może mieć dzieci, powinna pójść tam o północy i zupełnie nago wykąpać się w źródle z lodowatą wodą. Później – jak mówią – zajdzie w ciążę.

Hanna słuchała tej opowieści z szeroko otwartymi oczami. Kąpać się nago w źródelku? Ale w jaskini o północy na pewno jest całkowicie ciemno, i tak nikt by nie zobaczył.

Auguste prychnęła, a Else parsknęła niepohamowanym śmiechem. No, Brunnenmayer, ta to dopiero zna opowieści!

– W ciąży? – wycedziła Auguste, obcierając dłonią łzy, które nabiegły jej do oczu od śmiechu. – A wie ktoś z kim?

– Na pewno z duchem jaskini!

– A jak on wygląda? Pewnie jak krzywonogi gnom z długą brodą i garbem?

– Garb to ma na pewno – zachichotała Auguste. – Tylko że nie na plecach...

– A może jest piękny i młody... Wzór doświadczonego mężczyzny z grubym...

– Dość już tego! – wrzasnęła kucharka.

– Z bardzo grubym futrem! – dokończyła Auguste, udając poważną minę. – Bo w takiej jaskini to z całą pewnością jest zimno.

Jordan włożyła ostatni kawałek sera do ust, żuła go bardzo powoli i przepłukała gardło resztą herbaty miętowej.

– Mam teraz postawić karty czy nie?

– Tak! No wreszcie! – krzyknęła Else.

Auguste też już siedziała obok niej w oczekiwaniu i przede wszystkim chciała wiedzieć, kiedy jej Gustav wróci do domu. I w ogóle czy jeszcze żyje. Hanna się nie

odezwała, ale i tak wszyscy widzieli, że bardzo by chciała zajrzeć w przyszłość.

– Dwadzieścia fenigów – zażądała Jordan bezczelnie.

– Co? – zdenerwowała się Auguste. – Nie dość, że się u nas najadłaś do syta, to jeszcze chcesz zapłaty?

Else również uznała, że to okropnie małostkowe z jej strony. Brunnenmayer się nie odezwała, dobrze znała Jordan i wiedziała, że tak właśnie będzie. Maria Jordan była chciwa, kucharka zawsze to powtarzała. Mówiło się, że pod materacem ma już uzbieraną małą fortunę.

– Zapłacę pani – powiedziała Hanna. – Jeśli naprawdę może mi pani przepowiedzieć przyszłość, to pani zapłacę.

– A ty masz chociaż tyle? – upewniała się Jordan podejrzliwie.

– Przyniosę je. Będę zaraz z powrotem.

Hanna pobiegła do klatki schodowej i wspinała się pośpiesznie na górę, na trzecie piętro, gdzie znajdowały się pokoje pracowników. Po oddaniu pieniędzy za bułkę i drobnych wydatkach na guziki, parę wełnianych skarpet i szpulkę białych nici zostało jej dokładnie trzydzieści osiem fenigów. Dwadzieścia to była naprawdę spora kwota. Ale jeśli jej matka zjawi się w najbliższym czasie w posiadłości, jak groziła, to i tak będzie jej musiała dać wszystkie pieniądze. Z czerwonymi policzkami i zmierzwionymi włosami Hanna wróciła do kuchni i wyciągnęła rękę w stronę Jordan. Leżały na niej różne monety.

– Dziesięć, dwanaście, trzynaście, piętnaście... dwadzieścia – liczyła Maria Jordan, nie zważając na gniewny wzrok pozostałych kobiet.

– Dobrze, Hanna, daj mi pieniądze.

Hanna już chciała położyć wszystkie monety na wysuniętej i szeroko rozłożonej dłoni Jordan, ale wtedy gwałtowne uderzenie pięści w kuchenny stół sprawiło, że aż zawirowała pokrywka od czajniczka na herbatę, która na nim stała.

– Stop! – powiedziała kucharka. – Najpierw usługa, potem pieniądze. Połóż swoje fenigi tutaj przed nami na stole, Hanna. A teraz zaczynaj, Jordan.

– Dlaczego mieszasz się w nie swoje sprawy, Brunnenmayer? – prychnęła Jordan.

Nie otrzymała odpowiedzi, ale nie odważyła się zabrać pieniędzy. Westchnęła głęboko, żeby pokazać, że czuje się niesprawiedliwie potraktowana, przebaczy jednak swoim oprawcom jako dobra chrześcijanka. Pod uważnym, zaciekawionym wzrokiem wszystkich kobiet podniosła swoją torbę z materiału, pogrzebała w niej i wyciągnęła paczuszkę kart do gry, spiętych razem cienką gumką.

– Francuskie karty – skomentowała złośliwie kucharka.

Jordan nie zareagowała. Poprosiła, żeby bliżej przysunąć lampę i wyłączyć elektryczne oświetlenie przy suficie. Wyciągnęła też zieloną jedwabną tkaninę i położyła ją na abażurze lampy naftowej. Kuchnię wypełniło tajemnicze, widmowe światło.

– Ma być absolutny spokój! – zarządziła. – Żadnego gadania. Muszę się skupić.

Auguste odsunęła na bok do połowy pełny kubek, starła ręką okruszki leżące na stole, żeby nie przeszkadzały w rozkładaniu kart. Jordan zdjęła gumkę z kart, potasowała je i wyciągnęła w stronę Hanny:

– Pomieszaj.

Hanna nie była doświadczonym graczem karcianym, dlatego podczas mieszania

karty wypadły jej z rąk, tak że musiała je zbierać i zaczynać od nowa. Mieszała je jednak z niesłabnącym zapalem, myśląc, że w ten sposób zwróci na siebie uwagę ducha przyszłości.

– To wystarczy. Daj mi talię.

Jordan zaczęła rozkładać odwrócone karty na stole, jedną przy drugiej, po sześć kart w rzędzie. Gdy skończyła, podniosła głowę i patrząc przenikliwie na Hannę, zapytała:

– Czy masz jakieś konkretne pytanie?

Hanna, otoczona przez tak wiele taksujących ją spojrzeń, nigdy nie wyjawiałaby, co tak naprawdę chciałaby wiedzieć o swojej przyszłości.

– Cóż, wszystko to – mówiła, a jej rozpalone policzki przypominały jej, że kłamie – co będzie pani potrafiła odkryć.

Maria Jordan myślała przez chwilę nad tym, co ma zrobić, i zaczęła odwracać rozłożone karty. Odkrywała każdą kolejną siódmą z rzędu i gdy dotarła do ostatniego rzędu, zaczęła od góry, od nowa.

– Walet pikowy... na krótkiej linii. Król kier... Jezus Maria, i jeszcze dziewiątka. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć... Dama karo. I dziewiątka pik.

Wszyscy wpatrywali się jak zaczarowani w oświetlony na zielono palec wskazujący Jordan, który przeskakiwał z karty na kartę i powodował lekki szelest przy każdym poruszeniu karty. Gdy Maria odsłaniała kartę, trzymała najpierw na niej prawą dłoń i czekała chwilę, zanim odsłoniła cały obrazek.

– Czy jest bardzo źle? – zapytała wystraszona Hanna.

– Jest źle – odpowiedziała Jordan ponurym głosem. – Przybędzie młody mężczyzna, ciemnowłosy i pozbawiony sumienia. Przyniesie ci wiele trosk, Hanno. Będziesz przez niego płakać. Ściągnie na ciebie nieszczęście.

Zielonkawy palec Jordan wskazywał na waleta pik, młodego, ładnego chłopca z półdługimi, ciemnobrązowymi włosami, figlarnie zawiniętymi wąsami i przyjaznymi brązowymi oczami. On miał jej przynieść nieszczęście?

– Dziewiątka – westchnęła Jordan. – Ach, ta zła dziewiątka. Będziesz całkiem sama, biedna dziewczyno. Nikt ci nie pomoże. On cię zostawi, a ty będziesz za nim płakać.

– Przestań natychmiast opowiadać tej małej takie niedorzeczności! – warknęła kucharka.

– Pssst! – machnęła na nią rozzłoszczona Auguste.

– Jeśli będzie mi pani przeszkadzać, będę musiała przerwać sesję – powiedziała złowrogo Jordan w stronę Brunnenmayer. – W takiej sytuacji biorę jednak całą zapłatę.

– Niech pani mówi dalej – błagała Hanna. – Proszę! Czy on nigdy nie wróci, ten ciemnowłosy chłopak?

Jordan znów zaczęła liczyć, odkrywała tu i tam jakąś kartę i odczytywała jej tajemne znaczenie.

– Jest pewna kobieta... potężna kobieta, która będzie mieć na niego wpływ. Oczaruje go zupełnie, zniewoli swoim urokiem. Powstanie z tego fatalny związek. Ciemnowłosy chłopiec zniknie. To jest as trefl... Nieszczęście. Może nawet śmierć.

Hanna zamarła. Jak sparaliżowana obserwowała Jordan. Ta ciągle zahaczała paznokcie o kartę damy karo, następnie przenosiła je na asa trefl i dziewiątkę pik, w tę i z powrotem, lądując na królu serce.

– Na koniec zatriumfuje jednak miłość – zawyrokowała i wyczerpana oparła się na krześle. – Z deszczu wyłoni się słońce, ze smutku radość, a do tego przyjdzie też i dobrobyt.

– Amen – warknęła kucharka.

– Mnie powiedziałaś to samo – zauważyła Auguste i spojrzała na nią podejrzliwie.

– Tak, i? Może nie jesteś szczęśliwa z Gustavem?

– Oczywiście!

Else też przypomniała sobie, że Jordan przed dwoma laty przewidziała jej wielką miłość, która po dziś dzień jeszcze się nie pojawiła.

– Jeszcze przyjdzie, Else. Pewnego pięknego dnia miłość zjawi się też i u ciebie.

Maria Jordan złożyła karty, ścisnęła je i spięła gumką. Potem przysunęła monety prawą ręką do krawędzi stołu tak, by spadły na jej rozłożoną lewą dłoń. W końcu ściągnęła zieloną jedwabną chustę z lampy i przywróciła tym samym kuchni jej naturalne oświetlenie.

– Ja również dziękuję za miłe towarzystwo i życzę wam wszystkim spokojnej nocy.

Croix, 5 marca 1916 roku

Moja ukochana Marie,

Dziękuję za Twój list z 24 lutego, który po wielu złych dniach dał mi nową siłę i nadzieję. Musiała wybuchnąć ta nieszczęsna wojna, żebym mógł odkryć, jakie wspaniałe, czułe listy potrafi pisać moja Ukochana? Czekam zatem z utęsknieniem na kolejne i będę się starał pisać tak samo.

Stacjonujemy teraz w okupowanej Francji w opuszczonej fabryce ciastek. Odpoczywamy tutaj z konieczności, odpoczynku potrzebują zwłaszcza nasze wierne konie, bo są przerażająco wychudzone. Bywają dni, kiedy niosą nas od świtu do zmierzchu, bez karmienia i pojenia. To nie jest też dobry czas dla ich jeźdźców, jedzenie i picie sami musimy zdobyć, a straszne jest to, że czasem zabieramy ostatni kawałek chleba nieszczęsnemu rolnikowi. Tylko wina starcza tutaj dla wszystkich. Szampan i czerwone wino pije się jak wodę. Nauczyliśmy się doceniać alkohol, bo poprawia nastrój, zastępuje jedzenie i dodaje sił. Pod silnym ostrzałem byliśmy do tej pory rzadko, ale szczególnie niebezpieczni są franc-tireurzy, wolni strzelcy, którzy z ukrycia strzelają do naszych patroli. Wokół nas są tylko zniszczenia, spalone wsie, walące się domy, pus-te stodoły. Nasz pułk zostawia w tym kraju dotkliwy ślad po sobie i będzie to robić ciągle. Jeszcze dwa tygodnie temu wierzyłem, że muszę się wykazać jako żołnierz i wierny poddany naszego cesarza, ale powoli w swoim sercu zacząłem czuć wstręt do tej wściekłości

i zniszczenia sianego w okupowanym kraju.

Pozwólmy jednak sobie myśleć o przyszłości, moja Kochana, pozwólmy sobie wierzyć, że to już nie potrwa długo i niebawem będziemy mogli rzucić się sobie w ramiona. Pisz do mnie, jak często będziesz mogła, wykorzystuj każdą wolną chwilę, żeby rzucić myśli na papier i wysłać do mnie. Gdy czytam listy od Ciebie, gdy patrzę na Twój śliczny, jedyny w swoim rodzaju charakter pisma, czuję, jakbyś była przede mną, jakbym mógł słyszeć Twój głos. Uwielbiam, gdy przechylasz głowę i patrzysz na mnie z chytrą miną. Kocham Twój śmiech. Twój lekki krok. Twoje małe stopy i wiele innych rzeczy w Tobie, o których nie będę tutaj pisał, ale o których śnię każdej nocy.

Całuję Cię tysiąckrotnie

Twój Paul

Augsburg, 10 marca 1916 roku

Mój Ukochany,

Jak na świadomego swoich obowiązków żołnierza naszego cesarza piszesz w dość pokrętny sposób. Dlaczego „moje małe stopy” i „chytre spojrzenie” – jak je nazywasz – pojawiają się w liście z frontu, który wysyłasz, będąc w pułku cesarskim? Mam tylko nadzieję, że nikt nie otworzył tego listu i nie przeczytał tych wszystkich bzdur, bo musiałabym się wtedy okropnie wstydzić.

Powinieneś nas raczej poinformować, czy te wszystkie paczki, które Ci wysyłam, docierają do Ciebie czy gubią się po drodze. Baterie, peleryna przeciwdeszczowa, bielizna, krem do golenia, agrafki, skarpety i rysunki, które dla Ciebie zrobiłam. A także puszki z ciasteczkami i marmoladą. Daj nam znać, czy wszystko bezpiecznie do Ciebie dotarło, Kochany, bo chcielibyśmy być pewni, że nie musisz się żywić jedynie szampanem i czerwonym winem.

Tutaj wszystko toczy się swoim zwyczajnym rytmem, nasze dwa małe krzykacze są zachłannie i rosną tak szybko, że widać to gołym okiem. Zajęły Twoje miejsce w naszym małżeńskim łóżu, które opuszczą dopiero wtedy, gdy Ty, mój Kochany, do nas wrócisz. Nie potrafię jednak odnaleźć żadnej rady na samotność, to tępe, ciężkie uczucie, nadchodzące o świcie, szczególnie gdy jest się jeszcze w półśnie i nagle wszystko wokół obwieszcza Ci jedno: że znów obudzisz się sama. On jest daleko, nieskończenie daleko, w kraju wroga, i tylko Bóg jeden wie, kiedy znów będzie przy Tobie.

Proszę Cię z całego serca, naprawdę rozważnie i ostrożnie obchodź się ze swoim życiem, nie wystawiaj się na niebezpieczeństwo, nie bądź lekkomyślny. To nieskończenie

smutne, że ta wojna przyniosła ludzkości tyle nieszczęścia i zniszczenia, niezależnie od tego, czy są to Francuzi, Serbowie, Rosjanie czy Niemcy. Miej się na baczności przed franc-tireurami i nie pij proszę zbyt dużo wina. To ważne, żebyś zachował jasny umysł, mój Ukochany, tak żebym mogła Cię znów mieć przy sobie całego i zdrowego.

Kocham Cię i myślę o Tobie przez całe dni i noce. Wiem, że będziesz się ze mnie śmiał, ale jestem przekonana, że moje myśli mają taką siłę, żeby dotrzeć do Ciebie, gdziekolwiek jesteś, i ochronić Cię przed wszelkim złem. Gdy zamykam oczy, słyszę Twój głos i czuję Twoje usta, które dotykają moich tysiące razy. Moje serce jest przepelnione czułością, która jest przeznaczona tylko dla Ciebie i którą w nim przechowam do czasu, aż ponownie się zobaczymy.

Ściskam Cię mocno,

Twoja Marie

Alicia Melzer po raz trzeci zamieszała poranną kawę, zanim wreszcie przyłożyła filiżankę do ust i upiła pierwszy łyk. Trzeba się było przyzwyczaić do zamiennika kawy, to była tak naprawdę wyłącznie kwestia samodyscypliny. Poza tym ta osobliwa ciecz była też zdrowsza. Zwłaszcza dla Johanna, który miał zbyt wysokie ciśnienie i – jak dopiero ostatnio bardzo dobitnie powiedział ich lekarz, doktor Greiner – nie powinien pić prawdziwej kawy. Popatrzyła na zegar z wahadłem zdobiony agatem, który stał na parapecie, i westchnęła ze smutkiem. Było już wpół do ósmej. Wcześniej swoich obu mężczyzn: Johanna i Paula, widywała zaraz po siódmej przy stole w jadalni, podczas śniadania. Ona podawała im bułki posmarowane masłem i marmoladą, podczas gdy oni prowadzili trudne rozmowy na temat maszyn, zamówień, dostaw lub pracowników. Odkąd jednak ich jedyny syn, jej Paul, poświęcał się dla cesarza i ojczyzny, zazwyczaj siedziała samotnie przy śniadaniu tuż przed ósmą. Johann, który wcześniej interesował się wyłącznie fabryką, który zazwyczaj do późnego wieczoru przesiadywał w swoim gabinecie nad skomplikowanymi ciągami liczb, ten Johann stał się teraz opieszalszy. Raz dotarł do fabryki o wpół do dziewiątej, innym razem dopiero na dziesiątą. Nie dało się z niego wyciągnąć ani słowa o sytuacji w zakładzie ani o tym, czy on jeszcze zajmuje się tam pracą. Widząc jednak, że wieczorem i w nocy w fabryce jest zupełnie ciemno, Alicia podejrzewała najgorsze.

Else weszła do jadalni, trzymając stos listów na srebrnej tacy.

– Poczta, łaskawa pani...

– Dziękuję, Else. Czy moja synowa już wstała?

Else zrobiła zakłopotaną minę i odpowiedziała przecząco. Marie Melzer jeszcze spała, ale za to łas-kawy pan poprosił o przyniesienie czystej bielizny oraz wykrochmalonej koszuli. Auguste poszła po nie. Skarcił ją, bo wybrała dla niego niepasujące do całości skarpety, ale przecież Auguste nie jest kamerdynerem, tylko pokojówką i nie można od niej wymagać, żeby wykonywała pracę Humberta. Jest młodą kobietą i niewiele wie o ubiorze starszych mężczyzn. Skinieniem głowy Alicia dała Else do zrozumienia, że przyjęła jej skargi, i pochyliła się nad otrzymaną pocztą. Szybko przejrzała stosik i wyciągnęła od razu dwa listy, napisane z pola walki, i z rezygnacją stwierdziła, że żaden z nich nie został napisany przez Paula. Jeden był adresowany do panienki Kathariny Melzer – dziwne, bo Kitty była przecież już od ponad roku żoną Alfonsa Bräuera i mieszkała w niewielkiej willi, która należała do jego rodziny. Alicia nie знаła ani charakteru pisma, ani nazwiska widniejącego na kopercie, więc wzruszając ramionami, odłożyła list na bok. Kitty na pewno niebawem się tu pojawi, wtedy będzie mogła odebrać swoją pocztę. Drugi z listów z frontu był napisany przez Gustava Blieferta do jego żony Auguste – jak dobrze, że napisał, bo biedna Auguste bardzo się już o niego martwiła. Gustav zdecydowanie nie był człowiekiem, który urodził się z piórem w rękę. Napisanie listu kosztowało go wiele wysiłku i samozaparcia. Z uśmiechem odłożyła list na tackę i zaczęła przeglądać następne. Gdy usłyszała kroki męża w korytarzu, zatrzymała się na chwilę i nasłuchiwała w zamyśleniu. Szedł powoli, nieco chwiejnym krokiem, jakby jego lewa noga od czasu ataku serca wciąż mu trochę drętwiała. Czasami

przystawał, dysząc, odchrząkiwał, kaszłał i dopiero ruszał dalej.

– Dzień dobry, Johannie.

– Dzień dobry.

Niechający potrącił ją w ramię, wzdrygnął się i natychmiast się cofnął, gdy musiał się wesprzeć o nią ręką, a potem usiadł i sięgnął po gazetę. Alicia podała mu kawę, dołała do niej trochę mleka i wsypała odrobinę cukru.

– Jak ci minęła noc? Dobrze spałeś?

– Zadowolająco – odpowiedział zza gazety. – Czy przyszedł list od Paula?

– Dzisiaj niestety nie. Ale Manzingerowie zapraszają nas do siebie. I pani von Sontheim wygłosi mowę na zebraniu naszego towarzystwa charytatywnego.

Johann Melzer prychnął pogardliwie i zapytał o Marie. Zastanawiał się, dlaczego nie jada już z nimi śniadania.

– Wiesz przecież, że musi wstawać kilka razy w nocy, żeby karmić maleństwa. Koniecznie trzeba zatrudnić dobrą opiekunkę do dzieci, żeby jej pomogła...

Johann Melzer odłożył gazetę i sięgnął po filiżankę z kawą. Stęchły zapach substytutu kawy z pewnością nie był w stanie ukoić jego złości, wręcz przeciwnie. Nie potrzebowali żadnej opiekunki, zdenerwował się, tylko mamki, która dodatkowo będzie wykonywać pracę opiekunki. Czy Marie wyobraża sobie, że zdoła sama karmić dwoje niemowląt? Dziewczyna jest już cieniem samej siebie, jest blada i ma zapadnięte policzki.

– Dlaczego się tym nie zajmiesz? To przecież twój obowiązek jako teściowej!

Alicia zachowała spokój, choć uważała, że zupełnie nie zasłużyła na wysłuchiwanie tych wyrzutów.

– Próbowałam, Johann. Ale Marie odrzuciła wszystkie moje propozycje.

– Bo ona jest okropnie krnąbrna i uparta – stwierdził Melzer. – Dobrze, zostaw to mnie. Ja nie jestem Paulem, którego może sobie owinąć wokół palca.

Alicia z przerażeniem widziała już oczami wyobraźni nadchodzącą rodzinną kłótnię. Do tej pory Paul zawsze stawał w obronie swojej młodej żony, gdy Johann wyrażał niezadowolenie z jej zachowania. Teraz to zadanie musiało spocząć na niej, Alicii. Myślała więc gorączkowo, jak mogłaby najskuteczniej osłabić żądzę wszczęcia awantury, która wzrastała w jej mężu. Jej wzrok zatrzymał się na otwartym liście.

– W nadchodzącą sobotę pani von Sontheim wygłosi mowę. Byłoby cudownie, gdybyś towarzyszył mi w czasie spotkania.

Powiedziała o tym jakby mimochodem, jak to zazwyczaj robiła, wypowiadając jakieś mało znaczące uwagi w czasie, gdy smarowała mu kromki chleba masłem i marmoladą. Johann Melzer był już pochłonięty lekturą artykułu, który opisywał zwycięstwa i podboje niemieckiej armii w mocno przejawiony sposób. W bitwie pod Verdun we Francji o ostatecznym zwycięstwie zdecydowała waleczność i odwaga niemieckiego pułku, który zwabił Francuzów w zasadzkę i wykrwawił francuską armię do ostatniego żołnierza. Wykrwawić – co to w ogóle za słowo? I to właśnie jest prawdziwa wojna? Wyniszczenie armii wroga aż do ostatniego żołnierza? Czy wszyscy byli tak naiwni, by wierzyć, że niemieccy żołnierze muszą zająć Paryż, by pokonać Francję? I co się działo z Paulem, który od dwóch tygodni stacjonował we Francji?

– Pani von Sontheim jest taką dzielną kobietą – mówiła dalej Alicia. – Pułkownik

poległ, jej dwaj synowie również, a ona mimo to urządziła w swojej posiadłości szpital pol...

– Nie wyskakuj mi znów z tym pomysłem, Alicio – przerwał jej gniewnie Johann Melzer. Zrolował ze złością gazetę i rzucił na podłogę, całkowicie wbrew swoim wieloletnim zwyczajom. – W moim domu, który sam wybudowałem, nie będzie nigdy żadnego szpitala!

Uderzył prawą pięścią tak mocno w blat stołu, że zadrżały stojące na nim naczynia. Alicia przestała smarować kanapki.

– Proszę, Johann – powiedziała cicho. – Nie denerwuj się, ta sprawa nie jest tego warta. Nikt nie będzie za twoimi plecami urządził szpitala w naszej posiadłości. Nawet jeśli...

Spojrzała na niego z niepokojem, bo wiedziała, że ten nagły gniew na pewno podniósł mu ciśnienie. No ale zaczęła już mówić i byłoby bardzo dziecinne, gdyby nie dokończyła.

– ...nawet jeśli często sobie myślę, jak wszyscy bylibyśmy szczęśliwi, gdyby nasz Paul otrzymał pomoc od obcych ludzi, którzy by go przyjęli i zajęli się nim.

– Co to ma w ogóle do rzeczy? – warknął Melzer. – Paul nie jest głupcem! On na pewno znajdzie wyjście z każdej sytuacji i wróci do nas cały i zdrowy!

– Bóg będzie go chronił, Johann.

Położyła mu kanapkę z marmoladą na talerzu i naląła kawę. W jadalni zapanowała cisza, Johann Melzer podniósł gazetę z podłogi, wygładził, rozprostował i zagłębił się w lekturze artykułu na temat wojennych pożyczek. Boi się, pomyślała Alicia z niepokojem. Nie chce spojrzeć prawdzie w oczy. Nie potrafi patrzeć na rannych mężczyzn, nieszczęśników, którym amputowano ręce albo nogi. Odetchnęła z ulgą, gdy otworzyły się drzwi i do jadalni weszła Marie.

– Dzień dobry! Mama taka zamyślona, a tata, widzę, ukryty za tą pogniecioną gazetą?

Marie przyszła w porannym stroju, jej włosy były niedbale splecione i potargane, a na stopach miała jasnoniebieskie pantofelki, które podarowała jej Kitty. Jej wesołość wydała się Alicii nieco udawana. Marie bardzo schudła, a pod pięknymi ciemnymi oczami widniały takie same cienie jak wtedy, gdy jako pomoc kuchenna Marie Hofgartner zaczęła pracować w posiadłości. Jak bardzo ta młoda kobieta zmieniła życie w willi! Sprawiała, że wyszły na jaw tajemnice przeszłości, zażądała zadośćuczynienia za krzywdy wyrządzone jej rodzicom. A przy tym swoją do bólu uczciwą i odważną naturą podbiła wszystkie serca, zwłaszcza jej syna Paula. Ich wielka, wspaniała miłość przysłoniła stare zbrodnie.

– Ach! – powiedział ironicznie Johann Melzer i złożył gazetę. – Wreszcie! Obawiałem się już, że potajemnie wyjechałaś na front.

Marie się uśmiechnęła i usiadła na swoim miejscu. Wyjęła serwetę ze srebrnego pierścienia i podała Alicii filiżankę z prośbą, by ta naląła jej kawę. Szybkim spojrzeniem na pocztę upewniła się, że nie przyszedł do niej żaden list. Listy wysyłane z frontu od Paula teściowa odkładała dla niej na bok.

– Na front? Dobry Boże, to ostatnia rzecz, na jaką mogłabym wpaść. Ja mam już

dość zajęcia na froncie niemowlęcym... Dziękuję, mamó, wystarczy. Poproszę mleko. Bez cukru.

Johann Melzer obserwował Marie ze ściągniętymi brwiami i wyjaśnił, że zaczął snuć takie przypuszczenia, bo od dawna nie widział jej na oczy. A ona mogłaby pamiętać, że wyszła za mąż w tej rodzinie!

– Johann! Proszę cię... – powiedziała ostrzegawczo Alicia. – Marie ma z dwoma maluchami tyle pracy, że tylko Bóg jeden wie!

Marie zachowała spokój. Wzięła duży łyk kawy i na talerz nałożyła sobie chleb, masło i pięknie pachnące plasterki szynki z Pomorza, którą kucharka kroїła tak cienko, że cienie się nie dało, żeby starczyło na długi czas.

– Już dobrze, mamó. Tata ma rację. Mocno was zaniedbałam i jest mi przykro z tego powodu.

– Słuchaj! Słuchaj! – krzyknął Johann Melzer.

– Ale za kilka tygodni wszystko się zmieni – kontynuowała Marie. – Auguste mi powiedziała, że gdy jej dzieci miały dwa miesiące, przesypiały już całą noc.

Johann był wstrząśnięty. Jeśli zamierza żyć w ten sposób przez kolejne sześć tygodni, musi się liczyć z tym, że zwyczajnie tego nie wytrzyma. Czy ona czasami spogląda w lustro?

– Johann, naprawdę posuwasz się za daleko! Marie, nie słuchaj go, on jest dzisiaj w złym humorze.

– Nie wtrącaj się, Alicio – odpowiedział jej ostrym tonem. – Rozmawiam ze swoją synową i nie życzę sobie żadnych uwag z twojej strony.

Alicia z trudem się opanowała. Jeszcze nigdy w czasie ich wieloletniego małżeństwa Johann jej tak ostro nie zganił. To było nie tylko bolesne, ale wyrażało zupełny brak szacunku dla jej osoby. Zresztą od dawna już czuła, jak bardzo się od niej oddalił. Już jej nie kochał i musiała się z tym pogodzić. Najgorsze do zniesienia było jednak to, że jej nie szanował.

– Jeśli tak, to ja lepiej wyjdę z tego pokoju.

Ręce jej się trzęsły, gdy odkładała serwetkę na stół. Podniosła się powoli, przysunęła krzesło i wyszła. Johann Melzer uczynił bezradny gest ręką, jakby chciał ją zatrzymać, ale tego nie zrobił.

– Mamó! – krzyknęła za nią Marie. – Mamó, zaczekaj! Nie możesz tego brać tak poważnie. Tata nie miał tego na myśli. Wszyscy jesteśmy nerwowi i przewrażliwieni, a winna jest temu wojna...

Poderwała się, żeby pobiec za Alicią, ale powstrzymał ją władczy głos Johanna Melzera.

– Mam z tobą do pomówienia, Marie. Siadaj więc i mnie wysłuchaj!

Marie wahała się, ale zdecydowała zostać. Również dlatego, że rozgniewana twarz Johanna Melzera była wręcz szkarłatna i Marie bała się, że teść może znów mieć atak.

– Szkoda tylko, tato, że ta rozmowa zaczyna się od kłótni – powiedziała, siadając z powrotem na swoim miejscu. – Ale mów już, słucham.

Starła się mówić spokojnie i cierpliwie, choć wiedziała z góry, co chce jej powiedzieć. Mamka. Potrzebna jest jej pomoc. Dzieci nie będą odpowiednio odżywione.

Ona sama przypomina już stracha na wróble.

Wreszcie zamilkł i chciał się napić kawy, ale jego filiżanka była pusta. Marie chwyciła czajniczek, żeby mu nalać, ale odpowiedział na ten miły gest jedynie nieprzyjnym spojrzeniem.

– Oczekuję, że wreszcie się zdecydujesz zatrudnić mamkę!

Marie uśmiechnęła się pobłaźliwie i obiecała, że się nad tym zastanowi. Wiedziała jednak, że nie wiele jej da ta gra na zwłokę.

– Miałaś dość czasu na zastanowienie.

W tej chwili usłyszała tak dobrze jej znane pojękiwanie i kwilenie dochodzące z pokoju dziecięcego. Wyczulone uszy Marie rozpoznały natychmiast dwa różne głosy. Mały Leo się obudził i wyrwał ze snu swoją siostrę.

– Przykro mi, ojciec – powiedziała i podniosła się, żeby biec na górę. – Sam słyszysz, twoje wnuki mnie potrzebują.

– Nie ma mowy! Najpierw mi odpowiedz! Chcę doprowadzić tę sprawę do końca!

Marie widziała, że ciśnienie teścia wzrasta: już nie tylko jego twarz, ale także uszy i szyja były ciemnoczerwone. Z drugiej jednak strony nie można było spełniać każdego życzenia tego upartego mężczyzny tylko dlatego, że był teraz chory.

– Cóż... – powiedziała Marie i odwróciła się do niego. – Nie chcę żadnej mamki. Sama wykarmię swoje dzieci. Koniec kropka.

Johann Melzer siedział bez ruchu i wpatrywał się w drzwi, które właśnie, wychodząc, zamknęła za sobą jego synowa. Jak to możliwe? Koniec kropka? Odważyła się. Sprzeciwiła się.

– Wykapana córka tej Hofgartner. Uparta i krnąbrna jak jej matka. Aż do samopoświęcenia...

Czuł, że narasta w nim gniew. Nie pozwoli, żeby doprowadziła siebie i jego wnuki do całkowitego wycieńczenia! Wstał i pokuśtykał do drzwi. Po drodze musiał się przytrzymać komody, bo właśnie stracił czucie w lewej nodze.

– Jutro zatrudnię mamkę! – Jego głos grzmiał przez cały korytarz. – Niezależnie od tego, czy łaskawej pani Marie Melzer się to podoba czy nie!

Else, która szła teraz z pustą tacą do jadalni, przystanęła przerażona i zrobiła taką minę, jakby gniew Melzera był w nią wymierzony.

– Przepraszam, panie dyrektorze – wyszeptwała. – Ale przyjechano z wizytą.

– Z wizytą? – warknął. – Ktokolwiek to jest, jestem teraz w fabryce. Mój płaszcz. I kapelusz. I oczywiście kamasze.

– Tak jest, panie dyrektorze Melzer. To pana córka Katharina jest w holu na dole.

Chciał przejść obok niej, ale zatrzymał się i oddychał głęboko. Kitty! Czy nie może być choć jednego dnia, żeby ta dziewczyna nie pojawiła się w posiadłości? Z całą pewnością nie czuła się w willi Bräuerów zbyt komfortowo, zwłaszcza gdy Alfons Bräuer był na froncie. Właściwie to dobrze, że dzisiaj przyszła. Może jej obecność mu się przyda.

– Tatusiu? Gdzie jesteście wszyscy? Gdzie mama?

Miała na sobie długą, jasnoniebieską kurtkę i długą do kostek, wąską spódnicę. Jeśli ktoś nie wiedział, że jest przy nadziei, na pewno by tego nie zauważył.

– Ach, łaskawa pani dyrektorowa Bräuer! – zażartował, choć wiedział, że nie znosi

tego tytułu.

– Och, tato, ledwie weszłam do domu, a ty już musisz mnie denerwować! Nie jestem żadną dyrektorką banku, z pieniędzmi i rachunkami nie mam nic wspólnego. To domena Alfonsa. Biedny mój, jego ostatni list brzmiał naprawdę niepokojąco. Myślę, że on tam przechodzi straszne rzeczy. Zostało coś jeszcze ze śniadania, tatusiu? Czuję, że ja i moje dziecko jesteśmy nieprawdopodobnie głodni! Bo po drodze byliśmy jeszcze u doktora Greinera.

Objęła go za szyję i ucałowała w oba policzki. Odkryła przy tym, że jest mocno rozpalony, i powiedziała, że powinien natychmiast odpocząć. A gdzie jest mama? Na górze w swoim pokoju?

– Nie jest chora, prawda?

– Ależ nie. Po prostu nie czuje się jakoś szczególnie doskonale, nic więcej. Chodźmy do jadalni, Kitty. Sądzę, że jest tam wciąż szynka i masło, może nawet kawa. Chętnie zamienię z tobą kilka słów na temat Marie.

Kitty pozwoliła mu się zaprowadzić do jadalni i opowiedziała podekscytowana, że doktor Greiner usłyszał dzisiaj bicie serca jej dziecka.

– Położył wielki stetoskop na moim brzuchu i słyszał kołatanie tego małego serduszka. Jakie to wspaniałe, że w moim brzuchu rośnie życie. Dziecko będzie bardzo silne po tobie, tato, czuję to – świergotała i zrobiła sobie kanapkę z potrójną warstwą szynki. – Wyobraź sobie to: każdego ranka punktualnie o siódmej ten mały urwis zaczyna przewracać się w moim brzuchu. Myślę, że jest wyznawcą idei Turnvatera Jahna² i robi tam swoją poranną gimnastykę. – Wzięła spory kęs kanapki i mówiła dalej: – A czy Paul napisał? Nie? Ja też nie mam od niego nowej wiadomości. Czy mama ci już mówiła, że zielona suknia już jest na mnie za szczupła? Katastrofa! Niedługo będę musiała się zawijać w prześcieradło, bo wszystkie rzeczy będą na mnie za małe. Będę musiała pomyszkować w szafie Marie!

Melzer nie próbował przerwać tyrady córki, był do tego przyzwyczajony i lubił jej żywotność. Wiedział też, że nie było sensu próbować odpowiadać na jej pytania, bo zbyt szybko przechodziła od jednej kwestii do drugiej. Teraz jednak, gdy pojawiło się imię Marie, szybko przejął pałeczkę.

– No właśnie, Marie. Bardzo się o nią martwię, Kitty. Zauważyłaś, jak bardzo jest blada i wychudzona?

Kitty spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, ale nie odpowiedziała, bo wyraźnie poświęcała się teraz przeżuwananiu kanapki z szynką i ogórkiem. Przytaknęła tylko, przełknęła i jadła dalej. Gdy on dawał upust swojej złości na upór Marie i wspominał, że ich matka Alicia każde ze swoich trojga dzieci pozwoliła karmić mamkom, a do tego jeszcze zatrudniała opiekunkę, Kitty obsługiwała się dalej: wypila szklankę mleka, wyjadała marmoladę truskawkową i na grubość palca posmarowała masłem kawałek chleba żytniego. Wreszcie biorąc głęboki wdech, wytarła usta i ręce serwetką, i odchyliła się do tyłu na krześle.

– Wiesz co, tatku – powiedziała i spojrzała na niego figlarnie. – Te sprawy zostaw lepiej Marie. Ja na przykład nie chcę ani karmić, ani przewijać pieluch. Ale Marie jest inna. Czy ten list jest do mnie? Faktycznie jest. A od kogo? Simon Treiber? Może to jakiś

znajomy Alfonsa?

Wytarła nóż w serwetkę i rozcięła kopertę. Przez krótką chwilę, marszcząc czoło, wodziła wzrokiem po ściśle zapisanej kartce i wreszcie zniecierpliwiona włożyła ją z powrotem do koperty.

– Wiesz co, tatku, chcę cię o coś zapytać. Wyłącznie między nami. I proszę, pod żadnym pozorem nie zdradź Elisabeth, że ci o tym powiedziałam. Obiecasz mi to? Tak? Musisz mi obiecać, bo w przeciwnym razie nie mogę powiedzieć ani słowa...

– Miałem nadzieję, że zamienisz z Marie kilka słów... – próbował przeforsować swój pomysł, ale daremnie. Kitty nie nadawała się na jego sojusznika, zresztą mógł się przecież tego domyślić.

– Jest więc tak, tatusiu – powiedziała półgłosem, patrząc w stronę drzwi, bo wydawało się jej, że coś usłyszała. – Elisabeth była u mnie wczoraj po południu. W bardzo miłej atmosferze piłyśmy razem kawę i plotkowałyśmy. Przede wszystkim o tej aktorce i tancerce, o której mówi teraz cały Augsburg. Ona wykonuje złożony program o tematyce patriotycznej i występuje w niesłychanie prowokacyjnych strojach. Tak, cóż, rozmawiałyśmy więc o wszystkim. I gdy Elisabeth już zbierała się do domu, zapytała mnie o coś. Nie, nie mogę wręcz w to uwierzyć. Więc zapytała mnie...

Inaczej niż miał w zwyczaju, tym razem Johann Melzer słuchał swojej córki z wielką uwagą. Wreszcie pokiwał głową.

– Zapytała, czy nie mogłabyś jej pożyczyć trochę pieniędzy, prawda?

Niebieskie oczy Kitty spojrzały na niego bezradnie. Tak, tak właśnie było. I ona oczywiście dała trochę Elisabeth. Niedużo, bo tylko dwieście marek, które znalazła jeszcze w swojej szkatułce. Ale jakże to jest okropnie bolesne. A na dodatek musiała przysiąc Elisabeth, że nikomu nie powie o tym ani słowa.

– Ale ty jesteś moim tatusiem i nie mam przed tobą tajemnic. Zwłaszcza jeśli chodzi o tak przyziemne sprawy jak pieniądze.

– A nie zapytałaś, na co są jej potrzebne te pieniądze?

Elisabeth wyjaśniła, że dochody jej męża w czasie wojny zostały znacznie ograniczone. Brakuje pracowników płci męskiej, więc wpływy są minimalne, nie ma żadnych nadwyżek.

– Powiedziała, że odda mi wszystko, gdy skończy się wojna. Wiesz co, tatku, ja się zupełnie nie martwię o tę kwotę, boję się tylko, że moi teściowie mogli coś zauważyć.

Stary dyrektor Bräuer jest ohydny skąpcem, nie pozwala sobie nawet na kupno nowego garnituru i uważa, że jego syn wydaje zdecydowanie zbyt wiele na prowadzenie domu. Nie mówiąc już o takich zachciankach jego młodej żony jak fantazyjne meble, drogie ubrania, buty, torebki, kapelusze, koronkowe rękawiczki i biżuteria.

Johann Melzer odetchnął głęboko, żeby zwalczyć ogarniający go niepokój. Słusznie więc przypuszczał, że von Hagemannowie są bankrutami. Dlatego ten podejrzany chłopak, który wtedy był porucznikiem, a dzisiaj jest majorem, Klaus von Hagemann, poprosił o rękę jego córki Elisabeth. Wykorzystano ich jako bogatą rodzinę Melzerów – właścicieli fabryki tekstyliów, którzy zostali spowinowaceni z bankierami Bräuerami – żeby mieć możliwości brania pożyczki. Wojna chwilowo zniosła wszelkie zastrzeżenia wierzycieli i major von Hagemann mógł służyć w cesarskiej armii i zbierać

medale. Dobra, które rodzina posiadała nieopodal Brandenburgii, już dawno zostały sprzedane. Elisabeth również matkę prosiła o pieniądze i Alicia dwukrotnie była na tyle słaba, żeby ulec jej prośbie.

– Nie powinnaś już nigdy więcej pożyczać pieniędzy swojej siostrze – powiedział.

– Tak sobie pomyślałam, tato. Ale co mam zrobić, gdy Elisabeth mnie o nie poprosi? Ona jest przecież moją siostrą i... tak bardzo mi jej szkoda.

Patrzcie no, pomyślał wręcz z rozbawieniem. Jeszcze niedawno jego córki skakały sobie do gardeł jak furie, drapały się, gryzły, wrywały sobie włosy. Ale to było dwa lata temu. Od tamtego czasu dużo się wydarzyło.

– Jeśli Lisa faktycznie potrzebuje pieniędzy, powinna o tym powiedzieć nam, swojej rodzinie, i razem musimy postanowić, co zrobić – powiedział stanowczo. – Ona jest naszym dzieckiem, tak jak ty i Paul. Będziemy ją wspierać. Tylko ja nie lubię, gdy robi się takie tajemnice.

Kitty przytaknęła ochoczo i wydawało się, że jej ulżyło. Tak, właśnie tego oczekiwała od swojego tatusia. Jasnych wskazówek. On wziął na siebie odpowiedzialność, Lisa musiała tylko mu się zwierzyć.

– Wiesz co, tatusiu? – powiedziała i odchyliła głowę na bok z chytrym spojrzeniem. – Porozmawiam z Marie. Jak kobieta z kobietą, rozumiesz? Choć to nie moja sprawa, co ona wymyśliła.

Uśmiechnął się i wyraźnie ucieszył. Taka była jego Kitty. Diablica. Grała mu na nosie, a wiedziała doskonale, czego od niej oczekiwał.

– A tak w ogóle, jak to będzie wyglądało, jeśli żona Paula Melzera będzie sama karmiła swoje dzieci jak wieśniaczka. Przecież możemy sobie pozwolić na zatrudnienie mamki i opiekunki, prawda, tatusiu?

– Naturalnie – odpowiedział, ale bez większego przekonania. Sytuacja fabryki tekstyliów rodziny Melzerów nie była dobra. Gdyby nie dołożył sporej sumy z własnych oszczędności, zakład już by nie funkcjonował. Brak materiału – brak produkcji. Gotował się ze złości, gdy pomyślał o tym, jakie fortuny zbijają teraz huty i fabryki maszyn, którym udało się zdobyć zamówienia na produkcję broni i amunicji. On mógł przyjąć tylko jedno zlecenie, które dawało jego pracownikom zajęcie na kilka tygodni. Musieli czyścić łuski, które potem ponownie były napełniane. Nędzna, brudna praca, ale wciąż lepsza niż brak jakiegokolwiek zatrudnienia.

– Muszę już iść do zakładu – powiedział i podniósł się z trudem. – W przeciwnym razie Lüders pomyśli sobie, że może tańczyć na stole.

Kitty przyskoczyła do niego i podparła go, aż odzyskał władzę w lewej nodze.

– Możesz przecież wziąć mój samochód. Ludwig, którego mój teść zatrudnił, gdy ten przeszedł na emeryturę, to doskonały szofer! I cieszy się z każdego metra, który może przejechać w nowym aucie.

Ojciec machnął tylko ręką. Benzyny było zbyt mało, by bezsensownie ją zużywać – mruknął. Niedługo w ogóle nie będzie dostępna dla zwykłych obywateli. Mały spacer dobrze mu zrobi.

Kitty została w jadalni. Wzięła pośpiesznie ostatni plaster szynki i chciała pójść do Marie, gdy rzucił się jej w oczy list leżący na dywanie. Ach, no tak, to była ta dziwna

wiadomość od tego, jak on się nazywał? Ach, Simon Treiber. Pochyliła się i podnosząc list z podłogi, czuła zachwycona, jak dziecko porusza się w jej brzuchu.

– Nie ma strachu – szepnęła i pogładziła wybrzuszenie, które jej kurtka tak doskonale maskowała. – Wszystko dobrze, moje maleństwo. Mama też od czasu do czasu robi sobie trochę gimnastyki.

Wzdychając, podniosła się i usadowiła z powrotem na krześle, żeby wreszcie przeczytać list. Cóż to za rozchwiane pismo! Czy to naprawdę pisał mężczyzna? Wyglądało bardziej na charakter pisma kobiety, tyle było zakrętasów, a zamiast kropki nad literką „i” ktoś rysował małe kółeczka.

Szanowna Panienko Katharino Melzer,

Piszę do Panienki w imieniu pewnego młodego mężczyzny, który leży tutaj w szpitalu polowym i ogromnie mnie prosił, żebym nadała do Panienki tę wiadomość. Nie będę ukrywała, że nie jest z nim zbyt dobrze i jest to też powód, dla którego spełniam jego prośbę, bo nie jest moim obowiązkiem pisanie do bliskich powierzonych mi rannych...

Paul! Jej brat, jej biedny Paul! On leży w szpitalu polowym w... Szukała teraz koperty, którą bezmyślnie rzuciła na stół. Co jest tam napisane? Antwerpia? Dlaczego Antwerpia? Czy on nie był we Francji? Poczowała gwałtowne pulsowanie w skroniach, bicie jej własnego serca wstrząsnęło całym jej ciałem. Ach, ta głupia ciąża! Wcześniej nie zdarzało się jej coś takiego. Co napisał ten człowiek? Że nie jest z nim za dobrze? O Boże! Ale może nie chodzi o Paula, tylko o Alfonsa? Tego delikatnego, dobrodusznego mężczyznę, którego żoną była od wielu miesięcy, naprawdę go nie kochając, i który – ponieważ nosiła pod sercem jego dziecko – z dnia na dzień stawał się jej bliższy. Mimo wszystko, gdyby miała wybór, wołałaby, żeby Alfons leżał w tym szpitalu, nie jej drogi Paul. Nie, nie Paul. Proszę, tylko nie Paul. Minęła chwila, zanim znów mogła swobodnie oddychać. Dziecko też poczuło to zdenerwowanie i zaczęło się ruszać w jej brzuchu.

Zgodnie z życzeniem mojego pacjenta nie ujawniam jego nazwiska, podejrzewam jednak, że podczas czytania tego listu domyśli się Panienka, o kogo chodzi. Oto jego własne słowa, o których przestanie prosił:

Moja najdroższa Kitty! Dniami i nocami moje myśli krążą wokół Ciebie i nie marzę o niczym innym, tylko byś mi przebaczyła. Wyrwałem Cię z Twojej rodziny, nie mogąc Ci zaoferować ani domu, ani godnego życia. Jak tchórz bałem się poprowadzić Cię przed ołtarz, uległem presji rodziny, poświęcając moje i Twoje szczęście. A poświęcenie to okazało się daremne. Jeśli wola Boga jest zabranie mnie z tego świata, mój los nie będzie lepszy od losu moich towarzyszy, i nie mam prawa buntować się przeciw temu...

Kitty pozwoliła, żeby list upadł na podłogę, jej ręce trzęsły się tak bardzo, że nie

była w stanie dalej czytać. Nie, nie Paul, Bogu dzięki. I również nie Alfons. To był ktoś inny. Sądziła, że dawno zapomniała o Gérardzie Duchampsie. Ich lekkomyślna ucieczka, fascynujące życie w Paryżu, gdy ciągle zmieniali mieszkania i hotele, żeby nikt ich nie odnalazł. Te cudowne noce, szaleństwa, całe to zakochanie, namiętność, żar... On umiera. Jej ukochany leży w szpitalu polowym w Antwerpii ciężko ranny – śmierć zagląda mu w oczy. I, co najgorsze, myśli teraz o niej. Gérard zachował w swoim sercu miłość do niej. Łza spłynęła na papier, zaraz potem druga. Słowo „ołtarz” zaczęło puchnąć, kontury liter się rozplływały, a gdy poruszyła kartkę, dwie łzy namalowały dwie nierówne ścieżki, prowadzące przez kilka rzędów gęs-to stawianych liter. Dlaczego jej to zrobił? Dlaczego postawił ją w takiej sytuacji? Co chciał tym osiągnąć? Mrugnęła i wytarła wierzchem dłoni mokre policzki, szukając w torebeczce chusteczki. Dlaczego znów żadnej nie zabrała?

Szanowna, łaskawa panienko Katharino Melzer, nie znając Panienki, pozwalam sobie przekazać błagalną prośbę mojego pacjenta. On prosi jedynie o kilka linijek, pewność, że mu Panienka wybaczyła, na pewno przyniesie mu ogromną ulgę. Oczywiście zależy teraz tylko od Panienki, czy zdecyduje się Panienka spełnić jego życzenie, czy będzie wolą milczeć. Gdyby jednak Panienka, tak jak ja, każdego dnia musiała stawiać czoła cierpieniu i śmierci dotykających tak wielu młodych mężczyzn, wtedy na pewno by Panienka zrozumiała, że w tych czasach duma i konwenanse nie mają już żadnego znaczenia. Z prośbą o wybaczenie mojej śmiałości, oczekująca na odpowiedź

Simone Treiber

Siostra wolontariuszka

w szpitalu polowym w Antwerpii

Kitty musiała spojrzeć dwa razy na podpis, zanim zrozumiała. Nie „Simon”, tylko „Simone Treiber”. Pielęgniarka napisała ten list. On pragnie tylko kilku linijek, pomyślała i poczuła, jak jej dziecko przewraca się w brzuchu, jakby przeciwstawiało się jej zamiarowi. Oparła się z powrotem na krzesło, głęboko oddychając i patrząc w sufit, zdobiony okrągłą rozetą, z której środka zwisał sześcioramienny żyrandol wykonany z brązu. Kto mógłby mieć jej za złe, gdyby wysłała krótki list do Gérarda. Czy Simone Treiber nie miała racji? Czy to nie naiwność podążać w zgodzie z dziwnymi konwenansami w obliczu zbliżającej się śmierci? Ale czy nie byłoby to nielojalne wobec Alfonsa? Gérard był niegdyś jej kochankiem. Zabrał ją do Paryża, gdzie mieszkali razem, będąc w szalonym związku. Wyszłaby za niego za mąż, nawet bez zgody rodziców, ale

Gérard zachował się jak tchórz, nie oświadczył się jej, więc go opuściła. Co to była za dzika, szalona i namiętna miłość! Lepiej już o tym nie myśleć. Nie, kochała Alfonsa, był jej wsparciem i czułym kochankiem, był mądry i delikatny i będzie dobrym ojcem... Skrzywiła się, gdy Else weszła do pokoju z tacą, żeby zebrać naczynia po śniadaniu.

– Czy źle się pani czuje, pani Bräuer?

Kitty uśmiechnęła się sztucznie i wyjaśniła, że list od najdroższej przyjaciółki wzruszył ją do łez. Złożyła list i razem z kopertą wsadziła do swojej torebki.

– Pani matka prosiła, żeby pani na chwilę do niej zajrzała. Ma co prawda lekką migrenę, ale bardzo się cieszy z pani odwiedzin.

Mama była teraz ostatnią osobą, którą chciała widzieć. Tylko jedna osoba mogła jej pomóc w tej strasznej sytuacji i to jej całkowicie ufała.

– Dziękuję, Else.

Wyszła z jadalni, poszła schodami na drugie piętro i zapukała do pokoju Marie. Nie otworzyła jednak Marie, lecz Auguste.

– Muszę natychmiast porozmawiać z moją szwagierką.

Było słycać kwilenie, nerwowy głos Marie, a Auguste miała odesłać odwiedzającą ją osobę, bo Marie nie miała teraz czasu.

– Za godzinę, łaskawa pani – powiedziała Auguste z żalem i zamknęła drzwi.

Kitty była zupełnie oszołomiona. Za godzinę? Co Marie sobie myśli? Potrzebowała swojej bratowej teraz, natychmiast, tu na miejscu. Ona nie miała prawa zajmować się sama swoimi dziećmi!

2 Friedrich Ludwig Jahn, zwany także Turnvater Jahn – niemiecki dowódca wojskowy i pedagog. Uznawany jest za twórcę gimnastyki sportowej.

Eeee, messieurs les soldats... kawa jest gotowa. *Levez-vous!* Wstańcie!

Słabe światło, wpadające do stodoły, gdy otwarto jej wrota, obudziło śpiących na podłodze mężczyzn oraz przestraszyło stadko szarych myszy, które niczym małe torpedy umykały w porzucane siano, żeby pod nim znaleźć schronienie.

– Już idziemy – warknął Hans Woltinger. – *On arrive...*

Humbert leżał zwinięty w kłębek z rękami skrzyżowanymi pod brodą i nogami przyciągniętymi do klatki piersiowej. Nie zareagował. Tak jak każdego kolejnego przekłętego ranka miał nadzieję, że po prostu go tutaj zostawią i nikt sobie o nim nie przypomni. Dlaczego nie mógł się zamienić w kopkę siana albo stać się drewnianymi grabiami, które przez całą wojnę, nawet gdy dzieje się najgorsze, wiszą sobie spokojnie na haku wbitym w ścianę.

– Cholerne pchły! – wychrypiał Julius Kerner i podrapał się tak mocno, żeby wszyscy słyszeli. – Oczywiście zawsze wszystkie są na mnie. Mam słodką krew, więc ciągle żrą tylko mnie.

Z miejsca, w którym przygotował sobie legowisko czwarty mężczyzna, mały Jakob Timmermann, dochodziło ciche pojękiwanie. Gdy jednemu z koni wyskrobywał wczoraj kopyto, ten odwdzieczył mu się dość paskudnym kopniakiem. Timmermann co prawda uskoczył do tyłu, ale ta złośliwa klacz dosięgła jego goleni. Humbert bardzo się przestraszył, gdy to zobaczył, i upuścił wiadro z wodą. Za co oczywiście podoficer Krüger „szlifował” go przez pół godziny.

– Jak się czujesz, Timmermann? – zapytał Hans Woltinger.

Żyłasty Woltinger był trochę starszy niż pozostali trzej mężczyźni, a w cywilu pracował jako nauczyciel w wiejskiej szkole. Pewnie dlatego sądził, że musi nadawać ton całej grupie. Humbert z trudem go znosił. Bardziej jednak nienawidził Juliusa Knera, bo był to odpychający typ. Gdy żuł, nie zamykał ust, tak że ślina mu ciekła i widać było, jak jego małe, rzadkie zęby zgniatały to, co właśnie jadł.

– Mocno spuchnięta – zameldował Timmermann. – Ale mogę chodzić. Ech, cholerny gnojek!

Jęknął głośno. Prawdopodobnie wstał i próbował rozciągnąć nogę. Woltinger zapalił zapalkę i żółtawy blask lampy rozświetlił nieco panującą w stodole ciemność. Dzięki temu zobaczyli szarozielone siano, z którego zrobili sobie posłania, i szerniałe od lat belki dachowe, z których zwisały pajęczyny. Deski pod ich stopami nie w każdym miejscu były szczelne, z pęknięć wydobywały się duszące opary z obory, znajdującej się tuż pod nimi. Nic nie mogło być bardziej obrzydliwego niż ten lepki odór gnoju, który oblepiał wszystko, dosłownie wszystko: ubrania, włosy, skórę. Humbert był przekonany, że nawet jego oddech śmierdzi świeżym gnojem, i brzydził się samego siebie.

– Już, mały, wstawaj. Nie chcemy mieć przez ciebie kłopotów.

Energiczny kopniak skierowany prosto w jego zadek sprawił, że Humbert zebrał się w sobie. Przez krótką chwilę wpatrywał się jeszcze w migotliwe światło lampy, którą

Woltinger nad nim trzymał, a potem zamknął oczy, oślepiiony blaskiem.

– Nie zapomnij koca pod siodło...

Nie było najmniejszych szans, żeby zanurzyć się znów w słodką ciemność snu, jedyne schronienie tutaj, w tym ziemskim piekle. Musiał wstać. Zrezygnować z pozycji ochronnej, w którą był zwinięty, i wystawić się na wilgotne zimno i bezlitosne, oceniające spojrzenia tak zwanych towarzyszy. W dodatku musiał się pośpieszyć, bo gdy Woltinger zejdzie na dół z latarnią, on będzie musiał po ciemku schodzić po drabinie do obory. Było to śmiertelnie niebezpieczne przedsięwzięcie, bo można było przeoczyć pęknięcia w podłodze i spaść. Humbert usiadł, zdjął z ramion derkę, wkładaną pod siodło, strzepnął ją i złożył. Zakaszał. Siano było mocno zakurzone, wszystko było pokryte szarym pyłem. Na dole w oborze jego towarzysze z werwą oddawali mocz. Podobnie robili mężczy członkowie rodziny belgijskich rolników. Prawdopodobnie zimą również kobiety przychodziły sobie ulżyć pomiędzy pięcioma łaciatymi krowami, ale kobiety były bardziej dyskretne, nie robiły tego nigdy, gdy którykolwiek z niemieckich żołnierzy był w pobliżu. O wynalezieniu sedesu tutaj na wsi nikt nie słyszał. Humbert wcisnął się w kąt, odwrócił się do mężczyzn i krów plecami i zaczął rozpinać rozporek w spodniach. Już sądził, że zostawili go w spokoju, ale tuż przed tym, zanim skończył, ktoś walnął go w prawe ramię tak, że się ubrudził.

– Masz marmoladę truskawkową? – zapytał Julius Kerner. – I masło?

– Masło się skończyło.

– Skończyło się? Jaka szkoda! Ej, Jakob! Nie dostałeś wczoraj przypadkiem paczki? Było tam masło?

– Masło nie. Ale kiełbasa. I pasta z sardeli.

– Pasta z sardeli? Fuj, diabelstwo!

Humbert szybko doprowadził do porządku mundur. Marmoladę miał w kieszeni kurtki. Brunnenma-yer włożyła ją do metalowej puszk. Ach, droga Fanny Brunnenmayer! Gdyby nie pisała do niego listów, nie wysyłała paczek, pewnie by się powiesił na pierwszej belce. Albo przynajmniej spróbował... Nie, nie zrobiłby tego. W Wijnegem powieszono dwóch belgijskich sabotażystów – wyglądali okropnie. Mieli zupełnie białe twarze, a języki zwisały im z ust.

Czterej niemieccy żołnierze weszli przez oborę do izby rodziny rolników, w której czekało na nich przygotowane śniadanie. Humbert zorientował się dopiero po kilku dniach, że ci ludzie mieli tylko jedno pomieszczenie, w którym jedli, spali, uprawiali miłość, rodzili się i umierali. Kury biegały im między nogami, stary kocur leżał na skrzyni przy piecu, a kudłaty brązowy pies skulił się pod stołem, w nadziei że coś dla niego spadnie. Siedziano przy stole blisko siebie, bo rodzina była bardzo duża. Ojciec, matka, dwie starsze i trzy dorastające córki, dwaj synowie, w wieku dwunastu i pięciu lat, i jeszcze jedna spóźnialska z rodzeństwa – śliczna dwuletnia dziewczynka o blond włosach. Wszyscy mieli okrągłe twarze, jasne, proste włosy. Byli to dobroduszni ludzie, którzy bez żadnej urazy zakwaterowali niemieckich żołnierzy i posadzili przy swoim stole, jak własnych synów. Była kawa z mlekiem, chleb, masła niewiele, a o marmoladę czy kiełbasę starali się żołnierze, którzy stawiali na stole przysyłane im produkty. Humbertowi przeszkadzał wprawdzie fetor obory, który roznosił się po całym domu, ale

same posiłki były znośne. Pominąwszy to, że nikt tutaj nie jadał nożem i widelcem, bezwstydnie oblizywano palce, mlaskano, bekano, a kawę piło się, okropnie przy tym siorbiąc.

Prawdziwe piekło zaczynało się jednak dopiero później. Tuż przed siódmą – niemieckiej punktualności przestrzegano wszędzie – stawał się wraz z towarzyszami w stajniach. A tych było kilka, bo przystosowano do tej funkcji wiele budynków we wsi. Stajnia, w której Humbert i pozostali pełnili służbę, wcześniej była jedną z klas w wiejskiej szkole. Trzeba było tam chodzić w deszczu i wietrze. Kto posiadał pelerynę przeciwdeszczową, jak Jakob Timmermann i Hans Woltinger, nie miał źle, ale Humbert i Julius Kerner niemal każdego ranka docierali do stajni zupełnie przemoczeni. Choć i tak można się było cieszyć, że przynajmniej w stajni było sucho, ponieważ woda zalała cały kraj. W stajni czekał już na nich podoficer Krüger, zupełnie łysy, z czerwonawymi wąsami, odrażający, arogancki pedant, z którym Humbert szczególnie miał na pieńku.

– Pan kamerdyner włożył już pończoszki? No to żwawo, bo inaczej będziesz robił dwadzieścia pompek tutaj, na końskim nawozie...

Humbert nigdy nie miał do czynienia z końmi, początkowo bał się tych dużych zwierząt, ale później zorientował się, że przy całej swojej sile były one wyjątkowo posłuszne. Z czasem zaczął też je traktować jak towarzyszy niedoli, te niewinne stworzenia, które zmuszano do biegania pod gradem kul, które były ranione przez granaty i zdychały zapomniane, nie rozumiejąc zupełnie, dlaczego je to spotyka. Konie w tej stajni na szczęście były w dobrym stanie, niektóre z nich zostały przejęte od belgijskich rolników, gdzie nie służyły do jazdy, ale teraz na większości z nich jeżdżono, musiały więc nie tylko być pojone i karmione, ale też musiały być przysposabiane do jazdy wierzchem. Do prawie ósmej godziny żołnierze musieli się uwinąć z wyrzuceniem gnoju, nakarmieniem i oczyszczeniem koni, przy czym podoficer ciągle się pętał między nimi, zrządził i zawsze miał powód do niezadowolenia. Poza Humbertem jego „ulubieńcem” był Jakob Timmermann. Krüger nienawidził młodego mężczyzny przede wszystkim dlatego, że przed wojną był studentem filozofii i kiedyś wyciągnął z kieszeni kurtki egzemplarz *Fausta* Goethego. Według niego Jakob był intelektualistą, a więc nieznośnym mądrąłą, któremu trzeba było pokazać, że w jego pułku takich jak on uważano za całkowite gówno.

– Spójrz na to! Ty to nazywasz wyczyszczonym? To jest syf!

Klepnął brązowego wałacha dłonią w zad i zrobił biednemu Jakobowi piekło, bo z konia uniosła się delikatna chmurka pyłu. Tymczasem nie była to wina Jakoba, bo wczoraj wałacha czyścił Julius Kerner. Kerner wiedział jednak, jak się przypodobać. Chodził przygarbiony, ze służalczym uśmiechem i przy każdym najdrobniejszym poleceniu odpowiadał „rozkaz, panie oficerze!”.

Mimo bolącej nogi nieszczęsny Jakob musiał wykonać kilka pompek, oczywiście w końskim nawozie. Krüger był perwersyjnym potworem. Humbert poczuł wtedy irracjonalne pragnienie, żeby wysmarować te paskudne wąsy podoficera końskim łajnem. Było przyjemnie wyobrazić sobie tę sytuację w najdrobniejszych szczegółach. Jak Krüger wrzeszczy i pada prosto w gnojówkę. Jak klacz wpada w panikę i stąpa po nim. A Krüger ma w otwartych ustach pełno końskich odchodów. Cudowne! Humbert był zbyt

tchórzliwy, żeby naprawdę to zrobić. Następstwem byłoby więzienie albo jeszcze gorzej, a to byłaby zbyt wysoka cena za odrobinę satysfakcji.

– Siodła! – rozkazał Krüger i włożył pelerynę przeciwdeszczową.

Jedno spojrzenie przez pokryte brudem okno byłej szkolnej klasy wystarczyło, żeby stwierdzić, że wciąż siarczyście lało. Przemieszczali się w mniejszych oddziałach po podmokłych drogach, potem, po dobrej godzinie jazdy, gdy wszyscy, nawet ci, którzy posiadali peleryny, byli doszczętnie przemoczeni, deszcz przestał padać. Wyszło słońce, okryło blaskiem bure łąki, oświetliło kielkujące na polach oziminy, ukryte między sosnowymi zagajnikami. Piękny, bogaty kraj ta Belgia. Jechali, mijając stare pańskie dworki, imponujące pałacyki, parki, rozpościerające się szeroko w całym kraju. Humbertowi biło mocniej serce, gdy patrzył na te piękne posiadłości. Prezentowały wysoką kulturę, poczucie piękna, tradycję i luksus, uporządkowane życie, określane przez wzajemny szacunek oraz życzliwe międzyludzkie relacje – czyli wszystko to, co kochał i dla czego żył. To było budujące wiedzieć, że wszystko to jeszcze można odnaleźć w świecie, który tak przerażająco się rozpadał.

Powołano go zaraz na początku wojny i, z zaopatrzeniem, kazano maszerować do Francji. Przerazenie, które go ogarnęło na widok zniszczonych miejscowości, do dzisiaj czuje w całym ciele. Dźwięk wybuchających granatów, dobiegający z daleka: plusk, gdy granat był wypuszczany, świszczący huk, przegradzający się w dudnienie, i wreszcie drugi plusk – wybuch. Kiedyś trafił na schron, w którym jeszcze niedawno się zatrzymał wraz z innymi żołnierzami. Pięciu jego towarzyszy rozerwał granat, który tam wrzucono. On uszedł z życiem tylko dlatego, że wyszedł i kucnął w rowie, żeby załatwić swoje potrzeby. Gdy grzebano później tych żołnierzy, po prostu zemdłał. Im bardziej zbliżano się do linii frontu, tym częściej robiło mu się słabo, aż wreszcie stracił przytomność na widok nadlatującego samolotu. Potrząsnięto nim i dano kilka kopniaków, bo wszyscy myśleli, że udaje. Nic nie czuł, dopiero gdy odzyskał przytomność, związał się z bólu. Wreszcie został uznany za niezdolnego do walki na froncie i wysłany do Belgii, by pełnić służbę w okupowanym kraju.

– Jak facet wygląda, jadąc na szkapie? Jak pajac! Plecy proste, uda latają na boki, i kłus. Kłok-kłok...

Gdy wrócili do stajni, zwierzęta znów musiały zostać umyte i wysuszone, nakarmione i napojone, kopyta wyczyszczone... Potem trzeba było umyć własne buty, doprowadzić do porządku siebie i mundur, wyczyścić broń i o dwunastej stawić się na apelu. Niezadowolony Humbert zauważył, że ma plamy na spodniach i że brakuje mu guzika w mundurze, bo zjadł go koń. Śmiertelnie zmęczony w wilgotnym mundurze i mokrych owijaczach wrócił do gospodarstwa. Tam był obiad. Ludzie byli uczynni, od wojska dostawali żywność, ale po prostu nie potrafili gotować. Wieprzowina z puszki, kiszona kapusta, ziemniaki, tłuszcz, wędzona kiełbasa i ser – wszystko to wymieszane w jasnobrązową, grudkowatą maź, którą każdy sobie ciapał na talerz. Julius Kerner, pracownik fabryczny z Kolonii, jadł łapczywie łyżką, również nauczyciel Hans Woltinger jadł za czterech. Jakob Timmermann przycupnął na ławce obok Humberta i patrzył na niego jak cierpiący Chrystus.

– Boli?

– Bardzo. Obawiam się, że kość może być uszkodzona.

– Każ się wysłać do lekarza. Trzy tygodnie w szpitalu. Będziesz leżał wygodnie w łóżku i śnił. Albo czytał...

Timmermann się zaśmiał. Wcale nie chciałby się wylegiwać, podczas gdy jego towarzysze walczą za ojczyznę. Nie migał się od obowiązków. Ojczyzna go wezwała, a on odpowiedział na to wezwanie.

– Jako kaleka nie przysłużysz się ojczyźnie. Lepiej pozwól, żeby cię wyleczyli.

Timmermann zjadł tylko kilka łyżek paci i oddał talerz Kernerowi, który popatrzył na niego zdumiony, ale chętnie wsunął dodatkową porcję.

– Kilka dni i powinno być dobrze. Mogę chodzić, więc raczej nie jest złamana. Nie chcę leżeć w szpitalu, gdy będziemy szli pod Verdun.

Humbertowi wypadła łyżka z ręki, na ławkę spadła pulpa jasnobrązowej mazi, którą natychmiast zajął się pies.

– Pod... Verdun? – wyjąkał.

– Nie słyszałeś? Ach, faktycznie, gdy wczoraj siedzieliśmy, pijąc francuskie wino, ty już spałeś. To niby tylko pogłoska. Ale takie pogłoski zazwyczaj okazują się prawdziwe.

Poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła i próbuje się pozbyć zjedzonego właśnie posiłku. Wstał gwałtownie, potykając się o psa, który usadowił się w pobliżu, otworzył drzwi i w deszczu pobiegł prosto na gnojownik. Wszystko to, co zwymiotował, pochłonął łapczywie pies. Przez dłuższą chwilę Humbert stał pod dachem gontowym budynku gospodarczego. Drżał z zimna, był przerażony. Mijali kiedyś transport rannych żołnierzy, którzy byli przewożeni do szpitala polowego w Antwerpii. Humbert zajrzał przez okienko do środka i widział, że ci mężczyźni byli bardziej martwi niż żywi. Mieli zabandażowane głowy, a jeden z nich zamiast ręki miał obwiązany kikut. Pod Verdun stoczą decydującą bitwę, która poprowadzi ich do zwycięstwa, powiedział kiedyś podoficer Krüger. Jeśli zdobędziemy twierdzę w Verdun, wojna będzie przesądzona. Humbert nie wierzył już w takie gadanie. Zbyt często mówiono o decydującej bitwie, o atakach z zaskoczenia, o Anglikach, których bez problemu pobiją na głowę, o tchórzliwych Francuzach i Rosjanach, którzy nie umieją walczyć. Humbert przeżył wybuch granatu, który wyrwał w ziemi olbrzymi lej i zabił ludzi oraz zwierzęta. Julius Kerner, ten potwór, opowiadał im o okopach, w których leżeli na kupie żołnierze, szczury i myszy. Odkąd zauważył, że Humbert wpada w panikę, gdy słyszy takie opowieści, Kerner prawie każdego wieczoru, gdy siedzieli razem przy winie i palili tytoń, raczył ich takimi historiami. Musieli jeść upieczone szczury, bo nie docierało zaopatrzenie. Czasami też nawet ich nie piekli, bo brakowało opału. Jakob Timmermann powiedział, że Kerner wszystko zmyślił i Humbert nie powinien mu wierzyć, ale już samo wyobrażenie sobie tkwienia w wąskiej dziurze ze szczurami powodowało, że był bliski omdlenia.

Oddychał teraz głęboko, wciągał wilgotne powietrze, patrzył na niski murek, znajdujący się na polu, które spowiła gęsta mgła. Po obiedzie następowała krótka chwila odpoczynku, o wpół do drugiej po południu zaczynała się znów służba w stajni, a potem była musztra, trwająca do czwartej, tortura, po której czuł wyraźnie wszystkie kości. O czwartej wydawano prowiant i dostarczano pocztę, później znowu praca w stajni, a kto

miął pecha, musiał jeszcze trzymać wartę. Inni mieli wtedy wolne, siedzieli razem, pili wino lub piwo, grali w karty, pisali listy.

Nagle zdał sobie sprawę, że to prymitywne, pozbawione celu życie, którego tak nienawidził, jest przywilejem. Bezpieczne miejsca, z daleka od okopów i wybuchu granatów, schronienie przed śmiercią i przerażeniem. Ale to właśnie się kończyło. Wojna, prawdziwa wojna, wzywała go do siebie. Szary szczur wodny wylazł właśnie z pobliskiego rowu i zbliżał się do kompostownika. Widział jego błyszczącą, szorstką sierść, małe nóżki, długi, pozbawiony futra ogon. Zwierzak pogrzebał łapkami w kompoście, poobgryzał zgniłą łodygę kukurydzy i zniknął z prędkością błyskawicy, gdy ktoś otworzył drzwi do izby.

– I jak? – zapytał Woltinger i stał chwilę bez ruchu obok Humberta, żeby mu się uważnie przyjrzeć. – Niestrawność? A masz też sraczkę?

Humbert energicznie potrząsnął głową.

– Jeśli nie będzie ci lepiej, idź do lekarza. Żebyś nas czymś nie zaraził. Biegunką albo czym. Nikomu to niepotrzebne.

Wpatrywał się w Humberta, a gdy ten mu nie odpowiedział, uderzył go lekko ręką w klatkę piersiową.

– Zrozumiałeś, Sedlmayer? A może jeszcze masz gorączkę?

Zanim Humbert zdążył zaprzeczyć, Woltinger położył mu ciężką rękę na czole. Miał długie, szczupłe palce i żółtawe paznokcie, prawdopodobnie z powodu nieleczonej grzybicy.

– Nie mam gorączki! – krzyknął Humbert, odsuwając się od niego. – Nie znoszę tego okropnego, tłustego gulaszu i to wszystko.

Woltinger skrzywił się. Ewidentnie nie podobało mu się, że chłopak ciągle go unikał.

– Jesteś bogatym niejadkiem – mruknął.

Humbert zachowywał się jak mała dziewczynka. Zwłaszcza gdy się mył – nie chciał przy innych ściągać spodni.

– Wyobraź sobie, że jak się wygrzebiez z choroby, znów pójdiesz do stajni!

Humbert nie zareagował ani słowem. Woltinger nie miał mu nic więcej do powiedzenia. Był prostym żołnierzem, tak zresztą jak on sam. Stał bez ruchu, gdy mijali go jego trzej towarzysze, tylko do Jakoba skinął uprzejmie, co miało znaczyć: nie martw się, wszystko ze mną w porządku. Jakob Timmermann uśmiechnął się lekko w odpowiedzi i pokuśtykał za pozostałymi dwoma żołnierzami w stronę obory. Czy powinno się go wysłać ze spuchniętą nogą do Verdun? Raczej nie. Humbert oparł się plecami o mur, bo poczuł nagłe osłabienie, nogi odmówiły mu posłuszeństwa i musiał usiąść. O mało nie stracił przytomności, ale na szczęście potrafił to jeszcze opanować. Siedział w bezruchu, ciężko oddychając, ale gdy poczuł, że jego spodnie są mokre i zimne od wilgotnej ziemi, powoli wstał. Drzwi do domu otworzyły się ze skrzypieniem i na podwórze wyszła dziewczyna z blond włosami, trzymając w ręce wiadro z odpadkami, które miała wyrzucić na kompostownik. Gdy to robiła, spojrzała w jego stronę.

– *Vous êtes malade?* Chory? – zapytała ze współczuciem.

– Tylko kręci mi się w głowie.

Zrobił palcem wskazującym falistą linię w powietrzu, a ona pokiwała głową ze zrozumieniem.

– *Un café?* Pomaga na to.

Ona również zrobiła palcem linię w powietrzu i zamachała przy tym opróżnionym wiadrem, w którym jednak zostało jeszcze trochę jasnobrązowej mazi.

– Nie... dziękuję... *Merci...* Ja pójdę spać. *Dormir.*

Złożone dłonie podłożył sobie pod prawy policzek. Skinęła głową i uśmiechnęła się szeroko. Jej niebieskie oczy były bardzo duże, a jasne rzęsy niemalże niewidoczne.

– Dobranoc... – życzyła mu i odwróciła się, po czym otworzyła drzwi do izby.

Deszcz zaczął padać mocniej, krople przeciekały przez dach na Humberta, a kałuże przed domem zmoczyły jego buty. Niezdecydowanym krokiem poszedł wzdłuż ściany domu, skręcił za róg do niewielkiej szopy i zastanawiał się, czy mógłby się tam schować. Stał tam stary wózek z drewna, pamiętający z pewnością czasy dziadków rodziny. Na nim były ułożone kosze i worki. W szopie znajdowały się też grabie, widły, łopaty i stara miotła. Może mógłby się ukryć pod tymi workami, nieruchomo niczym kawałek drewna, zanim ktokolwiek zacznie go szukać? Co mogliby zrobić, gdyby tak po prostu zniknął? Rozpłynął się w powietrzu? Znaleźliby go i ukarali. Za takie czyny idzie się do więzienia jako dezerter, z pewnością można zostać powieszonym. Skradał się wokół szopy i dostrzegł ogródek warzywny, otoczony niewielkim murkiem. Szczypiorek wyciągał ciekawie zielone pędy z wilgotnej ziemi, nie zważając zbytnio na to, że może być przymrozek. Idąc dalej, uderzył nogą o drewnianą belkę, potknął się i dopiero teraz zobaczył, że była to drewniana drabina oparta o ścianę budynku i prowadząca do małych drzwiczek, znajdujących się tuż pod dachem. Gołębnik? Na to pomieszczenie było z pewnością zbyt duże, zresztą widział w gospodarstwie kury, kaczki i kosy, ale żadnych gołębi. Rozejrzał się ostrożnie dookoła siebie – na wiejskiej drodze nie było nikogo, tylko na zakręcie prowadzącym do następnej wioski widać było grupę jeźdźców i dwa załadowane pojazdy. Byli zbyt daleko, by poczuł się zagrożony. Wspiął się po śliskich szczeblach drabiny i starał się otworzyć małe drzwi. Udało się to bez trudu, wbiła mu się jedynie drzazga w kciuk, ale ją szybko i łatwo wyciągnął. Wewnątrz panowała głęboka ciemność, powiewały ogromne skrzydła pajęczyn pokrytych kurzem, pachniało brudem, mysimi odchodami, ale również zbożem, owsem albo żytem, nie był pewien.

Poddasze. Nie mogło być wysokie, ale pośrodku mógł stanąć dorosły mężczyzna, lekko garbiąc plecy. Wiatr wiał przez szczeliny między ścianami i dachem, było bardzo ciemno, ale wydawało się sucho. Co tutaj przechowywano? Zboże? Może też owoce, smalec, suszony groch, marmoladę śliwkową? Postanowił wejść do środka i trochę się rozejrzeć. Nie żeby coś ukraść, ot tak po prostu. Musiał tam wejść na czworakach i zasunąć za sobą drzwiczki, żeby nikt go tam nie znalazł.

Dlaczego to robię?, pomyślał, czekając, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Stały tam worki z ziarnami, najpewniej z owsem i jęczmieniem. Pośrodku tego niewielkiego pomieszczenia zobaczył dziwną drewnianą belkę z kilkoma dużymi i małymi kawałkami jakichś tkanin. Gdy ostrożnie podszedł bliżej, zorientował się, że nie było to pranie powieszane tutaj do wyschnięcia. Prześcieradła i koszule, białe długie

kobiece majtki, wykończone koronką, które nosiło się w ubiegłym stuleciu. Dwa solidne gorsety, z których powyciągano sznurki, kilka półdługich podkoszulków, czarna spódnica z porządnej wełny, przetartej już na rantach. Humbert kilkakrotnie przeczołgiwał się wokół osobliwego stojaka na bieliznę i przyglądał się wszystkiemu dokładnie. Czuł chłód, gdy wiatr wiał przez szczeliny dachu i sprawiał, że powieszona prześcieradło zaczynało się unosić do góry. Jak wielkie skrzydła, pomyślał. Skrzydła, na których można wznieść się w powietrze i fruwać z wiatrem. Chwycił wełnianą spódnicę. Spojrzał na pas i zobaczył, że będzie potrzebował paska. Deszcz bębnił w dach i płynął strugami na ziemię, powiększając kałuże na podwórzu.

Humbert zdjął kurtkę od munduru, koszulę, spodnie i bieliznę. Biały podkoszulek z lnu był nieco wilgotny i go ziębił, wzdrygnął się, gdy poczuł go na ciele. Następnie wciągnął długie majtki i przywiązał je w pasie. Później włożył dwie długie halki z lnu, a na to wełnianą spódnicę, którą związał mocno sznurkiem wyciągniętym z gorsetu, który suszył się na stojaku. Górnej części nie znalazł, była natomiast szeroka chusta wełniana do okrycia ramion. Miała ona ciemnoczerwony czepiec, ozdobiony wymyślną koronką, który trzeba było zawiązać pod brodą. Wełniane skarpety były za małe, musiał też włożyć własne buty – nie było nigdzie drewniaków, w jakich chodziły dzieci rolników.

Zwinął mundur i schował za workami z ziarnem. Potem zszedł ostrożnie po drabinie na dół. Musiał uważać, żeby nie przydeptywać spódnicy, i mocno trzymać chustę na ramionach. Wspiął się po murku ogradzającym ogródek warzywny i znalazł się w miejscu, skąd na prawo droga prowadziła do Antwerpii. Po lewej stronie wąska ścieżka pośród łąki biegła wzdłuż strumienia i znikła w sosnowym zagajniku. Oceniał, że do rezydencji, które mijali wczoraj, ma trzy bite godziny porządnego marszu. Szaleństwem było sądzić, że go tam przyjmą. O wiele bardziej prawdopodobne wydawało się, że oddadzą go niemieckim okupantom. Ale co miał do stracenia?

Z okna swojego biura Johann Melzer obserwował, jak kobiety zbierają się na podwórzu fabryki. Ich krzyki słyszał nawet tutaj, na trzecim piętrze, przy zamkniętych oknach.

- Chcemy chleba, a nie pustych obietnic!
- Nasza cierpliwość się kończy.
- Żądamy pełnej wypłaty!

Do buntu zawsze wzywały te same, znał je od lat i zawsze im pobłażał, bo były dobrymi pracownicami. Teraz miał ogromną ochotę je wyrzucić. Czemu tak wrzeszczą? Czy nie żyją w takiej samej sytuacji jak wiele innych kobiet, które w milczeniu znoszą swoją niedolę? Skąd miał wziąć pieniądze, których się domagają? Fabryka stała beczynnie. Żadnej produkcji, żadnej sprzedaży, żadnych dochodów, a więc nie było i pensji.

– Tam w willi jedzą pieczenie wieprzowe i torty z bitej śmietany. A nasze dzieci umierają z głodu na naszych oczach!

To było mocno przesadzone. Brunnenmayer faktycznie upiekła tort na urodziny Alicii, ale to był bardzo mały tort z białym kremem. Bitej śmietany było jak na lekarstwo, głównie wypełniała go marmolada. A pieczeń z wieprzowiny dostają w malutkich porcjach. Dwa cienkie plasterki na osobę. Knedle z bułki, które do niej podano, smakowały podejrzenie – jak trociny.

- Bardzo mi przykro, panie dyrektorze. Nie dają się przepędzić... Wie pan...

Hoffmann uchyliła drzwi do biura tylko do połowy. Widział jej przerażone oczy za okularami i niemalże go to rozbawiło. Lüders najpewniej już uciekła do biura Paula.

- Wiem, panno Hoffmann. Proszę zachować spokój, ja się tym zajmę.

Przytaknęła z ulgą i zapewniła, że to wszystko jest dla niej nieprawdopodobnie nieprzyjemne.

– Co za pech, że młody pan Melzer jest na froncie – dodała. – On miał taką dobrą rękę do rozwiązywania wszelkich problemów z pracownikami.

Zamilkła nagle, bo zdała sobie sprawę, że tymi słowami mogła sobie tylko zaszkodzić. Zaraz dodała więc, że panna Lüders i jej skromna osoba są tuż obok, gdyby ich potrzebował. Wystarczy tylko, żeby je zawołał... Wyszła pośpiesznie z biura, a już na klatce schodowej było słychać krzyki. Melzer usiadł za szerokim biurkiem i zebrał porozkładane na nim dokumenty. Nie było ich wiele: kilka kalkulacji, dwa niewielkie zamówienia, rachunki, kilka pisemnych wniosków.

– Gdzie są sekretarki? – zagrział donośny głos kobiecy. – Zaszyły się gdzieś, damulki. Zamiast dołączyć się do nas.

- One nie są z nami! One czują się lepsze!

Zapadła cisza, a potem Melzer usłyszał szepty i od razu pomyślał, że przy całej bezczelności tego dzisiejszego buntu nie będą jednak tak odważne, żeby tutaj wejść.

- No chodź przecież.

- On nie gryzie.
- No idź, przyprowadziłaś nas tutaj, to mów!
- Bądźcie cicho, ja to zrobię.

Melzer się przygotowywał. Żadnych kompromisów, bo one sprowokują do dalszych żądań. I żadnych obietnic. Robił, co mógł, nie był potworem i starał się pomóc. Nie pozwolił się jednak obrażać ani czegokolwiek na sobie wymuszać. Usłyszał pukanie do drzwi. Najpierw bardziej niepewne, niż się spodziewał, później już zdecydowane. Począł, aż pukanie stanie się tak gwałtowne, że nie będzie mógł dłużej go ignorować.

- Drzwi są otwarte, moje panie.

Klamka puściła, ale drzwi otwierały się wyjątkowo ciężko, bo były podwójnie wzmocnione. Stały na progu, biednie ubrane, w chodakach, a niektóre nie miały nawet płaszcza chroniącego przed wiosennym chłodem. Wpatrywały się wystraszonym, podejrzliwym wzrokiem, ukazującym jednocześnie ich dziką determinację, w białowłosego mężczyznę, który schronił się za swoim biurkiem. Pierwsza odważyła się zrobić krok do przodu i wejść do środka Magda Schreiner, bardzo chuda kobieta z ogromnym nosem, wąskimi ustami i wystającym podbródkiem, który nadawał jej wygląd ptaka.

- Jesteśmy tutaj, bo mamy swoje żądania.

Czekał. W normalnych warunkach jego milczenie by je zbiło z tropu, stałyby się niepewne, zaczęły się ze sobą spierać i byłoby mu znaczenie łatwiej się ich pozbyć.

– Wie pan doskonale, o co chodzi – powiedziała wątła Erna Bichelmayer, podchodząc do Schreiner, stojącej wciąż na środku biura.

Bichelmayer najsprawniej potrafiła nakładać nić na maszyny i na szpule, była zwinna jak łasica, zawsze uzyskiwała najlepsze wyniki. Jej mąż Tobias Bichelmayer na początku minionego roku dostał wezwanie na front. Melzer wiedział, że w rodzinie było czworo dzieci, może nawet pięcioro. Najstarszy jeszcze przed wybuchem wojny pracował w fabryce jako chłopiec na posyłki. Gdy jeszcze dla wszystkich była praca...

– Mogę tylko przypuszczać, moje panie. Obawiam się jednak, że niewiele mogę dla was zrobić...

– Niech pan sobie oszczędzi nieszczerych uprzejmości – powiedziała Schreiner. – Żadne z nas panie. Jesteśmy żonami i matkami, które upominają się o swoje prawa.

– Żądamy tylko tego, co zostało nam obiecane – zawołała młoda kobieta stojąca z tyłu.

Okryta była chustką, więc nie poznał jej od razu. To była Lisbeth Gebauer, miała niecałe dwadzieścia lat. Ale co ona zrobiła z włosami? Gęste, kasztanowobrązowe włosy. Obcięła je i sprzedała? Ta myśl niespodziewanie mocno go zaboląła. Bardziej niż to, że Gebauerowie głodują i nie mają czym palić w piecu.

– Obiecał pan wypłacić pełne wynagrodzenie rodzinom robotników, którzy zostali wysłani na front.

Miały rację. W sierpniu 1914 roku faktycznie to obiecał. Wtedy każdy sądził, że wojna może trwać najwyżej kilka miesięcy, wiele przedsiębiorstw składało takie obietnice, pisano o nich nawet w gazetach, żeby udokumentować patriotyczne postawy obywateli. Niektórzy spryciarze byli ostrożni i obiecywali jedynie sześćdziesiąt procent

wynagrodzenia, inni byli jeszcze mądrzejsi i wycofali się zaraz z takich obietnic. Bóg zdecydował inaczej. Jedynie huty i fabryki produkujące na zamówienia wojenne mogły bowiem wypłacać wynagrodzenia, nie zważając na wydajność pracy. Nic dziwnego, w tych zakładach to jeńcy wojenni zastąpili robotników, których jako żołnierzy wysłano na front.

– My domagamy się tylko tego, co nam obiecano!

– Nie mamy już nic do jedzenia. Żadnego mleka, żadnego chleba. A ziemniaki, które dostaliśmy, są zgniłe...

– Moja matka zmarła w zeszłym tygodniu. Z głodu i wycieńczenia.

Pozwolił im narzekać, gestykulować, dawać upust wściekłości i jednocześnie starał się zachować spokój. Co właściwie je denerwowało? Nie było im lepiej niż tym, którzy zostali zwolnieni? Nie zyskiwały na tym, że jemu zawsze udawało się otrzymać choć kilka małych zamówień? Czyszczenie metalowych łusek z pewnością nie jest przyjemnym zajęciem, ale było lepsze niż siedzenie na ulicy i żebranie.

– Chcemy tego, co nam się należy! – warknęła Schreiner. – Pieniądzy, które przysługują naszym mężom i które im pan obiecał. Każdy mógł o tym przeczytać w gazetach.

Melzer zachował kamienną twarz. Kiedyś już dawno by zwymyślał te bezwstydne baby, a potem je wyrzucił za drzwi. Po ataku serca nie był jednak starym sobą. Faktycznie, ogromna szkoda, że nie było tutaj Paula. Jego syn miał prawdziwy talent, umiał dobierać odpowiednie słowa i mówić właściwym tonem. Jemu, Johannowi Melzerowi, nie było w tym względzie tak łatwo.

– W gazetach faktycznie tak pisano – powiedział w końcu, próbując położyć kres temu buntowi. – Jeśli jednak czytały panie uważnie, musiałyście zobaczyć, że znajdowało się tam również słowo „tymczasowo”...

– On chce się wykpić – szepnęła Lisbeth Gebauer do stojącej obok Bichelmayer. – Oni zawsze się wycofują, ech, kapitaliści...

– Cicho bądź, bo będzie wściekły...

Proszę, proszę, pomyślał Melzer. Panna Bichelmayer jest socjalistką. Ta banda brudasów czerpała swoje zwycięstwo z niedoli ojczyzny i jeszcze mamiała jego pracownice!

– Nawet gdybym chciał – powiedział głośno i uniósł się ze swojego krzesła, żeby lepiej go słyszały. – Nawet gdybym chciał wypłacić wam pensje waszych mężów, to nie jestem w stanie, bo nie mam pieniędzy.

– W to... w to nie wierzymy!

Teraz chciało mu się krzyczeć. Posłał jednak tylko gniewne spojrzenie Bichelmayer, która to powiedziała. Była jedną z jego najstarszych pracownic – wysoka, koścista kobieta, która miała już ponad czterdzieści lat. Nie mógł więc pojąć, dlaczego akurat ona, która od tak dawna pozostawała wierna fabryce Melzerów, była teraz tak napastliwa?

– Czy przyjrzałyście się halom? – wrzasnął. – Czy jakiś selfaktor jeszcze pracuje? Panuje śmiertelna cisza! Nie ma wełny, nie ma bawełny. A gdyby nawet je dostarczono, to i tak nie będzie węgla, żeby silniki parowe mogły zostać uruchomione.

– Dlaczego nie robi pan więc materiału z papieru? – zapytała jedna z kobiet.

Melzer zignorował pytanie i wyjaśniał dalej, jak bardzo się stara zachować chociaż kilka stanowisk pracy. Czy one się choć trochę rozejrzały? Jak to wygląda na przykład w Göggingen? W przędzalni i tkalni kolorowych tkanin Pfersee? W fabryce tekstylnej Bemberg AG? Wszędzie cisza i puste hale. Kto chce zarobić, musi znaleźć zatrudnienie w fabryce maszyn. Na przykład w Epple & Buxbaum. Tam będą pracować na akord. Wiedział, że mówił na wyrost, bo fabryki maszyn nie zatrudniały kobiet. Teraz, gdy wyładował swój gniew i serce znów zaczęło wolniej bić, zrobiło mu się żal tych kobiet. Przyszły tutaj, bo zmusiła je nędza. Nędza i te przekłete socjalistyczne idee, które mieszały im w głowach.

– Nastaną znów lepsze czasy – starał się je uspokoić. – Gdy wygramy wojnę, to przegrany będzie krwawił, a my odzyskamy nasze straty.

Milczały. Magda Schreiner uniosła górną wargę – było widać, że brakuje jej zęba. Erna Bichelmayer kaszlnęła i głośno wypuściła powietrze nosem. Żadna nie ośmieliła się powiedzieć, co naprawdę myślała, ale Melzer to wiedział. A jeśli – nie daj Boże – niemiecki cesarz przegra wojnę? Co się wtedy stanie?

– Wszyscy jesteśmy w rękach Boga – kontynuował. – Tak długo, jak tylko będę w stanie, dam wam pracę i nikogo nie zwolnię. To wszystko, co mogę zrobić. Przykro mi.

Patrzyły w milczeniu. Gniewne uniesienie, które je tutaj przywiodło, minęło. Kto mógł wiedzieć, czy dyrektor kłamał, czy mówił prawdę? To, że maszyny w halach nie pracowały, było faktem. Niezdecydowane przestępowały z nogi na nogę, spoglądały po sobie, i wreszcie najmłodsza z nich Lisbeth Gebauer znalazła w sobie odwagę, żeby odpowiedzieć.

– A co z dodatkowym wynagrodzeniem? Ceny za chleb znowu wzrosły.

Zmarszczył czoło z niedowierzaniem, bo przecież wypłacił im wynagrodzenia za to, ile pracowały. Nie chciał się kłócić, ale nie zamierzał iść na żadne ustępstwa ani dawać jałmużny, bo w przeciwnym razie stałyby tu codziennie z wyciągniętymi rękami.

– W przyszłym tygodniu wracamy do normalnego czasu pracy. Przywiozą plecaki i siodła, trzeba je będzie wyczyścić i naprawić.

Nie była to co prawda żadna nadzwyczajna wiadomość, ale przynajmniej nadzieja na otrzymanie pełnej pensji. Musiały się tym zadowolić. Zaczęły powoli wychodzić. Najpierw te, które stały z tyłu, bo były najbardziej tchórzliwe. Teraz cieszyły się, że się nie ujawniały. Jako ostatnia biuro opuściła Lisbeth Gebauer. Skinęła głową Melzerowi i mruknęła:

– Proszę nie brać nam tego za złe. Trudno stać beczynnie, gdy dzieci płaczą z głodu.

Lubił tę młodą kobietę i mało brakowało, żeby wyciągnął portmonetkę i dał jej do ręki kilka marek, ale tego nie zrobił. Z przezorności. Wtedy wszystkim musiałby coś dać. Postanowił porozmawiać z Alicją. Pani dyrektorowa Wieslerowa i towarzystwo charytatywne powinno przecież coś zrobić. O ile dobrze wiedział, Rudolf Gebauer poległ kilka tygodni temu w Rosji, a Lisbeth miała dwóch małych synków.

Gdy protestujące kobiety zniknęły z klatki schodowej, jego sekretarki odważyły się wrócić na swoje miejsca pracy. Hoffmann zajrzała przez uchylone drzwi do biura

i zapytała z niepokojem, czy wszystko jest w porządku.

– Czy mogę panu zrobić herbatę, dyrektorze?

– Chcę kawę! Bardzo mocną!

– Oczywiście, panie dyrektorze. Robię natychmiast!

Po takiej konfrontacji musiał się wzmocnić mocną kawą. Z żołądziami czy bez, obojętne, byleby dodała energii. Alicia, która wiecznie martwiła się o jego zdrowie, nie mogła się o tym dowiedzieć, bo prawie nigdy nie przychodziła do fabryki. Tylko Paul, gdy wcześniej zdarzały się takie sytuacje, unosił ostrzegawczo brwi, ale nic nie mówił.

Podszedł do okna, żeby sprawdzić, co się dzieje na podwórzu. Kobiety jeszcze się nie rozeszły, stały w pobliżu wejścia i miał wrażenie, że prowadzą żarliwą dyskusję. Co – u licha – tym razem knuły? Czy to nie Bichelmayer wygłasza teraz jakąś gorącą mowę? Oczywiście, że ona. Musi szczególnie na nią uważać, ona ma zły wpływ na pozostałe pracownice. Wiatr targał ich spódnicami. Część nie miała nawet płaszczy, tylko wełniane chusty zarzucone na ramiona, które na deszczu szybko przemokły. I większość prawdopodobnie nosiła chodaki, które zresztą doskonale było słyhać wcześniej na schodach. Nagle znieruchomiał, odsunął mocniej zasłonę i zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć. To przecież ona. Ale to przecież niemożliwe, musiał się pomylić. Widział młodą kobietę w jasnoszarym płaszczu, niewiarygodnie podobną do jego synowej Marie. Trudno było wyraźnie zobaczyć jej twarz, bo przysłaniał ją kapelusz z szerokim rondem i zawiązaną na nim białą, jedwabną wstążką. Ale jej sposób poruszania się, lekki i stanowczy, i wyprostowana postawa – to mogła być tylko Marie. Marie jednak od ponad sześciu tygodni zajmowała się wyłącznie bliźniętami. Co ją sprowadzało do fabryki? Jakaś tragiczna wiadomość? Paul? Nie, o tym nie chciał nawet myśleć. Wtedy Alicia by do niego zadzwoniła i prosiła, żeby jak najszybciej wrócił do willi. Co w takim razie?

Rozgniewany patrzył, jak Marie stoi pośród jego pracownic i z nimi rozmawia. Oczywiście nie sprawiała jej to kłopotu. Przed kilkanaście laty sama przecież pracowała w jakiejś fabryce, choć tylko pół roku, bo potem stamtąd uciekła. Córeczka Louise Hofgartner nie należała przecież do tych, które dziesięć godzin dziennie szyją na maszynie. Może naradzała się z tymi kobietami? To jej niespodziewane przyście wcale mu się nie podobało, choć była żoną jego syna, z którym prowadził fabrykę. Pracownice nazywały ją panią dyrektorową Melzer, choć było wątpliwe, że naprawdę tak o niej myślały.

– Pańska kawa, dyrektorze. Tak mocna, że aż łyżka w niej staje.

Odwrócił się do Ottilie Lüders.

– Niech pani ją zabierze.

– Ale... przecież pan...

Lüders kiedyś była bardziej domyślna. Mruknął jeszcze coś niezrozumiałego i kazał natychmiast przysłać do niego swoją synową – jak tylko pojawi się w przedpokoju. Kawę może wypić panna Hoffmann.

– Pańską synową... Ach tak... Oczywiście, panie dyrektorze.

Teraz wreszcie zrozumiała. Ottilie Lüders – zawsze dyskretna i zawsze troszcząca się o dobro swojego pracodawcy – zniknęła szybko z filiżanką kawy. Był pewien, że będzie teraz stała przy oknie i prosiła Hoffmann, żeby szybko jej wyjaśniła, o co chodzi.

Marie nie było już widać, w międzyczasie zniknęła w budynku administracyjnym. Pracownicy udały się w kierunku bramy, przez którą wypuścił je stróż.

– Panie dyrektorze?

Głos Marie był pogodny, ale jednocześnie pełen ironii. Weszła do jego biura i nagle nazywała go panem dyrektorem. Gdy byli w willi, od dawna nazywała go tatą. Zaproponował to po ślubie jej i Paula raczej niepewnie i wyłącznie dlatego, że Alicia poprosiła Marie, by mówiła do niej mamó. Potem nie mógł już tego cofnąć.

– Wielce szanowna synowo! – odwarknął i podszedł do niej, żeby pomóc jej zdjąć płaszcz. – Jakiż to zaszczyt, że w moim skromnym biurze...

Rozwiązała jedwabny szal, zdjęła kapelusz, palcami przeczesła włosy i odsunęła wystające loki na swoje miejsce. Spacer na świeżym powietrzu dobrze jej zrobił, policzki miała zaróżowione, a twarz wyglądała na pogodną, wypoczętą.

– Pachnie tutaj kusząco prawdziwą, ziarnistą kawą.

Spuścił wzrok i stwierdził, że jego sekretarki niedawno parzyły sobie kawę.

– Usiądź proszę, Marie – powiedział szybko, żeby zmienić temat. – Usiądź tutaj ze mną i porozmawiajmy. Bardzo się cieszę, że odwiedzasz mnie w fabryce. Czy Auguste jest z dziećmi?

Usiedli na fotelach przeznaczonych dla gości i wtedy Johann dowiedział się, że Marie zdecydowała się na zatrudnienie mamki. Auguste miała z własnymi dziećmi dość zajęcia i teraz przychodziła do posiadłości tylko na kilka godzin dziennie. Hanna okazała się też wprawną opiekunką do dzieci, a tymczasem panna Schmalzler wróciła do willi...

– Ach tak...

Założył nogę na nogę i starał się nie okazywać zbyt swego zadowolenia z tej wiadomości. Wreszcie to uparte babsko nabrało rozumu!

– To oznacza, że będę teraz mieć więcej czasu dla rodziny – powiedziała Marie z uśmiechem. – A także by pomóc w prowadzeniu fabryki.

– A, tak, tak – odpowiedział, choć nie do końca zrozumiał, co miała na myśli, wypowiadając ostatnie zdanie. – Chcesz się może napić kawy?

Spojrzała na niego z szelmowskim uśmiechem i odparła, że nie odmówi sobie małej kawy. Ale pod warunkiem, że on się z nią napije. Ach tak, pomyślał i uśmiechnął się w duchu. Ma jakiś konkretny plan i chce ze mną o tym rozmawiać, gdy będę miał dobry humor. Ot, cwana istota. Ale niech jej będzie. Słuchanie przecież nic nie kosztuje. Zawołał Hoffmann i poprosił o zaparzenie dwóch małych kaw – bardzo mocnych.

– Oczywiście, panie dyrektorze... Czy podać ciastka?

Lüders upiekła owsiane ciastka i przyniosła do biura. Właściwie był to miły gest, oczywiście gdyby ten wypiek nie miał tak ohydny smaku.

– Byłoby nam bardzo miło – powiedział mimo to.

Tymczasem Marie wstała, żeby rozejrzeć się po biurze. Przyjrzała się napisom na brzegach segregatorów poukładanych na regale ściennym, a potem podeszła do biurka i niby przypadkiem wzięła do ręki pismo, które leżało na samym wierzchu różnych dokumentów. Informacja z Ministerstwa Wojny, potwierdzająca dwa niewielkie zamówienia o dużym znaczeniu dla przebiegu wojny. Renowacja dwu tysięcy łusek od pocisków oraz czyszczenie osiemdziesięciu pojemników na naboje.

– Kiedy byłam na podwórzu, pracownice opowiedziały mi o swoich problemach – odezwała się i odłożyła kartkę. – Wypłata, którą dostają, jest za mała, żeby żyć, i za duża, żeby umrzeć.

– Chcesz zrobić z siebie wysłanniczkę moich pracownic?

Zeżłościło go, że mówi o kwestii, o której od dawna wiedział, ale której nie był w stanie zmienić. I tak wystarczająco męczące było to, że musiał patrzeć, jak fabryka, którą tyle lat budował, schodzi na psy. To było dzieło jego życia, które pochłonęło całą jego energię. W te hale, to hałaśliwe, ryczące skupisko ludzi i maszyn włożył swoją miłość i pasję.

– Ależ tato! – krzyknęła wzburzona. – Dobrze wiesz, jak to rozumiem. Musimy coś zrobić, żeby postawić na nogi fabrykę Melzerów. Wtedy i tylko wtedy pracownikom też będzie się lepiej wiodło.

Prawie by się roześmiał, gdyby nie to, że rozmawiała z nim tak poważnie. Drogi Boże, czy dzisiaj cała żeńska część obywateli Augsburga zmówiła się, żeby się na niego rzucić? Najpierw pracownice, a teraz ta naiwna dziewczyna, która najwyraźniej sądzi, że może go pouczać. Chyba byłoby lepiej, gdyby została w pokoju dziecięcym i zajmowała się bliźniętami. Na szczęście weszła Hoffmann z dwoma filiżankami kawy i talerzykiem z okrągłymi ciastkami owsianymi. A on zyskał przynajmniej czas, żeby w spokoju przygotować się na brednie, które bez wątpienia zaraz miał usłyszeć.

– Paul pyta mnie prawie w każdym liście, czy zapoznałeś się z jego planami konstrukcyjnymi. Ze schematami maszyn, które narysował.

Melzer wiedział, że Paul przykładał dużą wagę do tych niedorzecznych planów. On też otrzymywał listy z frontu od syna, odpowiadała zawsze Alicia i przekazywała od niego jedynie kilka słów pozdrowienia.

– Maszyny? – zapytał w nadziei, że Marie nie ma o nich pojęcia. – Jakie maszyny?

Niestety, jego taktyka nie zadziałała. Liczył na to, że wystarczy kilka szczegółów technicznych, żeby Marie poczuła się niepewnie i się wycofała, ale ona okazała się córką swojego ojca. Choć jej ojciec, genialny konstruktor Jakob Burkard, od dawna nie żył, a Marie nigdy go nie poznała. Rozumienie funkcjonowania maszyn było jednak najwyraźniej u Burkardów dziedziczne. Selfaktory i maszyny przedziałnicze projektu jego dawnego partnera zdecydowanie przewyższały jakością funkcjonowania maszyny konkurencji. A to dlatego, że Burkard wprowadził kilka udoskonaleń, które były strzeżone jako tajemnice przedsiębiorstwa.

– Nie udawaj, że nie masz o nich pojęcia, tato! – skarciła go. – Paul pokazywał ci schemat maszyny przedziałniczej, która cienkie paski papieru skręca jak nici. A z takich nici mogą być tkane materiały.

Wiedziała nawet, że Clavier AG z Adorf produkowało takie substytuty tkanin. Na terenie Palatynatu Clavier wyrabia dziesięć ton przędzy papierowej dziennie. Produkowano materiały potrzebne w szpitalach polowych, namioty i plandeki, maski gazowe dla koni, wkładki do butów, liny. Ale również mundury i bieliznę.

– Możemy wstawić tutaj takie maszyny przedziałnicze, tato! Jeśli wytworzymy papierową przędzę, będziemy mogli ruszyć z produkcją. U Clavieza pracują na trzy zmiany, wszyscy otrzymują pełne wynagrodzenie.

Słuchał jej naburmuszony i się zastanawiał, skąd ona wzięła te swoje mądrości. Od Paula? Ale biedny chłopak z pewnością nie miał zbyt wielu okazji, walcząc na froncie, żeby ją informować o sytuacji ekonomicznej przedsiębiorstwa Clavieza. Jak się wydawało, utknął on teraz gdzieś we Francji.

– Skąd to wiem? Od Bernda Gundermanna, który ma bliskich krewnych w Düsseldorfie, a ci pracują u Jagenberga. Tam też wyrabia się przędzę papierową i dlatego wiedzą, jak idzie produkcja u konkurencji w Palatynacie.

Pomysł, żeby porozmawiała z Gundermannem, z pewnością podsunął jej Paul. I jak się wydaje, wyjaśnił jej swoje projekty w najdrobniejszych szczegółach. Najbardziej zaskakujące było jednak to, że ona to zrozumiała. Córka Jakoba Burkarda pojęła doskonale, jak części tych przeklętych maszyn są ze sobą połączone, że w razie potrzeby można je też uruchamiać dzięki energii wodnej. Niepotrzebna więc była maszyna parowa, do której ciągle brakowało węgla.

– Fabryka papieru jest dosłownie za rogiem, tato. Nie będziemy musieli ponosić kosztów transportu. I możemy farbować taki materiał. Nie rozumiesz? Musimy tylko znaleźć kogoś, kto wybuduje te maszyny według planów Paula.

Czuł, jak pulsuje mu krew w skroniach. Atak Marie był znacznie potężniejszy niż to natarcie, które niedawno pomyślnie odparł. Czym było dwadzieścia zdesperowanych pracowników w porównaniu z tą młodą osobą, która z błyszczącymi oczami i zaróżowionymi policzkami siedzi przed nim i snuje swoje wizje. Pełne wynagrodzenia. Praca na trzy zmiany. Wkład w zwycięstwo niemieckiej armii. Przetarcie nowych ścieżek, myślenie o przyszłości. Dawanie ludziom ubrań i butów. Materiały opatrunkowe dla rannych.

– Nie przeszkadza ci, że tutaj w fabryce wszystkie maszyny przestały pracować? Wcześniej hałas panujący w halach trudno było wytrzymać, a teraz panoszy się tutaj martwa cisza. Jeśli wejdziemy w produkcję przędzy papierowej...

Uniósł ręce ze zdenerwowania i poczuł gwałtowne bicie serca. Lepiej by było, gdyby jednak nie wypił tej kawy.

– Nie dostrzegasz ryzyka – odparł. – Musiałbym zlecić skonstruowanie drogich maszyn, a nikt nie wie, czy one będą działać. A jeśli Paul popełnił błędy? Co, jeśli uzyskamy przędzę marnej jakości i nie znajdziemy odbiorców na materiał? Albo jeśli zepsuje się stare dobre krosna tymi nowymi nićmi? – Zrobił głęboki wdech. – A przede wszystkim potrzeba nam do takiej produkcji fachowców, ludzi, którzy rozumieją ten proces. Z samymi pracownikami jest to nie do przeprowadzenia!

– Na miłość boską! – krzyknęła Marie i uniosła ramiona. – Na co ty chcesz czekać? Sądzisz, że bawełna niedługo spadnie ci z nieba? Myślisz, że Jezus Chrystus przyjdzie z nieba i podaruje nam dziesięć wagonów dziewiczej wełny?

– Ostrzegam cię, Marie! – krzyknął z wściekłością. – Nie mieszaj się do spraw, których nie rozumiesz!

Postawiła filiżankę na spodeczku i odstawiła bezdźwięcznie na mały stolik kawowy, wpatrując się w niego gniewnie.

– Powinieneś to przemyśleć, tato. W interesie nas wszystkich!

– To już postanowione i koniec dyskusji. Nikt nie będzie produkował w fabryce

Melzerów substytutów prawdziwego materiału!

– Będzie ci zatem lepiej, jeśli nie będziemy produkować niczego i wszystkich wokół zagłodzimy?

– Koniec już, Marie. Wysłuchałem cię i przekazałem moje zdanie. A ono jest niepodważalne.

Nie mówiąc słowa, wstała, wzięła swój płaszcz z wieszaka. Miał przez chwilę zamiar pomóc jej się ubrać, jak nakazywało dobre wychowanie, ale ona była szybsza. Odwróciła się od niego, włożyła kapelusz i zawiązała mocno jedwabny szal.

– Widzimy się dzisiaj wieczorem.

W milczeniu podeszła do drzwi. Tym razem ją uprzedził i otworzył je przed nią wystudiowanym gestem. Jeśli sądziła, że osiągnie coś swoim lodowatym spojrzeniem, była w błędzie. Będzie nieugięty. Żadnych nieprawdziwych tkanin w jego fabryce, nigdy!

Już stała w drzwiach, gdy nagle się do niego odwróciła. Jej twarz wyglądała już pogodniej, choć wciąż była pełna wyrzutu.

– A co do pracowników. Oni niedługo będą zwalniani ze służby wojskowej. Ściągano by ich nawet z frontu, żeby mogli pracować w fabryce wspierającej wojsko. Paul też wkrótce by do nas wrócił...

Zamknęła za sobą drzwi i pozwoliła mu dusić się z wściekłości.

Kortrijk, 12 kwietnia 1916 roku

Moja droga Elisabeth,

Przybyliśmy tutaj po trwającej całe dni podróży pociągiem i idziemy dalej na północ, żeby pokonać Anglików, którzy od miesiący usiłują odciąć nas od naszej niemieckiej ojczyzny. Pod Verdun niedługo nastąpi przełom, Francuzi skapitulują pod niemieckim naporem. Mam nadzieję, że zostanę tam wezwany, żeby wziąć udział w te sądne dni, gdy twierdza Verdun dostanie się w niemieckiej ręce.

Myślę ciągle o Tobie, moja droga Żono. Jesteś moim dobrym aniołem, który mnie prowadzi i chroni, noszę zawsze przy sobie fotografię z naszego ślubu. Jeśli to możliwe, wyślij mi proszę trochę pieniędzy, bo muszę kupić skarpety i bieliznę, a poza tym mój zegarek jest uszkodzony i powinienem sprawić sobie nowy. Wiesz, mój Skarbie, że dla oficera dobry zegarek to absolutna konieczność. Dwieście albo lepiej trzysta marek powinno wystarczyć. Przydałby mi się także pilnik do paznokci i mydło różane, latarka z bateriami, papierosy, czekolada i dobry scyzoryk. Jutro będziemy już najpewniej w pobliżu wybrzeża. Kolejny list napiszę już stamtąd.

Pozdrów ode mnie swoich rodziców, swoją bratową Marie i siostrę Kitty.

Przesyłający uściski w wiernej miłości

Twój Klaus

Elisabeth przeczytała dwukrotnie list od Klause, tak jak miała w zwyczaju, a jej oczy zatrzymały się dłużej na słowach „myślę ciągle o Tobie” i „jesteś moim dobrym aniołem”. Wyobraźnia Klause zbytnio się nie rozwijała. W ostatnim liście napisał „Jesteś moim dobrym duszkiem” i zapewniał ją, że „myśli o niej z tęsknotą całe dni i noc”. O tęsknocie tym razem nie było mowy, ale za to przesyłał uściski w wiernej miłości. No cóż, z pewnością był zajęty troską o swoich żołnierzy i nie miał zbyt wiele czasu, żeby pomyśleć o jakichś wyrafinowanych sformułowaniach.

Złożyła kartkę i otworzyła szufladę damskiego biurka, które kazała sobie tutaj dostarczyć z domu rodziców. Na wierzchu leżały dwie wiązki listów z frontu, poukładane według dat i przewiązane różową, jedwabną wstążką. Rozwiązała wstążkę z mniejszego stosu, włożyła dopiero co przeczytany list i starała się zawiązać ładną kokardę. Była pewna, że te listy będzie przechowywać do końca życia, by pamiętać o rozłące w trudnych wojennych czasach i – jeśli Bóg tak zechce – by z oddaniem przeczytali je swoim dzieciom. Możliwe nawet, że zada sobie trud, żeby przepisać je do ślicznej książeczki, którą niedawno dostała od Kitty. Oprawionej w zieloną skórę, z połączanymi

krawędziami. Musiała kosztować małą fortunę, ale Kitty poślubiła przecież Alfonsa Bräuera, jedynego dziedzica domu bankowego Bräuer & Syn, a oni nie liczą się z pieniędzmi. Ona jednak wyszła za mąż z miłości. Musiała walczyć o Klause von Hagemanna, cierpieć z jego powodu, a nawet bać się, że go straci, bo on pragnął jej siostry Kitty. Nie był w tym względzie wyjątkiem, bo wszyscy mężczyźni kochali się w jej młodszej siostrze. To, Bogu dzięki, już minęło. Kitty, ta frywolna istota, wyszła za mąż, a Klaus von Hagemann w porę poszedł po rozum do głowy i wybrał sobie żonę, która będzie jego wierną i uczciwą partnerką. Klaus cenił te cechy u swojej żony, Elisabeth była tego pewna. Cóż, był bardzo przystojnym mężczyzną, który zmądrzał z czasem. Tak musiało być, to przecież sprawa honoru. Paul także nie przepuszczał żadnej okazji w czasie studiów w Monachium. Klaus potraktował swoją młodą żonę w czasie nocy poślubnej taktownie i z należytą ostrożnością. Elisabeth nie miała żadnych powodów, żeby się skarżyć. Chyba – ale to może wynikać jedynie z wymykających się spod kontroli i prawdopodobnie zupełnie zmyślonych opowieści Kitty – brakowało jedynie trochę małżeńskiej namiętności. W każdym razie on zapewnił ją, że małżeństwo jest dla niego rzeczą świętą i że będzie należał teraz wyłącznie do niej. Wspomnienie tej przysięgi, złożonej w małżeńskim łożu, napełniało ją kojącym uczuciem ciepła.

Zamknęła szufladę i podniosła się, żeby dołożyć węgla do pieca, zobaczyła jednak, że kubek był pusty.

– Maria!

Jordan była zajęta szyciem w sąsiednim pokoju i niespecjalnie się śpieszyła, żeby stawić się na wezwanie.

– Łaskawa pani?

Elisabeth zauważyła, że nos Marii Jordan był prawie siny, co oznaczało, że w sąsiednim pokoju też nie było węgla.

– Niech pani zobaczy w kuchni, czy jest jeszcze coś na opał.

Jordan zrobiła minę wyrażającą oburzenie, widocznie uważała, że to nie należy do jej obowiązków. Gertie, pokojówka, dostała jednak dzień wolny, a kucharka wkrótce miała opuścić mieszkanie, bo wieczorem gotowała w gospodzie.

– Jeśli jutro będzie wystarczająca ilość węgla w kuchni, to kucharka zaraz go przyniesie – powiedziała Jordan, jakby jej to nie dotyczyło. – Tak mi powiedziała.

Elisabeth usłyszała niemy wyrzut w jej wypowiedzi i zezłościła się mocno na tę perfidną kobietę, która za ogromne pieniądze sprzedawała jej nieskuteczne środki na bezdzietność. Przepędziła już trzy pomoce domowe, ale Jordan nie mogła tak po prostu wyrzucić, bo była wykwalifikowaną starszą pokojówką i przez wiele lat pracowała dla rodziny Melzerów. Cóż, gdyby czasy nie były tak złe, nie obywałyby się bez dodatkowego personelu. Elisabeth mogła wypłacać jedynie niewielkie wynagrodzenia, a koszt zatrudnienia pracowników był bardzo wysoki. Na szczęście byli jeszcze tacy, którzy byli gotowi pracować jedynie za dach nad głową i wyżywienie.

– Niech pani przyniesie wiadro węgla z kuchni. Jutro lub pojutrze będzie nowa dostawa.

Jordan zadarła nos wysoko, zdecydowała się jednak wykonać polecenie bez sprzeciwu. Ona też marzła okropnie, gdy naprawiała bieliznę łaskawej pani. Elisabeth

westchnęła głęboko i rozsunęła zasłonę, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Był już kwiecień, może nie trzeba już palić w piecu. Było jednak zimno, szczególnie wieczorami, a ona była przyzwyczajona do przebywania w ciepłych pomieszczeniach. Cóż, inaczej wyobrażała sobie swoje małżeństwo. Przede wszystkim Klaus nie powiedział jej, jak marna była jego sytuacja finansowa. Ciągłe mówił o ich włościach w Brandenburgii, ale zdążyła się już zorientować, że jej teściowie nie mieli żadnych dochodów. Musieli żyć z żołdu majora Klause von Hagemanna, a Elisabeth miała wrażenie, że pieniądze, które dawał swoim rodzicom, ci przepuszczali przez palce. Ciągłe znajdowali nowe preteksty, żeby pożyczać od niej mniejsze lub większe sumy. Raz na jakiś stary dług, który musieli szybko spłacić, innym razem na rachunek za lekarza albo pieniądze na pożyczkę wojenną, która miała wspierać kraj. Klaus również, prawie w każdym liście, żądał jakiejś sumy na wyposażenie odpowiadające jego pozycji. Elisabeth, której do tej pory w życiu niczego nie brakowało, często teraz nie wiedziała, z czego ma zapłacić czynsz i kupić jedzenie. Kucharka nie otrzymała wynagrodzenia za ostatnie dwa miesiące, a Marii Jordan była winna nawet cztery wypłaty.

Drzwi się otworzyły i na progu stanęła Maria. Jej wzrok był pełen wyrzutu, a w ręce trzymała metalowe wiadro wypełnione do połowy węglem.

– Nie ma więcej, łaskawa pani. Czy mam napalić w piecu?

Elisabeth wiedziała, że Jordan musi przełamać własny opór, żeby wykonać tę pracę, zdecydowanie uwłaczającą jej godności. W posiadłości Melzerów to pomoc domowa rozpalala w piecu. Maria Jordan jednak z własnej woli przeszła do niej na służbę, oficjalnie o to poprosiła. Nie mogła bowiem znieść, że Marie, która zaczynała pracę w rodzinnej willi Melzerów jako pomoc kuchenna, a potem została pokojówką panienki Kitty, teraz była tam młodą panią.

– Może pani napalić w drugim pokoju, żeby nie zmarzły pani ręce – zdecydowała Elisabeth. – Ja wychodzę.

Maria Jordan wydawała się bardzo zadowolona z takiego rozwiązania i pośpiesznie podała swojej pani palto, kapelusz i buty.

– Gdyby moja teściowa się pojawiła, niech pani powie, że poszłam do posiadłości rodziców.

– Tak oczywiście zrobię.

– I że jutro wieczorem będę na spotkaniu towarzystwa charytatywnego.

– To też jej oczywiście przekażę. Czy powinnam jej zaproponować kawę?

– Nie. Jeśli już, to daj jej herbatę miętową. I te ciasteczka, które upiekła kucharka.

– Już ich niestety nie ma, łaskawa pani.

– W takim razie tylko herbatę miętową.

Maria Jordan przytaknęła skwapliwie. W tym względzie Elisabeth mogła całkowicie polegać na swojej pokojówce. Miała też pod żadnym pozorem nie proponować Riccardzie von Hagemann, żeby została dłużej lub żeby poczekała do wieczoru na swoją synową. Maria Jordan od początku zresztą czuła niechęć Elisabeth do teściowej.

Mimo oślepiającego kwietniowego słońca na zewnątrz było zimno – wiał lodowaty wiatr, tak że Elisabeth musiała postawić wysoko szeroki kołnierz swojego płaszcza. Jeszcze w zeszłym roku wsiadała do elektrycznego tramwaju i jechała na Frauentorstraße,

w tym roku już nie kursował. I dobrze, bo Elisabeth i tak nie miała dzisiaj pieniędzy, by zapłacić za przejazd. Całe szczęście, że nie przywieźli jeszcze węgla. Nawet mieszkanie na Bismarckstraße było dla niej za drogie. Po ślubie szukały z mamą reprezentacyjnego, czteropokojowego mieszkania na pierwszym piętrze, z wysokimi sufitami i wysokimi, staromodnymi piecami. Przynależał do niego szeroki balkon, piwnica oraz dwie komórki na poddaszu. Mama była zachwycona przyjemną okolicą i wysokimi oknami, przez które wpadało mnóstwo światła. W to, że wkrótce Elisabeth nie będzie miała pieniędzy na opłacanie czynszu za to piękne mieszkanie, początkowo nikt z jej rodziny nie chciał wierzyć. Von Hagemannowie musieli wiedzieć, że tak będzie, ale milczeli. Być może założyli, że córka bogatego właściciela firmy tekstylnej sama będzie ponosić wszelkie koszty. Ominęła łukiem żebraka, który siedział na krawężniku i z pozoru obojętnie wpatrywał się w pałac słońce, jednocześnie wystawiając rękę w jej kierunku. Biedaczysko, nie miał obu nóg, tylko dwa kikuty. Ach, ta okropna wojna! Żeby tylko Klaus wrócił zdrowy do ojczyzny!

Kitty mieszkała w willi na Frauentorstraße, którą współczesny architekt zaprojektował w stylu neoromantycznym. Był to okazały budynek z murem pruskim przy szczycie i wykuszem, z którego rozciągał się widok na zadbane ogród. Była to jedna z nieruchomości, którą dom bankowy Bräuer & Syn nabył w ciągu ostatniego roku w sposób, o którym Elisabeth nie chciała wiedzieć. Jak jednak słyszała, Bräuer & Syn wciąż pozostawał w bardzo dobrej sytuacji finansowej, podczas gdy o innych domach bankowych w cesarstwie bynajmniej nie można było tego powiedzieć. Elisabeth była nieco zziębnięta, gdy dotarła pod staromodnie rzeźbione drzwi wejściowe – musiała najwyraźniej zbyt szybko iść. Otworzyła jej drobna pokojówka i uśmiechnęła się uprzejmie. Ależ była z tej Mizzi miła dziewczyna! I w dodatku robiła wrażenie, że się zna na swojej pracy. To z pewnością zasługa Schmalzler.

– Dzień dobry, pani von Hagemann. Czy mogę zabrać pani płaszcz? Łaskawa pani już o panią pytała.

Elisabeth zdjęła płaszcz i kapelusz. Dziewczyna była nieco zbyt gadatliwa, ale miała tak promienny uśmiech, że mogło się wydawać, iż ktoś właśnie włączył światło.

– Łaskawa pani była bardzo niespokojna przez ostatnie dni. Ale dzisiaj przyszła jej szwagierka, siedzą teraz razem i piją herbatę.

– Ach... Panienska Bräuer jest tutaj?

Elisabeth szczerze lubiła Tilly Bräuer. Tak jak jej brat Alfons nie była piękną, nieco niezdarna, ale za to uczciwa i miła. Było to jednak niefortunne zrzędzenie losu, że akurat teraz odwiedziła Kitty, bo Elisabeth chciała prosić siostrę o trochę pieniędzy.

– Nie panienska Bräuer, tylko pani Melzer jest tutaj.

Elisabeth, nie kryjąc zdziwienia, zatrzymała się na progu pokoju gościnnego. Marie? Czy ta mała mówi o Marie?

– Gdyby mogła łaskawa pani poczekać tutaj dwie sekundy, tylko panią zaanonsuję.

Dziewczyna minęła kilka na wprost gotowych rzeźb i weszła do salonu, z którego było słychać podniesiony głos Kitty.

– Jak możesz być tak podejrzliwa, Marie? Tak... tak chłodna! Nie rozumiem, jak ktoś może być tak bezduszny! Pomyśl tylko, że on...

Przerwała, bo pokojówka weszła do środka.

– O co chodzi, Mizzi?

– Przyszła pani von Hagemann.

Westchnienie wyrażające ulgę towarzyszyło temu zdaniu.

– Co za szczęście, zaraz dostanę wsparcie! – zawołała Kitty dźwięcznym głosem.

– Elisabeth jest pełna współczucia i z pewnością stanie po mojej stronie.

A tak w ogóle to Marie bardzo się ostatnio zmieniła na niekorzyść. Tygodniami nie miała czasu dla rodziny, a teraz... Tylko nie to, pomyślała Elisabeth, gdy starała się przywitać z Marie przyjaznym uśmiechem. Te dwie się kłóciły, a ona będzie musiała je rozsądzać.

– Jak wspaniale! – zawołała i stała przez chwilę w otwartych drzwiach. – Marie wróciła do nas z odosobnienia. Bardzo się z tego cieszę. Ale wy dwie nie będziecie się akurat teraz kłócić?

Poprawiły się obie na krzesłach, które Kitty kupiła w jakimś drogim sklepie z antykami i – co wydawało się Elisabeth bardzo dziwne – ustawiła je w półkole. Dwa krzesła w stylu Ludwika XV z pomalowanym na złoto rzeźbieniem stały obok zrobionych z drewna wiśniowego, ze szlachetnie zdobionymi podłokietnikami, które pochodziły z Anglii. Poza tym w pokoju był meksykański fotel wiklinowy, który przez rozbudowane oparcie przypominał tron, oraz nieco już rozklekotany fotel na biegunach z trzcinowej plecionki. Punkt centralny kolekcji stanowił szezlong, pokryty czerwonym aksamitem, na którym Kitty ułożyła mnóstwo kolorowych poduszek.

– Nie kłóćmy się, Elisabeth – powiedziała Marie, zajmując miejsce na jednym z francuskich krzesel i trzymając w ręce list.

– Nie, nie kłóćmy się – potwierdziła zniecierpliwiona Kitty. – Jak mogłaś tak pomyśleć, Lisa. To jedynie mała różnica zdań, to wszystko. Marie jak zawsze próbuje mnie odwieść od zrobienia głupstwa, które mnie najpewniej skompromituje. Chcesz może kawy albo herbaty, Lisa? Ach, wiem przecież, że stara z ciebie kawoszka! Mizzi? Mizzi! Mój Boże, gdzie się znów podziała ta dziewczyna? Ach, tutaj jesteś.

Na małym intarsjowanym stoliku stał rosyjski serwis do herbaty i pasujący do niego półmisek pełen rozmaitych słodkości. Pachniało mieszanką angielskiej herbaty, którą Kitty bardzo lubiła, waniliowym ciastem, ciasteczkami maślanymi i kuleczkami rumowymi. Elisabeth, która nie do końca wierzyła w wytrzymałość antyków, odsunęła na bok dekoracyjne poduszki i usiadła na szezlongu. Kitty wyglądała na mocno podenerwowaną. A może tylko jej się wydawało? Kitty zawsze była dość egzaltowana, ale dzisiaj miała czerwone plamy na policzkach, a zazwyczaj była bardzo blada. I czuła się tak, że musiała jeszcze usiąść w tym paskudnym bujanym fotelu.

– Ona jest bardzo potulną dziewczyną – powiedziała, gdy Mizzi poszła pośpiesznie po kawę. – Naprawdę jest mi jej szkoda, gdy Schmalzler ją musztruje. Nie zostawia na Mizzi suchej nitki. Że jest leniwa, przesiaduje w kuchni razem z szoferem, nie ma pojęcia, jak powinna się obchodzić z cennymi materiałami i prawdziwymi dywanami. Cóż, z tym szoferem to może i prawda, ale przed miesiącem powołali mojego dobrego Kiliana. Kto wie, gdzie on jest i czy w ogóle jeszcze żyje? Masz wiadomość od Klause, Liso? Tak? Bogu niech będą dzięki. Od Alfonsa dostałam list jakiś tydzień temu. Ach, biedny! On

jest tak hojny, że wszystko, co wysyłam, rozdziela między swoich towarzyszy.

Musiała zaczerpnąć tchu, dając tym samym czas Elisabeth, żeby zapytała o Paula.

– Trzy tygodnie temu przyszedł ostatni list – odpowiedziała poważnie Marie. – Od tamtego czasu nic. Pisał może do ciebie, Elisabeth?

Potrząsnęła głową. Nie, dlatego zapytała. Od trzech tygodni żadnych wieści.

– Czym są trzy tygodnie! – powiedziała Kitty. – Nie zawsze przecież mogą wysyłać listy. Gdy chodzi o jakieś sekretne działania wojskowe, mogą być nawet tygodniami odcięci od kontaktu z ojczyzną.

– To zapewne prawda – powiedziała Marie. – Musimy być cierpliwi. Szczególnie trudna jest ta sytuacja dla mamy.

Kitty zauważyła, że mama ostatnio źle wygląda. Trudno się dziwić, bo tata zachowywał się wobec niej wyjątkowo niemiło. Czy Marie nie rzuciło się w oczy, z jaką obojętnością ją traktuje?

– Jak długo są po ślubie? – mówiła. – Prawie trzydzieści lat. I gdzie się podziała miłość? Czulość? Wzajemny szacunek?

Elisabeth zauważyła, że małżeństwa przechodzą kryzysy i trudne chwile. A one tylko zbliżają pary do siebie. Kitty nie była przekonana, ale ewidentnie nie miała ochoty na dyskusje z Elisabeth. Zamiast tego westchnęła i kazała Mizzi nalać kawę jej siostrze.

– Weź sobie rumową kuleczkę, Liso – powiedziała Kitty konspiracyjnym tonem. – Marie ich nie lubi, bo zalatują wódką. Ale ona nie wie, co jest dobre. Rum to nie sznaps, Marie. Rum to ciepły powiew krajów tropikalnych, słodki aromat palm i trzciny cukrowej...

Podsunęła Elisabeth półmisek ze słodkościami i sama wzięła maślane ciasteczko. Gdy je jadła, utkwiała wzrok w liście, który Marie złożyła i położyła na stole.

– Widzisz, Liso, ja ogromnie cenię naszą Marie. Już w posiadłości rodziców była moją najbliższą i najdroższą przyjaciółką. A teraz, gdy została żoną Paula i urodziła dwa słodkie, pulchniutkie, wierzgające nóżkami maluchy, nie mniej ważne miejsce zajmuje w moim sercu. Mimo wszystko.

Pochyliła się i wzięła list ze stołu, westchnęła z wysiłku, a gdy fotel zakołysał się gwałtownie, złapała się za brzuch.

– Rozpycha się? – zapytała Marie z uśmiechem. – To dobrze!

– O tak! – potwierdziła Marie i zachichotała. – Z pewnością będzie marynarzem. Bo ciągle chce, żebym siedziała w tym krześle i się kołysała. Powiedz no, Marie...

Elisabeth starała się uśmiechać z miną wyrażającą pełne zrozumienie sytuacji, podczas gdy Kitty wypytywała swoją bratową, jak się czuła w ostatnich miesiącach ciąży, czy rano dokuczały jej dziwne ciągnięcia i nagłe bóle pleców, które równie nieoczekiwanie mijały.

– Nie, w ogóle nie – powiedziała Marie. – Miałam tylko spuchnięte nogi i obolałe stopy.

– Jakie to dziwne – zastanawiała się Kitty, odpychając się nogą, żeby jeszcze trochę się pokołysać. – Moje nogi są takie jak zawsze, ale gdy zbyt dużo zjem, czuję, że w żołądku wybucha pożar.

– Myślę, że nie powinniśmy niepotrzebnie straszyć Elisabeth – powiedziała Marie.

– Ależ nie – obruszyła się Elisabeth. – Wymieniajcie się wrażeniami, mnie to wcale nie przeszkadza. Przeciwnie – to bardzo interesujące.

W rzeczywistości zarówno ta paplanina o ciężowych dolegliwościach, jak i szacunek okazywany Marie działały jej na nerwy. No i nie będzie potrafiła w obecności Marie poprosić Kitty o pożyczkę. Byłoby jej wstyd. Kitty jednak dość szybko zdała sobie sprawę, że jej siostra poczuła się wykluczona, i zmieniła temat.

– Zaczęłam mówić o tym liście, prawda?... To wszystko... jest bardzo osobiste, ale jesteś przecież moją jedyną siostrą, Liso. Nie chcę mieć przed tobą żadnych tajemnic. W dodatku potrzebuję rady. Nie rób takiej miny, moja najdroższa Marie. Chciałabym wiedzieć, co Lisa o tym sądzi. Dopiero wtedy podejmę decyzję.

Rozłożyła list, spojrzała przepaszająco na Marie i podała kartkę Lisie.

– Przeczytaj i powiedz mi bardzo szczerze, co o tym sądzisz.

Elisabeth potrzebowała chwili, żeby zrozumieć. Pewna kobieta, Simone Treiber, najprawdopodobniej siostra miłosierdzia, prosiła Kitty, żeby napisała do jednego z jej pacjentów. Tym pacjentem był Gérard Duchamps. Nieprawdopodobne! Wszyscy w posiadłości mieli nadzieję, że nigdy już nie usłyszą o tym mężczyźnie, który kiedyś wprowadził Kitty do Paryża, co skutkowało czasowym wykluczeniem rodziny Melzerów ze swojej sfery i z zajmowanej wcześniej pozycji społecznej. Nie wspominając o niepokojach rodziców i o tym, że ten skandal omal nie udaremnił jej małżeństwa z Klausem von Hagemannem.

– Co chciałabyś wiedzieć? – zapytała z obojętną miną i położyła list na jednej z leżących obok niej poduszek.

Kitty obserwowała ją z ekscytacją. Teraz wydawała się rozczarowana. Lisa jakby zupełnie nie zauważyła głębokiej tragedii, która pobrzmiwała w tym liście.

– Co zrobiłabyś na moim miejscu?

– Nic.

Kitty spojrzała błagalnie na Marie, której twarz wyrażała współczucie. Ona podniosła tylko ramiona, jakby musiała się usprawiedliwić za to, że zgadza się z Elisabeth.

– Ale... ale on może umrzeć! – wyjąkała Kitty płaczącym głosem. – To jego ostatnia prośba skierowana do mnie. A może on już nie żyje.

– Cóż, w takim wypadku list i tak byłby zupełnie zbędny – odpowiedziała Elisabeth.

– Jak możecie być tak... tak nieczule? Czy chrześcijaństwo nie uczy nas przebaczenia? Och, jestem pewna, że Jezus Chrystus doradziłby mi, żebym napisała list do Gérarda. A także Najświętsza Panienka by...

Elisabeth przewróciła oczami. Było zupełnie oczywiste, że Kitty zaczyna wygadywać niedorzeczności. Marie potraktowała jednak słowa Kitty poważnie.

– Wiesz co, Kitty? Porozmawiaj o tym z ojcem Leutwienem. On jest mądrym człowiekiem i bardzo dużo nam pomógł. To ważne, żebyś podjęła tę decyzję z czystym sumieniem.

– Tu nie ma o czym decydować, Marie! – zdenerwowała się Elisabeth. – Kim w ogóle jest ta Simone Treiber? Czy ktoś ją zna? Podobno pielęgniarką, która napisała tę

wiadomość w imieniu Gérarda Ducham-psa. Prawdopodobnie on ma nadzieję, że dostanie odpowiedź od Kitty. A czy którakolwiek z was wpadła na to, że może to być zwykłe oszustwo?

Błękitne oczy Kitty rozszerzyły się, a na jej bladej twarzy malowało się prawdziwe przerażenie.

– Nie, taka myśl nie przyszła mi do głowy – powiedziała półgłosem. – Czy w ogóle są ludzie, którzy fałszują takie listy? Zwłaszcza w czasach, gdy tylu młodych mężczyzn cierpi w szpitalach polowych? Dlaczego ktoś miałby robić coś takiego?

Elisabeth wzruszyła ramionami i wyjaśniła, że ta Simone Treiber może być oszustką, która za pomocą kompromitującego listu od Kitty chce szantażować rodzinę Melzerów.

– Cooo? – krzyknęła zdenerwowana Kitty. – Oszalałaś chyba, Liso. Marie, proszę, powiedz jej, że jest szalona. Kogo mogłoby interesować, że napisałam kilka zdań do Gérarda i że mu przebaczyłam?

– Na przykład twojego męża – powiedziała Elisabeth niezrażona oburzeniem Kitty. – Alfons na pewno nie byłby zachwycony faktem, że napisałaś list do byłego kochanka.

Kitty zaśmiała się histerycznie i zaczęła energicznie bujać się w fotelu. Alfons z pewnością nie miałby nic przeciwko, on jest mądrym mężczyzną i pełnym współczucia. Nie tak jak jej siostra Lisa.

– Poza tym jest możliwe, że list mógłby wpaść w niepowołane ręce – kontynuowała ochoczo Elisabeth. – Szczegóły dotyczące twojej niefortunnej relacji z tym Francuzem mogłyby naruszyć reputację zarówno rodziny Melzerów, jak i Bräuerów.

– Powiedz coś, Marie, proszę! – błagała rozpaczliwie Kitty. – Powiedz, że Lisa wygaduje brednie!

Marie odchrząknęła. Widać było, że zastanawia się intensywnie, jak można by polubownie rozwiązać ten konflikt.

– Muszę przyznać, że też przyszło mi to do głowy – powiedziała, zwracając się do Elisabeth. – Właśnie to, o czym powiedziałaś, Elisabeth, przeszło mi przez myśl. W końcu doszłam jednak do wniosku, że takie oszustwo byłoby mało prawdopodobne. Prawdziwy problem widzę zupełnie gdzie indziej.

Kitty bujała się wciąż w fotelu z zamkniętymi oczami. Nie chciała dłużej tego słuchać, bo żadna z doradczyń nie udzieliła jej pełnego wsparcia. Dla Elisabeth było oczywiste, że Kitty trochę zbyt chętnie chciała napisać do Gérarda.

– A jeśli Gérard Duchamps, gdy dodasz mu otuchy, znów będzie chciał nawiązać z tobą kontakt? Przecież całkiem możliwe, że wyzdrowieje, i oczywiście życzymy mu, żeby tak było...

Kitty spojrzała na Marie, ale milczała. Elisabeth wzięła duży łyk kawy i napawała się korzennym aromatem prawdziwej, ziarnistej kawy. Wolałaby może odrobinę łagodniejszą, ta była chyba trochę za mocna. Ach, to niesprawiedliwe, że jej nie było stać na taką kawę od miesiący, a Kitty miała pod ręką kawę, herbatę i najróżniejsze słodkości. Nie mówiąc już o kojącym cieple, dawanym przez piec, w którym palił się węgiel.

– Jeśli więc naprawdę chcesz odpowiedzieć na ten list – mówiła dalej Marie – powinnaś przede wszystkim wziąć pod uwagę, że jesteś szczęśliwą mężatką i niedługo

urodzisz dziecko swojego męża.

Przerwała, bo Kitty wydała z siebie długi przenikliwy dźwięk. Miała zamknięte oczy, palcami kurczowo trzymała się poręczy, nogi wyciągnęła do przodu, a stopy miała lekko zgięte. Jej głos miał taką siłę, że zadrżały szklane naczynia ustawione w witrynie segmentu.

– Zwariowałaś do reszty, Kitty? – zawołała Elisabeth. – Skończ wreszcie z tymi nedorzecznosciami! Mój Boże, ona ani trochę się nie zmieniła. Jeśli coś nie idzie po jej myśli, wpada w histerię.

Marie doskoczyła do Kitty i wpatrywała się w nią z przerażeniem. Zaraz otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich zaniepokojona twarz Eleonore Schmalzler. Za nią stała Mizzi, która wyciągała mocno szyję, żeby zobaczyć, co się dzieje. Marie kucnęła przy Kitty, złapała ją za rękę i pogłaskała po czole.

– Masz bóleści? Powiedz mi, gdzie boli? Tutaj? Czy tutaj?

Kitty pozostała jeszcze przez chwilę sztywno wyciągnięta, a potem otworzyła oczy, rozprostowała palce i zaczęła głęboko oddychać.

– To... to boli tak strasznie, Marie. Marie, nie odchodź, proszę. Mam wrażenie, że umieram.

Elisabeth siedziała jak słup soli na sofie i czuła się zupełnie bezradna i niepotrzebna. Marie dotykała brzucha Kitty, rozcierała jej skronie i ramiona i starała się ją uspokoić. Szepnęła również do Schmalzler, żeby jak najszybciej posłała po akuszerkę.

– Tylko nie tę ohydłą kobietę... tę Koberin. Nie chcę jej tutaj!

– Nie denerwuj się, Kitty. To tak na wszelki wypadek. Być może wcale nie będziesz jej potrzebować. Jest przecież za wcześnie, prawda?

– Ależ tak – jęknęła Kitty i zaczęła szybko i gwałtownie oddychać. – Zostały jeszcze przynajmniej cztery tygodnie. A może nawet więcej. To te głupie kulki rumowe są temu winne, Marie. Boże, tak się cieszę. Już myślałam, że dziecko wychodzi. Ale to przecież niemożliwe...

Wtedy nastąpił kolejny skurcz i znów zaczęła krzyczeć. Elisabeth nigdy wcześniej nie słyszała, żeby Kitty wydawała z siebie takie dźwięki. Ona ani nikt inny, kogo знаła.

– Krzycz głośno, Kitty – powiedziała Marie i mocno trzymała ją za rękę. – To trochę pomaga. Bądź spokojna, akuszerka zaraz tu będzie.

Kitty wrzeszczała, dopóki ból nie ustąpił, a potem stwierdziła, że jej brzuch jest nie taki jak trzeba, i zaczęła płakać. Marie prosiła ją, żeby wstała z fotela i położyła się do łóżka. O tym Kitty nie chciała jednak słyszeć. Nie, do łóżka, nie ma mowy, ona nie jest chora, to po prostu mała niestrawność. Poleży na szezlongu, ale tylko do momentu, aż poczuje się lepiej. Elisabeth się wreszcie rozluźniła i pomogła Marie podnieść jęczącą Kitty z fotela i położyć na sofie.

– Podłóż jej koc – powiedziała Marie. – I zabierz te poduszki.

– Jest mi niedobrze... – wyszlochała Kitty. – Chyba muszę...

Na spódnice Elisabeth wylało się coś w rodzaju zmieszanych kulek rumowych i maślanych ciasteczek. Nie przejęła się tym. Nie siedziała już w końcu beczynn timer na swoim miejscu, czując się zupełnie bezużyteczna, mogła się faktycznie zaangażować. Podłożyła Kitty poduszkę pod głowę, zdjęła jej mocno zawiązane buty. Masowała brzuch,

głaskała jej policzki, przecierała twarz wilgotną chusteczką.

– Kiedy wreszcie przyjdzie ta akuszerka – usłyszała szept Marie.

– Wysłałam kamerdynera Ludwiga, by pojechał po nią samochodem, łaskawa pani. Zaraz muszą tutaj być. Kucharka przygotowała herbatę i gorącą wodę. A ja przyniosłam stos ściereczek i położyłam w pokoju gościnnym.

– Jest pani nieoceniona, panno Schmalzler – szepnęła Marie.

Elisabeth nie dała się odsunąć. Teraz, gdy wreszcie mogła robić coś sensownego, będzie trwała u boku Kitty. Przynosiła białe ściereczki, podawała Kitty herbatę, masowała jej plecy, dodawała odwagi.

– Liso, ja już nie chcę więcej. Nie chcę mieć żadnego dziecka. Nie chcę! Nie zniosę tego... Auuuuu!

– Zaraz będzie po wszystkim, moja biedna Kitty. Pomyśl o tym, jak Alfons będzie się cieszył. Mały, słodki pędrak.

– Znowu się zaczyna. Kiedy to się wreszcie skończy? Niech to już będzie teraz!

– Niedługo, Kitty. To już nie potrwa długo. Jeszcze tylko ten skurcz...

Akuszerka przyszła godzinę później i narzekała okropnie, że rodząca nie leży w łóżku, a przecież leżeć musi. Na szezlongu? Co to ma w ogóle być?

– Niech pani przestanie gadać i robi, co do niej należy! – ofuknęła ją Elisabeth.

Marie musiała interweniować, bo wiedziała, że w przeciwnym razie te dwie skoczą sobie do gardeł. Koberin nie była przyzwyczajona do sprzeciwu. Ale gdy dziecko wreszcie się urodziło, Elisabeth już nie atakowała akuszerki.

– Silne i zdrowe – powiedziała Koberin, gdy trzymała za nóżki czerwone jak rak, wrzeszczące stworzonko, pozwalając mu tak przez chwilę wisieć do góry nogami. – Kapać bardzo ostrożnie, żeby nic nie zostało w nosku i ustach. A teraz jeszcze więcej ścierek. I gazety. Czas na łożysko.

Jak ta kobieta świetnie się orientowała we wszystkich tych skomplikowanych sprawach! Najpierw zarzuciła spódnice Kitty na jej brzuch, zdjęła jej bieliznę i wprawnymi rękoma obmacała brzuch. Uklękła potem między kolanami Kitty, wyczuła główkę dziecka i pulch-nymi palcami pomogła tej małej istocie wydostać się z ciemnego więzienia. Robiła to zupełnie spokojnie i pewnie, podczas gdy zafascynowana Elisabeth stała obok i bez wahania wykonywała każde jej polecenie. Potem kąpała maleństwo w wanience, która była przygotowana w tym celu, i czuła, że trzyma w rękach nowe życie. Jak wierzgało i kopało, jak mocno starało się radzić sobie bez osłony ciepłego wnętrza matczynego brzucha. Marie już jakiś czas temu wróciła do domu, bo potrzebowały jej własne dzieci. Przyszła natomiast Alicia, żeby wspierać córkę.

– Dziewczynka – powiedziała Alicia z czułością. – Masz córeczkę, Kitty!

Kitty leżała na sofie cała czerwona i szczęśliwa, zachwycona, że jednak dała radę urodzić.

– Co? Dziewczynka? – krzyknęła. – Zrób to jeszcze raz! Ja chciałam chłopca!

Augsburg, 10 kwietnia 1916 roku

Kochany Paulu,

Nie rozumiem Cię i jestem na Ciebie zła. Czy to wszystko było tylko czystą hipokryzją? Twoje czułe listy? Twoja tęsknota za mną i naszymi dziećmi? Twój niepokój o los fabryki? Cóż, chyba muszę się pogodzić z tym, że masz ważniejsze rzeczy na głowie. Takie sprawy jak duma i żołnierskie braterstwo. Piszesz o swoich obowiązkach wobec ojczyzny? Mógłbyś je wypełniać również tutaj, w Augsburgu, jako dyrektor zakładu – produkować materiał z papieru, żeby wyposażać naszych żołnierzy w ubrania i inne potrzebne rzeczy. Co w tym trudnego? Wystarczy, żebyś poszedł do swojego przełożonego i złożył odpowiednie podanie. Resztą zajmiemy się tutaj, ale ważne, żeby nasza inicjatywa była wspierana z kilku stron, bo wtedy się powiedzie.

No dobrze, na razie tata się sprzeciwia, ale da się przekonać, wiem to. Twój ojciec jest zbyt mądry, by nie dostrzec w końcu, że mamy rację. Przejdźcie na produkcję materiału z włókien papierowych uratuje fabrykę, sprawi również, że wrócisz do nas, do Willi, mój uparty kochany Paulu. Nie myśl tylko, że przestanę się starać. Chcę Cię mieć z powrotem przy sobie, mój Skarbie, i zrobię wszystko, żeby mi się powiodło. Dlatego wyświadcz mi przysługę i nie opieraj się dłużej!

Tak! Musiałam zrzucić z serca całą moją złość. A tak naprawdę wciąż jestem wesolą i tylko czasami złośliwą Marie, Twoją gorliwą kochanką i mądrą żoną. Matką twoich dwóch zachwycających krzykaczy, którymi od kilku dni opiekuje się też mamka. Nazywa się Rosa Knickbein i jest rezolutną, a moim zdaniem całkowicie godną zaufania osobą, którą razem z Twoją mamą wybrałyśmy z szeregu kandydatek.

Napisz do mnie szybko, mój Kochany, i wybac mi mój gniew, który wynika jedynie z głębokiej miłości, jaką Cię darzę. Proszę Cię bardzo szczerze, żebyś przemyślał kwestię rezygnacji ze służby na froncie, ale nie będę mocniej naciskać, bo decyzja należy przede wszystkim do Ciebie.

Kochająca Cię Marie

Północna Francja, 15 kwietnia 1916 roku

Moja najukochańsza Marie,

Twój ostatni list bardzo mocno mnie dotknął i pragnę tylko jednego – żebyś mi wybaczyła. W tych trudnych czasach nie powinna nas dzielić żadna uraza i nawet jeśli nasze pragnienia i zamiary będą się rozmijać, to wciąż liczę na Twoje życzliwe zrozumienie.

Częściowo nieporozumienie wzięło się z tego, że przez ostatnie tygodnie nie miałem w ogóle czasu, żeby napisać do Ciebie wyczerpującego listu, w którym wyjaśniłbym Ci

moją decyzję. Całe dni sterczeliśmy na pozycjach strzeleckich, ale koniec końców nie oddaliśmy ani jednego strzału. Wczoraj natomiast zupełnie nagle wróg – Anglicy i Francuzi w zatrwającej przewadze liczebnej – zaatakował nasze linie. Ciężka artyleria, karabiny maszynowe i mnóstwo piechoty przeciwko małemu oddziałowi kawalerii! To było piekło, ale rozkazy były krótkie i zwięzłe: utrzymać stanowiska. Nie było to jednak możliwe, nie chcieliśmy zostać wystrzelani jak króliki! Nastąpił odwrót w ogniu kul, wystrzeliwanych przez piechotę, przez wieś, między domami, gdy kule z karabinów maszynowych i szrapnele świszczały nam koło uszu. I nagle rozkaz: stać, wracać! Zawróciliśmy więc i pogalopowaliśmy w gradzie kul na polanę, a stamtąd do bezpiecznej kryjówki. Pięciu moich towarzyszy i siedem koni przyplaciło życiem ten atak, ale nasze cztery działa artyleryjskie zostały uratowane. Jak mam Ci wyjaśnić, co czuję w czasie takich wydarzeń? Zaczęły przynależeć do mojej codzienności, każdego dnia na nowo doświadczam tych okropności, tracę przez nie rozsądek. Wieczorem siedzisz wspólnie z towarzyszami, mówisz o domu, pokazujesz zdjęcia. Drugiego dnia on leży martwy w rowie z czaszką roztrzaskaną przez kule. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem tak głębokiej wspólnoty, takiego braterstwa między mężczyznami jak tutaj, gdy każdego dnia i w każdej godzinie stajemy oko w oko ze śmiercią. Dzielimy ze sobą miejsce schronienia i jedzenie, tytoń i wino, ale także strach przed śmiercią i szaloną nadzieję, że wyjdziemy bez szwanku z tej zawieruchy. I miałbym teraz postąpić tak tchórzliwie, żeby wrócić do ojczyzny, tam, gdzie jest bezpiecznie? A towarzyszy zostawić tutaj samych w niedoli i strachu? Nie mogę tego zrobić!

Nie chcę być niesprawiedliwy, moja Kochana. Rób, co uważasz za słuszne, jeśli los będzie tego chciał, to Ci się powiedzie i wrócę do Was. Ja sam jednak nie zrobię żadnego kroku w tym kierunku. Moja tęsknota za Tobą jest nieukojoną, podobnie jak moja szczerą i głęboką miłość. Nie, nie jestem hipokrytą, moja Najdroższa, powinnaś znać mnie lepiej. Napisz szybko, czy potrafisz mi wybaczyć i czy wciąż będziesz mnie kochać, nawet wtedy, gdy Twój Paul okazał się tak niestęchaniem uparty.

Całuję Cię i ściskam mocno

Paul

Ech!

Twardy cios w prawą goleń wyrwał Humberta z kojącej ciemności głębokiego snu. Jęknął z bólu i wyciągnął nogę, obejmując ją obiema rękami i patrząc zmrużonymi oczami w stronę światła. Ktoś otworzył drewniane drzwi szopy. Poranne słońce padało ukośnie i oświetlało zbieraninę przedmiotów oraz niestety miejsce, w którym się zatrzymał na noc.

– *Meisje... vagebond...*

Nie rozumiał nic z tego, co ten mężczyzna bełkocze. W jasnym porannym słońcu był w stanie dostrzec jedynie zarys jego postaci. Miał na sobie szeroki, krótki płaszcz i czapkę, był trochę zgarbiony, a jego nogi były krzywe. Starszy człowiek, najpewniej ogrodnik. Albo parobek, którego zatrudniono do pracy w ogrodzie. Humbert wstał i zdał sobie sprawę, że ma na sobie damską spódnicę i chustę. Stary wziął go zapewne za kobietę. Może za bezdomną ofiarę wojny. Ale czy nie powiedział czegoś o włóczędze?

– Nie, nie – powiedział i wyprostował grubą wełnianą spódnicę, włożoną na długie majtki. – Nie włóczęga. Pracować. Szukam pracy.

Stary chyba niczego nie rozumiał. Nic dziwnego, prawdopodobnie nie znał niemieckiego. Był Belgiem, mówił więc po francusku jak rolnik, u którego Humbert i jego towarzysze zostali zakwaterowani. A może jednak nie?

– *Français?* – zapytał Humbert ostrożnie. – *Parler... travailler?*

Nic więcej nie przychodziło mu do głowy. Znał zaledwie kilka słów, większości nauczył się na wojnie. Mężczyzna zrobił dwa kroki w jego stronę i schylił się, żeby dobrze mu się przyjrzeć. Humbert przesunął się pośpiesznie do tyłu, aby znaleźć się poza jego zasięgiem, ale potracił narzędzia ogrodnicze, zgromadzone przy ścianie. Na podłogę spadł szpadel, za nim następny, zahaczając o kosę, która zsunęła się z haka. Humbert, który zdążył już oprzytomnieć, rzucił się w bok, a starzec uskoczył do tyłu i potknął się o poukładane koło siebie kosze, ale uniknął ostrego, zakrzywionego ostrza. Teraz już wszystko popsulem, pomyślał Humbert. Trzeba stąd uciekać, zanim ten człowiek mnie stłucze. Podniósł się i powoli odsuwał od starca, który pochylił się, żeby podnieść kosę z podłogi. Humbert potrzebował jedynie ułamka sekundy, żeby w przygarbionej pozycji wyslizgnąć się na zewnątrz, ale zapomniał o swojej szerokiej spódnicy. Stary złapał go z ogromną siłą, prawie zerwał z Humberta całe ubranie i przytrzymał go mocno w pasie.

– *Meisje.*

Szeroka twarz z białym zarostem uśmiechnęła się do niego. Widoczne były dwa żółtawe zęby mężczyzny, a jego zgnięty oddech uderzył we wrażliwy na zapachy nos Humberta.

– Puszczaj mnie! – krzyczał i próbował się uwolnić z uścisku.

Stary coś bełkotał, uśmiechał się obleśnie, obejmował go jeszcze mocniej, ciągnąc za wełnianą spódnicę. Humbert stracił równowagę, przewrócił się i upadając, uderzył plecami w jakiś twardy przedmiot, ale nie czuł bólu, tylko niewypowiedziane obrzydzenie. Stary rzucił się na niego, chrząkał, śmiał się, szarpał jego podkoszulek, szukał grubymi paluchami czegoś, co było zbyt dobrze schowane. Warknął rozgniewany

i sięgnął pod spódnicę, chcąc odsłonić nogi rzekomej dziewczyny. Humbertowi udało się wreszcie szarpnąć gwałciciela za włosy. Gdy stary wrzasnął wściek-ły, Humbert podniósł nogi do góry i wbił mu kolana prosto w brzuch. Mężczyzna zawył i upadł do tyłu. Przekleństwa i obelgi, które z siebie zaczął wyrzucać, były dla Humberta zupełnie niezrozumiałe, na tyle jednak głośne, by przyciągnąć innych mieszkańców.

– Juul?...

– *Wie is daar?*⁴. Juul!

Humbert zgarnął zbyt luźną w talii spódnicę i wybiegł z miejsca swojego schronienia do parku. Przystanął pod osłoną rozłożystego krzewu jałowca, żeby znów ściągnąć w pasie tę przeklętą spódnicę. Co to był za niedorzeczny pomysł przebierać się za kobietę! Sznur od gorsetu, który trzymał spódnicę w pasie, obluzował się i żeby go ciałniej związać, trzeba było najpierw rozwiązać węzeł, co oznaczało uciążliwą dłubaninę. Także narzutka została nieco rozerwana przy dekolcie.

– *Hoi!*⁵.

Odwrócił się przestraszony i zorientował się, że jest obserwowany. Dwie młode kobiety w wiejskich ubraniach stały niedaleko od jałowca. Postawiły w trawie blaszane wiaderka i patrzyły z wesołym zdziwieniem na jego wysiłki. Nagle zorientował się, że w rozdartej spódnicy i chuście z kapturem dziwacznie zarzuconej na głowę musi stanowić prawdziwie ekscytujący widok. Pośpiesznie schował się z powrotem za krzakiem i usłyszał gromki wybuch śmiechu. Okropnie, pomyślał z przerażeniem. Jak okropnie żenujące. Poprawił więc ten nieszczęsny kaptur, ściągnął spódnicę najlepiej, jak potrafił, i zastanawiał się, co powinien zrobić. Musiał uważać na tego starego, bo on z pewnością by go zabił, gdyby tylko mógł. Kobiety jednak wydawały się dość przyjaźnie nastawione – śmiały się wprawdzie z niego, ale nie widać było, by się go bały. Co mogły mieć w tych blaszanych pojemnikach? Pewnie mleko. Świeże, gęś-te krowie mleko. A gdzie było mleko, było i masło. I ser. A może również chleb i upieczony kurczak? Mimo niedawno przeżytego przerażenia poczuł wyraźne burczenie w żołądku. Od wczoraj nie miał nic w ustach. Nagle niedaleko swojej kryjówki usłyszał jęczenie i przeklinanie starego oraz wesołe głosy kobiet, które o coś pytały, wyrażały swoje zdumienie i chichotały. Co on im opowiadał? O tym, że chciał zgwałcić zabłąkaną dziewczynę, która schroniła się w chatce w ogrodzie? Na pewno nie. Z pewnością przedstawił siebie jako biednego, niewinnego starca, który podstępnie został zaatakowany przez groźną kobietę włóczęgę.

Humbert stał jeszcze przez chwilę i nasłuchiwał, drżąc i zastanawiając się, czy lepiej będzie się stąd wymknąć, czy jednak wziąć byka za rogi. Burczący żołądek zdecydował za niego. Jeszcze raz poprawił podkoszulek, spódnicę oraz czepek i wyszedł z ukrycia, kierując się w stronę głosów. Stary pokazywał im „rany”, które otrzymał podczas walki w chatce.

Najmłodsza z kobiet zauważyła go pierwsza i wskazała wyciągniętą ręką na niego, pozostałe przestraszyły się i zakryły rękami usta. Przeczynał, że tak będzie. Stary rozpustnik oczernił go przed kobietami, opisał być może jako szalonego mordercę i teraz się go bały.

– Halo?

Starał się nadać swojemu głosowi jasny, wystraszony ton, co mu się doskonale

udało. Widział, że kobiety zachowują się niepewnie, patrzą na siebie i wymieniają się uwagami. Właściwie były całkiem ładne te belgijskie wieśniaczki. Lekko zaokrąglone, małe noski, usta pełne i zaróżowione jak maliny. Włosów nie widział, bo na głowach miały związane kolorowe chusty. Stary wymamrotał coś, na co nie zwróciły uwagi.

– Proszę... *Please... S'il vous plaît...* Szukam pracy... *Travailler*. Potrafię dobrze pracować... *bon travail*.

Stary drań zrobił lekceważący gest w jego stronę i krzyknął coś niezrozumiałego. Prawdopodobnie poradził mu, żeby stąd zniknął. Kobiety wydawały się niezdecydowane, najwyższa potrząsnęła głową, a potem się uśmiechnęła.

– *Hoe hot jij?*6.

Nie rozumiał, co powiedziała. Ona mówiła dalej, wpatrując się w niego pytająco. O co pytała? Zapewne chciała wiedzieć, kim był.

– Humb... – przerwał, bo prawie się zdradził. – Berta... Nazywam się Berta... Berthe...

Szeptaly między sobą, gestykulowały, chichotały, aż w końcu najwyższa postanowiła się do niego znów odezwać.

– *Viens... tu parles français? N'aie pas peur... Viens?*7.

Chętnie by jej posłuchał i poszedł za nią, ale między kobietami wciąż stał starzec w krótkim, potarganym w czasie przepychanki płaszczu i patrzył na niego wrogo.

– On chce mnie uderzyć... – powiedział Humbert.

Teraz chyba wreszcie zrozumiały, że niemiecki jest jego ojczystym językiem. Stary był jeszcze zagniewany, a kobiety patrzyły po sobie pytająco. Niemka. W dziwnej sukience. I chodziła samotnie po okolicy, spała w chatce w ogrodzie. Teraz pewnie mają mnie za szpiega, pomyślał zrezygnowany Humbert. No i co? Czego ja oczekiwałem? Że zatrudnią mnie jako lokaja?

– Chodź! – powiedziała w końcu najmniejsza z kobiet. – Głodna, tak? Chodź, mamy jedzenie...

Pobiegły obie do miejsca, w którym zostawiły wiaderka z mlekiem, popatrzyły na niego i szły dalej. Poszedł za nimi. Czuł tak dojmujący głód, że ostrożność przestała mieć znaczenie. Teraz już miało być dobrze. One były przyjaznymi, nieszkodliwymi kobietami, może służyły w pałacu, były zatrudnione do pomocy, tak jak wcześniej on. Dlaczego, będąc kolegami po fachu, mieliby się wzajemnie nie rozumieć?

Kilka razy obejrzał się za siebie, żeby upewnić się, że stary za nimi nie idzie, ale jego oprawca został obok szopy. Pałac widziany z bliska nie wyglądał już tak imponująco, jak go zapamiętał. Gdy przejeżdżali z daleka, ta trójskrzydłowa budowla wydawała mu się nieskazitelnie biała i idealna w proporcjach architektonicznych. Teraz widział łuszczący się tynk w dolnej części elewacji i wybitą szybę, którą zastąpiono tekturą.

Drzwi dla służby skrzypnęły, gdy przez nie wchodzili – wilgoć wypaczyła drewno. Cudowny zapach, który buchnął mu w nozdrza, gdy tylko przekroczył próg, sprawił, że zapomniał o całej reszcie. To były zapachy kawy, świeżego ciasta drożdżowego, karmelu, migdałów, rodzynek... Zrobiło mu się słabo z głodu, ślina napływała do ust, więc przelatywał ją nerwowo. Wpatrywał się w długi stół, nad którym pochylało się kilka kobiet, wałkujących i formujących żółtawe ciasto. Na głowach miały związane chusty, a ich

twarze były czerwone z wysiłku. Na środku stołu stało kilka czarnych blach, na których leżały obwarzanki, precle, różne plecione chlebki i poskręcane ślimaki z ciasta. Gdy wszedł, wszystkie kobiety podniosły głowy, żeby się mu przypatrzeć, rozległy się szepty i pytania, kobiety śmiały się, potrząsały głowami, przeklinały, uspokajały się wzajemnie, chichotały, przepychały się i szturchały. On miał doświadczenie z kobietami w kuchni. Mogą być wobec siebie złośliwe, wzajemnie się obgadywać, ale gdy pojawia się ktoś obcy, zawsze trzymają się razem. Co teraz go czeka?

– Siadaj! Tutaj... Uważaj! Mąka!

Jeśli więc chciały, potrafiły mówić po niemiecku. Popchnęły go na koniec długiego stołu, tak że minął te oblepione ciastem kobiety, posadziły go na stołku i postawiły przed nim filiżankę. I dały mu okrągły talerz ze świeżo upieczoną bułką z rodzynkami i żółtym, tłustym masłem.

– *Mange... tu as faim, hein?* Jesteś głodna? Berthe.

Dlaczego wybuchnęły przy tym wesołym śmiechem, nie miał pojęcia, było mu to już jednak obojętne. Ugryzł świeżą bułeczkę, żuł, mlaskał, popijał dużymi łykami kawę z mlekiem i pojękiwał z doświadczanej błogości. Posmarował potem masłem nadgryzioną bułkę i znowu przeżuwał i powoli połykał, czując, jak każdy kawałek dociera do jego żołądka. Ogromnie pragnął każdej kolejnej porcji. Gdy minął pierwszy głód, spostrzegł, że kobiety nie spuszczają z niego oka, podśmiewają się z niego i wymieniają szeptem uwagi, które najpewniej nie powinny były dotrzeć do jego uszu. Uśmiechał się więc łagodnie, pił kawę z kubka i jadł dalej. Pochłonął kilka bułeczek z rodzynkami, które przed nim dalej stawiały, dwie kromki chleba z masłem i szynką, dużą porcję sera oraz piankowy deser ze śmietanki, cukru, ubitego białka jajka i wanilii, który smakował niczym ambrozja.

Cóż to za zachwycające kobiety! Wszystkie były dość potężnie zbudowane, miały krótkie ręce i okrągłe twarze. Były świeże jak dojrzałe jabłuszka. Stały wokół stołu, chodziły po kuchni, nosiły kufle i dzbanki, rozpałały ogień. Przeciągnął się błogo, a jego żołądek był solidnie napełniony i mimo wielkich chęci nic już nie mógł w nim zmieścić. Teraz najlepsza byłaby mała drzemka. Może pozwoliłyby mu wyciągnąć się na chwilę na ławce stojącej koło ciepłego pieca? Musiałby wtedy zgonić z niej czarnego kocura, który był mocno pogrążony w porannym śnie.

– Dziękuję – powiedział do wszystkich. – *Merci beaucoup*. Tyle pysznego jedzenia, dziękuję bardzo!

Skinęły głowami, ciesząc się, że jest zadowolony, i wymieniając między sobą przewrotne spojrzenia. Czuł, że coś im chodzi po głowach, ale był zbyt zmęczony, żeby się o to martwić. Było tutaj tak przytulnie, a poza tym to miejsce przypominało mu posiadłość Melzerów. Wieczory, gdy siedzieli wszyscy razem, jedli i rozmawiali. Przypomniała mu się kucharka Fanny Brunnenmayer. Dobra dusza, która była dla niego niczym matka. Przesyłała mu paczki. Teraz będą do niej odsyłane z informacją, że żołnierz Humbert Sedlmayer zaginął. Biedna Fanny. Postara się jakoś do niej napisać. Ale oczywiście musi zachować ostrożność.

– Jesteś najedzony? – zapytała go jedna z kobiet.

Była jedną z najładniejszych, miała okrągłe niebieskie oczy i dołeczki

w policzkach. Spod czepka wystawały drobne loczki w kolorze miedzi.

– Najedzony – potwierdził i pokiwał głową. – Bardzo dziękuję. Byłam prawie martwa z głodu.

– Chcesz pracować?

No tak, pomyślał. Nie są głupie i każą mi odpracować posiłek. Dlaczego nie? Może będą ze mnie zadowolone i będę mógł tutaj zostać.

– Pracować – powiedział z determinacją. – Tak. *Travailler. Beaucoup travailler.*

– Co potrafisz robić?

Coś, co zobaczył w jej oczach, irytowało go. Patrzyła tak, jakby miała jakiś sekretny zamysł, który jedynie z trudem przed nim ukrywała. Szybkie spojrzenie dookoła uświadomiło mu, że jej pytanie zostało przyjęte w ogólnym napięciu. Tylko z tyłu, na drugim końcu kuchni dwie dziewczyny dźwigały ciężkie blaszane wiadro, pozostałe kobiety zebrały się wokół niego.

– Dużo potrafisz – odpowiedział. – Zmywać naczynia, nosić wodę, nakrywać stół, myć warzywa, ścielić łóżka.

Celowo nie wymieniał nieprzyjemnych prac, takich jak wycieranie kurzu czy mycie podłóg. Nie przepadał także za trzepaniem dywanów, a czyszczenie pieca nie było jego specjalnością.

– Dobrze – odpowiedziała. – A więc lubisz wykonywać ładne prace, żadnego brudzenia się, tak?

Czy one go mają za głupca? Natychmiast zaczął je zapewniać, że on może wykonywać każdą pracę.

– Niestety jesteś trochę za brudna, żeby wykonywać ładną pracę, Berthe.

– Za... za brudna? – zapytał, wciąż niczego nie rozumiejąc.

– Dlatego najpierw musimy cię wyczyścić.

Dwie potężne kobiety złapały go pod ramiona, on szarpał się, próbując się wyswobodzić, ale to nic nie dało. Pośród gromkiego śmiechu złośliwych kobiet opierająca się Berthe została zaciągnięta do pralni. Niewielkie pomieszczenie wypełniała ciepła mgiełka, nastawiono czajnik i gotującą się wodę wiano do balii, następnie dolano zimnej wody, żeby osiągnąć pożądaną temperaturę kąpieli.

– No chodź już, wszystkie jesteśmy przecież dziewczynami!

– Nie! Puszczaj! Puszczaj, ty wiedzmo! Pomocy!

Próbował rozpaczliwie wyrwać się z rąk rozbawionych i zdeterminowanych kobiet, ale na próżno. Ściągnęły mu spódnice, potem podkoszulek, buty stracił wcześniej, podczas daremnej próby ucieczki, wreszcie puścił też chustę z czepkiem. Koniec końców został mu jedyny ratunek – szybki, śmiały skok do pełnej balii. Siedział w niej w kucki, namydlił się i odmawiał konsekwentnie ściągnięcia długich, damskich majtek. Ależ podstępne były te kobiety! Wieśniaczki, ale trzeba się było mieć przed nimi na baczności. Teraz w każdym razie, gdy siedział w tej balii jak zmokła kura, starały się pokazać z delikatnej, kobiecej strony.

– *Comme tu es joli, mon petit...*

– Ależ jesteś delikatną, małą dziewczynką...

– Siedź spokojnie. To jest coś na twoje włosy – żebyś pachniała różami, Berthe.

Namydliły wszystkie najważniejsze części jego ciała. Myły mu głowę, pocierały ramiona, klatkę piersiową, plecy i tylko wtedy, gdy ich palce wędrowały zbyt głęboko, odpychał je.

– Wstydzi się. *La pucelle*. Dziewica nasza.

– Jeszcze zmądrzeje, mała uparciuszka.

Świat nagle przewrócił się do góry nogami. Siedział w kucki, namydlony, w balii pełnej wody i był myty przez delikatne kobiece ręce, podczas gdy na froncie kryto się w okopach, walczone i umierano, gdy granaty eksplodowały, a ludzie i zwierzęta wykrwawiali się na śmierć w błocie.

To musiał być sen, naiwny, irracjonalny sen, w którym mieszały się ze sobą rzeczy z zupełnie różnych porządków. One mu współczuły. Pod osłoną dużego ręcznika mógł nawet niepostrzeżenie wstać z balii i pozbyć się mokrych pantalonów. Te podstępne kobietki przyniosły następnie halkę, a nawet staromodny gorset, majtki z koronką, wełniane pończochy i nakrycie głowy, które przypominało czepek zakładany na noc. Nie miał wyjścia i musiał włożyć te ubrania, wzgardził jedynie gorsetem. Do tego dobrały idealnie pasującą, jak na niego szytą, spódnicę i lnianą bluzkę, a drewniaki były mniej kłopotliwe w chodzeniu, niż przypuszczał.

Śmiechy i chichoty wreszcie się skończyły, zostawiły go w spokoju i wróciły do swojej pracy, a wodę z kąpieli wykorzystały do umycia podłogi. Wyciągnęły też z pieca gotowe ciasto. Ta najładniejsza z miedzianymi lokami zniknęła, najpewniej miała coś do zrobienia u państwa na górze. Teraz starsza kobieta dała mu kosz do ręki i tłumaczyła wyczerpująco flamandzkim, francuskim oraz łamanym niemieckim, że powinien przynieść drewno do palenia w kuchni.

– Skąd?

Wymachiwała rękami, co znaczyło mniej więcej, że musi wyjść na podwórze, iść na prawo, potem raz jeszcze na prawo i tam będzie drewno. Kosz był dość brudny, do takiej pracy naprawdę nie musiały go kąpać.

Tak czy inaczej wydawało się, że go przyjęły, przynajmniej na jakiś czas. Jeśli będzie z nimi współpracował, może ich państwo wezmą go za jedną ze służących? Nie było niestety zabawnie chodzić w tych ubraniach, zwłaszcza że z pewnością zauważyły, iż nie jest kobietą. Miały go w garści, więziły go tutaj niczym kurę w klatce, obdarowując kolejnymi porcjami swojej dobroci.

Ale, kolejny raz, wszystko to było lepsze niż przyczajanie się w okopach między szczurami, gdy wokół eksplodowały pociski.

Zamrugął osłepiony ostrymi promieniami słońca. Pomiedzy kostką brukową na dziedzińcu wyrastały już mlecze i trawa, kałuże połyskiwały w słońcu, a wojskowy samochód stał zaparkowany pod jednym z platanów. Musiał obejść skrzydło budynku, żeby pójść na prawo, do ogrodu. Faktycznie, drewno opałowe było ułożone przy murku małej przybudówki. Zanim napełnił kosz, rozejrzał się szybko, bo bał się, że obrzydliwy starzec mógł się na niego zacząć w pobliżu. Nikogo jednak nie było widać. Kosy świstały pośród drzew, dziobały zeszłoroczne suche liście, wiewiórki śmigały niczym czerwone strzałki nad drogą i znikwały w plątaniu nagich gałęzi któregoś z buków. Humbert poukładał kawałki drewna w koszu, chciał ich tam zmieścić jak najwięcej. Zarzucił sobie

kosz na ramię i ruszył do kuchni.

Dotarł już do brukowanej części dziedzińca i postawił swój ciężar, żeby otworzyć drzwi prowadzące do skrzydła dla służby, gdy nagle poczuł się tak, jakby wylano na niego kubel zimnej wody: z głównego wejścia do pałacu wychodził mężczyzna, schodami prosto na dziedziniec. Oficer. Niemiecki oficer. Nie, major.

Humbert instynktownie zrobił wtedy coś, co przez dwa lata weszło mu w krew – zsalutował. Major stał przez chwilę oszołomiony, wpatrując się w dziewczynę, która mu saltuje niczym niemiecki żołnierz. Zmrużył oczy, a następnie zrobił kilka kroków do przodu.

– Czy ja zupełnie oszalałem? – powiedział Klaus von Hagemann. – To jest przecież... Humbert!

3 Franc. mówić... pracować.

4 Holender. Kto tam jest?

5 Holender. Cześć!

6 Holender. Jest ci gorąco?

7 Franc. Chodź... mówisz po francusku? Nie bój się... Chodź...

Alicia Melzer napiła się kawy i podała Marie dzbanuszek ze śmietaną. Kawa pachniała jak za czasów pokoju, była mocna i aromatyczna – od dyrektora Wieslera zdobyli worek surowych ziaren kawy i kucharka parzyła ją porcjami w garnku na otwartym ogniu.

– Czy Dodo ma się lepiej? – zapytała Alicia.

Mała przez ostatnie dwie noce wywoływała ogólny niepokój, bo cały czas płakała i miała podwyższoną o kilka kresiek temperaturę.

– Od wczorajszego wieczoru jest spokojniejsza – poinformowała Marie. – Mam nadzieję, że tak zostanie. Dzisiaj rano piła bez problemu i wydawała się całkiem zadowolona.

Alicia kiwnęła głową i zaczęła przeglądać pocztę, którą właśnie przyniosła Else. Marie nie patrzyła na teściową, smarowała chleb marmoladą truskawkową i mieszała śmietankę w swojej kawie. Codziennie rano odbywał się ten sam uciążliwy rytuał: nadzieja, pośpieszne przeszukiwanie poczty, a potem głębokie rozczarowanie. Ta sama próba pocieszania siebie nawzajem – że trzeba być cierpliwym, mieć zaufanie, że Bóg będzie go chronił. Być może właśnie dlatego od pewnego czasu Johann Melzer wstawał znów wcześniej i wychodził do fabryki, zanim dostarczano pocztę.

– Nic nie ma – powiedziała Alicia cicho, po tym jak dwukrotnie przejrzała stosik. – To już czwarty tydzień...

Marie starała się zapobiec narastającej w Alicii rozpacz, więc powiedziała, że adwokat Grünling został zwolniony z Rosji i właśnie wraca do ojczyzny. Wie to od Rosy, której siostra pracuje u rodziców Grünlinga jako pokojówka. Rosa Knick-bein była nową mamką, rezolutną dziewczyną, która lubiła zaznaczać swoją szczególną pozycję w willi przed resztą służby i dlatego często spierała się z kucharką.

– Jak cudownie – westchnęła Alicia i dodała, że ma nadzieję, iż Grünling jest cały i zdrowy. Najstarszy syn Wieslerów również wrócił z Rosji, ale śmiertelnie chory i po kilku tygodniach zmarł na tyfus. Ta śmiertelna choroba jest przenoszona przez wszy, dlatego to bardzo ważne, żeby żołnierze codziennie sprawdzali, czy nie noszą na sobie robactwa.

Zamilkła, bo ktoś zapukał do drzwi. Mamka pojawiła się w białym fartuszkach i małym czepku na blond włosach. Trochę za duży nos i krzaczaste brwi podkreślały jej stanowczość.

– Oboje są najedzeni i dobrze się czują, łaskawa pani. Proponuję, żebyśmy dzisiaj wyszły z nimi na pierwszy krótki spacer po parku.

– A czy dla Dodo nie jest zbyt wcześnie? – zapytała przejęta Alicia. – Malutka była chora przez ostatnie dwa dni, miała nawet gorączkę.

Mamka odpowiedziała, że świeże powietrze jeszcze nigdy nie zaszkodziło żadnemu dziecku, o wiele niebezpieczniejsze jest trzymanie dzieci w dusznych pomieszczeniach, bo wtedy ich płuca mogą się do-rze nie rozwinać.

– O „dusznych pomieszczeniach” u nas nie ma mowy – odpowiedziała Alicia, marszcząc brwi. – Ale ja jestem tylko babcią, to Marie musi o tym zdecydować.

Marie ucieszyła propozycja mamki, bo oznaczało to, że nadchodzące tygodnie przyniosą dobrą zmianę. Nadszedł maj, a wiosna zadomowiła się na terenie parku zachłannie niż wcześniej, choć mogło się tak tylko wydawać, bo nie było ogrodnika, który przyciąłby drzewa i krzewy. Dziadek Gustava Bliefert co prawda robił coś tu i tam, używając siekierki i sekatora, ale nie mógł poradzić sobie z bujnie rosnącymi gałęziami. Tylko bratki zdążył już posadzić na grządkach, między nimi umieścił kilka begonii, a na klombach przed wejściem jaśniały żółte narcyzy i czerwone tulipany.

– Za pół godziny, Rosa. Ja będę niosła Dodo, a ty możesz pchać wózek z naszym dzieckiem.

Rosa przytaknęła zadowolona i pobiegła ochoczo, żeby przygotować swoich małych podopiecznych do ich pierwszego spaceru. Marie słyszała, że woła do Auguste, żeby zniosła oba wózki dziecięce do holu i wyłożyła je poduszkami. Auguste coś odburknęła, ona też nie zawsze dobrze reagowała na energiczną mamkę.

– Może jutro będziemy miały na stole całą stertę listów – powiedziała, żeby nieco rozchmurzyć teściową. – Wiesz przecież, że listy z frontu czasami są przetrzymywane nie wiadomo gdzie, a potem dostarczane wszystkie jednocześnie.

Obie nie pozwalały sobie nawet myśleć o innej możliwości. Zawiadomienie o śmierci. Dostarczone przez dobrego przyjaciela albo zupełnie anonimowo – pocztą. Tak wiele wysłano już takich listów. Alicia chyba dostrzegła intencje Marie, przytaknęła więc i westchnęła:

– Tak, trzeba w to wierzyć. Bóg to sprawi. Słyszałaś, że nasz biedny Humbert został uznany za zaginionego? Else powiedziała mi to dzisiaj wczesnym rankiem, a dowiedziała się od Brunnenmayer. Biedna kucharka ciągle płacze.

– Ach... – powiedziała Marie. – A zawsze wierzyliśmy, że akurat Humbertowi uda się jakoś prześlizgnąć przez tę służbę... Ale to, że zginął, nie znaczy jeszcze, że on...

– Oczywiście, że nie.

– Nie chcesz dołączyć do nas, mamó, gdy wyjdziemy z maluchami? Jest tak wiosennie w parku, myślę, że Bliefert posadził już nawet hiacynty, niebieskie i różowe.

Alicia uśmiechnęła się i wydawało się, że jest skłonna przyjąć zaproszenie, ale potem wyjaśniła, że obiecała odwiedzić Kitty.

– Wciąż jest taka apatyczna. Mogłam to przewidzieć, Marie. Kitty ma skłonności do melancholii, z tego powodu swego czasu zasięgaliliśmy rady doktora Schleichera.

Zaraz po swoim szczęśliwym porodzie Kitty była bardzo wesoła i podekscytowana. Elisabeth mówiła nawet, że gdy przesiadywała u niej godzinami każdego wieczoru, Kitty żartowała i wygadywała różnego rodzaju bzdury. Jednego dnia Elisabeth musiała jej opowiadać o przeszłości, o czasach, gdy Kitty była jeszcze bardzo mała, i zadawała mnóstwo pytań, na które Elisabeth potrafiła udzielić jedynie połowicznej odpowiedzi. Kiedy nauczyła się chodzić? Jakie były jej ulubione potrawy? Czy lubiła się kąpać? Następnego dnia panna Schmalzler zadzwoniła do Willi i do Elisabeth, żeby prosić o pomoc, bo młoda pani Bräuer leży w łóżku, szlochając, i mówi, że chciałaby umrzeć. Zadzwoniono po lekarza, a ten przepisał Kitty środki uspokajające. Spała po nich do

późna, a gdy się budziła, była w tak samo osobliwym nastroju, tyle że już nie płakała, ale żądała, by pokazano jej syna. Gdy mówiono jej, że urodziła córkę, złościła się i zarzucała panie Schmalzler, że ją perfidnie okłamuje. Z dnia na dzień jej stan na szczęście się poprawiał, zaczynała myśleć racjonalnie i coraz częściej brała córkę w ramiona. Razem z Elisabeth, która codziennie zostawała u niej aż do wieczora, wybrały imię dla małej – Henriette. Z pierwszą wizytą przyszli już też teściowie oraz szwagierka Kitty. Dyrektor Bräuer był całkowicie zauroczony swoją maleńką wnuczką, a Tilly wzruszyła się do łez, gdy Kitty ją poprosiła, żeby została matką chrzestną Henriette. Mała miała być ochrzczona w mieszkaniu wielebnego Leutwiena, tak samo jak wcześniej bliźnięta Marie. To nie był dobry czas na urządzenie wystawnych chrzcin, bo ojcowie maluchów byli na wojnie.

Na dole w holu było teraz słycać wrzaski oznaczające sprzeciw. Marie rozpoznała głos swojego synka Leo, który krzyczał nieco piskliwiej, ale też głośniejsze od swojej siostry i – tę różnicę zauważyli wszyscy – między napadami krzyku musiał dłużej łapać oddech. Marie odłożyła serwetkę i dopiła kawę.

– W takim razie pozdrów ode mnie bardzo serdecznie naszą Kitty, mamę – powiedziała i gdy podnosiła się z krzesła, położyła Alicii rękę na ramieniu. Tym dotykiem wyrażała zarówno czułość, jak i dzieloną przez obie nadzieję, za co Alicia podziękowała uśmiechem.

– To prawdziwe szczęście, że mamy tę dwójkę maluchów – powiedziała powoli. – Tak długo, jak dzieci się rodzą i dorastają, nasz świat jeszcze nie przewrócił się zupełnie do góry nogami. Prawda?

– Tak, mamę.

Marie najchętniej przytuliłaby teraz Alicię, czuła, że teściowa potrzebuje tego rodzaju gestów, ale się nie odważyła. Spontaniczność i swoboda, z jaką Kitty i Elisabeth obejmowały swoich rodziców, były jej obce. W sierocińcu, w którym dorastała, nauczyła się być ostrożna w wyrażaniu uczuć, nikomu nie ufać i samodzielnie sobie ze wszystkim radzić. Chociaż wiedziała, że Alicia Melzer jest do niej więcej niż pozytywnie nastawiona, wciąż nie potrafiła przezwyciężyć w sobie tego wyuczonego dystansu.

– Widzimy się na obiedzie – zawołała radośnie do Alicii i pobiegła schodami na dół, do dużego holu przy głównym wejściu, gdzie czekały już na nią Auguste i Rosa.

Maluchy leżały w wózkach z dużymi kołami, otulone miękkimi poduszkami, ubrane w dzianinowe czapeczki, a w dodatku mamka włożyła im maleńkie rękawiczki, które Kitty zrobiła szydełkiem.

– O mój Boże – zawołała Marie z uśmiechem. – Wygląda na to, że wybieramy się od razu na Syberię!

– Pomyślałam, że warto by było włożyć im te śliczne rękawiczki chociaż raz, zanim staną się dla nich za małe – powiedziała Rosa, kołysząc wózkiem, w którym leżała mała Dodo, cichutko kwiląc.

Leo pojękiwał zmęczony, mrugał, był senny i wpychał do buzi rękawiczkę. Smak surowej wełny mu się jednak nie spodobał i mały pluł i ślinił się, aż zaczęły mu się kleić oczy.

– Jutro weź ze sobą Maxla i Liesel – powiedziała Marie do Auguste. – Gdzie oni

są? Nie widziałam ich od tygodni!

Auguste dygnęła zadowolona. Bała się, że nikt już nie chce widzieć w willi jej dzieci, odkąd państwo miało tutaj własne.

– Są w kuchni, łaskawa pani. Żeby nie przeszkadzały. Liesel jest zwinna jak łasiczka, ale Maxl jest leniwy i potrafi zepsuć wszystko, co mu w ręce wpadnie.

Otworzyła szerokie drzwi wejściowe i do pomieszczenia wpadło złote, wiosenne słońce. Na zewnątrz jaśniały w nim rabatki kwiatów, a z tyłu wyciągały gałęzie w limonkowym kolorze platany, które już niedługo powinny zostać przycięte.

– Pani Melzer! – zawołał ktoś. – Łaskawa pani!

Else wpadła do holu z ogromną szybkością, było więc oczywiste, że stało się coś złego. Marie poczuła lodowate ukłucie w ciele. Nie, pomyślała. Dobry Boże, nie pozwól, żeby... Tylko nie Paul.

– Co się stało, Else?

Pracownica zatrzymała się przed Marie, nagle nie będąc tak całkiem pewna, czy wiadomość była aż tak istotna, by przeszkadzać łaskawej pani Melzer w spacerze w dziećmi.

– Coś strasznego, łaskawa pani. Przyszła pewna kobieta i powiedziała, że matka Hanny nie żyje.

Było jej źle z tym, że odczuła ulgę, ale tak właśnie się stało. Marie знаła matkę Hanny, gdy ta jeszcze pracowała w fabryce, potem ją zwolniono. Biedna Hanna musiała oddawać swoje niewielkie, ciężko zarobione pieniądze uzależnionej od alkoholu matce. Mimo wszystko była jednak do niej przywiązana.

– Na miłość boską! – odpowiedziała Marie. – Co się właściwie stało?

– Nikt tego nie wie, łaskawa pani. Wydaje się, że alkohol ją zabił...

Oczywiście mogła dodać coś więcej, ale zamilkła, bo najpewniej poczuła, że nie powinno się mówić źle o zmarłych.

– Hanna teraz siedzi w kuchni i łka. Ta kobieta powiedziała też, że Hanna powinna zająć się zmarłą, bo ona nie może przecież tak leżeć i gnić.

Marie skinęła na Auguste. Podjęła decyzję: ten pierwszy spacer dzieci odbędzie się bez udziału ich mamy – Hanna była teraz ważniejsza. Od czasu wypadku w fabryce Marie troszczyła się o dziewczynę, załatwiła jej pracę w posiadłości Melzerów i mimo irytującej niezdarności Hanny zawsze ją brała w obronę. W tej bolesnej sytuacji też chciała jej pomóc.

– Podnieś składany dach przy wózku – powiedziała do Auguste. – Zaczyna wiać zimny wiatr.

Potem poszła z Else do kuchni. Kuchnia i pomieszczenia gospodarcze były terenem, na który państwo się nie zapuszczali, to była część willi przeznaczona dla służby. Marie jednak kiedyś sama była tutaj na służbie, ta przestrzeń była jej znana i nie wahała się do niej wkraczać.

– Hanno! Ty biedna dziewczyno! Co za okropna wiadomość!

Hanna siedziała na stołku przy piecu kuchennym i pozwalała się pocieszać kucharce. Słyszając głos młodej pani Melzer, podniosła głowę i uśmiechnęła się przez łzy.

– Marie! – zawołała i przerażona położyła dłoń na ustach. – Proszę o wybaczenie...

Łaskawa pani, chciałam powiedzieć. Bardzo mi przykro, jestem całkowicie rozkojarzona.

Marie skinęła na Brunnenmayer i podeszła do Hanny, żeby ją objąć. Jakie to dziwne, że tak łatwo może przytulić tę biedną dziewczynę, podczas gdy wobec Alicii bywa tak powściągliwa.

– Ona... ona powiedziała... – Hanna łkała i pociągała nosem – że... że ja muszę ją zabrać.

Marie głaskała ją po plecach i cieszyła się, że Brunnenmayer podeszła do niej z chusteczką, bo sama nie miała żadnej przy sobie.

– Wysmarkaj najpierw nos, Hanno... O tak... A teraz powiedz mi, gdzie mieszka twoja matka.

– W dzielnicy Proviantbach...

– Dobrze. W takim razie pójdziemy tam razem. Włóż kurtkę i zawiąż buty.

Kucharka zamruczała, że też poszłaby chętnie z Hanną, ale musi przygotować obiad. A jeśli łaskawa pani idzie teraz z Hanną do Proviantbach, to Else musi jej pomóc w kuchni. Bo udało się jej dostać cebulę i zimową marchew, a Hanna nie zdążyła obrać kartofli.

– Powiedz Else, że ja ją o to proszę. To co prawda nie należy do jej obowiązków, ale to są wyjątkowe okoliczności.

Dzielnica Proviantbach znajdowała się dość blisko fabryki Melzerów. Na niewielkim osiedlu stały budynki mieszkalne dla pracowników zakładu tekstylnego – pozbawione uroku pudełka z małymi oknami; mieszkania były wąskie i składały się co najwyżej z dwóch pokoi, ale były wyposażone we wszystkie potrzebne urządzenia: łazienkę, piec, wannę, kuchnię. Johann Melzer wybudował w tej nowo powstającej dzielnicy kilka domów, odpowiednich dla jego pracowników. Przed wojną były tam nawet sklepy, piekarnie, mleczarnie, tak by mieszkańcy mogli robić zakupy na miejscu, a Melzer sfinansował dla swoich pracowników również przedszkola i łaźnie. Mieszkania te przysługiwały wyłącznie pracownikom fabryki, więc Marie zastanawiała się, dlaczego matka Hanny wciąż tam mieszkała. Czyżby nie została zwolniona? Podobny los spotkał ostatnio większość osób pracujących w fabryce, może więc po prostu nikt już nie pytał, kto i dlaczego mieszka na terenie dzielnicy. Gdy szły parkiem otaczającym posiadłość, Marie zobaczyła Auguste i Rosę, które spacerowały po utwardzonej drodze, pchały przed sobą wózki i rozmawiały. Przynajmniej jakoś się ze sobą dogadują, pomyślała Marie. Hanna opowiadała teraz o kobiecie, która z samego rana przyszła do kuchni z wiadomością. To sąsiadka matki, Hanna dobrze ją знаła, bo zjawiała się u matki zawsze, gdy ta miała wódkę czy piwo. Obie wtedy piły i były w wesołych nastrojach.

– Ona powiedziała straszną rzecz, ta pani Schuster. Co Else i Brunnenmayer sobie teraz o mnie myślą! Powiedziała, że nie troszczyłam się o moją matkę i pozwoliłam jej umrzeć w samotności. A ja jej jeszcze przedwczoraj oddałam moje pięć marek. To było wszystko, co miałam, i ona mi obiecała, że kupi sobie za to coś do jedzenia, a nie piwo.

Marie starała się uspokoić dziewczynę. Hanna przecież nie mogła nic poradzić na to, co się stało. To smutne, ale jej matka była chora i dlatego ciągle musiała pić. Nikt nie był w stanie jej pomóc.

– Nie powinnam jej była dawać pieniędzy... – opowiadała Hanna, zupełnie

roztrzęsiona. – Za te głupie pieniądze na pewno kupiła sobie kolejne butelki sznapsa. Piwo to ona zawsze piła. Ale to wódka była jej wrogiem – sama tak nawet mówiła. Ach, gdybym jej dała tylko jedną markę albo pięćdziesiąt fenigów, może wciąż by żyła...

Marie знаła biedne dzielnice Augsburga, w których głód, przestępczość i prostytutka były na porządku dziennym. W dzielnicach robotniczych na obrzeżach miasta wyglądało to jednak inaczej. Wszyscy, którym udało się dostać tam mieszkania, musieli przestrzegać zasad, gdyż panował tutaj porządek i ludzie żyli dość skromnie. Jak to więc możliwe, że matka Hanny popadła w alkoholizm? Marie wiedziała, że odbywały się tutaj rygorystyczne kontrole – mężowie bijący żony, pijacy oraz socjaliści nie byli tolerowani w tych dzielnicach. Gdy teraz przechodziły pomiędzy wielopiętrowymi szarymi blokami, Marie zauważyła, że wiele się tutaj zmieniło. Kobiety w różnym wieku, które w tym czasie powinny pracować w fabryce, wystawały na ulicach i plotkowały albo kłóciły się ze sobą. W małych ogródkach kiełkowały już zioła i pierwsze warzywa, tu i tam można było zobaczyć kobietę, która je pielęła. Czy wcześniej nie hodowały tutaj kur? Teraz nie było widać ani jednej. Dzieci w podartych, brudnych ubraniach krzyczały i płakały, bawiły się w kałużach, a pomiędzy nimi biegał wychudzony brązowy pies, którego najpewniej nikt nie karmił. W drzwiach niektórych domów zebrali się młodzi chłopcy i dziewczęta, nieśmiało spoglądając na dobrze ubraną młodą kobietę, u boku której szła córka Weberowej. Ile lat mogli mieć ci chłopcy? Szesnaście? Gdyby mieli siedemnaście, musieliby wstąpić do wojska, a wciąż pewnie byli tacy, którzy by się z tego cieszyli.

– To tutaj, łaskawa pani.

Hanna przystanęła przed jedną z szarych kamienic i przestępowała niepewnie z nogi na nogę.

– Na pewno chce tam ze mną łaskawa pani wejść? Tam jest bardzo brzydko. Wcześniej, gdy moi bracia jeszcze tu żyli, matka utrzymywała mieszkanie w czystości, były nawet łóżka. Ale teraz...

– Nie jestem zbyt wrażliwa, Hanno. Idziemy.

W wąskim korytarzu na parterze uderzył ją ostry smród dymu. Wchodziły schodami na górę. Na pierwszym piętrze jedne z drzwi były do połowy otwarte, a przez szparę było widać starszego mężczyznę, który siedział przy stole i łapczywie jadł zupę. Gdy mijaly jego mieszkanie, mężczyzna zaczął gwałtownie kaszleć i podbiegła do niego kobieta, żeby odsunąć talerz z zupą i łyżkę.

– A więc tutaj jesteście! – zawołała kobieta, widząc Hannę. – Ona leży tam od wczoraj i nikt nawet o tym nie wiedział. Zabierz ją w końcu stamtąd, tak nie może przecież być!

– Niech się pani nie martwi, wszystkim się zajmiemy – odpowiedziała Marie.

Na górę prowadziły kolejne schody, węższe niż te na dole, i widać było, że od dawna nikt ich nie mył. Matka Hanny mieszkała w jednym z czterech dwupokojowych mieszkań, które znajdowały się na najwyższym piętrze kamienicy czynszowej, tuż pod dachem.

– Hanna! Dziecko!

Gdy Hanna i Marie usłyszały skrzypiący głos kobiety, stanęły bez ruchu na schodach.

– Wchodź do środka, moja mała. Nie bój się, tutaj jest całkiem wesoło. Dziesięć tysięcy czerwonych diabełków kuca między deskami i uśmiecha się do nas.

– To jest właśnie Schusterowa – szepnęła zaniepokojona Hanna. – Znowu piła.

Marie pomyślała, że sąsiadka chętnie skorzystała z zapasów, które zostawiła matka Hanny. Jakie to wszystko było okropne. Jedna zmarła z powodu alkoholu, druga nie miała nic lepszego do zrobienia, jak tylko picie. Ścisnęła rękę Hanny i weszły odważnie na ostatnie stopnie. W przyćmionym świetle można było jedynie dostrzec rozczochrane, postrzępione włosy Schusterowej, rękę, którą trzymała na butelce, opadającą z ramion chustę. Najgorszy był jednak smród stęchłych ubrań i taniego sznapsa.

– Przyprowadziłaś ze sobą taką piękną damę? – wychrypiła Schuster i zakołysała się tak gwałtownie, że Marie bała się, by nie upadła przed nią. – Piękna... dama z... willi... Napij się łyeczka, Hanna, dziecko. To od twojej matki... Ona już nie potrzebuje... Ona wszystko wypięła... Wszystko wypięła! I teraz jest zaspokojona!

Przez chwilę Marie myślała, że to wszystko może być tylko mało zabawną pomyłką. Możliwe, że matka Hanny spała w stanie upojenia alkoholowego, a ta szalona kobieta, Schusterowa, w pijackim zamroczeniu ubzduriała sobie, że Weberowa nie żyje. Kobieta pokuśtykała jednak do przodu i uderzyła nogą w drzwi. Otworzyły się z przeciągłym skrzypnięciem, a Schusterowa oparła się o drewnianą futrynę, żeby nie upaść.

– Tam leży – zachichotała. – Leży tam od wczoraj wieczorem i nie chce się obudzić. Za dużo sznapsa, mówię wam. Za dużo sznapsa...

Przysunęła butelkę do ust, wzięła głęboki łyk, a nogi odmówiły jej posłuszeństwa i powoli osunęła się na drewnianą podłogę. Siedziała tam skręcona, w ręce mocno trzymała butelkę i wpatrywała się w ciemność, jakby faktycznie widziała tam coś naprawdę zdumiewającego.

Hanna i Marie musiały ją przekroczyć, żeby dostać się do mieszkania. Nie było tam zbyt wiele do oglądania. Kilka łachmanów leżących na gołej podłodze, a obok małego żeliwnego piecyka walały się resztki krzesła, które ktoś porąbał i częściowo spalił. Matka Hanny leżała w niewielkiej przybudówce, która przypominała raczej szopę niż pokój. Liche światło wpadało jedynie przez małe okienko. Łóżka nie było, z pewnością spotkał je ten sam los, co większość mebli z mieszkania. Pozbawione życia ciało było ułożone na starej kołdrze, na boku, z rękami złożonymi przy brzuchu. Żółta twarz, ze spiczastym nosem włącznie, nie pozostawiała żadnych wątpliwości, że Grete Weber umarła poprzedniego wieczoru. Marie objęła Hannę ramieniem i próbowała przyciągnąć do siebie, ale dziewczyna stała sztywna i wpatrywała się nieustępliwie w zmarłą, jakby nie mogła uwierzyć w to, co przed sobą widzi.

– Twoja matka jest już daleko stąd, Hanno – powiedziała powoli Marie. – To, co tu widzisz, to jest tylko powłoka, którą ona odrzuciła. Jej dusza jest jednak czysta i dobra, w swojej duszy zawsze kochała ciebie i twoje rodzeństwo. I ta nieśmiertelna dusza twojej matki jest już w drodze do nieba.

Hanna wciąż nie reagowała. Marie rozpaczliwie zastanawiała się, co jeszcze mogłaby jej powiedzieć, żeby widok zmarłej uczynić dla niej bardziej znośnym. Nie było to jednak potrzebne.

– Musimy... musimy ją prawidłowo ułożyć – wyszeptała nagle Hanna. – Musi leżeć na plecach i mieć złożone ręce. Prawda?

– Tak, powinnyśmy to zrobić.

Marie musiała przez chwilę ze sobą walczyć, żeby zbliżyć się do zmarłej i jej dotknąć. Hanna natomiast wydawała się nie mieć żadnych oporów, złożyła ręce swojej matki, przygładziła jej zmierzwiłone włosy i zamknęła oczy. Wszystko to robiła tak ostrożnie i wprawnie, jakby nierzadko się tym zajmowała wcześniej.

– Zatrudnię zakład pogrzebowy, Hanno – powiedziała Marie. – Twoja matka powinna leżeć w trumnie i być pochowana na cmentarzu.

Hanna przytaknęła, prawdopodobnie nie miała pojęcia, że ta usługa będzie kosztować tyle, że sama nie byłaby w stanie zapłacić. Marie myślała jednak w tej chwili również o swojej matce, którą pochowano we wspólnym grobie dla biedoty, i postanowiła, że oszczędzi Hannie takiego smutku.

Opuszczając mieszkanie, zamknęły drzwi, a Marie przekręciła klucz. Na korytarzu, na podłodze, siedziała Schusterowa. Oparła się o słupek, a głowę miała zwieszoną na klatkę piersiową. Spała, z wciąż mocno zaciśniętą prawą ręką wokół butelki z wódką. Gdzieś na dole w kamienicy płakało dziecko, słyhać też było rozgniewany głos starszej kobiety, jakiś twardy przedmiot uderzył o ścianę. Na zewnątrz niebo pokryło się chmurami, po ulicach hulał zimny wiatr i rozpryskiwał wodę w kałużach. Było już południe, tu i tam czuć było zapach zupy ziemniaczanej, do której dołożono najpewniej również brukiew.

Dzieci zniknęły, tylko pies leżał przed wejściem i obgryzał patyk. Marie i Hanna w pośpiechu opuszczały dzielnicę. Jeśli tutaj jest już tak biednie, myślała Marie z niepokojem, to jak musi wyglądać ta część miasta, w której zawsze mieszkała biedota? No dobrze, są posiłki wydawane przez Kościół, a żywność rozdają też panie z patriotycznych organizacji charytatywnych. Wielebny Leutwien podczas swojej ostatniej wizyty w posiadłości powiedział jednak, że choroby i epidemie uśmiercają biedaków. Głód i zimno osłabiają ich tak bardzo, że starsi ludzie i dzieci umierają nawet z powodu kataru.

Gdy przechodziły koło fabryki Melzerów, usłyszały syreny ogłaszające południe. Marie była zła, bo wiedziała, że pracowano tylko w jednej hali. Była tam zatrudniona jedynie garstka pracownic, które czyściły łuski po pociskach, tak by mogły zostać wypełnione ponownie. Johann Melzer dotychczas nie zrobił nic, żeby rozpocząć produkcję papierowych tekstyliów. Paul na próżno męczył się nad projektami maszyn, ojciec nie był w stanie nawet dla niego nagiąć swoich zasad. Zakład Melzerów nie zniży się do produkcji zastępczego materiału, tam korzysta się jedynie z bawełny i dobrej wełny. To albo nic.

– Czy to prawda, że dusza mojej matki trafi do nieba? – zapytała Hanna.

– Jestem absolutnie pewna, że tak właśnie będzie – powiedziała Marie zdecydowanie.

– I będzie na mnie spoglądać z góry?

Marie poczuła się nieco niepewnie, gdy dziewczyna spojrzała na nią wielkimi, ufnyimi oczami. Co mogła jej powiedzieć? Hanna miała piętnaście lat, nie była już

dzieckiem.

– Nikt nie wie tego na pewno, Hanno. Ale jeśli będziesz w to mocno wierzyć, tak właśnie się stanie.

Hanna w zamyśleniu patrzyła w niebo, po którym wiatr przesuwał białe i szare chmury.

– Nie wiem, czy chciałabym, żeby robiła to cały czas – powiedziała, marszcząc czoło. – Ale czasami by mogła, tak żeby zupełnie mnie nie zapomniała.

W trakcie całego swojego małżeństwa Alicia jeszcze nigdy nie odważyła się przekazać mężowi jakiegokolwiek swojej nieodwołalnej decyzji. Dzisiaj w to piękne przedpołudnie, gdy cały teren parkowy i droga były skąpane w świetle koloru limonki, zrobiła to po raz pierwszy. Miarka się przebrała – wydawała się mówić jej mina. Była jedną z von Maydornów, potomkinią arystokratycznej rodziny, której synowie służyli, i cieszyli się uznaniem, jako oficerowie w cesarskiej armii.

– To jest moja ostateczna decyzja, Johann.

Melzer ze złością cisnął poranną gazetą o podłogę, gdy zaraz na początku śniadania przedstawiła mu swój, jego zdaniem, głupi pomysł. Nie, nie i jeszcze raz nie! Nie chce mieć szpitala w swoim domu. To właśnie panie z rodzinnej posiadłości – Alicia i jego córka Elisabeth – miały pokornie zaakceptować. Kiedy jednak po tej przemowie podniósł się z krzesła, żeby opuścić jadalnię, Alicia stanęła naprzeciwko niego. Niewiarygodne. Zagroziła mu drogę do drzwi! Musiałby się z nią przepychać, żeby wyjść.

– Co to znaczy, Alicio? Chcesz robić jakieś niegodne ciebie przedstawienie w obecności służby? Czy ta sprawa jest tego warta?

Stał przed nią trochę wściekły, trochę niepewny, nie odważył się jednak przepchnąć obok niej albo jej dotknąć.

– To, czy dojdzie do przedstawienia, zależy wyłącznie od ciebie, Johann. Ja jestem zupełnie spokojna – powiedziała z wysoko uniesioną głową, choć lekkie drżenie jej głosu zdradzało, że kłamie. – Klamka zapadła, urządzamy szpital w posiadłości. Poinformowałam już o tym odpowiednie władze.

Jego wzrok wędrował po całym pokoju, aż w końcu skupił się na niej. Czuł, że jego twarz staje się purpurowa. Lekarz powiedział, że w żadnym razie nie powinien się denerwować.

– To jest mój dom – powiedział głucho, prawie nie otwierając ust. – O tym, co się tutaj dzieje, wciąż ja decyduję!

– Mylisz się, Johann. To jest również mój dom, bo jestem twoją żoną. A to, co chcę zrobić, jest zgodne z przykazaniem miłości bliźniego i wyrazem człowieczeństwa. Nie pojmuję, jak można się uchylać od tego obowiązku.

Czuł, jak narasta w nim irytacja. Uniósł ręce, założył je za kark i jęknął głośno.

– A więc wy, pobożne kobiety, zjednoczyłyście się przeciwko mnie? Ty i twoja córka Elisabeth zawiązałyście sojusz? A kto za tym stoi? No? Jeszcze tego nie pojęłaś? Nasz wspaniały zięć Klaus von Hagemann wpadł przecież na ten absurdalny pomysł. Bo chce w ten sposób zdobyć uznanie u swoich przełożonych, ten ambitny golec.

Alicia zamrugła – ta myśl była dla niej ewidentnie zupełnie nowa. Nie była jednak gotowa, by dalej brnąć w spór. Zdecydowała się przeforsować swoją decyzję, niezależnie od tego, co jeszcze Johann miał na ten temat do powiedzenia.

– Nie stoję tutaj, żeby z tobą dyskutować – powiedziała, zniżając głos. – Chciałam ci przekazać moją wolę i tym razem to ja oczekuję, że ją zaakceptujesz!

Ponownie założył ręce za kark i wydawało się, że zastygł w tej dziwnej pozie. Co w nią wstąpiło? Skąd ten upór, graniczący z buntem? To socjalistyczne brednie! Kobiety, które wychodzą na ulice i żądają prawa do głosowania. Żony, które przeciwstawiają się mężom, odmawiają posłuszeństwa głowie rodziny.

– Jeśli twój syn mógłby cię teraz zobaczyć – wycodził przez zęby – wstydziliby się za swoją matkę!

Te słowa były nikczemne, dobrze to wiedział. Alicia parsknęła krótkim śmiechem, który zabrzmiał sztucznie i ironicznie.

– Paul? – krzyknęła i śmiała się dalej. – On byłby pierwszym, który by mnie zrozumiał. Ale on jest na froncie i od sześciu tygodni nie ma od niego żadnej wiadomości!

– I masz pretensje o to do mnie, Alicio?

Wiedzieli to oboje, choć żadne nie powiedziało na ten temat ani słowa. Mógł sprowadzić Paula z powrotem do Augsburga, aby zajął się produkcją sprzętu dla wojska. Specjaliści byli zwalniani ze służby, można było przynajmniej spróbować. To, że do tej pory tego nie zrobił, było trudne do zniesienia nie tylko dla Marie, ale także dla Alicii.

– To już musisz ustalić sam ze sobą, Johann! Ze sobą i swoim sumieniem!

Jej surowy ton ranił go, więcej nawet, zadawał mu ciosy prosto w serce. Pozwolił opaść rękoma i potrząsnął bezradnie głową. Co się właściwie działo? Czy nie wystarczyło, że świat wokół wywracał się do góry nogami? Czy ta bezwzględna wojna musiała również do jego domu wprowadzić rozdzwięk?

– W takim razie nie mamy już sobie nic więcej do powiedzenia. Poza jednym: zabraniam wam robić szpitala z mojego domu. Jeśli mimo to nie uszanujesz mojej woli, musisz się liczyć z moim gwałtownym sprzeciwem.

I już go rozpoczął. Zrobił dwa kroki w jej stronę, gotowy ją przesunąć, jeśli sama nie zechce zejść mu z drogi. Alicia go jednak przepuściła, pozwoliła mu odejść. Tego, że gdy zamknęły się za nim drzwi, Alicia opadła na krzesło i zakryła rękoma twarz, już nie widział.

– Auguste!

Gdzie ona się podziewa? Johann zszedł schodami do głównego wyjścia i już był gotów sam przynieść sobie kapelusz i laskę, ale zauważył, że Auguste stała w drzwiach i przyjmowała innego gościa. Elisabeth! Jak na ironię. Nie miał ochoty na dalszą kłótnię, chwycił więc szybko laskę i w przelocie skinął córce na powitanie.

– Tato! – zawołała. – Jak cudownie, że jeszcze cię złapałam!

Aha, pomyślał. Szykuje się drugi atak tego rana.

– Nie mam czasu, Liso. Idź do mamy, jest w złym nastroju.

Uciekł przed nią, był już na schodach prowadzących na podjazd i wtedy usłyszał jej pośpieszne kroki.

– Tato, zaczekaj! Nie uciekaj!

Zatrzymał się niechętnie, powiedział przecież, że nie ma czasu. Czego ona od niego chciała? Jej zatroskana twarz go zabolęła. Biedna Lisa, ona zawsze wyciąga kiepską kartę i w dodatku poślubiła tego szlachetnie urodzonego golca, który czyhał tylko na jej posag. W końcu była to jego wina, bo jako ojciec nie powinien na to się zgodzić.

– A czy przypadkiem się nie kłóciliście, ty i mama?

– To nie twoja sprawa, Liso.

Ku własnemu zdziwieniu nagle rozpląkała się. Za nic na świecie nie chciała, żeby przez tę nieszczęsną historię z organizowaniem szpitala mama miała tyle żmartwień. To był jej pomysł i miała nadzieję, że będzie mogła zrobić coś dla tych nieszczęsnych rannych żołnierzy.

– Ale nie za taką cenę, tato – szlochała. – Za bardzo się o ciebie boję, nie powinienes się przecież denerwować. Nie – zapomnij o tej sprawie. Porozmawiam z mamą. W willi nie będzie żadnego szpitala.

Był wniebowzięty. Oczywiście nie wybuchem płaczu, ale jej rezygnacją. Ale gdy jeszcze rzuciła mu się na szyję i przycisnęła zapłakaną twarz do jego marynarki, czuł się niewymownie rozdarty i poruszony.

– No już, już, Liso. Nie rób sensacji... Co Auguste o tobie pomyśli?

Pociągnęła nosem i zaczęła szukać w torebeczce chusteczki do nosa. Jakie to dziwne, że pośród tych wszystkich rzeczy, które kobiety upychają do swoich torebek, tak rzadko można znaleźć czystą chus-teczkę. Wyciągnął swoją z lewej kieszeni marynarki, gdzie zawsze znajdowała się czysta chusteczka, i wręczył jej. Jak wcześniej, gdy jeszcze była małą dziewczynką.

– Wytrzymaj twarz, Liso. W takim stanie na pewno nie możesz pójść do mamy.

– Klóciliście się, prawda? – zapytała, ocierając policzki. – Koniec z tym głupim pomysłem, tato. Raz na zawsze.

Wziął głęboki oddech, żeby po chwili ujawnić wszystko to, co leżało mu na sercu.

– Nie mogę pojąć, dlaczego zostałem nazwany złym chrześcijaninem i zdrajcą ojczyzny. Zabolalo mnie to głęboko. Z pewnością nie jestem święty, ale nie jestem też jakimś potworem – wyjaśnił jej.

– Ach, tato, wiesz przecież, jak bardzo cię wszyscy kochamy!

Zauważył łzy w jej oczach, pomyślał, że znów zacznie płakać. Był pokonany. Nie chciał zmienić swojego stanowiska w wiadomej sprawie, ale jeśli miałyby codziennie przechodzić przez taką wojnę nerwów, wołał od razu ustąpić.

– Muszę teraz załatwić kilka spraw w fabryce – mruknął. – Gdy wrócę na obiad, chcę się dowiedzieć, jakie macie dokładne plany i pomysły. Poza tym oczekuję, że poinformujecie mnie o tym, co do tej pory mama zrobiła w związku z tym przedsięwzięciem.

Zostawił ją z tą wiadomością i tak szybko, jak pozwalała mu chora noga, poszedł w kierunku wyjścia z parku. Niech teraz zostaną w niepewności, należy im się to. Gdy po półgodzinnym marszu przekroczył bramę fabryki i jak zwykle zawołał do portiera „Dob-ry, Gruber!”, już dokładnie wiedział, jak będzie wyglądać szpital polowy w posiadłości. Później, gdy siedział przy biurku, rozrysował, jak będą podzielone pokoje, gdzie trzeba postawić ściany działowe i tak dalej. Zatelefonował do dowództwa i negocjował w sprawie łóżek, materacy, pościeli i koszul dla pacjentów. Powiedziano mu, że nie ma już materiałów opatrunkowych z bawełny, zastąpiono je tkaniną papierową.

– Jest mi o tym wiadomo – warknął i odłożył słuchawkę.

Elisabeth została na obiedzie, dzięki czemu czuł wielką ulgę, bo Marie była dzisiaj nieskłonna do rozmowy, a Alicia miała zbolalą minę. Powiedziała, że ma migrenę, zjadła

jedynie kilka łyżek zupy ryżowej, i zaraz po deserze, kompocie z suszonych śliwek, wróciła do swojego pokoju. Melzer rozłożył na biurku w gabinecie teczkę, w której znajdowały się nie tylko notatki dotyczące lazaretu, ale również odpowiedni Kwestionariusz do Komitetu Narodowego w sprawie podjęcia dobrowolnej opieki pielęgniarskiej w czasie wojny. Trzeba było odpowiedzieć na pięćdziesiąt pytań, dotyczących wyposażenia przyszłego lazaretu: budynków, lokalizacji, lekarzy, personelu pielęgniarskiego, dostępnej przestrzeni.

W końcu pewnie nie będą chcieli naszej willi, rozmyślał.

Elisabeth wypełniła taki formularz wcześniej. Kolejny, nawet mały szpital, który powstanie pod patronatem towarzystwa charytatywnego, będzie pozytywnie przyjęty przez lokalne władze. Przede wszystkim teren parkowy wokół posiadłości daje przyszłym rekonwalescentom możliwość spacerowania w spokojnym otoczeniu i na świeżym powietrzu. Dlatego zaproponowano, żeby umieścić tutaj tych pacjentów, którzy już odzyskują zdrowie.

Melzer przytaknął zadowolony. To było dla niego do przyjęcia. Rekonwalescentów przyjmie znacznie chętniej niż tych, którzy dopiero zostali ranni albo są przypadkami beznadziejnymi. Może to było śmieszne, ale nie był w stanie patrzeć na krew i nie chciałby też słuchać krzyków umierających.

Dwa dni później stary stolarz Gottfried Waser wraz ze swoimi dwoma uczniami przyszli do posiadłości, by wymierzyć ścianki działowe w holu. Przedpokój z kilkoma drzwiami powstał przy tylnym wyjściu, tak żeby z podwórza nie wchodziło się prosto do sal dla chorych. Przestrzeń ta obejmowała prawie całą powierzchnię tylnej części holu i była doświetlona przez drzwi z szerokimi oknami, prowadzące na taras. Latem będzie można otwierać te drzwi, żeby przesunąć łóżka z chorymi na taras. Pralnia została zamieniona na salę zabiegową, a trzy inne pomieszczenia gospodarcze przerobiono na pojedyncze pokoje dla oficerów. Jako że państwo, jak zwykle do tej pory, nie będą mogli wchodzić z holu prosto na pierwsze piętro, będą musieli korzystać ze schodów, prowadzących z parku do ogrodu zimowego.

Po kilku dniach Alicia zmieniła surowy stosunek do męża. Wydawała się jakby odmieniona, troszczyła się o urządzenie trzech pokoi dla oficerów, prowadziła negocjacje z kucharką, niespecjalnie zadowoloną z dodatkowych obowiązków, i z tłumem młodych kobiet, które oferowały swoją pomoc jako wolontariuszki. Wybrała te, które wydawały się zdolne do wykonywania tego typu pracy.

Elisabeth miała koordynować działania personelu pielęgniarskiego, umówiła się już w tej sprawie z doktorem Greinerem, który na początku sam miał sprawować opiekę nad pacjentami. Później miał mu pomagać wybrany student medycyny.

Na parterze posiadłości całymi dniami słychać było bicie młotkiem, piłowanie, przeklinanie i narzekanie. Sale i sprząty myto i wycierano mokrą ściereczką, szorowano i woskowano. Auguste, Hanna i Else przesuwwały do pokoi oficerskich szafki nocne, krzesła i komody, kładły dywany, wieszały zasłony. Łóżka zostały dostarczone do willi. Dwadzieścia z nich pochodziło z magazynów wojskowych, pozostałe trzydzieści kupił Melzer. Spływały darowizny, panie z towarzystwa charytatywnego przynosiły pościel, koszule nocne, ręczniki, naczynia i emaliowane nocniki. Najwięcej kosztowało

wyposażenie dużej łazienki z wieloma umywalniami i wydzielonymi toaletami.

– Dobry Boże, co wy zrobiliście z naszym pięknym holem! – krzyknęła Kitty, gdy dumna Elisabeth oprowadzała ją po zaaranżowanej już przestrzeni. – To wygląda strasznie, jak sierociniec! I te szczebelkowe łóżka! Czy ci biedni ranni będą do nich przywiązywani?

– Kitty, co za bzdury wygadujesz!

Chociaż Elisabeth знаła swoją siostrę na wylot, mimo wielkiego wysiłku, by zachować spokój, poczuła się mocno urażona tak niesprawiedliwą krytyką.

– Ach, tak po prostu pomyślałam – odpowiedziała Kitty, wzruszając ramionami i przesuwając ręką po metalowej ramie łóżka, pomalowanej na białe. – Bo mówi się, że niektórzy z nich postradali rozum. Biegają dookoła, zrywają z siebie ubrania i wachlują uszami.

– Miałam nadzieję, że jednak wniesiesz coś sensownego do naszego przedsięwzięcia – odparła ponuro Elisabeth. – Na przykład jakąś darowiznę. Czy zawsze musisz prosić o pozwolenie swoich teściów?

– Nie, nie – odpowiedziała Kitty z uśmiechem. – W mojej szkatule, którą zdażyłaś już całkiem dobrze poznać, znajduje się jeszcze pewna kwota do mojej dyspozycji. A co Marie mówi na cały ten rozgardiasz? To strasznie niewygodne, że musi taszczyć dzieci wąskimi schodami, gdy chce z nimi wyjść. Och, Liso! Czy wiesz, że moja mała Henriette dzisiaj znowu się uśmiechnęła? A śmieje się tak słodko, że jej dziadek jest całkowicie nią zauroczony. Ciebie to już z pewnością nie obchodzi, ciągle jesteś zajęta tym głupim lazaretem.

– Wielkie dzięki, Kitty. Ty masz doprawdy niesłychany talent do psucia mi nastroju.

Kitty zachichotała głupiutko i powiedziała, że Lisa nie powinna aż tak się irytować. Poza tym miała dla niej dobrą wiadomość.

– Tilly koniecznie chce się opiekować rannymi żołnierzami. Sądzisz, że można by ją było wypróbować? Jest kochaną dziewczyną, trochę naiwną, nieco niezdarną, ale kochaną.

– Myślę, że da się to zrobić. Wyślij ją do mamy, ona się tym zajmuje.

Dwa tygodnie później – był już czerwiec – przyjechał wysłannik Ministerstwa Wojny, żeby przeprowadzić inspekcję lazaretu. Skrytykował kiepski system ogrzewania w sali dla chorych, który może szwankować zimą, zalecił kupno dwunastu białych fartuchów, które miały nosić wolontariuszki oprócz czepków, i zapytał kucharkę, czy podejmie się gotować dla chorych dietetyczne potrawy. Fanny Brunnenmayer zachnęła się i odpowiedziała, że przy obecnym niedoborze żywności od miesiąca przygotowuje tutaj tylko takie potrawy. Słyszając to, wysłannik z szacunkiem nazwał ją rezolutną babą i natychmiast uznał szpital wojskowy za gotowy do otwarcia.

Pierwsi pacjenci zostali przywiezieni ciężarówkami wojskowymi. Najpierw dwaj żołnierze, którzy na froncie wdychali trujący gaz, porucznik i sierżant z czerwönką, i pięciu oficerów z ranami postrzałowymi. Parter posiadłości wypełnił niespotykany

dotąd gwar, lazaret zaczął swoją pracę. Nic jednak nie funkcjonowało tak, jak spodziewały się Alicia i Elisabeth. Większość wolontariuszek okazała się niezdolna do pracy, lekarz potrzebował medykamentów, których nie sposób było dostać, brakowało szaf na osobiste rzeczy pacjentów, jedna toaleta to było zdecydowanie za mało dla tak wielu osób. Byli niecierpliwi, nie wszyscy okazywali wdzięczność za darmową opiekę. Panowie oficerowie kłócili się, bo każdy chciał dostać pojedynczy pokój, a dwaj z nich, którzy już całkiem wyzdrowieli, palili papierosy i upijali się spirytusem, który przysyłali im zatroskani rodzice.

Po trzech dniach zupełnego chaosu Elisabeth zwołała w jadalni wieczorne spotkanie kryzysowe, w którym wzięli udział doktor Greiner i Tilly Bräuer, jedyna wolontariuszka, która się sprawdziła jako pielęgniarka. Młodsza siostra Alfonsa Bräuera, ku zaskoczeniu Elisabeth, okazała się bardzo pojętną pielęgniarką. Podobnie jak jej brat, pozornie wydawała się trochę niezdarna i lękliwa, ale okazało się, że ma sprawne ręce i jasny umysł.

Doktor Greiner, w najwyższym stopniu niezadowolony i nieszczęśliwy, ogłosił, że chce się wycofać, bo jest za stary do tego typu pracy. Mimo to jednak z ponurą miną, korzystając z notatek, zgłosił swoje uwagi. Koniecznie i w trybie natychmiastowym należało wymienić te młode panie – które trzęsą się jak spłoszone kury i na widok nagiego mężczyzny dostają ataków hysterii – bo wywołują nerwową atmosferę. Z takimi wolontariuszkami nie da się pracować. Brakuje doświadczonych kobiet z twardymi zasadami, które włączyłyby się do pomocy. Kuleje organizacja rutynowych prac, takich jak mycie pacjentów, opróżnianie naczyń sanitarnych, zmienianie pościeli i bandaży, wydawanie jedzenia, mycie podłóg i tak dalej. Przydałaby się jakaś szacowna osoba, która weźmie w karby tych zarozumiałych oficerów. Trzeba zdobyć: eter, czysty alkohol, tabletki węgla, bandaże, dobre nożyce, pęsety i inne narzędzia chirurgiczne. Alicia słuchała doktora wnikliwie i sama wtrącała od czasu do czasu swoje zastrzeżenia, a Elisabeth szeptała z Tilly:

– Powiedz, że prosimy ją serdecznie. Rozpaczliwie jej potrzebujemy!

Gdy Tilly się podniosła, żeby wyjść, lekarz spojrział gniewnie znad swoich notatek.

– Jeśli panie nie są zainteresowane moimi wskazówkami, proszę o to, by pozwolono mi wyjść. Jestem starszym mężczyzną i chętnie oddam tę pracę młodszemu...

– Ależ bardzo pana proszę, panie doktorze. Mamy przygotowaną przekąskę.

– Cóż, w takim razie...

Tilly wróciła wyraźnie zakłopotana. Za nią do jadalni weszła Marie. Jak zawsze wyglądała na stanowczą i zdeterminowaną, ale kto ją dobrze znał, wiedział od razu, jak niechętnie spełnia prośbę Tilly i bierze udział w spotkaniu.

– Mam nadzieję, że nie zrobiłyśmy ci zbyt wiele kłopotu, Marie.

– Już dobrze, mam. Dobry wieczór, doktorze. Podziwiam ogrom pracy, który pan w to wszystko wkłada.

Doktor Greiner uśmiechnął się miło połechtany, a gdy Else przyniosła tacę z kanapkami i czerwonym winem, jego humor jeszcze bardziej się poprawił. Trzeba się bardzo starać, żeby być pomocnym ojczyźnie, żeby działać owocnie w tych ciężkich czasach. Trzeba tylko przezwyciężyć te wysoce nieprzyjemne przeszkody organizacyjne.

Słyszając to, Marie poczuła wyczekujące spojrzenie Tilly i zrozumiała, że przyprowadzono ją tutaj, bo chaos i brak kompetentnych ludzi zagraża istnieniu szpitala. Właściwie Alicia i Elisabeth mogły się tego spodziewać, dość spontanicznie przystąpiły do tego projektu, a teraz zaczęły się problemy. Marie westchnęła cicho – nie pozostawało jej nic innego jak tylko spróbować ugłaskać lekarza.

– Cóż – powiedziała, uśmiechając się przyjaźnie do doktora Greinera, unosząc jednocześnie kieliszek, żeby się z nim napić. – Przypuszczam, że już wkrótce jakiś pana młodszy kolega zechce pana wspomóc.

– Ja też na to liczę – odpowiedział, dotykając wargami kieliszka. – Bo moja skromna osoba jest naprawdę przytłoczona tymi wszystkimi obowiązkami.

Alicia i Elisabeth wstrzymały oddech.

– Mój drogi, szanowny przyjacielu – powiedziała Marie. – Wszyscy wiemy, jak bardzo ta praca pana obciąża. Niech pan mi wierzy – w ciągu ostatnich dni ogromnie pana podziwiałam. I właśnie dlatego, drogi doktorze, bardzo serdecznie pana proszę, żeby pan nas z tym wszystkim nie zostawił samych.

– Czy ja tak powiedziałem? – burknął. – Ja tylko chciałem jasno zakomunikować, że tak dalej lazaret nie może funkcjonować.

– W takim razie proszę nam powiedzieć, co jest do zrobienia. To przecież nieprawda, że nie damy rady urządzić dobrze funkcjonującego szpitala w tej posiadłości!

– Wspaniale, moje panie! – krzyknął i wziął duży łyk czerwonego wina. – Absolutnie wspaniale! Udzielę wam wszelkich wskazówek!

Wspólnie ustalono, że wolontariuszki muszą posiadać pożądane cechy charakteru, konieczne do tej pracy. Najlepsze będą kobiety zamężne. Potem nowo wybrane przejdą praktyczne szkolenie. Zanim zostanie zebrany odpowiedni personel, Marie zgodziła się pomagać kilka godzin dziennie i sprawdzić, czy Hanna nadawałaby się do tej pracy.

– Else lepiej nie pytajmy – powiedziała Elisabeth, która chciała nie tylko koordynować prace personelu, ale również sama nieść pomoc jako pielęgniarka.

– Nie, Else nie, to już raczej Auguste – wtrąciła się Alicia.

– Zaproponuję też pannie Schmalzler, żeby wróciła do Willi – powiedziała Marie. – Myślę, że ona dysponuje wystarczającym autorytetem, żeby zabronić oficerom palenia w salach.

– Brawo! – zgodziła się Elisabeth, a lekarz dodał, że, jego zdaniem, panna Schmalzler nawet generałowi wyjęłaby szklankę whisky z ręki.

– Eleonore Schmalzler to dobry wybór – zgodziła się Alicia. – Tym bardziej że ona sama już kilka razy pytała mnie, czy nie mogłaby wrócić. A przyznam, że mi jej brakuje.

Tylko Tilly potrząsnęła głową i powiedziała, że Kitty z pewnością byłaby bardzo nieszczęśliwa, gdyby panna Schmalzler nie pomagała jej zajmować się domem, na Frauentorstraße powstałby wtedy straszny bałagan.

– Cóż – powiedziała Alicia z lekkim wahaniem. – To z pewnością moja wina, że Kitty wciąż nie nauczyła się, jak należy prowadzić dom. Pomogę jej zatrudnić odpowiednią gospodynię.

Następnie rozważano zakup wózka inwalidzkiego i Elisabeth postanowiła porozmawiać o tym w szpitalu w najbliższych dniach. Alicia obiecała, że przekaże

lekarzowi dyżurnemu listę brakujących leków i narzędzi, część z nich Else może kupić jutro w aptece.

– Moje panie!

Lekarz uniósł kieliszek i rozejrzał się rozbawiony wokół.

– Chciałbym paniom jak najserdeczniej podziękować za ten przyjemny wieczór. Sądzę, że zrobiliśmy bardzo ważny krok naprzód, by wykonać prawidłowo to trudne zadanie, które sobie wyznaczaliśmy. My też chcemy z odwagą i siłą służyć naszej ukochanej ojczyźnie i zatroszczyć się o to, żeby złagodzić cierpienia naszych dzielnych żołnierzy broniących ojczyzny.

Ostatnie zdanie tej przemowy było nieco zbyt patetyczne, pomyślała Marie. Spoglądając na niego, kobiety wypity ten toast w milczeniu, z poważnymi minami. Chwilkę później lekarz pożegnał się i żałował jedynie, że nie może odwiedzić ani panienki Bräuer, ani młodej pani von Hagemann do ich domów, mimo że jako lekarz dysponuje własnym samochodem. Elisabeth i Tilly pełniły bowiem dyżur nocny w lazarecie. Zeszły z nim jedynie na parter i stamtąd poszły prosto do kuchni, która służyła również za pokój dla pielęgniarek.

Alicia była w dobrym humorze, gdy razem z Marie szła na górę, na drugie piętro. Jakże była szczęśliwa, że ten wieczór minął w tak przyjemnej atmosferze. Naprawdę się bała, że lekarz się wycofa. Całe przedsięwzięcie by wtedy przepadło. Teraz można z ufnością patrzeć w przyszłość. I ona wiedziała, komu to zawdzięcza.

– Mam najcudowniejszą synową na świecie! – powiedziała z uśmiechem i objęła Marie.

Augsburg, 5 maja 1916 roku

Paulu, mój ukochany Paulu,

Od tygodni nie mamy od Ciebie wiadomości. Gdziekolwiek teraz jesteś, myślę o Tobie bezustannie. Nigdy Cię nie opuszczę i wiem, że jak długo będę wysyłać Ci całą swoją siłę i tęsknotę za Tobą, dobry Duch będzie się nad Tobą unosił i Cię chronił. To wszystko, co mogę zrobić. Nie jest to może wiele, ale również nie żałownie mało. Jestem kobietą, nie mogę wskoczyć na konia i jechać do Francji, żeby tam Cię szukać. Nie mogę położyć się w okopach, żeby na Ciebie patrzeć, nie nauczyłam się też niestety sterować samolotem. Och, jakże mnie złości, że jestem tutaj taka bezużyteczna. Ciągle muszę czekać i mieć nadzieję. Być opanowana, robić pogodną minę i przede wszystkim pocieszać mamę. Tata zamknął się w sobie i nie mówi o swoich lękach.

Przesyłam Ci dwa rysunki, na których widać nasze dwa maluchy. Jakie są słodkie, gdy tak błogo sobie śpią. Nikt by nie pomyślał, że ten ducek potrafi dać naprawdę dobitny koncert wrzasków. Ach, taka szkoda, że nie dzielisz z nimi tych chwil. Każdego dnia, w każdej godzinie uczą się czegoś nowego, śmieją się i sięgają po kolorowe klocki, mogą

już jeść troszkę owsianki i – o dziwo – zdarzają się noce, które przesypiam, bo nie budzi mnie żaden słodki krzykacz.

Mój ukochany Paulu, wciąż jeszcze mam nadzieję, że już wkrótce zobaczę Cię w naszej ojczyźnie. Tak, te myśli jeszcze długo mnie nie opuszczą. Tymczasem będę wiernie wypełniać swoje obowiązki jako matka i synowa, mam też nadzieję, że w niedalekiej przyszłości zacznę wspierać tatę przy pracy w fabryce. Niech Pan wyśle swoje anioły, żeby Cię chroniły, mój Kochany. Moje myśli podążają za Tobą, jestem przy Tobie, teraz i na zawsze.

Kocham Cię.

Marie

Gdybym się tego domyśliła – powiedziała mamka i zanurzyła łyżkę w zupie – w żadnym razie nie przyjąłabym tej posady.

Pracownicy siedzieli w kuchni przy obiedzie, czyli obowiązkowej zupie kartoflanej, wzbogaconej młodą cebulką oraz pietruszką z ogródka. Jeśli ktoś miał to szczęście, że znalazł w swoim talerzu kawałek wołowiny, połykał go szybko, aby nie wzbudzać u innych niepotrzebnej zazdrości.

– Wiedzieliśmy, że tak się stanie – skomentowała Auguste. – Od dawna już rozmawiano o urządzeniu lazaretu w domu, ale co można było zrobić? Państwo postanowili, a my musimy się na to godzić.

Else z lubością żuła chleb, który wcześniej zamoczyła w zupie. Każdy miał własny sposób na zaspokajanie nawet największego głodu czymś małym. Auguste jadła najpierw zupę, a chleb na końcu, Hanna drobila chleb i wrzucała do zupy, a Rosa chowała kromkę chleba do kieszeni fartucha, żeby zjeść go później.

– Dwaj pacjenci mają czerwonkę – odpowiedziała zdenerwowana Rose. – Kto wie, czy któryś nie przyniesie jeszcze tyfusu albo zapalenia płuc. A w domu jest dwoje maleńkich dzieci. Umywam od tego ręce. Powiedziałam już to łaskawej. Jeśli dzieci się zarażą i umrą – to ja nie byłam w stanie temu zapobiec.

– Powinni myć ręce mydłem – odpowiedziała Hanna. – I my też musimy tak robić. Pan doktor Moebius tak nakazał. On jest dla nas bardzo surowy.

Auguste zachichotała głupio i wytarła chlebem talerz po zupie.

– Surowy, patrzcie no ją. Doktor Moebius może być surowy. Ale jak, skoro ma tak promienny uśmiech?

– On ci się podoba, co? – zapytała Else, cała przy tym czerwieniejąc.

– A dlaczego nie? – odparła niewzruszona Auguste. – Jest przystojnym mężczyzną. I do tego młodym, a wokół widać jedynie starców i kaleki.

– Czyżby ci czegoś brakowało? – zapytała Rosa z lubieżnym uśmiechem.

Else jeszcze bardziej poczerwieniała na twarzy i opuściła wzrok, a Hanna tylko zmarszczyła czoło. Rosa była trochę bezczelna, ale Auguste sobie na to zasłużyła. Oprócz Brunnenmayer nikt nigdy się jej nie przeciwstawił. Hanna też nie, nie była jeszcze dość wygadana.

– Oczywiście, że mi brakuje – powiedziała Auguste, spoglądając ze złością na Rosę. – Brakuje mi mojego Gustava. Myślę o nim całe dni i noce.

– Ale w międzyczasie robisz piękne oczy do doktora Moebiusa, nie? – zakpiła Rosa. – Widziałam wczoraj, jak się do niego wdzięczyłaś.

– Tak, to było widać – powiedziała Else z zazdrością.

Auguste poprawiła się na ławce i skrzyżowała ręce na obfitym biuście. Wdzięczyła się? Jak panna Knickbein mogła na to wpaść?

– Z ogrodu zimowego widziałam was dwoje na tarasie. Stałaś przy doktorze Moebiusie i pożerałaś go wzrokiem.

– Tak, i? – zapytała Auguste, wzruszając ramionami. – Łaskawa pani nakazała mi przynieść kawę naszym lekarzom. I dlatego zapytałam, czy doktor Moebius chciałby cukier i śmietankę, czy pije czarną kawę.

Rosa i Else zachichotały z niedowierzaniem, podczas gdy kucharka mruzczała ponuro pod nosem, że zrobiło się tutaj jak na kurzej fermie, na której kury się kłóca o koguta.

– A dlaczego ty stałaś przy oknie w ogrodzie zimowym? Podglądałaś innych, zamiast wykonywać swoją pracę!

– Cicho! – syknęła kucharka i wskazała na drzwi, prowadzące do sąsiednich pokoi i stąd na korytarz. – Idzie panna Schmalzler.

Auguste połknęła to, co jeszcze miała do powiedzenia, a Rosa również zamilkła, żeby nie nastawiać gospodyni negatywnie do siebie. Panna Schmalzler miała już prawie siedemdziesiąt lat i od ponad czterdziestu była zatrudniona w willi. Swoją autorytet zbudowała na głębokim zrozumieniu ludzkiej natury i dzięki wysiłkowi, żeby zawsze być sprawiedliwą wobec każdego. Nawet Rosa, która była przekonana, że zajmuje w domu wyjątkową pozycję, poddawała się dobrowolnie kierownictwu panny Schmalzler.

– Życzę wszystkim smacznego posiłku.

Przyjaźnie kiwnęli głowami i odwzajemnili pozdrowienie. Hanna wstała, żeby przynieść koszyk z chlebem, podczas gdy kucharka napełniła zupą talerz dla gospodyni.

– Tylko niech pani je regularnie. To niedopuszczalne, żeby praca w szpitalu kradła pani czas na posiłki.

Gospodyni faktycznie zrobiła się szczuplejsza, a jej skóra jaśniejsza, niemalże biała. Na szyi pojawiło się natomiast sporo zmarszczek, których nie był w stanie zakryć koronkowy kołnierzyk noszony do ciemnej bluzki. Ponadto od pewnego czasu potrzebowała okularu, który nosiła na łańcuszku na piersi, żeby mieć go pod ręką.

– Już dobrze, pani Brunnenmayer... Dziękuję, tyle wystarczy. Niech pani naleje jeszcze łyżkę Hannie, dziewczyna rośnie.

Potrząsając głową, kucharka w połowie napełnioną chochlę włożyła z powrotem do wazy. W pobliżu tylnego wejścia do kuchni było słycać wesoły świergot dwóch pielęgniarek. Hanna wstała, żeby rozłożyć cztery kolejne talerze i łyżki, bo siostry szły właśnie na obiad. Najpierw dwie, a później kolejne. Auguste już zaniósła posiłek lekarzom, panowie jedli w małym pokoju zabiegowym, pośród maści, bandaży i wszelkiego rodzaju błyszczących instrumentów.

– Dostaniemy jutro dziesięciu kolejnych pacjentów – powiedziała Schmalzler. – Natomiast porucznik von Dornfeld będzie mógł wrócić do domu, a w ciągu kilku dni będą mogli opuścić szpital także kapral Sonntag i ten młody malarz.

– Porucznik von Dornfeld to jest ten blondyn z wąsami, który kilka dni temu zablądził w parku, tak? – zauważyła Rosa. – Przedsiębiorczy młody człowiek, ale niestety z kiepską orientacją w przestrzeni. Poszedł prosto do domu ogrodnika i musiałam się natrudzić, żeby go stamtąd wyciągnąć.

Auguste wlepiła w nią oczy i zacisnęła usta, żeby nie wyrwała jej się jakaś kąśliwa uwaga. Rosa była bezczelną osobą, bez wątpienia. Panna Schmalzler dodała, że wedle jej wiedzy porucznik von Dornfeld jest zakochany i w przyszłym tygodniu zaprowadzi swoją

narzeczoną do ołtarza. To pozwala wierzyć, że wojna wkrótce się skończy – zwycięsko dla cesarstwa, żeby ci młodzi mężczyźni, którzy cierpią teraz z powodu swoich ran, nie byli znów wysyłani na front.

– Historie, które się tutaj słyszy, są takie wzruszające – powiedziała. – Zwłaszcza gdy żołnierze leżą w gorączce, mają potrzebę mówienia, co mają w sercu.

Hanna pomyślała o tym młodym poruczniku, który błąkał się po parku i najwyraźniej chciał się pozbyć swoich zmartwień u Auguste. Nie, mężczyźni to popędliwe, niebezpieczne istoty. Jak jej ojciec, który tak często bił ją i jej braci. Jej bracia zresztą też źle się z nią obchodzili. Nawet ci dwaj najmłodsi. Najgorsi byli jednak ci mężczyźni, których matka przyprowadzała do domu. Ci zostawali co prawda tylko na noc i nad ranem wychodzili, ale byli to brutalni jegomoście. Gdy miała jedenaście lat, jeden ją złapał i przycisnął do ściany, ale matka rzuciła się na niego niczym furia i musiał ją puścić. Ten młody jeniec wojenny wpadł jej w oko – czarnowłosy chłopak o ciemnych oczach. Ale z pewnością nie był inny niż reszta mężczyzn. Chciwi, prostacy, potrafili być także brutalni i umieli bić. Z pewnością on też swoje potrafił, jest Rosjaninem. W jego wzroku było jednak też coś bardzo miękkiego, jak delikatna ręka, która głaska i pieści. Podarowała mu bułkę. Ukradzioną bułkę. Czy jeszcze o niej pamiętał?

– Dziesięciu nowych pacjentów! – powiedziała Else z oburzeniem. – Miejmy nadzieję, że nie ma wśród nich takich z tyfusem. Albo z ospą. Niektórzy mogą mieć nawet cholere, tak słyszałam.

– To nonsens, Else – odpowiedziała gospodyni. – Tyfus faktycznie może być, również błonica, tak mówią. Natomiast ospa i cholera nie. Do tego można się bać groźnego zapalenia płuc i opłucnej, oparzeń i tych okropnych ran, które powstają po wybuchu granatu.

Westchnęła i podniosła talerz. W tych strasznych czasach każdy musi dawać z siebie to, co najlepsze, aby wspierać w niedoli niemieckiego cesarza. Wiedziała doskonale, że wszyscy pracownicy są bardziej obciążeni pracą niż zazwyczaj, ona sama też.

– Jestem z was dumna, moi drodzy, bo wiem, że każdy z was godnie podtrzymuje tradycje tego domu.

Tymczasem dwie z pielęgniarek zajęły miejsca przy stole i jadły zupę. Siedziały w niewielkim oddaleniu od reszty personelu, skinęły im uprzejmie, ale nie chciały nawiązywać kontaktu.

– Słyszałaś, jak powiedział, że kiedyś chciał być pianistą? Ale potem medycyna go bardziej do siebie pociągnęła – powiedziała młodsza z pielęgniarek.

Miała rude włosy i twarz obsypaną piegami. Druga z dziewcząt była blada, miała włosy w kolorze lnu i duże, jasnoniebieskie oczy.

– Naprawdę? Tak myślałam, że może być artystą. Widziałaś jego dłonie?

– Ręce artysty. Takie delikatne, długie palce, a skóra taka gładka.

Nie było trudno odgadnąć, o kim rozmawiały. W każdym razie na pewno nie o doktorze Greinerze. Hanna zauważyła, że Auguste dała kuksańca Else, która przysłuchiwała się rozmowie tych dwóch z otwartymi ustami.

– Co tu tak przycupnęłaś? Do roboty!

Pranie wiszące na zewnątrz na sznurkach było już suche. Prześcieradła, poszewki na poduszki i koszule nocne trzeba wyprasować i pozwijać całą masę bandaży, żeby mogły zostać ponownie użyte. Hanna oparła na sobie brudne talerze i zaniósła je do umywalki, podczas gdy kucharka wzięła garnek z gotującą się wodą i wlała ją do miednicy – do mycia naczyń. Panna Schmalzler też chciała już się podnieść i sprawdzić prawe skrzydło szpitala, ale w kuchni pojawił się niespodziewany gość.

– Ach, Maria Jordan, pochwalony! – powiedziała kucharka z lekkim zdziwieniem.
– Znowu ma pani wolny dzień? Bo była pani u nas w zeszłą środę.

– Dzień dobry wszystkim – powiedziała niemalże nieśmiało Maria Jordan. – Szczęść Boże, panno Schmalzler. Jak cudownie, że znów jest pani w posiadłości.

– Ach, panno Jordan, cóż to za miła wizyta. Tak, bardzo się cieszę. Jesteśmy przecież tak mocno związani ze swoim państwem, że nie jest łatwo przez dłuższy czas pracować w innym miejscu.

– Wiadomo, wiadomo, to samo mogę powiedzieć o sobie...

Gospodyni nie miała jednak ani czasu, ani ochoty na plotki, więc zaprosiła Marię Jordan do środka, chwilę jeszcze posiedziała i wyszła w pośpiechu.

– Chciałaby pani talerz zupy? – zapytała ją kucharka.

– Jeśli to możliwe... – odpowiedziała nieśmiało.

Brunnenmayer wzięła jeden z dopiero umytych talerzy, przejechała po nim szybko ściereczką, żeby go osuszyć, i napełniła go zupą.

– To tylko zupa kartoflana, mięso jest tylko w niedzielę – powiedziała i postawiła jej talerz przed nosem.

– I tak pięknie dziękuję, pani Brunnenmayer.

Głodna, wlewała w siebie zupę, aż się zakrztusiła, a potem wyskrobywała resztki z talerza.

– U von Hagemannów przestali już gotować? Właściwie młoda pani von Hagemann częściej jest w posiadłości niż we własnym mieszkaniu.

Maria Jordan wypuszczała teraz bezgłośnie połykane w czasie jedzenia powietrze. Głośnie odbijanie, jak to robili ogrodnik i kucharka, uważała za obrzydliwe.

– A kto miałby gotować? – powiedziała i westchnęła. – Kucharka kilka tygodni temu odeszła ze służby. Jestem sama z pomocą domową.

– Tak, tak – mruknęła Brunnenmayer. – Mimo to mogłaby pani coś ugotować. Jakąś zupę. Albo smażone ziemniaki z jajkiem.

Parsknęła krótkim śmiechem, jak gdyby kucharka stroiła sobie z niej żarty. Zupa? Kartofle? Nawet jajka? W mieszkaniu von Hagemannów nie ma dosłownie nic. Tylko okruchy chleba, płatki owsiane i resztki grysiku. Co miała z tego ugotować?

– Od tygodni łaskawa pani się nami nie przejmuje. Spędza większość czasu w willi rodziców, bo urządza szpital i tutaj jest potrzebna. A gdy wraca wieczorem, jest zmęczona i wyczerpana, nie chce z nikim rozmawiać.

– Ale przecież musi dawać dziewczynie pieniądze na utrzymanie domu.

– Ani feniga! Od trzech miesięcy. Nic. Żyjemy za własne pieniądze.

– Najświętsza Panienko! – jęknęła Brunnenmayer. – A zawsze sądziłam, że Elisabeth Melzer będzie dob-rą panią domu. Gdy pan dyrektor walczył w szpitalu o życie

i pani Alicia przy nim czuwała, to Elisabeth troszczyła się o dom. I robiła to bardzo dobrze.

Maria Jordan patrzyła podejrzliwie na pielęgniarki, które właśnie zmieniały się w kuchni. Dwie kobiety, które właśnie siadały do stołu i które obsługiwała Hanna, były sporo starsze od swoich koleżanek. Wydawały się wręcz przerażająco krzepkie, niemalże męskie. Z lepszych sfer z pewnością nie pochodziły. To były pracownice z szerokimi, zaczerwienionymi rękami i muskularnymi ramionami, których nie powstydzilby się mężczyzna.

– Młoda pani von Hagemann chowa głowę w piasek – powiedziała, zwracając się do Brunnenmayer. – Jeśli tak dalej pójdzie, długi ją przerosną.

Kucharka milczała. Wszyscy mówili, że to szlachetne pochodzenie von Hagemannów jest wszędzie wypisane czerwonymi zgłoskami. Nikt jednak nie miał pojęcia, że jest tak źle.

– Znamy się już obie tak długo – powiedziała Maria Jordan z uśmiechem, świadczącym o tym, że stara się przypodobać. – Lata, dekady całe, jadałyśmy razem tutaj w posiadłości, pomagałyśmy sobie wzajemnie...

– Kłóciłyśmy się głównie ze sobą, Jordan. I miłe to nie było...

Maria Jordan przesunęła rękami po stole, jakby przyglądała pranie, i przyznała, że zawsze miała słabość do kucharki.

– Kto się czubi, ten się lubi, tak mówi stare przysłowie. I w naszym przypadku się ono sprawdza, pani Brunnenmayer.

Kucharka odeszła na bok i pochyliła się, by wziąć w ręce drewno, które chciała dołożyć do kuchennego pieca. Zaraz przyjdą Auguste i Hanna i będą chciały prasować białe pranie, w piecu musiało się więc palić, żeby można było nagrzać żelazko.

– Jest tak, że bardzo bym chciała wrócić do willi – powiedziała Maria Jordan ze smutnym westchnieniem. – I byłoby wspaniale, gdyby mogła pani szepnąć za mną słówko, Brunnenmayer.

Kucharka otworzyła drzwiczki pieca, włożyła trzy kawałki drewna, pogmerała w nich żelaznym pogrzebaczem i zamknęła klapę. Powoli położyła pogrzebacz na swoim miejscu i powiedziała:

– To pani sama chciała opuścić willę. Co ja mogę powiedzieć w tej sprawie?

Maria zobaczyła przez okno, że Else idzie do kuchni z koszem pełnym prania.

– Od czterech miesięcy nie dostałam wypłaty – powiedziała cicho. – Chodzę stawiać karty i przepowiadać ludziom przyszłość. Poza tym płacę za jedzenie dla siebie i pomocy domowej, Gertie. A gdy młoda pani von Hagemann wraca do domu, je chleb, który kupiłam za własne pieniądze. Tak to wygląda. Bóg jeden wie, że jestem tą, której zależy na rodzinie Melzerów.

– To wszystko brzmi naprawdę źle – powiedziała Brunnenmayer.

Gdy drzwi do kuchni się otworzyły i wciskała się przez nie Else z koszem prania, mruknęła jeszcze, że taki stan rzeczy to hańba dla rodziny i coś trzeba zrobić, żeby nie wybuchł niebawem wielki skandal.

– Niech pani zaraz idzie do Schmalzler – poradziła jej Brunnenmayer.

Maria Jordan pokiwała głową zmartwiona. Tak, najpewniej to był najlepszy

sposób. Jeśli gospodyni jej odmówi, mogła próbować rozmawiać z panią dyrektorową Melzer. Ta miała o niej przecież wcześniej dobre mniemanie. Wcześniej – zanim Marie zagarnęła jej stanowisko. Marie z sierocińca, która teraz była młodą panią Melzer. Tak czasami bywa w życiu. Ale ona, Maria Jordan, już raz wszystko straciła, a potem otrzymała dobrą posadę pokojówki. Drugi raz też jej się uda uchronić przed biedą i rynsztokiem.

– Ach, Maria Jordan! – zawołała zaskoczona Else i postawiła kosz na stole. – Chcesz nam dzisiaj znowu rozłożyć karty? Dam ci całą markę, jeśli przepowiesz mi przyszłość!

Jordan była zaskoczona tą nagłą ofertą, nie mogło to jednak ukoić jej smutku. Eleonorze Schmalzler nie podobało się, że przepowiadała przyszłość, kiedyś gospodyni wyraźnie nawet zabroniła tych niechrześcijańskich praktyk.

Na szczęście Else na nią nie naciskała, tylko zaczęła zwijać świeżo wyprane bandaże z lnu. Doktor Moebius już o nie pytał, wyjaśniła więc z błyszczącymi oczami, że musi się śpieszyć. Gdy jeszcze Auguste weszła do kuchni ze swoją dwuletnią Liesel o blond włosach i Maxlem na rękach, Maria Jordan oświadczyła, że idzie się przejść po parku.

– Uważaj tylko, żebyś nie wystraszyła nam pacjentów – krzyknęła za nią Auguste. – Po południu panowie oficerowie przechadzają się po parku, dzięki czemu niezauważeni mogą sobie wypalić papieroska.

Maria Jordan musiała nadłożyć drogi, żeby wyjść z parku na taras, gdzie spodziewała się zastać Eleonore Schmalzler. Wynikało to z tego, że w posiadłości stworzono rozległy ogród warzywny, w którym rosły główki białej kapusty i sałaty, rzodkiewka, zioła, cebula i marchewka, a jeśli jej oczy się nie myliły, posadzone zostały nawet groch i fasola tyczkowa. Stary Bliefert wyznaczył wąskie dróżki między grządkami, używając miotły, która wyglądała tak, jakby on sam ją zrobił. Zamachał do niej. Przynajmniej on jest wobec mnie dobrze usposobiony, pomyślała z nadzieją. Ach, jakże mogła być tak głupia, żeby zrezygnować z pewnej, bezpiecznej posady w posiadłości Melzerów! I tylko dlatego, że nie miała ochoty wykonywać poleceń młodej pani, która niegdyś musiała jej słuchać, a teraz nagle stała się panią Melzerową. Pomiędzy bujnie rosnącymi krzewami faktycznie dostrzegła dwóch mężczyzn, którzy szli powoli wzdłuż alejki parkowej. Jeden z nich był w mundurze i nosił prawą rękę na temblaku, drugi miał na sobie koszulę i długie spodnie, a jego głowa była owinięta bandażem. Obaj palili.

Maria Jordan obeszła rozłożysty krzew jałowca i mogła teraz zobaczyć taras. Cóż za smutny widok! Tam gdzie wcześniej w szczęśliwych czasach w kręgu rodziny pito kawę, gdzie urządzano letnie przyjęcia i wieczorami oświetlano pięknie cały teren, stały teraz trzy szpitalne łóżka, na których nieruchomo leżeli pacjenci. Inni siedzieli na wiklinowych fotelach i rozmawiali, większość nosiła bandaże i była boso. Młoda pielęgniarka prowadziła jednego z pacjentów po trawniku i mówiła coś do niego, podczas gdy on wyciągał ręce, żeby dotknąć gałązki młodego buku. Prawdopodobnie biedak stracił wzrok. Maria z należytą ostrożnością zbliżyła się do tarasu, skinęła przyjaźnie do zdziwionych pielęgniarek i zapytała o pannę Schmalzler.

– W pokoju zabiegowym. Rozmawia z lekarzami. Czy pani jest jej znajomą?

Poradzono jej, żeby usiadła na krześle i zaczekała. Maria Jordan nie miała innego wyboru jak tylko posłuchać rady i poczekać. Całą wieczność siedziała w palącym słońcu i była nieskończenie wdzięczna, gdy jeden z pacjentów, krzepki mężczyzna w średnim wieku, zaproponował jej szklankę wody.

– Niech pani przesunie krzesło trochę bardziej do cienia – powiedział z uśmiechem.
– Dzisiaj jest gorąco...

Przedstawił się jako Sebastian Winkler, były nauczyciel z wioski niedaleko Norymbergi. Musieli mu amputować prawą stopę. W niewielkie draśnięcie wdało się zakażenie, czego początkowo nawet nie zauważył. Potem stopa zaczęła puchnąć i potwornie boleć. Posocznica. O mały włos byłoby za późno.

– Można więc i bez pomocy wroga zejść z tego świata – powiedział, potrząsając głową. – Przez jakąś głupią nieostrożność.

Wychwalał lazaret pod niebiosą. Lekarze są niesamowici i niesłychanie się starają, zwłaszcza ten młodszy, lekarz wojskowy, doktor Moebius. Pielęgniarki, które przecież są tutaj dobrowolnie i w dodatku nie mają medycznego wykształcenia, też z wielkim oddaniem i wykazując się doskonałymi umiejętnościami wykonują swoje zadania i zasługują na ogromne uznanie. Młoda pani von Hagemann pożycza mu nawet książki z domowej biblioteki, bo jest zapalonym czytelnikiem. Czy zna może powieści Theodora Storma? Maria Jordan zaprzeczyła. Ta rozmowa była dla niej trochę męcząca, zwłaszcza że przez cały czas musiała skupiać uwagę na drzwiach do pokoju zabiegowego, żeby nie przeoczyć wychodzącej Eleonore Schmalzler. Ale, jak to zazwyczaj bywa, dokładnie w chwili gdy Schmalzler wychodziła z pomieszczenia z obydwojema lekarzami, Maria Jordan zapatrzyła się na ogród zimowy. Stała tam kobieta z długim nosem i małymi ustami, która z zaciekawieniem spoglądała w stronę tarasu. Nie widziała tutaj nigdy wcześniej tej kobiety – zatrudnili może nową pokojówkę?

– Panna Jordan? Jednak czekała pani na mnie?

Zaczęła mówić i nagle poczuła, że w głowie ma pustkę. Wszystkie mądre argumenty, które sobie obmyśliła, te eufemizmy, te wymówki, piękne sformułowania – nic z tego nie zostało.

– Tak... tak, ja... na panią czekałam, panno Schmalzler – powiedziała niepewnie.
– Chodzi o to, że ja...

Wstała i podeszła bliżej do Schmalzler, żeby ci, którzy byli na tarasie, nie słyszeli jej błagania. Jąkała się przy tym jak pięciolatka i miała wrażenie, że słońce wypaliło jej mózg.

– Rozumiem – powiedziała w końcu Eleonore Schmalzler i zwróciła się do pielęgniarki, która ją o coś zapytała. – Trzy łóżka trzeba teraz świeżo pościelić, Herta. I pomóż porucznikowi spakować jego rzeczy.

– On chciałby się pożegnać, panno Schmalzler.

– Już idę.

Maria Jordan stała wciąż w oczekiwaniu i nadziei, bojąc się jednocześnie, że Schmalzler mogła po pro-s-tu o niej zapomnieć.

– Nie mogą pani poprzeć na stanowisko pokojówki, panno Jordan – powiedziała

gospodyni. – Ale mog-łabym się za panią wstawić, żeby pracowała pani dla nas jako szwaczka. Czasowo.

– To byłoby ogromnie miłe z pani strony...

Humbert najchętniej by sam siebie spoliczkował. Z prawej i lewej strony. A potem mocno siebie kopnął w tyłek. Jakim był durniem! Powitał majora, salutując jak żołnierz. Energicznie, tak jak mu to wpojono.

– W rzeczy samej – powiedział major von Hagemann, który nieprzerwanie się w niego wpatrywał. – Humbert. Choć może powinienem powiedzieć Humbertina.

Uśmiechnął się w dziwny sposób, którego Humbert w czasie pobytu w willi nigdy nie widział. Przebiegły. Rozpustny. Złośliwy. Humbert zastanawiał się, czy nie byłoby rozsądniej zdrzeć sukienkę i uciekać tak szybko, jak tylko nogi będą w stanie go ponieść. Nie mógł się jednak zdecydować i wciąż stał w miejscu.

– Co ty tu wyprawiasz, co?

Major wciąż się szczyrzył, taksował go wzrokiem z góry na dół i wydawało się, że ma ochotę zerwać tej dziewczynie czepek z głowy. Nie zrobił tego jednak. Ktoś ich mógł obserwować z okien pałacu i wyciągnąć błędne wnioski. Humbert postanowił powiedzieć prawdę. Nie wiedział co prawda zbyt wiele o tym Klausie von Hagemannie, ale był powinowatym Melzerów. Może ze względu na rodzinne więzi nie zechce go od razu wysłać przed sąd wojskowy.

– Ja... ja jestem szalony, panie majorze. Zupełnie straciłem rozum. Chcieli nas wysłać na front. Do okopów... A tam ja tracę przytomność, ilekroć poczuję wybuch granatu.

Von Hagemann słuchał tego jąkania z całkowitym spokojem, a jego wzrok w tym czasie lustrował rząd okien na pierwszym piętrze, jakby tam czegoś szukał. Albo kogoś.

– ...to... nie jest moja wina, majorze. Tak się po prostu dzieje. To ten hałas. Ten ryk, to pęknięcie. Ten okropny dźwięk, gdy pocisk uderza w ziemię. Eksplozje. Ja po prostu padam. Nie wiem, co się wokół mnie dzieje. Koledzy musieli mnie wynosić. Początkowo sądzili, że nie żyję.

Major najwyraźniej znalazł to, czego szukał, bo zwycięski uśmiech pojawił się na jego twarzy. Przyłożył rękę do wojskowej czapki, pochylił nieco głowę – pozdrawiał kogoś, i to nie po żołniersku, ale szarmancko, zaczepnie, to było męskie pozdrowienie na pewno skierowane do jakiejś kobiety.

– ...prawie mnie zatłukli na śmierć, panie majorze, bo sądzili, że udaję. Ale ja nie udaję. Ja po prostu nie nadaję się do walki. Jestem zbyt wrażliwy. I przede wszystkim szczury. Nie potrafię sobie z nimi poradzić.

Osoba stojąca na górze przy oknie musiała zniknąć, bo szarmancki uśmiech majora zamienił się w wyraźną pogardę.

– Dezerter, co?

To było niebezpieczne słowo. Humbert wiedział, że dezerterów czekała kara śmierci. Stryczek. Albo strzał w tył głowy. I koniec.

– Nie, nie, panie majorze – zawołał zdenerwowany. – Powiedziałem tylko, że nie byłem przy zdrowych zmysłach. Nie wiem, co we mnie wstąpiło, że włożyłem te ubrania.

– Ach tak? – odpowiedział Hagemann ironicznie. – A ja sędzę, że ty już wcześniej miałeś takie pomysły, żeby zachowywać się jak kobieta.

I znów ten złowieszczy uśmiech. Złośliwy i obleśny. Kim był ten człowiek, któremu właśnie się zwierzył?

– Proszę o wybaczenie, panie majorze, ale nigdy nie miałem takich pomysłów. Przysięgam. Nie jestem tym, za kogo teraz najpewniej mnie pan ma.

Von Hagemann, lekko zdenerwowany, uniósł brwi, postanowił jednak nie ciągnąć dalej tego tematu. Znacznie ważniejsze było dla niego inne pytanie.

– Jak długo tutaj jesteś?

– Od wczoraj wieczorem, panie majorze. Ale zauważono mnie dopiero dzisiaj rano.

Wzrok von Hagemanna stawał się coraz intensywniejszy, wydawało się, że chciałby się przebić przez czoło Humberta. Można się było tego przerazić.

– A państwo? Może hrabina cię zatrudniła?

– Ależ nie, panie majorze. Ja do tej pory państwa nawet na oczy nie widziałem.

– Ale ze sługami już gadałeś, prawda?

– Tylko z kobietami w kuchni.

Policzki von Hagemanna drgnęły. Spojrzał szybko w stronę interesującego go okna, a potem nakazał cichym głosem:

– Idziesz ze mną. Do mojego samochodu. I żadnych scen – zrozumiano?

Humbert miał niejasne wrażenie, że popełnił fatalny błąd, nie wiedział jednak jaki. Nie miał szans, był zdany na łaskę tego człowieka.

– Stój – syknął nagle władczo major. – Stań. Zachowuj się tak, jakbyś mi coś wyjaśniał.

Bocznymi drzwiami na podwórze wyszły trzy pokojówki, niosły zwinięte dywany i trzepak z trzcinowej plecionki. Czy to nie była ta ślicznotka z okrągłymi, niebieskimi oczami i rudymi loczkami? Chichocząc i plotkując, przeszły obok nich. Dygnęły przed niemieckim majorem, na co on zareagował zupełną obojętnością, a one wybrukowaną dróżką udały się na tył pałacu. Prawdopodobnie znajdował się tam plac, gdzie suszono pranie i trzepano dywany.

– Dalej! Idź, idź! Połóż się na tylnym siedzeniu. No już. Zupełnie na dole. I zdejmij ten idiotyczny czepek!

Humbert posłusznie wykonywał wyszeptane instrukcje. Silnik samochodu dwukrotnie odmówił spełnienia swojego zadania, odpalił dopiero przy trzeciej próbie. Von Hagemann miał ostry styl jazdy. Samochód podskakiwał i trząsał. Gdy wjeżdżał w kałuże, woda rozpryskiwała się na wszystkie strony, brudząc karoserię. Humbert leżał między paczkami i pudłami. Podjął też kilka chybionych prób odwiązania wstążki od czepka, aż w końcu zerwał ją i ściągnął nakrycie z głowy. Poczł dziwną ulgę. Po chwili odważył się wyrzucić sponad siedzenia. Jechali wzdłuż rzeki, szerokiej, brązowożółtej, która w niektórych miejscach wystąpiła z brzegów i wylewała się na drogę. Humbert zobaczył dwie barki, które sunęły po brudnej wodzie, w oddali dostrzegł żagiel, prawdopodobnie łodzi rybackiej. Gdyby nie to, krajobraz byłby zupełnie monotony: łąki i pola, kilka krów, po drugiej stronie rzeki wieś. Czerwone i szare dachy, a między nimi spiczasta wieża. Słońce wyszło zza chmur i odbijało się w brązowawej rzece jak

w rozbitej szybie. Widział tylko ramiona i tył głowy majora, gdy przesunął się nieco w bok, mógł zobaczyć jego ręce na kierownicy. Nosił brązowe skórzane rękawiczki. Po chwili dostrzegł również rozgniewane oczy majora w tylnym lusterku i usłyszał jego szcękający głos. Z powodu głośnego warkotu silnika Humbert nie rozumiał, co mówi, ale przezornie znów się położył. Podróż nie trwała długo, samochód odbił się od krawężnika, a von Hagemann zahamował tak szybko, że Humbert wpadł pomiędzy siedzenia.

– Ech! Gdzie jest ten typek? Cholera!

– Tutaj... Tutaj, panie majorze!

Gdy Humbert mozolnie wygrzebywał się spod pudeł, von Hagemann z ulgą w głosie wyjaśnił, że sądził już, iż Humbert wyskoczył z samochodu w czasie jazdy. A wtedy musiałby go od razu zastrzelić.

– Wychodź. Ale szybko. W takim ubraniu stanowisz najlepszy żart tego dnia.

Humbert spostrzegł z przerażeniem, że otwarty samochód jest otoczony przez żołnierzy. Mieli zaskoczone twarze i patrzyli na niego z niedowierzaniem i jednocześnie obleśnym uśmiechem, niektórzy wskazywali go palcem. Gromkie śmiechy, które początkowo major znosił, zostały szybko przez niego przerwane.

– Do komory z nim. I dobrze zaryglować drzwi!

– Na rozkaz, panie majorze.

Szedł po mokrej glinie w niskim budynku, który musiał przesiąknąć zapachem wielkiej obory. Za nim szedł sierżant i dwóch żołnierzy z wymierzoną w niego bronią. Kątem oka zobaczył w ciemnym pomieszczeniu przywiązaną łąciatą krowę oraz ciele i obezwładnił go smród krowich odchodów, który zawsze uważał za odrażający.

– Zostaw go. To podstęp! – usłyszał, jak ktoś za nim woła.

Zaraz po tym wszystko wokół niego zaczęło znikać w ciemnym, otaczającym go wirze, który nieubłaganie wciągał go w głąb. Znał to. Od dawna wiedział, że nie ma sensu walczyć z utratą przytomności, musiał po prostu pozwolić sobie upaść na ziemię i czekać, aż złośliwy los zdecyduje znowu wypchnąć go na świat, który uparł się karać go do żywego.

Gdy obudził się jak po stuletnim śnie, zobaczył złote promienie światła, w których niezliczone maleńkie stworzenia poruszały się wdzięcznie w elfim tańcu. Przez chwilę przyglądał się temu fascynującemu przedstawieniu – unoszeniu się i opadaniu delikatnych punkcików, ich wirującemu krążeniu, lataniu w nieważkości – dopóki nie zorientował się, że to rój komarów tańczy w oświetlonym oknie obory. Z trudem zebrał siły, żeby usiąść, spojrzał na swój dziwny strój i powoli zaczęła mu wracać pamięć. Uwięziono go przecież w tej komorze, był dezterem i najpewniej zostanie powieszony. Wpatrywał się w tańczące maleńkie owady. Żyły one jedynie kilka dni, większość z nich umrze dzisiaj. Ale one o tym nie wiedzą, nie czują żadnego strachu przed nieuchronnie zbliżającym się końcem. Istoty, którym można pozazdrościć. Próbował sobie wyobrazić, jak to jest, gdy wisi się na sznurze z pętlą i waga własnego ciała powoduje, że pęka kark. To dzieje się szybko, większość straceńców prawie się nie miota, po krótkiej walce wiszą spokojnie z bezwładnymi rękami i nogami. Dwa razy, z odległości, widział, jak wieszano belgijskich i francuskich bojowników ruchu oporu. Ich głowy były zawinięte chustkami.

Wśród nich były też kobiety, ich spódnice powiewały na wietrze, widział ich nogi i ciężkie buty. Usłyszał, jak krowa brzęczy łańcuchem. Potarł bolące ramię, poczuł, że z tyłu głowy ma guza, a jego prawy palec wskazujący krwawił. Jak doszło do skaleczenia, nie wiedział, ale nie było to nic niezwykłego – nie pierwszy raz tracił przytomność. Komora, w której go więziono, była wąska, a podłoga z podmokłej gliny. Ściany musiały być bielone dawno temu, teraz wapno wszędzie się kruszyło, widać było pod nim czerwone cegły, a gdzieś tam jakiś zardzewiały gwóźdź czy hak. W kącie stało metalowe wiadro, o którego zastosowaniu Humbert wolał lepiej nie myśleć. Podniósł wyżej kolana, objął je ramionami i spoglądał na promienie światła. Wpadały przez kwadratowe okno, którego szyby zostały wybite, przechodziły przez małe pomieszczenie i rzucały krzyżujące się ze sobą cienie na przeciwległą ścianę. Humbert patrzył na ten krzyż, który powoli zaczął drżeć i się rozmywać. Niebo pokryły chmury, wkrótce będzie wieczór. Komary zakończyły swój ekstatyczny taniec i zauważyły, że w pobliżu znajduje się źródło pożywienia. Przez jakiś czas był więc zajęty obdarowywaniem tych małych krwiopiców przedwczesną śmiercią.

Gdy było już prawie ciemno i zaczynał marznąć, usłyszał warkot samochodu. Trzasnęły drzwi auta, ktoś wydał krótki rozkaz, a inny głos odpowiedział energicznie: „Tak jest, panie majorze!”. Zdażył tylko wstać, a zaskrzypiał rygiel i drzwi się otworzyły. Major von Hagemann trzymał w powietrzu latarnię, żeby móc lepiej oświetlić przestrzeń. Razem z nim do komórki wleciał świeży smród krowich odchodów.

- Zaspany? – zapytał ponuro i postawił lampę blis-ko Huberta, na podłodze.
- Nie spałem, panie majorze. Straciłem przytomność.

Von Hagemann prychnął pogardliwie. A może ma również te swoje dni? Albo cierpi na migreny? Oni są tutaj na wojnie, a nie w damskim saloniku. Zamknął za sobą drzwi od komory i zmierzył Humberta wzrokiem z góry na dół.

– Jakaż szkoda. Silny, zwinny chłopak, zdrowy i krzepki, mógłby służyć najmiłościwшему cesarzowi, ale nie. Pan jest przeczulony, mdleje, kiedy coś wystrzela, tchórz, który wcisnął się w damską spódnice, podczas gdy inni zdrowie i życie oddają za ojczyznę. Fúj!

Splunął, trafiając w lewą stopę Humberta. Teraz dopiero Humbert zauważył, że zniknęły jego drewniaki i stał w samych skarpetach. Było mu to obojętne. Zaczął wzrastać w nim natomiast przekorny sprzeciw. Co szkodziło cesarskiej armii, że taki jak on, który zupełnie się nie nadaje do walki, ucieknie? Dlaczego miałby za to umrzeć? Nikomu nie zrobił nic złego! Major przygryzał wargi i patrzył w milczeniu przed siebie. Humbert czekał, słyszał bicie własnego serca, czuł, jak mijają kolejne sekundy i minuty. Rosła w nim słaba nadzieja. Von Hagemann wzdragał się bezzwłocznie poddać dezertera Humberta Sedlma-yera karze. Czy bał się, że dosięgnie go gniew rodziny? Nie, ta myśl była absurdalna. Jak niby Melzerowie mogli się dowiedzieć o jego losie?

- Słuchaj no, chłopaku!

Humbert się wzdrygnął. To wezwanie było powiedziane głośno twardym, żołnierskim tonem.

- Na rozkaz, panie majorze!
- Chcę znać twoje powody. Czas uciezki. Okoliczności. Czy wtedy piłeś? Byłeś

pijany? A może chory? Gorączka czy coś takiego?

Humbert był może marzycielem, ale nie był głupi. Zrozumiał natychmiast.

– Wymiotowałem. Tak, miałem gorączkę. Wszystko wokół mnie wirowało. Widziałem rzeczy, których naprawdę nie było.

– Miałeś halucynacje, tak? Sądziłeś, że wróg czyha przed waszą kwaterą?

Humbert zapewnił, że widział francuskie mundury. A także rosyjskie, te były zielone. Rosyjscy żołnierze nosili brody i byli sztywni od mrozu. Zamierzali się na niego granatami i był przekonany, że zaraz nimi w niego rzuca.

Von Hagemann słuchał tych opowieści, uśmiechnął się krótko i powiedział, żeby nie przesadzał. Ale to mogła być przecież wizja spowodowana gorączką. Mieli tutaj wiele chorób, którym towarzyszyła gorączka, przenosiły je te przekłete komary.

– Jeśli podejmę próbę ocalenia twojej skóry, to tylko dlatego, że jego cesarska mość potrzebuje w tej wojnie każdego żołnierza.

Humbert przełknął nerwowo ślinę. Nagle wydało mu się, że naprawdę warto się starać, żeby móc wspierać ojczyznę i cesarza w czasie tej wojny. Nieważne gdzie. W najgorszym razie nawet w okopach. Wszystko było lepsze niż chustka na głowie i pętla wokół szyi.

– Jestem... jestem panu nieskończenie wdzięczny, panie majorze von Hagemann. Nigdy... panu tego nie zapomnę.

Major zmrużył oczy, musiał bowiem spojrzeć przez światło latarni, żeby przyjrzeć się jego twarzy.

– Podziękować możesz mi później. Jeśli sprawa będzie załatwiona. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, oczekuję od ciebie bezwzględnej, absolutnej dyskrecji. Jasne?

Humbert znowu przytaknął. Oczywiście. Przecież to leży w jego interesie. Ale przede wszystkim żeby nie sprawić kłopotów panu majorowi.

– Bezwzględna dyskrecja, Humbert – powtórzył jeszcze von Hagemann przyciszonym głosem. – Tak teraz, jak i w przyszłości. Jasne?

– Całkowicie jasne, panie majorze.

Von Hagemann skinął głową zadowolony. Zostawił mu latarnię, życzył miłej nocy i wyszedł. Rygiel został zasunięty, a potem Humbert słyszał oddalające się kroki i warkot silnika.

Noc przetrwał w ogromnym niepokoju, chodził po swoim więzieniu w tę i z powrotem, opierał się o ścianę, kuczał przy drzwiach i nasłuchiwał muczenia krowy oraz brzęku łańcucha, którym poruszała. Gdzieś w oddali słychać było bicie zegara z kościelnej wieży, wiatr jednak na tyle zaburzał ten dźwięk, że mógł się jedynie domyślać, która jest godzina. Nad ranem, gdy pierwsze blade światło zaczęło wpadać przez okno, był tak zmęczony, że zasnął.

– Ej! Ślicznotko! Poranna drzemka dobiegła właśnie końca.

Zwyczajowy w takich sytuacjach cios w goleń wybudził go ze snu. Najpierw poczuł ból w nodze, potem mocne ukłucie w ramieniu, wreszcie dotarło do niego, że boli go głowa, a w uszach słyszy jedynie tępy huk. Zamrugnął i zobaczył przed sobą żołnierza, który uśmiechał się do niego złośliwie i rzucił mu przed nos spory tobołek.

– Myć się i ubierać. Tak rozkazał major. No już, już!

– Myć się? – wychrypiał Humbert.

– Woda i mydło zaraz będą. A może nasza dama potrzebuje jeszcze perfum i pilniczka do paznokci?

Postawiono przed nim wiadro z deszczówką i szare mydło i zostawiono go samego. Humbert był za to bardzo wdzięczny. To byłoby niesłychanie żenujące i bolesne, gdyby musiał zdejmować z siebie damskie ubrania przy tych typkach. Podniósł się i ściągnął brudne, porozrywane rzeczy. Mundur, który mu przyniesiono, był trochę za duży, musiał mocno ścisnąć pasek. Kurtka leżała znośnie. Za to buty pasowały na niego idealnie, jakby były specjalnie zamówione. Czapka także była do przyjęcia. Myślał o mundurze, który przedwczoraj zwinął i zostawił na poddaszu. Potrząsnął głową.

Później kazano mu opróżnić wiadro z wodą po myciu i oddać resztę mydła jednemu z żołnierzy. Potem postawili pojemniki na mleko na wózek. Trzeba było się śpieszyć, żeby pójść trzy kilometry do innego gospodarstwa, bo panowie oficerowie czekali na mleko do porannej kawy. Humbert pchał wózek po wyboistej drodze. Blaszane pojemniki uderzały o siebie, a tu i tam drewniane kółka wózka tonęły w błotnistej kałuży, więc musiał się mocno przykładać do tej czynności. W jego głowie huczało, ramiona bolały, ale wypełniał swoje zadanie bez gadania, nie śmiał na cokolwiek narzekać.

– Zmiana... Teraz moja kolej – powiedział w końcu jeden z jego towarzyszy, gdy gospodarstwo było już w zasięgu wzroku. – Gdy będziemy w kwaterze, zgłoś się do lekarza sztabowego. Powinien opatrzyć twój palec.

Na drewnianym drążku od wózka widniały czerwone plamy. Mały palec Humberta przez długi czas ocierał się o twardą powierzchnię i teraz krwawił, gdy nim poruszał.

– Nawet nie zauważyłem – powiedział zdumiony.

– Łatwo się może z tego zrobić posocznica.

Nie byli złymi ludźmi. Byli co prawda szorstcy, ale nie okrutni, rzucali sprośne żarty, ale zaraz znów okazywali współczucie i pomagali, gdy ktoś był w potrzebie. Humbert szedł teraz za wózkiem, zadowolony, że nie musi już go pchać, i czy tego chciał, czy nie, przysłuchiwał się ich rozmowie.

– No przecież nie ta stara, ona już się nie liczy.

– Nie, nie stara. Ta młoda. Josef Brandl ją widział, bo major wziął go ze sobą do pałacu. Ładna dziewczyna. Brandlowi też się podoba.

– Kto by pomyślał! Hrabina! Szlachetna krew. Owinięta falbankami i zasnurowana w gorset.

– No i? Pod całą tą toną koronek i falbanek wygląda jak każda inna kobieta.

– Ona jest zaręczona z jakimś Francuzem, tak powiedział Josef Brandl. Dowiedział się, gdy siedział w kuchni i był karmiony przez pokojówki.

– Zawsze była z niego świnia, z tego Josefa Brand-la. Pozwala się w pałacowej kuchni karmić smakołykami, a my jemy grochówkę.

– Hrabianka jest zaręczona? A mimo to ma romans z majorem? Cóż, wszystkie belgijskie kobiety to ladacznice.

– Jej narzeczony jest Francuzem, więc dla naszego pana majora to niemalże sprawa honoru, żeby tego Francuza uprzedzić.

Ryknęli głośno z tego żartu. O Humbercie niemalże całkiem zapomnieli. Tylko gdy

wózek znów wpadł w błoto i wypychał go wspólnie z nimi, zauważali, że istnieje, ale z nim nie rozmawiali. Był zadowolony z tego powodu, bo musiał najpierw przemyśleć to, co właśnie usłyszał. Von Hagemann miał romans z młodą hrabiną z pałacu? Dobrze zrozumiał? Cóż, była wojna, do wierności małżeńskiej nie podchodzono więc dosłownie, zwłaszcza na froncie. Bo właściwie dlaczego miało być inaczej – następnego dnia można było leżeć w błocie i się wykrwawiać. Humbert nie był moralistą, przeszkadzało mu jednak, że zdradzaną żoną była właśnie Elisabeth, urodzona jako Melzerówna, należąca do rodziny jego państwa. Jeszcze przed chwilą pozostawał dozgonnie wdzięczny majorowi, teraz rosła w nim złość. A żołnierze dalej prowadzili rozmowę o von Hagemannie i nie było w niej nic, co mogłoby ostudzić gniew Humberta. Ich major był przeklętym kobieciarzem, smakoszem. Nie zadowolił się byle wiejską dziewczyną, on wybiera z ciasta same rodzynki. Przez chwilę sprzeczali się, czy ich major woli brunetki czy blondynki, w końcu jednak zgodzili się, że kolor włosów nie jest dla niego ważny. Musi być śliczna i bardzo młoda, smukła i nieco dziecięca. Szczególnym upodobaniem darzył dziewice. Zanim weszli na podwórze, jeden z żołnierzy odwrócił się do Humberta i zapytał:

– Czy on cię przypadkiem nie...?

Reszta zdania rozmyśla się w odgłosach wściekłego szczekania podwórzowych psów. Ze stajni wyszła kobieta, zabrała z wózka dwa pojemniki i zaniósła je do domu. Z odległej części podwórza, znajdującej się za rogiem, gdzie prawdopodobnie znajdował się ustęp, wyłonił się nagle jakiś porucznik. Poprawiał pasek przy mundurze, gdy szedł do nich po podwórku, zarośniętym dość bujnie trawą. Humbert przyłożył dłoń do czapki i trzasnął obcasami.

– Za pół godziny apel z bronią i bagażami. Potem wymarsz.

– Rozkaz, panie poruczniku. Dokąd wyruszamy?

– Do Brukseli. Potem dalej na południe. Żołnierzu Sedlmayer!

Humbert nagle zebrał się w sobie i przyjął postawę, jakiej go nauczono. Porucznik wskazał kciukiem na dom znajdujący się na placu.

– Do majora!

– Na rozkaz, panie poruczniku!

Von Hagemann, major i – jak Humbert właśnie się dowiedział – znany kobieciarz, siedział przy długim stole wiejskiego domu z dwoma oficerami. Pomędzy filiżankami z kawą i talerzami panowie rozłożyli mapy i analizowali wyznaczoną trasę. Rozkaz wymarszu nie powinien ich zaskoczyć, ale mimo to wydawali się zaskoczeni. Prawdopodobnie otrzymali go telefonicznie. Na okupowanym terenie wszędzie pozakładano nowe linie, bo już istniejące nie wydawały się pewne. Von Hagemann podniósł głowę, gdy wszedł Humbert, jego wyraz twarzy jednak się nie zmienił.

– Żołnierzu Sedlmayer, aż do odwołania zostałeś przydzielony do mojego pułku oficerów. Idź na górę, służąca pokaże ci kwaterę. Umyj buty, wyczyść spódnicę. Potem wszystko razem spakuj.

– Rozkaz, panie majorze!

Humbert powstrzymywał się przed zastanawianiem się, gdzie zostaną wysłani. Nic dobrego jednak nie mogło z tego wyniknąć. Biegał w tych kolorowych ciuszkach jak

głupiec, a teraz zatoczył krąg i znalazł się w punkcie wyjścia. Jego jedynym pocieszeniem było to, że nie był już sam.

Pierwszą część trasy przejechali pociągiem, panowie oficerowie na miękkich, tapicerowanych siedzeniach, żołnierze stłoczeni w wagonie towarowym. Od Neuchâtel zaczął się marsz pod ciemnym niebem, w strumieniach deszczu, przez łąki i niewielkie lasy, z widocznymi na gałęziach zielonymi listkami. Z oddali Humbert usłyszał stłumione buczenie i pukanie, które oznaczały tak dobrze mu znane odgłosy walki. Głuche puf przy odpalaniu granatu, ciche pogwizdywanie podczas lotu pocisku, a potem wybuch, początkowo tylko plusk przy upadaniu na ziemię, a w końcu eksplozja. Gdy się ściemniło, w oddali było widać czerwone i żółte rozbłyski, a potem jasny płomień, który stopniowo bladł. W płytkim schronie, w którym byli aż do rana, siedzieli jeden przy drugim, większość milczała, niektórzy spali, inni się upijali. Von Hagemann, lekarz sztabowy i dwaj porucznicy spali w niewiele lepszych warunkach niż zwykli żołnierze, leżeli po prostu na wilgotnej słomie. Von Hagemann częstował papierosami i nawet Humbert pozwolił sobie wziąć jednego.

– Jutro będzie naprawdę groźnie, Sedlmayer. Będziesz mógł pokazać, czy jesteś mężczyzną, czy dziewczyną.

Humbert odpalił papierosa, używając zapalniczki majora. Palił rzadko, więc szybko zaczął kasłać.

O świcie rozciągający się przed nimi krajobraz wydawał się pusty i ponury, jakby byli na księżycu albo na szerokiej pustyni. Strzały na chwilę ucichły. Gdy jednak znów wyruszyli, wróg najwyraźniej się obudził, bo ryki i puknięcia stawały się coraz głośniejsze, a pociski drażyły kraterzy w ziemi. Przed porannym wymarszem major podzielił swoich ludzi. Pogrupowani rozproszyli się, szukając z kilku pozycji dobrej drogi prowadzącej przez kręty tunel, tak by nie doszło w nim do niepotrzebnego stłoczenia. Humbert podążał cały czas za majorem, ogłuszony eksplozjami, gwizdami i syczeniem, czując pod nogami miękką, wilgotną ziemię. Przed sobą widział płaską powierzchnię, wyboistą, rozoraną kraterami, gdzieś tam znajdował się spalony szkielet małego drzewa albo widoczne były resztki murów, po których nie dało się poznać, jaki budynek wcześniej tworzyły. Pachniało mokrą ziemią, ogniem i nagłą śmiercią.

– Odsuń się! – krzyknął ktoś, złapał go za kołnierz i rzucił na ziemię.

Znalazł się teraz na czworakach w wąskim przejściu, którego ściany były zrobione z drewnianych płyt, a podłoga z desek. Okopy. Ta dziura wykopana w ziemi wydawała mu się schronieniem w porównaniu z napawającym grozą ciemnym, księżycowym krajobrazem na zewnątrz.

– O mało cię trafiono – skarcił go von Hagemann. – Idź, ruszaj się. Nasza pozycja jest jeszcze dalej.

Posuwał się do przodu, mijając brudnych żołnierzy, składy amunicji, skrzynki z żywnością, śpiących towarzyszy oraz na wpełnionych mężczyzn, którzy obierali swoje mundury z wszy. Ziemia trzęsła się po każdym wybuchu, w jego uszach szumiało od wystrzelanych pocisków. Śmierć czaiła się wszędzie, była niczym ich cień. Najdziwniejsze było jednak to, że Humbert nie tracił przytomności.

Kitty przymierzała już trzecią bluzkę, ale nawet ta z delikatnego, jasnoniebieskiego jedwabiu, z bufiastymi rękawami i lamówką, nie zyskała jej aprobaty. Jakże niewygodne były te bluzki, jakie staroświeckie! Każda sekretarka chodziła teraz w bluzce i spódnicy. Nie potrafiła jednak wybrać dla siebie żadnej sukni, głównie dlatego, że po porodzie prawie wszystkie były na nią za ciasne. I nawet nie na brzuchu, tylko powyżej. Nie chciała wcale karmić, bo przecież nie była dojną krową, a ten cały teatrzyk, który przy tej okazji zrobiła Marie, wydawał się jej po prostu śmieszny. Niestety, po porodzie miała tyle mleka, że wszystkie środki, które dawał jej lekarz, nie były w stanie powstrzymać laktacji. Zlecenie karmienia wyłącznie mamce stało się niemożliwe, bo piersi by jej zwyczajnie wybuchły. Z westchnieniem przyglądała błękitną bluzkę i spoglądała w lustro. To było poniżające – z tym całym swoim naddatkiem zamkniętym w gorsecie wyglądała jak jakaś matrona. Musiała jednak go wkładać, żeby tryskające mleko nie brudziło ubrania.

– Nigdy więcej nie będę mieć dziecka! – jęczała Kitty. – Jak kobiety mogą być szczęśliwe tylko dlatego, że puchną jak balony i trzy razy dziennie są ssane i gryzione!

Wściekła ściągnęła z siebie nieszczęsną bluzkę, rzuciła ją na dywan i wyciągnęła z szafy kolejną. Tę uszyła jej Marie, może chociaż ta w delikatnym żółtym kolorze z bawełny i szyfonu będzie pasowała.

– Łaskawa pani? Czy pani mnie wołała?

Mizzi, która była zatrudniona jako pomoc domowa, zajrzała przez uchylone drzwi. Kitty przedwczoraj w ataku gniewu zwolniła pokojówkę, więc od tego czasu wzywała Mizzi, żeby pomagała jej we wkładaniu wieczornej sukni. Mizzi była urzeczona widokiem tylu drogich pięknych sukien, bluzek, spódnic oraz niezliczonych butów i pantofelków. A do tego te śliczne torebeczki, rękawiczki, paski, kapelusze... Prawdziwy raj otworzył się nagle przed tą dziewczyną, a ona starała się ze wszystkich sił, żeby nie stracić dostępu do tego Elizjum.

– Ach, Mizzi – powiedziała Kitty nieco poirytowana. – Skoro już tutaj jesteś, pomóż mi z tą bluzką.

– Oczywiście, łaskawa pani.

Miała talent ta mała Mizzi. Tak długo obciągała żółtą bluzkę, aż Kitty z westchnieniem powiedziała, że na razie może sobie pójść. Nawet jeśli u góry bluzka wciąż jeszcze była zbyt opięta.

– Mała śpi?

– Myślę, że tak, łaskawa pani. Mamka jest przy niej.

Z mamki mogła zrezygnować. Przynajmniej jeśli chodzi o ilość mleka. W innych kwestiach pulchna Alwine Sommerweiler, która sama miała w domu troje dzieci, a czwarte w drodze, była prawdziwym skarbem. Troskliwa kobiecina o ogromnych pokładach czulej miłości i doświadczona matka.

– Powiedz Ludwigowi, że zaraz wychodzę. I przynieś mi letni czerwony płaszcz, ten z dużym kołnierzem.

Kitty przymierzała kolejne pary butów, z trzeciej była zadowolona. Sięgnęła po czerwony kapelusz z piórkiem, który tak pięknie pasował do jej ciemnych włosów. A może powinna obciąć włosy? Bob pewnie by doskonale pasował, pomyślała i poszła do pokoju dziecięcego. Pokój był urządony w kolorach białym, różowym oraz złotym. Zdobione meble znalazła w katalogu i kazała sprowadzić, dywan został kupiony w domu towarowym w Augsburgu. W obu wysokich oknach wisiały zasłony z różowego woalu, który mama kupiła jeszcze w czasach pokoju. Tylko mamka tworzyła ciemny kleks w tym pastelowym otoczeniu, bo miała na sobie granatową suknię.

– Spi – wyszeptała z uśmiechem Alwine Sommerweiler, gdy łaskawa pani weszła do pokoju.

Kitty podeszła na palcach do łóżeczka ze szczebelkami, nad którym kołysała się urocza konstrukcja z różowych gwiazd i jasnoniebieskich księżyców. Ach, jaka słodka była ta mała istotka, gdy spała. Jak cudowny noseczek, miękko wygięte usteczka, delikatnie zacieniona linia zamkniętych powiek. Jej maleńka Henni! Nie, była nieskończenie szczęśliwa, że miała córeczkę. Gdyby tylko Alfons mógł ją zobaczyć! Od dwóch tygodni nie dostała od niego wiadomości, przypuszczalnie utknął gdzieś na granicy Francji i Belgii. Jeśli tam jeszcze była jakaś granica... Czy tamten obszar już od dawna nie był podbity przez cesarstwo niemieckie? Kitty nie wiedziała i w zasadzie było jej to obojętne. Tata miał rację, to, co faktycznie działo się na froncie wschodnim i zachodnim, nie było dostępne w raportach z wojny, które czytało się w gazetach. Pewne było tylko to, że teraz również Włochy wypowiedziały wojnę cesarstwu niemieckiemu.

– Jadę tylko na godzinę albo dwie do moich rodziców, Alwine. Gdyby było coś ważnego, dzwoń proszę.

Telefon był naprawdę użytecznym urządzeniem. Jaka szkoda, że Lisa nie miała go w swoim mieszkaniu. Ale ostatnio jej siostrę najłatwiej można było znaleźć w domu rodziców. Z powodu tego głupiego lazaretu. Jak gdyby nie było wystarczającej liczby szpitali w Augsburgu. Nawet w klasztorach urządzono lazarety, teraz pewnie wyklócają się o pacjentów.

Gdy jej samochód powoli jechał w kierunku posiadłości Melzerów, Kitty musiała przyznać, że było jednak znacznie więcej rannych żołnierzy, niż jej się wydawało. Samochód ciężarowy stał przed wejściem do willi. Tylne części były tak osłonięte brezentem, że można było zajrzeć do środka. Na wełnianych kocach leżało tam kilku mężczyzn i czekali, aż zostaną przeniesieni do lazaretu. To było straszne! Do tej pory w posiadłości mieli być leczeni wyłącznie pacjenci, którzy już dochodzą do zdrowia. Natomiast ci biedacy musieli być wniesieni na noszach do posiadłości, leżeli prawie nieruchomo, niektórzy mieli głowy owinięte białymi bandażami zasłaniającymi pół twarzy. Były zostawione jedynie otwory na oczy i usta – wyglądało to przerażająco.

– Ludwigu, zatrzymaj się, tutaj wysiądę. Mogli wjechać po lewej stronie dziedzińca, żeby nie zastawiać drogi.

– Ależ oczywiście, łaskawa pani. Biedne chłopaki. Dla cesarza i kraju... No tak... Dobrze, że ja jestem już na to za stary.

Kitty nie miała ochoty z bliska przypatrywać się rannym, więc skierowała się do tylnej części posiadłości, żeby wejść na pierwsze piętro przez ogród zimowy. O nieba,

jakie to było uciążliwe! Gdy wczoraj była tu z wizytą, jej suknia utknęła między żelaznymi kratami i ma na niej teraz rdzawe plamy.

– Mamo! Halo! Else! Auguste!

Pukała rozgniewana, ale drzwi nadal były zamknięte. Po dłuższej chwili otworzyła jej w końcu gospodyni i nastrój Kitty bynajmniej się nie poprawił. Miesiącami dzielna Schmalzler próbowała zachęcić ją do zajęcia się gospodarstwem domowym, robiła jej nudne wykłady, zalecała prowadzenie ksiąg z wydatkami domowymi. Oczywiście był to pomysł mamy. Zupełnie bezowocny.

– Łaskawa pani! Co za wspianiała niespodzianka! Przyszła pani w dobrym momencie!

Kitty usłyszała płacz niemowlęcia – najpewniej był to Leo, mały krzykacz. Tylko dlaczego gospodyni była taka podekscytowana? Miała nawet różowe plamy na policzkach. Ciekawostka. Musiało się wydarzyć coś niezwykłego.

– Co się dzieje? Tylko niech mi już pani powie, panno Schmalzler. Niech mnie pani nie trzyma w niepewności. Coś złego, prawda?

Schmalzler wzięła od niej płaszcz i kapelusz i zapewniła, że chodzi o naprawdę dobrą wiadomość.

– Poczta! – ekscytowała się Kitty. – List od Paula. Tak? Naprawdę? Mój kochany Paul wreszcie napisał? Niech pani powie, że to prawda, panno Schmalzler. W przeciwnym razie wyduszę to z pani!

– Ależ łaskawa pani, panienko Kitty...

Śmiała się. Naprawdę się śmiała. A Eleonore Schmalzler nie potrafiła się śmiać. Wyglądała przy tym nieco dziwnie, bo miała na wpół otwarte usta.

– Nie jeden list – powiedziała z drżeniem w głosie, co brzmiało prawie tak, jakby szlochała. – Dostaliśmy dzisiaj cały kosz listów. Musiał pisać prawie codziennie i wszystko gdzieś utknęło w drodze. Jego matka i pani von Hagemann są w jadalni. Ja muszę teraz pójść do szpitala, mamy dzisiaj nowych pacjentów.

Szły razem przez ogród zimowy. Potem gospodyni zeszła schodami do szpitala, a Kitty pobiegła prosto do jadalni.

– Mamo! Lisa!

Elisabeth upuściła list, który właśnie czytała, i podbiegła do siostry, żeby ją objąć. Podeszła do nich mama, przytuliła obie córki i wszystkie zaczęły szlochać, jakby wydarzyło się coś strasznego.

– Był w Galicji... Tak bardzo daleko... A potem na Mazurach. Teraz będzie wracał. On ma jeszcze jechać do Francji, ale ma nadzieję, że przyjedzie do nas chociaż na kilka dni, zanim wyruszy na front zachodni.

– O mój Boże! – krzyknęła Kitty. – Przyjedzie tutaj. To zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Gdzie jest Marie? Ona pewnie oszalała ze szczęścia!

Mama wyjaśniła, że Marie poszła na górę. Ona to doskonale rozumie. Marie chciała być sama, gdy będzie czytać listy od Paula.

– A co ze mną? – zdenerwowała się Kitty. – Do mnie nie napisał? Och, mój kochany Paulu, ty złośliwy, niewierny...

– To ten stosik listów obok dzbanka do kawy – powiedziała Elisabeth, potrząsając

głową. – To wszystko są listy do ciebie, Kitty. Nie bądź następnym razem tak pochopna w oczernianiu.

– Mój Boże! Wszystkie do mnie? To jest pewnie z dziesięć, nie, piętnaście listów!

– Trzyście – poprawiła ją Elisabeth. – Ja dostałam tylko pięć, mama siedem, a Marie...

Kitty już sięgnęła po swój stosik listów i zaczęła liczyć. Faktycznie, Lisa miała rację. Mój Boże, dostała od Paula więcej listów niż mama i Lisa razem.

– A ile listów dostała Marie? – chciała wiedzieć Kitty.

– Ależ jesteście głupiutkie – powiedziała Alicia z uśmiechem. – Jak małe dzieci.

– Do Marie wysłał ponad pięćdziesiąt listów i kartek pocztowych – przekazała jej Elisabeth.

– Naprawdę? Tak dużo? – zapytała Kitty z lekką zazdrością.

Kochała Marie całym sercem, żadnej innej swojej przyjaciółce nie oddałaby swojego ukochanego Paula, tylko Marie. Ale właśnie z tego powodu Paul mógłby nieco bardziej równomiernie rozdzielić pisane do nich listy...

Mama zawołała Else i poleciła jej przynieść kawę i przekąski dla Kitty. Potem zrobiło się zupełnie cicho, bo każda z kobiet zajęła się czytaniem swoich listów. Tylko od czasu do czasu było słychać westchnienie albo cichy okrzyk zdziwienia, któraś przeczytała jakąś linijkę, a pozostałe komentowały jedynie monosylabami, bo każda była zajęta czytaniem własnych listów.

W drodze na Wschód, 21 kwietnia 1916 roku

Moja siostrzyczko Kitty,

Wczoraj byliśmy w Królewcu. Pociąg zatrzymał się tam o świcie, zapukano do nas z zewnątrz i rozespiani wyczłapaliśmy z pociągu. Rozdzieliliśmy jedzenie – ryż z wołowiną. Bardzo smaczne i sycące. Potem staliśmy w półmroku, aż nadjechał pociąg. Zamknięte wagony, z których dochodziło tupanie i jakieś nieznanne dźwięki. To byli rosyjscy jeńcy; załadowywali oni wagony, które przewoziły zaopatrzenie do stacji z żywnością. Byli bladzi i chudzi, palili mnóstwo papierosów, ich twarze wydawały się dziwnie obce, mongolskie. Później widzieliśmy ich, gdy sprzątali zniszczone wsie. Biedacy, którzy zostali wyrwani ze swoich domów i rzućeni na obcą ziemię. Krajobraz, przez który teraz jedziemy, jest monotony, widać zaniedbane pola, sporadycznie jakieś gospodarstwo z drewnianym domem pokrytym słomianą strzechą, w którym ludzie żyją razem z bydłem. Poznają tutaj inną rzeczywistość, jest tak, jak gdyby świat cofnął się o sto lat. W Wilkowiczkach powinno być więcej poczt polowych, więc mam nadzieję, że moje listy wkrótce do Was dotrą i że ja otrzymam wiadomości od Was. Wszystkie listy od Ciebie, moja siostrzyczko, noszę w plecaku spięte gumką, skarb, z którego czerpię w trudnych chwilach. Gdy je czytam, widzę Twoje małe ręce, Twój palec wskazujący, który tak mocno

przyciska pióro do papieru.

Ucałuj ode mnie słodką Henni. Przesyłam uściski.

Twój starszy brat

Paul

– Kawa, łaskawa pani – oznajmiła Else i wyrwała Kitty z zamyślenia. – Kucharka kazała przekazać, że nie może teraz przygotować przekąski, bo musi nakarmić szofera Ludwiga, a do tego jeszcze dwóch kierowców z transportu medycznego i ich pomocników. Panna Schmalzler zabrała jej Hanę, która miała pomagać w szpitalu polowym, a więc nie mogła pracować w kuchni

– Dziękuję, Else – powiedziała przyjaźnie Alicia. – Powiedz pani Brunnenmayer, że porozmawiam o tym z panną Schmalzler. Możesz tutaj posprzątać.

Else wyszła z tacą pełną brudnych naczyń, a Alicia odłożyła na bok listy od Paula z westchnieniem. Musiała zadbać o porządek na dole. Otwarcie szpitala mocno zaburzyło stały podział obowiązków wśród personelu.

– Pamiętaj o tym, żeby zadzwonić do taty, Liso. Powinien otrzymać tę dobrą wiadomość jak najszybciej.

– Oczywiście, mamó. Jeszcze raz spróbuję.

Kitty uniosła zmarszczone czoło znad lektury, czekała jednak z pytaniem, aż mama podeszła do drzwi.

– A dlaczego sama nie zadzwonisz? Czy wy znowu się pokłóciliście?

Elisabeth przewróciła oczami tak, że zobaczyła sufit w pokoju, a potem jęknęła. To było już nie do zniesienia, jak rodzice utrudniali sobie życie. Od wielu dni tata wstawał wcześniej i wychodził do fabryki, żeby nie siedzieć z mamą przy śniadaniu. Nie przychodził na obiad do willi i nikt nie wiedział, czy w ogóle coś je. A przecież w fabryce już prawie nie pracowano i nawet sekretarki nie przychodziły do biura.

– Na miłość boską, Lisa! – krzyknęła przerażona Kitty. – Czy nasza fabryka plajtuje?

Elisabeth energicznie potrząsnęła głową.

– Ależ nie, oczywiście, że nie. Jak możesz mówić coś tak głupiego? Tata ma teraz chwilowy zastój, ale to minie. Powiedział, że na lipiec i sierpień zdobył kilka zamówień. Myślę, że to będzie czyszczenie blaszanych łusek i naprawianie skórzanych pasów. Dokładnie nie wiem, ale pracownicy będą tym zajęte przez jakiś czas.

Kitty sądziła, że taka praca właściwie zupełnie nie pasuje do fabryki tekstylnej. Ale cóż, tak, w czasie wojny blaszane łuski i skórzane pasy są zdecydowanie ważniejsze od ładnych ubrań.

– Oczywiście – odpowiedziała Elisabeth i rzuciła lekceważące spojrzenie w jej stronę. – Szczególnie że bez bawełny i wełny produkowanie ubrań jest niezwykle trudne.

Kitty musiała przyznać, że o tym nie pomyślała. Pewne rzeczy jakoś tak przechodzą obok niej, że ona nawet tego nie zauważa. Zwłaszcza te, które utrudniają życie.

– Siedź, Liso, ja zadzwonię do taty – powiedziała i poszła do gabinetu, żeby połączyć się z fabryką Melzerów.

Stała przez chwilę, niecierpliwie uderzając czubkami palców w biurko ojca, szarpała bluzkę, czuła, że jej piersi znowu są mocno nabrzmiące. Usłyszała, że rozmówca się nie zgłosił.

– Niech pani spróbuje jeszcze raz, proszę!

Kobieta z rozmównicy kolejny raz podjęła próbę połączenia się, ale ponownie się nie udało. Zdenerwowana Kitty rzuciła słuchawkę i wróciła do jadalni, żeby dalej czytać listy od Paula.

– I? Udało ci się złapać tatę?

Kitty wzruszyła ramionami. Był prawdopodobnie gdzieś na terenie fabryki. Szkoda, że sekretarek nie ma już w biurze, one zawsze wiedziały, gdzie właśnie znajduje się szef.

Elisabeth milczała i w roztargnieniu piła kawę. Dodała do niej cukier i trochę mleka w proszku. Pomieszała srebrną łyżeczką, odłożyła ją na bok i patrzyła na stół, na którym znajdowało się jeszcze kilka ciemnych bułek.

– Liso, nie musisz zejść na dół, do szpitala? – zapytała Kitty, która zauważyła dziwne zachowanie siostry. – Sądziłam, że kierujesz pracą pielęgniarek. Nie? Cóż, musiałam w takim razie źle zrozumieć. Powiedz no, czy to prawda, że ten młody doktor, jak on się nazywa, zapomniałam, że on jest tak niesamowicie przystojny? Tilly robi się cała czerwona, gdy ją o niego pytam.

Elisabeth zrobiła ręką wymijający gest – Kitty nie powinna zajmować się takimi plotkami. Doktor Moebius jest doskonałym lekarzem, robi znacznie więcej niż to, co należy do jego obowiązków.

– Martwię się o tatę, Kitty – powiedziała niepewnie. – Ostatnio żyje w jakimś szalonym napięciu. Jest niespokojny i nerwowy. Ta kłótnia z mamą, moim zdaniem, rozwija się niepokojąco. A wiesz, że tata nie powinien się denerwować...

– Schudł i jest bardzo blady. Sądzę, że bardzo się martwi o fabrykę – powiedziała naiwnie Kitty. – Zawsze tak było.

– Ma ku temu wszelkie powody, Kitty. Ale bardzo mi się nie podoba, że biega po prawie pustym zakładzie, żeby schować się przed mamą. Tak zupełnie poważnie, jeśli zdarzyłoby się tam coś złego, nie byłoby nikogo, kto mógłby mu pomóc. Szukalibyśmy go dopiero wieczorem, a on byłby już wtedy...

– Na miłość boską, Lisa – powiedziała oburzona Kitty. – Posłuchaj tylko, jak straszne rzeczy przywołujesz na ten świat. Tata jest przecież zdrowy.

Rozkojarzona Elisabeth położyła łyżeczkę do kawy na stole na obrusie zamiast na podstawce. Jasnobrązowa ciecz wsiąkła w biały materiał.

– Tata w każdej chwili znów może dostać ataku – zniżyła głos. – Tak powiedział nam wtedy lekarz. Kitty, mam złe przeczucia...

– Potrafisz zepsuć nawet najpiękniejszy dzień, siostrzyczko! – skarciła ją Kitty. – Dopiero co byliśmy wszyscy tak szczęśliwi, bo Paul wkrótce do nas przyjedzie.

Elisabeth wstała i poszła do gabinetu. Kitty przewróciła oczami i otworzyła kolejny z adresowanych do niej listów. Nie mogła się jednak skoncentrować na jego treści i pozazdrościła Marie, która mogła sobie siedzieć na górze w całkowitej ciszy i w spokoju czytać listy, bo nikt jej nie przeszkadzał. Ciekawe, czy płakała. A może przeciwnie, śmiała się ze szczęścia? A może i to, i to, na zmianę? Paul potrafił pisać bardzo czułe listy, zresztą był absolutnie wspaniały. Głos Lisy dochodzący z gabinetu wyrwał ją z zamyślenia.

– Niech mnie pani jeszcze raz połączy, proszę. Tak, tak, wiem, że próbowaliśmy już kilka razy zadzwonić pod ten numer.

Święci pańscy! Lisa naprawdę poważnie podeszła do swoich niepokojących wizji. A gdy mama się o nich dowie, na pewno się jej udzieli i też będzie się zamartwiać. Kitty złożyła list i wsunęła go z powrotem do koperty. Z Lisą naprawdę nie było dobrze. Czy ona nie mogłaby choć raz, ten jeden jedyny raz, po prostu być szczęśliwa? Nie, ona zawsze musiała szukać dziury w całym.

– Słuchaj no – powiedziała, gdy Elisabeth ze zbolalym wyrazem twarzy wróciła do jadalni. – Jedźmy szybko do fabryki i same przekażmy tacie tę wspaniałą wiadomość.

– Właśnie chciałam ci to zaproponować – powiedziała cicho Elisabeth. – Jak dobrze, że wpadłaś na to samo.

Tymczasem na zewnątrz zebrały się ciemne chmury. Gdy Elisabeth i Kitty szły przez park, pojawiły się pierwsze błyskawice i zaczęło grzmieć. Pielęgniarka szybko zebrała wiklinowe fotele z tarasu w bezpieczne miejsce i zamknęła drzwi. Na podwórzu Ludwig starał się podnieść złożony dach samochodu, zanim spadną pierwsze krople.

– Prawie rozerwałam swój nowy płaszcz. Widziałas, jak ten materiał się układa? Kupiłam go u pani Rosenberg. U góry szeroki i bufiasty, na dole zbyt wąski. Jak rzodkiewka!

Elisabeth nie była w stanie należycie podziwiać drogich ubrań Kitty, przytaknęła jedynie i patrzyła na przednią szybę samochodu, zalewaną przez strugi deszczu. Kolejny gwałtowny grzmot sprawił, że zadrżała.

– Burza jest teraz dokładnie nad nami, łaskawa pani – powiedział Ludwig, na którego siwej brodzie widać było błyszczące krople. – Prawdziwa, piękna letnia burza. Jak w czasach pokoju.

– Jedziemy, Ludwigu. Moja siostra jest mocno zaniepokojona.

– Oczywiście, łaskawa pani.

Jechał powoli, bo z powodu deszczu miał ograniczoną widoczność. Samochód miał wprawdzie zamontowaną na przedniej szybie wycieraczkę, ale musiał nią poruszać pasażer, a obie panie siedziały z tyłu. Zatrzymali się przed bramą fabryki. Można było zajrzeć do okienka portierni, ale było bardzo możliwe, że stary Gruber nie przychodził już do pracy i ich ojciec sam otwierał bramę. W takim wypadku musiałby też teraz ich wpuścić.

– To był wspaniały pomysł, żeby tutaj przyjechać – narzekała Kitty, która bardzo marzyła w lekkim letnim płaszczu. – Tylko co teraz?

Elisabeth kichnęła w odpowiedzi. Była przemoczona do suchej nitki, bo dach przeciekał akurat w miejscu, w którym ona siedziała.

– Niech pan trąbi, Ludwigu.

Zatrąbił trzykrotnie, nic się nie wydarzyło. Siostry spojrzały na siebie z zakłopotaniem. Grzmot wstrząsnął dzielnicą przemysłową, błyskawice oświetliły budynki w niepokojący, dziwny sposób.

– Mogłybyśmy wysiąść i zadzwonić dzwonkiem – zaproponowała Elisabeth.

– Ty możesz to zrobić, Liso. Ja nie zamierzam zniszczyć do reszty mojego płaszcza.

– Niech pan jeszcze raz zatrąbi, Ludwigu. Ale nie tak nieśmiało. Niech pan trąbi mocno!

Zabrzmiało to trochę jak pojękiwanie, pomyślała Kitty. Jakby jaszczurkę bolało gardło. Elisabeth już złapała za klamkę i postanowiła wysiąść prosto w strugi deszczu, gdy Kitty złapała ją za rękę.

– Spójrz! – krzyknęła i pokazała palcem wskazującym. – Parasol!

– Co? Gdzie?

Rzeczywiście, po dziedzińcu poruszał się powoli czarny parasol. Szedł bardzo wolno, bo musiał walczyć z wiatrem i ulewą, ale Kitty dostrzegła, że niesie go mężczyzna ubrany na czarno. Portier Gruber był jednak na posterunku.

– Biedaka prawie unosi do góry z tym jego parasolem.

– „...przyłgnał wtem do chmur, a jego kapelusz też odfrunął już”8.

– Przestań, Lisa. Nienawidzę tej książki. Już jako mała dziewczynka nie byłam w stanie znieść *Stasia Straszydła!*

– Niech pan wjeżdża, Ludwigu. Na co pan czeka?

Portier otworzył oba skrzydła bramy i stanął z boku, żeby go nie potracono i nie uszkodzono pojazdu. Gdy samochód przejeżdżał koło niego, zrobił niezdamny łuk parasolem. Wyrażał zadowolenie, że obie panie tak radośnie mu machają.

– Ten to nie potrafiłby po prostu pójść do domu – powiedziała Elisabeth, potrząsając głową. – Nie jest w stanie żyć bez budki portiera, biedaczyna.

– Ale dlaczego by miał to zrobić? – zapytała zdziwiona Kitty. – Fabryka potrzebuje przecież portiera.

Udało im się zaparkować tuż przed wejściem do kompleksu budynków administracyjnych i – ku ich zachwytowi – drzwi były otwarte. Gdyby na klatce schodowej ich kroki nie robiły tak dużo hałasu, w środku panowałaby martwa cisza, nie było nawet słycać odgłosów burzy.

– Czy tutaj się już nie pracuje? – spytała z niepokojem Kitty. – Tutaj była księgowość, prawda? I taki dziwny człowieczek w zbyt dużej marynarce i okrągłych okularach.

– Młodzi mężczyźni są na wojnie, Kitty.

– Racja, zapomniałam. Ale byli też starsi mężczyźni. Zabawne, że ich też nie ma w pracy. Biuro taty jest na drugim piętrze, prawda? Zawsze było tutaj dość nerwowo, gdy go wcześniej odwiedzałam. Wszyscy musieli czekać, aż zostaną wezwani do jego biura, a ja po prostu sobie tam wchodziłam.

Siostry przystanęły z niepokojem w poczekalni. Jakże było tutaj cicho! Obie maszyny do pisania były przykryte płóciennymi serwetami, krzesła wsunięte pod biurka, a stos dokumentów ułożony na szafce na kółkach. W koszu leżała samotnie jedna

zgnieciona kartka. Krople deszczu uderzały o szyby.

– Uff, jakie zatęchłe powietrze. Szkoda, że przez tę burzę nie możemy tutaj wywietrzyć – powiedziała Elisabeth.

Kitty nacisnęła klamkę drzwi prowadzących do pokoju dyrektora i pchnęła je. Zatrzeszczały jak w nawiedzonym zamku. Rozejrzała się szybko po biurze ojca, ale nikogo tam nie było. Wszystko wskazywało jednak na to, że jeszcze niedawno ktoś tutaj pił koniak i palił papierosy.

– Nie mogę tego pojąć! – jęknęła Elisabeth i podniosła z biurka pełną popielniczkę, żeby przyrzeć się jej zawartości. – Tutaj jest co najmniej dziesięć, nie, dwanaście niedopałków cygar. A w koszu znajduje się jeszcze jakiś popiół. A doktor Greiner absolutnie zakazał tacie palić!

– A koniak też musiał go przyciągnąć – dodała Kitty. – Butelka jest prawie pusta. Zobacz, Liso. Tata nie był sam!

Na stoliku stały trzy puste szklanki po koniaku i kolejna pełna popielniczka. Siostry patrzyły na to z zakłopotaniem. Tata najwyraźniej miał gości.

– To musieli być mężczyźni – powiedziała Kitty. – Kobiety nie palą cygar.

Elisabeth wzięła szklankę po koniaku do ręki, żeby dokładnie się jej przyrzeć. Żadnych śladów szminki – uspokoiła się.

– Oczywiście, że to byli mężczyźni. Co ty w ogóle sugerujesz? – zapytała zdenerwowana. – On na pewno rozmawiał na temat zamówień ze swoimi partnerami.

– Ach tak?

Kitty wzruszyła ramionami i powiedziała, że od dawna wiedziała, iż obawy Lisy są jedynie wytworami jej przemęczonej świadomości. Wszystko wskazuje na to, że tata ma się bardzo dobrze.

– Naprawdę mam nadzieję, że się mylisz, Kitty.

– Tylko gdzie jest tata? – zastanawiała się Kitty. – Portier powinien wiedzieć.

– Jakie jesteśmy głupie! – dodała Elisabeth. – Powinniśmy go przecież od razu spytać!

Wyszły z pokoju dyrektora i zeszły schodami na dół. W budynku nie było przyjemnie, tak cicho i pusto. I trochę brudno. W rogach pająki uprzedły już swoje sieci. Pachniało tak, jak pachną opuszczone miejsca. Deszcz wciąż intensywnie padał, więc zdecydowały, że poczekają w drzwiach, podczas gdy Ludwig poszedł do portiera. Jeśli pan dyrektor nie jest u siebie w biurze na górnym piętrze, to – jak się dowiedziały – mógł być w przedzalni. Od kilku dni znowu tam chodzi; to jest jak tortura, tylko sobie rujnuje tym osłabione nerwy, biedny pan dyrektor.

– Chodź ze mną – zadyrygowała Elisabeth.

Przeciągnęła Kitty w deszczu przez dwie hale, w trzeciej znajdowała się przedzalnia. Przed wojną to tutaj pracowano na dwie zmiany. Kitty kiedyś jako dziecko przybiegła do fabrycznych hal, ale okropny hałas tworzony przez wiele pracujących maszyn sprawił, że szybko stamtąd uciekła.

– Wyciągnij palce z uszu – krzyknęła do niej Elisabeth. – Tutaj jest zupełnie cicho. Maszyny przecież nie pracują!

– Nienawidzę cię, Lisa! – wrzasnęła w odpowiedzi Kitty. – Przez ciebie na moim

nowym płaszczu są teraz plamy z wody!

Popatrzyła z niezadowoleniem na ciemne, milczące maszyny przędzalnicze, które nazywano selfaktorami. Brakowało szumu i brzęczenia szpulek oraz trzeszczenia, gdy nici były naciągane i zwijane na szpulki. Ciągłe było syczenie, bo maszyna parowa zawsze pracowała pod ciśnieniem.

– Na pewno są na górze – powiedziała Elisabeth.

– No to pięknie, idziemy na górę. Tylko kto się tym przejmie, jeśli mój płaszcz złapie plamy z oleju?

Już na schodach było syczenie rozgniewany głos pana dyrektora. Tata klął jak za starych dobrych czasów.

– To jest cholerna kupa złomu! Dlaczego ten walec się nie porusza? Za co wam zapłaciłem tyle pieniędzy?

– To drobiazg, panie Melzer. Oś musi być po pros-tu lepiej nasmarowana. Może też otwór jest zbyt ciasny.

– Twój mózg jest zbyt ciasny, Hüttenberger! Taka prawda. Mój syn wszystko dokładnie zaprojektował. Wy musicie tylko to odwzorować.

– Teraz! Teraz chodzi!

Elisabeth i Kitty podeszły kilka kroków do przodu i stanęły przed potężną konstrukcją z metalu. Bez wątpienia była to maszyna, w której coś przesuwało się na specjalnych linach.

– Papier! – zawołała Kitty i wyciągnęła rękę. – To jest rolka papieru. Tata będzie produkował tapety.

Ogromna rolka papieru przesuwała się z głośnym skrzypieniem i chrzęstem, syczenie było syczenie, buchanie, szumy. Metalowa szyna przesuwała się w górę, osadzała się na papierowej rolce i syczenie było głośny chrzęst, jak podczas cięcia papieru. Wtedy maszyna wypuszczała powietrze, zgrzytała i się zatrzymywała.

– Cholera raz jeszcze! – wrzasnął Melzer na swoich dwóch konstruktorów. – Jeśli po tym powstaną rysy na papierze, przyszyję was nosami do siebie!

8 Cytat pochodzi z *Opowieści o latającym Robercie* (niem. *Die Geschichte vom fliegenden Robert*) z tomu *Staś Straszycło* Heinricha Hoffmanna.

Mariampol, 10 października 1916

Moja najukochańsza Marie, moja wspaniała i czuła Żono,

Niestety nic nie wyszło z naszego spotkania, bo zmieniły się ogólne plany i muszę jeszcze zostać w Rosji. To była bardzo gorzka wiadomość, ta, którą otrzymała dzisiaj rano nasza jednostka, i wielu moich towarzyszy, którzy dokładnie tak jak ja mieli nadzieję, że wkrótce zobaczą bliskich, złorzeczy teraz losowi. Ja również potrzebowałem chwili, żeby przelknąć rozczarowanie, ale wszyscy jesteśmy żołnierzami jego cesarskiej mości, nic nie da płacz i zawołanie, mówimy tylko głośno i wyraźnie „na rozkaz” i każdy przeżywa to w sobie. A może to wola Boża, że tutaj zostajemy, bo sytuacja na Litwie jest dość spokojna, Rosjanie walczą jeszcze w Galicji, ale ich wola walki wydaje się słabnąć. We Francji, przede wszystkim pod Verdun, wygląda to ponoć zupełnie inaczej, tam konfrontują się ze sobą dwa silne fronty i słyszy się, że są wielkie straty po obu stronach. Nad Sommą także trwa zacięta walka, tam są Anglicy, którzy ofiarowują swoim sojusznikom pomocną dłoń.

Dziękuję Wam bardzo za wspaniałe paczki, za czekoladę, wełniany koc, mapy, które mi doskonale służą. Wciąż nocujemy w gospodarstwie, w którym dość przytulnie ulokowano nas w stodole. Od czasu do czasu chodzimy do knajpy w Mariampolu, prowadzonej przez Niemca, która jest pełna całe dnie i noc. Najczęściej jednak pijemy herbatę – narodowy napój Rosjan. Pije się ją tutaj bardzo mocną z cukrem i – marmoladą! W ostatnich dniach były tutaj przymrozki, co z jednej strony świadczy o szybkim nadejściu zimy, ale ma też swoje dobre strony. Podłoże tutaj składa się wyłącznie z błota, można chodzić tylko tam, gdzie zostały położone deski, bo inaczej tonie się w brei prawie po kolana. Kiedy nastanie mróz, ziemia stanie się twarda i znikną te okropne komary. Gdy jeździmy na patrole, rozglądamy się po tym rozległym kraju, który wydaje się tak pusty i niegościnnie, pytając siebie samych, co my tu właściwie robimy. Ale kwestionowanie polecenia dowództwa to nie nasza rola.

Myślę często o Tobie, moja słodka Marie. O Tobie i naszych dzieciach, których nie widziałem już od ośmiu długich miesięcy. Przesyłam Wam dwie drewniane figurki, które kupiłem od wiejskiego chłopca. Konik jest oczywiście dla mojego Lea, piesek ma należeć do Dodo. Nie wiem, czy będą już potrafili się nimi bawić, ale gdy pokażesz im te zabaweczki, moja kochana Marie, powiedz im, proszę, że przesyła je ich tata. Dla Ciebie również, mój Skarbie, kupiłem piękny prezent, miał być niespodzianką, którą chciałem Ci wręczyć podczas naszego spotkania. Będę go dla Ciebie przechowywał, bo nie ufam na tyle naszej poczcie, żeby Ci go przesłać.

Całuję Cię i ściskam, moja słodka Żono. Gdy czytam listy od Ciebie, Twój obraz staje mi przed oczami i towarzyszy mi w czasie moich nocnych marzeń, gdy nasze dusze

i ciała są zjednoczone.
Kochający Paul

Marie złożyła list z lekkim westchnieniem i włożyła go do skórzanej teczki, którą kupiła specjalnie na listy od Paula. W każdej wolnej minucie zaglądała do tej teczki, sięgała po niektóre z listów i czytała je ponownie. Dawało jej to poczucie, że Paul jest blisko, wydawało się jej nawet, że słyszy, jak mówi, przypominała sobie, jak wypowiada słowa, a gdy zamykała oczy, widziała jego twarz. Ach, ten złośliwy uśmiezek, jak bardzo za nim tęskniła!

Gdyby tylko naczelne dowództwo zareagowało w końcu na jej podanie i zwolniło Paula ze służby! Tymczasem sprawa mocno się przeciągała. Mijały dni, a myśl o tym, że akurat teraz Paulowi mogłoby się stać coś złego, spędzała jej sen z powiek. Była zła na swojego teścia, że potrzebował tak dużo czasu, żeby zmienić zdanie. Johann Melzer chciał jej udowodnić, że nie będzie tańczył, jak zagra mu syn, a już na pewno nie ugnie się przed synową. Wreszcie poszedł po rozum do głowy. Kazał wybudować trzy maszyny według planów konstrukcyjnych narysowanych przez Paula, pokonano początkowe trudności i zaczęto prząść pierwsze materiały z papieru. Marie codziennie chodziła do fabryki, co niezbyt cieszyło jej teścia, żeby ocenić postęp w pracach i dopilnować jakości produkowanych tkanin. Zaczęła nawet projektować proste, ale piękne wzory, które można by na nich drukować. Było ważne, żeby materiały wyglądem zachęcały do kupna, bo musieli przecież wybić się ponad konkurencję, a firmy te miały znacznie większe doświadczenie w takiej produkcji niż oni. Tak wiele radości sprawiało jej wcielanie w życie pomysłów męża i że dzięki temu przyczynia się do przetrwania fabryki. Gdyby tylko Paul przy niej był... Ach, była zbyt niecierpliwa! Najważniejsze przecież, że znów mogła mieć nadzieję. Uraza owocująca dziwnym milczeniem między teściami została przewyciężona. Co prawda między Alicią i Johanem Melzerem w żadnym razie nie panowała czuła jedność, ale znów ze sobą rozmawiali i jedli wspólnie posiłki. Wieczorami jednak, gdy Marie i Alicia siedziały razem w salonie przy herbacie i dołączała do nich Elisabeth po zakończeniu dyżuru w szpitalu, Johan Melzer prznosił się z książką do swojego pokoju. Mówił, że w ciągu dnia ma wystarczająco dużo hałasu i gadania wokół siebie i wieczorny spokój to dla niego rzecz święta.

Na korytarzu rozległy się nagle pośpieszne kroki, również w ogrodzie zimowym coś się działo. Prawdopodobnie przyjechali pierwsi goście i Else biegła na dół, żeby wziąć od nich płaszcze. Do ilu niewygodnych rzeczy trzeba było przywyknąć, odkąd w posiadłości działał lazaret. Przy złej pogodzie goście wnosili ogromne ilości błota do zimowego ogrodu. I oczywiście dzisiaj, gdy urządzano małe rodzinne święto, musiała dawać się we znaki ta paskudna jesienna aura.

– Łaskawa pani!

Auguste cicho otworzyła drzwi i zajrzała przez szparę.

– Już jestem gotowa, Auguste. Kto przyjechał?

– Baron von Hagemann i jego małżonka, łaskawa pani. A teraz podjechał samochód dyrektora Bräuera.

– Już schodzę na dół. Czy w kuchni wszystko jest gotowe?

– Pani Brunnenmayer wyzywa jak zawsze i strofuje biedną małą Hannę. Else skarży się, że też musi pomagać w kuchni.

– Powiedz jej, że ma rozstawić kojec szczebelkowy dla bliźniaków w czerwonym salonie. Mama chciałaby, żeby tam były, gdy będzie podawana mokka.

– Przekażę jej, łaskawa pani.

Auguste wyglądała dzisiaj szczególnie korzystnie, włożyła nawet świeżo wykrochmalony czepek. Od dłuższego czasu w willi nie organizowano żadnego przyjęcia, nawet Boże Narodzenie świętowano skromnie i w ciszy. Teraz jednak zupełnie niespodziewanie Alfons, mąż Kitty, przyjechał na dziesięć dni na przepustkę i zdecydowano, że urodziny Alicii, które w zeszłym roku były obchodzone bez żadnego rozgłosu, w tym roku będą świętowane w rodzinnym gronie. Oczywiście w takim zakresie, w jakim było to możliwe w obecnych warunkach.

Marie odłożyła teczkę do szuflady i zamknęła ją. W pokoju dziecięcym mały Leo pojękiwał, niezadowolony, że jego siostra potrafi już podciągnąć się przy drewnianych szczebelkach łóżeczka i staje na chwilę, a jemu się to jeszcze nie udawało. Za to na jego okrągłej główce wysiała się już delikatna zapowiedź loczków w kolorze złotawym, a brak włosów u Dodo kamuflowano koronkową czapeczką.

– Nakarmione, przewinięte i gotowe na wszystko – powiedziała wesoło Rosa, gdy Marie weszła. – Jak znam pani teściową, napcha swojego ukochanego Lea wszelkiego rodzaju smakołykami.

– O tak, będzie ciasto – westchnęła Marie i podniosła swoją córeczkę z kojca.

Mała śmiała się i pokazywała przy tym cztery śnieżnobiałe ząbki, które niedawno jej wyrosły. Dodo prawie zawsze była pogodna, prawdziwa wybranka losu, iskierka radości – jak wszyscy mówili. Leo, dziedzic, potrafił być uroczy, ale najwyraźniej tylko wtedy, gdy uważał to za konieczne. Przez większość czasu był niezadowolony, marudził w nocy, gdy wychodziły mu zęby, chciał być ciągle brany na ręce, gdy był głodny, bolał go brzuch, miał katar albo gorączkę.

– Niech pani idzie na dół, łaskawa pani – powiedziała Rosa. – Przyniosę dzieci przed deserem do czerwonego salonu.

Marie zsadziła Dodo z kolan i zeszła schodami na pierwsze piętro. Panował tam rozgardiasz typowy podczas witania przychodzących gości. Elisabeth wpadła na Marie, biegnąc bez tchu na górę, bo aż do tej chwili pracowała w szpitalu i musiała się teraz szybko przebrać.

– Czy Else wyprasowała moją sukienkę, Marie?

– Zniosłam ją jej wczoraj wieczorem. Nie musisz aż tak bardzo się śpieszyć, Liso. Mama i tata już są w zimowym salonie, ja też schodzę właśnie na dół, żeby powitać gości. Przebierz się spokojnie.

– Dziękuję, Marie. Prawdziwy z ciebie skarb.

Auguste przeszła pośpiesznie obok Marie, niosła wilgotne płaszcze, żeby je wysuszyć. Po schodach dla służby zeszła Hanna z zaczerwienionymi policzkami

i przerażeniem w oczach, ubrana w czarną sukienkę, którą podarowała jej Marie, z białym koronkowym kołnierzykiem, a na włosach miała miękki biały czepeczek. Dzisiaj pierwszy raz miała obsługiwać gości i była strasznie zdenerwowana.

– Pamiętaj o tym, żeby powoli nalewać wino, Hanno. I nie rób takiej miny, dziewczyno. Wiem przecież, że potrafisz to zrobić.

– Tak, łaskawa pani. Dam z siebie wszystko.

W ogrodzie zimowym podano szampan, który, przy męczącej pogodzie, został bardzo miło przyjęty. Tylko Gertrude Bräuer, teściowa Kitty, oznajmiła, że wolałaby wypić szklaneczkę grzanego wina. Prezenty zostały wręczone i położone na stoliku, stojącym przed regałem z książkami. Składano życzenia Alicii w jej szczególnym dniu, obejmowano się albo podawano sobie rękę – w zależności od stopnia rodzinnej zażyłości. Marie musiała przezwyciężyć urazę, by przywitać się serdecznie z małżeństwem von Hagemannów. Od dawna wiedziała, że ci dwoje uważali ją za przyczynę oburzającego mezaliansu. Marie jednak, z powodu tragicznych okoliczności w życiu jej rodziców wychowana w sierocińcu, już w dzieciństwie nauczyła się radzić sobie z pogardą okazywaną jej przez innych i umiała zachować pozory. Znacznie życzliwiej przywitali ją Gertrude i Edgar Bräuerowie. Oboje byli przeszczęśliwi, że mają swojego jedyne go syna Alfonsa przez kilka dni w bezpiecznym Augsburgu.

– Tylko gdzie oni są? – denerwowała się Gertrude Bräuer. – Ach, ci młodzi ludzie! Odkąd Alfons jest w Augsburgu, prawie go nie widzimy! Cały czas siedzi przy swojej młodej żonie. A w słodkiej Henni jest bezgranicznie zakochany!

– To jest przecież zupełnie naturalne – powiedziała Alicja. – Młodzi ludzie mają swoje życie, a my starsi musimy to zaakceptować, prawda, Johann?

Johann Melzer był dzisiaj w wyjątkowo dobrym humorze. Zażyczył sobie szampana i zachowywał się naprawdę wzorowo.

– Wcale mnie nie dziwi, że nasz dobroduszny Alfons utknął przy mojej córce Kitty – zażartował. – Muszą przecież dorobić się dziedzica.

– Ależ Johann – skarciła go Alicja z lekkim zakłopotaniem.

– Słuchajcie, słuchajcie! – zaśmiał się Edgar Bräuer.

Christian von Hagemann również wydawał się rozbawiony, a Riccarda von Hagemann, popijając szampana, oglądała w zamyśleniu weneckie szkła poustawiane na regale z książkami. Gertrude Bräuer, która nigdy nie przebierała w słowach, stwierdziła, że na coś takiego nie potrzeba przecież całego dnia, można to załatwić w pięć minut. Po tych słowach Riccarda von Hagemann utkwiała wzrok w suficie. Pożartowano jeszcze chwilę, pijąc kolejny kieliszek szampana, a potem przywitano wielebnego Leutwiena, który przyszedł później, bo odprawiał wieczorną mszę.

– Kieliszeczek szampana, wielebny?

– Chętnie, drogi przyjacielu. Wino mszalne ciąży mi na żołądku niczym ołów.

Riccarda von Hagemann stwierdziła, że ksiądz nie pije przecież wina, tylko krew Chrystusa, co wielebny przyjął do wiadomości, kiwając głową. Zaraz potem zapytał o rozwój kariery ich syna Klause, bo, jeśli się nie mylił, niedawno został mianowany majorem.

– Nasz Klaus podtrzymuje rodzinną tradycję walki w imię honoru, wielebny. Jak

wielebny wie, moi obaj bracia oraz czterej kuzyni służyli jako oficerowie w armii jego cesarskiej mości. Nasze niezapomniane zwycięstwo nad naszym arcywrogiem Francją w roku Pańskim siedemdziesiąt na siedemdziesiąt jeden to w znacznym stopniu zasługa von Hagemannów.

Wymieniała dalej swoich godnych chwały krewnych, nie wspomniała natomiast o mężu, gdyż kariera oficerska Christiana von Hagemanna szybko się skończyła z powodu pewnego nieszczęsnego skandalu. Wiedział o tym Leutwien, który ochoczo przytakiwał jej wywodowi i zachował dyskrecję.

Na stolik karciany Marie powycinała urocze serduszka z białego kartonu i ozdobiła je rysunkami i napisami. Edgar Bräuer uznał je za godne podziwu i z zachwytem stwierdził, że Marie z pewnością wniosła do rodziny ogromny talent artystyczny. Christian von Hagemann przytaknął w zamyśleniu i dodał, że nie każda kobieta jest tak mądra.

– Łaskawa pani – zameldowała się Auguste i ze względu na gości dygnęła elegancko. – Pani Kitty Bräuer i jej mąż właśnie przyjechali.

– To wspaniale – ucieszyła się Alicia. – W takim razie poczekajmy z serwowaniem zupy, aż i oni zajmą swoje miejsca.

Jeszcze nigdy Kitty nie wyglądała tak pięknie, pomyślała Marie. To, że troszkę przytyła, świetnie jej zrobiło. Wygląda bardziej ziemsko, jak istota z tego świata, a nie jakaś wyśniona wróżka. I była szczęśliwa, to było widać po jej zaróżowionej promiennej twarzy. Jak cudownie. Kitty poślubiła tego miłego, trochę niezdarnego mężczyznę tylko dlatego, że straciła dobre imię po ucieczce z tamtym Francuzem. Ale najwyraźniej z wdzięczności narodziła się miłość.

– Mamusiu! – krzyknęła Kitty i wyciągnęła obie ręce do matki. – Daj mi się mocno przytulić moja naj, naj, najdroższa mamó! Jesteśmy ponad miarę błogosławieni, że mamy tak kochaną, czułą, nadopiekuńczą i wciąż śliczną jak obrazek mamę. Powiedz no, ile dzisiaj kończysz lat? Nie? Cóż, to może być najwyżej trzydzieści lat. No dobrze, trzydzieści jeden. Ale nie więcej. Mów, co chcesz, i tak nikt ci nie uwierzy.

Biegła przez pokój, żeby rzucić się mamie w ramiona, i prawie przewróciła przy tym Hannę, która wchodziła, niosąc zupę w wazie. Alfons Bräuer szedł za swoją żoną, uśmiechał się do brodatnie, jak to miał w zwyczaju czynić w kręgu rodzinnym, i też pozwolił sobie uściskać jublejkę. Bardzo schudł, zauważyła Marie. Jego twarz, dawniej zaróżowiona, teraz była dziwnie szara, a skóra wyglądała na zwiotczałą.

– Jak to dobrze znowu tutaj być – powiedział. – Co za szczęście, że mogę brać udział w twoich urodzinach.

Kitty przywitała się z resztą gości, rozdawała całusy i uściski, opowiadała dziwne rzeczy o głupiej mamce, która nie karmi Henni na czas, o nieudanej rzeźbie z marmuru i wreszcie o lazarecie, który był winny temu, że wchodząc po schodach do ogrodu zimowego, zniszczyła sobie już dwie suknie, spódnice i parę nowiutkich butów.

– Gdyby Jordan nie była taka biegła w szyciu, musiałabym chyba chodzić nago!

– Kitty – przerwała jej Elisabeth. – Weź się, proszę, wreszcie w garść!

Podczas gdy Hanna w wielkim skupieniu nalewała zupę, Marie dowiedziała się, że Maria Jordan trzy razy w tygodniu zajmowała się szyciem w willi.

– Ach – ocknęła się nagle Riccarda von Hagemann, unosząc prawą brew. – A czy ona nie ma dość zajęć przy tobie, Elisabeth? Ty przecież koniecznie chciałaś zatrudnić tę kobietę jako pokojówkę, prawda?

Elisabeth rzuciła Kitty gniewne spojrzenie i wyjaśniła, że obecnie więcej czasu spędza w posiadłości rodziców niż we własnym mieszkaniu.

– Oczywiście, z powodu twojej ofiarnej pomocy niesionej naszym biednym rannym – odpowiedziała Riccarda von Hagemann.

Alicia dodała, że jest bardzo szczęśliwa, iż mogła zatrudnić Marię Jordan jako szwaczkę w willi. Uszyła dla bliźniaków bardzo ładne kubraczki, a jej samej przerobiła suknię.

– Dzisiaj dobra krawcowa jest na wagę złota – wtrąciła się Gertrude Bräuer.

– Oczywiście – przytaknęła Riccarda von Hagemann. – Z tego, co słyszałam, również nasza Marie ma szczególny talent do szycia. Nie szylaś wcześniej ubrań dla Kitty i Lisy?

Marie poczuła, że przy stole zrobiło się teraz cicho i wszyscy zwrócili wzrok na nią. Ta złośliwa stara jędza. Johann Melzer, który dotychczas był pogrążony w rozmowie z wielebnym Leutwienem, odłożył łyżkę do zupy i zmierzył Riccardę von Hagemann długim, nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Co się tyczy szycia – powiedział głośno – chciałbym coś w tej kwestii oznajmić. To, że moja synowa Marie jest niezwykłą i utalentowaną młodą kobietą, mogę jedynie potwierdzić. Z całym należnym szacunkiem. Niedawno wyjaśniła mi, jak działa maszyna do produkcji przędzy papierowej. To jest prawdziwa córka mojego dawnego partnera Jacoba Burkarda, bez którego nie byłoby fabryki Melzerów.

Spojrzał na Marie, która zdumiona i jednocześnie poruszona tym nieoczekiwanym podaniem pomocnej dłoni przez teścia nie potrafiła wydusić słowa. Kontynuował więc swoją przemowę, podkreślając determinację kobiet we współczesnym świecie. Zawsze był przeciwny działaniom sawantek i sufrażystek, ale kobieta, która posiada tak wyjątkowy talent, powinna otrzymywać wykształcenie. Żaden kraj nie może sobie obecnie pozwolić na marnowanie takich umiejętności. Zwłaszcza teraz, gdy tylu młodych mężczyzn zostało bezsensownie złożonych w ofierze na polach bitew.

– Pięknie i honorowo umiera się za własną ojczyznę!

Christian von Hagemann wypowiedział to zdanie gromkim głosem. Cały czerwony z oburzenia, patrzył na Melzera niczym na zbuntowanego podwładnego. Teść Marie milczał, bo nie spodziewał się tak gwałtownego sprzeciwu. Za to odezwał się teraz Alfons Bräuer.

– Mój drogi Christianie, z pewnością przy tym stole nie siedzi nikt, kto nie wspierałby naszej niemieckiej ojczyzny. Ale biorąc pod uwagę, jak przebiega ta wojna, nie mogę się z tobą zgodzić. To, co dzieje się na polach bitewnych czy w okopach, nie ma nic, ale to nic wspólnego z honorem czy bohaterską śmiercią.

Chciał mówić dalej, ale powstrzymał się ze względu na kobiety siedzące przy stole. Podniósł jedynie kieliszek i przepił do swojego teścia.

– Nie skomentuję tych słów, drogi Alfonsie – odpowiedział von Hagemann. – Widzę, że nadwerżyłeś swoją kondycję psychiczną, co niestety zdarza się nierzadko

wśród młodych mężczyzn, którzy nie znali wojskowego drylu, prowadzili zniewieściałe życie zwykłego mieszczanina. Wojna, drogi Alfonsie, to trudne zadanie, wymaga zdrowego ducha w zdrowym ciele, siły woli i dyscypliny. Tylko dzięki tej dyscyplinie niemiecka armia dominuje nad wszystkimi innymi w świecie.

Podczas tej przemowy coraz bardziej podnosił głos, a towarzyszyło temu coraz mocniejsze zaczerwienienie twarzy i szyi. Uniósł podbródek i rozglądał się wokół, by sprawdzić, czy ktoś jeszcze ośmieli mu się przeciwstawić. Johann Melzer odchylił się na krześle, żeby Hanna mogła zabrać jego pusty talerz, Alfons Bräuer patrzył prosto przed siebie. Wydawało się, że ma coś na języku, ale najwyraźniej zdecydował, że w dniu urodzin teściowej nie wywoła rodzinnej kłótni. Kitty jednak o tym nie pomyślała.

– Zabawne – powiedziała, ocierając usta białą, wykrochmaloną serwetką. – Skoro jesteśmy tacy niepokonani, to dlaczego jeszcze nie zwyciężyliśmy? Nie potrafię tego pojąć, drogi Christianie. Ale to z pewnością dlatego, że jestem tylko kobietą. Wyobraź sobie, że naprawdę wierzyłam, iż ta głupia wojna zakończy się po trzech miesiącach. A mijają już dwa lata, odkąd się zaczęła.

Von Hagemann zdenerwował się wcale nie mniej niż wcześniej tym naiwnym kobiecym gadaniem, ponieważ musiał – bo przecież nie mógł zamknąć Kitty ust albo jej zupełnie zignorować – odpowiedzieć jej, zachowując pełną uprzejmość.

– Powody są, moja droga Kitty, bardzo różne i trudne do uchwycenia dla kobiety. Należy posiadać wiedzę wojskową, by to pojąć.

– Z całą pewnością masz rację – odpowiedziała Kitty, przysuwając się do swojego męża, który z wielkim zadowoleniem przyjął jej dotyk. – Sądzę, że jest tak: gdy bitwa kończy się klęską, bardzo łatwo to wyjaśnić. Jeśli plan nie wypalił, to znaczy, że był bardzo skomplikowany i każdy w niego zaangażowany jest zdania, że to wina tego drugiego. Prawda, tato?

Po tych słowach zapadło kłopotliwe milczenie, von Hagemann zmusił się do pobłażliwego uśmiechu, a Johann Melzer skrzywił się.

– Moi drodzy goście – Alicia przerwała niefortunna ciszę. – Mam przyjemność przedstawić dwie osoby, które przyszły złożyć mi gratulacje. Doktor Greiner i jego kolega doktor Moebius uczynili mi ten zaszczyt, że zgodzili się przyjść do nas na godzinkę z dyżuru w naszym szpitalu.

Panowie podnieśli się, żeby powitać nowo przybyłych. Nie mogli oni pojawić się w lepszym momencie, bo Riccarda von Hagemann już otwierała usta, żeby stanąć po stronie męża. Teraz jednak rozmowa o konieczności i bezsensie wojny się skończyła, Else i Auguste wniosły dodatkowe krzesła, a Hanna przyniosła nakrycia. Razem z lekarzami przyszła też Tilly, która również miała dyżur w lazarecie.

– Droga ciociu, życzę ci szczęścia i pomyślności – powiedziała Tilly i ucałowała Alicię w oba policzki. – I nie miej mi za złe, ale nie zdążyłam się przebrać.

Miała na sobie prostą granatową sukienkę z bawełny, zdjęła jedynie biały fartuch. Jej buty też nie były odpowiednie na przyjęcie. Kitty zapewniła ją jednak, że doskonale się prezentuje w takim stroju, bo kolor sukienki świetnie kontrastuje z jej blond włosami.

– A tak w ogóle uważam, że ostatnio jakoś tak... wydorostałaś – świergotała Kitty i spojrzała na Elisabeth, która najpierw zmarszczyła czoło, a potem przytaknęła. –

Zmieniasz się w uwodzicielską piękność, moja droga – zaśmiała się Kitty. – Siądź koło mnie, Tilly. Nie masz powodu, żeby się czerwienić, prawda, Marie? Tilly ma coś z urody małej syrenki. Nie chciałabyś być moją modelką, Tilly? Namalowałabym cię, jak siedzisz na skale, z rozpuszczonymi włosami i ogonem na tle ciemnoniebieskiego nieba.

Tilly była nieco zakłopotana liczbą komplementów, a przede wszystkim irytował ją gorący wzrok, którym obdarzał ją młody lekarz, doktor Moebius, siedzący po przekątnej, jednocześnie odpowiadając uprzejmie na pytania Gertrude Bräuer dotyczące jej bólu pleców i spoglądając po innych młodych kobietach siedzących przy stole. Z pewnością wpatrywał się przede wszystkim w Kitty, bo to ona zawsze ściągała na siebie uwagę młodych mężczyzn. Marie zauważyła jednak, że częściej przygląda się właśnie Tilly Bräuer, wydawało się też, że słuchał, co mówiła.

Bez wątplenia jest atrakcyjnym mężczyzną, pomyślała Marie. Szare oczy, które przy jego kruczoczarnych włosach wydawały się bardzo jasne, piękny zarys brwi, prosty nos, ładna, zadbana broda. Szczupłe dłonie jak u artysty. Elisabeth opowiadała, że jest niesamowicie zdolnym chirurgiem.

Przed głównym daniem Johann Melzer wstał, żeby wygłosić krótkie przemówienie. Był to obowiązek, którego nie wypełniał z przyjemnością, bo teraz ich małżeństwo nie należało do harmonijnych, choć z pewnością nikt tego nie zauważył. Marie musiała dotknąć ramienia Hanny, w przeciwnym razie, przez nadmiar emocji, nie napełniłaby w porę kieliszków gości.

– Pozwólmy sobie więc pomimo wojny i wszelkich zawirowań unieść kieliszki i wznieść toast urodzinowy. Oby było jeszcze wiele okazji do świętowania tak radosnych uroczystości w tej posiadłości. Za lepsze czasy, czasy pokoju!

Wypito za zdrowie Alicii, potem za cesarza i wreszcie za silnie doświadczoną ojczyznę. Oraz za zwycięstwo niemieckiej armii na Wschodzie i Zachodzie.

– Za zbawienny pokój i szczęśliwy powrót do domu naszych żołnierzy – powiedział wolebny Leut-wien prosto z serca.

Marie zamknęła oczy, żeby zobaczyć uśmiechniętą twarz Paula i wypić toast razem z nim. Wkrótce, pomyślała. Już niedługo będziesz tutaj ze mną.

– Za pokój po zwycięstwie – dodał Christian von Hagemann. A Kitty powiedziała, że to obojętne: zwycięstwo czy klęska, najważniejsze, żeby wojna jak najszybciej się skończyła.

– Ma pani całkowitą rację, pani Bräuer – poparł ją doktor Moebius i zdyskredytował tym samym słowa von Hagemanna. – Ta wojna pochłania zbyt wiele ludzkich istnień. Jeden z moich kolegów powiedział, że łatwiej byłoby samemu zaciągnąć się do armii, niż nieustannie konfrontować się ze strasznymi skutkami wojny. Jako lekarz zbliża się już do granic swoich możliwości.

Auguste pomagała Hannie podawać główne danie, które składało się z czerwonej kapusty i pieczonej gęsi – von Maydornowie z okazji urodzin Alicii przysłali paczkę z żywnością. Mądrze, że nie powierzyli tej drogocennej przesyłki obsłudze pociągu, tylko przekazali znajomemu, który podróżował do Monachium powozem konnym. W czasie

posiłku rozmowy zamilkły. Nawet małżeństwo Melzerów zajęło się bez reszty jedzeniem pieczonej gęsi. Obaj lekarze i wielebny energicznie zabrali się do wieczerzy.

– W dzisiejszych czasach takiego dania z drobiu nie widzi się zbyt często na talerzu – powiedział z uznaniem doktor Greiner. – A przygotowanie! Mogę tylko powiedzieć – coś absolutnie wykwintnego. Wielkie gratulacje dla pań kucharek!

Hanna, która stała przy drzwiach i czekała na instrukcje, dygnęła uprzejmie, można powiedzieć, że w imieniu wszystkich osób pracujących w kuchni.

Rozmowy zeszyły teraz na tematy codzienne, opowiadano o dzieciach, chwalono wystąpienia grupy śpiewającej pieśni, a doktor Greiner sypał jak z rękawa anegdotkami z jego – dawno minionego – studenckiego życia. Potem Alicia zaprosiła gości do czerwonego salonu na deser i kawę. Panowie mieli do dyspozycji pokój, w którym można było palić, ale dotrzymać towarzystwa panu domu zdecydowali się jedynie doktor Greiner, Edgar Bräuer i Christian von Hagemann. Wielebny, doktor Moebius oraz Alfons Bräuer postanowili zostać z kobietami, zwłaszcza że obie mamki przyniosły teraz dzieci. Dodo była pogodna jak zawsze, Leo trochę rozdrażniony, bo właśnie go obudzono, a pięciomiesięczna Henriette rozglądała się wielkimi, zdumionymi oczami. Jej ojciec wziął ją na kolana i nie oddał nikomu przez cały wieczór.

– A co tam dziedzić – śmiał się, gdy mała zostawiała odciski na jego okularach swoimi małymi paluszkami. – Chciałbym mieć jeszcze co najmniej dwie takie słodkie dziewczynki. Byłyby tak zachwycające jak moja Kitty. Potem może się urodzić oczywiście także i chłopiec.

– Na miłość boską! – jęknęła Kitty. – Miałabym jeszcze trójkę dzieci wydać na ten świat? Moja figura i tak już jest zrujnowana!

– Co za brednie gadasz, mój skarbie. Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek.

Marie spojrzała na Elisabeth, która tak czule bawiła się z Dodo. To było przykre, że właśnie Elisabeth jako jedyna nie może zająć w ciążę. Lea, jak łatwo było przewidzieć, rozpieszczała teraz babcia.

– Mamo, proszę cię – zawołała Marie. – Leo nie powinien zjeść więcej niż jeden kawałek babki!

– Ale dzisiaj są moje urodziny i to ciasto tak bardzo smakuje mojemu chłopczykowi.

Tilly przyciszonym głosem dyskutowała z doktorem Moebiusiem. Mówiła z poważną miną i patrzyła na niego wielkimi oczami, jakby czekała na jego decyzję. Prawdopodobnie rozmawiali o którymś z pacjentów, pomyślała Marie. Jaka ta Tilly była pełna entuzjazmu i jak rzetelnie wypełniała swoje obowiązki!

– Czy ty to widzisz? – szepnęła jej do ucha Kitty. – Wyraźnie na coś się tutaj zanosi. Założę się o moje najlepsze zimowe futro, że nasza mała Tilly jest zakochana w doktorze Moebiusie!

– Och, Kitty – westchnęła Marie.

– Tak właśnie jest, Marie. Lisa też to powiedziała. Obserwowała tych dwoje podczas pracy w szpitalu.

Około dziewiątej pożegnali się pierwsi goście. Małżeństwo von Hagemannów życzyło wszystkim miłego wieczoru, również wielebny Leutwien i doktor Greiner

poprosili panią domu o wyrażenie zgody na opuszczenie towarzystwa.

– W naszym wieku potrzebuje się już stosownej dawki snu – zażartował doktor Greiner, przez którego już wyraźnie przemawiało wypite wino. – Moje panie... panie dyrektorze... to była dla mnie wielka radość i naprawdę szczególna przyjemność. Droga do domu w towarzystwie osoby duchownej może oczyści mnie z grzechu obżarstwa i pijaństwa.

Doktor Moebius też musiał wyjść, czekał go nocny dyżur w lazarecie. Za dwie godziny dołączy do niego Elisabeth, która również dzisiaj miała dyżur. Okazała się naprawdę rozważną pielęgniarką, która nawet w trudnych sytuacjach zachowywała zimną krew. Niewielu spodziewało się tego po Lisie.

– Odpakowałam już wszystkie prezenty, mam?

– Nie wiem.

W czerwonym salonie znów zrobiło się wesoło, bo Auguste przyniosła tam resztę prezentów. Alicia rozpakowywała je pośród ciekawskich spojrzeń pozostałych gości. Od ścian odbijały się radosny śmiech, okrzyki zachwytu i głupiutkie chichoty. Alicia dostała pięknie haftowane chusteczki, jedwabną wieczorową torebkę, kilka małych broszek wysadzanych kamieniami szlachetnymi i różnego rodzaju figurki i bibeloty. Ukoronowaniem prezentów był czarny chłopiec z przepaską na biodrach siedzący na krokodylu jako przycisk do papieru.

– Dobry Boże – jakie to paskudne!

– Nie, jakie słodkie! Dlaczego mnie nikt takiego nigdy nie dał?

– Cóż, możesz go wysłać na święta ciotce Helenie.

Marie się zaśmiała. To był jednak naprawdę udany wieczór.

Edgar Bräuer i Johann Melzer siedzieli w pokoju dla panów, sączyli kawę naprzemiennie z francuskim koniakiem, który Alfons przyniósł w prezencie. Obaj mężczyźni znali się od lat, łączyły ich wspólne interesy i teraz Melzer otrzymał pożyczkę z banku Bräuera, żeby zapłacić za budowę nowych maszyn.

– I? Jak się sprawy mają?

– Dobrze – odpowiedział Melzer. – Pierwsze bele są już gotowe do transportu. Teraz będziemy udoskonalać materiał i drukować na nim wzory. W tym celu musimy wykonać nowe walce grawerujące, bo stare wzory nie pasują do papierowych materiałów.

Bräuer przytaknął z zadowoleniem i sięgnął po zalecane mu ziółka. Babką obaj wzgardzili, ale po serduszka cukrowe sięgali z przyjemnością. Melzer wyjaśniał entuzjastycznie, że rynek produktów wykonywanych z papierowego materiału rozwija się niezwykle dynamicznie, można z niego, oczywiście w zależności od jakości materiału, uszyć prawie wszystko. Od pieluch poprzez gorsety po mundury, plecaki, maski przeciwgazowe dla koni. Prać tych rzeczy niestety nie można, należy je jedynie otrzepywać. Ale jest szansa na dalsze udoskonalenie.

– Słyszałem, że teraz nawet jeńcy wojenni pracują w fabryce.

– To prawda – odpowiedział Melzer.

Są takie prace do wykonania, z którymi kobiety i starsi mężczyźni po prostu nie są

w stanie sobie poradzić, przede wszystkim podnoszenie walców do papieru i przenoszenie ciężkich bel papierowego materiału. Na dole przy maszynie parowej też lepiej byłoby postawić kilku młodych dryblasów niż tych siwobrodych chudzielców. Irytujące jest tylko to, że trzeba ich żywić, a chłopaki żrą jak te szczury.

– Poza tym ciągle ma się na karku ich strażników, żołnierzy z frontu ojczyźnianego, którzy pilnują, żeby żaden z więźniów nie uciekł. Śpią na szczęście nie tutaj, tylko w fabryce maszyn, razem z innymi.

Bräuer kiwnął głową w zamyśleniu i milczał chwilę. Potem przechylił się w fotelu i spojrzał na drzwi, żeby się upewnić, czy ktoś ze służby ich nie podsłuchuje.

– Słuchaj no, Johann – wyszeptał. – Cieszę się, że twoja fabryka się odbudowuje. U mnie niestety nie jest zbyt dobrze.

Melzer spojrzał na niego niepewnie. Coraz częściej docierały do niego plotki, że istnienie banku Bräuerów jest zagrożone. Nie było to nic dziwnego, wiele banków wpadało teraz w kłopoty, wojna pochłaniała cały państwowy kapitał, nie prowadzono transakcji zagranicznych, a gospodarka wewnątrz krajowa była rozłożona na łopatkach.

– Będzie znów dobrze – powiedział Melzer i poklepał pocieszająco po ramieniu Edgara Bräuera. – Gdy tylko się skończy ta przeklęta wojna.

Maria Jordan rozłożyła na łóżku suknię wieczorową z jasnoniebieskiego jedwabiu, by ocenić, które szwy powinna rozpruć. Materiał był delikatny i drogi – prawdziwy chiński jedwab. Takiego obecnie nie da się kupić. Co za szczęście, że młoda pani von Hagemann nie przytyła, tylko wręcz schudła, bo poszerzyć sukni by się już nie dało. Natomiast zwężenie było jedynie kwestią dobrego wymierzenia i wprawnego posługiwania się igłą. Usiadła na krześle przy oknie, wzięła nożyk krawiecki i zaczęła rozpruwać szwy w talii. W pokoju było zimno, na zewnątrz hulał ulicami listopadowy wiatr, a w piecu oczywiście było pusto. Maria Jordan nałożyła na bluzkę własnoręcznie uszytą wełnianą kurtkę, ale to nie ogrzało zimnych dłoni. Trudno było pracować zdrętwiałymi palcami, zwłaszcza gdy szło się jedwab, gdyż nawet najdrobniejszą nierówność na tej tkaninie było od razu widać na figurze.

– Gertie! – usłyszała w pokoju obok. – Co ze śniadaniem?

Młoda pani von Hagemann wyjątkowo spędzała dwa dni i dwie noce w swoim mieszkaniu i – ku ich zdumieniu – zapłaciła nawet zaległe wynagrodzenia pomocy domowej i pokojówce. Były również pieniądze na utrzymanie domu i zamówiła węgiel na zimę. Wczoraj po południu, gdy Maria Jordan szła w posiadłości, Auguste zdradziła jej w zaufaniu, skąd pochodzą te pieniądze. Elisabeth von Hagemann przeprowadziła rozmowę ze swoim szwagrem Alfonsem i ten pożyczył jej pewną kwotę. Ale cóż, Alfons Bräuer wrócił na front, więc von Hagemannowie niebawem znów nie będą mieć pieniędzy.

– Przykro mi, łaskawa pani – pisnęła Gertie – ale zawsze mam poparzone palce, gdy robię kawę. A chleb jest tak twardy, że można sobie złamać rękę, gdy się go kroi.

Niefortunnie się tłumaczy, pomyślała Maria Jordan i uniosła suknię, żeby sprawdzić, jak daleko jeszcze ma rozpruć szew. To staromodna kiecka – stwierdziła beczelnie Kitty Bräuer podczas swojej ostatniej wizyty. Elisabeth powinna sobie uszyć coś nowego, magazyny modowe, które prenumeruje, pokazują, że modne są już zupełnie inne kolory i krój. Jeśli Elisabeth by chciała, ona mogłaby jej pożyczyć...

– Na miłość boską, Gertie! – zdenerwowała się łaskawa pani. – Dlaczego pozwoliłaś, żeby chleb tak stwardniał? Wkłada się go przecież do lnianego woreczka i przechowuje w chlebaku.

Maria Jordan potrafiła sobie dość dobrze wyobrazić, jak Gertie z niewinną miną unosi teraz ramiona i udaje, że słyszy o tym po raz pierwszy.

– Wybacz mi, łaskawa pani. To wynika najpewniej z tego, że nie mamy tutaj kucharki, gdyby była, nic takiego by się nie stało.

Młodą panią von Hagemann z pewnością zezłościłaby ta beczelna odpowiedź, zwłaszcza gdyby Gertie dodała, że została tutaj zatrudniona jako pomoc domowa, a nie jako kucharka. Nie pozwoliła sobie jednak na takie słowa. Słychać było trzask drzwi prowadzących na korytarz, Gertie najpewniej została odesłana do kuchni. Przez chwilę było zupełnie cicho. Maria Jordan zebrała zmarzniętymi palcami resztę jedwabnych nici,

pocierając ręce o wełnianą kurtkę. Jeśli szybko nie dostarczą węgla, można by rozpaścić w piecu tę starą ławkę kuchenną, nadjedzoną przez robactwo i prawie się rozpadającą.

– Maria?

– Tak, łaskawa pani, już idę.

Och, jakże nienawidziła, gdy ktoś jej przeszkadzał, gdy była zajęta pracą. Musiała odłożyć nożyczki, poduszeczkę z igłami, taśmy, materiał i całą resztę. Potem znów będzie trochę trwało, zanim to wszystko sobie dobrze poukłada i będzie mogła dalej pracować.

Elisabeth von Hagemann siedziała przy stole i jadła śniadanie, które składało się z chleba, substytutu masła, marmolady, małego kawałka sera i kawy z żołądźmi. Nie była w najlepszym humorze. Być może miało to związek z listem z frontu, który leżał złożony obok talerza ze śniadaniem i którego początkowo Maria Jordan nie zauważyła. List musiał być chyba dość krótki, zresztą major nie lubił romantycznych wyznań.

– Jak ci idzie praca nad moją wieczorową suknią, Mario?

– Zaczęłam właśnie rozpruwać szwy, łaskawa pani.

– Świetnie, potrzebuję jej na przyszły tydzień. Razem z moją siostrą idziemy do opery.

Maria Jordan wiedziała o tym od dawna. Kitty Bräuer śmiertelnie się nudziła, odkąd jej mąż wrócił na front, chodziła na przedstawienia wystawiane przez towarzystwo charytatywne, do opery, a nawet, co Else powiedziała jej w wielkim zaufaniu, była na spotkaniu socjalistów. W towarzystwie swojej teściowej! Od dawna już jednak wszyscy wiedzieli o poglądach Gertrude Bräuer. Pochodziła z bardzo skromnej rodziny, jej ojciec pracował w sklepie kolonialnym. Niewiarygodne było natomiast to, że ta kobieta zaciągnęła na spotkanie socjalistów córkę właściciela fabryki tekstylnej.

– Jestem przekonana, że ta przeróbka się opłaci, łaskawa pani. Będzie pani wyglądać w tej sukni zachwycająco.

Elisabeth nie miała nastroju na komplementy, skinęła tylko od niechcienia i powiedziała Marii, że dostawca zapowiedział dowóz węgla na dzisiejsze popołudnie, powinna więc pilnować pukania do drzwi. Węgiel musi zostać wniesiony do piwnicy, klucz wisiał na haku obok futryny.

– I niech pani dobrze zamknie drzwi, Mario. Wie pani, że nocami węgiel lubi rozpływać się w powietrzu.

Maria Jordan zdążyła się przyzwycząić, że zleca się jej dużo zajęć, które nie należą do pracy pokojówki. Nie pozostawało jej jednak nic innego jak tylko akceptować to w milczeniu. Z wynagrodzenia za kilka godzin szycia tygodniowo nie byłaby w stanie przeżyć.

– Oczywiście, łaskawa pani. Będzie pani dzisiaj nocować w mieszkaniu czy zostaje pani w posiadłości rodziców?

Elisabeth znowu zagłębiła się w lekturze listu z frontu, czytała te kilka linijek ze zmarszczonym czołem, aż w końcu spojrzała rozkojarzona na Marię Jordan.

– Słucham? Ach, to. Nie, następne dwie noce spędzę w willi. Mam nocne dyżury w lazarecie.

– Oczywiście, łaskawa pani.

– Teraz może pani zająć się szyciem. Potem będę potrzebowała czarnego

aksamitnego kapelusza z szerokim rondem i płaszcz. A także ochraniacza na buty, tak myślę.

Maria wróciła do sypialni, usiadła koło okna i zajęła się suknią. Właściwie nie było warto, bo znowu będzie musiała wstać, żeby podać łaskawej pani kapelusz, płaszcz i ochraniacz. Co za ponure perspektywy! Będzie męczyć się przez długie godziny z tym szyciem, potem będzie musiała biegać z brudnymi pracownikami do piwnicy z węglem, a wieczorem siedzieć sama w salonie, podczas gdy Gertie na górze, w ich wspólnej sypialni, będzie się zabawiała z Ottem. Otto był szewcem i nie został powołany do armii, bo podobno miał problemy z płucami. Choroba płuc nie osłabiła jednak jego męskich instynktów, chudy szewc każdej nocy stawał na wysokości zadania. Oczywiście jeśli wierzyć naiwnej paplaninie Gertie.

– Mario? Czekam na płaszcz i kapelusz.

– Już idę, łaskawa pani.

Po chwili było widać z okna, jak Elisabeth von Hagemann idzie ulicą i z trudem walczy z szarżującym wiatrem. Szare jesienne liście fruwały po chodniku, a pod nagim drzewkiem zebrała się zgraja podrostków, którzy coś między sobą dzielili. Może ukradli w piekarni bułkę. Maria Jordan poczuła ukłucie w sercu, gdy patrzyła, jak te niewinne istoty, obszarpane i drżące z zimna, stoją razem, żeby podzielić się skradzionym łupem. Z głodu. Co to były za czasy, co to za świat! Odłożyła suknię i poszła do Gertie do kuchni, gdzie ogień w kuchennym piecyku jeszcze się tlił i mogła sobie ogrzać ręce. Gertie spaliła tylną ścianę komody, nie było już niczego innego, co by nadawało się do włożenia do pieca.

– Dłużej tego nie wytrzymam – powiedziała dziewczyna. – Otto już wiele razy mi mówił, że powinnam zrezygnować z pracy tutaj. Przede wszystkim dlatego, że wieczność trzeba czekać na wynagrodzenie. On się zaraz ze mną ożeni, gdy stąd odejdę.

– A jesteś pewna? – zapytała Jordan i uniosła brwi ze zdziwienia.

Już wiele razy to słyszała – „on się ze mną ożeni” – a potem nic z tego nie wychodziło.

– A może postawię ci karty?

Gertie otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale w tym momencie zabrzmiał dzwonek do drzwi i Maria Jordan pobiegła, żeby otworzyć. Bogu niech będą dzięki, przywieźli węgiel! Dzisiaj wieczorem będzie siedziała w ciepłym pokoju. Gdy jednak otworzyła drzwi, stali w nich baron von Hagemann i jego małżonka. Oboje byli ciepło ubrani i zalatywało od nich naftaliną, którą stosowano przeciwko molom. Maria Jordan lekko się ukloniła i uśmiechnęła ironicznie. Jeśli państwo się spodziewali, że zostaną zaproszeni na obiad, to się przeliczyli.

– Dzień dobry, pani baronowo, panie baronie...

Riccarda von Hagemann z kamienną miną przeszła obok Marii Jordan, jak gdyby ta nie istniała. Jej mąż jeszcze stał w drzwiach, a potem westchnął i wszedł do środka.

– Dzień dobry, panno Jordan – odpowiedział z pozorną uprzejmością. – Czy moja synowa jest w domu?

– Niestety nie, panie baronie. Pani von Hagemann ma dyżur w szpitalu w willi. Spodziewamy się jej dopiero jutro.

Marię Jordan ucieszyłby wyraz rozczarowania malujący się na twarzy baronowej, ale Riccarda von Hagemann przyjęła tę wiadomość bez emocji.

– Cóż – powiedziała, przyglądając się krytycznym wzrokiem staromodnemu lustru wiszącemu w korytarzu i stojącej pod nim komodzie w stylu biedermeier. – Dobrze się składa. Nie chcielibyśmy, żeby Elisabeth miała przez nas jakieś nieprzyjemności.

– Oczywiście – powiedziała Jordan, nie pojmując znaczenia właśnie usłyszanych słów. Wydawało się, że ci dwoje zaraz sobie pójdą. Na szczęście.

– Johann! – krzyknął Christian von Hagemann władczym tonem. – Możesz wnieść obie skrzynie.

– Co pani tak stoi? – zapytała Riccarda von Hagemann i spojrzała na Marię Jordan z wyrzutem. – Niech pani idzie na dół. Jest tam cała masa pakunków. A co z pomocą domową? Gdzie ona jest?

Maria Jordan stała w miejscu jak sparaliżowana, przekonana, że to musi być tylko koszmarny sen. Skrzynie. Pakunki. Co to były za pojękiwania i stękania na klatce schodowej?

– Dlaczego tutaj jest tak zimno? – poskarżył się Christian von Hagemann, gdy otworzył drzwi do salonu. – Nikt tutaj nie napalił?

Gertie wyjrzała przez na wpół otwarte drzwi kuchenne. Na jej szczupłej twarzy widać było wzrastające przerażenie.

– A tutaj jest! – krzyknęła Riccarda von Hagemann. – No już, już, mała. Na dole w korytarzu leży całe mnóstwo bagaży, które muszą zostać wniesione na górę. Już dawno powinnaś iść po jedno z pudeł. Zrozumiałaś mnie, Dorte?

– Ja... ja nazywam się Gertie – wyjąkała dziewczyna.

– A kogo obchodzi, jak masz na imię? – ofuknęła ją baronowa. – Rób, co do ciebie należy. Ruszaj szybko po rzeczy, zanim ktoś je ukradnie!

Gertie posłała Marii Jordan błagalne spojrzenie, ale ta tylko wzruszyła ramionami, co oznaczało, że też nie ma pojęcia, co się dzieje tuż przed ich oczami.

– Państwo... państwo macie zamiar zostać tutaj dłużej? – zapytała ostrożnie Jordan.

Riccarda von Hagemann puściła to pytanie mimo uszu. Poszła od razu do gabinetu swojego syna i zdenerwowała się, że jest kurz na biurku.

– Od dzisiaj będziemy tutaj mieszkać, panno Jordan – powiedział Christian von Hagemann z protekcyjnym uśmiechem, oznaczającym niedopuszczenie jakiegokolwiek sprzeciwu.

Maria Jordan nie była już młodą dziewczyną, wiedziała, że życie niesie różnego rodzaju niespodzianki. Dobre i mniej dobre. Ta należała do zupełnie złych.

– Przykro mi, panie baronie, że jesteśmy tego zupełnie nieświadome, ale łaskawa pani nas o tym nie poinformowała.

Nie pomyślał o tym, żeby jakkolwiek jej odpowiedzieć, tylko poszedł od razu do salonu i zaczął sprawdzać piec. Było więc jasne – to było najście. Biedna Elisabeth nie miała najpewniej najmniejszego pojęcia, że te pasożyty chcą się u niej zagnieździć. Maria Jordan poczuła głęboką solidarność z młodą panią, ale sama nie była w stanie odeprzeć tego ataku. Gertie też nie była dla niej wsparciem. Schmalzler – tylko ona by sobie tutaj poradziła. Albo Brunnenmayer. Może Auguste też wiedziałaby, jak się bronić. Ale nie

było tutaj żadnej z nich...

Maria Jordan nagle zamarła na widok mężczyzny, który teraz krok po kroku wspinał się po schodach. Kościsty starzec z długą siwą brodą, twarz wychudzona, a oczy zapadnięte w oczodołach. Nigdy wcześniej nie widziała tak nieprzyjaźnie wyglądającego osobnika. Ciemny garnitur wisiał na tym kościstym słudze, podczas gdy na lewym ramieniu wnosił drewnianą skrzynię. Był lekko pochylony, ale wydawało się, że nie męczy się taszczeniem ciężkiego bagażu.

– To idzie do gabinetu, Johann – powiedział baron i zwrócił się teraz do obu kobiet.
– A wy na co czekacie? No już, już!

Maria Jordan wołała nie wzniecać kłótni i początkowo postanowiła się dostosować. Powoli zaczęła schodzić schodami w dół, a Gertie złapała ją mocno za rękę i szepnęła jej, żeby została.

– A jeśli faktycznie coś ukradną? Wtedy będzie na nas, Mario.

– A kto chciałby mieć te śmieci?

– Ludzie teraz kradną jak szczury, wiesz przecież.

Na dole w holu kamienicy znajdowało się kilka byle jak powiązanych kartonów, dwie torby podróżne nadjedzone przez mole, fotel z czerwoną, aksamitną i lekko przybrudzoną tapicerką oraz cztery pudełka na kapelusze.

– Czyżby to był cały dobytek pani baronowej? – szepnęła Maria Jordan. – Cóż, miejmy nadzieję, że nie przynieśli ze sobą również jakiegoś robactwa.

– Mole mają na pewno – powiedziała zde gustowana Gertie i chwyciła skórzany uchwyt jednej z dwóch toreb podróżnych.

– A może także pluskwy i wszy – powiedziała złośliwie Maria Jordan i poklepała siedzisko fotela. Uniosła się chmura kurzu. No proszę, sami żyją w brudzie, a narzekają na zakurzone biurko.

Na klatce schodowej było słychać kroki, drewno skrzypiało. To był z pewnością służący Johann, który zacharczał i zakaszał z głębi klatki piersiowej, a potem splunął.

– Och, to obrzydliwe – wyszeptała Gertie. – Obiecuję ci, Mario, nie zostanę tutaj ani jednego dnia dłużej. Nie, jeśli ten kościotrup będzie z nami pracował.

– On wygląda jak duch, prawda? – Maria Jordan dawała dalej wyraz swoim lękom.
– A gdzie oni go umieszczą? Pewnie na górze, na poddaszu, tuż obok naszego lokum.

– Nigdy w życiu – syknęła Gertie. – Wolałabym spędzić noc w miejskim parku pod gołym niebem.

– Dobrze byś zrobiła. To w końcu duch potrafiący przechodzić przez ściany i może w nocy szwendać się po wszystkich pokojach.

– Bądź wreszcie cicho, Mario! Przecież on może nas usłyszeć!

Faktycznie na schodach pojawił się już cień starego sługi. Musiał być jednak najpewniej głuchy, bo się do nich uśmiechnął. W górnej szczęce, na przodzie, brakowało mu zęba. Dziwnie sztywnym ruchem sięgnął po dwa kartony i zaczął wnosić ten ładunek po schodach.

– No więc chodźmy. Miejmy to już za sobą.

Chwyciły torby podróżne i pudełka, żeby je zawlec do mieszkania. Trzykrotnie musiały schodzić i wchodzić po schodach, żeby dobytek życiowy von Hagemannów nie

był narażony na niecne zakusy złodziei. Jeśli jednak spodziewały się, że dzięki temu zostawi się je w spokoju, były w błędzie. Teraz w mieszkaniu stery przejęła pani baronowa, podczas gdy jej małżonek, stroniąc od nawału mebli, dywanów i pakunków, ukrył się samotnie w gabinecie. Uciał sobie drzemkę na czerwono tapicerowanym fotelu, z nogami przykrytymi kołdrą. W tym czasie zostały poprzesuwane szafy, przewieszane obrazy, sofę zamieniono w łóżko, a prześcieradła i obrusy dokładnie przejrano. Johann wykonywał polecenia pani precyzyjnie jak w zegarku i nie mówiąc przy tym ani słowa. A może był też niemy? Maria Jordan rozpakowywała kartony, rozwieszała staromodne suknie i płaszcze, układała bieliznę, dziurawe skarpety i schodzone buty. Von Hagemannowie byli naprawdę pozbawieni środków do życia, więc powinno się im współczuć, ale z powodu ich arogancji i bezczelności Maria Jordan nie potrafiła wzbudzić w sobie prawdziwego współczucia. Było jej szkoda jedynie pani, która dziś będzie musiała dzielić mieszkanie ze swoimi napuszonymi teściami. Można też było założyć, że pan major poparł zamiary swoich biednych rodziców.

– To musi zostać odkurzone. Dywan trzeba natychmiast wytrzeć. Zasłony jutro mają być uprane. To naprawdę okropne. I dlaczego nie pali się w piecu?

– Nie ma węgla.

– To zatroszczcie się o drewno!

Gertie musiała zająć się obiadem, podczas gdy stary Johann z niewzruszoną miną porąbał starą ławę z kuchni. Robił to sztywnymi, zamaszystymi ruchami niczym manekin. Może miał reumatyzm. Albo za sprawą wieloletniej pracy u von Hagemannów zamienił się w homunkulusa?

– Personel Elisabeth jest doprawdy fatalny. – Maria Jordan słyszała, jak baronowa lamentuje w salonie. – Trzeba ich natychmiast wziąć w rzyty.

Gertie nie wysilała się zbytnio, robiąc obiad, przecież nie była kucharką. Państwo musieli się zadowolić tym, co było w kuchni. Rozgotowanymi ziemniakami, serem i kilkoma kwaszonymi ogórkami. Maria Jordan nie zamierzała czekać na to, co małżeństwo von Hagemannów powie o tym skromnym posiłku. Poszła na poddasze, gdzie mieszkała razem z Gertie, włożyła płaszcz i wciągnęła buty. Gdy na palcach schodziła ze schodów, słyszała piski baronowej, dobiegające z mieszkania. Między nimi słyhać było świergotanie Gertie, ciche, ale stanowcze i na pewno nienależące do osoby, która zamilknie ze strachu.

Biedna Gertie, pomyślała Maria Jordan. Nawet jeśli wyjdzie za mąż za tego Ottona, co dobrego jej to przyniesie? Ale cóż, musiała najpierw myśleć o sobie. Zrobiła sobie porządny spacer do willi Melzerów, żałując, że w czasie wojny ograniczono zużycie prądu. Gdy przechodziła obok bazyliki Świętego Ulryka i Świętej Afry do bramy Jakoba, musiała mocno opierać się wiatrowi, który, na nieszczęście, niósł też krople deszczu. Jaka była głupia, powinna przecież włożyć płaszcz przeciwdeszczowy! Na to było już za późno. A czy rozsądne było to, co właśnie robiła? Zatrzymała się na chwilę, bo wiatr niemal porwał jej kapelusz z głowy, a potem maszerowała dalej.

Muszę działać dyskretnie, pomyślała. Dla młodej pani byłoby z pewnością niezwykle bolesne, gdyby ktoś ze służby albo ktokolwiek z rodziny się o tym dowiedział. Ale jestem jej to winna, zdecydowała Maria Jordan. Nie zawsze jest dla mnie życzliwa,

to prawda. Jest jednak jedną z Melzerów, zatrudniła mnie u siebie jako pokojówkę.

Gdy mijała bramę Jakoba, deszcz zaczął już tak gęsty, że musiała na chwilę się oprzeć o mur. Dwa pojazdy przejechały obok niej w stronę miasta. Ładunki były przykryte, dostrzegła jednak, że przewożono na nich brukiew. Brukiw, którą duszono razem z kartoflami i marchewką. Potem mimo deszczu ruszyła dalej. I tak już zupełnie przemokła, więc lepiej było, gdy się ruszała, niż stała w bramie, drżąc z zimna. Całkowicie przemoczona dotarła do willi i nacisnęła dzwonek do drzwi dla służby. Kazano jej czekać. I dopiero gdy sądziła, że z zimna skostnieje, przyszła Hanna, żeby jej otworzyć.

– Niech pani szybko wchodzi, panno Jordan, bardzo się śpieszę.

Zostawiła otwarte drzwi i ruszyła do kuchni, gdzie Brunnenmayer napełniała miski zupą. Aha, w szpitalu właśnie podawano obiad. Jordan pociągnęła nosem i musiała przyznać, że Brunnenmayer była prawdziwą mistrzynią, skoro z ziemniaków, marchewki, selera i odrobiny boczku potrafiła zrobić tak wspaniale pachnące danie.

– Mój Boże, wygląda pani jak zmokła kura, Jordan! – powiedziała Fanny Brunnenmayer. – Co pani tu dzisiaj robi? Sądziłam, że przychodzi pani w poniedziałki, środy i piątki. Dzisiaj jest czwartek.

Maria Jordan w pośpiechu zdjęła przemoczone palto i ściągnęła kapelusz.

– Pomogę zanieść naczynia!

Kucharka była tak zdumiona tą nagłą gotowością do pomocy Marii Jordan, że wpatrywała się w nią w milczeniu, żeby sprawdzić, czy faktycznie nie jest chora.

– Przeziębili się pani.

– Co tam.

Z pomieszczenia dla służby była prosta droga do sali dla chorych, gdzie Hanna postawiła już dwa talerze na stole. Jedna z młodszych pielęgniarek napełniała sobie zawsze gulaszem, podawanym w sporym garnku, małą miseczkę i kładła na to kromkę chleba. Maria Jordan postawiła parujące naczynia na stole i rozglądała się. Łóżko obok łóżka stały tam w dwóch długich rzędach, rozdzielonych przejściem. Gdzieś rozstawiano parawany zrobione z prześcieradeł, powieszonych na sznurku. Wczoraj przywieziono znów piętnastu nowych pacjentów, wszyscy byli obłożnie chorzy, a niektórzy ranni tak ciężko, że nie było wiadomo, czy przeżyją. Trzeba było więc wielkiego hartu ducha, żeby pielęgnować tych biednych młodych mężczyzn, dodawać im odwagi, siedzieć przy łóżkach umierających. Maria Jordan nie wiedziała, czy sama miałaby w sobie tyle siły, a jej młoda pani Elisabeth jednak to robiła. Kto by pomyślał? Elisabeth wreszcie wyłoniła się zza jednego z zawieszonych prześcieradeł, z pustą miską i opróżnionym kubkiem w ręce. Podeszła do stołu, żeby dalej rozdzielać porcje, a wtedy zauważyła Marię Jordan i w zdumieniu ściągnęła brwi.

– Czy już jest piątek?

– Przychodzę poza harmonogramem, łaskawa pani – powiedziała cicho. – Wydarzyło się coś nieoczekiwanego.

– Później – rzuciła Elisabeth i odeszła z dwiema napełnionymi miseczkami.

Jordan postanowiła poczekać na nią w kuchni. Pomogła Hannie przygotować nakrycie dla pielęgniarek i pracowników, a gdy Brunnenmayer zapytała, czy chciałaby

zjeść z nimi, odmówiła uprzejmie i poszła z powrotem do sali chorych.

– O co chodzi? – zapytała wreszcie zniecierpliwiona Elisabeth.

– Dwa słowa, łaskawa pani. Możemy gdzieś pomówić na osobności?

Elisabeth westchnęła z niezadowolenia, otworzyła jednak drzwi do pomieszczenia zabiegowego, które w czasie obiadu było puste.

– Dobrze więc, co się dzieje? Nie mam zbyt wiele czasu, Mario.

Przede wszystkim dyskrecja. Przekazanie drugiej osobie informacji w rozważny sposób. W tej kwestii Maria Jordan jednak się nie popisała, bo przedstawiła wydarzenia, do których doszło w mieszkaniu, nie szczędząc szczegółów, które lepiej byłoby przemilczeć.

– Przesuwali meble? Przewiesili zasłony? Zajęli naszą małżeńską sypialnię?

– Mówię łaskawej pani. Pani teściowa przetrząsnęła nawet pani pranie. Nie mogłam temu zapobiec, niestety. Ale żółć mnie zalewała, przysięgam pani. I jeszcze ten dziwny sługa, który wygląda jak chodzący trup.

– Ach, ma pani na myśli Johanna? On jest zupełnie nieszkodliwy. Pracuje dla von Hagemannów od ponad pięćdziesięciu lat.

– Porąbał ławkę kuchenną.

Elisabeth już dłużej nie słuchała. Usiadła na stołku i oparła czoło na dłoniach, tak że Maria Jordan obawiała się, czy za chwilę nie straci przytomności.

– Mój Boże, powinnam to pani przekazać delikatniej. Ale sama jestem taka podenerwowana. Przyniosę pani wody, łaskawa pani.

– Niedorzeczność!

Elisabeth energicznie potrząsnęła głową, potem wyprostowała się i wzięła głęboki oddech. Nie miała ani czasu, ani ochoty walczyć ze swoimi teściami, powiedziała.

– Jeśli Riccarda i Christian potrzebują tego mieszkania, nie mogę im tego zabronić. Nie jestem jednak gotowa na to, żeby mieszkać tam wspólnie z nimi. Tego nie może ode mnie wymagać żaden człowiek.

– Ma pani absolutną rację, łaskawa pani.

– Moje miejsce jest tutaj, Mario – powiedziała Elisabeth. – Tutaj, przy tych nieszczęsnych młodych mężczyznach, którzy ofiarowali ojczyźnie całą swoją siłę i całe zdrowie. Nigdy wcześniej w ciągu mojego życia nie wypełniałam tak ważnego zadania i mam zamiar poświęcić mu się bez reszty.

Z triumfującą miną spojrzała na Marię Jordan i odetchnęła z ulgą. Najwyraźniej Elisabeth von Hagemann przezwyciężyła pierwszy szok.

– A to oznacza... że? – zapytała Maria Jordan wyczekująco.

– To, że jak długo moi teściowie będą mieszkać na Bismarckstraße, ja będę znów przebywać w moim starym pokoju w posiadłości. Zatroszcz się proszę o to, żeby moje ubrania i rzeczy osobiste zostały przeniesione do willi.

– A czy... czy ja też mogę z panią wrócić do posiadłości pani rodziców?

– O tym nie ja decyduję. Musi pani porozmawiać z moją bratową.

Jak mogłaś!

Zropaczona Marie potrząsała głową. Ach, powinna była to przewidzieć. Kitty to była Kitty – robiła to, co podpowiadały jej uczucia. A uczucia Kitty były często ze sobą sprzeczne.

– Oj, nie rób z tego takiej tragedii, Marie – bagatelizowała sprawę Kitty. – To przecież nie był list. Jedynie kilka słów rzuconych na papier. Wyrazy uprzejmości. Tak naprawdę to było zupełnie nic...

Mocniej naciągnęła na siebie wełnianą chustę, którą przezornie dała jej Alicia. W posiadłości też oszczędzano opał, w czerwonym salonie palono tylko wieczorem. Na dole w lazarecie czynny był kominek, żeby chorzy nie musieli marznąć, nie dawał jednak zbyt wiele ciepła, a pożerał każdą ilość drewna. Jedyna korzyść z tego rozwiązania była taka, że ciepło powstające w kominie ocieplało część pomieszczeń na górze.

– Gdyby to było faktycznie takie nic, raczej by na to nie zareagował, moja droga Kitty, prawda?

Kitty westchnęła głęboko i wyjrzała przez okno. Było późne przedpołudnie, a niebo wisiało nad miastem jak ciężki, szary aksamit. W parku tańczyły pierwsze płatki śniegu. Wkrótce nadejdą święta Bożego Narodzenia, sklepy w mieście były już przystrojone, nawet jeśli ich oferta pozostawała bardzo skromna.

– Wiesz przecież, jacy są mężczyźni – powiedziała i wzruszyła ramionami. – Dasz im palec, a oni... Ach, a to nawet nie był palec! To był cień. Przyjazne pozdrowienie. Wyrażające nadzieję, że wróci do zdrowia.

Marie zachowywała się teraz jak surowa guwernantka. Nie lubiła odgrywać tej roli. Ale Kitty, jej lekkomyślna urocza szwagierka, po prostu ją do tego zmuszała. Kitty potrzebowała mieć obok siebie rozsądnie myślących ludzi, a Alfons, który wykonywał to zadanie umiejętnie – w milczeniu i z miłością – był na froncie. Kitty opowiadała, że jest we Francji. Gdzieś daleko na Zachodzie.

– A czy napisałaś Gérardowi, że wyszłaś za mąż?

Kitty przewróciła oczami i zachowywała się tak, jakby odpowiedź była oczywista.

– Oczywiście, że wie o moim zamążpójściu.

– A więc ty mu o tym napisałaś? – upierała się Marie.

– No chyba się domyślił, gdy zobaczył nazwisko nadawcy, prawda?

Marie się poddała. Cokolwiek Kitty napisała do Gérarda Duchamps, na pewno zachęciło to młodego człowieka do napisania długiego listu, który teraz Kitty miała w torebce.

– Nie rób takiej miny, Marie – powiedziała Kitty i pochyliła się, żeby nalać sobie herbatę. – Naprawdę nie rób. Gdy masz taki surowy wyraz twarzy, zaczynam żałować, że pokazałam ci ten list. A odpisałam mu tylko dlatego, że myślałam, iż umrze. Nikt nie mógł przypuszczać, że wyzdrowieje. Nie mogę być jednak na niego zła. To przecież cudowne, że żołnierzowi wyleczono rany. Nawet jeśli jest on Francuzem.

– Oczywiście – odparła Marie. – Nikt nie życzył Gérardowi niczego złego. On musi jednak wiedzieć, że jesteś kobietą zamężną i nie miałaś żadnego ukrytego celu w napisaniu tego listu.

Kitty posłodziła herbatę kilkoma łyżeczkami cukru i skrzywiła się, gdy jej spróbowała.

– Ale jego treść jest zupełnie niewinna, Marie – powiedziała i odstawiła z obrzydzeniem filiżankę. – Sama przecież czytałaś. Jego ton był zupełnie przyjacielski i nie umieścił w liście żadnych aluzji do... do przeszłości.

Tak, poza tym że wspomniał o swoim rozwodzie, pomyślała Kitty i westchnęła. Cokolwiek się mówiło Kitty, jeśli sama się nie przekonała na własnej skórze, i tak nie posłuchała. Dziesięć minut temu Marie tłumaczyła Kitty, że Gérard to nie jest jakiś tam pierwszy lepszy mężczyzna. Był jej kochankiem, który ją opuścił. To, że prosił o przekazanie listu z belgijskiego lazaretu przyjacielowi z Niemiec, było rzeczą wręcz niedopuszczalną i policzkiem wymierzonym jej mężowi. Czy nie potrafiła tego pojąć? Czy chciała, żeby Alfons, ojciec małej Henni, się tym martwił?

– O matko, Marie! Alfons jest na froncie, o niczym się nie dowie, a ja nie mam zamiaru go tym zasmucać. Wyobraź sobie, że wczoraj przyszedł od niego list, walczą nad Marną z Anglikami. Ci są znacznie lepszymi żołnierzami niż Francuzi, jak napisał. Czy to nie interesujące? Zawsze sądziłam, że Anglicy są nieco dziwni, tacy sztywni i nieciekawi.

Marie milczała, pozwalając Kitty mówić. Gdy przemyślała sobie raz jeszcze tę sytuację, doszła do wniosku, że nie była ona taka zła, jak na początku sądziła. Kitty kocha Alfonsa, mają córeczkę, więc było mało prawdopodobne, żeby popełniła taką głupotę. Poza tym wojna im nie sprzyjała. Gérard był w Lyonie, jak sam napisał. Nie mógłby więc ani tutaj przyjechać, ani nawet przemyścić kolejnego listu do Niemiec.

– A czy Elisabeth o tym wie? Twoja matka? Ktokolwiek?

– Te okropne sztywne kostiumy z zastępczego materiału! Wygląda się w nich jak guwernantka! Jedyłą ich zaletą jest to, że teraz się nosi krótsze spódnice, a ja mam przecież tak szczupłe kostki. U niektórych kobiet widać nawet łydki. Dobry Boże, takie to jednak noszą te panie, które nie mogą sobie pozwolić na kupno innych.

– Kitty, proszę! Nie zmieniaj tematu!

– Co?

– Czy ktoś jeszcze wie o tym liście?

– Nie, tylko ty, Marie. Chciałam najpierw porozmawiać z tobą, bo jesteś moją najwspanialszą przyjaciółką, moją powierniczką od serca. Masz pełne prawo mnie besztać, Marie. Ale zobacz, ja naprawdę nie planuję niczego złego, przecież mnie znasz.

– Dobrze – odpowiedziała Marie. – To teraz posłuchaj mojej rady.

Kitty stwierdziła, że zamienia się w słuch, i nieco rozkojarzona chwyciła filiżankę.

– Na twoim miejscu natychmiast bym wrzuciła ten list do ognia i nigdy więcej o nim nie myślała.

Kitty spojrzała na nią swoimi niebieskimi oczami. To było spojrzenie dziecka, które Marie rozczuliło. Spojrzenie, które wynikało z przerażenia i głębokiego smutku.

– Masz na myśli... spalić?

– Tak.

Oczy Kitty błędziły przez chwilę po pokoju, zatrzymały się na obrazie – zaśnieżony krajobraz, oprawiony w złotą ramę, wisiał na czerwonej tapecie – a potem zatroskana zwróciła wzrok na swoją małą, zdobioną perłami torebkę, którą położyła na fotelu.

– Tak – wyszeptała i wzięła głęboki wdech, który brzmiał niemalże jak szloch. – Wiesz co, Marie? Szkoda, że nie wolno kochać dwóch mężczyzn jednocześnie.

– Kitty! – Marie przywołała ją do porządku. – Nie mów tylko tego Lisie albo mamie. Takie dziwne praktyki zdarzają się tylko w bohemach, wśród artystów. Nie sądzę jednak, żeby Alfons to rozumiał.

– Gérard też by tego nie chciał – powiedziała Kitty z rozmarzeniem. – Nie, na pewno nie.

Sięgnęła po torebkę, otworzyła ją i wyciągnęła obszywaną koronką chusteczkę, w którą wytarła nos. Potem wyjęła niewielki błękitny flakonik perfum. Odkręciła złotą zakrętkę, wylała maleńką kropelkę na nadgarstek i wyciągnęła rękę do Marie.

– Zapach pochodzący z raj, Marie. Powiew bergamotki i ambry. Powąchaj tylko...

Marie nie wykazała zainteresowania wąchaniem rajskiego zapachu, więc Kitty odsunęła rękę i wyciągnęła z torebki złożony list.

– Zrób to, Marie – powiedziała z udręczoną miną. – Ja nie potrafię. Pisze tak miłe rzeczy. Ach, wiem, że już nigdy go nie zobaczę. Ale bardzo się cieszę, że nie umarł.

Otarła łzy chusteczką, ale na szczęście nie płakała. Za to mówiła bez przerwy. Świergotała, jak to po wojnie koniecznie musi zrobić sobie z Alfonsem wycieczkę po Włoszech, że obiecał jej Mediolan, Rzym, Neapol. Chciałaby zobaczyć Wezuwiusz i potem Sycylię. Być może zwiedzą też Afrykę. Maroko musi być bardzo ekscytującym miejscem. I oczywiście Egipt, piramidy... Marie niechętnie wzięła ten *corpus delicti*, choć miała ochotę zmusić Kitty, by sama dokonała tego aktu zniszczenia. Obawiała się jednak, że Kitty schowa list w szkatułce, zamiast wrzucić do ognia. Kitty nie można było ufać, trzeba ją było bronić przed samą sobą. Marie schowała list do rękawa.

– Myślę, że... pójdę już do domu – powiedziała Kitty, która zaczęła zachowywać się, jakby poczuła nagłą ulgę. – Mówiłam ci już, że Henni sama się podciąga do góry na wszystkich krzesłach i fotelach? Jeszcze kilka dni i będzie chodzić. Napiszę zaraz długi list do Alfonsa i dołączę kilka rysunków. Kazałam zrobić też zdjęcia Henni...

Objęła swoją najwspanialszą Marie, zapewniła ją, że będzie jej dozgonnie wdzięczna, i powiedziała, że zwłaszcza Elisabeth nie może powiedzieć o liście. Lisa zrobiła się tak strasznie sztywna i zwariowała na punkcie patriotyzmu. No, może ostatnio jej się trochę polepszyło, zwłaszcza odkąd mieszka znów w posiadłości.

– Właściwie to ja się bardzo cieszę, że tutaj wróciła – dodała z zamyślonym wyrazem twarzy. – Ale tak długo, jak ten denerwujący lazaret rujnuje posiadłość rodziców, wolę być na Frauentorstraße.

Przyszła pieszo, bo najwyraźniej benzyna nie była już dostępna dla prywatnych samochodów. Chyba jej to jednak nie przeszkadzało, Marie obserwowała z okna jadalni, jak Kitty, ciepło opatulona w płaszcz podszyty futrem, idzie alejką w kierunku miasta. Ręce schowała w czarną mufkę z nerek i co chwila przystawała, żeby obserwować płatki

śniegu spadające na ciemną ziemię.

Marie czuła list, który schowała do rękawa, i udała się do jadalni, gdzie w piecu rozpalonym rano przez Auguste jeszcze się tliło. Otworzyła drzwiczki i wsunęła list do pieca, dmuchała delikatnie, żeby dosięgnął go żar, i czekała, aż papier całkiem się spali. Cóż, panie Gérard, pomyślała z zadowoleniem. To by było na tyle. Uchroniliśmy się przed pana machinacjami w przyszłości.

Z ogrodu zimowego dochodziły radosne okrzyki dzieci. Rosa opiekowała się dzisiaj nie tylko bliźniakami, ale także małą Liesel i Maxlem, żeby Auguste mogła spokojnie wykonywać swoją pracę. Stary Bliefert cierpiał z powodu uporczywego przeziębienia i cieszyło go to zwolnienie z obowiązku. Wiadomości od Gustava przychodziły rzadko, utknął gdzieś w Rosji albo Rumunii, sądząc po jego ostatnim krótkim liście, sam już nie wiedział, gdzie jest.

– Else! Czy Hanna jest już gotowa?

Else była zajęta trzepaniem poduszek w pokoju dla panów i wycieraniem kurzu ze zdobionych dębowych mebli. Pojawiła się z miotełką w ręce i pobiegła schodami, żeby zerknąć do kuchni. Hanna w południe zanosila do fabryki obiad dla jeńców wojennych i utarło się, że towarzyszy jej młoda pani Melzer. Oficjalnie Marie robiła to, żeby nadzorować Hannę i pomagać jej ciągnąć wózek, nieoficjalnie – była to doskonała okazja, żeby dowiedzieć się, jak wygląda produkcja. Johann Melzer wprawdzie wychwalał podniosłym tonem wśród całej rodziny jej zdolności rozumienia technicznych kwestii, ale w biurze i w halach nie chciał jej widywać. Kilka razy zapytał ją nawet, czy nie ma niczego lepszego do zrobienia niż chodzenie po jego fabryce, i doszło między nimi do ostrej wymiany zdań.

– Może sądzisz, że powinnaś kontrolować moją pracę?

– Chciałam tylko przynieść projekty wzorów na materiały, tato.

– Co w takim razie robiłaś w hali, w której się drukuje wzory?

– Chciałam obejrzeć walce i omówić z grawerem, jak w najprostszy sposób można by było przekształcić istniejące wzorniki.

– Z moim grawerem mogę rozmawiać tylko ja i nikt więcej. Cholera!

Johann Melzer miał w sobie dwie osobowości. Szanował Marie, jej talent do rysowania i jej zdolność rozumienia mechanizmów działania maszyn. Alicia nigdy nie posiadała takich umiejętności, została wychowana tak, by troszczyć się o dobro domu i rodziny – teren fabryki zawsze uważała za obcy i niezrozumiały. Marie była inna, angażowała się, chciała rozmawiać o fabryce, domagała się, żeby teść wyjaśnił jej to i owo. Przedstawiała nawet propozycje ulepszeń, przynosiła nowe pomysły. Z jednej strony mu się to podobało, z drugiej irytowało. Zawzięcie się przeciwstawiał, nie chciał ulegać jej sugestiom. Najpewniej dlatego, że była kobietą. Ale też dlatego, że zawsze chciała postawić na swoim. To on, Johann Melzer, jest dyrektorem fabryki, on tutaj ma ostatnie słowo i nie pozwoli się prowadzić na smyczy swojej synowej. Nawet jeśli ma ona rację. Marie dobrze to rozumiała. Wiedziała, że musi być cierpliwa, nie wrywać się jak filip z konopi, pan dyrektor powoli, stopniowo zaakceptuje to, że ona chce mieć swój udział w działaniu zakładu. Chciała nie tylko podejmować decyzje, ale również brać odpowiedzialność za istotne kwestie. Początkowo robiła to dla Paula, żeby jego projekty

się nie zmarnowały, żeby zostały wdrożone i przyniosły Melzerom korzyści. Połknęła jednak bakcyla i gdy teraz przychodziła do fabryki, to dlatego, że chciała wprowadzać własne pomysły.

– Hanna jest już z wózkiem na dziedzińcu, łaskawa pani – zameldowała Else, która biegła tak szybko, że teraz miała całą czerwoną twarz.

– Włożę szary wełniany płaszcz, a do tego jasnoniebieskie czapkę i szalik, które zrobiła dla mnie na drutach Tilly.

Else zauważyła, że może rozsądniej byłoby włożyć futro, bo wieje bardzo silny grudniowy wiatr, ale Marie potrząsnęła głową. Nie chodziło o to, żeby przychodziła do fabryki wystrojona jak bogata dama, podczas gdy wiele pracowników nie miało nawet zimowego płaszcza.

Hanna czekała posłusznie obok klombu, który był teraz zakryty gałązkami jodły, żeby osłonić przed mrozem cebulki tulipanów i narcyzy. Duży garnek z posiłkiem dla jeńców wojennych został zawinięty kocem i umieszczony w drewnianej skrzynce. Pokrywka garnka była przymocowana sznurkiem do uchwytów, tak żeby potrawka z marchewki i brukwi nie rozlewała się na wyboistej drodze. Niemniej jednak i tak należało zachować ostrożność. Jedzenie było cenne. Talerz tej mieszanki z wkładką w postaci kromki chleba był z pewnością jedynym posiłkiem, który otrzymywali jeńcy każdego dnia. W fabryce maszyn, nieopodal, jedzenie było dużo gorsze, opowiadała Hanna, gdy stawiała ostrożne kroki na drodze.

– Tam jest tylko trochę chudego kleiku i chleba, upieczonego z trocin.

Do fabryki nie było daleko, ale kobiety i tak się śpieszyły. Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć, bo w mieście, również w dzielnicach robotniczych, mieszkali ludzie, którzy dla łyżki potrawy warzywnej byli gotowi napaść, a może i zabić.

– Skąd wiesz o tym paskudnym kleiku?

Hanna była nieco zakłopotana tym pytaniem i odpowiedziała, że słyszała od jeńców. Byli ogromnie zadowoleni, że mogli pracować w fabryce Melzera, zwłaszcza ci, którzy obsługiwali maszynę parową, bo w tej części zakładu było ciepło. Marie rozbawiła naiwność dziewczyny. Przerzucanie węgla przy maszynie parowej było harówką, której żaden z wychudzonych mężczyzn nie mógł pragnąć. Ale kto inny mógł to robić? Młodzi Niemcy byli na wojnie, pozwalając się okaleczać dla ojczyzny, a kiedy trafiali do niewoli, pracowali w kopalniach węgla lub innych zakładach wroga, aż stracili wszystkie siły. Jakież absurd!

– Rozmawiasz z nimi po niemiecku? Sądziłam, że oni mówią tylko po rosyjsku i francusku.

Hanna powiedziała, że niektórzy poznali trochę niemiecki. Nie mogło być inaczej, bo przecież musieli rozumieć niemieckie rozkazy.

– Faktycznie, nie pomyślałam o tym.

W fabryce znów toczyło się życie. Gdy portier Gruber otworzył im bramę, Marie zobaczyła na podwórzu wielu robotników, którzy dźwigali ogromne role papieru do przędzalni. Z hal dobiegał jak dawniej hałas – syczenie, tarcie, brzęczenie i trzaskanie, świst wrzecion – wszystko to mieszało się w jeden ogłuszający huk, który robotnicy czuli jeszcze w całym ciele co najmniej przez godzinę po skończeniu zmiany. Hanna

podjechała wózkiem do pakowalni, gdzie dwie kobiety zwykle jej pomagały przy rozdawaniu potrawki. Huntzinger, stary majster, troszczył się o to, żeby pracownicy mogli w spokoju się pożywić, a maszyna parowa w tym czasie nie traciła ciśnienia. Dwaj żołnierze z rodzimego frontu, bladzi chłopcy, którzy nie mieli jeszcze osiemnastu lat, również przyszli w czasie rozdawania jedzenia i otrzymali talerz potrawki. Posiłkowi jeńców oraz ich strażników towarzyszyły złowrogie, zazdrosne spojrzenia ludzi pracujących w fabryce.

– Oni tutaj żrą, podczas gdy nasze dzieci głodują w domach!

Marie zostawiła teraz Hannę z kobietami, żeby zrobić obchód po halach. Później poszła skontrolować sytuację w przędzalni i zobaczyła, że pracują tylko cztery maszyny, w piątej jest właśnie montowana nowa rolka. Dzięki temu mogła poobserwować robotników i wyciągnąć własne wnioski. Ich praca byłaby znacznie łatwiejsza, gdyby skonstruowano specjalny pojazd, który przewoziłby ciężkie rolki od razu do maszyn. Wtedy mężczyźni musieliby jedynie je podnosić i umieszczać na osi. I dlaczego używano tak ciężkich rolek? To ich ciężar stanowił problem, bo papier zbyt szybko się rozwijał, a powstające włókna nie nadawały się do produkcji delikatniejszych materiałów. Gdyby role były o połowę cieńsze, maszyny pracowałyby płynniej, a my nie mielibyśmy braków, rozważała Marie. Ale trzeba byłoby częściej przerywać pracę, bo rolki należało wiele razy zmieniać. Trzeba by to więc przemyśleć...

Gdy zeszła do przędzalni, zobaczyła Hannę. Dziewczyna stała przed drzwiami do pakowalni, z wełnianą chustą narzuconą na ramiona i mnóstwem białych płatków śniegu w ciemnych włosach. Rozmawiała z młodym chłopakiem, jeńcem wojennym, który trzymał w ręce talerz z parującą potrawką. Był przystojnym młodym człowiekiem z kręconymi czarnymi włosami i błyszczącymi ciemnymi oczami. Mimowolnie pomyślała o Gérardzie Duchampsie, który miał podobne oczy i był przeklętym oszustem. Ten prawdopodobnie był Rosjaninem. Był tak mocno zajęty rozmową z Hanną, że zapomniał nawet o jedzeniu.

– Hanna? – zawołała przez podwórze.

Dziewczyna podskoczyła przestraszona. Wina wymalowana na jej twarzy mówiła wszystko. Marie była przerażona. Hanna miała dopiero piętnaście lat, znajdowała się pod jej specjalną opieką i Marie była z niej dumna, bo zarówno przy pracach w posiadłości, jak i w lazarecie okazała się ostatnio bardzo rozważna i sumienna. A teraz romansowała z rosyjskim jeńcem.

– Będzie lepiej, jeśli się rozejdziecie – powiedziała Marie.

Mężczyzna o ciemnych oczach rzucił jej krótkie gniewne spojrzenie, a Hanna wyjąkała: „Tak, łaskawa pani”. W budynku, pośród swoich towarzyszy i pod czujnym okiem dwóch strażników, młody czaruś nie miałby szans robić Hannie wody z mózgu.

W dziale zajmującym się drukowaniem wzorów funkcjonowały jedynie dwie z wielu maszyn drukujących marki Rouleaux. Zwykle obsługiwało je kilku mężczyzn, ale teraz tę ciężką pracę przejęły kobiety. Jürgen Dessauer, stary grawer, siedział przy stole warsztatowym i wykuwał nowy wzór w ciężkim metalowym walcu. Ciąg powtarzającego się na rolce wzoru musiał tak przebiegać, by na drukowanym materiale nie było widać łączenia. Dessauer włączył światło elektryczne, bo jego oczy już były słabe.

– Jak panu idzie? – zapytała Marie, spoglądając ciekawie na powstający wzór. Dessauer zdjął okulary i przetarł oczy wierzchem dłoni.

– Idzie, pani Melzer. Piękny wzór. Naprawdę. Jeden z najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek grawerowałem.

– Teraz pan przesadza, panie Dessauer. Obawiam się, że jest zbyt trudny do grawerowania, bo ma wiele kwiatowych pnączy.

Uśmiechnął się i zapewnił, że sprawia mu to wielką przyjemność. Tak, to może być prawdziwe dzieło sztuki, ale nie chciał zapeszać, bo przecież nie było jeszcze gotowe.

– No i zobaczymy, jak będzie wyglądał po wydrukowaniu – mówił dalej. – Gdy się drukuje wzór na papierze, wtedy następuje chwila prawdy, pani Melzer.

Założył okulary, ustawił lampę i wrócił do pracy. Zafascynowana Marie patrzyła, jak w metalu wyrastają delikatne łożyczki i listeczki, splatają się ze sobą, wypuszczają kwiaty i powoli zajmują całą gładką powierzchnię metalowego walca. Jeden fałszywy ruch, osunięcie się dłuta i walec byłby zepsuty. Jürgen Dessauer pracował jednak w fabryce Melzerów od dwudziestu lat jako grawer i nawet teraz, gdy jego broda i włosy stały się siwe, każde uderzenie dłuta trafiało perfekcyjnie w miejsce, gdzie powinno się znaleźć wyżłobienie. Marie spojrzała na bele materiału, na których dwie maszyny drukowały wzory – były przyjemne, ale nie wyróżniały się niczym szczególnym – mała kropka na jednokolorowym tle, nudny i monotony deseń, nadający się na fartuchy i kombinezony robocze. Jakość materiału była dobra, był mocny, dość cienki, ale jednocześnie sztywny. Bez porównania z bawełną, z której można było prząść zarówno flanelę, jak i cieniutki batyst. Jeśli jednak jej wzór okaże się przy nadruku tak piękny, jak miała nadzieję, z takiego materiału będzie można produkować bluzki i sukienki. Miała też już w głowie różne proste, ale eleganckie wzory fasonów takich ubrań i plan, jak można by je wykonać, ale o nich na razie wołała nie opowiadać surowemu panu dyrektorowi. Pożegnała się i przeszła się raz jeszcze po przedzalni, w której wyrabiano trzy rodzaje tkanin: gruby materiał na plecaki, cieńszy na czapki i szaliki oraz jeszcze cieńszy na spódnice, bluzki i garnitury. Oczywiście obecnie fabryka nie działała tak sprawnie jak dawniej, we wszystkich halach ogromna liczba maszyn stała bezużytecznie. Szukano jednak nowych rozwiązań i produkcja trwała, więc zatrudniano dość dużo osób.

Gdy szła przez podwórze w stronę budynku z działami administracyjnymi, rzuciła okiem na wejście do pakowalni. Wyglądało na to, że jeńcy skończyli już jeść posiłek i stali przed drzwiami po dwóch lub trzech, rozprostowywali nogi oraz wdychali świeże zimowe powietrze, zanim znowu zostaną wysłani do hal, w których panował tak straszny hałas, lub na dół, do obsługi maszyny parowej. Hanny nie widziała. Najpewniej myślała naczynia przed powrotem do posiadłości. Marie postanowiła, że później przemówi dziewczynie do rozsądku. Surowo były zabronione rozmowy z jeńcami wojennymi dłużej, niż było to absolutnie konieczne, a zwłaszcza spotykanie się z nimi. Jeśli Hanna faktycznie zadurzyła się w tym pięknym chłopaku, mogło ją to zaprowadzić prosto do więzienia.

W poczekalni przed gabinetem pana dyrektora jego sekretarka Henriette Hoffmann serdecznie przywitała Marie. Jej koleżanka Otilie Lüders była tak skupiona na pisaniu na maszynie, że chyba nie zauważyła, że przyszła właśnie młoda pani Melzer. Oczywiście obie panie – z uwagi na instrukcje otrzymane od szefa – nie za wiele robiły sobie z wizyt

Marie, traktowały je raczej jako coś, co przeszkadza im w pracy. Co za niewdzięczne małpy, pomyślała Marie. Ciekawe, czy wiedziały, kto wystarał się o to, żeby znów mogły pracować. Nie, z pewnością nie wiedziały i wiedzieć nie chciały. Pan dyrektor jest dla nich kochającym Bogiem. Wszechmocnym i wszechwiedzącym. Marie była tylko kłopotliwą synową, która wtykała nos w męskie sprawy.

– Czy mam panią zapowiedzieć, pani Melzer?

Hoffmann podeszła pod drzwi najwyższego sanktuarium, prawdopodobnie otrzymała wcześniej instrukcje, żeby pod jakimś pretekstem nie dopuszczać do codziennych wizyt Marie. Wczoraj przynajmniej wyjaśniła, że dyrektor rozmawia z kimś z Berlina i nie chce, żeby mu przeszkadzano. Co oczywiście okazało się nieprawdą.

– Dziękuję, pani Hoffmann, sama się zapowiem.

Marie ruszyła prosto na nią i nacisnęła klamkę. Henriette Hoffmann musiała się odsunąć na bok.

– Tato, nie przeszkadzam?

Siedział przy biurku pochylony nad segregatorami i stosami dokumentów z nieodłączną szklanką koniaku w zasięgu ręki. Marie dyskretnie wciągnęła powietrze, oczywiście palił. Alicia ostatnio mówiła właśnie, że humidor⁹ w pokoju dla panów był prawie pusty – Johann potajemnie zabierał cygara do fabryki, żeby uniknąć irytujących uwag na temat jego zdrowia.

– Czy przeszkadzasz? Jak tak utalentowana artystka mogłaby mi przeszkadzać? – powiedział z kpina i zamknął jeden z segregatorów. – Dessauer jest zachwycony twoim wzorem. No wejdz wreszcie do środka, Marie. Jeśli już tutaj jesteś.

– Bardzo dziękuję, tato. Jak miło, że masz dla mnie czas.

Widziała, że zrozumiał jej ironię i to, że będzie doskonale potrafiła odeprzeć jego kolejne sarkastyczne i gburowate komentarze.

– Z czego chcesz mnie dzisiaj przemaglować?

– Ależ tato, ja chcę tylko brać w tym wszystkim udział. Wesprzeć cię trochę, jeśli będę potrafiła...

Podeszła powoli do biurka i zobaczyła panujący tam bałagan.

– Wiem, że potrafisz odczytywać dokumenty, nawet jeśli są odwrócone do góry nogami – warknął. – Chodzi o to zamówienie z Berlina? Chcesz wiedzieć, jak nasz materiał z nadrukiem został tam przyjęty?

Usiadła na jednym z niewielkich skórzanych foteli i potwierdziła. Tak, chciałyby wiedzieć, bo z ekscytacji nie mogła spać tej nocy.

– Cóż – powiedział i wstał, żeby dolać sobie koniaku. – Na początek mamy dostarczyć dziesięć bel grubego materiału na plandeki i pięć takiego samego na plecaki.

Patrzyła na niego wyczekująco, ale nie dodał nic więcej. Oznaczało to, że materiały na mundury i czapki nie zyskały akceptacji.

– A dlaczego nie spodobał się cieńszy materiał?

Ściągnął twarz w grymasie i wypił koniak jednym haustem. A potem wzruszył ramionami.

– Konkurencja potrafi wyprodukować materiał lepszej jakości. Dlatego. Nie zapominaj, że jesteśmy nowi w tej branży. U Jagenbergów w Düsseldorfie już od wielu

lat pracują nad materiałami z włókien papierowych i celulozy.

Marie potrząsnęła głową z niedowierzaniem. To nie jest prawda. Przecież badali tkaniny od Jagenbergów, na pewno nie były lepsze od produktów Melzerów.

– To raczej wynika z tego, że jest tam ktoś, kogo wszyscy znają, kto ma dobre znajomości i dlatego dostaje zlecenia – zdenerwowała się.

Odwrócił się do niej, na jego twarzy widać było mieszaninę gniewu oraz uznania. Potem się uśmiechnął.

– Mądra dziewczyna. Możliwe, że jest tak, jak mówisz. W tym momencie nie jesteśmy jednak w stanie tego zmienić. Będziemy musieli zaoferować nasz cienki materiał komuś innemu.

– Może to i lepiej – powiedziała. – Chcieliśmy zaoferować nasze usługi ojczyźnie, stworzyć materiał na mundury dla wojska, ale oni nie chcieli naszych produktów. Ich strata. Znajdziemy innych kupców. Takich, którzy lepiej zapłacą.

– To akurat nie byłoby wielkim wyczynem.

Faktycznie, instytucje państwowe były co prawda wiarygodnym nabywcą, ale niezbyt opłacalnym, bo nie godziły się na zbyt wielkie stawki za zamawiane partie tkanin. Melzer napisał więc do kilku dawnych nabywców. Marie wzięła kartkę i ołówek i zapisała nazwy niektórych domów mody, a także szwalni i sklepów z materiałami. Nie było szczególnie trudno je znaleźć, bo Kitty ciągle była obłożona różnymi magazynami modowymi i broszurami.

– Przede wszystkim konfekcja męska – powiedziała. – Ale także kostiumy i suknie dla pań.

Omali się wygadała, ale na szczęście udało się jej w porę zamilknąć i pozostawić swoje plany na przyszłość dla siebie. Malzer zerknął na wypisane przedsiębiorstwa i wzruszył ramionami.

– Spróbujemy. Lüders może wyszukać numery telefonów i adresy.

Marie była zadowolona.

– Widzimy się dzisiaj wieczorem, tato. Mam jeszcze kilka pomysłów, które chciałabym z tobą omówić.

Zrobił znów ponurą minę i zakręcił butelkę z koniakiem. Rozległ się cichy brzęk, bo drżała mu ręka. Potem usiadł znów przy biurku, sapiąc.

– Dzisiaj wieczorem, Marie. Przy żytnim chlebie i herbacie miętowej.

Przeszła z triumfalnym uśmiechem przez poczekalnię i ucieszyła się jeszcze bardziej, gdy usłyszała jego grzmiący głos „Lüders!”. Otilie Lüders musiała się oderwać od maszyny do pisania, wzięła w pośpiechu notes oraz ołówek i podążyła do wszechmogącego.

Na podwórzu padał gęsty śnieg. Marie przez chwilę stała w przedsionku, który chronił ją przed śniegiem, i przyglądała się płatkom wirującym w powietrzu. Przykryły już białą kołdrą całą ziemię oraz gzymsy budynków. Białe święta Bożego Narodzenia, pomyślała. Cieszyliśmy się wtedy na nie. I co z tego? Od dwóch tygodni nie otrzymała od Paula żadnego listu. Był w Rosji, w kraju, w którym śniegu było tak wiele, że sięgał koniom do brzuchów. Tam, gdzie termometr wskazuje dwadzieścia, trzydzieści stopni poniżej zera. To jest kraj, w którym armia wielkiego Napoleona zamarzała i wymarła

z głodu.

I wciąż jeszcze nie było odpowiedzi na jej podanie o powrót żołnierza Paula Melzera do Augsburga. Bądź silna, powtarzała sobie, czując ogarniającą ją rozpacz. Nigdy nie wolno tracić nadziei. Zobaczymy się znowu. Nie może być inaczej. Wiem o tym. Wiem.

9 Pojemnik na cygara.

Cisza była zabójcza. Zwłaszcza w nocy, gdy próbowano się zasnąć na mokrym materacu pod plandeką. Mimo wyczerpania Humbert mógł jedynie wpatrywać się w ciemność, czuć chłód w każdej części ciała i czekać. Kiedy pierwsze promienie słońca pojawiały się na horyzoncie, wszystko znowu się zaczynało. Prawie zawsze atakowano o świcie.

– To żeś się udał! – zażartował major. – Drzysz, jakbyś właśnie widział wybuchającą bombę.

– To z zimna, panie majorze.

– Więc wstań i sprawdź, czy moje ochraniacze są już suche.

Humbert podniósł się z legowiska i włączył latarkę, co natychmiast wywołało oburzenie jego towarzyszy.

– Wyłącz światło, idioto. Chcesz oberwać granatem w łeb?

– Och, zamknij się. O tej porze trudno cokolwiek robić.

Szczur przebiegł blisko Humberta, słyszał tupot łapek na drewnianej podłodze. Ze strachu upuścił latarkę, a ona poturlała się po ziemi, na szczęście się nie stłukła. Szczury wciąż wywoływały u niego panikę, ale jego stosunek do nich nieco się zmienił. Były to istoty współcierpiące z żołnierzami, razem z nimi stłoczone pod ziemią, też bały się wybuchów pocisków, uciekały wspólnie z żołnierzami w czasie ataków i na skutek eksplozji granatów były tak samo kaleczone i rozrywane jak ludzie. Szczury były ich towarzyszami, ich cieniami oraz grabarzami, bo zjadały ich zwłoki.

Humbert dotknął ochraniaczy, powieszonych na sznurku w nadziei, że wyschną. Były jednak tak samo mokre jak wcześniej. Wszystko tutaj było wilgotne, od bielizny po płaszcze, przede wszystkim buty i skarpety, które mimo drewnianej podłogi najczęściej taplały się w błocie.

– Jeszcze nie całkiem suche, panie majorze.

– No dobrze – warknął von Hagemann. – Ruszaj na miejsce zbiórki oficerów i poczekaj na mnie.

Były najróżniejsze rodzaje schronień w tym niekończącym się kłębowisku rowów, okopów i tranzei tworzących całość. Niektóre były całkiem wygodne, jeśli można było użyć tego określenia, zbudowane z drewna, wyposażone nawet w piec i miejsca do spania. Pochodziły one z pierwszego etapu walk. Później, gdy wykopywano coraz więcej schronów, a cały system podziemny stawał się poligonem dla szczurów i żołnierzy, robiono coraz bardziej prowizoryczne. Składały się z rozciągniętej plandeki, kilku desek i cuchnących koców, które właściwie nigdy nie wysychały. Sikanie i inne potrzeby załatwiali obok w dziurze, jeden z nich rano ją zakopywał, a na potem wykopywano kolejną. Nie robiło to już na nikim wrażenia. Smród prochu, mokrej ziemi i latryny ciągle im towarzyszył, więc nawet tego nie zauważano.

– Trzymasz się całkiem nieźle, mały – powiedział von Hagemann, gdy wpełzł do Humberta pod plandekę. – Sądziłem, że już przy pierwszym wybuchu stracisz

przytomność, ale porządnie wykonujesz swoje obowiązki, Humbert. Naprawdę dobrze sobie radzisz.

Zakaszła. Wszyscy byli przeziębieni. Nic dziwnego, skoro ciągle utrzymywała się wilgoć. Von Hagemann sztywnymi palcami wyciągnął paczkę papierosów z kieszeni płaszcza, otworzył i zaproponował jednego Humbertowi.

– Dziękuję, panie majorze.

Palił, kiedy się tylko dało. Pił też sznapsa w czasie odpoczynku i napychał się czekoladą. Wymieniano się regularnie na pozycjach: bycia na froncie, bycia w gotowości i oczekiwania w stanie spoczynku, tak by ludzie mogli choć trochę odpocząć od trudów walki na linii. Stan spoczynku był całkiem przyjemny, zabierano wówczas żołnierzy na teren oddalony od frontu, mogli spać dowolnie długo, dostawali suche ubrania, dobre jedzenie, mogli się wykapać, a oficerom oferowano nawet grę w kasynie oraz dziewczęta. Stan gotowości był znacznie mniej przyjemny, bo siedzieli wtedy przycupnięci tuż za okopami, zupełnie nieosłonięci przed pociskami. Cerowali wówczas swoje ubrania, palili, obierali się ze wszy i czekali na rozkaz „do okopów!”. Wszy były szczególnie niebezpieczne, bo przenosiły tyfus.

– Sam tego nie rozumiem, panie majorze – wyznał Humbert. – Wcześniej traciłem przytomność, gdy tylko usłyszałem wybuch granatu.

Von Hagemann podsunął mu ogień, Humbert odpalił papierosa, zaciągnął się z powodzeniem po raz pierwszy w życiu i poczuł, jak kręci mu się w głowie. Było to przyjemne uczucie, miał wrażenie absolutnej jasności w głowie. Oglądał teraz szalony film, na który składało się jego życie. Przesuwał mu się przed oczami z wielką precyzją, a każdy obraz był ostry jak brzytwa. Tylko on nie odgrywał w nim żadnej roli.

Von Hagemann postawił latarkę między plandeką a ukośnymi podporami, światło wpadło teraz ukośnie do małego pomieszczenia i namalowało żółtawy okrąg na drewnie, z którego zbudowana była przeciwległa ściana. Poza dwoma pustymi skrzyniami po amunicji, które służyły do siedzenia, znajdował się tam jedynie stos porzucanych mokrych koców, dwa pudła z zapasami jedzenia i kuchenka gazowa, przy której stały garnek i filiżanka na kawę.

– Przekłęty, bezsensowny rozkaz – przeklinał pod nosem von Hagemann. – Utrzymać pozycję. Gdy nie ma już nic więcej do zyskania. Odstawieni na bocznice. Inni walczą i dostają odznaczenia. Ja jestem na przegranej pozycji.

Humbert rozumiał gniew majora, nie współczuł mu jednak za bardzo. Sam był zadowolony, że walki w tym miejscu wkrótce się skończą. Żeby tylko faktycznie tak było! We wrześniu ogłoszono, że Niemcy wstrzymują natarcie, Francuzi jednak nie mieli zamiaru odpowiedzieć na tę pomyślną nowinę w analogiczny sposób. Przeciwnie – rozpoczęli atak. Twierdza Donaumont znów znalazła się w ich rękach, podobnie jak Fort de Vaux, który Niemcy zdobyli, okupując zwycięstwo ogromnymi stratami. Cóż za nedorzecznosc. Tyłu biednych chłopaków wykrwawiło się w błocie, ich zwłoki wciąż leżą w lejach po wybuchach bomb, za drutem kolczastym, bo grzebanie ich było zbyt niebezpieczne. I po co? Po nic. Francuzi odzyskali, co do nich należało.

– Można zwariować, Humbert – syknął von Hagemann.

Palił szybko, krótko się zaciągając. Jednego papierosa kończył palić, a drugiego

odpalał.

– Tam na górze siedzi grupa idiotów, którzy nic nie wiedzą o prowadzeniu wojny. Trzy tygodnie i zdobędziemy Verdun. Odeprzemy Francuzów. Trzy pułki. Jeden w środku, dwa skrzydłowe. Verdun otoczone i zdobyte. A potem Paryż. Ale Pétain wszystko zniszczył. Za długo czekaliśmy. Stłoczeni w tych przeklętych okopach...

Humbert przytaknął i z rozkoszą zaciągnął się papierosem. Jeszcze dwa dni, szacował, i zostaną zwolnieni z obowiązku i zabrani do strefy odpoczynku. Będzie tam spał jak kamień. Dzień i noc. A potem może już wojna dobiegnie końca. Im mocniej zaczynał na niego działać tytoń, tym mocniej wzrastało w nim przekonanie, że pozostanie przy życiu. Nie zostanie zabity, bo był tylko widzem tego okropnego filmu, nie grał w nim żadnej roli.

Major wciąż paplał o zmarnowanym szybkim zwycięstwie nad Francją, którego nie podarowano cesarzowi, bo główne dowództwo składa się z samych głupców i czarusiów. Humbert nie rozumiał ani słowa z opisu strategicznych manewrów, przedstawianych przez von Hagemanna jednym tchem, które doprowadziłyby do rychłego zwycięstwa, pozwalał mu jednak mówić i przytakiwał, jakby z wielkim zainteresowaniem nadażał za jego wywodem. Jedno było jasne: von Hagemann nie martwił się o młodych mężczyzn, którzy bezsensownie ginęli, lecz gnębił go fakt, że jego kariera wojskowa stanęła w miejscu. A w zeszłym roku wszystko tak obiecująco się zaczęło. Jego awans na majora, wyróżnienie podczas kampanii nad Marną. Operacja w Antwerpii. A teraz Belgia...

– A może w takim razie to dobry czas na mały urlop w ojczyźnie? – zapytał Humbert niewinnie.

Von Hagemann ziewnął i machnął ręką w geście zniechęcenia. Nie, nie widzi w tym sensu. Ziewnął ponownie i podał Humbertowi kolejnego papierosa. Nawet major miał problemy ze snem, to naprawdę był dobry czas na wymianę żołnierzy. Humbert zapalił drugiego papierosa i gdy wypuszczał dym z ust, usłyszał znajomy tupot. To dwa najpewniej wciąż młode szczury musiały schować się pod stertą koców. Oby tylko ich nie zjadły.

– Ojczyzna – powiedział von Hagemann w zamyśleniu. – Ja już chyba nie wiem, gdzie jest moja ojczyzna. Powiesz mi teraz, że w Augsburgu, w moim domu, przy żonie i rodzicach... Tak się właśnie wydaje. Oczywiście, jestem odpowiedzialny za moich rodziców, muszę się o nich troszczyć, przede wszystkim finansowo. A Elisabeth?

Wziął głęboki oddech. Elisabeth jest porządnym człowiekiem, dobrą partnerką życiową, tylko z dziećmi jakoś im nie wychodziło. Ale jeszcze będą je mieć... Później, po wojnie...

Zamilkł, znowu wpadając w zadumę, a i Humbert nie wiedział, co mógłby powiedzieć. Dym papierosowy unosił się niczym duszek w świetle rzucanym przez latarkę, wirował, tworzył różne kształty, a wreszcie obracał się w burą mgiełkę. Gdzieś ktoś chrapał, we francuskim obozie słychać było nocny wystrzał, prawdopodobnie oddany przez przypadek. Humbert kaszłał, przekłete przeziębienie, gardło znow go bolało przy przełykaniu. Gdyby chociaż miał suche, ciepłe stopy.

Von Hagemann miał potrzebę prowadzenia rozmowy, prawdopodobnie dlatego, że rozładowywał w ten sposób napięcie spowodowane bezsennością. Wiedziano, że

Francuzi chcą rozpocząć kontrofensywę, zapewne nastąpi to z samego rana. Zaatakują ich pozycję albo inną stronę okopów. Humbert miał nieustającą nadzieję, że Francuzi uderzą jednak gdzieś tam na zachodniej linii.

– Była wtedy tak wzruszająca – von Hagemann wznowił monolog. – Tak cierpliwa. I prawdopodobnie niesamowicie szczęśliwa, gdy wreszcie poprosiłem o jej rękę. Tak, Elisabeth jest świetnym kompanem, nie można powiedzieć.

To dlaczego ją oszukujesz, ty draniu, pomyślał Humbert.

Von Hagemann usiadł na skrzyni z szeroko rozstawionymi nogami, zgiął plecy i patrzył przed siebie. No tak, jego wielką miłością to ona nie była.

– Wiesz, jak to jest, Humbert? – zapytał cicho, patrząc wciąż przed siebie z uśmiechem. – Jak to jest, gdy widzisz przed sobą dziewczynę i nagle nie jesteś już tym samym człowiekiem, którym byłeś kiedyś? Gdy zaczynasz się zachowywać jak idiota, bo ona jest w twoim mózgu i sercu?

Uśmiechnął się. Wiedział przecież, że Humbertowi oszczędzono takich szaleństw. Jeśli w ogóle znał jakiegokolwiek. Ale on, Klaus von Hagemann, głupiał wtedy z miłości.

– Jej siostra. To ona doprowadziła mnie do szaleństwa. Słodka, anielska Kitty. Przekłeta, mała kokietka!

Humbertowi to określenie wydało się dość nieprzyjemne. Gdyby ta rozmowa odbywała się w posiadłości Melzerów, czułby się w obowiązku bronić swojej młodej pani. Byli jednak udręczeni w okopach pełnych błota i szczurów, podczas gdy ich wrogowie przygotowywali się do ataku. W tych okolicznościach puścił koło uszu tę zniewagę wypowiedzianą przez majora.

– Niepojęte! – mruknął von Hagemann, szukając w kieszeni płaszcza piersiówki. – Niewiarygodne, że właśnie ten nijaki facet ją zdobył. Alfons Bräuer – co w nim jest takiego poza stosem pieniędzy?

Odkręcił zakrętkę z butelki i wziął spory łyk, odczekał chwilę i podsunął butelkę Humbertowi. Najwyraźniej był szczęśliwy, że miał słuchacza, i chciał go nagrodzić.

– Whisky – powiedział z uśmiechem. – Najpewniej przemycona. Ale nie jest zła...

Humbertowi nie pasował zbytnio ten poczęstunek, bo jego gardło i tak już było poranione. Odmowa nie wchodziła jednak w grę, bo von Hagemann źle by to odebrał. Wziął więc tylko mały łyk, poczuł w gardle jakby ogień, aż skrzywił się z bólu.

– Grzeje, nie? – ucieszył się major i zabrał butelkę. – Tak, nie zawsze dostajemy od życia to, co byśmy chcieli, co?

Humbert potrząsnął głową, nie mógł mówić, bo jego gardło było jedną wielką raną.

– Caroline – powiedział von Hagemann czułym tonem. – Ona ma wiele wspólnego z Kitty. Ciemne włosy, duże oczy, małe krągłe piersi, jest szczupła i gibka. Ma piękne stópki. Caroline de Grignan. Ma dopiero siedemnaście lat, a matka strzeże jej niczym smoczyca.

Przerwał, bo w tej właśnie chwili rozległa się potężna eksplozja, usłyszeli przerażający trzask, głośniejszy niż te, do których byli przyzwyczajeni. A do tego jasny rozbłysk. Rzucili się na ziemię, a wokół nich strzelało, trzaskało i syczało, jakby chciano, aby wszelki ślad po nich zagaął. Towarzyszyły im głośne wrzaski wyrwanych ze snu żołnierzy.

- Wysadzili zapasy amunicji!
- Przeklęte dranie! Słyszycie, jak wiwatuja?

Faktycznie w przerwach między wybuchami było słycać wycie Francuzów, krzyczeli z zachwytu i strzelali z radości.

– Uważajcie, zaraz ruszą do ataku! – wrzasnął von Hagemann, który podniósł się z podłogi i próbował wydostać się spod plandeki, która na nich spadała. – Na pozycje. Naładować broń. Odeprzeć atak!

Kaszlał i jednocześnie przeklinał, bo żołnierze nie dość szybko zajmowali pozycje. Humbert wygramolił się wreszcie spod mokrej plandeki i przyczołgał się do swojego legowiska, przy którym zostawił broń. Czerń nocy została teraz rozświetlona żółtymi i czerwonymi płomieniami, a po chwili ziemia zaczęła wibrować od kolejnych wybuchów. Składnica była oddalona o co najmniej dwieście metrów, zakopana dość głęboko w ziemi i otoczona murem. Był to więc albo ślepy traf, albo ktoś zdradził wrogowi, gdzie znajduje się skład amunicji. Humbert zderzył się po drodze z kilkoma towarzyszami broni, którzy już biegli na pozycje, podczas gdy on, spóźnialski jak zawsze, najpierw musiał znaleźć swoją broń i ją załadować. Tymczasem w istocie Francuzi przypuścili atak. Wybuchy bomb wstrząsnęły niemieckimi okopami, nastąpiła seria wystrzałów, rozkazy krążyły w powietrzu, drewno skrzypiało.

– Tam są! – usłyszał, jak głos von Hagemanna wybija się pośród chaosu dźwięków.
– Nie śpieszcie się! Jeden strzał – jedno trafienie. Żaden Francuz nie przejdzie przez zasieki albo jutro będę nazywał się Emil!

Humbert zrzucił z siebie płaszcz i sięgnął po broń, ale chwycił jedynie powietrze. Z niedowierzaniem wpatrywał się w migoczącą żółto ciemność, ale broni tam nie było. Ktoś musiał się pomylić i wziąć jego. Z pustką w głowie i zmarznięty na kość, wspiął się na wał, przy którym, za workami z piaskiem, leżeli jego towarzysze, strzelając do atakujących Francuzów. Nacierali dużymi grupami, widać było coraz więcej przemykających w ciemności postaci, potykających się i chwiejących w pobliżu pozycji zajmowanych przez Niemców. Biegli pochyleni i strzelali, rzucali się na ziemię i znów się podnosili, albo nie. Inni czołgali się jak jaszczurki w zimnym błocie.

Tyle poświęcenia dla kawałka brudnej ziemi, pomyślał Humbert. Przeszedł go znany mu dreszcz. Kto chciałby go dostać? Tutaj przez wiele lat nie urośnie nawet trawa... Tuż obok jego towarzysz upadł z krótkim, głuchym trzaskiem na ziemię. To był czysty strzał w serce lub w płuca. Humbert nie poczuł przerażenia, to była zwyczajna rzeczywistość wojenna – oglądało się życie jako film, wyświetlany przed naszymi oczami. Zaciągnął martwego żołnierza do okopów, gdzie leżeli już inni ranni, a potem znów się wspiął na wał, żeby wziąć broń, która została na górze. W świetle płonącego magazynu widać było teraz ciemne sylwetki atakujących, którzy starali się przełamać linię wroga. Strzały padające z obu stron ogłuszały, a tam gdzie znajdowały się niemieckie pozycje obronne, artyleria grzmiała pełną mocą. Humbert czuł, jak jego ciało staje się dziwnie lekkie, lekkie jak u ducha, lekkie jak papier, który zwiewa wiatr.

Wpatrywał się we wrogów widocznych w pewnej odległości, którzy rozpaczliwie starali się przedostać przez ogrodzenie z drutu kolczastego i jeden po drugim padali.

Jak na jarmarku, pomyślał Humbert i zachichotał. Ogarnęło go szaleństwo, strzelał

na oślepa w tłum i nagle zorientował się, że został mu tylko jeden nabój. Na Maximilianstraße, przy fontannie Herkulesa, ustawiono mały kramik. Był pomalowany na czerwono i niebiesko i ozdobiony rysunkami wilków i lwów. Poustawiano tam postaci z tektury i wolno było do nich strzelać. Słyszał, że cicho się śmieje, pomyślał, że traci rozum. Był to jednak proces, któremu nie potrafił się przeciwstawić.

– Żaden nie może przedrzeć się przez zasieki, żołnierze! Zatrzymajcie ich tam! Ognia!

Coś poruszyło się na jego nodze, przebiegło na plecy, przeskoczyło przez głowę i zanurzyło się w szalejącym mroku, w którym słychać było jedynie wystrzały. Szczur! Otrząsnął się, podniósł się na kolana i rozejrzał, żeby sprawdzić, czy nie było w pobliżu więcej gryzoni.

– Na ziemię, ty idioto! – wrzasnął jego towarzysz.

Faktycznie, był drugi. Patrzył na niego błyszczącymi, wybałuszonymi oczami, wąsy miał rozłożone, futerko mokre i kudłate.

– Połóż się, kretynie! Chcesz dostać kulkę w łeb?

– Trzymaj go mocno, on stracił rozum!

W uszach Humberta dzwoniło, ciało drżało, a grzmiące wybuchy po prostu przez niego przelatywały, bo był tylko pustą skorupą, lekką jak zwęglona gałązka.

– Humbert! – ryknął znany mu głos. – Humbert, ty idioto! Co ty wyprawiasz?

Kto mógł być właścicielem tego jasnego, przenikliwego głosu, który wydawał teraz rozkazy? Nie mógł sobie przypomnieć, w głowie miał pustkę. Szczur przemknął obok niego i zniknął gdzieś w gradzie kul. Humbert podążał za nim. Schyłony szedł w noc, w obcy kraj, gdzie wystrzały dziurawiły ziemię.

– Dalej, żołnierze, nie zwracać uwagi, on i tak jest stracony!

Nie było łatwo iść za szczurem, bo małej bestii prawie nie było widać w ciemnościach. Mógł być wszędzie, utknąć między deskami w podłodze, między spalonymi gałęziami, za żołnierzami, którzy leżeli na ziemi przed drutem kolczastym. Niektórzy się poruszali, krzyczeli coś, jęczeli, wrzeszczeli. Jeden wycelował w niego, wystrzelił przez drut kolczasty i sam upadł na bok z bronią w ręce. Coś huknęło i syknęło w uszach Humberta, coś gorącego raniło policzek.

A więc tutaj był, mały uciekinier. Przykucnął przed nim, patrzył na niego błyszczącymi małymi oczkami i mył sobie wąsy. Zabawne stworzenie. Uśmiechnął się do niego, widział dobrze nawet jego ostre ząbki. Jego nos poruszał się dziwnie w tę i z powrotem.

– Nie pokonasz mnie – syknęło zwierzątko lekceważąco. – Jestem na to zbyt szybki i cwany.

Humbert rzucił się do przodu, udało mu się jednak złapać tylko chudy ogon, który wyslizgnął mu się między palcami. Upadł na mokre błoto, tuż przed drutem kolczastym. Pół metra dalej, a znalazłby się na ogrodzeniu i został przebit przez kolce. Szczur, mały i zwinny, prześlizgnął się pod nim i zniknął pośród martwych Francuzów.

– Czekał no, zaraz cię dopadnę!

Musiał mocno przyłgnąć do ziemi, bo granaty leciały ze świstem tuż nad nim

i wybuchały po francuskiej stronie. Puf! Grudy ziemi rozpryskiwały się wokół, kamienie, gałęzie, fragmenty ludzkiego ciała. Humbert drżał, śmiał się, trzymając twarz w ziemi, czuł jej lekko słonawy smak, wypluwał ją i ocierał usta rękawem.

Gdy odwrócił głowę, ujrzał blady, mleczyński świt nad wschodnim horyzontem. Za późno, pomyślał i śmiał się dalej. To po prostu przyszło tak, że nic nie mógł na to poradzić. Śmiech stał się jakby tworem niezależnym od niego, obezwładnił go. Wykorzystał krótką chwilę ciszy po wybuchu miny, żeby wstać i ostrożnie zacząć się wspinać po ogrodzeniu. Rozerwał przy tym kurtkę przy rękawie i zranił się w lewą rękę, bo nie chciał stanąć na nieruchomym ciele jednego z Francuzów. Szczur już dawno obiegł wszystkie leje pozostałe po wybuchach. On zygzakiem biegł dalej, bez celu, podążając za szczurem, między latającymi kulami i ogniem z karabinu maszynowego, nie czuł swoich stóp ani nóg. Wierzył, że leci szalonym lotem nad rozkopaną, zakrwawioną ziemią. Usłyszał dźwięk silników samolotowych i zobaczył dwa samoloty zwiadowcze lecące nad polem bitwy, pomachał im i ze zdumieniem spostrzegł, że z jego prawej dłoni kapie czerwona ciecz.

Krwawię, pomyślał i zachichotał. Jestem ranny! Machał rękami, jakby chciał się wznieść w niebo niczym ptak, rzucił się na francuską linię, żeby na tle porannego nieba przyjrzeć się wrogom.

– *Laisse – il est fou!*¹⁰ – krzyknął ktoś.

– *Mais c'est un allemand!*¹¹.

– *Tant pis!*¹².

Zobaczył przed sobą dwóch żołnierzy, którzy mieli na sobie fałszywe mundury. Broń, którą w niego mierzyli, również była inna. Szczur natomiast, ciesząc się w duchu, przycupnął na spalonym pniaku i różowymi łapkami mył szare wąsy. No już, powiedział. To są twoi wrogowie, weź ich do niewoli albo chociaż zastrzel.

– *Il n'a pas de fusil...*¹³.

Zbliżali się do niego, trzymając broń w pogotowiu. Huknęło mu w uszach, zrobił kilka kroków w ich stronę i wtedy znów opanował go ten głupi śmiech. Związał się ze śmiechem, zginał się wpół, klepał się po udach. Gdy atak minął, spojrzał prosto w dwie lufy karabinu. Nagle jego kończyny stały się ciężkie jak ołów, wydawało mu się, że zatapia się w jakimś miękkim podłożu.

– *Je suis... allemand...* – wyjąkał te słowa i zdziwił się, że mówi po francusku.

– *Nous sommes* – spróbował raz jeszcze. – *Sommes prisonniers de guerre*¹⁴.

Spojrzał na nich z uśmiechem i był z siebie nieskończenie dumny, że pamiętał ten francuski zwrot.

– *Prisonnier de guerre* – powiedział kolejny raz. Potem wyciągnął do nich ręce, ale gdy zobaczył jasnoczerwoną ciecz, która zdążyła już zmoczyć cały rękaw, zrobiło mu się niedobrze. Otworzył się przed nim ogromny wir, czarna, wirująca dziura, która go pochłonęła.

10 Franc. Zostawcie! On zwariował!

11 Franc. Ale to jest Niemiec!

12 Franc. To nieważne.

13 Franc. On nie ma broni.

14 Franc. My jesteśmy... Jesteśmy więźniami wojennymi.

Wspaniale, panie Bliefert! – Elisabeth pochwaliła starego ogrodnika, który przyniósł całe naręczce sosnowych gałęzi na pokryty śniegiem taras.

W wiązce były też gałęzie jałowca i szakłaku pospolitego oraz kilka gałązek cedru, z których zwisały grube szyszki.

– Jeśli tyle nie wystarczy, mogę przynieść jeszcze więcej, łaskawa pani – powiedział Bliefert, którego ucieszyła pochwała.

Był najstarszym pracownikiem w posiadłości, pamiętał ślub Alicii i Johanna trzydzieści lat temu, widział, jak dorastały ich dzieci.

– Jałowiec mocno się rozkrzewił, a tego przekłętego szakłaku to już w ogóle nie da się wykorzenić...

– Sądzę, że tyle wystarczy – powiedziała Elisabeth. – W tym roku niestety nie będzie wielkiej choinki ustawionej w holu, rozwiesimy po prostu girlandy i poustawiamy stroiki.

– Ja nawet tego nie żałuję za bardzo, łaskawa pani – przyznał Bliefert. – Byłoby pięknie, gdyby Gustav mógł mi pomóc. We dwóch bez problemu byśmy ścieli duże drzewko i przynieśli do holu. Ale ja sam nie dałbym sobie rady.

– Z pewnością – odpowiedziała Elisabeth, która drżała z zimna, bo nie włożyła płaszcza. – A jakąś małą choinkę na górę... dałby pan radę?

– Ależ oczywiście! – wykrzyknął Bliefert. – Przecież choinka w czerwonym salonie to jest co roku niespodzianka dla szanownych rodziców, prawda? Ech, to są pierwsze święta, których nie spędza z nami młody pan...

– Tak niestety jest. Ale nie mamy powodu do narzekania, bo wiele rodzin w naszym kraju jest w znacznie gorszej sytuacji. Ogromne dzięki, panie Bliefert.

Kiwnął głową i zaśnieżoną parkową drogą podreptał z powrotem do swojego domku. Elisabeth otrząsnęła się z narastającego w niej smutku i razem z Else i Auguste zniosła gałęzie do kuchni, żeby powiązać je w girlandy i stroiki. Rozmawiała też z Eleonore Schmalzler, gdzie można by umieścić świąteczne ozdoby tak, by swym widokiem cieszyły oczy pacjentów, ale nie zagradzały przejścia.

– Duża girlanda na klatce schodowej, łaskawa pani – powiedziała Schmalzler. – Można też kilka przymocować do poręczy i udekorować je czerwonymi wstążkami.

– Dobry pomysł! Jedną można też zawiesić nad drzwiami, a jeden ze stroików ustawić na środku stołu w sali dla pacjentów.

Eleonore Schmalzler spuściła głowę i zauważyła, że na stole będą ustawiane rozmaite dania.

– No to będziemy musieli trochę bardziej uważać i będzie w porządku.

– A girlandy nie mogą się znajdować blisko łóżek chorych, łaskawa pani, bo gałązki zaczną tracić igły.

– Będziemy na to uważać.

Eleonore Schmalzler odeszła pośpiesznie, a Elisabeth poszła za nią do szpitala.

Nowi pacjenci mieli zostać przywiezieni około jedenastej, chciała być więc na miejscu z ołówkiem i notesem, żeby dopilnować porządku. Ostatnio przywieziono rannego pacjenta, którego nie było na liście. Okazało się, że była to jedynie nieszkodliwa pomyłka, ale mógł być przecież angielskim szpiegiem. Albo jeńcem wojennym, który uciekł z niewoli. Elisabeth cieszyła się, że gospodyni z takim rozsądkiem i spokojem wykonuje swoje nowe zadania. Ona sama była pełna wątpliwości i lęków, które starannie ukrywała przed innymi. Zupełnie inaczej wyobrażała sobie pracę pielęgniarki. Jako kwintesencję miłosierdzia i dobroczynności. Nawet się jej nie śniło, jak brzydkie i banalne mogą być niektóre prace i jak bardzo będzie musiała przekroczyć granice swojej nieśmiałości. Ale ranni mężczyźni zupełnie nie zważali na pruderyjne wychowanie panien z wyższych sfer. Trudniejsze jednak było patrzeć na całą tę nędzę, pocieszanie, gdy żadne pocieszenie nie było już możliwe, dawanie nadziei, gdy samemu się już nie wierzyło w swoje słowa. Chodziła między łózkami, wysłuchiwała próśb pacjentów, słuchała ich skarg, wspierała. Przed drzwiami na taras ustawiono dwa stoły, żeby rekonwalescenci mogli stąd patrzeć na park, gdy rozmawiali ze sobą albo pisali listy.

W tej chwili przy jednym z nich siedział młody sierżant zagłębiany w lekturze książki, a przy drugim dwóch żołnierzy, którzy z ożywieniem rozmawiali o swoich doświadczeniach z młodymi Francuzkami. Wyglądają tak nieszkodliwie, pomyślała Elisabeth i samą ją zdziwiła ta myśl. Większość nosiła tylko spodnie i koszule, wielu było owiniętych bandażami, tylko oficerowie przykładali wagę do tego, żeby również w lazarecie nosić mundury, bo chcieli, by traktowano ich w odpowiedni sposób. I wszyscy ci żołnierze służyli w niepokonanej niemieckiej armii, która niebawem miała podbić całą Europę. Oczywiście jeśli wierzyć temu, co Klaus tak dobitnie podkreślał w swoich listach.

Ach, Klaus! Na początku wojny znajdował dla niej jeszcze kilka czułych słów, potem zaczął się ograniczać do opisu własnej sytuacji, własnych potrzeb (ciepła bielizna, płaszcz przeciwdeszczowy, wełniany koc i tak dalej) i kilku stanowczych zapewnień o rychłym zwycięstwie ich ojczyzny. Listy były podpisane „Twój kochający mąż”. Elisabeth początkowo starała się opowiadać o zdarzeniach z jej życia w ojczyźnie, pisała o tęsknocie za nim, o nadziei, że wkrótce będzie mogła go poczuć u swojego boku. On jednak zupełnie nie reagował na jej czułe słowa, ograniczał się do krótkich informacji, w których podawał same fakty. To ta długa rozłąka, myślała. Oddala nas od siebie. I możliwe, że przeżył coś okropnego, o czym nie chce powiedzieć. Gdy tylko znów będą razem, wszystko się zmieni. Znajdą też wtedy rozwiązanie problemów finansowych. A jeśli Bóg tak zechce... może... będą mieli dziecko. To bywa tak, jak mówi mama. U niektórych par trwa to po prostu dłużej. A często dzieje się wtedy, gdy już straciło się nadzieję, że to kiedykolwiek nastąpi.

Pomogła pacjentowi ze zranioną głową wypić herbatę miętową z pojnika i poszła do kuchni. Eleonore Schmalzler oczywiście ustaliła już dawno jadłospis tygodniowy z Brunnenmayer, ale Elisabeth chciała mimo to usłyszeć, jak wygląda zaopatrzenie lazaretu. W całym kraju brakowało żywności. W czasach pokoju nie sądzono, że głód może dotknąć nie tylko dzielnicę nędzy, ale również ludzi dobrze sytuowanych. Z powodu deszczowej jesieni ziemniaki zgniły na polach, co najmniej połowa zbiorów

przepadła. I to właśnie teraz, gdy trwała ta okropna wojna. Zamiast kartofli wydawano więc brukiew; w czasach pokoju była to pasza dla bydła, a teraz ostatni ratunek dla głodujących ludzi. Brakowało mąki, mleka i tłuszczu, racje chleba wydzielano coraz mniejsze. W najlepszej sytuacji byli rolnicy, którzy musieli co prawda oddawać żywność, ale i tak każdy wiedział, że najlepsze kawałki boczku i masło zostawiali dla siebie. Paczki z Pomorza, ku wielkiemu ubolewaniu Melzerów, przychodziły coraz rzadziej, prawdopodobnie niektóre z nich gdzieś ginęły, a poczta nie wiedziała, jak to wyjaśnić. Dobrze, że instytucje takie jak lazarety otrzymywały specjalne racje żywnościowe, tak żeby ranni byli odpowiednio odżywiani.

Stała chwilę w drzwiach do kuchni i dotykając drewnianej futryny, zastanawiała się, czy dwa gwoździe wystarczą, żeby powiesić tutaj bożonarodzeniową girlandę. Wtedy usłyszała zdanie, które wydało się jej podejrzanym.

– On bezpłodny? To śmieszne. Przyjrzałaś się dobrze Liesel?

– Liesel? Ach, masz na myśli tę małą Auguste. Przecież to jest trzyletnie dziecko, co tam w ogóle można dostrzec?

Elisabeth została pod drzwiami, choć wiedziała, że podsłuchiwanie rozmowy dwóch pielęgniarek, które właśnie miały przerwę śniadaniową, nie było właściwe. O kim mówiły? Chyba jedynie o Gustavie Bliefercie, który był teraz na wojnie. Mężu Auguste i ojcu małej Liesel. Tej, która była jej chrześnicą.

– Bo ty nie znasz majora tak dobrze jak ja. Moja matka była opiekunką do dzieci u baronowej von Hagemann, widziała więc przystojnego pana od najmłodszych lat. Zresztą niewiele brakowało, a byłabym teraz w sytuacji Auguste.

– A o co chodzi z tą Auguste?

Młoda pielęgniarka, to była Herta, arogancka osoba, zaczęła cicho chichotać i stwierdziła, że Auguste jest bardzo przebiegła.

– Podrzuciła Gustawowi do gniazda kukułcze jajo. Ale on jest dobrodusznym człowiekiem i się tym nie przejął.

– Twierdzisz, że mała jest córką majora?

– Tak, oczywiście. Bardzo szybko to poszło.

– Ach, co za nonsens. Nie widzę w małej podobieństwa...

– Ja tam swoje wiem.

– Cicho, kucharka. Ona zawsze wszystko słyszy. Nawet wtedy, gdy wydaje się, że nie zwraca uwagi.

Elisabeth czuła się jak sparaliżowana. Odwróciła się i poszła prosto do szpitala. Cóż to za podłe oszczerstwa. Wstrętne kłamstwa. Już ona się z nią porachuje. Zabroni jej rozpowiadać takie złośliwości. Również ze względu na Auguste. Auguste. Twierdziła wtedy, że ojcem dziecka jest Robert, były kamerdyner. Oczywiście, to Robert był ojcem małej Elisabeth. Chociaż przysięgał wtedy na wszystko, że nim nie jest. Ale jest. Przychodziły jej do głowy myśli, które natychmiast odrzucała. A jednak... A jeśli Auguste z nim...

– Pani von Hagemann? Proszę mi wybaczyć, jeśli pani przeszkodziłem. Moje nazwisko Winkler. Sebastian Winkler. Byłem pacjentem w szpitalu. Może mnie pani pamiętać?

Wysoki, barczysty mężczyzna stał przed nią, patrzył na nią przez okulary w drucianych oprawkach i uśmiechał się nieśmiało. Pożyczyła mu wówczas *Odyseję* w tłumaczeniu Vossa oraz w greckim oryginale. To było dla niego objawienie, był jej wdzięczny z całego serca. Elisabeth zaczęła grzebać w pamięci. Mój Boże, dlaczego go nie pamiętała? Żenujące. Spojrzała na jego stopy i doznała ulgi. Prawa stopa amputowana z powodu gangreny.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się. – Jak pana stopa?

Wyciągnął prawą nogę do przodu i potem przesunął z powrotem do tyłu.

– Z protezą radzę sobie doskonale, tylko rany wciąż się otwierają i to jest problem. Ale to z pewnością minie z czasem.

– No proszę – powiedziała Elisabeth. – A wtedy pan się martwił, że nie będzie już mógł chodzić.

– Ach, biegam niczym łasica. Tylko wolniej.

Oboje się zaśmiali, jego wisielczy humor był wzruszający. Tak naprawdę był przecież w znacznie lepszej sytuacji niż ci biedacy, którzy mieli uszkodzony mózg albo stracili wzrok.

– Czy mogę coś dla pana zrobić, panie Winkler? Musi mi pan wybaczyć, ale mój czas jest niestety dość ograniczony. Czekamy na przyjazd nowych pacjentów.

Zesztywniał i uniosł nieco wyżej ramiona. W jego postawie było coś służalczego. Zdawał sobie sprawę, że pochodził z ubogiej warstwy społecznej i żona majora, przynajmniej w jego oczach, stała wyżej. Fizycznie natomiast to on był od niej co najmniej o głowę wyższy.

– Przykro mi bardzo, że przychodzę nie w porę, łaskawa pani. W żadnym razie nie chcę zajmować pani cennego czasu. Chodzi o dzieci...

– Dzieci?

– Moje sieroty... Przepraszam, zapomniałem wspomnieć, że w międzyczasie przejąłem prowadzenie sierocińca. Wielbny Leutwien, który odwiedzał nas w lazarecie, mi w tym pomógł, za co jestem mu dogonnie wdzięczny. Ach, droga pani von Hagemann, pewnie by pani nie uwierzyła, ile trafia do nas dzieci, które straciły rodziców. Oczywiście, Kościół robi, co może, również miasto i organizacje charytatywne pomagają nam napęłnić te małe żołądki. Ale przede wszystkim jesteśmy zależni od darowizn.

– Rozumiem, panie... panie Wiesler.

Zrobił się czerwony i powiedział, że nie nazywa się Wiesler, tylko Winkler. Elisabeth zdenerwowała jej własna niedbałość. Wtedy zauważyła poruszenie w tylnej części sali szpitalnej, prawdopodobnie przyjechał samochód z kolejnymi chorymi.

– Panie Winkler, bardzo przepraszam. Przy najbliższej okazji porozmawiam na ten temat z moją rodziną.

Stało się dla niego jasne, że Elisabeth chce się go pozbyć, ale wykazał się wytrwałością.

– Takie ciężkie czasy zwłaszcza dla najsłabszych są szczególnie okrutne, łaskawa pani. Sama przecież ma pani dzieci.

Poczuła się nieprzyjemnie dotknięta. Zapewne widział, jak bawiła się z Leo i Dodo w parku, i pomyślał, że to są jej dzieci.

– Powiedziałaś przecież, że o tym porozmawiam. Sierociniec, powiedział pan? Tutaj w Augsburgu?

Spojrzał w stronę wejścia, przez które byli właśnie wnoszeni pierwsi z nowych pacjentów.

– Jeśli można, zjawię się znów u państwa przed świętami Bożego Narodzenia – powiedział. – Proszę przekazać pozdrowienia pielęgniarkom, które tak wspinał się mną zajęły. A także pannie Jordan.

Elisabeth chciała się już pożegnać przyjaznym gestem, ale teraz była zaskoczona.

– Zna pan Marię Jordan?

Znowu zrobił się czerwony. To jego niezwyk-le jasna skóra sprawiała, że widać na niej było wszelkie emocje. Prawdopodobnie jemu samemu nie było z tym dobrze, ale jej się to nawet spodobało. Taki duży, silny mężczyzna, a taki nieśmiały i wstydlivy.

– To za dużo powiedziane, że ją znam. Trzykrotnie spotkaliśmy się na tarasie i powiedziała mi, że jest tutaj zatrudniona jako pokojówka.

No patrzcie, pomyślała Elisabeth. Jordan. Przedstawiła swoją sytuację w znacznie weselszych barwach, niż wygląda ona w rzeczywistości.

– Przekażę to pannie Jordan, panie Winkler.

Podziękował i wykonał ruch, który przypominał lekki ukłon. Elisabeth uśmiechnęła się z pobłażaniem. Cóż za sympatyczny człowiek. Wyleczył poważne wojenne rany i znalazł nowy cel w życiu. Godne podziwu i naśladowania. Fakt, że Maria Jordan zrobiła na nim tak duże wrażenie, niespecjalnie jej się spodobał. Z drugiej strony w dość niepomyślnej sytuacji Jordan mógłby to być prawdziwy łut szczęścia, gdyby mogła schronić się w małżeństwie. Biedna błąka się ciągle między mieszkaniem na Bismarckstraße i posiadłością Melzerów, narzeka na to, że baronowa źle ją traktuje, nie odważyła się natomiast poprosić Marie o rozmowę. Unika jej, wykonuje w milczeniu poprawki krawieckie i siedzi w kuchni przy stole. Brunnenmayer, która zwykle dość często kłóciła się z Jordan, teraz mocno jej współczuła i – jak powiedziała jej Auguste – karmiła ją gulaszem z brukwi. Myśli kłębiły się w głowie Elisabeth – zobaczyła nagle uśmiechniętą, zaróżowioną twarz Auguste i poczuła ogromny gniew. Ta kobieta była przecież zdolna do wszystkiego. Nawet do tak okropnego oszustwa...

– Pani von Hagemann, musimy operować!

Elisabeth wzdrygnęła się i pobiegła do pokoju zabiegowego. Do lazaretu biegła też Tilly, która okazała się nieocenioną pomocą podczas operacji. Niewielkie pomieszczenie wypełnił nieprzyjemny zapach eteru, a ranny już leżał na stole operacyjnym. Doktor Grei-ner założył mu maskę z eterem na twarz, podczas gdy doktor Moebius oglądał z gniewną miną postrzępioną, jęczącą się ranę na udzie młodego mężczyzny.

– Nikt jej nie zabandażował ani nie obejrzał, to niedobrze – denerwował się. – Tego typu rany trzeba chociaż zabezpieczyć bandażem, ale jak się wydaje, kolegom zabrakło materiału.

Elisabeth chwyciła młodego mężczyznę za nadgarstek, żeby sprawdzić puls. Był niewiarygodnie szybki – biedak miał gorączkę.

– Niech pan liczy, poruczniku. Tylko głośno, żebyśmy słyszeli!

– Raz, dwa, trzy, cztery...

Głos rannego był głuchy, a maska na twarzy wzmacniała ten efekt. Elisabeth wydawało się jednak, że już gdzieś ten głos słyszała. Greiner ponownie zamoczył materiał w eterze i porucznik przy dziesięciu zanurzył się w sen. Doktor Moebius rozpoczął żmudną pracę. W ranie tkwiło mnóstwo odłamków granatu, które trzeba było wyciągnąć pęsetą. Słychać było brzęk metalu za każdym razem, gdy odłamki spadały na tackę, którą trzymała Tilly.

– Puls słabnie – meldowała Elisabeth.

– Zajmij się szybko tkankami, Moebius – powiedział doktor Greiner. – Nie może dłużej być we śnie, bo nam zupełnie odleci.

Elisabeth czuła, że robi się jej niedobrze. Zapach eteru zmieszany z okropnym odorem ropiejącej rany był prawdziwym sprawdzianem dla każdej pielęgniarki. Nie bądź słaba, myślała. Tylko nie mdlej. Gdybyś teraz straciła przytomność, Herta śmiałaby się z ciebie do końca życia.

Spojrzała na Tilly, która była bardzo blada i z pewnością zmagala się z podobnymi uczuciami. Doktor Greiner mrucał do siebie, że ropiejące rany są tak samo przeklęte jak ta bezsensowna wojna. Tylko doktor Moebius był całkowicie skupiony na swojej pracy, dawał swoim pomocnikom krótkie polecenia, a jego palce poruszały się szybko i sprawnie.

– No to już. Teraz mogą panie go zabandażować. Lekko. Nie zaciskać mocno.

Wyprostował się i podszedł do umywalki, żeby umyć ręce.

– Jak on się nazywa? – zapytał przez ramię. – Brzmiało jakoś tak z pruska. Von Klitzing... von Klausewitz...?

– Von Klippstein – powiedziała Tilly, gdy Elisabeth pomagała jej zakładać bandaż. – Ernst von Klippstein. Chyba pochodzi z Berlina. Chyba nie jest obywatelem pruskim.

Spojrzała z uśmiechem w stronę doktora Moebiusa, który wycierał ręce w jedną ze strzeżonych, bo wykonanych z czystej bawełny, ściereczek. Przez chwilę ich oczy, pełne tęsknoty i jednoczesnego uczucia rezygnacji, spotkały się, a potem Tilly wróciła do swojej pracy, a doktor Moebius sprawdził tętno pacjenta.

– Ernst von Klippstein? – spytała Elisabeth raczej zdziwiona niż przestraszona. – To jest przecież nasz dobry znajomy. On jest nawet spokrewniony z Klausem.

– Naprawdę? – upewniła się Tilly, marszcząc czoło. – Masz rację, Liso. Teraz ja też sobie przypominam. On był chyba nawet na waszym przyjęciu zaręczynowym.

– Ze swoją żoną. Jak ona się nazywa?

– Adele – odpowiedziała Tilly. – Okropna kobieta.

– Psst, Tilly. On może nas słyszeć!

Lekarz zdjął ściereczkę nasączoną eterem z twarzy porucznika i obie kobiety spojrzały na siebie zaniepokojone. Tak, bez wątplenia był to Ernst von Klippstein, młody porucznik z Berlina, krewny von Hagemannów. Wojna uczyniła jednak z niego cień samego siebie. Twarz i ciało miał wychudzone, policzki zapadnięte, usta sine. Krótka blond broda pokrywała teraz podbródek i policzki – odkąd został ranny, nie był w stanie się golić, tak jak wielu innych pacjentów.

– Nie usłyszysz – powiedział lekarz z żalem. – Może już nigdy więcej. Nie wygląda

to dobrze, Moebius. Może być tak, że znowu zostaniemy wykiwani przez naszą dobrą towarzyszkę...

– Jaką znowu dobrą towarzyszkę? – zapytała naiwnie Tilly.

– Towarzyszkę śmierć, dziewczyno. Jedyłą, która w tych czasach zbiera bogate żniwo.

Hanna położyła obie ręce na stole i pochyliła się do przodu, żeby nic nie umknęło jej uwagi. Prawy palec wskazujący Marii Jordan wędrował wzdłuż rzędów kart i szybko pukał w każdą z nich.

– ...cztery... pięć... sześć... młody mężczyzna... jeden... dwa... trzy... cztery... pięć... sześć... długa droga... jeden... dwa... trzy... do ciebie do domu... tak, do ciebie, Brunnenmayer.

Kucharka siedziała na końcu kuchennego stołu, przy ciepłej kuchni, i co najmniej z taką samą fascynacją jak Hanna patrzyła na karty. Za nią podgrzewała się reszta gulaszu z brukwi – dla starego ogrodnika Blieferta i dwóch maluchów Auguste.

– Co za niedorzeczności pani mówi? – Brunnenmayer napadła na Jordan. – Myśli pani, że w moim wieku jeszcze mogę wziąć sobie kochanka? Wyglądam na taką?

Maria Jordan zrobiła taką minę, jakby to ona wiedziała lepiej, i kontynuowała liczenie. Do kuchni wchodziła właśnie Else, która niosła puste naczynia państwa do mycia.

– Nie można wierzyć w ani jedno słowo naszej Marii! – wykrzyknęła do kucharki. – Wszystko to brednie i kłamstwa!

Hanna otworzyła usta, żeby bronić wróżb Marii Jordan, ale się powstrzymała. Mądrzej było się nie ujawniać.

– Dlatego że u ciebie miłość wciąż każe na siebie czekać? – rzuciła zaczepnie Maria Jordan w stronę Else. – A czy to takie dziwne? Wszyscy mężczyźni są przecież na wojnie. Jak miałybyśmy teraz mieć szczęście w miłości?

Else postawiła stos brudnych naczyń w zlewie i powstrzymała się od odpowiedzi. Biedna, pomyślała Hanna. Ciągłe wpatruje się w doktora Moebiusa, ale ten spogląda tylko na Tilly Bräuer. Nic dziwnego, ona jest nie tylko młoda i śliczna, ale do tego bogata.

– Niech mi pani opowie coś o Humbercie, Mario! – krzyknęła lekceważąco Brunnenmayer. – Zaginął przecież, biedny chłopak. Ale ja wiem, że on żyje. Przeczucie mi to mówi.

Maria Jordan znów zaczęła rozkładać karty.

– ...bardzo długa droga... trzy... cztery... pięć... sześć... Jezu, naprzeciw niego stoi król trefl.

– Co to znaczy? Słuchaj no, Mario. Ja nie zapłaciłam za słuchanie złych wiadomości.

– Niechże będzie pani cicho, Brunnenmayer. Tu! Dama karo i siódemka, czyli ślub nawet. Kto by pomyślał?

Fanny Brunnenmayer wyjęła chusteczkę, żeby wysmarkać nos. Mogła się tego domyślić. Else miała rację, stawianie kart to jedno wielkie oszustwo.

– W każdym razie on na pewno wróci – upierała się Maria Jordan; była przyzwyczajona do sceptycznej klienteli, która nie dawała się łatwo zbić z tropu. – Ale chwilę to potrwa. Równie dobrze może być teraz gdzieś w niewoli, biedak. Musi

pracować dla wroga. Tak teraz u niego jest.

Brunnenmayer uniosła wysoko głowę i schowała chusteczkę do kieszeni fartucha. Ona może sobie teraz spokojnie spakować te swoje karty, powiedziała do Jordan. Tylko niech sobie nie roi, że ona jej zapłaci choćby feniga za te bzdury. Rzuciła gniewne spojrzenie na wózek, który załadowany gulaszem stał obok kuchni.

– Chcesz zagłodzić tych biednych chłopaków, Hanno? Idźże już do fabryki!

– Ale łaskawa pani mnie jeszcze nie wołała!

– Ona dzisiaj z tobą nie idzie – oznajmiła Else. – Jest w szpitalu przy jakimś znajomym. Poruczniku von Klapprot czy coś podobnego. Herta mówi, że z nim... to już nie potrwa długo.

– Ach tak...

Hanna zeskoczyła z ławki i pobiegła na korytarz, żeby włożyć płaszcz i buty. Śnieg zaczynał padać, na drogach zrobiła się żółtawa breja. Nie były to dobre warunki do jazdy z drewnianym wózkiem. Sprawdziła ostrożnie, czy mała paczuszka wciąż jest w kieszeni jej płaszcza, a potem wyciągnęła skrzypiący wózek na zewnątrz. Bardzo jej to właściwie odpowiadało, że łaskawa pani dzisiaj z nią nie szła. W ciągu ostatnich dni musiała wysłuchiwać wielu ostrzeżeń i dobrych rad, miała serdecznie dość tych wszystkich mądrości. Przecież nie była już dzieckiem, miała szesnaście lat i zarabiała własne pieniądze. Niewiele, ale zawsze. I nikt nie musiał jej mówić, co robią ze sobą mężczyźni i kobiety, bo zrozumiała to już jako dziewczynka, gdy matka przyprowadzała wujków. Wiedziała też, że przez to można mieć dziecko, nie była przecież idiotką. Żelazny garnek na wózku był wciąż gorący, stwierdziła, delikatnie go dotykając. Gdy będzie wracać, musi wziąć trochę węgla do kuchennego pieca. W fabryce mają teraz całą górę węgla, potrzebny jest do maszyny parowej, więc bez trudu powinna wyłudzić trochę do spalania w posiadłości. Splunęła w dłonie, zanim chwyciła za drążek wózka, bo wtedy mniej się jej ślizgał, i poczłapała przed siebie. Znowu poczuła ten wspaniały niepokój i denerwowała się, gdy koło utknęło w błocie, bo musiała ciągnąć wózek z całych sił, żeby go uwolnić. Dzban dopóty wodę nosi, dopóki nie pęknie, pomyślała i zadumała się. To nie było przysłowie, ale teraz jej pasowało. Gdy dotarła do bramy fabryki i stróż jej otworzył, poczuła mocniejsze bicie serca.

– No, dziewczyno – przywitał ją Gruber. – Oczekują cię z niecierpliwością. Nazwali cię nawet brukwiową Hanną.

– Brukwiową Hanną? – wrzasnęła oburzona. – Kto tak powiedział?

Portier Gruber wzruszył ramionami.

– Tego nie wiem. Oni się tutaj po prostu zadomowili, nie bierz tego zbyt poważnie.

Hanna ciągnęła wózek przez bramę i doszła do wniosku, że mogły to wymyślić tylko pracownice. Jeńcy wojenni na pewno nie, oni nawet nie znali dobrze niemieckiego, żeby wymyślić taki złośliwy przydomek. Bo może ona jest taka niezgrabna jak brukiew, co? W pakowalni czekały już dwie kobiety, na które dzisiaj przypadło rozdawanie żywności i zmywanie. Byli też już na miejscu dwaj strażnicy, którzy w mundurach wyglądali jak chłopcy. Ale mieli dopiero po siedemnaście lat, byli rok starsi od niej.

– Przyszłaś dzisiaj później.

– Lepiej późno niż wcale – odpowiedziała wyniośle.

Pocierała zmarznięte palce, podczas gdy obie kobiety zdjęły garnek z wózka i odsunęły pokrywę. Zapach gotowanych kartofli, selera i brukwi wypełnił pakowalnię i Hanna poczuła, że sama jest głodna. Właściwie tak było cały czas, po prostu ciągle była głodna. Porcje, które otrzymywała w posiadłości Melzerów, najwyraźniej nie były dla niej wystarczające.

– Chleb jest twardy jak kamień – gderały kobiety. – Potrzebna byłaby siekiera, żeby go porąbać na kawałki.

Pracownice zaczęły napełniać blaszane talerze, a Hanna zajęła się chlebem. Miękki faktycznie nie był, ale dał się kroić, a poza tym można go było maczać w zupie. Musiała uważać, żeby nie upuścić noża, bo drżały jej ręce. Za nią wchodzili właśnie do pomieszczenia jeńcy, każdy brał talerz z gulaszem, chwycił łyżkę i siadał na ławce albo na skrzyni, żeby zjeść. Czuła jego wzrok na plecach. To było bardzo ekscytujące odczucie, jakby wylewało się jej na plecy gorące żelazo. Z trudem zmusiła się, żeby nie przerwać pracy, pokroiła cały chleb, włożyła do koszyka i odwróciła się. Był tam. Siedział na skrzynce i jadł gulasz, nie patrzył na nią, ale wiedziała, że to na niej skupia całą swoją uwagę. Powiedział jej kiedyś, że nie może na nią patrzeć, bo inni by to od razu dostrzegli, o czy by go zdradziły. Przeszła się wokół z koszykiem z chlebem, każdy z mężczyzn wziął kromkę, podziękował i jadł dalej. Grigorij sięgnął bardzo wolno do koszyka, a gdy wyjmował kromkę, położył dłoń na jej dłoni. Gdy jej dotknął, przeszył ją dreszcz, a włosy stanęły dęba. Jak to możliwe, że taki delikatny dotyk dłoni wystarczył, żeby wywołało to w niej tak silne odczucia? A może był jakimś magiem? Zaczarował ją, że teraz należy tylko i wyłącznie do niego? Jej włosy, jej skóra. Ach, gdyby tylko tak mogło być!

W nieogrzewanym pomieszczeniu było zimno, w wydychanym powietrzu unosiła się para, wczoraj na szybach wyrosły lodowe kwiaty. Mężczyźni mimo to cieszyli się z przerwy i z ciepłego posiłku, przeżuwali zamyśleni, wycierali chlebem resztki z blaszanych talerzy. Grigorij pierwszy oddał puste naczynie, a potem wyszedł powoli, żeby przejść się po podwórzu. Strażnicy pozwolili mu wyjść, było bardziej niż nieprawdopodobne, że ucieknie. Nawet gdyby mu się udało przejść przez mur fabryczny, gdzie mógłby się ukryć w biały dzień? Każdy zresztą wiedział, co groziło jeńcowi, którego złapano na próbie ucieczki.

Hanna obserwowała dwie kobiety i strażników, którzy stali przy garnku z potrawą. Jeśli zostało tam odrobinę gulaszu, na pewno się nim podzielili. Każdy pilnował, żeby nie dostał mniej przy podziale, więc nikt nie patrzył na drzwi. Inni jeńcy od dawna wiedzieli, co się święci, ale nie zdradzali kolegi. Trzej Francuzi też byli solidarni z resztą.

Teraz nadszedł czas. Jedna z kobiet zdjęła pokrywę z garnka, druga wybierała łyżką resztki. Hanna bez pośpiechu, ale bezgłośnie podeszła do wyjścia. Drzwi już nie skrzypiały, odkąd Grigorij, gdy nikt go nie pilnował, naoliwił zawiasy.

Czekał na nią. Spojrzenie jego czarnych oczu sprawiło, że zadrżała. Poszła za nim do małego pomieszczenia, służącego za składzik, gdzie znajdowały się poupychane na regałach paczki papieru, sznurki, naklejki, folie ochronne i inne produkty, z których nikt nie korzystał bez wyraźnej potrzeby. W środku było duszno, okien najpewniej nigdy tutaj nie otwierano. Na biurku, które pamiętało lepsze czasy, leżały stosy jakichś formularzy, stemple i pojemniczki z atramentem do wiecznych piór. Wcześniej przez całe dni

wysyłano stąd w świat materiały Melzera. Teraz kobiety pakowały tutaj to, co wyprodukowano, jedynie wieczorami, bo wydajność pracy w fabryce nawet teraz była co najmniej o połowę mniejsza niż kiedyś.

Stała z bijącym sercem i czekała. Czy ktoś mógł im przeszkodzić? Jakiś jeniec, pracownica, która akurat wyjdzie na podwórze? Grigorij był sprytny. Mógł od razu zatrzaskać drzwi i podskoczyć do niej, ale musiał być ostrożny. To, co tutaj robili, mogło ich kosztować życie.

Słychać było tylko ciche skrzypnięcie drzwi. Uśmiechnął się do niej, przebiegle i czule, wypełnił swoją obecnością całe pomieszczenie. Pachniał olejem i węglem, męskim potem i swoimi czarnymi włosami. Gdy powoli do niej podchodził, miała wrażenie, że ktoś ściska jej brzuch.

– Hanna!

Pierwszy uścisk był najpiękniejszy. Przyłgnęli do siebie mocno, niemalże boleśnie, oddychali w tym samym rytmie, czuli wzajemne ciepło oraz dzikie, głośne bicie swoich serc. Jego nieustępliwe wargi, język, którym poruszał w jej ustach, to delikatne brzęczenie, które czuła w gardle, odgłos jego oddechu. Na początku nie wiedziała, co ma robić, poddała się całkowicie jego przewodnictwu, ale za trzecim lub czwartym razem odważyła się dotknąć go dłońmi, jego policzków pokrytych zarostem, jego ust, silnego karku. A także tę twardą, wąską rzecz, którą przez ubranie dotykał jej brzucha, sprawiając jej ból i robiąc siniaki. Gdy jej dotknęła, odsunął jej dłoń i pocałował ją.

– Jeszcze nie – wyszeptał. – Nie tutaj.

– Mam dla ciebie prezent, Grigorij.

Musiała dwa razy powtórzyć to zdanie, bo właśnie rozpiął jej bluzkę pod płaszczem i znów czuła jego gorący język w gardle.

– Prezent?

– Taki mały tylko.

Wyciągnęła pakuneczek z kieszeni płaszcza i mu go dała. W środku były pierniczki, które ukradła dla niego z kuchni.

– Musisz je zjeść jeszcze dzisiaj, bo wieczorem będą was przeszukiwać.

Wyciągnął pierniczki i zaśmiał się jak dziecko. Pierniki. Boże Narodzenie. Roździestwo. Narodziny Chrystusa.

– Spasibo... Dziękuję... moja Hanna... Golubka moja.

Jego oczy były teraz miękkie, aksamitne, jak ciemna, piękna zasłona. Całował jej ręce i nazywał ją krasiwaja, milaja, malenkaja koszka – moja piękna, moja kochana, moja gołąbeczka, moja mała kotka. Jego głos był upajający. Nikt wcześniej nie przemawiał do niej w tak wzruszający sposób, nikt nie mówił jej tak wspaniałych rzeczy. Ach, wiedziała przecież, że kłamał. Nie była ani piękna, ani żadna z niej gołąbeczka, a tym bardziej koteczka. Nie mogła jednak nie poddać się temu odurzeniu. Mądra mogła być później, teraz chciała rozkoszować się tym szczęściem, trzymać je obiema rękami, zanim przeminie.

– Ja też mam podarka... Geschink.

Zaśmiała się.

– Mówi się Geschenk, nie Geshink.

Powtórzył to słowo z wielką powagą, trzykrotnie, a potem przytaknął zadowolony.

– Prezent dla ciebie, moja Hanna.

Nie było mu łatwo wypowiedzieć Hanna, tak samo jak Himmel czy Haus. Ciągłe mówił „ch”, choć bardzo mocno się starał.

– Masz prezent? Dla mnie?

Rozchylił jej rozpiętą bluzkę i całował jej szyję, obojczyki, schodził coraz niżej, ściągając jednocześnie jej bluzkę. Nie miała na sobie gorsetu, nigdy żadnego nie posiadała. Nie potrzebowała go, bo jej piersi były małe i twarde, i z tego powodu uważała, że są brzydkie. Pełne piersi Auguste – one zawsze ściągały na siebie męski wzrok, ale ona wyglądała jak mała dziewczynka w zbyt szerokiej bluzce. Grigorij powiedział jej jednak, że są piękne, traciła rozum, gdy dotykał jej ciała. Drgnęła niespodziewanie, gdy znalazł jej sutek i okrążył go językiem. Potem zamknęła oczy i czuła słodką odpowiedź swojego ciała. Ach, więc to był ten prezent, który chciał jej zrobić. Później zaczął jej dawać ten prezent codziennie, była od tego uzależniona, tęskniła za tym, co było tak niemądre i zabronione.

– Prezent – powiedział cicho i odsunął się od niej. – Tylko dla ciebie. Dla Hanny. Czekaj.

Uniósł rękę i poruszył czymś na swoim karku – otwierał niewielkie zapięcie cienkiego łańcuszka, którego do tej pory nie zauważyła. Zdjął go z szyi i podarował jej.

– To jest srebro. Srebro. Od mat’ moja. Moja mama. Dała mi ten łańcuszek, żebym o niej pamiętał.

Powiedział to powoli, z wielką powagą. Przez chwilę siłował się z zapięciem, bo musiał odsunąć ciemnobrązowe loki z jej karku, ale w końcu mu się udało. Łańcuszek był wciąż ciepły od jego skóry. Na łańcuszku znajdowała się lekko szerniała zawieszka, której nie widziała dobrze, gdy pochylała głowę. Ale z pewnością była srebrna, skoro zrobiła się prawie czarna.

– Od... od twojej mamy? Ach, Grigorij. Chcesz mi dać łańcuszek, który podarowała ci twoja mama?

Była tak wzruszona, że łzy napłynęły jej do oczu. Okłamywał ją? Ukradł gdzieś ten wisior? Czy mówił prawdę? Ach, właściwie było jej to obojętne. Podarował jej srebrny łańcuszek, jej, małej Hannie, pomocy kuchennej, dziewczynie z dzielnicy nędzy.

– Gdy wojna się skończy, odeślą nas z powrotem. Do Rossija. Moja rodina – mojej Cheimat. A ty pojedziesz ze mną. Chcesz tego?

Potrzebowała chwili na zastanowienie. Do Rosji? Z nim? Och, pojechałaby za nim wszędzie, do Rosji, na Syberię, nawet do piekła by z nim poszła.

– Tak – wyszeptwała. – Chcę z tobą jechać. Gdy wojna się skończy. Tylko kiedy się to stanie? Czasami myślę, że będzie trwała wiecznie.

Grigorij odsunął na bok zawieszkę i zapiął ostrożnie jej bluzkę. Nie było mu łatwo, bo guziczki były niewielkie, a jego palce twarde i całe w odciskach od machania łopatą z węglem.

– Wojna nie jest wieczna. *Ne wsiegda budiet wojna*. Gdy wojna się skończy, zamieszkamy w Piotrogradzie, to piękne miasto. Dużo wody... dużo rzek... kanał.

Włożyła płaszcz i przytuliła się do niego. Nie mogła zostać z nim dłużej, bo mogło

się to wydać podejrzanę. Tak, on już wcześniej często opowiadał o Piotrogradzie, stolicy swojej ojczyzny. O carze, który przebywał w swoim pałacu. O Newie, ogromnej rzece. O rodzicach, którzy czymś tam handlowali, ale nie rozumiała czym.

– Ty moja żona. Moja żona. *Ljublju tiebja...* Kocham cię, Hanna. *Na wsiegda...* Na zawsze...

Jego ręka wsunęła się pod jej płaszcz i dotknęła przez spódnicę tego miejsca między nogami, z którego zawsze ją odsuwała. Tym razem jednak pozwoliła mu na to, czuła, jak zaczyna gwałtownie drżeć, i dotarło do niej, że była w niebezpieczeństwie, że zaraz popełni okropną głupotę. Marie. Musi o tym powiedzieć Marie. Ale to było niemożliwe. Marie, ta kochana, troskliwa Marie, która wcześniej jako pokojówka siedziała z nią razem przy kuchennym stole. Ale tej Marie już nie było. Stała się młodą panią, jedną z tych, które udzielały jej tylko mądrych rad.

– Zostaw... nie... – Odsunęła jego rękę. – Musimy już iść. Ty pierwszy, Grigorij.

Zabrał posłusznie dłoń, ale ponownie objął Hannę mocno i przycisnął do siebie. Nie rozumiała, co mrucał do siebie, ale brzmiało to jak desperac-ki sprzeciw wobec tego, że każdego dnia na nowo muszą przeżywać rozstanie. Mieli zawsze tylko kilka minut dla siebie, maleńką chwilę szczęścia, za którą oboje kiedyś prawdopodobnie będą musieli drogo zapłacić. Ten dzień jeszcze dzisiaj nie nadszedł. Hanna ostrożnie wyglądała przez szparę w drzwiach. Gdy stwierdziła, że na podwórzu nikogo nie ma, machnęła do niego, żeby natychmiast wyszedł. Sama odczekała trochę i opuściła składzik. Wciąż jednak go czuła, jego wargi na swoich ustach, jego dłonie na swoich piersiach. Skontrolowała szybko swoje ubranie, jej puls przyśpieszał, bo przecież ktoś mógł odkryć ich sekret. Ależ byli nieostrożni, jacy naiwni. Zaślepieni miłością. Co by się z nimi stało, gdyby zostali przyłapani? Ją zwolniono by ze służby, wygnano z posiadłości Melzerów, uznano by ją za dziwkę i zdrajczynię, może nawet za szpiega. A Grigorij? Jego czekałaby szubienica. Przez uchylone drzwi zobaczyła, że obie pracownice wyszły już z pakowalni na podwórze i zniknęły w przedzalni. Kiedy otworzyły drzwi do hali, buchnął straszliwy hałas, co prawda nieco przytłumiony, ale wciąż nieprzyjemny. Hanna знаła te dźwięki z czasów, kiedy wiązała pozrywane nitki i została zgnieciona przez selfaktor. Miała wtedy trzynaście lat. Matka zabierała ją do fabryki Melzera, a jej się podobało, że nie musi chodzić do szkoły i zarabia jeszcze trochę pieniędzy. Była wtedy głupiutką dziewczynką, ale najgorsze, że od tamtego czasu wcale nie zmądrzała. *Ja ljublju tiebja*, myślała, gdy wracała przez podwórze z powrotem do pakowalni. Kocham cię, Grigorij. *Na wsiegda*. Na zawsze. Nawet jeśli zapłacimy za to śmiercią...

Litwa, grudzień 1916

Moja słodka, ukochana Żono,

Wreszcie, wreszcie się zobaczymy. Jeszcze nie mam odwagi w to uwierzyć, to

pojawiło się przed moimi oczami jak jakiś fantom i w jednej chwili może zamienić się w nicość. Ale to jest prawda, to musi być prawda, bo nie zniosę po raz drugi tak wielkiego rozczarowania.

Zaraz po świętach Bożego Narodzenia przyjadę na kilka dni do Augsburga. Niestety nie na Gwiazdkę i trochę mi przykro z tego powodu, ale to w żadnym razie nie zmniejszy naszego szczęścia. Bądź piękna dla mnie, moja Ukochana, bo zamierzam być bardzo pilnym mężem i nie zostawić Cię w spokoju żadnej z naszych nocy. Już zdecydowanie zbyt długo tęsknię za Twoimi objęciami, aż zaczyna mi się kręcić w głowie, gdy pomyślę, że poczuję Twoje słodkie ciało, gdy znów będzie w całości moje.

Każ mi skończyć, zanim przeniosę na papier kolejne niedorzeczności, i obiecaj, że, nawet jeśli natychmiast go nie spalisz, nie pokażesz absolutnie nikomu. Powiedz wszystkim, że nieskończenie się cieszę na nasze wspólne rychłe spotkanie, i przytul mocno do serca nasze dwa maluchy. Na początku pewnie będę się bał nawet wziąć je na kolana, bo przecież tak naprawdę nie znają swojego ojca...

Do szybkiego zobaczenia.

Paul,

któremu radość

przewróciła zupełnie w głowie.

Tylko nie dzisiaj, w wieczór wigilijny, myślała Kitty. Może w sylwestra. Tak, tak będzie dobrze. W sylwestra, gdy wszyscy będą moimi gośćmi. Albo może jednak dzisiaj? Ale jeśli tak, to musi być prawdziwa sensacja...

Samochód podskoczył, puknął, coś trzasnęło i spod maski wydobył się ciemny dym.

– Ludwigu! – wrzasnęła przerażona Kitty. – Co to znaczy? Co pan zrobił z samochodem?

Szofer siedział sztywno za kierownicą i wpatrywał się w coraz większe kłęby dymu.

– Tylko spokojnie, łaskawa pani. Zachowajmy spokój. To tylko mała przerwa w zapłonie.

– Nazywa pan to przerwą w zapłonie? – krzyknęła zdenerwowana. – Zaraz wylecimy w powietrze! Niechże pan coś zrobi, na Boga!

– To zaraz minie, łaskawa pani.

Stanęli w połowie drogi. Z daleka, spomiędzy nagich, pokrytych śniegiem drzew widać było czerwony, ceglany budynek posiadłości. Wiatr smagał deszczem przednią szybę samochodu, na drogach i ścieżkach w parku stały w najlepsze kałuże po topniejącym śniegu. Kitty ułożyła się wygodniej na tylnym siedzeniu. Perspektywa pójścia do willi pieszo nie należała do kuszących. Poza tym w samochodzie było mnóstwo paczek, prezentów świątecznych, które nie mogły zamoknąć.

– Zaraz minie? Oby się sprawdziło, co... aaaaa!

Kolejny trzask, któremu towarzyszył lekki wstrząs, oboje wprawili w osłupienie.

– To ta mieszanka paliwa, łaskawa pani. Jestem niepokojony. Wczoraj wlałem wszystko, co zostało, bo nie da się kupić prawdziwego paliwa, a miałem dzisiaj jechać do posiadłości pani rodziców dwukrotnie, najpierw z małą Henni i panią Sommerweiler, a potem z łaskawą panią.

Kitty pociągnęła za klamkę od drzwi samochodu, było jej obojętne, czy w drogich butach z safianowej skóry nie wejdzie prosto w kałużę. Uznała, że jeśli zostanie w samochodzie, jej życiu będzie zagrażać niebezpieczeństwo. Skarciła nieszczęsnego szofera i nakazała mu, by dostarczył prezenty do willi, nie obchodziło jej, w jaki sposób, ale miały być suche. Ona teraz szła tam pieszo. Ledwie zrobiła kolejny krok, poczuła lodowaty powiew wiatru, który dmuchał pod poły jej płaszcza, i pożałowała swojego postanowienia. Teraz było już za późno. Opierała się gwałtownym porywom, idąc wzdłuż ogromnego klombu, nakrytego jodłowymi gałęziami. Pomijając fakt, że jej płaszcz był zniszczony, a kapelusz stracił fason od przyciskania go do głowy, żeby nie sfrunął, wędrówka sprawiała jej osobliwą przyjemność. Kitty przypominała sobie czasy, gdy razem z Lisą i Paulem dokazywali w parku, wspinali się na drzewa i na polankach między starymi drzewami grali w berka. Ach, to było tak dawno! Dziesięć, nawet piętnaście lat temu! Cała wieczność. Teraz wiatr hulał między budynkami z czerwonej cegły, szyba

w drzwiach prowadzących do ogrodu zimowego aż drżała, a taras, na którym jeszcze nie tak dawno świętowali swoje zaręczyny i śluby, teraz był zupełnie pusty i zalewany przez deszcz.

Oczywiście, gdy wspinała się po schodach do ogrodu zimowego, jej płaszcz znowu zaczepił się o tę głupią żelazną balustradę. Na górze czekało już jednak na nią upojne ciepło rozpalonego pieca i niemal natychmiast zjawiła się zatroskana Auguste.

– Jezus Maria, łaskawa pani! To trwało wieczność i przecież zamarznie pani na śmierć w tym ubraniu! Niech mi pani odda płaszcz i kapelusz. Och, jaka szkoda, jest całkowicie zdefasonowany. I buty.

Kitty podała jej płaszcz, z którego kapąła woda, oraz to, co zostało z niegdyś drogiego kapelusika, a potem zobaczyła Marie, która wyszła jej na powitanie, więc z zachwytem rzuciła się jej w ramiona.

– O mój Boże, Kitty! – zaśmiała się Marie. – Jesteś cała mokra. Chodź szybko na górę, musisz się przebrać w coś mojego.

– A mamy czas? Jeszcze się nie zaczęło?

– Jeszcze jakieś dziesięć minut.

Poszły razem schodami na drugie piętro, do dawnego pokoju Kitty, który teraz był pokojem dla gości. Jaka szkoda, że musiały się śpieszyć, tak cudownie byłoby posłuchać, jak bratowa służy jej radą. Marie wyciągnęła kilka sukienek, spódnic i bluzek, a także jedwabną bieliznę oraz pończochy. Wyjęła też te pięknie haftowane pantofelki, które podarowała jej Kitty.

– Wyobraź sobie, że odkąd przestałam karmić, wszystkie moje rzeczy znów na mnie pasują.

Kitty omal się wyrwało, że ona znowu zrobiła się obszerniejsza na górze. W niebieską jedwabną bluzkę Marie ledwie udało się jej wcisnąć, za to spódnica pasowała idealnie. Jakie to dziwne, że na początku ciąży to piersi zawsze najpierw rosną.

– Wielebny Leutwien właśnie przyjechał – powiedziała Marie, która wyglądała przez okno na ogród. – Najpierw będzie mała uroczystość w szpitalu, a potem wręczymy prezenty służbie. Wzięłaś ze sobą nuty?

– Nuty? Jakie nuty?

– Ach, Kitty! Chciałaś przecież zagrać z Elisabeth na cztery ręce. Specjalnie znieśliśmy pianino z góry, żeby pacjenci posłuchali w lazarecie choć odrobiny świątecznej muzyki.

Faktycznie, zupełnie zapomniała. Ciągle ten wstrętny lazaret! Wcześniej w holu przy wejściu stał wielki świerk, ozdobiony złotymi i czerwonymi bombkami i obwieszony piernikami. Było tak cudownie świątecznie, gdy mama i tata właśnie tam wręczali pracownikom prezenty.

– Okropnie mi przykro, Marie. Jestem taka zapominalska!

– Nic nie szkodzi. Sądzę, że Tilly wzięła ze sobą nuty. Usiądź teraz na fotelu przed lustrem, moja panno zapominalska. Poprawię ci włosy.

Wszystko znów było tak jak trzeba. Marie, jej kochana Marie na szczęście nie potrafiła być taka rozgniewana i obrażona, jak często bywała Lisa. Kitty zrobiła dla Marie miejsce w swoim sercu, gdy ta była jeszcze pomocą kuchenną w posiadłości, a teraz

pielęgnowała tę miłość do niej już jako do swojej przyjaciółki i bratowej. Marie wyciągnęła spinki z jej wilgotnych włosów, rozczesała je i upięła. Potem zrobiła dwa loki, które kokieteryjnie spływały jej po bokach twarzy.

– Powinam się obciąć na boba? – zapytała nagle Kitty.

Marie uniosła ramiona i powiedziała, że Alfons z pewnością będzie przerażony, gdy wróci i zobaczy swoją żonę ze ściętymi włosami.

– Alfons jest taki kochany – rozczuliła się Kitty. – Nawet gdy coś mu się nie podoba, nigdy mnie nie krytykuje. Ach, chciałabym, żeby był już przy mnie, Marie. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła.

Marie uniosła włosy Kitty i powiedziała cicho do siebie, że tak będzie dobrze wyglądać. A czy Kitty słyszała, że doktor Moebius też dostał wezwanie na front?

– O nie! – krzyknęła Kitty. – Biedna Tilly. Jak sądzisz, Marie, czy z tego powodu szybko się jej oświadczy?

Marie znów stanęła przy oknie. Zrobiło się już tak ciemno, że nic prawie nie było widać. Stare drzewa w parku zamieniły się w dziwne ciemne figury, a na tarasie migotało światło, które wpadało tam przez szklane drzwi zimowego ogrodu.

– Nie wiem, Kitty – odpowiedziała z wyczuwalnym powątpiewaniem w głosie. – Doktor Moebius nie pochodzi z tej samej warstwy społecznej co Tilly, córka bogatego bankiera Bräuera. Nie wiadomo więc, czy starczy mu odwagi.

– Na Boga – jęknęła Kitty, wsuwając stopy w pantofelki. – Kochają się przecież, kto dzisiaj jeszcze byłby tak staroświecki. Zwłaszcza w tych okropnych wojennych czasach.

– Zgadzam się z tobą, Kitty, ale zapytaj mamę, a usłyszysz coś zupełnie innego.

Kitty machnęła lekceważąco ręką i przeglądała się w lustrze. Nie, jej brzuch był wciąż płaski, tylko te piersi. W żadnym razie nie mogła głębiej oddychać, bo wtedy odpadłyby guziki od bluzki.

– Mama pochodzi z von Maydornów. Jest bardziej staroświecka niż tata. Może powinnam poprzeć doktora Moebiusa. W końcu byłby moim szwagrem, więc mogę...

– No nie wiem, Kitty – powiedziała z wahaniem Marie. – Nie wiadomo, czy dobrze jest teraz się zaręczać. Zwłaszcza że on musi jechać na front.

Kitty była oburzona. Właśnie dlatego, że jedzie na front, powinien wiedzieć, że Tilly go kocha i będzie na niego czekać.

Marie była najwyraźniej innego zdania, ale nie miała zamiaru teraz się o to kłócić.

– Chodźmy już lepiej na dół. Słyszę dźwięki fortepianu. Nie, bez nas na pewno jeszcze nie zaczęli.

To były całkiem przyjemne święta Bożego Narodzenia! Nie takie jak zazwyczaj, ale jednak bardzo wzruszające i pełne zadumy. Już na schodach prowadzących do głównego holu, gdzie znajdował się teraz lazaret, zobaczyły ku swojemu zdumieniu doktora Moebiusa, który grał na fortepianie, otwierając uroczystość improwizacjami bożonarodzeniowych chorałów. Jak wspaniale grał! Niesamowite! Nie patrzył prawie wcale na swoje palce i nie potrzebował nut! Zamiast tego spoglądał z dziwnym smutnym uśmiechem na pacjentów, którzy słuchali go w pełnym skupieniu. Gdy skończył grać, bo wielebny Leut-wien już trzy razy coś szeptał, tak żeby go jednak słyszano, wstał pośród

gromkich braw.

– Brawo, doktorze!

– Pan jest prawdziwym pianistą!

– Radujcie się, „córy Syjonu” – to zawsze śpiewaliśmy w domu na Boże Narodzenie!

Dłuższą chwilę trwało, zanim ustały okrzyki wyrażające wdzięczność i podziw, co Kitty i Marie wykorzystały, by nie rzucając się w oczy, zejść po schodach i zająć miejsce wśród pozostałych członków rodziny. Dla Melzerów przyniesiono krzeselka, żeby nie musieli stać podczas uroczystości tak jak pracownicy.

– Dzisiaj narodził się nasz Zbawiciel – zaczął wielebny Leutwien. – To radość nad radościami.

Kitty słuchała jego słów z oddaniem. Miał rację. Od dzisiaj wszystko zacznie się na nowo, bo na świat przyszło dziecko, chłopiec, który był Synem Boga i uratował świat od grzechu i nędzy. Och, jak cudownie. Była pewna, że tym razem to będzie chłopiec... Po chwili usłyszała jasny głos Tilly, która czytała bożonarodzeniową przypowieść. Kitty zerkała na doktora Moebiusa. Oczywiście był odwrócony w stronę Tilly, a jego czuły wzrok mówił wszystko. Cóż to za piękna para! Gdyby tylko on w końcu się zadeklarował. A może już to zrobił? Nie, wtedy Tilly by jej powiedziała. Musiała pomóc tym dwojgu, a Marie niech sobie myśli, co chce.

Dalsze słowa wielebnego Leutwiena przelatywały koło jej uszu, nie wsłuchiwała się w nie dokładniej. Przecież zawsze było to samo. Zrodzony z dziewicy, owinięty w pieluszki, położony w żłobie. Na miłość boską, dlaczego Maryja nie trzymała maleństwa w ramionach, tylko położyła biednego robaczka w brudnym sianie? A poza tym rodzenie dziecka w stodole na stosie siana. Przed wszystkimi ludźmi. Bez akuszerki. Dzisiaj było zdecydowanie lepiej. Tym razem zawoła akuszerkę w odpowiednim czasie. Ach, na to był jeszcze czas. Kiedy to się stanie? W maju? Wtedy wojna może się skończy, zostanie zawarty pokój i Alfons będzie przy niej. Ciekawe, co by powiedział, gdyby to naprawdę był chłopiec?

Doktor Moebius uderzył w klawisze, intonując świąteczną pieśń, którą wszyscy po chwili śpiewali.

– „O ty radosny, o ty błogosławiony...”¹⁵.

Kitty śpiewała na cały głos. Dopiero po trzeciej zwrotce sprawdziła dyskretnie guziki przy bluzce. Wszystko w porządku, na szczęście. Kiedy wreszcie będzie mogła spokojnie pójść na górę? Wielu pacjentów wpatrywało się w nią jak w siódmy cud świata. Teraz podniosła się jeszcze Lisa, żeby podziękować lekarzom, pielęgniarkom i tym wszystkim, dzięki którym prowadzenie szpitala jest możliwe. Potem zwróciła się do pacjentów i powiedziała, że walczyli bardzo dzielnie za ojczyznę i Jezus Chrystus, który się dzisiaj narodził, na pewno wkrótce pośpieszy ich krajowi z pomocą. Gdy dodała, że chciałyby następne święta Bożego Narodzenia spędzić w Niemczech, uhonorowanych zwycięstwem, w pełnym gronie rodzinnym, doczekała się oklasków. Jaka dumna z siebie teraz była. Ten szpital powstał właściwie na życzenie jej męża, a to ona zbierała pochwały za inicjatywę. „Pani majorowa z oddaniem opiekuje się rannymi żołnierzami” – mówiły o niej członkinie towarzystwa charytatywnego. „Pani majorowa jest aniołem wszystkich

rannych”. Te pochwały bardzo podobały się Lisie, czuła wtedy, że jest niezwykła. Kitty uświadomiła sobie, że jest wobec niej niesprawiedliwa. Czyżby była po prostu zazdrosna? O to, że jej siostra jest podziwiana publicznie, podczas gdy ona cały czas tkwi w cieniu rodziny Bräuerów? Nie, to zwykła bzdura. Spodziewała się dziecka i to się liczyło. Będzie słodkim chłopczykiem z blond włosami. Będzie blondynem jak jej kochany Paul. I będzie miał pogodne usposobienie jak Alfons.

Prezenty zostały rozdane. Najpierw wręczono je obu lekarzom i pielęgniarce, obecne były tylko dwie – pozostałe spędzały święta w kręgu rodzinnym. Potem wyszły Lisa, Marie i Tilly, żeby obdarować pacjentów.

– Co się dzieje, Kitty? – szepnęła Lisa. – Przyrośłaś do tego krzesła?

Podniosła się pośpiesznie, wzięła kilka paczuszek, aby je rozdać. Większość tych niewielkich pakunków została skompletowana z rzeczy darowanych towarzystwu charytatywnemu. Były w nich: marcepan, cukier, buteleczka sznapsa, żyłki do golenia, mydło, papier listowy i ołówki. W niektórych była też bielizna, ciepły szal, skarpety robione szydełkiem – dary zebrane przez stowarzyszenie. Gdy komuś nie podobał się dar, mógł się wymienić z inną osobą.

– Dziękuję łaskawej pani tysiącrotnie – powiedział jeden z pacjentów, któremu położyła na łóżku paczuszkę. – Nawet pani nie wie, jaką mi pani sprawiła przyjemność. I nie tylko tym pięknym prezentem. To naprawdę wspaniałe móc uścisnąć dłoń młodej kobiecie, która jest tak zachwycająca jak pani.

Przestraszyła się i już chciała wyrwać dłoń, ale nie zrobiła tego. Czoło rannego było grubo obandażowane, biedak musiał otrzymać cios w głowę. Jego oczy były pełne łez, gdy wypowiadał te kłopotliwe słowa, więc Kitty wiedziała, że mówił poważnie. Co on przeżył, skoro zwyczajny dotyk i uśmiech wywoływały w nim tak głębokie wzruszenie? Ach, ta okropna, bezwzględna wojna! Co ona robi z mężczyznami?

– Tak, bardzo się o pana martwimy, panie von Klippstein – usłyszała głos Marie. – Nie mogę pana zapewnić, że na tym jednym zabiegu się skończy. Jednak skoro gorączka spadła, wszystko idzie ku dobremu.

Kitty spojrzała ukradkiem w ich stronę. Faktycznie, Ernst von Klippstein też był głęboko wzruszony, patrzył na Marie tak, jakby była wybawcą całego świata. To musiało wynikać z tego, że dzisiaj była Wigilia, wszyscy tego dnia kąpali się we łzach i wzruszeniu. Marie wstała, uśmiechając się jeszcze życzliwiej do rannego. Niedługo zostanie wyleczony i odesłany do rodziny. Przytaknął i znów chwycił jej dłoń. Podsunęła mu paczuszkę, w nadziei że sam ją już otworzy.

– Wie pani, że to jest wyłącznie pani zasługa, pani Melzer? – słyszała, jak von Klippstein mówi do Marie. – Żegnałem się już z życiem, chciałem umrzeć. Nie było już na tej ziemi nic, o co mógłbym walczyć, co mógłbym kochać. Żadnej kobiety, dziecka, żadnej nadziei na szczęśliwe życie. Wtedy pani pojawiła się przy moim łóżku i zaczęła do mnie mówić. To było jak cud, jak znak z nieba. Jeszcze nie wszystko skończone, życie toczy się dalej...

Oho, pomyślała Kitty. Ten biedak musiał sporo przejść. Czy jego żona umarła? Jak ona się nazywała? Adelheid? Annette? Alice? Nie, nie tak. Adele! Tak, nazywała się Adele. Jeśli nie żyła, nie wypadało mówić o niej źle, ale była naprawdę niemiłą kobietą.

Nie jest mi przykro z jej powodu. Ale czy on nie zadurzył się w Marie? Biedak jest pechowcem, bo u Marie nie ma przecież żadnych szans. Posłała mężczyźnie rannemu w głowę ciepły uśmiech na pożegnanie i roznosiła kolejne paczki. Gdy skończyła, stwierdziła z ulgą, że może wrócić na swoje miejsce. Trochę się jej kręciło w głowie i żołądek dawał o sobie znać. Cóż, bywało gorzej. Z Henni przez prawie trzy miesiące nie mogła jeść, teraz na szczęście było lepiej.

Czy to wreszcie koniec? Znowu śpiewano kolędę, tym razem *Es ist ein Ros entsprungen*¹⁶. Jako dziecko sądziła, że to kolęda o rumaku, który skądś wybiegł. Och, jakże Lisa się z tego naśmiewała!¹⁷. Teraz podniosła się mama i wygłosiła mowę do pracowników, podziękowała im za lojalność i pilność, przypomniała, że wszyscy razem tworzą jedną rodzinę. Każdego roku mówiła to samo, ale służba i tak była niewymownie szczęśliwa, słysząc te słowa. Potem rozdała im prezenty świąteczne, które starannie wcześniej obmyślała, bo podarunki musiały się nie tylko podobać, ale też odpowiadać randze każdego pracownika.

Pomoc kuchenna Hanna dostała używaną sukienkę po Marie, ciepłe wełniane skarpety i zupełnie nowe buty z drewnianą podeszwą. Panna Schmalzler, ponieważ zajmowała najwyższą pozycję wśród służby, otrzymała kilka metrów ciemnoniebieskiej wełny z zapasów mamy, srebrną ozdobną szpilę, na której były wygrawerowane jej inicjały, oraz niewielką kwotę pieniędzy. Mama podkreśliła jej wkład w działanie lazaretu, niesłychanie duże zaangażowanie w udzielanie pomocy rannym. Schmalzler podziękowała w imieniu wszystkich zatrudnionych w willi rodzinie Melzerów i zapewniła, że każdy, kto pracuje w posiadłości, uważa to za prawdziwy przywilej. Kitty zauważyła, że również gospodyni nie wysiliła się w tym roku, żeby wymyślić coś nowego. Wyglądała natomiast na o wiele bardziej zmęczoną niż dawniej, była znacznie chudsza i miała wiele zmarszczek wokół ust. Wreszcie pojawił się tata, którego jak zwykle zatrzymały jakieś pilne sprawy w fabryce, i dodał kilka miłych słów jako pan domu i pracodawca.

– Radosnych świąt życzę wszystkim tutaj zebranych i tym, którzy musieli zostać daleko stąd i o których myślimy z miłością!

Brawa, łzy, podziękowania, improwizacje fortepianowe lekarza... Kitty pierwsza opuściła pomieszczenie i weszła na drugie piętro, gdzie znajdowały się toalety. Nie powinna była pić tyle herbaty.

– Kitty, ty tam jesteś? – usłyszała nagle głos Lisy zza drzwi. – Ja bardzo muszę. Słuchaj, już naciskam na klamkę!

Faktycznie to zrobiła. Mateńko, ile razy w przeszłości się o to kłóciły! Raz nawet Lisa zablokowała klamkę i straszyla Kitty, że do końca życia będzie musiała siedzieć na klozecie.

– Zajęte? Widzę, że przyszedłam za późno.

To była Marie, która też poczuła nagłą potrzebę.

– Kitty tam jest, co oznacza, że może to potrwać godziny. Ale ponieważ jesteśmy tylko we własnym gronie, Marie, to mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Kitty podeszła tuż pod drzwi, przycisnęła do nich ucho, bo była ciekawa, o co chodzi. Niestety, z rozmowy niewiele mogła zrozumieć, musiały odsunąć się od drzwi

toalety. Powoli nacisnęła klamkę i wyjrzała przez uchylone drzwi. Teraz rozumiała każde słowo.

– To jest niemożliwe, Liso – krzyknęła Marie. – Zabroniłam jej przecież, mówiłam wyraźnie, jakie to niebezpieczne!

– Najwyraźniej nie zrobiło to na niej wrażenia.

– Jesteś pewna?

Lisa przytaknęła z powagą. Boże drogi, myślała Kitty. O kim one rozmawiają?

– Pani Bremer była ostatnio wielokrotnie w lazarecie, bo odwiedzała męża. Ona pracuje w przędzalni przy nakładaniu nici i widziała na własne oczy. I nie tylko ona. Hanna i jej kochanek są niesłychanie nieostrożni.

– Mówisz, że w małym składziku? Całkowicie sami? Na Boga! Co za głupia, naiwna dziewczyna!

Ach, pomyślała Kitty. Chodzi o pomoc kuchenną, która ma kochankę. Jakby to było coś niezwykłego. Zamknęła drzwi, nie trując się już, żeby nie było tego słychać. Lisa i Marie spojrzwały ze zdziwieniem po sobie i na Kitty.

– Idę na dół – rzuciła do nich i zaczęła schodzić po schodach.

Służba właśnie rozstawiła bufet w jadalni, zgodnie z tradycją jedzono tylko potrawy na zimno, żeby pracownicy mogli pójść na mszę i spędzić czas w swoim gronie w kuchni. Wszystko wyglądało pięknie. Brunnenmayer była prawdziwą artystką. Narzekała tylko, że nie ma przypraw i dobrego mięsa, że jest zbyt mało masła i śmietany, brakuje słoniny, żeby naszpikować pieczeń. Brunnenmayer była jednak taką kucharką, która na gwoździu potrafiła ugotować smaczną zupę. Co tym razem wyczarowała? Ozorki w galarecie – skąd ona je wzięła? I sałatkę ziemniaczaną z jajkami na twardo. Nawet sałatka śledziowa z majonezem! Jak to pachniało! Marynowane czerwone buraczki i ogórki kiszzone. Kitty nie mogła się oprzeć. Włożyła mały ogóreczek do ust i przeżuwała wniebowzięta. Przypomniła sobie, jak mama i tata karcili ich za zjedanie dekoracji z sałatki śledziowej. Ach, jak bardzo brakowało jej Paula. Jej starszy brat, jej obrońca. W takich sytuacjach od razu brał winę na siebie... Położyła drugi ogórek na swoim miejscu, bo mama właśnie weszła do jadalni. Przebrała się na tę uroczystość w rodzinnym gronie i miała teraz na sobie, zdaniem Kitty, staroświecką suknię jedwabną, dopasowaną w talii, z brukselską koronką przy dekolcie. Do tego czerwony krzyżyk – cóż, całość dodawała mamie jakieś dziesięć lat.

– Kitty, mój skarbie, niech cię obejmę. Jaka jesteś blada... Jest ci niedobrze?

Kitty darowała sobie powiedzenie prawdy i po prostu przytuliła się do matki. Ach, mama była niesamowitą kobietą, od razu czuła, że coś jest nie tak. Czy ona będzie potrafiła być taką matką?

– Wszystko jest wspaniale, mamó. Rzadko kiedy bywało lepiej.

Mało brakowało, a by się wydała, ale na szczęście Marie i Lisa weszły do jadalni. Za nimi podążał tata, który mimo święta włożył domową bonzurkę. Mama nie skomentowała tego faktu, żeby nie psuć świątecznego nastroju. Wszyscy usiedli i wspólnie spełnili pierwszy toast. Tata miał jeszcze jeden burgunder w piwnicy, potem napiją się świątecznego wina, prawdopodobnie będzie to mosel, bo mama tak bardzo go lubiła.

– Mam nadzieję, że nie będziesz teraz wygłaszał przemówienia, tato – powiedziała Kitty z niewinną minką. – Jesteśmy strasznie głodni!

Wszystkim humor natychmiast się poprawił, wszyscy zaczęli się śmiać, nawet tata się śmiał i dodał, że bez dowcipnych komentarzy swojej najmłodszej latorośli nie mógłby sobie nawet wyobrazić ich wspólnej Wigilii. Zaczęto sobie nakładać przygotowane przysmaki, tylko talerz taty napełniała mama, bo nie znosił tego kręcenia się wokół bufetu. Komentowali przebieg uroczystości w lazarecie, byli rozczuleni, że tak wielu pacjentów szczerze się wzruszyło, i żalowali, że doktor Moebius niedługo będzie musiał ich opuścić.

– To taki zdolny, młody mężczyzna – powiedziała Alicia z westchnieniem. – Gdy się pomyśli, jak wiele mógłby osiągnąć w przyszłości...

Nie skończyła zdania, ale każdy wiedział, co miała na myśli. Plany na przyszłość w czasie wojny stawały się często jedynie dziwnymi mrzonkami. Ktokolwiek znajdował się na polu bitwy, ten był zajęty wyłącznie tym, żeby przeżyć kolejny dzień, kolejny tydzień, czekając na czas, w którym wojna wreszcie się skończy. Kiedykolwiek to nastąpi.

– Tilly naprawdę do niego pasuje – dodała Kitty, niewzruszona tym, co właśnie mówiono. – Ci dwoje są dla siebie stworzeni.

– Kochana Kitty – przerwała jej Alicia z dezaprobatą. – W żadnym razie nie powinnaś zachęcać swojej szwagierki do zawarcia tego związku. Wiem bardzo dobrze, że wydają ci się teraz staroświecka, ale Tilly Bräuer pochodzi z bogatego domu i jest o wiele za ładna, żeby poślubić lekarza. Powinna sobie wybrać kogoś o szlacheckich korzeniach, tak jak to zrobiła nasza Lisa.

Lisa tylko niewyraźnie się uśmiechnęła, choć powinna teraz triumfować. Kitty miała oczywiście ogromną ochotę wytknąć mamie, że jej poglądy rzeczywiście są rodem z poprzedniego stulecia i Alfons, jeśli byłby tutaj z nimi, na pewno namawiałby swoją siostrę, żeby podążała za głosem serca. Była jednak Wigilia, a poza tym Marie oznajmiła radośnie, że prawdziwa miłość potrafi pokonać wszelkie trudności.

– Jeśli taka miłość pochodzi od Boga – powiedziała z błyszczącymi oczami – Bóg ochroni każdego, kto jest prawdziwie oddany drugiej osobie.

– Amen – mruknął Johann Melzer. – Czy mogłabyś mi nałożyć jeszcze jedną porcję sałatki ziemniaczanej z ozorkiem, kochana Alicio?

Marie nie uraził fakt, że teść przerwał jej wywód. Najpewniej w czasie, gdy prawie codziennie chodziła do fabryki, żeby – jak mówiła – go wspierać, nauczyła się traktować jego nieco gburowatą naturę jako coś zwyczajnego. Kitty uważała wprawdzie za absolutnie niesamowite, że Marie tak wiele wiedziała o maszynach i że się orientowała w całym tym fabrycznym chaosie, ale jednocześnie było jej przykro, bo bratowa posiadała przecież ogromny artystyczny talent i co z nim robiła? Rysowała wzory na materiały powstające z papierowych włókien. Na Boga, kreśliła okręgi i kropeczki, zawile linie i rozproszone punkciki. Zamiast siedzieć w muzeum i kopiować obrazy wielkich mistrzów, żeby się od nich uczyć.

– Moi kochani, zapraszam teraz do salonu – podsunęła pomysł Alicia. – Jestem ciekawa, jakie niespodzianki w tym roku dla nas przygotowaliście.

Zgodnie z tradycją zadaniem młodszych członków rodziny było ustawienie i przystrojenie świątecznego drzewka w czerwonym salonie oraz ułożenie pod nim

prezentów. Dawniej to zawsze Paul ustawiał drzewko. Ach, jej kochany Paul, znów tak intensywnie o nim myślała. Gdzie mógł teraz być? Czy mógł świętować Boże Narodzenie gdzieś tam, w mroźnej Rosji? Mama najwyraźniej myślała o tym samym, bo gdy w czerwonym salonie Marie zapalała świeczkę na choince, Alicia miała łzy w oczach. Tata patrzył z ponurym wyrazem twarzy przed siebie, nie miał w zwyczaju okazywać wzruszenia. Lisa też wyglądała jak strapiona owca. Jakie to dziwne, że wszyscy z załzawionymi oczami wpatrywali się w drzewko bożonarodzeniowe i nikt nie powiedział ani słowa. Dopiero gdy Rosa i pani Sommerweiler weszły z dziećmi, ten smutny nastrój się zmienił.

Rozpoczęła się tradycyjna ceremonia rozpakowywania prezentów. Każdy prezent był podziwiany, dziękowano za niego uprzejmie lub z prawdziwym zadowoleniem albo wręcz z zachwytem, gdy niespodzianka było wyjątkowo trafiona. Kitty otrzymała biżuterię z granatami, którą mama nosiła jako młoda dziewczyna i która teraz została przerobiona specjalnie dla niej. Od taty otrzymała pierścionek, od Marie książkę o sztuce średniowiecznej, a od Lisy miękką poduszkę na sofę. Wspaniale było obserwować zdziwienie, z jakim najmłodszy wpatrywał się w świeczki płonące na zielonej choince. Dodo odważnie wspinała się na paluszkach w stronę podziwianego cudu i chciała koniecznie złapać błyszczącą bombkę, Leo pozostawał w bezpiecznym oddaleniu i gramolił się, żeby chwycić blaszane, kolorowe żołnierzyki, które podarowała mu Lisa. Henni piszczała z radości i mamlą pierniczki – jeden po drugim. Wspaniały prezent od mamy, puchaty brązowy zając z materiału, zupełnie jej nie interesował, zamiast tego podenerwowana wymachiwała tak mocno łyżeczką do kawy, że Kitty nie była w stanie utrzymać jej na kolanach i mama musiała wziąć małą do siebie. Ech, po tym wysiłku zrobiło się jej naprawdę niedobrze, może zjadła też za dużo sałatki śledziowej. Wzięła kilka głębokich oddechów i mdłości minęły, ale zauważyła, że guziki przy bluzce Marie lada moment puszczą. Nie, nie mogła już dłużej utrzymać swojej niespodzianki tylko dla siebie. Jak czule mama bawiła się z Henni. I nawet tata karmił swoją najmłodszą wnuczkę pierniczkami. Kitty obserwowała Marie, która właśnie rozpakowywała swój ostatni prezent – zestaw farb olejnych, który kupiła dla niej Kitty, a więc mało subtelna aluzja do zaniedbywania przez Marie talentu. Marie uśmiechnęła się, gdy zobaczyła farby, a potem podeszła do Kitty i ją uściskała.

– Ach, moja kochana, naprawdę chciałabym mieć tyle czasu, żeby całkowicie poświęcić się malowaniu. A ty mogłabyś znów być moją nauczycielką – szepnęła jej do ucha.

– Musisz tylko znowu zacząć – odpowiedziała Kitty. – Początki są zawsze najtrudniejsze. A kto ciągle mówi, że nie ma czasu na sztukę, traci jakąś część swojego życia.

– Jesteś mądrą dziewczyną, Kitty!

– Nie, jestem tylko uparta i nie chcę, żebyś zmarnowała swój talent!

Omam nie przypominała Marie o Montmartrze, o maleńkim mieszkaniu, ptasim gnieździe, gdzie mieszkały przez jakiś czas i chciały malować. Nie byłoby to jednak

odpowiednie w tym momencie, bo wtedy przecież uciekła z Gérardem i wywołała skandal. Zresztą Francuzi byli teraz ich wrogami i przede wszystkim Lisę oburzyłaby ta uwaga.

– Rozpakowaliśmy wszystkie prezenty? – zapytała mama. – Czy zapomnieliśmy jeszcze o jakiejś bożonarodzeniowej niespodziance?

To były jej coroczne słowa klucze. Kitty przyjęła już odpowiednią postawę i była niezwykle podekscytowana, przewidując reakcje, jakie za chwilę wywoła.

– Ja... – zaczęła.

Marie była jednak szybsza. Wstała i stanęła przed choinką z tak rozpromienioną szczęściem twarzą, że Kitty nie dokończyła zdania.

– To będzie wspaniała niespodzianka dla was wszystkich – powiedziała Marie uroczyście. – A ja, okropna kobieta, przez cały dzień zachowywałam ją tylko dla siebie, chciałam, żeby była wyłącznie moja. Ale teraz tutaj, w blaszku świątecznego drzewka, podzielę się nią z wami.

Zamilkła i rozejrzała się wokoło. Dodo ssała kciuk, Leo zostawiał ślady śliny na białym fartuchu Rosy, bo właśnie coś sobie gulgotał. Henni wierciła się na kolanach mamy – pewnie bolał ją brzuch od zbyt dużej ilości zjedzonych pierników.

– Za kilka dni przyjedzie do nas Paul. Dostał cztery dni przepustki.

Wiadomość spowodowała wybuch okrzyków i łez, mama łkała z radości, tata chrząkał i mruczał pod nosem, że cztery dni to lepsze niż nic. Lisa pociągała nosem i ocierała łzy z policzków. Kitty była tak podekscytowana, że chciała rzucić się Marie w ramiona, ale nagle zrobiło się jej tak słabo, że z powrotem opadła na fotel i poczuła ciemno przed oczami, a jej serce zaczęło bić jak oszalałe. Na Boga, czy naprawdę można zemdleć z radości?

– Kitty! – krzyknęła Marie i usiadła na poręczu jej fotela. – Źle się czujesz? Liso, podaj karafkę z wodą. O rany, Kitty, jesteś biała jak prześcieradło. Nie jesteś przypadkiem w ciąży?

– Ja? – wyjąkała zakłopotana Kitty i wypila trochę wody. – W ciąży? Co ty sobie myślisz, Marie?

Niespodziankę diabli wzięli, bo wiadomość Marie wyczerpała pulę radości na ten dzień. No cóż, wyzna im to w czasie sylwestra.

15 Niem. „Oh du fröhliche, oh du selige”, pierwsza strofa najbardziej znanej niemieckiej kolędy *Oh du fröhliche* pochodzącej z XVIII wieku.

16 Jedna z najpopularniejszych niemieckich kolęd, napisana anonimowo w XVI wieku.

17 Kitty sądziła, że chodzi o *Ross* – rumaka, tymczasem w tekście kolędy pojawia się *Rose* – róża.

Tilly nienawidziła swojego imienia, zdrobnienia od Ottilie. Nienawidziła też banku i tych wszystkich kamienic i willi, które należały do jej ojca. Nienawidziła pieniędzy, które zarówno w życiu jej ojca, jak i brata odgrywały kluczową rolę. Kapitał, odsetki, konta, akcje, obligacje, pożyczki, kredyty hipoteczne – nie cierpiała tych wszystkich pojęć, którymi Alfons i ojciec przerzucali się podczas posiłków. Pojęć, których nie rozumiała i nie chciała zrozumieć. Zgadzała się w tym względzie z matką, która stwierdzała bezstronnie, że bank jest instytucją niemoralną, bo żąda z powrotem więcej, niż pożyczył. Gdy była dzieckiem, sądziła, że ojciec para się jakby złodziejskim fachem, i bardzo się tego wstydziła, choć ogromnie kochała ojca, nawet jeśli rzadko miał dla niej czas i bardziej zajmował się Alfonsem. Często marzyła o tym, że zamyka bank i otwiera jakiś duży sklep na Karolinenstraße albo na Maximilianstraße. Najlepiej dom towarowy, w którym będzie można kupić wszelkiego rodzaju piękne rzeczy w rozsądnych cenach. Później, gdy była starsza, zrozumiała, że jej marzenia były nieco naiwne, i cieszyła się, że nigdy z nikim nie rozmawiała na ten temat. Schronienie znalazła w ogromnej bibliotece ojca, czytała do późna w nocy Goethego, Brentana, Jean Paula oraz Theodora Storma, co skutkowało tym, że jej matka, mająca niewielkie poszanowanie dla tego typu wybryków, nazywała ją intelektualistką. Gdy przebywała na pensji, prorokowano jej, że będzie musiała nosić grube szkła, bo wiadomo było powszechnie, że takie ślęczenie nad książkami niszczy wzrok młodych kobiet.

Wojna z siłą pioruna przeniosła ją ze świata jej romantycznych marzeń do rzeczywistości. Ojciec od dawna przewidywał, że wojna niebawem nadejdzie, ale nikt nie chciał mu wierzyć, dopóki nagle wszyscy nie znaleźli się w samym jej środku. Walka niemieckich żołnierzy z wrogiem, który – jak twierdził cesarz – wyrwał ich kraj z błęgiego stanu pokoju, wydawała się czymś wzniosłym i jednocześnie okropnym. Wojna jednak stała się czynnikiem, który wskazał jej zupełnie nową drogę, o której wcześniej nigdy nie myślała. Na początku chciała tylko pracować w lazarecie, żeby w jakikolwiek sposób być użyteczna, i bardzo się bała, że może nie być w stanie znieść widoku krwi i okaże się niezdolna do wykonywania tej pracy. Stało się jednak zupełnie odwrotnie. Ku jej własnemu zaskoczeniu nie sprawiało jej trudności zajmowanie się nawet najgorszymi obrażeniami, dotrzymanie kroku lekarzowi, czyszczenie stołu operacyjnego czy odkażanie narzędzi chirurgicznych. Medycyna była wspaniałą nauką, naprawdę potrzebną, gdyż była w stanie uratować życie ludzi i oszczędzać im cierpienia. Gdyby nie była kobietą, sama chętnie studiowałaby medycynę.

A potem obezwładniła ją miłość. Spadła na nią nie jak grom z jasnego nieba, jak często opisuje się ten stan w książkach, ale w sposób łagodny i delikatny. Uśmiech, który nieśmiało odwzajemniała. Poranne przywitanie, które wypowiadał do niej dziwnie sugestywnym tonem. Jego pochwały, gdy dobrze wykonała pracę. Jego bystry umysł. Jego wprawne ręce. Jego zdolność do mądrego przewidywania zdarzeń. Nikt nigdy nie traktował jej z takim szacunkiem jak doktor Moebius. Czasami zamieniał z nią kilka słów,

gdy przygotowywała pokój do zabiegu, a doktor Greiner był zajęty czymś innym. Potem sądziła, że musi trzymać mocno w ryzach swoje serce, bo bije zbyt szybko i za mocno. On jednak nigdy nie wprawiał jej w zakłopotanie, zawsze był spokojny, przyjaźnie nastawiony, zwierzał się jej z tego, o czym najpewniej nie mówił nikomu innemu, i czuła się dumna z tego powodu. Powiedział jej, że jego ojciec był szewcem, a kapłan z jego rodzinnego miasteczka zatroszczył się o to, żeby mógł studiować medycynę. Dowiedziała się, że mieszkał na poddaszu obok muzyka, który grał Beethovena na pianinie i że te dźwięki tak go zafascynowały, że chciał rzucić medycynę i zostać muzykiem. Och, jak dobrze go rozumiała! Sama przecież prawie utonęła w książkach, potajemnie podjęła pierwsze pisarskie próby, bo chciała zostać pisarką. Teraz medycyna stała się jej wielką namiętnością i, co ciekawe, doktor Moebius zachęcał ją, żeby zrobiła maturę i zaczęła studiować na akademii.

Gdy po raz pierwszy chwycił jej dłoń, przeszedł ją gorący dreszcz przerażenia i natychmiast chciała uciec. Przypomniała sobie teraz, że byli wtedy sami w pokoju zabiegowym, ale w każdej chwili mogła wejść któraś z pielęgniarek lub doktor Greiner.

– Bardzo wiele dla mnie znaczysz, Tilly – powiedział cicho Moebius. – Nie przerażaj się proszę moją szczerością. Już nigdy tego nie powiem, jeśli mi zabronisz.

Stała w milczeniu, patrzyła mu w oczy i nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wtedy on pochylił się i delikatnie dotknął wargami wierzchu jej dłoni. To było tylko muśnięcie, trzepot motyli skrzydeł, ale zaczęła drżeć, bo ten delikatny gest wywołał w jej ciele prawdziwą burzę. Gdy zaraz potem otworzyły się drzwi i ranny mężczyzna został wniesiony do pomieszczenia, musiała szybko wziąć się w garść, żeby wykonywać swoją pracę tak jak zawsze. Mimo że nie dała mu wtedy żadnej odpowiedzi, wytworzyła się między nimi więź, od tej pory każde spojrzenie, każdy ruch i uśmiech coś dla nich znaczyły. A zawsze gdy byli sami, co zdarzało się niestety zdecydowanie zbyt rzadko, wymieniali ze sobą kilka słów. Nic więcej. Były to jednak słowa, które ją upajały i uszczęśliwiali, które w nocy odbierały jej sen, a nad ranem przynosiły słodkie, przerażające sny.

- Nie mogę przestać o tobie myśleć.
- To prawdziwe szczęście, że mogłem panią poznać.
- Nigdy nie powiedziałam tego żadnemu mężczyźnie.
- Wiem, że nie mam do tego prawa.
- Ma pan do tego wszelkie prawo.

Dwa razy pocałował ją potem w rękę. Już nie muskał jej motylimi skrzydłami, ale ciepłymi ustami, od których przeszywał ją dreszcz. Zaczęła się uzależniać od jego dotyku, czekała na okazję, żeby być z nim sam na sam, i wiedziała, że on też czeka, żeby choć przez chwilę nie było obok nich nikogo. Kiedy znajdzie w sobie śmiałość, by ją pocałować? A gdy to zrobi, czy ją obejmie? Przycisnie do siebie? Będzie czuła bicie jego serca, tak jak opisywano w powieściach? A może nawet straci przytomność? Gdy żyła przepelniona tymi słodkimi marzeniami, wszystko zniszczyła nagła wiadomość, że zostaje wysłany na front. Trwała przecież wojna – jak mogła o tym zapomnieć w obeszwałającym stanie zauroczenia? Czy w szpitalu codziennie nie miała jej przed oczami? Jak mogła sądzić, że ona i ten, którego kochała, zostaną uchronieni przed

niszczącą siłą wojny? Najpierw powiedział o tym nie jej, tylko swojemu koledze, doktorowi Greinerowi. Później odkryły to panna Schmalzler i Elisabeth i podzieliły się tą wiadomością z pielęgniarkami. W całym tym nieszczęściu zaczęła ją męczyć głupia zazdrość i złość, że była ostatnią, która się o tym dowiedziała. Dlaczego nie zwierzył się jej z tego osobiście? Bał się, że może wybuchnąć płaczem i rzucić mu się w ramiona? Nigdy w życiu nie zrobiłaby czegoś tak głupiego. Ale on milczał, unikał spotkań w cztery oczy, wydawało się jej nawet, że unikał jej w czasie codziennych zajęć, wybierając inne pielęgniarki do pomocy przy zabiegach.

Dzisiaj był ostatni raz w lazarecie. Tilly przysłała wcześniej niż zwykle. Nie mogła spać w nocy, a opuchniętą od płaczu twarz rano przemywała myjką zmoczoną w lodowatej wodzie. Doktor Moebius już był w pracy, przywitał ją serdecznie jak zawsze, ale bez uśmiechu.

– Panienko Bräuer? Jeśli już panienka tutaj jest, proszę przygotować stół operacyjny. Zgłoszono przybycie trzech nowych rannych, których wymieniono na jeńców wojennych z Rosji.

– Oczywiście, panie doktorze.

Ułożyła potrzebne narzędzia, postawiła butelkę z eterem, przyniosła ręczniki, naczynia, środki opatrunkowe. Wymiana ciężko rannych jeńców wojennych odbywała się z inicjatywy Czerwonego Krzyża – włączyły się w nią prawie wszystkie strony konfliktu. Wymieniano beznadziejnie chorych, potwornie okaleczonych i kalekich mężczyzn. Starano się, żeby do ojczyzny nie powrócił żaden zdolny do służby wojskowej żołnierz.

Zamknęły się za nią drzwi, usłyszała jego kroki, nie odwróciła się. A więc jednak. Jego palce były lodowate. Zadrżała.

– Jest panienka na mnie zła, prawda? – usłyszała jego głos.

Milczała. Nie, nie była zła. Była smutna i czuła się zraniona.

– Nie mogę panienki winić, Tilly. Moim usprawiedliwieniem może być jedynie to, że pozwoliłem porwać się marzeniu, które nie jest niczym innym jak tylko mrzonką.

Mrzonką? Teraz rozgniewana odwróciła się do niego.

– Co ma pan na myśli?

Przez chwilę na jego twarzy malowała się głęboka rozpacz, ale potem wziął się w garść i uśmiechnął się. Z tym grymasem wydawał się jej sztuczny, jakby nałożył maskę, pod którą skrywa prawdziwe emocje.

– Mam na myśli, że my dwoje, ty i ja, zaangażowaliśmy się w coś, co nie ma przyszłości. Proszę, niech panienka mi wybaczy. To wyłącznie moja wina. Nigdy sobie nie wybaczę, że rozbudziłem w panience nadzieje, które nie mogą zostać spełnione...

Chciał mówić dalej, ale ktoś nacisnął klamkę i do pomieszczenia weszła Elisabeth.

– Tutaj jesteś, Tilly. Chodź szybko na górę, jesteś potrzebna. Nie będzie pan zły, doktorze Moebius, jeśli Tilly zastąpi teraz Herta?

– W żadnym razie, pani von Hagemann.

Spojrzała na niego wzrokiem, który sprawił, że przymknął oczy pełne poczucia winy. Och, najchętniej zamordowałyby Elisabeth, która właśnie teraz musiała im wejść w paradę. Nadzieje, które nie mogą zostać spełnione... Ale dlaczego? Czego on się obawiał? Bał się, że będzie się go wstydzić, bo był synem szewca? Myślał, że jest tak

tchórzliwa? Albo, co byłoby znacznie gorsze, w ogóle jej nie kochał? Tylko sobie z niej żartował?

– No chodź już, Tilly! – powiedziała Elisabeth. – Chodź ze mną na górę. Musisz być teraz silna, dziewczyno. Wszyscy musimy być silni. Nie możemy zapominać, że dzielimy nasz los z nieskończoną ilością osób w naszej niemieckiej ojczyźnie.

Zamiast się pośpieszyć, Tilly stanęła na schodach. O czym mówiła Elisabeth?

– Czy... czy stało się coś złego? – wyjąkała przerażona.

– Na górę. Są tam Marie i mama. Musimy trzymać się razem.

Objęła Tilly ramieniem i ciągnęła ją po schodach, gdzie Else ze sparaliżowaną twarzą wносиła tacę z trzema filiżankami i dzbanek z herbatą. Paul, pomyślała Tilly. Miał przecież przyjechać już wczoraj. Szła wolno za Elisabeth, która kierowała się w stronę czerwonego salonu i zatrzymała się tuż przed drzwiami.

– Jest wojna, Tilly – powiedziała Elisabeth. – Czas bohaterów i kobiet w żałobie.

– Skończ już z tym!

W salonie stało wciąż drzewko bożonarodzeniowe, które tymczasem zdążyło już rzucić wszystkie igły na dywan. Alicia stała przy oknie i patrzyła na park, a na sofie siedzieli Marie i... Paul. Tilly zrobiła kilka cichych kroków, a potem podbiegła do niego, żeby go uściskać, a Paul wyjaśnił, że przyjechał dzisiaj z samego rana.

– Na szczęście otworzyła mi drzwi pielęgniarka, która pełniła nocny dyżur w szpitalu, bo inaczej musiałbym dzwonić o piątej nad ranem.

Alicia podeszła do niej i wzięła ją w ramiona, a potem poprosiła, żeby usiadła. Elisabeth rozstawiła filiżanki, które nieco drżały w jej rękach.

– Co się stało, na Boga?

– Twoja mama dzwoniła przed chwilą, Tilly – powiedziała Alicia cicho. – Otrzymali dzisiaj wiadomość, że Alfons... że on poległ.

Chciała dodać coś jeszcze, ale nie była w stanie wydobyć z siebie głosu i przyłożyła do ust chusteczkę, którą trzymała w ręce. Tilly siedziała jak skamieniała, w głowie miała pustkę. Czy ktoś właśnie powiedział, że jej brat został zabity? Alfons, który był zawsze tak spokojny i rozważny? Tak delikatny i przy tym tak mądry? Alfons, jedyny syn. Wielka duma ojca, jedyna przyszłość banku Bräuerów? Alfons, jej starszy brat, który był przy niej, odkąd przyszła na świat.

– Kiedy? – wyjąkała, wiedząc, że mówi w sposób pozbawiony sensu. – Gdzie? Gdzie to się stało?

– Nie wiemy tego, Tilly – powiedziała zatroskana Marie. – Twoja mama powiedziała, że nad Sommą. To... to nie do pomyślenia, że to właśnie on zginął. Nigdy nie chciał być żołnierzem, nienawidził tej wojny. Ale o to nikt go nie pytał.

Tilly zaczęła szlochać. Żal wydobywał się z głębi jej serca i coraz silniej torował sobie drogę, tak że nie była w stanie go powstrzymać. Alfons nie żył. Nigdy nie wróci. Leży gdzieś sztywny i zniekształcony na noszach. Poczwała obejmujące ją ramię. Marie szeptała słowa pocieszenia do jej ucha. Głaskała jej włosy. Alicia uklękła przed nią, złapała ją za rękę, mówiła do niej. Elisabeth również mówiła coś o poświęceniu dla ojczyzny.

– Odprowadzimy cię do domu, Tilly. Twój rodzice będą cię teraz potrzebowali.

Potrząsnęła głową. Nie, nie chciała iść do domu. Nikt nie potrzebuje jej towarzystwa.

– Ale to będzie po drodze, Tilly – wtrąciła się pośpiesznie Alicia. – Paul weźmie samochód. Musimy jechać do Kitty.

– Oczywiście – odpowiedziała natychmiast Tilly. – Biedna Kitty. I biedna mała Henni.

– Nie róbcie sobie kłopotu. Zostałam tu przydzielona do pracy i nie będę od niej uciekać. Lepiej będzie, jeśli czymś się zajmę. Mama będzie wiedziała, jak pocieszyć tatę.

– Twoją decyzję należy uszanować, Tilly – powiedziała Elisabeth. – Chodźmy na dół. Ja też muszę wrócić do swoich obowiązków. Mamo, przyjdę do was, gdy tylko będę wolna.

– Jak chcesz, Tilly – powiedziała Marie. – Oczywiście rozumiem, że nie chcesz zrezygnować z pracy, ale nie powinnaś przeceniać swoich możliwości. Odpocznij potem, obiecaj mi!

Tilly przytaknęła, znalazła chusteczkę w swoim białym fartuchu i wytarła nos. Potem zobaczyła, że Paul i Marie trzymają się za ręce, opuszczając pokój, i chociaż robili to dyskretnie, uznała to zachowanie za naprawdę niestosowne.

Poszła do łazienki i umyła twarz zimną wodą. Gdy spojrzała w lustro, przestraszyła się, widząc cienie pod oczami i ziemisty kolor skóry. Jestem okropnie brzydka, ale kto by się tym teraz przejmował. Alfons nie żyje. Jej miłość była jedynie mrzonką. Jej życie jest skończone. Nie musiała już dla nikogo być piękna. Przyglądała odstające pasma włosów i założyła je za uszy. Później nałożyła czepek pielęgniarce. Co Elisabeth jeszcze mówiła? Musi być silna. I będzie. Będzie wykonywała swoją pracę, jakby nic się nie stało. Dobrze być między ludźmi i mieć coś do zrobienia. Dużo trudniej byłoby, gdyby pojechała do domu i musiała patrzeć na rozpacz rodziców.

Na dole w lazarecie już na nią czekano. Przywieziono nowych pacjentów, a do tego jeszcze dwóch młodych mężczyzn, którzy od wielu dni mieli gorączkę i doktor Greiner kazał ich odizolować od innych, bo bał się, że to może być tyfus. Tilly była zadowolona, że nikt nie pytał, gdzie była i dlaczego przerwała pracę. Rzuciła się w wir zajęć. Zmieniała opatrunki, rozdawała obiady, zwijała świeżo uprane bandaże. Później doktor Greiner zawołał ją do pokoju zabiegowego i pomagała mu opatrzyć kilka trudnych ran. Nie zapytał o doktora Moebiusa, ale Greiner, który traktował ją jak córkę, powiedział jej, że bardzo źle zniósł pożegnanie z młodszym kolegą.

– Jego serce pozostanie tutaj, panienko Bräuer. Wydaje się, że bezpowrotnie je tutaj stracił, biedny chłopak.

– W życiu tak bywa – powiedziała z zaciśniętymi ustami.

Pod żadnym pozorem nie może być słaba, bo się rozpadnie. Pracowała jak opętana. Trochę w pralni, potem siedziała przy łóżku chłopca, który majaczył i mówił o szczurach z ludzkimi twarzami. Czytała mu wiersze i czuła, że rytm wersów go uspokaja, aż w końcu zasnął. Patrzyła na jego zboląłą twarz i sama poczuła nagle potworne, ogarniające ją zupełnie zmęczenie.

– Panienko Bräuer?

Patrzyła na niego obojętnie. Czego chciał? Była wyczerpana, to był najwyższy czas,

żeby poszła do domu.

– Ma panienska siłę na jeszcze jedno zadanie? Bardzo serdecznie panią proszę.

Jego głos brzmiał łagodnie, niemal czule. Herta, która właśnie przechodziła z tacą, patrzyła na nich z dezaprobatą.

– Oczywiście – mruknęła Tilly.

Wziął jej dłoń, żeby pomóc się jej podnieść. Gest, na który nigdy wcześniej sobie nie pozwolił. Chciała, żeby to się działo, poszła za nim do dusznego pokoju zabiegowego, zabierając ze sobą jak zawsze materiały opatrunkowe i nożyczki.

– Straciła panienska brata – powiedział nieoczekiwanie. – Bardzo mi przykro z tego powodu. Wiem, że słowa nic nie znaczą, ale nie mogę zrobić nic innego jak tylko panienki...

Przerwał, bo odwróciła się do niego. Ich oczy się spotkały. Tęsknota i smutek, nadzieja i rozpacz złączyły się w jedno, nie byli w stanie przeciwstawić się magii tej chwili. Ich uścisk nie był czuły, tak jak o tym śniła, był gwałtowny, niemalże bolesny, a jego pocałunek palił jej usta.

– Kocham cię – wyszeptał. – I tylko to się liczy w obliczu tych bezsensownych śmierci.

Tkwiła w jego ramionach jak porażona, nie odważyła nawet się poruszyć, bo bała się, że zrobi coś nie tak. Wychowano ją w przekonaniu, że nie powinna się wychylać, że mężczyźni nigdy nie wolno pokazać, jak bardzo się go pragnie. Czuła, że on właśnie na to miał nadzieję.

– Dlaczego... dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Bo jestem tchórzem – wyjąkał i opuścił głowę na jej ramię. – Bo bałem się, że zostanę odrzucony. Dzieli nas tak wiele... Jak mógłbym się ośmielić...

Nagle poczuła ogromną czułość dla tego kochającego mężczyzny, który z jej powodu tak był udręczony. Odrętwienie zaczęło mijać, dotknęła delikatnie jego karku, pogładziła palcami włosy.

– To moja wina, Ulrich. Nigdy cię do tego nie zachęciłam.

Cóż to za nowe wspaniałe uczucie móc zwracać się do niego po imieniu. Tak często robiła to w marzeniach. Zamknęła oczy, żeby całkowicie poddać się jego tkliwemu dotykowi. A on chwycił jej pieszczącą go dłoń i pocałował ją.

– Ależ robiłaś to, Tilly – powiedział z uśmiechem. – Mówiły mi to twoje oczy i czułem to w każdym twoim geście.

Odsunęła się trochę od niego i spojrzała mu w oczy, badawczo i nieco niepewnie. Dopiero gdy się do niego uśmiechnęła, odetchnął z ulgą.

– Powiedz to... – poprosił. – Powiedz, żebym mógł to ze sobą zabrać, gdy odejdę.

– Kocham cię, Ulrich. Będę na ciebie czekać do końca wojny i jeszcze dłużej. Aż do chwili, gdy znów się zobaczymy.

Objął ją gwałtownie i przycisnął do siebie. Jego pocałunek był niezgrabny, a palce kluczyły w skrzyżowanych na plecach paskach fartucha. Odsunęło ich od siebie energiczne pukanie do drzwi.

– Panie doktorze Moebius! – krzyknęła Herta. – Niech pan szybko przyjdzie! Mamy krwotok...

Czuję się dobrze – powiedziała Kitty z uśmiechem i lekkim zakłopotaniem. – Jak cudownie, że wszyscy przyszlście. Mizzi! Gdzie się podziewasz? Przynieś nam herbatę i trochę ciastek. Co? Nie ma mąki? To po prostu śmieszne. Nie jesteśmy przecież jakimiś tam...

Marie widziała, że Paul przymyka oczy. Jego twarz wyrażała najwyższe zaniepokojenie. Znał swoją siostrę i jej skłonności do histerycznych wybuchów, po których przychodziła depresja. Nawet Alicia westchnęła dyskretnie i niepostrzeżenie skinęła do Marie. Potrzebne były cierpliwość i dużo zainteresowania.

– Ach, jak cudownie, że mam znów przy sobie mojego ukochanego Paula – zawołała Kitty po raz enty i objęła brata, który siedział obok niej na szezlongu. – Tak mi ciebie brakowało, braciszku. Nie wiem, co by ze mną teraz było, gdybyś nie wrócił. A widziałeś już małą Henni?

– Tylko na zdjęciu.

– Och, chodźmy w takim razie do pokoju dziecięcego! Pani Sommerweiler! Co robi Henni? Śpi? Jej wujek Paul przyjechał.

Wszyscy poszli za nią do pokoju małej, w którym mamka z całkowitym spokojem robiła na drutach, podczas gdy Henni najedzona i szczęśliwa spała w swoim łóżeczku.

– Nie budź jej, Kitty – prosił Paul. – Pozwól mi tylko się jej przyjrzeć. Ale jest rumiana. Leży tam sobie jak w małym gniazdku. Tak spokojnie i bezpiecznie.

Ach, on nie miał czasu zobaczyć własnych dzieci, pobawić się z nimi, pomyślała zaniepokojona Marie. Cóż to za okropny zbieg okoliczności. Możemy się sobą cieszyć tylko przez kilka dni, a wszystko tak nieszczęśliwie się potoczyło.

Kitty nie przestawała mówić. Czy widział jej loczki blond? I ma już cztery małe zęby mleczne. I pełne policzki, które odziedziczył po swoim tacie...

Urwała nagle. Uśmiechała się wciąż, gdy z roztargnieniem wyglądała przez okno. Płatki śniegu przenosił wiejący wiatr, znowu zrobiło się zimno, a trawniki zostały przykryte białą pajęczyną.

– Alfons poległ – powiedziała tak cicho, jakby rozmawiała z jakimś duchem. – Zginął za naszą niemiecką ojczyznę. Jak wielu innych. Prawda, kochany Paulu? Nie mam prawa narzekać, że mi się to przytrafiło, bo tysiące innych żon w Europie musi znosić to samo.

Paul przytaknął i spojrzał na Alicję, która z niepokojem obserwowała córkę. Marie objęła Kitty i pogłas-kała ją po policzku. Kitty przytuliła się do niej. Marie jest przecież jej najlepszą, najdroższą przyjaciółką. Marie zawsze wiedziała, co leży jej na sercu. Tylko Marie mogła ją zrozumieć.

– Wychodzimy, Kitty. Herbata czeka. A tutaj obudzimy małą Henni.

– Tak, masz rację – mruknęła Kitty. – Napijmy się herbaty. Okropnej miętowej

herbaty, po której w ustach zostaje mdły posmak. Alfons nie lubił herbaty. On pił tylko kawę z mlekiem. *Café au lait* – zawsze mówił. I zawsze mi wtedy przypominał o tym, jak wędrowaliśmy razem po Paryżu. Ach, tak piękne obrazy kupił dla mnie u Kahnweilera...

Marie ostrożnie zaprowadziła ją na szezlong, usiadła przy niej i naląła jej herbatę. Kitty chwyciła filiżankę z herbatą i nie pijąc jej, opowiadała o ostatniej wizycie Alfonsa, o jego zauroczeniu małą córeczką, którą ciągle trzymał w ramionach. Chciał mieć trzy albo cztery takie córki. Był kochający i czuły jak nigdy wcześniej. Ale też zamyślony, a czasami nawet smutny.

– Obiecał, że wyśle długi list na Boże Narodzenie. A zamiast tego przysłał żałośnie małą kartkę pocztową z narysowaną na niej głupią choinką.

Wtedy wreszcie dotarła do niej okrutna prawda. Filiżanka wypadła jej z ręki, Kitty położyła głowę na piersi Marie i całe jej ciało drżało, gdy płakała. Marie objęła ją ramionami i kołysała jak dziecko.

– Jesteśmy tutaj, Kitty – szeptała jej do ucha. – Wszyscy jesteśmy przy tobie. Nie jesteś sama, jesteś naszą jedyną, słodką, ukochaną Kitty.

– Bogu dzięki – powiedziała Alicia do Paula, który poruszony i zafascynowany obserwował obie kobiety. – Nastąpił pierwszy przełom. Jak sądzisz, Paul? Powinniśmy ją zabrać do posiadłości?

– Koniecznie, mamó. Nie możemy jej teraz zostawić tutaj samej.

Kitty nie płakała długo. Poprosiła o chusteczkę, powiedziała, że zawsze będzie kochała Alfonsa, tak długo, jak będzie żyła, i że natychmiast chce pójść do swojego biurka, żeby przeczytać jego listy. Marie poszła z nią i była zaskoczona bałaganem, jaki Kitty miała w swoim sekretarzyku w stylu *biedermeier*. zaproponowała jej, żeby wszystkie listy włożyć do jednego pudełka.

– Zabierzemy cię do posiadłości, Kitty. Tam znów wszyscy będziemy razem, ty i Henni, mama i tata, Lisa, Paul i ja. Henni jest bardzo szczęśliwa, gdy przebywa z Leo i Dodo.

– Tak – powiedziała jakby nieobecna Kitty i pozwoliła, żeby spadł rozłożony właśnie przez nią list z frontu. – Będzie tak jak wcześniej. Prawda? Tylko piękniej...

Elisabeth przyszła pomóc jej w pakowaniu, bo Kitty chciała zabrać tysiąc rzeczy, z których dziewięćset dziewięćdziesiąt było zupełnie zbędnych.

– Ty możesz poprowadzić samochód, Liso – powiedział Paul, ściskając dłoń Marie.
– Skoro tyle rzeczy trzeba przewieźć, ja i Marie pójdziemy pieszo do domu.

– Ale możemy później przewieźć bagaże Kitty – zwróciła się do nich Alicia.

Wtedy zobaczyła, że trzymają się za ręce, i zrozumiała.

– Ale nie, oczywiście, to dobry pomysł, Paulu. W końcu nie widziałeś naszego Augsburga od prawie roku. Wiele sklepów zniknęło, zmieniły się ulice. Tylko w żadnym razie nie zachodźcie do starej części miasta.

– Nie musisz się o to martwić, mamó.

Zostało jeszcze trochę śniegu na dachach i gzymsach na starych domach patrycjuszy, które od wieków świadczyły o dobrobycie miasta. Stojąc jeden przy drugim,

patrzyły swoimi starymi, zmęczonymi oczami na to, co się dzieje na ulicach, zdecydowane przetrwać wojnę i wszelkie niedogodności nowych czasów. Paul nie puszczał dłoni Marie. Powoli szli chodnikiem, patrząc na siebie, śmiejąc się i ciesząc się, że wreszcie są razem.

– Wszystko jest na swoim miejscu – zażartował Paul, wskazując na wieże katedry, przy której właśnie przechodzili. – Oczywiście brakuje kilku sklepów, a wystawy są znacznie uboższe, ale poza tym...

Marie potwierdziła. Wiadomo, w cesarstwie ludzie nie są narażeni na zniszczenia, ale nie są też chronieni przed głodem i zimmem.

– Panuje tyfus w dzielnicach nędzy, czerwonka, gruźlica, zapalenie płuc... Zimą umierają z głodu noworodki, dzieci, a także starzy ludzie. A my możemy niewiele na to poradzić. Uprawy ziemniaków zgniły. W posiadłości też jemy ciągle brukiew i gotowane warzywa. Przydziały na kartkach żywnościowych są niewielkie, a kto nie ma pieniędzy, ten nie może kupić nawet tych skromnych ilości.

Ugryzła się w język, bo nie chciała narzekać, wiedziała przecież, że widział i przeżył rzeczy znacznie gorsze. Do tej pory nie wspomniał o tym ani słowem, radość ze spotkania zdominowała całą resztę. Wczesnym rankiem wkradł się do ich małżeńskiej sypialni, cicho niczym złodziej, bo nie chciał przerywać jej snu. Och, jak mocno go za to skarciła. Całe dwie godziny ich cennego bycia razem ona po prostu przespiała, co prawda obok niego i w jego ramionach, ale nieświadomie, nie pieszcząc go, nie dotykając ukochanego, znanego jej ciała, nie oddychając z nim, nie łącząc się z nim w jedno. Co intensywnie nadrabiała już wtedy, gdy Auguste człapała przez korytarz, żeby wziąć obrus z pralni.

Auguste uruchomiła piecyk łazienkowy i napełniła wodą wannę. Paul nie ustąpił, dopóki Marie nie weszła z nim do ciepłej wody z mydłem, naga jak ją Pan Bóg stworzył, i robili tam wspaniałe, a także wysoce niewłaściwe rzeczy, które nawet małżeństwu mogły się wydać niemoralne. Dopiero gniewne pukanie pana domu zakończyło małżeńską kąpiel. Wskoczyli z wanny niczym przyłapano na jakiejś zdrożności dzieci, rozlewając wodę i chichocząc głupiutko.

– Tak, tato, już wychodzimy!

Śniadanie zamieniło się w szczęśliwe spotkanie po wielu miesiącach, tata i mama obejmowali syna i tylko Lisa, która rzuciła mu się w ramiona, szlochając, zapytała później, czy Paul przywiózł jakieś innowacje z Francji, na przykład nowe zwyczaje związane z kąpielą. Wiadomo bowiem, że Francuzi są znani z dość lekkiego traktowania moralności. Paul jednak był zbyt zajęty, żeby się złościć, bo Leo i Dodo niepodzielnie wzięli w posiadanie jego kolana.

Telefon Gertrude Bräuer zakończył radosne rodzinne śniadanie i zarówno Paul, jak i Marie wiedzieli już, że na pielęgnowanie dalszego wspólnego szczęścia nie będą mogli sobie pozwolić. Możliwe, że to właśnie był powód, dla którego teraz, gdy szli ulicami miasta, Marie miała mu do przekazania same złe rzeczy, zamiast dodawać mu odwagi, zamiast pokazywać, że mimo wojny i głodu życie w Augsburgu toczy się dalej.

– Tramwaje elektryczne już nie kursują, prawda? – zapytał, patrząc na puste szyny, które już od dawna nie były szlifowane przez koła tramwajów.

– Tylko od czasu do czasu. Niekiedy w posiadłości także nie mamy światła, ale na krótko. Od kilku tygodni na Maximilianstraße są organizowane manifestacje socjalistów i jakichś ludzi. Ale na szczęście nie dochodzi do przykrych ekscesów tak jak w innych miastach.

Paul powiedział, że społeczne niepokoje są groźne dla wszystkich mieszkańców. Nie ma nic gorszego niż rewolucja, która wymyka się kontroli państwa i daje tłumowi pełną władzę. Najbardziej cierpią wtedy słabi i niewinni. To nie znaczy, że żądania tych ludzi nie są słuszne, jest wiele zła, bo nie powinno być tak, że jedni umierają z głodu, a drudzy mają na stołach pieczeń wieprzową i knedle.

– Tylko nie mów tego mamie... Ona była bardzo dumna z naszego świątecznego jedzenia. Tygodniami oszczędzaliśmy na to nasze kartki żywnościowe.

Szli wzdłuż Karolinenstraße i z każdym krokiem było im coraz trudniej iść. Inwalidzi wojenni siedzieli na podartych kocach pod ścianami domów, prosząc o jałmużnę, a w sklepie obuwniczym Maxa Ginsbergera można było kupić buty z drewnianymi podeszwami, ale oferowano też dwie pary z prawdziwymi gumowymi za horrendalną cenę. Dzieci łączyły się w małe grupki i Marie wiedziała, że niektóre z nich są wprawnymi złodziejami. Głód je do tego zmusił, bo większość z tych dzieci to była sama skóra i kości.

Paul spojrzął na chylące się ku horyzontowi popołudniowe słońce, które wyglądało zza szarych chmur. Wieża Ulricha ze swoim zielonym cebulastym dachem majaczyła w oddali, obojętna na los ludzi, a Herkules wyrzeźbiony na fontannie unosił maczugę, jakby to on musiał powalić na ziemię wszystkich wrogów cesarstwa.

– Być może, Marie... – powiedział Paul, nie patrząc na nią. – Być może dojdzie do pokojowego porozumienia. Amerykański rząd czyni starania, są nawet konkretne propozycje. Możemy mieć nadzieję, że rozsądek i rozwaga tych, którzy rządzą, zwyciężą.

Marie też o tym słyszała. Doniósł im o tym Johann Melzer i dodał, że trudno w coś takiego uwierzyć. Na to generałowie Hindenburg i Ludendorff byli zbyt nieustępliwi, a żołnierzy wciąż przekonywano, że mogą wygrać tę wojnę. Wystarczyło przeczytać w gazetach doniesienia o sukcesach niemieckiej armii na wszystkich frontach. Nawet jeśli sukcesy te polegały jedynie na tym, że odparto właśnie atak wroga...

– Żołnierze nie chcą dłużej walczyć – powiedział Paul. – Nie można o tym mówić głośno, Marie, ale większość nie pragnie niczego innego, jak tylko wrócić do domu po zawarciu pokoju. I nie tylko Niemcy tak myślą. We Francji wybuchły z tego powodu zamieszki, we Włoszech ludzie się buntują, a w Rosji żołnierze uciekają od swoich oficerów. Ziemia jest nasycona krwią, ciała zmarłych leżą w błocie i gniją, żadnej salwy honorowej, żadnego upamiętnienia. Nazywają ich zaginionymi i ich bliscy żywią wciąż nadzieję, choć tak naprawdę nie ma już na co.

Zamilkł, kręcąc głową, jakby widział przed sobą coś, co było całkowicie nie do pojęcia. Marie zasmucił fakt, że tak wiele doświadczył i wycierpiał, a ona nie może nic zrobić. Dzieliła ich przepaść, szara strefa milczenia, do której najpewniej on jej nigdy nie dopuści.

– Chodźmy przez starą część miasta – zaproponował Paul. – Chciałbym przejść pod Zielonym Drzewem i potem zawrócić do bramy Jakoba, jak to dawniej robiliśmy.

Marie zgodziła się, choć nie miała zbytniej ochoty ponownie oglądać starych domów i zniszczonej gospody. Minęły już trzy lata, odkąd młody pan Melzer obronił tutaj pomoc kuchenną Marie przed wściekłym pracownikiem właścicielki gospody. Wtedy oboje nie wiedzieli, że Marie jest córką genialnego konstruktora Jacoba Burkarda, któremu fabryka Melzerów zawdzięczała swoje najlepsze maszyny. Gdy Paul towarzyszył jej później aż do bramy Jakoba, był już w niej tak zakochany, że nie mógł oprzeć się pokusie, żeby jej nie pocałować. Ale to zrozumiał dopiero później.

Odbili z Maximilianstraße w jedną z małych uliczek i po kilku krokach znaleźli się w innym świecie. Tutaj chyliły się do ziemi małe, zniszczone budynki, ich dachy były pokryte mchem i pełne dziur, na drodze wykopano głębokie rowy, a przy wejściach do domów stali dziwni osobnicy i wpatrywali się w dobrze ubranych przechodniów. Marie wiedziała, że wielu byłych pracowników fabryki tekstylnej właśnie tutaj znalazło miejsce swojego tymczasowego zamieszkania. Kobiety i dzieci, starzy i chorzy kasłali tutaj w wilgotnych izbach, mężczyźni byli na wojnie, powróciło jedynie kilka kalek.

– Wygląda to o wiele gorzej niż dawniej – powiedział Paul ściszoneg głosem. – Czy tata nie kazał naprawić dachów i odnowić pieców?

Johann Melzer swego czasu kupił gospodę Zielone Drzewo i kilka sąsiednich budynków. Marie jednakże wątpiła, by chciał wydać pieniądze na tego typu renowacje. Sytuacja finansowa fabryki nie wygląda różowo, skąd więc miał wziąć pieniądze na tego typu inwestycje? Zwłaszcza że mieszkańcy nie byli w stanie płacić mu czynszu.

– Lepiej zawróćmy, Paul.

Potrząsnął głową i ruszył przed siebie, z dezaprobatą patrzył na śmieci walające się po ulicy, ledwie ominął szczura, który wyskoczył z jednej z piwnic.

– Prawie w żadnym domu nie widać dymu z komina.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała Marie. – Nikt tutaj nie ma pieniędzy na węgiel, a drewno też jest drogie.

Skręcił za róg i musiał zejść z drogi grupie wyrostków, których miny wskazywały na to, że nie ustąpią mu miejsca. Z pewnością nie mieli więcej niż czternaście, piętnaście lat, nosili kurtki i czapki swoich ojców i stali z rękami w kieszeniach, wyzywający i wrogo nastawieni.

– To jest dyrektor Melzer. Ten z fabryki tekstylnej – powiedział wyrośnięty chłopak z rudymi kręconymi włosami. – Obiecał mojej matce większe wynagrodzenie, a potem co zrobił? Zwolnił ją!

– Zamknij dziób! – syknął mniejszy chłopiec, ubrany w o wiele za szeroką kurtkę. – Trzeba być czujnym. On chce odzyskać od nas czynsz, dlatego tutaj jest!

Marie czuła, że Paul chce się zatrzymać, ale pociągnęła go dalej. Nie można wdawać się w rozmowy z tymi nieszczęśliwymi ludźmi. Bieda uczyniła ich ślepyimi i głuchymi, zżerała ich nienawiść i nie chcieli słuchać żadnych wyjaśnień.

– Nie dostaniesz od nas ani feniga, krwiopijco!

– Przyjdź tylko do nas, ładniutki snobie! Moja siostra przyjmuje każdej nocy trzech kochanków, żeby nam kupić chleb. Może ty też chcesz u niej zagościć!

– Zamknij się wreszcie, Andi. On jest z kobietą.

Paul zatrzymał się, żeby coś powiedzieć, ale zanim zdążył otworzyć usta, kamień

przeleciał tuż koło jego głowy i uderzył w ścianę. Pies zaszczekał, ktoś otworzył okno, usłyszał zachrypnięty głos przeklinającej starszej kobiety.

– Wynocha stąd, wy głupole, wałkonie, bumelanci! Pijacy! Wszetecznicy!

Nie było do końca jasne, czy ma na myśli młodych chłopców czy dobrze ubraną parę, ale wiadro, które teraz postawiła na parapecie okna, sprawiło, że wyrostki czmychnęły.

– W nogi! – krzyknęła Marie energicznie i pociągnęła ze sobą Paula.

Biegli ulicą, mijając ciekawskich mieszkańców, którzy mimo hałasu pootwierali drzwi i okna. Marie widziała ich blade twarze, zapadnięte policzki, oczy pozbawione nadziei. Dzieci płakały, sypały się przekleństwa, raz czy dwa rzucono za nimi kamień.

Bez tchu wybiegli znów na Jakoberstraße i zatrzymali się na opuszczonej stacji tramwajów elektrycznych, starając się uspokoić.

– Wybacz mi, Marie, że naraziłem cię na takie niebezpieczeństwo.

– Znam tę okolicę od dawna, zawsze tu mieszkali ludzie biedni, w czasie wojny zaś zapanowała całkowita nędza.

Szli powoli w stronę bramy Jakoba, rozpoznając miejsca, w których dawniej bywali, jednakże romantyczne wspomnienia nie chciały do nich wrócić. Paul był rozgniewany, czuł się niesprawiedliwie oskarżany i nie mógł znieść tego, że nie dano mu okazji, by mógł wyjaśnić niektóre sprawy. Dlaczego nikt nie wyjaśnił ich tym ludziom? On, Paul Melzer, tak by chciał dać im chleb i pracę, ale był żołnierzem, a fabryka walczyła o przetrwanie. Czy to jego wina, że musiał pełnić służbę w Rosji? Czy to on był odpowiedzialny za plagę strasznego głodu? Czy to przez niego zgniły kartofle? Marie starała się go uspokoić. Z tymi nieszczęśliwymi ludźmi nie da się rozmawiać, trzeba im pomóc, ale jak? Karmienie chorych i działanie towarzystw charytatywnych i kobiecych to była kropla w morzu. Większość produktów i ciepłe ubrania szły na front, żeby podnieść siłę bojową żołnierzy. A w miastach ludzie umierali z głodu.

– Tak jest nie tylko w Niemczech – powiedział Paul, który włożył ręce w kieszenie płaszcza i stał obok niej lekko pochylony. – W Rosji też ludzie umierają z głodu. W innych krajach również. Mój Boże, jak wszyscy tęsknią za pokojem!

Marie milczała. Niebo nad miastem zasnuły szare i ciężkie chmury, słońce znikło, dzień robił się zimny i ponury. Ona też schowała skostniałe ręce do kieszeni płaszcza, stawiała duże kroki i patrzyła na budynki fabryki maszyn, której wąskie, wysoko wysunięte kominy wypuszczały w niebo ciemny dym. Jak wiele węgla muszą tam spalać maszyny parowe. Ogrzałoby się nim z pewnością większość domów w starej dzielnicy. Potem pomyślała o tym, że w fabryce Melzerów maszyna parowa też jest karmiona węglem, żeby można było wyprodukować materiał z papieru, i nie wiedziała już, czy to, co robią, jest dobre czy złe.

– Dobry Boże! – powiedział Paul znienacka, gdy stanęli przed główną bramą prowadzącą do posiadłości. – Jutro jest sylwester! Prawie o tym zapomniałem!

– Tak – potwierdziła, patrząc na niego z uśmiechem. – Nowy Rok. Jestem pewna, że tysiąc dziewięćset siedemnasty będzie rokiem pokoju.

Och, jak nienawidziła Melzerów! Te wyniosłe świnie z fabryki, które sądzą, że mogą decydować za nią! Nie mają do tego prawa. Nie mają nic do tego, czy pójdzie do więzienia, czy zostanie rosyjską dziwką. To było jej życie. Jej miłość. Jej śmierć.

Całą drogę powrotną Hanna szlochała z bezsilnej rozpacz i ciągnęła ten przeklęty wózek po świeżym śniegu, jakby był jej zawziętym wrogiem. Gerda, która wyszła jej naprzeciw, zauważyła jej gorące łzy.

– Hanna, co ci się stało? – zapytała Gerda, która była pomocą kuchenną w posiadłości pani dyrektorowej Wieslerowej.

– Zupełnie nic – odpowiedziała buńczucznie. – To przez zimno, zawsze wtedy płaczę.

– Ach tak... A ja już myślałam, że to z powodu pana Bräuera. On poległ, prawda?

Hanna pociągnęła nosem i wierzchem dłoni wytarła twarz. To nic nie dało, bo z jej nosa ciekło.

– Ten pan Bräuer? Tak, on nie żyje.

Alfonsa Bräuera pamiętała jak przez mgłę. Był zawsze miły i hojny, zostawiał za każdym razem jakieś pieniądze na talerzach – dla personelu. Nie był to zbyt piękny mężczyzna, nieco za pulchny i zawsze nosił okulary. Może to właśnie z tego powodu – na pewno nie było dobrze, gdy żołnierz miał problemy ze wzrokiem.

– Tak, codziennie przychodzą nowe zawiadomienia. Moja biedna pani straciła już trzech synów, i to polegli na samym początku wojny. Byli tak podekscytowani, że mogą bronić cesarza i nasz kraj, a w nagrodę znaleźli się pod gradem kul.

Hanna rozcierała zmarznięte ręce i miała nadzieję, że Gerda zaraz sobie pójdzie. Ona jednak szwargotała wciąż o tym, że również w szpitalu u Melzerów wczoraj żona pułkownika von Sontheima doświadczyła wielkiej straty, bo tyfus odebrał jej dwóch biednych chłopców, a trzech kolejnych leży w gorączce, ledwie dysząc. Przez chwilę Hanna miała przed oczami okropny widok gorączkującego Grigorija, bladego, z czarnymi włosami przyklejonymi do czoła, z klatką piersiową unoszącą się i opadającą spazmatycznie. Ale nie, nikt przecież nie powiedział, że zachorował. Po prostu nie było go w fabryce. Pomyślała z nadzieją, że przydzielono go do pracy, której nie mógł przerwać. Złośliwe spojrzenia pracownic i pełne współczucia jego towarzyszy przekonały ją jednak o tym, że jej nadzieja była płonna.

– Wypatrujesz swojego kochasia, brukwiowa Hanno?

Znała tę pracownicę, chudą kozę z rzadkimi włosami i długim haczykowatym nosem jak wiedźma. Ona od dawna jej zazdrościła, a teraz wreszcie mogła świętować swoje zwycięstwo.

– On już więcej nie przyjdzie, odesłali go. Miał wszy. Nie mył się, brudas.

To było wierutne kłamstwo. Grigorij korzystał z każdej okazji, żeby się umyć, a przy tym zimnie w obozie jenieckim na pewno nie było to przyjemne. Robił to dla niej, żeby nie przenosić na nią żadnego brzydkiego zapachu. Mył nawet regularnie włosy.

– Co ty tam wiesz – odparowała kobiecie.

Ale ta tylko się zaśmiała i powiedziała do innej, że można mówić o prawdziwym szczęściu, że sprawy tak dobrze się dla Hanny potoczyły. Może to zawdzięczać wyłącznie młodej pani Melzer, która zatroszczyła się o to, żeby odesłano tego Rosjanina. Och, jak Hanna nienawidziła teraz Marie Melzer! Sama zabawia się w łazience ze swoim mężem, ale pomocy kuchennej odmawia prawa do szczęśliwej miłości. Hanna to wiedziała, bo Auguste wczoraj wieczorem bardzo dokładnie opisała, w jakim stanie była łazienka po ich barszkwaniu.

– Muszę już iść – powiedziała do Gerdy i pociągnęła wózek do przodu, aż zabrzęczała pokrywka na garnku.

Gdzie on mógł teraz być? Tych dwóch pracownic nie chciała pytać, bo one zaraz delektowałyby się jej desperacją. A młodzi nadzorcy tylko wzruszyli ramionami. Ona jednak była pewna, że dobrze wiedzieli, gdzie jest. Mimo to milczeli. Widocznie Melzerowie zabronili im zdradzić jej miejsce pobytu Grigorija. Wzięła głęboki oddech, zawiązała mocniej chustę na głowie i spojrzała na fabrykę papieru Hayndl. A może tam został wysłany do pracy? Albo do MAN, skąd dym unosił się z kominów? Korciło ją, żeby pochodzić po okolicy i go poszukać. Powiedzieć mu, że go kocha, że po wojnie na pewno wyjedzie z nim do Piotrogradu. Nawet jeśli teraz nigdy więcej się nie zobaczą, po wojnie go odnajdzie. Grigorij Szukow – tak się nazywał. Jeśli znała jego nazwisko, dość łatwo będzie go mogła odnaleźć w Piotrogradzie.

Ale może wsadzili go do więzienia? Melzerowa go oskarżyła i on czeka teraz na śmierć? Strzał w tył głowy. Szubienica. Ale wtedy przesłuchiwaliby również ją. Nie, nie chciała nawet myśleć, że Grigorij mógłby umrzeć. Pojutrze, gdy znów będzie dzień pracy, spróbuje wypytać jego towarzyszy. Oni co prawda nie potrafili powiedzieć słowa po niemiecku, ale całkiem dużo rozumieli.

Doczłapała się z wózkiem na drogę prowadzącą do willi i złościła się z powodu śniegu, który w nocy padał dość obficie. Już nad ranem musiano odśnieżać wejście do posiadłości. Prawdopodobnie teraz ją przydzielą, żeby oczyściła drogę do tylnego wejścia do willi z tej białej pierzyny. Ponieważ nie mieli do dyspozycji kamerdynera czy ogrodnika, pomoc kuchenną posyłali do najcięższych prac. A Auguste w tym czasie bawiła się z dziećmi w śniegu, wozila je na sankach i lepiła z nimi bałwana. Posiadłość zamieniła się w przedszkole i nie tylko bachory Auguste latały wszędzie, również bliźniaki potrafiły już chodzić na swoich grubych nóżkach, a Henriette, którą nazywano ciągle małą Henni, potrafiła raczkować szybciej, niż pozostałe biegały. Nie, teraz była niesprawiedliwa, bo bardzo lubiła te maluchy, tylko w tym momencie nie miała nastroju na słuchanie ich radosnych krzyków.

W kuchni siedziały razem Else i Brunnenmayer i rozmawiały o sytuacji w lazarecie, gdzie pielęgniarki zaczęły romansować z oficerami. Hanna wyciągnęła pusty garnek z wózka i wstawiła go do zlewu, umyła go porządnie gorącą wodą, która zawsze była pod ręką na piecu kuchennym, i odstawiła na swoje miejsce. Żadna z kobiet nie zwróciła na nią uwagi, więc weszła na trzecie piętro, gdzie znajdowały się pokoje służby.

I nawet jeśli miałyby to trwać jedynie pół godziny, chciała wskoczyć do łóżka, przyłożyć głowę do poduszki i naciągnąć na siebie koc. Poleżeć sobie w tej ciemnej dziupli, gdzie nikt jej nie znajdzie, nikt nie będzie mógł jej dotknąć. I tam chciała tylko płakać. Wypłakać z siebie smutek, beznadziejną tęsknotę, rozpacz, tak by nie została już ani kropla wody w jej ciele. Wtedy byłoby jej lepiej. Jednakże gdy otworzyła drzwi do pokoju, ku swojemu zaskoczeniu zobaczyła Marię Jordan.

– Co pani robi w moim pokoju?

Jordan była co prawda mocno zmieszana nagłym wejściem Hanny, ale bardzo szybko odzyskała rezon.

– Twój pokój? – zapytała, unosząc brwi, jak robiła to panna Schmalzler, gdy coś jej się nie podobało. – Ja ponad dwadzieścia lat mieszkałam w tym pokoju, moja droga. Jeśli chcemy się licytować, to jest to zdecydowanie bardziej mój pokój niż twój.

Hanna przestała rozumieć otaczający ją świat. Z pewnością kiedyś dzieliła ten pokój z Marią Jordan, ale ona potem została przeniesiona do mieszkania von Hagemannów i Hanna miała to pomieszczenie wyłącznie dla siebie.

– Pani... pani nie ma tutaj czego szukać! – krzyknęła wzburzona. – Nie jest już pani zatrudniona w posiadłości!

Maria Jordan z całkowitym spokojem otworzyła zamek swojej jasnoniebieskiej torby podróżnej i rozsunęła klapy. Zamaszyście wyciągnęła stos świeżo wykrochmalonych koszul nocnych i położyła na drugim, nieużywanym łóżku. Potem wyłożyła też pudełko na chusteczki do nosa, trzy pary jedwabnych pończoch oraz długie majtki wykończone koronką.

– Nie ma pani prawa się tutaj rozgaszczać! – wrzasnęła Hanna i chwyciła koszule, żeby włożyć je z powrotem do torby.

– Pracuję tutaj i dlatego będę tutaj mieszkać! – odkrzyknęła Jordan i wyrwała jej swoją bieliznę nocną.

– To kłamstwo! Przychodzi pani tylko trzy razy w tygodniu do szycia! Poza tym jest pani zatrudniona u pani von Hagemann!

– Pani von Hagemann mieszka teraz w posiadłości.

– Ale jej mieszkanie jest na Bismarckstraße!

– Ale ona tam nie mieszka!

– Ależ mieszka tam! – ryknęła Hanna wściekle. – Ma tam swoją sypialnię.

Maria Jordan pociągnęła tak mocno za koszule, że jeden guzik został w rękach Hanny.

– Nie buntuj się – powiedziała i ściągnęła usta. – Przeszkadza ci, że będę tutaj spać w nocy? Chyba że wolisz udostępnić ten pokój swojemu rosyjskiemu kochankowi?

Hanna zamarła z przerażenia. Skąd ta żmija wiedziała o Grigoriju?

– W szwalni słyhać wszystko, co mówi się na korytarzu, maleńka – odpowiedziała Jordan ze złośliwym uśmiechem i wyciągnęła środkową szufladę komody. – Ale ja nie jestem z tych, co to wszystko wypapłają. Nic nie powiedziałam o twoim zakazanym romansie, a ty nie wspomnisz nikomu, gdzie ja śpię w nocy.

Bez wahania wyciągnęła z szuflady bieliznę Hanny i włożyła tam swoje rzeczy. Hanna patrzyła na to z bezsilną złością. Co za dzień! Ten rok naprawdę kiepsko się

kończy, to było pewne.

Na dole w kuchni kucharka wprowadzała ostatnie poprawki do sylwestrowego jadłospisu. Łaskawi państwo początkowo chcieli świętować z Bräuerami, ale po otrzymaniu wiadomości o śmierci syna postanowili oni obchodzić nadejście Nowego Roku w ciszy i skupieniu. Hanna patrzyła z obrzydzeniem, jak kucharka patroszy trzy grube, szare karpie, obcina im głowy, ogony i płetwy, aby ugotować z nich zupę, i wyciąga słoiki ze szlachetnymi, cennymi przyprawami, które można było kupić jedynie spod lady za ogromne pieniądze.

– Przynieś z piwnicy kosz marchewek. I pięć dużych cebul. I jeszcze garnek z ziemniakami. A potem będę potrzebować więcej drewna.

Brunnenmayer kręciła się w kuchni przez całe popołudnie i przeklinała z powodu byle drobiazgu. Hanna dobrze to знаła. Kucharka była zdenerwowana zawsze, gdy przygotowywała większe przyjęcie. Trzeba było wtedy po prostu trzymać buzię na kłódkę, by nie pogorszyć sprawy.

Otworzyć puszek z warzywami, obrać cebule, umyć marchewki, pokroić ziemniaki... W piwnicy posiadłości było mnóstwo zapasów, którymi młoda pani Melzer dobrze zarządzała. Później dołączyła do nich Auguste z dziećmi, żeby pomóc przyrządzić sałatkę rybną dla pacjentów lazaretu, która zawierała więcej brukwi i czerwonych buraków niż śledzi. Hanna mogła udekorować wielką miskę jajkami ugotowanymi na twardo oraz całość posypać odrobiną pietruszki.

Zupa rybna pachniała niezwykle smakowicie liśćmi laurowymi, zieleń angielskim, ziarnistym pieprzem i czosnkiem. Później przyszła Else, która nakryła do stołu na górze i miała podawać razem z Auguste. Hanna na początku była rozczarowana, bo bardzo lubiła serwować posiłki, ale teraz cieszyła się, że jej tego oszczędzono. Jej myśli ciągle krążyły wokół Grigorija, zastanawiała się, gdzie on może teraz być, co się z nim dzieje, czy o niej myśli. Przede wszystkim jednak zastanawiała się, jak może go odnaleźć...

Gdy na górze rozpoczęło się przyjęcie, Auguste doniosła, że młoda pani Bräuer jakoś nie bardzo żałuje swojego męża. Była wesoła, piła wino i usta jej się nie zamykały.

– Gdyby mój Gustl poległ na wojnie, na pewno nie byłabym taka zadowolona – powiedziała z pogardą.

Do kuchni przyszedł stary Bliefert, który nie chciał spędzać sylwestra samotnie w swojej chatce. Powiedział, że młodej pani Bräuer nie należy sądzić po tym, co się pobieżnie widzi.

– Tak, oczywiście, dziadku – zaśmiała się Auguste. – Ty zawsze trzymasz ze śliczną Kitty. Biedna wdówka razem ze swoją szwagierką dziedziczą całą fortunę Bräuerów. Jeśli chcecie znać moje zdanie – to jest zimna, bezduszna osoba.

– A tobie zazdrość wycieka z każdego pora skóry – upomniała ją kucharka.

Mimo wszystko wieczór był bardzo wesoły. Gdy przyszła wreszcie gospodyni, przystąpiono do jedzenia, a składało się ono z resztek uczy państwa oraz gulaszu, na który poszły wszystkie ich kartki żywnościowe na ryby. Hanna jadła z apetytem, jej złamane serce nie mogło tego zmienić. Chętnie zabrałaby coś dla Grigorija, ale dopóki

wszyscy tutaj siedzieli, było to niemożliwe. I na pewno nic nie zostanie – tego można było być pewnym. Gdy się posilili, Hanna wstawiła naczynia do zlewu i przeszła koło wszystkich z dużym dzbanem ponczu. Maria Jordan starała się namówić pannę Schmalzler, żeby tego jednego wieczoru mogła postawić karty. Jako że nikt nie miał na to ochoty, jej starania spełzły na niczym. Zamiast tego Schmalzler zaczęła wypytywać Jordan, czy rozmawiała już z młodą panią Melzer, a gdy Jordan odparła, że zostawiła to sobie na przyszły rok, potrząsnęła gniewnie głową.

– Bardzo, ale to bardzo nie podoba mi się ten stan rzeczy, panno Jordan. Siedzi tutaj pani w kuchni z pracownikami posiadłości, ale należy do personelu domu von Hagemannów. Czy rozmawiała pani o tym przynajmniej z Alicią Melzer?

Tego też Maria Jordan wciąż unikała. Tłumaczyła się tym, że Elisabeth von Hagemann mieszka teraz w posiadłości Melzerów, a ona jej służy jako pokojówka.

– Zakładam jednak, że nocuje pani na Bismarck-straße?

– Tak, panno Schmalzler.

Ależ ona potrafi kłamać, pomyślała Hanna. Właściwie powinna wyrzucić ten cały jej kram z okna – zasłużyła sobie na to. Ale wtedy ona powie wszystkim o Grigoriju...

– Na pani miejscu nie odwlekałabym dłużej tej rozmowy – powiedziała Eleonore Schmalzler. – W tej chwili młody pan Melzer jest na przepustce i młoda pani Melzer na pewno jest z tego powodu bardzo szczęśliwa...

– To prawda, Jordan – wtrąciła się kucharka. – Powinnaś wykorzystać jej dobry humor.

Else dodała, że nie sądzi, żeby młoda pani Melzer miała do niej o coś żal. Po tych słowach Jordan spojrzała na nią ze złością. Hanna od dawna wiedziała, że to Jordan nie potrafiła wybaczyć, stara wiedźma.

– Dość już! – zdecydowała Eleonore Schmalzler. – Zagrajmy teraz w jakieś ciekawe gry. Może pięścioneczek?

Sama wyciągnęła złoty pierścień, przez który został przewleczony długi sznurek, związany na końcach. Jeden z graczy stał w środku, a pozostali trzymali sznurek i przesuwali go tak, żeby pierścionek pozostawał niezauważony. Śpiewano przy tym „Pierścioneczku, pierścioneczku, musisz wędrować”... Gdy piosenka się kończyła, zatrzymywali się i ten, kto stał w środku, musiał zgadnąć, w czyich rękach jest pierścionek. Hanna uznała, że to głupia zabawa. Ale jeśli panna Schmalzler ją tak lubiła, to sprawi jej przyjemność i zagra z innymi. Później stary ogrodnik Bliefert zażądał, żeby powróżyli sobie z wosku, co wywołało u gospodyni niepokój sumienia, gdyż ten stary zwyczaj pogański był niemile widziany przez Kościół.

– Wszystkie tradycje trzeba pielęgnować – podkreślił Bliefert i Eleonore Schmalzler w końcu ustąpiła.

Przez tę zabawę prawie przegapili nadejście Nowego Roku. Dopiero gdy państwo zadzwonili po Auguste i poprosili o schłodzony szampan, zorientowali się, że zostało zaledwie kilka minut. Wszyscy zaczęli się przygotowywać do wyjścia, bo zgodnie ze zwyczajem kilka minut po północy personel był proszony na górę. Byli częstowani kieliszkiem szampana, państwo wygłaszali krótką mowę, a później otrzymywali prezenty noworoczne, najczęściej niewielkie kwoty pieniędzy.

Dzisiaj było inaczej. Grupa młodych ludzi urządziła kulig i wystrzeliła kilka rac w pobliżu willi. Nie było to nic niezwykłego, w całym Augsburgu odpalano sztuczne ognie, jak gdyby chciano ogłosić: nie pozwolimy się nie zauważyć, teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Panno Schmalzler! Pomocy! Proszę tutaj przyjść...

Pielęgniarka z nocnego dyżuru w lazarecie wpadła do kuchni, jej twarz była blada i wykrzywiona strachem.

– Co się dzieje, Thilde?

Nie potrzebowała dalszych wyjaśnień, bo nawet w kuchni było słychać krzyki.

– Oni postradali zmysły. Biją innych pacjentów, przy stole, na łóżkach.

Kilku pacjentów na skutek hałasu, który czyniły wybuchające sztuczne ognie, wpadło w panikę: uroili sobie, że znajdują się znów na froncie. Jeden młody żołnierz pozrywał bandażę, inny drżał na całym ciele i krzyczał: „Do ataku! Naprzód! No już, wy leniwe tchórze! Naprzód!”. Szoku doznał świeżo operowany żołnierz, który wyskoczył z łóżka i zaraz padł nieprzytomny na podłogę. Panna Schmalzler zawołała zaraz do siebie Else, Hannę i kucharkę, również stary Bliefert ruszył na pomoc. Wreszcie wspólnymi siłami udało się przemówić do rozsądku i uspokoić mężczyzn.

– Przekłęte fajerwerki! – zaklęła kucharka. – Jak gdyby faktycznie na frontach za mało jeszcze strzelano.

Wyjątkowo dzisiaj pracownicy przychodzili po swoje prezenty w małych grupkach, bo przez cały czas ktoś musiał być w lazarecie, na wypadek gdyby wybuchła tam znowu panika. Hanna dozorowała w sali szpitalnej przez całą godzinę, siedziała na krześle przed drzwiami tarasu i chociaż dali jej wełniany koc, marzła okropnie. Gorszy był jednak strach przed tym, że któryś z tych rannych biedaków znowu zacznie wyć i biegać jak szaleni. Było już jednak spokojnie, bo panna Schmalzler wpadła na pomysł, żeby poczęstować mężczyzn szklaneczką sznapsa. Ze względów zdrowotnych, oczywiście. Około drugiej nad ranem Hannę zastąpiła Else, która gdy tylko usiadła na krześle, natychmiast zasnęła. Na Hannę czekało zmywanie i było około trzeciej, gdy wreszcie poczłapała do swojego pokoju. Panna Jordan była już w łóżku i przywłaszczyła sobie nową kołdrę z pierzem. Hanna była zbyt zmęczona, żeby się o to kłócić, nie przeszkadzało jej nawet głośne chrapanie byłej pokojówki. Na wpół ubrana weszła do łóżka, drżąc, zwinęła się w kłębek, bo na nieogrzewanym poddaszu było zimno. Zamknęła oczy i zobaczyła przed sobą twarz Grigorija, ale sen przyszedł do niej tak szybko, że nie miała nawet dość czasu, żeby powiedzieć ukochanemu dobranoc i życzyć szczęśliwego nowego roku. Niczym kamień zanurzyła się w ciemnym królestwie pozbawionym snów, uwolniona od wszelkich smutków i radości.

– Hanna! Wstawaj! Szybko!

Słyszała te gwałtownie wypowiedane słowa niewyraźnie, mocno przekonana, że to sen. To nie mogła być przecież panna Schmalzler, to nie ona chyba pukała do jej drzwi.

– Hanna! Obudziłaś się? Ubieraj się! Musisz iść po lekarza, bo nie odbiera telefonu...

Zamrugnęła w półmroku panującym w pomieszczeniu. Była jeszcze noc albo bardzo wczesny ranek. Ktoś otworzył drzwi i przez szparę wpadało do środka światło.

– Powiedz, że już wstajesz, ty głupia – syknęła Maria Jordan z łóżka obok. – Szybko, zanim zaczniesz tutaj świecić lampą!

W głowie Hanny wciąż była jedynie szara mgła, zrozumiała tylko, że budzą ją w środku nocy. Co się działo? Przyprowadzić doktora? Biec w lodowatym wietrze po śniegu?

– Już... już idę!

– Ubierz się ciepło – nakazała jej Schmalzler, która zaglądała teraz do pokoju przez uchylone drzwi. – Włóż buty i czapkę. Musisz iść po doktora Greinera.

– Zaraz będę, panno Schmalzler.

Drzwi się zamknęły i Hanna zapaliła lampę gazową, żeby się ubrać. Na sąsiednim łóżku Jordan wysunęła znów głowę spod kołdry. Jaka szkoda, że Schmalzler jej nie nakryła! Wtedy ona, Hanna, nie czułaby się winna.

– Trzeba iść po doktora – wyszeptała Jordan. – Musiało stać się nieszczęście. Stary pan Melzer w końcu od nas odszedł.

Hanna nie zaszczyciła jej odpowiedzią. Wściekła ubrała się w płaszcz, obwiązała się chustą. W lewym bucie była dziura, ale o to nikt nie pytał. Dlaczego właśnie ona musiała biec w ciemności? Dlaczego nie Else albo Auguste? Ach, gdyby w posiadłości był wciąż Humbert, to on musiałby pójść.

– Uważaj, żeby nikt cię nie zamordował w tym mroku – ostrzegła ją lojalnie Jordan i odwróciła się na bok, żeby dalej spać.

Hanna życzyła jej jak najgorszych snów i schodami dla służby zeszła na dół. W kuchni nie było nikogo, na blasze stał dzbanek z resztkami miętowej herbaty. Nalała sobie trochę do szklanki i wypiła duszkiem, żeby przynajmniej mieć lepszy posmak w ustach.

– Tutaj jesteś!

Panna Schmalzler miała na sobie białą koszulę nocną, wełnianą chustę w kratę narzuciła na ramiona, a na głowie miała staroświecki czepek obszywany koronką. Jej twarz wydała się Hannie mocno pomarszczona, a nos dłuższy i bardzo chudy.

– Doktor Greiner mieszka na Annastraße, numer trzydzieści trzy. Wiesz, jak trzeba tam iść? Weź lampę, jest wciąż ciemno. I pośpiesz się!

– Ale co się stało?

– Pani Bräuer nagle zachorowała. Nie jest z nią dobrze.

Znowu któryś z jej nastrojów, pomyślała Hanna lekceważąco. Założę się, że gdy przyjdę z lekarzem, zaraz odzyska humor.

Zawiązała ciasniej chustę i schodami dla służby wyszła na podwórze. Powitał ją lodowaty wiatr niosący ze sobą ostry jak brzytwa zlodowaciały śnieg. Oświetlenie elektryczne zostało włączone, żeby widziała, gdzie znajduje się ośnieżony klomb, a później mogła pójść drogą przez park i dojść do ulicy. Drzewa w śnieżnych sukniach wyglądały jak jakieś osobliwe duchy, które podnoszą sękatę rękę nad głowę i zaraz wyciągną je również po nią.

– Hanna!

Rozejrzała się przerażona. Młody pan Melzer wybiegł głównym wejściem w futrzanej czapce i płaszczu.

– Tak, łaskawy panie? Ja już idę...

– Zostań, sam pójdę...

W świetle lampy widziała, że jest mocno zmartwiony. Mimo to uśmiechnął się do niej w przelocie i pobiegł przed siebie. Gdy weszła z powrotem do kuchni, kucharka rozpałała w kuchennym piecu.

– Poroniła – powiedziała. – Wykrwawia się na śmierć, biedna dziewczyna.

*Il est complètement fou!*18.

Spomiędzy ryków i dudnienia Humbert wyłowił te francuskie słowa. Ciągłe słyszał francuskie zwroty, krzyki, żarty, długie wypowiedzi, których sensu nie pojmował, i przekleństwa. Ogłuszający hałas uniemożliwiał mu dokładne zrozumienie chociaż niewielkiej części tego, o czym mówili.

– *Mais non... il fait le malin... veut nous entuber...* 19.

Był zdrajcą, oszustem. To musiała być prawda, że go odnaleźli i teraz najpewniej go rozstrzelają. Był dezertorem. Za to go powieszają. Ale to byli Francuzi, oni powinni się cieszyć, że zdezerterował. Huk, odgłosy walki pomieszały myśli w jego głowie i teraz wydawało mu się, że jest związany liną na pokładzie samolotu. Nad nim szumiał i wibrował silnik, pod nim przesuwiał się szary księżycowy krajobraz, pełen kraterów i spalonych drzew, drut kolczasty, porozrzucone części ludzkich ciał, okopy, jakby odrysowane linijką, z których wystawały szare hełmy. Chciał rozłożyć ramiona, żeby poczuć wiatr, ale ostry ból zgiął go w pół.

– *En avant!*20.

Wisiał między dwoma żołnierzami, jego szare wojskowe buty wlekły się po ziemi. Maszerowali. Wolniej niż zwykle, niechętnie, z twarzami wyrażającymi poczucie beznadziei, ubrudzeni, obandażowani. Ale jednak maszerowali.

– No, ten już doszedł do siebie – powiedział żołnierz, idący z jego lewej strony. – Dzień dobry, mały. Dobrze spałeś?

Przełknął ślinę i musiał kaszlnąć, bo czuł suchość w ustach i posmak ziemi.

– Spróbuj iść sam – zachęcił go żołnierz, idący po drugiej stronie. – Nie martw się, pomożemy ci.

Najpierw jego nogi się ugięły, ale przy drugiej próbie poszło już lepiej, zaczął panować nad swoim ciałem. Prawą rękę miał owiniętą chustą, na której były widoczne ciemnoczerwone plamy.

– Co... – mruknął, starając się samodzielnie stawiać kroki. – Kto... Gdzie...

– Ten to spadł z księżycy – skomentował jeden z żołnierzy.

– Jesteśmy jeńcami wojennymi, mały.

Zrozumiał i poczuł ulgę. Jeńcy wojenni nie musieli walczyć. Trzymano ich w obozach, dawano im jedzenie i ubrania, to był międzynarodowy wymóg. Musieli pracować, ale nie wysyłano ich już do walki. Gdy było się jeńcem wojennym, najgorsze miało się już za sobą.

– No patrz... idziesz jak się patrzy.

– Dostałeś strzał w rękę?

Nie wiedział dokładnie. To było nagłe uderzenie, żadnego bólu, tylko mocny wstrząs. Potem krew. I stracił przytomność. Teraz czuł silne pulsowanie w zawiniętej ręce, a gdy próbował poruszać palcami, aż go dławiło z bólu. Nie będę mógł już nigdy podawać do stołu, pomyślał ze smutkiem. Ani jeździć samochodem. Ani nawet wyczyścić

garnituru.

– Nie zwalniam, kolego. W przeciwnym razie ten Francuz za nami mało przyjemnie będzie cię popędzał bronią. Niedawno obił kolbą jednego takiego biedaka, żabojad.

Humbert trzymał się dzielnie, aż dotarli do nocnego obozu, usytuowanego na podmokłej łące, na której leżeli stłoczeni obok siebie śpiący jeńcy. Słyszał huk, który towarzyszył mu nieustannie od kilku dni, i wyobrażał sobie, że jest nad morzem i słyszy szum fal. Gdy starał się jakoś powstrzymać ten szum i on faktycznie się wyciszał, słyszał znowu taki dźwięk, jakby fala rozbijała się o brzeg. Żołnierze wokół niego pojękiwali, jedni kaszleli, inni drżeli z zimna. Gdy stopniowo robiło się coraz jaśniej, na delikatnej trawie na łąkach osadzał się szron, ale on nie czuł zimna. Szalała w nim gorączka. Po południu następnego dnia trzeba było go nieść, bo ręka spuchła do ogromnych rozmiarów. Czuł się tak, jakby ktoś na jego ręce walił młotkiem w kowadło, a reszta jego ciała składała się tylko ze skóry, wstrząsanej dreszczami zimna i gorąca. Mówił bez przerwy do siebie, głównie po francusku, było niesamowite, jak wiele zdań utkwilo w jego głowie, mimo że nie był tego świadomy. Teraz wylewały się z jego ust niczym stada dzikich ptaków wylatujących do nieba. Przez cały czas padało. Kiedy padał śnieg, delikatne płatki osadzały się na jego rozpalonej twarzy i go łaskotały.

– *Mettez-le là! Laissez-le dormir*21.

– On ma gorączkę. *La fièvre... Sa main est cassée...* Ma złamaną rękę.

Był bardzo zadowolony, że wreszcie zostawiono go w spokoju. Było przyjemnie leżeć sobie w obozie, zupełnie spokojnie, bez żadnych wstrząsów, nie musiał maszerować, nikt go nie szarpał, zachęcano go tylko, żeby zrobił choć kilka kroków. Widział przed sobą szeroką letnią łąkę. Trawa i kwiaty delikatnie kołysały się na wietrze, między kępkami traw błyszczwały czerwone maki, żółte mlecze wyciągały w górę giętkie pędy. Błękitne motylki tańczyły wokół kwiatów, zbierały się nad nimi niczym puszyste chmury, siadały na smukłych pędach traw, które ugiwały się pod ich ciężarem. Poczuł zapach świeżej trawy i ciepłej, urodzajnej ziemi, od rumianków pochodziła woń olejku różanego. Różany olejek... Tak właśnie pachniały mydła, których używano w posiadłości Melzerów. Zawsze kładziono je nad wanną na specjalnej podstawie z białej porcelany, która miała kształt płatka kwiatowego i była przymocowana do ściany wykafelkowanej na biało. Wciągał zachłannie ten zapach i już chciał sięgnąć po to cudowne mydło, gdy piekący ból w ręce sprawił, że wszystkie te obrazy w jednej chwili się rozmyły. Zamrugał, widząc jasne światło lampy, za którą dostrzegł twarz jakiegoś człowieka. Szeroka, spocona, małe oczy, a za porażającym światłem lampy widać było, że mężczyzna nosi okulary w metalowej oprawie.

– W ranę wdaje się gangrena... Za długo zwlekano... Dlaczego od razu nie zameldowano?

Otworzył usta i powiedział coś, czego sensu sam nie był w stanie zrozumieć. Mydło. Czerwony mak. *Merde. La guerre. Cochon allemand...*22. Jego małe oczka były jasnoniebieskie, a w środku miały czarny punkcik. Wwiercały mu się w czaszkę i przeszukiwały jego mózg. Wiele rzeczy się tam zupełnie pomieszało, sam to wiedział. Mimo to było dla niego bardzo bolesne, że ten człowiek widział cały bałagan i oceniał go.

– Mała nadzieja... odjąć rękę... jedyna szansa.

– *Il ne comprend pas... ne pardons pas notre temps*²³.

Humbert dostrzegł młodego mężczyznę ubranego na biało, szczupłego, z ciemnymi włosami i bokobrodami, którego czarne oczy lśniły w blasku lampy. Tuż przed tym, zanim przykryto mu głowę białą chustą, zobaczył, że coś błyszczy. Surowa stal, wąska i bardzo ostra.

– Nie! – wrzeszczał i wrywał się. – Nie, tylko nie odejmowanie ręki! Ja nie chcę! *Je ne veux pas. Wolę umrzeć! Mourir. Laissez-moi ma main!*²⁴.

Nagle poczuł w sobie ogromną siłę. Kopał nogami i słyszał, jak szurają o podłogę. Walił pięściami i wił się jak piskorz, aż zsunął się ze stołu operacyjnego. Podniósł się, podparł na usztywnionej ręce, nie odczuwając bólu, odsunął rękę, która ścisnęła go za ramię, biegł w stronę drzwi i wpadł tam na ogromnego żołnierza. Ciało blond olbrzyma nie poruszyło się nawet o milimetr, chwycił uciekiniera za poły kurtki i trzymał jak spłoszonego zająca. Humbert nie wiedział już, co się później z nim działo. Przykryła go ciemnoniebieska woda, a na jej środku znajdował się szalejący wir. Nie było żadnej drogi ucieczki. Wirowanie było coraz szybsze, zrobiło mu się niedobrze, w uszach szumiał złowrogi ocean, który wciągał go coraz szybciej na dno. Wirował między morską roślinnością i muszlami małży, przesuwał się między ciałami szarych ryb, ślizgał się po powierzchni zatopionego statku i widział nad sobą czarne płaszczyki, machające swoimi potężnymi skrzydłami. Czasami prąd morski sprawiał, że wypływał do góry, gdzie woda w słonecznym świetle wydawała się błękitna i krystalicznie czysta. Potem znów pojawił się ten uciążliwy szum w uszach i nagle usłyszał męski głos.

– Teraz zostawmy go w spokoju... Biedny wariat... Nie pociągnie długo...

– Ale wciąż oddycha.

– Trzy albo cztery godziny. Więcej nie wydoli...

Humberta ogarnęło ogromne współczucie dla tego chłopaka, który niebawem umrze. Może ktoś mógłby mu pomóc? Ale wkrótce znów wciągnęło go delikatne, głębokie morze i zatonał w jego głębokościach, poczuł chłód i zaczął przesuwać się po dnie. Rośliny obejmowały jego ciało, głaskały ręce i nogi, ciągnęły i gładziły jego włosy.

– Tego nie trzeba już czesać, siostrze. Temu to już wkrótce nie będzie potrzebne.

– *C'est un allemand? Quel est son nom?*²⁵.

– Nikt nie wie, skąd on pochodzi i jak się nazywa. Mówi po niemiecku i francusku na przemian.

– *Tant pis. Un joli garçon*²⁶.

– A my to co? My też jesteśmy ładnymi chłopcami!

– Ach, uspokójcie się!

Do Humberta zaczęło docierać, że oni mogą rozmawiać o nim. Na pewno ktoś gmerał w jego włosach i gdy otworzył oczy, zobaczył przed sobą surową twarz pielęgniarki z blond włosami. Faktycznie, była to pielęgniarka w białym czepku i białym fartuchu.

– *Bonjour, Monsieur* – powiedziała. – *Vous allez mieux?*

Czy mu lepiej? Podniósł prawą rękę, żeby wyjąć jej grzebień z ręki, ale poczuł straszny wstrząs, jego głowa wciąż była bardzo wrażliwa na ruch. Wtedy zobaczył bandaż i wróciło okropne wspomnienie.

– Moja ręka – wychrypiał. – *Ma main...*

Musiał na nią spojrzeć z przerażeniem, bo odebrała mu ten okropny grzebień. Położyła swoją zimną dłoń na jego czole i nagle poczuł zapach mydła.

– *Tout va bien, mon petit. Votre main est encore là?*

Wciąż miał rękę?

– Ale... ale... oni przecież...

Potrząsnęła wolno głową i się uśmiechnęła. W jej poważnym uśmiechu nie było niczego ładnego, to była silna kobieta z dużymi oczami w gołębim kolorze oraz wąskimi ustami. Lubił ją. To była duża siostra, w pobliżu której czuł się pewnie.

– *Votre nom?*

– Humbert Sedlmayer. A pani?

Musiał przeliterować imię i nazwisko, gdy wpisywała go na listę. Gdy skończyła pisać, znów poczuł morze w uszach i chociaż tym razem starał się walczyć, żeby się w nim nie zanurzyć, nie potrafił tego powstrzymać. Ostatnie, co do niego dotarło, to było jej imię. Süssann. Susanne.

Wolałby pozostać na chłodnym dnie morza, gdzie nie odczuwał żadnego bólu, ale był jak korek, który siła wyporu kierowała zawsze na powierzchnię. Tam dostał ciepłą rumiankową herbatę i pożywną papkę, która składała się z buraków, ziemniaków i jadalnych kasztanów. Potem dostawał też czasami kawę, która była co prawda bardzo słaba i smakowała cykorią, ale była lepsza niż to, co pił przedtem. Śniły mu się szczury, które rozsiadały się w błotnistych dziurach w ziemi i piekielnie głodne wpatrywały się w niego błyszczącymi oczami. Niektóre rzucały się na niego, przybierając quasi-ludzkie postaci ciemnych straszylek bez głowy, niektóre były żywe, inne martwe, czasami były to same mundury bez żołnierzy albo hełmy, spod których wyłaniały się szare głowy szczurów z odstającymi wąsami. Współczuł tym gryzoniom, ale szczyrzyły się do niego, gryzły go w ręce i nogi. Gdy budził się z tych snów, wydawało mu się, że słyszy huk dział i gwizd granatów, a gdy Susanne zapewniła go, że znajduje się niedaleko Paryża, w pobliżu frontu, był przekonany, że to nie są omamy. Widocznie te dźwięki tak mocno zapisały się w jego umyśle, że słyszał je każdej nocy. Kulił się wtedy w panicznym strachu pod kołdrą i jęczał cicho, ale przytomność tracił bardzo rzadko.

Któregoś ranka, gdy pił kawę z mlekiem, jakiś ranny mężczyzna kuśtykał o dwóch kulach przez środek sali szpitalnej. Amputowano mu lewą nogę, wydawało się jednak, że dość dobrze zniósł tę makabryczną operację i całkiem sprawnie poruszał się na trzech kończynach. Humbert rozpoznał go dopiero, gdy trochę odwrócił głowę, a i wtedy nie był pewien, czy naprawdę go widzi, czy też jest on jedynie postacią z jego snu.

– Gustav?

Zagadnięty przez niego mężczyzna niemal stracił równowagę, zdążył się jednak podeprzeć, zrobił dziwny zamach i szczęśliwy jak młody chłopak zatrzymał się u wezłowania łóżka Humberta.

– Nie wierzę! Humbert! Stary przyjacielu! Ach, jaki zbieg okoliczności!

Rozplakał się, gdy zobaczył swojego przyjaciela, a mężczyźni, którzy zajmowali łóżka obok Humberta, tak się wzruszyli, że sami wycierali oczy. Gustav Bliefert, wnuk starego ogrodnika. Żołnierz, będący na wojnie od ponad dwóch lat. Najpierw w Rosji,

później we Francji. Bitwa pod Verdun kosztowała go utratę lewej nogi. Po wybuchu granatu została po prostu urwana, razem z butem i częścią spodni. Gdyby koledzy nie wciągnęli go z powrotem do okopów, wykrwawiłby się w mękach gdzieś na obcej ziemi. Dzień później trafił do więzienia wojennego, wraz z rannymi, których transportowano samochodem ciężarowym do koszar, a kierowca nagle pomylił drogę.

– A oni stali dosłownie wszędzie i otworzyli do nas ogień – opowiadał w zupełnie dobrym nastroju. – Mnie było w tamtym momencie wszystko jedno, pomyślałem sobie, że już po mnie. Ale dobry Bóg chciał inaczej.

Musiał odsunąć się trochę na bok, bo pielęgniarka szła z tacą przez środek sali, żeby zebrać puste kubki po kawie. Warknęła, że to nie miejsce dla niego i powinien maszerować sobie po korytarzu, bo tam nikomu nie będzie wchodził w drogę. Gustav skłonił się kilkakrotnie, uśmiechnął się i powiedział:

– *Oui, madame... Merci, madame... D'accord, madame*²⁹.

Oczywiście ani myślał wychodzić na korytarz. Usiadł po prostu na łóżku Humberta, przy jego nogach, przytrzymał kule rękami, a nogi skrzyżował tak, żeby kikut nie dotykał ziemi. Był już podleczony, tylko jeszcze jedno miejsce nie chciało się goić. I było niesłychanie dziwne, że w nocy się budził, bo cholernie bolała go lewa stopa. Ta właśnie stopa, która leżała sobie w jakiejś dziurze w ziemi gdzieś pod Verdun. Humbert przytaknął z grzeczności, ale ta opowieść wydała mu się dość obrzydliwa. Było niesłychane, z jaką łatwością Gustav pogodził się z tym wszystkim, jak potrafił z tego żartować, rozbawiając żołnierzy leżących w sąsiednich łóżkach.

– Wcześniej sądziłem, że kobiety z Prus są najgorsze. Ale one są prawdziwymi aniołami w porównaniu z francuskimi herod-babami.

Opowiadał, jak francuskie pielęgniarki tydzień po operacji podawały mu olejek rycynowy, a potem szybko wypędzały go z latryny. Był przecież *grand garçon*³⁰ i powinien już sprawę załatwić. No cóż, faktycznie dużo tego nie było, ale musiał przecież to zrobić.

– A co z twoją ręką, Humbert? Palce ucięte? Przestrzelone?

Mimo wielu poważnych ran Humbert wydawał się dość wesoły. Tak, postrzelona. Lekarz jest niesamowitym człowiekiem, że uratował mu tę rękę. Zakażenia prawie nie ma, może już poruszać kciukiem i małym palcem.

– Lepiej niż nic – skomentował Gustav rzeczowo. – Będziesz mógł nosić jeszcze talerze i tace.

– Na pewno... Miałem dużo szczęścia.

– Pisałeś już do posiadłości Melzerów? Wysyłają pocztę przez Czerwony Krzyż, co prawda trwa to całą wieczność, ale listy dochodzą. Trzy tygodnie temu napisałem kartkę do mojej Auguste.

Gustav mówił dużo, co Humbertowi wydawało się dziwne, bo wcześniej nie był gadułą. Być może stało się tak dlatego, że wierzy, iż otrzymał drugie życie. Humberta męczyło słuchanie, szumy i trzaskanie w uszach pogłębiły się, zamknął oczy. Podnosiły się przed nim ciemnozielone fale, mogłoby to być pole młodej kukurydzy, łąka, ale równie dobrze ocean.

– Jesteś zmęczony, co? – usłyszał głos Gustava. – Ja też zaraz będę. Później dostanę

protezę, tak powiedział doktor. Wtedy będę chodził jak dawniej. Tylko ładniej... Ha, ha, ha!

Humbert poczuł, jak Gustav zamasyście podniósł się z jego łóżka, słyszał stukot drewnianych kul i zanurzył się w jasnoniebieskim, przezroczystym morzu, na którego dnie igrały promienie słoneczne. Przez następne dni Gustav odwiedzał go regularnie, siadał i opowiadał. O parku wokół willi Melzerów, którego jego dziadek sam nie da rady pielęgnować, o swojej Auguste i Maxlu, którego widział tylko raz, gdy w zeszłym roku był na przepustce. Mówił też, że okropnie tęskni za domem, jak wszyscy tutaj.

– Jeśli będziemy mieć szczęście, Humbert – mówił cicho w nadziei, że żołnierze z sąsiednich łóżek go nie usłyszą. – Jeśli dobry Bóg ma nad nami pieczę, załapiemy się na wymianę inwalidów. Słyszałeś o tym? Czerwony Krzyż i strony konfliktu ustalają co jakiś czas liczbę jeńców, a jeśli zostaniemy wybrani, odeślą nas do ojczyzny. Oczywiście odsyłają ciężko rannych. Najtrudniejsze przypadki.

Humbert uśmiechnął się, jakby ta wiadomość wydała mu się bardzo obiecująca. Tak naprawdę wcale nie chciał wracać do ojczyzny. Do czego miał wracać? Jego rodzice nie żyli, siostra nie chciała go znać. Tak naprawdę tylko do Fanny Brunnenmayer chciałby wrócić. Tylko że nie był już tym chłopakiem, którym był wcześniej, nie mógł już służyć w willi. Nawet nie tyle z powodu ręki, ile tych ciągłych warczeń i szumów w uszach. Potrzebował tego oceanu, tego milczenia błękitnej wody, żeby chroniły go przed okropnymi snami. Lubił też tę surową pielęgniarkę z blond włosami, chociaż nie zawsze była dla niego miła. Czasami nawet karciała go rozgniewana, jak wtedy gdy znowu wszedł pod kołdrę i był przekonany, że jest bombardowanie.

– *Fini avec sa! Il ny a pas de bombardement!*31.

Wstydził się, choć twierdziła, że może wyraźnie słyszeć, a nawet czuć wybuchy granatów. Gdy minął tydzień, powiedziała coś, co go przeraziło.

– *Il faut se dire adieu, mon petit.*

– *Pourquoi?* Dlaczego musimy się pożegnać?

Uśmiechnęła się, ale nie rzekła ani słowa.

– Jesteś cholernym szczęściarzem! – powiedział Gustav z zazdrością. – No a poza tym jesteś oczkiem w głowie Susanne. W następnym tygodniu jedziesz do domu! Niech to szlag. A do tego na ręce została ci tylko blada rysa!

18 Franc. On zupełnie oszalał.

19 Franc. Ależ nie... on czyni zło... chce nas nabrać...

20 Franc. Naprzód!

21 Franc. Zostawcie go! Pozwólcie mu spać!

22 Franc. Cholera. Wojna. Niemiecka świnia...

23 Franc. On nie rozumie... nie traćmy czasu.

24 Franc. Umrzeć... Zostawcie moją rękę!

25 Franc. Czy on jest Niemcem? Jak się nazywa?

26 Franc. Szkoda. Taki ładny chłopak.

27 Franc. Wszystko dobrze, mój mały. Twoja ręka wciąż jest na swoim miejscu.

28 Franc. Pana nazwisko?

29 Franc. Tak, proszę pani, dziękuję pani, oczywiście proszę pani.

30 Franc. Dużym chłopcem.

31 Franc. Skończ z tym! Nie ma bombardowania!

Bwww... Ba... Bwww... Baba. Bababa... Bwww... – Dodo piszczała z zachwytu i śliniła się obficie.

Leo stał w kojcu, trzymał się mocno jedną rączką i uderzał blaszanym żołnierzykiem w drewniane szczebelki.

– Ta-ta – powtarzał Paul cierpliwie. – Powiedz tata moja mała.

– Bwww. Pfff. Bafffa.

– Tata, powiedz tata.

Dodo baraszkowała radośnie na jego kolanach i chciała się bawić w podskakiwanie, przy którym ktoś dorosły zawsze mówił hop, hop! Leo tym razem zaczął uderzać żołnierzykiem w ścianki kojca lakierowane na biało i krzyczał:

– Sosa! Sosa!

Miał na myśli Rosę Knickbein, opiekunkę. Paul wziął go na kolana, usadowił każde z dzieci na jednej nodze i starał się, żeby żadne z jego potomstwa nie spadło w czasie szalonego podskakiwania. Gdy przestał, Leo zaczął płakać, a Dodo patrzyła na niego rozpromieniona.

– Mama! – powiedziała. – Mama, mama, bwwwwawa!

Westchnął. W krótkim czasie najpewniej nie uda mu się nauczyć maluchów mówić tata. Ale gdy nazywały go mamą, było to jak komplement.

– Dobry Boże, panie Melzer – powiedziała Rosa Knickbein, zaglądając przez uchylone drzwi. – One nie są jeszcze przewinięte, właśnie miałam je obudzić i uszykować, żeby były gotowe na śniadanie.

Paul sprawdził swoje spodnie i okazało się, że miał szczęście. Przekazał bliźniaki Rosie i wyszedł na korytarz, kierując się do pokoju Kitty. Na jego ciche pukanie nie było odpowiedzi, odważył się więc delikatnie nacisnąć klamkę. W pokoju panował półmrok, Marie, która siedziała na fotelu przy Kitty, uniosła głowę.

– Tutaj jesteś – szepnęła czule.

Podszedł bliżej i pocałował ją w policzek. Wyglądała na zmęczoną, miała podkrążone oczy.

– Jak ona się czuje?

Oboje spojrzeli na szerokie łóżko z jasnoniebieskim baldachimem, na którym szczupłe ciało Kitty było ledwie widoczne. Jej grube włosy zostały splecione w warkocz, żeby się nie poplątały w czasie choroby.

– Spała – szepnęła Marie. – Gdyby tylko chciała coś zjeść. Wczoraj wieczorem wypijała trochę wina z wodą.

– Ma jeszcze gorączkę?

– Od wczorajszego popołudnia już nie. Mam nadzieję, że tak zostanie.

Paul pogłaskał ją po karku i powiedział, że Kitty z pewnością niebawem poczuje się lepiej.

– Idź teraz spać, Marie. Proszę cię.

Przytaknęła zatroskana. Tak, była tak wyczerpana, że nawet trochę się zdrzemnęła, ale godzina czy dwie snu na pewno dobrze by jej zrobiły.

– Do południa nie chcę cię widzieć, Marie. Nikt nie jest w stanie czuwać przez trzy noce z rzędu. Jeśli nie będziesz spać, zachorujesz i nikomu tym nie pomożesz!

Miał dużo energii i mówił bardzo głośno, jakby już wszystko sobie zaplanował. Kitty wzięła głęboki oddech, jęknęła i przewróciła się na drugą stronę.

– Chodź już... Auguste się nią zajmie.

Począł, aż Marie podnieśli się z fotela. Potem objął ją ramieniem, wyprowadził z pokoju i cicho zamknął drzwi. W korytarzu poczuł jej wargi na ustach i zachęcającą słodycz jej ciepłego ciała. Co za pech, że te wspólne godziny muszą spędzać tak pracowicie. Obiecał jeszcze ojcu, że w ostatnim dniu przepustki zajrzy do fabryki.

– Do zobaczenia, kochany... Chciałabym nie być tak zmęczona...

– Prześpij się, Marie. Jestem przy tobie.

– W moich snach zawsze – zażartowała i zniknęła w ich sypialni.

Powstrzymał się, tak bardzo chciał pójść za nią, żeby położyć się koło niej i trzymać ją w ramionach. Jednak nie wolno było zachowywać się egoistycznie w tych ciężkich czasach, inni też mieli prawo go widywać.

– Dzień dobry, mammo!

Wszedł do jadalni z pogodną miną, uklonił się jej i ją pocałował.

– Ach, Paul – powiedziała czule. – Usiądź i zjedz w spokoju, chłopcze. Tata poszedł już do fabryki, ale Elisabeth zaraz do nas dołączy. A co z Marie?

– Poszła się położyć. Wydaje się, że z Kitty jest już lepiej.

– Chwała Bogu!

Sięgnął po „Augsburgs Neuesten Nachrichten”, które ostatnio zmniejszyły swoją objętość, i z wielkim zainteresowaniem czytał artykuł *Co mieszkańcy miast dostają codziennie do jedzenia*. Wynikało z niego, że każdy obywatel Augsburga otrzymuje dwieście gramów mąki, pół funta kartofli, trzy czwarte litra mleka, trzydzieści pięć gramów mięsa, osiem gramów masła, a do tego co trzy tygodnie po dwa jajka. Przynajmniej według porcji zapisanych na kartkach żywnościowych. Jednakże jeśli ktoś nie miał pieniędzy, nie realizował kartek. Z wyrzutami sumienia spojrzął na bogato zastawiony stół ze śniadaniem, na którym znajdowały się nawet ser i kiełbasa oraz świeże bułeczki, które kucharka sama upiekła.

– Cieszę się, że Kitty zaczyna dochodzić do siebie – westchnęła Alicia. – Elisabeth zamówiła nagrobek dla biednego małego Jonathana. Ach, że też Kitty nikomu nie powiedziała o ciąży. Była już w piątym miesiącu!

Martwe dziecko pochowano na cmentarzu w rodzinnym grobie Melzerów. Wielebny odmówił stosowne modlitwy i nadał mu imię Jonathan. Gertrude Bräuer była zupełnie zdruzgotana, jej mąż musiał ją podtrzymywać. Paul uważał tę ceremonię za absurdalną. Tyle smutku poświęcono nienarodzonemu dziecku, podczas gdy w tym czasie niezliczone rzesze mężczyzn wykrwawiają się na polach bitew w Europie i tak ogromna śmiertelność panuje w dzielnicach nędzy w miastach. Mama nalęła mu kawę i dodała

z uśmiechem, że pozwalają sobie na ten drogi napój tylko wyjątkowo, a na co dzień piją wyłącznie kawę z żołądki. Paul poczuł wyrzuty sumienia. Z jego powodu nie powinny ponosić dodatkowych kosztów, bo kawa i herbata były dostępne na froncie, tak jak papierosy, tytoń, nawet sznaps oraz zdobyczna angielska whisky.

– Chcę z tobą zamienić kilka słów na temat ojca, Paul.

– Martwisz się o niego? – zapytał, unosząc głowę znad gazety.

Przytaknęła, ale początkowo milczała, bo Else weszła z pocztą.

– Pani córka prosiła, żeby pani przekazać, że przyjdzie później na śniadanie.

– Lisa? Nie jest przypadkiem chora?

– Nie, łaskawa pani. To z powodu poczty. Dostała list.

– Rozumiem. Pewnie list z frontu od męża. Jak to dobrze.

Paul uśmiechnął się serdecznie do Else, a jej twarz, która zawsze przypominała mu oblicze starego człowieka, od razu się rozpromieniła. Pracownicy willi byli tak bardzo oddani. Jak serdecznie go witali, Brunnenmayer musiała wycierać oczy, a panna Schmalzler mocno ścisnęła jego dłoń. Wyznała mu też, że modli się za niego każdego wieczoru. Cóż za pocziwa dusza!

– Mówię o tym niechętnie, Paul – powiedziała Alicia ściszym głosem. – Boję się jednak, że tata pije. Widzę, w jakim tempie opróżniane są półki w piwnicy. Francuski koniak, domowa wódka z goryczki, szkocka whisky – wszystko, co od lat tam przechowywał, teraz znika z zatrważającą szybkością. A Marie też mi zdradziła, że w jego biurze ciągle stoją szklanki po alkoholu. Opróżnione butelki ukrywa, żeby Marie nie robiła mu wyrzutów.

Paul uśmiechnął się do mamy i powiedział, że wiele razy był z ojcem w fabryce i nie zauważył, żeby nadużywał alkoholu.

– On się nie upija, Paul – powiedziała, potrząsając głową. – Ale ciągle podpija. Tutaj łyk, tam szklaneczka. W posiadłości wieczorami też sięga zawsze po czerwone wino – sam widziałeś. I wiesz, że doktor Greiner zabronił mu jakiegokolwiek alkoholu.

Paul odetchnął głęboko, żeby poradzić sobie z narastającym niepokojem. Potem powiedział, że z pewnością nie ma powodu do obaw. Tata zawsze lubił koniak i ten trunek nigdy mu nie szkodził.

– Dostał ataku serca, bo przytłaczał go wielki ciężar, mamó. Ale ten ciężar, Bogu dzięki, to już przeszłość. Marie została moją żoną i jesteśmy razem bardzo szczęśliwi.

Powiedział potem z dumą, że jego Marie stała się sprytną kobietą biznesu, dogląda nawet pracy w halach i zna się na funkcjonowaniu maszyn. A do tego troszczy się o pracownice i stara się pomagać ich rodzinom.

– Tak, Marie jest z pewnością wielkim wsparciem dla taty – powiedziała Alicia. – Sam to przyznaje. Mimo to boję się, że zbyt dużo wziął na siebie, Paul.

– Chcesz, żebym z nim porozmawiał?

– Bardzo by mnie to uspokoiło. Wiesz przecież, że mnie nie posłucha.

– Ach, mamó! Oczywiście, że tata cię słucha, tylko nie daje tego po sobie poznać.

Ucieszył się, że jego uwaga wywołała uśmiech na jej twarzy i że zaraz zmieniła temat rozmowy; opowiadała o swoich wnukach, które były jej największą radością. Przede wszystkim oczywiście Dodo i Leo, słodkie szkraby. Ale Henni też była jej wielkim

skarbem, mała już podnosi się, trzymając szczebelków łóżka, dokładnie tak jak Kitty, która zaczęła chodzić, zanim skończyła roczek. I loczki też ma po Kitty. Tylko są w kolorze blond, tak jak u jej taty. Biedny Alfons, tak bardzo się cieszył swoją córeczką...

Paul wziął znów do ręki gazetę, by zapoznać się z doniesieniami z frontu. Na Zachodzie burza i deszcze przerwały walkę, tylko nad rzeką Ancre artyleria trzymała wroga pod ostrzałem. Na Wschodzie generał feldmarszałek książę Luitpold von Bayern odpierał ataki wojsk rosyjskich na południe od Rygi. W Rumunii wróg został odparty przez arcyksięcia Józefa. Poległo sześciu oficerów i dziewięciuset mężczyzn, zdobyto trzy karabiny maszynowe. Co za idiotyczne bazgroły! Bohaterscy obrońcy ojczyzny, którzy bezustannie skazują swoich żołnierzy na pewną śmierć. Faktem było, że zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie wróg zyskiwał dużą przewagę – jeśli szybko nie zostanie wynegocjowany pokój na rozsądnych warunkach, dojdzie do katastrofy. Każdy, kto walczył na froncie, zdążył już to pojąć, tylko nikt tego nie mówił głośno.

Złożył gazetę, nie czytając nekrologów, które zajmowały dwie strony. Bez wątplenia znalazłby tam nazwiska jakichś kolegów ze szkoły, a nie chciał tego wiedzieć. Nie chciał też myśleć o nieszczęsnym Alfonsie, nie było sensu jeszcze bardziej się pograżać w smutku. Już jutro będzie znów siedział w pociągu ze swoimi towarzyszami. Stacja docelowa nie była znana, ale na pewno nie będą pracować przy zaopatrzeniu. To będzie walka na froncie.

– Ach, Paul – westchnęła matka. – Pragnęliśmy, żeby było ci cudownie przez te dni, żebyś mógł porządnie odpocząć. Wyszło niestety zupełnie inaczej.

Dopił kawę i powiedział, że nie miał zamiaru leżeć w domu do góry brzuchem. Przeciwnie – cieszy się, że w tym trudnym czasie mógł być razem z nimi.

– Jestem z ciebie taka dumna, Paul.

Gorąco się uściskali i Paul wyszedł na korytarz; poczuł się, jakby był bez serca, bo cieszył się, że uciekł od matczynych trosk i niepokojów. Na schodach spotkał Lisę, która wydawała się dziwnie roztrzęsiona i przywitała się z nim tylko przelotnie. Oby nie kolejne zawiadomienie o śmierci, pomyślał przerażony. Klaus von Hagemann był przecież starym wygą, on nie wystawiałby się na niebezpieczeństwo.

– Wszystko dobrze? – zapytał z udawaną wesołością.

– Oczywiście.

Wiedział dobrze, że kłamie, ale nie chciał na nią naciskać. Lisa już jako dziecko sama radziła sobie ze swoimi problemami. Nie skarżyła się, tylko działała.

– To jest godne podziwu, jak się poświęcasz dla rannych, Liso. Lazaret to niezwykle ważna inicjatywa.

– Dziękuję.

Szczerze się ucieszyła słowami pochwały, ale napięcie nie ustąpiło z jej twarzy. Prawdopodobnie list nie był tak niezwykły, jak na to liczyła. Biedna Lisa, tak bardzo chciała mieć dziecko, ale do tej pory nie zaszła jeszcze w ciążę.

– Czy mogę porozmawiać z Ernstem von Klipp-steinem, czy jest teraz może myty i golony przez pielęgniarki?

– Może uważasz, że pielęgniarki tutaj zajmują się pielęgnacją rannych z myślą o niemoralnych igraszkach?

Czyżby wyczytała współczucie w jego twarzy? Nienawidziła, gdy się nad nią użalano, robiła się wtedy niemila.

– Czy ja tak powiedziałem?

Ugryzła się w język i powstrzymała od dalszego komentarza. O ile jej wiadomo, Ernst von Klippstein został zabrany do pokoju zabiegowego na zmianę opatrunku, potem musi leżeć, bo powinien odpoczywać.

– Jego łóżko jest tam, trzecie po lewej stronie. Teraz wybac mi, proszę, ale muszę iść.

Jego przyjaciel von Klippstein przyszedł do nich wczoraj na pół godziny, zjedli wspólnie posiłek, wypili kieliszek wina, a potem musiał się znowu położyć. Biedak. Marie otoczyła go opieką, odwiedziła go kilka razy w szpitalu. Jak szybko los może się odwrócić, wszyscy sądzili, że jego małżeństwo jest szczęśliwe. Adele zakochała się jednak w zarządcy majątku, zażądała rozwodu i nawet ich małego synka przeciągnęła na swoją stronę. Paul spojrzął na zegarek kieszonkowy i zastanowił się, dlaczego właściwie jak szalony angażuje się we wszystkie działania w tym dniu, który był jego ostatnim dniem spędzonym w gronie bliskich. Niemożliwe było nadrobienie zaległości w tym, co umknęło mu przez ostatnie miesiące, i nie był też w stanie zmienić tego w najbliższej przyszłości. Jutrzejszy poranek nie będzie już należał do niego, znów stanie się żołnierzem frontowym, bojownikiem o swoją ojczyznę, tym, który będzie palił wioski i zabijał bezbronnych ludzi. Jeśli przeżyje tę wojnę, nigdy nie będzie mógł powiedzieć Marie i dzieciom, co zrobił.

Ernst von Klippstein zobaczył go, gdy wychodził z pokoju zabiegowego. Pomachał mu i usiadł przy jednym ze stolików, które ustawiono przed drzwiami na taras.

– Dobrze się goi – powiedział von Klippstein z uśmiechem, a potem się skrzywił, jakby odczuwał silny ból.

Paul przytaknął i nie pytał o nic więcej, choć wiedział, że Klippstein ma sporą dziurę w biodrze, a w całym jego ciele tkwiły odłamki granatu. W milczeniu zastanawiał się, co sprawiło, że on do tej pory miał tak niesamowite szczęście. Podczas ataku zwicznął prawą rękę i dwukrotnie miał zadrapane ramię. Tylko tyle.

– Będzie dobrze, Ernst...

Von Klippstein chwalił młodego lekarza, który tak dobrze się nim zajął i który sam niestety został wysłany na front. Nazywa się doktor Moebius. Niech go Bóg chroni.

– Martwiłem się o ciebie, Ernst.

Von Klippstein spojrzął na niego zaskoczony, współczucie Paula wydało mu się nie na miejscu. Ale Paul mówił dalej:

– Powinieneś chyba zostać w ojczyźnie. Przynajmniej dopóki nie zostaną wyleczone twoje rany, prawda?

– Prawdopodobnie. Ale sam zgłosiłem się na ochotnika do walki na froncie.

Był taki jak on, nadgorliwy syn pruskiej ziemi. Na szczęście tym razem zostanie gruntownie przebadany, inwalidów nie wysyłano na front.

– Przyszedł mi do głowy pewien pomysł – zaczął ostrożnie.

Musiał swoją propozycję przedstawić w sprytny sposób, żeby Ernst nie odebrał jej jako miłosiernej próby postawienia go z powrotem na nogi. Paul zaczął więc od

przedstawienia kiepskiej kondycji fabryki, która wynika głównie z tego, że brakuje wykwalifikowanego personelu szczególnie w zakresie prowadzenia rachunków i księgowości. Panuje w nich spory nieład. I brakuje oczywiście męskiego nadzoru nad pracą w halach.

– Do czego zmierzasz, Paul?

Von Klippstein patrzył na niego z na poły wymuszonym, na poły ironicznym uśmiechem. Najpewniej dawno już go przejrzał.

– Pomyślałem sobie, że nie masz zbytnej ochoty wracać do swoich włości. Chyba że chciałbyś żądać satysfakcji...

Ostatnia uwaga była nie na miejscu, ale już się stało. Ernst zbladł jeszcze bardziej i odpowiedział krótko, że niczego takiego nie zamierza. Nie żyją przecież w dziewiętnastym wieku, a jego żona nie ma na imię Effi³².

– To bardzo rozsądne, Ernst. Pytam cię więc, czy nie zechciałbyś przez jakiś czas być naszym gościem w posiadłości. Mógłbyś, jeślibyś zechciał, robić coś pożytecznego w fabryce albo po prostu wieczorami porozmawiać z naszymi damami. Jest dość miejsca.

Paul uśmiechnął się i dodał, że jego rodzice na pewno byliby zachwyceni. Zwłaszcza matkę na pewno ucieszy ta propozycja. Ernst odchylił się na krześle. Chcąc się podnieść, musiał pomóc sobie rękami, bo mięśnie brzucha bolały go przy każdym ruchu. Milczał przez chwilę, gdyż najwyraźniej musiał przemyśleć tę propozycję.

– Pytałeś o to swoją żonę?

– Oczywiście. Ucieszyła się.

Trochę przesadził. Przedstawił Marie swój pomysł, a ona początkowo zmarszczyła czoło. Później jednak, gdy zorientowała się, jak mu na tym zależy, zgodziła się.

– Dziękuję ci bardzo, Paul – powiedział von Klippstein powoli. – Jesteś prawdziwym przyjacielem, prawdopodobnie najlepszym i najbardziej bezinteresownym, jakiego miałem. Przemyślę twoją propozycję.

Paul odetchnął z ulgą. Pomógł rannemu wstać i odprowadził go do łóżka. Gdy kierował się do wyjścia, raz jeszcze spojrzął na zegarek. Prawie południe. Zjedzą razem posiłek, potem pójdzie ostatni raz z ojcem do fabryki, by sprawdzić kontrakty, przejrzeć księgowość, pokręcić się po halach, poczuć się zupełnie obco między pracownikami. Zobaczy, jak jeńcy wojenni muszą przerzucać węgiel i dźwigać ciężkie skrzynie. Chciał być jak najwcześniej z powrotem w willi, żeby przynajmniej godzinę czy dwie побыć sam na sam z Marie. Wiadomo, najpewniej i tak będą z dziećmi, ale one teraz były częścią ich życia. Jego dzieci, które jeszcze ani razu nie powiedziały tata.

Gdy szedł do fabryki, prawie nie czuł gryzącego zimna. Marie. Jak ona to wszystko pogodzi. Rodzice. Dzieci. Fabryka. A teraz jeszcze Kitty. Wszystko na nią spadło. Czyż nie obiecywał jej przed ołtarzem, że zawsze będzie ją wspierał? Osłaniał i chronił. Nosił ją na rękach. Co za farsa! Nie może zrobić dla niej nic więcej, co najwyżej napisać kilka listów. Przez te kilka nocy tak naprawdę ani razu z nią nie był, co nie przyszło mu łatwo. Ale nie chciał, żeby w tych trudnych czasach musiała sobie radzić z kolejną ciążą. Jako żołnierz w domu był kimś obcym, nie brał udziału w życiu swoich bliskich. Ale to oni podczas tych wszystkich okropnych bitew i pośród wszechobecnej śmierci trzymali go przy życiu.

32 Ernst von Klippstein najpewniej nawiązuje do imienia bohaterki powieści Theodora Fontanego *Effi Briest* z 1894 roku.

CZĘŚĆ II

WRZESIEŃ – GRUDZIEŃ 1917

Było zupełnie ciemno w pokoju, ale Hanna nie odważyła się zapalić lampy, żeby spojrzeć na tarczę zegara. Leżała nieruchomo na plecach i próbowała usłyszeć uderzenia zegara znajdującego się na wieży Świętego Maxa, co przy sprzyjających wiatrach było możliwe. Głośne chrapanie Jordan zagłuszało jednak wszystkie inne dźwięki. Z nienawiścią w sercu Hanna słuchała tych efektów tańca podniebienia miękkiego, które przyjmowało formę gwizdania przy wydechu i zmieniało się w gwałtowne cmokanie, gdy wychodziło ze stałego rytmu. Jakie to obrzydliwe, że musi spać z tym starym pudłem w jednym pomieszczeniu. Jej matka co prawda najczęściej pachniała wódką, ale chrapała rzadko i nie nosiła tak głupiego czepka z koronką.

Hanna zdecydowała, że lepiej będzie, jeśli wyjdzie za wcześnie niż za późno. Na szczęście nie padało zbyt mocno, a niebo było pokryte chmurami, więc księżyc, tego starego zdrajcy, nie było widać. Tak cicho, jak tylko potrafiła, wymknęła się spod kołdry i włożyła swoją codzienną odzież. Gdy Jordan na chwilę przerwała swój koncert, Hanna zamarła w bezruchu. Następnie sapanie i parskanie znów się zaczęło i Hanna ubierała się dalej. Na szczęście było ciepło, włożyła jednak chustę na głowę i na ramiona z powodu deszczu. Udało się jej, nie wywołując prawie żadnego skrzywienia, przejść po podłodze do drzwi i dopiero gdy nacisnęła klamkę, głośno trzasnęło. W korytarzu również nie ośmieliła się zapalić światła, bo ktoś mógł zobaczyć jej cień przez dziurkę od klucza w swoim pokoju. Powoli stawiała stopy, aż w końcu dotarła do klatki schodowej dla służby i zeszła z ulgą do kuchni. Pachniało tam zimnym gulaszem i herbatą miętową oraz suszonymi ziołami, które Brunnenmayer zawiesiła na sznurkach. Hanna wreszcie odważyła się zapalić jedną z lamp gazowych. Spojrzała na zegar kuchenny i zobaczyła, że jest już prawie wpół do drugiej. To był najwyższy czas! Szybko wzięła klucz z haka i wyszła. Drzwi na podwórze były zamknięte od wewnątrz. Musiała wrócić, zanim Brunnenmayer wczesnym rankiem przyjdzie do kuchni, w przeciwnym razie wszystko się wyda. Oczywiście górny z obu rygli zaciął się, więc uderzyła w niego mocno dłonią. Zabolało, ale rygiel puścił i wyszła na zewnątrz. Poprzedniego wieczoru zostawiła swoje rzeczy pod stosem drewna do rozpalania w kuchni, bo nikt prócz niej nie przychodził po nie. Znalazłaby drogę do szopy na drewno nawet w całkowicie czarnej noc, zdjęła kawałki drewna i wyciągnęła napakowany plecak. Mysz poruszyła się pod jej ręką, więc krótko krzyknęła i natychmiast zatkała sobie usta. Głupia gąsko, pomyślała wściekła. Straciłaby wszystko z powodu małej myszy.

Dopiero teraz zaczęło padać, a księżyc przeświecał przez cienkie warstwy chmur. Hanna ledwie poznawała park wokół willi, stare drzewa były niczym ponure postacie olbrzymów, między nimi były jasne trawniki i trzy zapomniane krzesła wiklinowe, na których dzieci bawiły się wczoraj po południu w kolejkę. Założyła plecak na ramiona i zdecydowała, że nie będzie szła wzdłuż podjazdu, tylko drogą między drzewami. Było przecież możliwe, że pani Alicia nie może spać i stoi przy oknie, patrząc na park. Łaskawa pani wczoraj wieczorem znowu miała migrenę.

Chodzenie po miękkim podłożu sprawiało jej sporą przyjemność. Niestety jej buty były już przez to zupełnie mokre, ale to nie było ważne. Przy bramie starała się, przymrużywszy oczy, rozejrzeć się po ulicy, co przy rozproszonym świetle księżyca nie było łatwe. Lampa łukowa oczywiście już dawno się wyczerpała.

A niech to, pomyślała. Kto o tej porze może kręcić się po ulicy? Ruszyła na drogę prowadzącą do fabryki maszyn. Jej serce biło coraz mocniej, a gdy dotarła do starego budynku, nie mogła złapać tchu. Dysząc, szukała schronienia pod rozpadającą się szopą, zdjęła plecak i usiadła na podłodze. Mogli się spotykać bardzo rzadko, zamienić ze sobą kilka słów przez płot. W taki sposób zdradził jej swoje plany. Teraz mogła się tylko modlić, żeby udało mu się wymknąć z baraku, w którym nocowali pracownicy fabryki maszyn spoza kraju, i przejść przez płot. Gdyby go przy tym złapali, to byłby koniec. Absolutny.

– Hanna! – wyszeptał. – Moja Hanna! Mój aniele!

Ukrył się w szopie i obserwował ją przez prześwity między deskami. Zwinnie i bezszelestnie jak młody wilk wyszedł z ukrycia, uklęknął przed nią i zaczął gwałtownie całować. Był jak burza, nie zostawił żadnego wolnego od pocałunków miejsca na jej twarzy, całował wewnętrzną stronę jej dłoni, szyję. A potem rozpiął guziki w jej bluzce i ściągnął ją z niej.

– Nie, musisz iść... Nie możesz tracić czasu.

Położył rękę na jej ustach i chciwymi ustami dotykał wszędzie, gdzie tylko chciał. Zadrzała, nie broniła się już i pragnęła tylko, żeby czas się zatrzymał. I żeby mógł zostać. Był przy niej na zawsze. Leżał przy niej każdej nocy, całował ją, ściągał z niej ubrania, a jego usta i ręce wędrowały po całym jej ciele. Robiłby z nią to, co mężczyźni robili z jej matką. Jako dziecko widziała to przez szparę w drzwiach, była tym przerażona, ale matka powiedziała jej później, że to piękne. Zwłaszcza gdy robi się to z właściwym mężczyzną.

– *Ljubimaja moja*. Moja słodka. Moja gołąbeczka.

– No dalej... Chcę tego... Zrób to, co robią mężczyźni – powiedziała.

Poszło znacznie szybciej, niż się spodziewała. Ale to z pewnością dlatego, że mieli mało czasu. Grigorij szarpnął ją i popchnął, podniósł jej spódnicę do góry, ręce miał tam, gdzie do niedawna nosiła majtki. To, co robił, wywołało w niej dzikie dreszcze, zacisnęła zęby, żeby zbyt głośno nie krzyknąć, i przytuliła się mocno do niego. Potem sprawiał jej ból, raz za razem, nie przestawał, chociaż cicho piszczała i prosiła, żeby przerwał. Mruczał pod nosem jakieś rosyjskie słowa, dyszał z wysiłku, nagle się wyprostował i upadł na nią z głębokim westchnieniem.

– *Maja žena*... moja żona... moja Hanna. Wróć. *Posle wojny* – gdy wojna się skończy.

Leżała nieruchomo, gdy on w słabym świetle księżyca sprawdzał zawartość przyniesionego przez Hannę plecaka. Chleb, szynka, kiełbasa, kawałek sera – wszystko to ukradła dla niego ze spiżarni. Butelkę francuskiego koniaku, który udało się jej zdobyć, bo pan dyrektor zapomniał zamknąć piwniczkę z alkoholem. Stary pan Melzer był ostatnio taki zapominalski. Zabrała też bieliznę, skarpety, buty i cały garnitur razem z kamizelką. Z szafy młodego pana, który był na froncie i nie używał teraz tych rzeczy. Była również czapka i portfel. Włożyła do niego wszystkie pieniądze, jakie miała.

Trzydzieści jeden marek i dwadzieścia trzy fenigi.

– *Ne ostorožno* – jesteś nieostrożna. Ukarzą cię, Hanna.

– To nieważne. Ważne jest teraz, żebyś dotarł bezpiecznie do Szwajcarii. Stamtąd uda ci się już pojechać do Rosji. *Ponimajesz*? Szwajcarija... Rossija...

Przytaknął i ściągnął z siebie resztę ubrań. Stał przed nią nagi w świetle księżyca, smukły i mus-kularny, młody gepard, który już napinał mięśnie, żeby uciekać. Rzeczy młodego pana były odrobinę za obszerne, ale na wszelki wypadek zabrała pasek do spodni, a noski butów wypchała gazetą.

– Podejdź tutaj.

Wyjęła nożyczki z zewnętrznej kieszeni plecaka i zaczęła skrać mu włosy i obcinać brodę. Stał bez ruchu, patrzył na nią i się uśmiechał. Był to czuły uśmiech. Gdyby przed chwilą nie sprawił jej tyle bólu, przylgnęłaby do niego i pocałowała go.

– *Krasiwyj malczik* – powiedziała i przejechała ręką po jego krótkich włosach. – Piękny, młody pan.

– Nie pan – odpowiedział. – *Muż*. Twój mąż, Hanna. Przyjadę, gdy wojna się skończy. Obiecuję.

Wyjął nożyczki z jej ręki i strzepnął włosy z kołnierza i marynarki. Potem pocałował ją długo, manewrował językiem w jej ustach, ale nie czuła teraz żadnej przyjemności. Gdy przestał, zorientowała się, że ma w ustach trochę jego obciętych włosów.

– Musisz już iść. Weź plecak. Stare ubrania zostaw tutaj. Schowam je. Idź!

Nie chciał jej zostawić, twierdził, że posyła go precz, i chciał od niej usłyszeć, że będzie na niego czekała.

– Obiecaj mi, Hanna.

– Będę na ciebie czekać, Grigorij. Będę czekać, aż przyjedziesz do mnie i zabierzesz mnie do swojej ojczyzny. Nie będę należała do innego, jak długo będę żyć.

Chwycił jej lewą rękę i włożył palce między jej palce, jakby się modlił.

– Ty i ja. *Na wsiegda wmiestje*. Na zawsze razem.

Poruszył dłonią i ścisnął jej palce, jakby chciał przez to wzmocnić obietnicę. Potem zrobił krok do tyłu, zarzucił plecak na ramiona, włożył czapkę i naciągnął ją mocno na twarz. Nie było żadnego do widzenia ani *do swidania*, po prostu się odwrócił i poszedł przed siebie; trzymał się blisko głównej ulicy i kierował się w stronę dworca towarowego. Tam chciał się ukryć w jednym z wagonów, żeby jak najszybciej opuścić Augsburg, bo tutaj właśnie najpierw będą go szukać. Później kupi bilet do Friedrichshafen lub Konstancji i popłynie statkiem przez Jezioro Bodeńskie do Szwajcarii. W Szwajcarii – jak się dowiedział – traktują przyjaźnie rosyjskich jeńców wojennych i pomagają wrócić do ojczyzny.

Hannie zajęło kilka minut doprowadzenie do porządku swojego ubrania, a potem poszukała płaskiego kamienia, żeby wykopać nim dołek w ziemi. Na szczęście gleba była wilgotna od deszczu, ale i tak była to wyczerpująca i nieprzyjemna praca. Zanim wrzuciła do dołka jego podarte spodnie, koszulę i bieliznę, powąchała je, delectowała się zapachem jego ciała i przez chwilę jej się wydawało, że wciąż z nią jest. Potem wrzuciła wszystko do dziury, zasypała ziemią i darniną, a następnie mocno udeptała nogami. Miała

nadzieję, że wiatr rozwieje po okolicy jego czarne włosy, które leżały teraz w całym pomieszczeniu, bo przy tak nikłym świetle księżycy nie była w stanie ich zebrać. Jak trudno było jej wrócić do posiadłości Melzerów. Wolałaby pójść na dworzec towarowy i uciec razem z nim. Ale to było niemożliwe, naraziłaby go tylko na niebezpieczeństwo. Znowu się rozpadało i obawiała się, że te piękne ubrania, które mu dała, zaraz będą mokre. Wtedy znowu zacznie wyglądać niechlujnie i łatwiej będzie odkryć, że jest zbiegłym jeńcem.

Przez panującą wokół ciemność prawie przegapiła bramę do posiadłości, na szczęście natrafiła jednak na kamienne obramowanie, w którym były osadzone dwa skrzydła bramy, zrobione z kutego żelaza. Tym razem nie miała ochoty iść przez łąki, nerwowe podekscytowanie, które towarzyszyło jej wcześniej, teraz ustąpiło głębokiemu przygnębieniu. Wszystko poszło po jej myśli, a mimo to z niewiadomego powodu była ogromnie rozczarowana i potwornie smutna. Może dlatego, że wcale nie było pięknie, że tylko sprawiło jej ból. A może przez to, że wszystko stało się tak szybko. Jedno było pewne – nie zobaczy go przez bardzo długi czas. Tak czy inaczej wyglądała jak zmokła kura i była śmiertelnie zmęczona. Im szybciej będzie mogła ściągnąć z siebie mokre ubrania i wskoczyć pod kołdrę, tym lepiej. W ciemności willa wyglądała jak ciemny kolos, ale na parterze w niektórych oknach świeciło się światło. Przyjrzała się uważniej – tak, dobrze, to były tylko okna po prawej stronie, a tam znajdował się lazaret. W tej części willi zawsze świeciły się nocne światła. W pomieszczeniach gospodarczych po lewej stronie – w kuchni i spiżarni – było zupełnie ciemno. Teraz tylko musi szybko przebiec przez podwórze, otworzyć drzwi do kuchni, zaryglować je od wewnątrz i po cichu, niczym duch, wejść na górę do pokoju.

Wszystko szło doskonale, aż do chwili, gdy zasuwawa drugi rygiel. Złośliwa zasuwka się zacinała i musiała znów zastosować wypróbowaną metodę – uderzenie ręką. Puf! No nareszcie.

– Alarm! – usłyszała łamiący się głos. – Kryj się! Szczury i myszy! Chowaj głowę! Granaty! One nadchodzą! One szurają! Chowaj głowę w ziemię!

Hanna stanęła jak słup soli i przez chwilę naprawdę myślała, że w posiadłości zaraz wybuchnie granat. Dopiero później do niej dotarło, że te pełne przerażenia krzyki dochodzą zza długiego stołu, i zrozumiała. Humbert znowu miał atak. Akurat dzisiejszej nocy – co za pech!

– Humbert? Jesteś tam?

Przykucnęła, ale było zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Słyszała jednak jego szybki, niespokojny oddech i wydawało się jej, że czuje, jak on drży. Biedak, wojna odebrała mu rozum.

– Z drogi! Precz! Zaraz uderzą! Coś trzeszczy. Samoloty nadlatują!

– Ależ nie, Humbercie. To tylko ja, Hanna. Miałeś zły sen.

Nie przestawał się trząść, a ona zdała sobie sprawę, że niepotrzebnie wypowiadała swoje imię. Poza tym na pewno zaraz przyjdzie Brunnenmayer, ona zawsze natychmiast przybiegała, gdy Humbert był w takim stanie.

– Idź. Szybko... Ukryj się... Oni nadchodzą – szeptał Humbert ze swojej kryjówki.

Hanna miałaby jeszcze dość czasu, żeby czmychnąć przez drzwi łączące korytarz

z lazaretem, ale usłyszała już kroki kucharki na schodach. Wspaniale, pomyślała. Jeśli teraz on jej powie, że była w kuchni, to już po wszystkim. Mogła tylko mieć nadzieję, że Brunnenmayer mu nie uwierzy, bo w czasie ataków mówił różne dziwne rzeczy.

Postanowiła przejść naokoło przez pralnię i niezauważona dotrzeć do klatki schodowej. Oby tylko Schmalzler albo Else już nie wstały i nie wpadły na pomysł, żeby zajrzeć do kuchni przez prawe drzwi, bo wtedy wpadnie im prosto w ramiona. Szła ostrożnie noga za nogą, nasłuchując z niepokojem każdego podejrzanego odgłosu, ale słyszała jedynie Brunnenmayer, która na dole rozmawiała z Humbertem.

Zdobyła się na odwagę, wzięła szturmem ostatnią prostą, przebiegła przez korytarz i stanęła przed drzwiami do swojego pokoju. Nie mogła złapać oddechu i czuła, jak wali jej serce. Jeszcze ta przeklęta Jordan. Chrapała? Czy już się obudziła? Przez moment nie było niczego słychać, ale potem zza drzwi dobiegło lekkie chrapnięcie i kolejne dźwięki. Dobrze więc – prawdziwe zwycięstwo.

Uch, co za zaduch panował w pokoju! Jak fatalnie, że nie wolno jej było otworzyć okna. Jordan jej zabroniła, bo jej prawe ramię było wrażliwe na przeciągi. Hanna wślizgnęła się do swojego łóżka, zdjęła mokre ubranie i włożyła nocną koszulę, którą trzymała pod poduszką. Co za piękna chwila, gdy można się wyciągnąć pod kołdrą! Mokre ubrania wrzuciła pod łóżko, żeby Jordan ich rano nie zauważyła. Potem ułożyła się na boku, podciągnęła kolana i poprawiła poduszkę. Została jej godzina lub dwie na sen, o szóstej będzie dzwonił przeklęty budzik.

– Gdzie byłaś?

To zdanie zadziało lepiej niż budzik. Ta stara wredna wiedźma wcale nie spała. Chrapała tylko, żeby ją zmylić.

– Co? – wychrypiła, jakby właśnie się obudziła.

– Gdzie byłaś? Słyszałam, jak wchodzisz.

Hanna musiała błyskawicznie coś wymyślić. Zmyślić jak najmniej i kłamać jak najlepiej.

– Humbert znów miał atak.

Przez chwilę panowała cisza. Pewnie się zastanawiała, ta wstrętna wesz. Hanna słyszała, jak odwraca się na łóżku i prycha głośno.

– Humbert – powiedziała. – Patrzcie ją!

33 Ros. Rozumiesz.

Mój Ukochany,

Od pięciu długich tygodni nie otrzymałam od Ciebie żadnego listu, ale były już dłuższe przerwy w korespondencji przez opóźnienia w działaniu poczty, więc wierzę, że już dawno przeczytałeś wszystkie moje listy i że i ja niebawem dostanę w czasie śniadania gruby pakunek z listami od Ciebie.

Oboje zostaliśmy oszukani, bo ten rok, który witaliśmy wspólnie z tak wielką nadzieją, nie okazał się rokiem pokoju. Przeciwnie – wydaje się, że jest to rok najgorszego kryzysu. Od kwietnia Amerykanie wzmocnili szeregi naszego wroga, a w Rosji władzę przejął lud. Nie żywię sympatii do rosyjskiego cara, ale wydaje mi się, że zmuszenie go do abdykacji to zły znak dla całej Europy. Wszędzie rosą w siłę socjaldemokraci, którzy podburzają robotników w fabrykach do wszczęcia zamieszek i strajków, które zwłaszcza w tak ciężkiej sytuacji trudno uznać za pomocne.

Marie prześledziła ostatni akapit krytycznym wzrokiem i z niezadowoleniem potrząsnęła głową. Po co obciążać Paula narzekaniem? Skarżyć się na strajki w fabrykach. Naprawdę chciała, żeby się o nią martwił? Precz z tym! Zmięła kartkę. W pokoju dziecięcym, znajdującym się obok, było słycać narzekanie małej Henni. Ciężki przedmiot uderzył w boazerię, a piski Henni stały się przenikliwe i wściekłe. Była najmłodsza z trojga dzieci, ale swoją energią i siłą głosu potrafiła sporo wyegzekwować. Dodo, małe słoneczko, była dobroduszna i pozwalała jej na wszystko, tylko Leo przeciwstawiał się małej krzykaczce, nie wahając się korzystać ze swojej przewagi fizycznej. Dotychczas nie na wiele to się zdało, bo Rosa zawsze brała Henni w obronę. Marie poczekała, aż hałas nieco ucichnie, i zaczęła od nowa.

U nas niewiele się dzieje. Dzieci są zdrowe i rosą szybko, Dodo przechodziła przeziębienie, Leo rozbił kolano, ale się szybko zagoiło. Mama jest zadowolona i kazała Cię bardzo serdecznie pozdrowić, tata też ma się dobrze, tylko bardzo ciężko pracuje w fabryce. Zgodził się, bym przychodziła tam co drugi dzień. Produkcja papierowego materiału idzie pełną parą, nie jesteśmy wręcz w stanie realizować wszystkich zamówień. Wymyśliłam nowe wzory i namawiałam też Kitty, żeby przenosiła swoje pomysły na papier. Dotychczas jednak bez rezultatu.

Przerwała, by zastanowić się, czy powinna cokolwiek pisać o Kitty. Nie miała bowiem żadnych dobrych wieści. Kitty po poronieniu całymi tygodniami leżała w zaciemnionym pokoju i nie chciała nikogo widzieć. W końcu Marie wkroczyła do jej królestwa i zaczęła robić jej wyrzuty. Powiedziała, że Kitty nie może całkowicie pograżyć

się w cierpieniu. Ma dziecko, małą córeczkę – czy stało się jej to zupełnie obojętne? Po tej reprimendzie Kitty przyszła na śniadanie, zaczęła brać udział w życiu rodziny i opiekować się Henni. Jednak na zawsze utraciła swoją spontaniczną, żywiołową naturę. Błąkała się po posiadłości niczym cień, blada, milcząca, z niemal zawsze spuchniętymi oczami.

Kitty z całych sił stara się pogodzić z potworną stratą, której doświadczyła. W ostatnim tygodniu byliśmy razem na zebraniu towarzystwa charytatywnego i brała czynny udział w planowanych działaniach.

To z pewnością ucieszy Paula, była to jednak spora przesada. Siłą perswazji przekonała Kitty, że skoro już chce obciąć włosy, to żeby oddała je na zbiórkę. Zbierano kobiece włosy, żeby produkować z nich pasy napędowe i uszczelniacze. Przyjmowano także wszelkiego rodzaju dary miłości dla żołnierzy – od skórzanych sakiewek i wełnianych ocieplaczy, przez szelki, kalesony i kufle do piwa, po likiery, papierosy i czekoladę. Wszystko, co się dało, wysyłano na front.

W zeszłym tygodniu otrzymaliśmy list od Ernsta von Klippsteina z Brandenburga. Udało mu się załatwić swoje sprawy, co oznacza, że rozwód nastąpi szybko, tak żeby Adele mogła ponownie wyjść za mąż. Ponieważ Ernst ze względu na stan zdrowia nie był w stanie zająć się prowadzeniem jednego ze swoich gospodarstw z hodowlą koni, postanowiono, że zrzeknie się obu gospodarstw, a ich dziedzicem zostanie jego syn. Klippstein nie napisał, jakie ma plany na przyszłość, ale obawiam się, że ponownie może się zgłosić do służby wojskowej. Dlatego kolejny raz zaprosiłam go serdecznie do posiadłości.

Miała wyrzuty sumienia, bo potajemnie odczuła ulgę, że von Klippstein nie przyjął zaproszenia Paula. Oczywiście było jej żal biedaka, że nie tylko odniósł poważne rany, ale stracił też osobiste szczęście. Ale jego żarliwe oddanie działało jej na nerwy. Cóż, okazała dobrą wolę i zaprosiła go raz jeszcze. Nie sądziła jednak, że naprawdę zechce przyjechać.

Ku naszej najszczęśliwszej radości również Gustav wrócił do domu. Bez żadnego wcześniejszego zawiadomienia któregoś pięknego popołudnia po prostu stanął przed drzwiami. Biedak stracił lewą nogę po wybuchu granatu, dopasowano mu jednak drewnianą protezę, dzięki której bardzo zwinnie się porusza. Poczciwa Auguste zupełnie oszalała ze szczęścia, dałam jej trzy dni wolnego, żeby mogli należycie świętować swoje ponowne spotkanie. Gustav i jego dziadek zajęli się już tylną częścią parku i chcą tam

zrobić duży ogród warzywny. Żmudna dhubanina, w którą zaangażował się również Humbert i która – na razie ograniczyła się tylko do ogródka z ziołami – przyniesie owoce dopiero późnym latem w przyszłym roku. Wtedy będziemy zbierać kartofle, rzepę, kapustę i rzodkiewki w ogromnych ilościach i będziemy żyć jak w raj.

Uśmiechnęła się. Cieszyło ją, że Gustav jest tak pełen energii. Zastanawiała się, czy napisać też kilka słów o Humbencie, ale zrezygnowała. Właściwie nic się nie zmieniło. Humbert wykonywał swoje prace z zapalem i chociaż trzy środkowe palce u prawej ręki pozostały zupełnie sztywne, radził sobie naprawdę dobrze. Wciąż miewał te dziwne ataki, rodzaj urojeń, które bez wyraźnego powodu nachodziły go zarówno w dzień, jak i w nocy. Zaczynał wtedy drżeć na całym ciele, kulił się i szukał kryjówki. Wielokrotnie Gustav chował go w swoim pokoju pod łóżkiem, najczęściej jednak krył się pod dużym stołem w kuchni.

Marie rozmawiała o tym z doktorem Strombergerem, który wraz z doktorem Greinerem przejął opiekę medyczną nad szpitalem. Stromberger był już po pięćdziesiątce, przeprowadził się z żoną do Augsburga i wynajmował mieszkanie, gdzie, poza pracą w lazarecie, przyjmował pacjentów. Zalecił Humbertowi przyjmowanie bromu na uspokojenie, ale na razie rezultaty były znikome.

Tutaj w ojczyźnie wszystko toczy się swoim rytmem i wszyscy pragniemy tylko jednego: żeby nasza ciężko doświadczona ojczyzna mogła w honorowy sposób osiągnąć pokój. Ta wojna trwa już trzy lata, choć wszyscy byliśmy przekonani, że skończy się w ciągu kilku miesięcy. Najdroższy Paulu, nie wiem, gdzie i kiedy otrzymasz mój list, ale wierzę mocno w to, że wkrótce znów się zobaczymy. Moja miłość do Ciebie jest silniejsza niż cała nędza tej wojny, jesteś mój, a ja należę do Ciebie, odnajdę Cię, gdziekolwiek pójdiesz. Każdej nocy jesteś ze mną, jakbyś nigdy mnie nie opuścił. Czuję Twoje ręce, które mnie obejmują, i widzę uśmiech na Twoich ustach.

Marie

Przeczytała raz jeszcze ostatnie linijki i zastanawiała się, czy słowa nie brzmią naiwnie albo wręcz pompatycznie. Była jednak pewna, że Paul ją dobrze zrozumie, po prostu nie potrafiła w inny sposób wyrazić tego, co czuje – nie była przecież poetką. Złożyła list i wsunęła go do koperty, na której pogrubionym drukiem widniał napis „poczta frontowa”. Napisała imię i nazwisko Paula oraz jego jednostkę, a następnie zakleiła kopertę. Gdziekolwiek Paul teraz był, koniec końców otrzyma ten list. Chciała w to wierzyć.

Podniosła się z krzesła i spojrzała na mały zegar wahadłowy z zielonego jadeitu, który podarowała jej Alicia. Była już prawie druga, najwyższy czas, żeby pójść do fabryki.

– Auguste? Przekaż proszę ten list Humbertowi, niech go zanieś z innymi.

Auguste wyglądała kwitnąco. Jej biodra były jakby szersze i Marie przeszło przez myśl, że może być znowu przy nadziei. Nie byłoby w tym nic dziwnego, Gustav był kochającym i namiętym mężem.

– Oczywiście, łaskawa pani.

– Humbert czuje się dobrze, tak?

Biedak przedwczoraj w nocy znów miał atak i kucharce dopiero po długotrwałych namowach udało się go wyciągnąć spod stołu.

– Ma się bardzo dobrze, łaskawa pani. Tylko pani teściowa znów ma migrenę.

Trzeci dzień z rzędu. Biedna Alicia – z pewnością to list jej szwagierki Elwiry z Pomorza wprowadził ją w taki stan. Rudolf von Maydorn, jej jedyny żyjący brat, był poważnie chory i Alicia chciała tam jechać, żeby – najpewniej po raz ostatni – go zobaczyć. W czasie trwania wojny i przy złych połączeniach kolejowych podróży na Pomorze była jednak niewskazana.

– Powiedz mojej teściowej, że wrócę około szóstej.

Włożyła kurtkę i kapelusz – mały czarny z prostym rondem, przypominający męski fason. Spódnica była – ku zgrozie starszych pokoleń – sporo krótsza, niż nakazywał zwyczaj. Było teraz modnie pokazywać kostki i część łydek. Wychodzenie na ulicę bez kapelusza wciąż jednak uważano za nieeleganckie.

Marie spędzała teraz co drugie przedpołudnie w biurze i przychodziła tam regularnie również po południu. Jeszcze przed miesiącem bardzo ją to cieszyło, bo mogła wymyślać nowe wzory. Teraz zaczęła jednak mocno się martwić, czy zdołają zachować kontrolę nad przedsiębiorstwem. Oczywiście fabryka Melzerów wciąż funkcjonowała, z papierowych włókien produkowano materiał. Ale co się stanie, jeśli pracownicy przyłączą się do organizowanych powszechnie strajków? Marie przeglądała przed południem księgi finansowe i choć nie znała się dobrze na skomplikowanych przepisach księgowych, zorientowała się, że jej teść wypłacał wynagrodzenia najniższe z możliwych.

Gdy stróż otworzył jej bramę, nadeszła właśnie Hanna ze swoim wózkiem. Jedzenie dla jeńców wojennych było gotowane w posiadłości, ale płaciło za nie Ministerstwo Wojny.

– O, Hanna. Wszystko w porządku? Jesteś trochę blada, dziewczyno.

– Tak, wszystko w porządku, łaskawa pani.

Odpowiedź Hanny była krótka i zwięzła, dziewczyna nie spojrzała nawet na Marie, tylko przeszła przez bramę. Marie się zdenerwowała. Oczywiście dziewczyna była wściekła, że zatroszczyła się o to, by więzień wojenny Grigorij Szukow został przeniesiony do fabryki maszyn. Tak naprawdę powinna jednak być wdzięczna Marie – nie wiadomo, co mogłoby się jeszcze stać.

Marie poszła do przędzalni, żeby sprawdzić, czy praca przebiega zwykłym rytmem, a potem zajrzała do tkalni i ucieszyła się, gdy zobaczyła pierwsze bele tkaniny, produkowanej z zaprojektowanym przez nią wzorem. Jakość papierowego materiału pozostawiała wiele do życzenia. Był sztywny, szybko się gniótł, a kolory były matowe. Przede wszystkim jednak było bardzo trudno pracować takim materiałem, żeby się nie rozleciał. Zalecano więc mokre rzeczy suszyć na świeżym powietrzu i czyścić miękką szczotką.

Powitała przyjaźnie brygadziście Gundermanna. W hali było za głośno na rozmowy, ale Gundermann nie był zbyt chętny, by rozmawiać z młodą panią dyrektorową. Jak wszyscy robotnicy, także i on postrzegał Marie jako gościa i gdy nazywał ją młodą panią dyrektorową, odnosił ten tytuł do jej męża, a nie do niej samej. Pracownicy również nie okazywały jej takiego uniżonego szacunku, jakim obdarzały dyrektora Melzera. Tylko niektóre z nich rozumiały, że upór Marie na razie uratował przedsiębiorstwo.

Na górze sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Zarówno Lüders, jak i Hoffmann wyczuwały nastanie nowych czasów już po pierwszych symptomach. Gdy tylko Marie mówiła, że chciałyby podyktować jakieś pismo, zgłaszały się chętnie, dawały jej do przeczytania gotowe listy i bez wahania przynosiły jej każdego ranka nową pocztę.

– Cieszymy się, gdy pani jest tutaj, pani dyrektor – powiedziała ostatnio Lüders. – Wtedy wszystko nabiera rozpędu, jeśli wie pani, co mam na myśli.

Marie tylko połowicznie cieszył ten komplement. Wskazywał bowiem na coś, co Marie też już zauważyła – Johann Melzer coraz bardziej wycofywał się z życia zawodowego. Zrzucił na Marie zakup surowca i w niewielkim stopniu zajmował się zbytem wyprodukowanego materiału. Okazała się rozsądną i mądrą kobietą biznesu i wydawało się, że to mu wystarcza. Mimo to wciąż pilnował, by na dokumentach widniał jego podpis. Każde pismo musiał zobaczyć i zatwierdzić. Dzisiaj wyjątkowo siedział za biurkiem w pokoju Paula i rozłożył przed sobą książki i mapy.

– Znowu nie byłeś na obiedzie, tato – powiedziała z wyrzutem. – Czym ty żyjesz? Powietrzem i liczbami?

Zamknął książkę i zdjął okulary. Jego twarz była bardzo pomarszczona. Wydawało się, że jego do tej pory krzepkie ciało nagle skurczyło się, nawet kurtka była na niego za duża.

– Dlaczego wzięłaś te książki, Marie? Czyżbyś zapragnęła posiąść wiedzę z zakresu podwójnego księgowania?

Właściwie powinien się cieszyć, że jego synowa wykazała zainteresowanie tak niewdzięcznym zajęciem jak prowadzenie ksiąg rachunkowych. W typowy dla siebie sposób chwalił ją przed znajomymi, przedstawiając jako sprytną kobietę biznesu, jednak gdy trzeba jej było coś wyjaśnić, mocno się przed tym wzbraniał.

– Poprosiłam pana Bruckmanna z działu księgowego, żeby pożyczył mi kilka książek.

Uśmiechnął się krótko, bo przerwał mu atak kaszlu. Stary Bruckmann potrafi utrzymać ją na smyczy.

– I? Przybliżył ci swój fach? „Winien” i „ma”? Porządnie, swoim śmiesznie małym pismem? Píše delikatnymi, chłopięcymi paluszkami niczym mnich, który kopiuje Biblię.

Stary księgowy wyjaśnił jej mnóstwo kwestii. Nie szczędził możliwych szczegółów, więc nie miała poczucia, że wszystko dobrze zrozumiała. Dlatego chciała skorzystać z tych książek.

– Tak, to lojalny i pilny pracownik.

Jej wzrok natrafił teraz na do połowy opróżnioną szklankę, która stała po prawej stronie biurka, obok stosu książek, i nie należała do niej. Melzer zakaszłał, chwycił szklankę pewnym ruchem i wypił wszystko duszkiem.

– Czekasz, aż zwolnię to krzesło, co? – zapytał bez cienia ironii.

– Możesz siedzieć, tato. Chciałabym tylko coś z tobą omówić.

Ściągnęła kapelusz, zdjęła kurtkę i usiadła na jednym z krzesel tapicerowanych skórą. Już chciała założyć nogę na nogę i machać stopą, jak miała w zwyczaju, ale powstrzymała się, bo wiedziała, że on tego nie zniesie.

– Chodzi o twoje projekty? Cóż, jeśli chcesz znać moje zdanie, nie lubię, gdy kobiety ubierają się jak mężczyźni.

Zaprojektowała kostiumy i płaszcze, które będą łatwe do uszycia z papierowego materiału. To były tylko modele – gładkie i proste, a jednak, jak sądziła, z kobiecym szykiem.

– Nie, nie chodzi o to, tato. Chciałabym z tobą porozmawiać o pensjach naszych pracowników.

Zrobił taką minę, jakby to powiedziała po rosyjsku. Marie już wiedziała, że nie będzie łatwo.

– Nie musisz zaprzętać sobie tym głowy, Marie. Odkąd istnieje ta firma, moi pracownicy są przyzwoicie opłacani.

Była innego zdania. Nie było jednak sensu kłócić się teraz o sprawy z przeszłości, trzeba było szybko przejść do rzeczy, żeby nie sprowadzić tej dyskusji na złe tory.

– Okazałoby się, czy istotnie, gdyby porównać płace z tymi, które otrzymują pracownicy fabryki maszyn i papieru – zaczęła ostrożnie. – W każdym razie wydaje mi się, że pensje naszych pracowników są głodowe.

Spojrzała na niego badawczo, siedział nieruchomo, trzymał okulary na podstawie i z kąpiąco uniesionymi brwiami czekał na rozwój sytuacji.

– Z pewnością czytałeś o zamieszkach i strajkach – mówiła. – Uważam, że wielu tych ludzi wychodzi na ulice z czystej konieczności.

– Naprawdę? – powiedział z pogardą. – No proszę, moją synową przekonały słowa komunistów. Może chodzisz też na ich spotkania? Może wygrażasz pięściami i bratasz się ze spartakusami³⁴? W Rosji – Boże miej litość – obalili cara i powołali republikę radziecką. Republikę, w której to tłum dźwiera władzę. To jest koniec cywilizacji. Bezczeszcza kościoły, mordują ludzi. Kobiety zachowują się jak hieny.

– A dlaczego? – zapytała wzburzona. – Na pewno nie dlatego, że ludziom jest za dobrze. Z głodu i konieczności dochodzi do tych zamieszek. Widziałeś kiedyś, jak wyglądają dzielnice nędzy w naszym mieście?

Zrobił się teraz czerwony na twarzy jak rak, aż przestraszyła się, że go tak zdenerwowała. Z wściekłością uderzył pięścią w biurko. Gdyby jego pracownicy faktycznie byli w takiej potrzebie, to byłby ostatnim, który odmówiłby im podwyżki płac. Sfinansował przecież osiedle robotnicze, przedszkole. Troszczy się o nich jak o własną rodzinę.

– Powinieneś więc dać im podwyżki, zanim wpadną na pomysł, że mogą zażądać pieniędzy poprzez strajk. Ceny żywności ciągle rosną.

– To niedorzeczność. Przecież ceny są ustalane przez państwo.

Musiała wziąć głęboki oddech, żeby opanować gniew. Naprawdę nie wiedział, że większość żywności jest sprzedawana spod lady? Nie, nie mógł być aż tak naiwny.

– Na tyle, na ile zdołałam zorientować się w księgach, jesteśmy wciąż w stanie dać podwyżki robotnikom i pracownikom umysłowym.

– A więc to tak! – zadrwił. – To dlatego po uszy siedziałas w mojej księgowości! Moja droga dziewczyno, twoje romantyczne wyobrażenia o tym, że pracownicy będą pracować z radością po dostaniu podwyżek, są dalekie od rzeczywistości. Większe pieniądze nie czynią pracy lepszą. Zrodzą tylko kolejne pragnienia, spiralę niemającą końca. Aż zażądamy dla siebie całej fabryki, posiadłości, naszych dóbr, wszystkiego!

Na Boga, ależ on jest uparty! Ach, gdyby Paul był teraz tutaj, na pewno by ją poparł. Paul był jednak daleko stąd i sama musiała sobie z tym poradzić.

– A co się dzieje z nadwyżkami, które zostają na koniec miesiąca? – zapytała.

– Musimy mieć rezerwy – warknął. – Nikt nie wie, co przyniesie przyszłość.

– Jeśli fabryka ma przetrwać, potrzebujemy mnóstwa pomysłów, zmysłu przedsiębiorczości i pilnych pracowników, którzy będą gotowi dzielić z nami dołę i niedolę.

– No właśnie – odparł ironicznie. – I dlatego nie możemy naszych ludzi zbyt rozpieszczać. W przeciwnym razie szybko zażądamy więcej, niż będziemy mogli zapłacić.

Nic więcej dzisiaj nie osiągnie. Wściekła wstała z krzesła, zgarnęła książki i wyszła do przedpokoju. Tam poprosiła Hoffmann, żeby zaniósła te wszystkie tomy do pana Bruckmanna do działu księgowego. Przestraszony wyraz twarzy panny Hoffmann dodatkowo ją zezłościł – oczywiście obie sekretarki podsłuchiwały pod drzwiami i zdawały sobie sprawę z jej porażki. Gdy chciała wrócić do biura Paula, Johann Melzer wyszedł jej naprzeciw z dziwnym uśmiechem na twarzy. Drwił sobie z niej?

– Jeśli chciałabyś teraz podyktować swoje listy, ustąpiłem ci miejsca – powiedział. – Lüders, dawałaś mi już dzisiaj dokumenty do podpisu?

– Nie, panie dyrektorze – odpowiedziała Lüders pośpiesznie. – Chciałam teraz jeszcze napisać listy, które pańska synowa... Ale mogę oczywiście zaraz...

Podszedł dziwnie małymi kroczkami do drzwi swojego biura. Marie zauważyła jego osobliwie usztywnioną postawę i wyrzucenie po lewej stronie klatki piersiowej. No tak, miał butelkę w wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Bez pośpiechu – odpowiedział. – Mam czas.

34 Chodzi o tzw. Związek Spartakusa, działający w latach 1914–1919 w Cesarstwie Niemieckim. Działacze byli zwolennikami socjalizmu rewolucyjnego i sprzeciwiali się udziałowi Niemiec w I wojnie światowej.

Elisabeth była zła na samą siebie. Kołatanie serca, które zawsze jej towarzyszyło, gdy szła tą drogą, nie chciało minąć. Przechodziła obok kościoła Świętego Jakuba, potem dwukrotnie skręciła w lewo za róg ulicy, a następnie przez mały placyk i już była na miejscu. W obrębie starej Fuggerei³⁵ znajdował się sierociniec Siedmiu Męczennic, jasno otynkowany, wielopoziomowy budynek z wysokimi, wąskimi oknami. Ten sam, w którym Marie spędziła swoje dzieciństwo. Odkąd Elisabeth przychodziła tutaj dość często, zrozumiała, że dzieciństwo Marie musiało być raczej ponure.

Nacisnęła staroświecki dzwonek do drzwi, który za każdym razem wywoływał koszmarny hałas, i czekała, starając się bezskutecznie powściągnąć emocje. Jakie to było śmieszne, że tak się denerwowała. Była przecież zamezną kobietą, która przychodziła tutaj, żeby wypełnić patriotyczny obowiązek, a mianowicie wpłacić datek na sierociniec.

Jedna ze starszych podopiecznych, chuda, blada trzynastolatka, otworzyła jej drzwi i dygnęła nisko.

– Dzień dobry Colestina, jak się masz?

– Bardzo dziękuję, pani von Hagemann. Wszystko w porządku.

Ta postawa poddaństwa, którą przejawiały niektóre starsze dzieci, wcale się Elisabeth nie podobała. Wiedziała zbyt dobrze, że właśnie ci, którzy najniżej się kłaniają, są najczęściej nieprzejednanymi szydercami. Poprzednia kierowniczka tej placówki, pani Pappert, była prawdziwą wiedźmą, która rządziła tymi biednymi istotami żelazną ręką. Po tym, czego Elisabeth się tutaj dowiedziała, jej szacunek dla Marie gwałtownie wzrósł. Bo to ona stawiała czoła tej diablity.

Elisabeth pogłaskała delikatnie dziewczynę po gładkich włosach, splecionych w dwa warkocze. Zauważyła już, że żyjące tutaj dzieci uwielbiały kontakt fizyczny, przede wszystkim maluchy garnęły się do odwiedzających. Nic dziwnego, poza rezolutną kucharką, która przychodziła tutaj na kilka godzin, były tylko dwie podstarzałe kobiety, które były tak czułe jak oficerowie dragonów. Maluchom brakowało matczynego ciepła. Miały natomiast kochającego ojca – Sebastiana Winklera. Z jakim poświęceniem oddawał się tej pracy! Jak bardzo był opiekuńczy, jak zależało mu na każdej z tych biednych istotek! Tak, to był naprawdę cudowny człowiek.

– Pan Winkler jest przy chorych – powiedziała Colestina, patrząc na nią wzrokiem dorosłej kobiety. – Clara i Julius mają odrę.

– Odrę? O mój Boże!

– Ja już miałam odrę, gdy miałam siedem lat – powiedziała dziewczyna z dumą. – Doktor Greiner powiedział, że dlatego już nie zachoruję.

Elisabeth zastanawiała się przez chwilę, czy sama przechodziła w dzieciństwie tę chorobę, ale nie umiała sobie przypomnieć. Tylko co do Kitty była pewna, bo wciąż słyszała okropne jęczenie siostry, gdy ta widziała w lustrze swoją twarz usianą krostkami.

Poszły razem wąskim, ciemnym korytarzem. Po obu stronach ostrożnie otwierały się drzwi i pojawiały się w nich buzie zaciekawionych dzieci. Małych szkrabów, które

wkładały palce do nosa, blade, chude wyrostki z wielkimi oczami, dziewczynki w wiszących na nich sukienkach, bez butów, starsze dziewczyny w za dużych ubraniach. Najmłodszy był w sali sypialnej na górze, tam opiekowała się nimi jedna z kobiet. Elisabeth zdążyła poznać każde dziecko, znała ich imiona. Miała swoich ulubieńców i dzieci, za którymi nie przepadała.

Kierownik sierocińca Sebastian Winkler wyszedł właśnie ze swojego biura i chociaż wyglądał na mocno zaniepokojonego, przywitał ją serdecznie. Wmawiała to sobie czy faktycznie rozpromienił się z radości, gdy ją zobaczył?

– Pani von Hagemann! Jak wspaniale, że znowu pani do nas przysłała. Proszę dać mi czas, żebym mógł umyć ręce. Mamy tutaj niestety odrę. Zabrałem dwóch chorych do mojego biura, żeby się nie stykali z innymi.

Zamknął za sobą drzwi, zaprowadził ją do jadalni, która pełniła też funkcję salonu i sali szkolnej, i odsunął dla niej krzesło. Potem przeproszał ją za to, że musiał pójść umyć ręce. Był absolutnie przekonany, że można zapobiec rozprzestrzenieniu się choroby poprzez zachowanie ścisłej higieny. Dzieci natychmiast otoczyły Elisabeth, musiała odpowiadać na tysiące pytań, słuchać setek opowieści, a ponieważ dwójka maluchów – rudy chłopiec i mała łysa dziewczynka – nie chciała jej zostawić w spokoju, wzięła je na kolana.

– Przyniosłaś nam czekoladę, ciociu Liso?

– Gdy będę duży, zostanę żołnierzem i będę jeździł na koniu.

– Dzisiaj wieczorem będzie gości kasza z cukrem, ciociu Liso. Nie chcesz zostać?

– Ja też chcę na kolana!

– Ciociu Liso, baaaardzo boli mnie gardło!

– Moja mama jest Indianką! Mieszka w pałacu i nosi wielkie złote naszyjniki!

– Ciociu Liso... A wujek Sebastian zawsze się robi czerwony, gdy o tobie mówimy.

Gdy wrócił, zatrzymał się przy drzwiach, żeby popatrzeć, jak dzieciaki obskakują gościa, a potem przyniósł sobie krzesło i usiadł obok niej. Jego krok był trochę niepewny, dopasowano mu drewnianą protezę, z którą, jak sam twierdził, radzi sobie znakomicie. Tylko wieczorami noga trochę go bolała.

– Wydaje mi się, że jestem bardzo egoistyczny – powiedział z uśmiechem. – Ma przecież pani dużo pracy w lazarecie, a ciągle proszę, żeby pani nas odwiedziła. Ale to z powodu dzieci – są panią absolutnie zauroczone.

Elisabeth uśmiechnęła się, słysząc to pochlebstwo, i odpowiedziała, że bycie z maluchami sprawia jej wielką przyjemność i cieszy się, że może coś dla nich zrobić.

– Praca w lazarecie bywa czasami ogromnie przytłaczająca – dodała ścisłym głosem. – Wczoraj znowu jeden z młodych żołnierzy zmarł na tyfus. Nie mogliśmy mu pomóc. Podyktował tylko długi list pożegnalny do swoich rodziców i narzeczonej.

Dwaj mali chłopcy zaczęli się szamotać, padły wyzwiska i wściekłe okrzyki. a Sebastian podszedł do nich, by przerwać ich bijatykę.

– Wstyďte się obaj przed panią von Hagemann! W całym kraju trwa wojna, więc przynajmniej tutaj chcemy mieć przyjemny pokój. Pogódźcie się natychmiast!

Elisabeth widziała, jak ci dwaj podrośnięci chłopcy podają sobie ręce, ale

wymieniają jednocześnie gniewne spojrzenia. Zbyt długo ten pokój nie potrwa, między nią i Kitty też nie było inaczej.

– Chciałabym podarować kilka drobiazgów. Nic szczególnego, ale będzie lepiej, jeśli rozpakujemy torbę w kuchni.

Przyniosła dziesięć sztuk dobrego mydła, kilka puszek gotowanej wołowiny, tubkę cukierków malinowych i garnek miodu, cenne rarytasy, które wzięła ze spiżarni w posiadłości rodziców. To była jedynie kropla w morzu potrzeb, bo w sierocińcu było ponad czterdzieścioro dzieci, ale lepsze to niż nic. Sebastian Winkler usiadł naprzeciwko niej przy kuchennym stole i przyjął dary z widocznym wzruszeniem. A gdy do tego położyła jeszcze na stole kopertę z niewielką kwotą pieniędzy, uściśnął mocno jej rękę.

– Jest pani prawdziwym aniołem, pani von Hagemann. Wiem, że te słowa brzmią naiwnie i niezręcznie, ale nie potrafię znaleźć żadnych innych, które by do pani lepiej pasowały.

Elisabeth poczuła kojące mrowienie, które wywołał ten dotyk. Jego dłoń była ciepła i mocna, wydawała się niesamowicie męska. Delikatna i silna. Opiekun i do tego wielbiciel. Cudowny człowiek z czystą duszą. Jak dobrze, że nie wiedział, jakie zupełnie ziemskie fantazje snuł w tej chwili w głowie jego anioł. Oczywiście – była mężatką. I jeszcze do niedawna była absolutnie zadurzona w Klausie von Hagemannie. Potem doświadczyła jednak wielu rozczarowań. Tak, miała pełne prawo do swoich marzeń.

– Zawstydzam mnie pan, panie Winkler.

– Czy mogę zaproponować pani herbatę? Proszę, niech mi pani zrobi tę przyjemność.

Dobry Boże, byli teraz zupełnie sami w dużej kuchni, kucharka już wyszła. Sebastian Winkler wstał i wyjął dwie filiżanki z szafki, postawił je na podstawkach nie do kompletu i odsunął okrągłą fajerkę z kuchennego pieca żelaznym pogrzebaczem, żeby włożyć drewno.

– Niech mi pan pozwoli to zrobić! – krzyknęła kierowana impulsem.

– Ależ nigdy w życiu – odpowiedział stanowczo. – Proszę siedzieć, nie jestem tak niezdarny, na jakiego wyglądam.

W tym momencie fajerka zsunęła się z pogrzebacza i z głośnym łoskotem uderzyła w piec. O Boże, pomyślała przerażona Elisabeth. Cóż, chyba faktycznie nie miała najmniejszego pojęcia, jak należy rozpalać w kuchennym piecu. A może poszłaby do kuchni, żeby się tego nauczyć? Ale mama na pewno jej tego zabroni.

– Przepraszam panią po tysiącokroć – wyjąkał. – Nie chciałem pani przestraszyć. Jak pani widzi, dopiero się uczę trudnej sztuki obsługiwania kuchni. Ale jakoś poszło. Zaraz będziemy mieli wrzątek.

Włożył drewno i położył fajerkę na swoje miejsce, potem napełnił czajnik i postawił na piecu. Na jego czole pojawiły się kropelki potu, a nieco szorstka twarz była teraz czerwona od wysiłku. Elisabeth przyłapała się ponownie na nieprzyzwoitych myślach. Jak by to było zostać objętym przez te wielkie, silne ręce? Tak mocno, jak wtedy gdy mężczyzna przyciska do siebie kobietę, której pragnie?

– Bardzo się cieszę, że mogłem panią poznać – powiedział, wracając do stołu. Usiadł naprzeciw niej i wytarł chusteczką czoło. – Niech mnie pani nie zrozumie źle, pani

von Hagemann. Istnieje też taka więź między kobietą i mężczyzną, która nie ma nic wspólnego z fizycznością. Połączenie dusz, które rodzi się znacznie wcześniej niż fizyczne pragnienia. Tak jak wyraził to Goethe w wierszu dla Charlotte von Stein: „...bo w odległych, dawnych czasach byłaś moją siostrą, byłaś moją...”³⁶.

Nie dokończył cytatu, tylko poderwał się zażenowany, żeby zobaczyć, co się dzieje z czajnikiem. Jego słowa wydały się jej mocno przesadzone. Nie chciały być przecież jego siostrą. Mimo to było to dość miłe. Jak dobrze się czuła otoczona ciepłem przez innego człowieka, miała w tym względzie spore braki, także gdy chodziło o wsparcie psychiczne.

Wrócił z czajniczkiem pełnym miętowej herbaty i powiedział z dumą, że sami z dziećmi zrywali roś-linki na łące. Potem zmienił temat.

– Wie pani, że moja poprzedniczka została odwołana ze swojego stanowiska. Za sprawą wielbego Leutwiena odkryłem okoliczności tego odwołania i muszę przyznać, że jestem zszokowany.

To wielbny Leutwien faktycznie przyczynił się do przeprowadzenia dochodzenia, które zakończyło się wydaleniem panny Pappert. To wielbny też zaproponował Winklera jako kandydata na jej następcę.

– Proszę sobie wyobrazić, pani von Hagemann, że ta kobieta regularnie wpłacała pieniądze przeznaczane przez konsorcjum oraz pochodzące z prywatnych darowizn na swoje konto. Wszystkie podarunki też brała dla siebie. Pieniądze i rzeczy, których te dzieci tak bardzo potrzebują. Gdy zaczynałem tutaj pracować, te maluchy praktycznie nie miały się w co ubrać, butów właściwie nie było, a łóżka były w przerażającym stanie.

– I gdzie są teraz te pieniądze? Nie można ich skonfiskować i przekazać na dom dziecka?

Prychnął rozniewany i potrząsnął głową. Nie, ta kobieta jest niewiarygodnie cwana. Twierdzi, że oddała wszystkie pieniądze na pożyczki wojenne, a w jej mieszkaniu niczego nie znaleziono.

– Być może wszystko zabrała do Szwajcarii. Tam właśnie pojechała krótko przed wybuchem wojny. Wszyscy o tym wiedzą, bo konsorcjum musiało zorganizować dla niej zastępstwo na trzy dni.

– Co za oszustka – oburzyła się Elisabeth. – A co się teraz z nią dzieje?

– Jest w areszcie. Policja prowadzi dochodzenie. Najpewniej panna Pappert ma konto w prywatnym banku.

– Może w banku Bräuerów?

Położył sitko na jej filiżance i nalewał miętową herbatę. Intensywny zapach świeżej mięty zawirował w jej nozdrzach i przypomniał delikatny, zielony krem miętowy, który Brunnenmayer robiła kiedyś na urodziny dzieci. Z polewą z czekolady, która tak cudownie pękała, gdy się ją nagryzało.

– Tak, w banku Bräuerów. Co wcale nie znaczy, że bank ponosi za to winę. A już na pewno nie pani szwagier, który oddał życie za ojczyznę.

Oczywiście wiedział o ich rodzinnych koligacjach. Elisabeth zamieszała herbatę i powiedziała, że ma głęboką nadzieję, iż przynajmniej część z przywłaszczonych pieniędzy uda się odzyskać.

– Chyba że faktycznie przekazała je jako pożyczki wojenne...

Nie dokończył tego zdania, ale oboje myśleli to samo. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wierzył już w obietnicę zwycięstwa i ogromne zdobycze terytorialne dla cesarstwa. Nie, pieniądze, które tak wiele osób przeznaczyło na pożyczki wojenne, były stracone.

– Sam oddałem swoje oszczędności dla cesarza i ojczyzny – powiedział Winkler. – Nie żałuję tego, bo zrobiłem tylko to, co wielu innych. Koniec końców wszyscy jesteśmy wierni cesarzowi, z nim będziemy żyć i umierać.

Uśmiechnęła się i pomyślała, że musiało być również wielu poddanych cesarza, którzy na tej wojnie zarobili naprawdę duże pieniądze. Przede wszystkim augsburskie zakłady obróbki żelaza, gdzie budowano silniki do U-Bootów i wyrabiano broń dla artylerii, fabryki amunicji i przedsiębiorstwa Rumplera, produkujące samoloty rozpoznawcze, które nazywano gołębiami Rumplera. Fabryka Melzerów produkująca papierowy materiał też miała się nieźle, podczas gdy w wielu przedsiębiorstwach tekstylnych maszyny stały nieczynne. Jako córka właściciela fabryki, wiedziała, że w świecie biznesu zawsze trzeba się liczyć ze stratami – przynajmniej tata tak zawsze powtarzał. Wydawało się jej jednak okropnie niesprawiedliwe, że tak biedny i uczciwy mężczyzna jak Sebastian Winkler, który wrócił z wojny jako inwalida, stracił wszystkie swoje pieniądze.

– Jestem bardzo wdzięczna za gościnę. Niestety muszę już wracać, za niecałą godzinę zacznę dyżur w lazarecie.

Chętnie pogawędziłby z nią trochę dłużej, przyszła jednak kucharka i głośnym trzaskaniem garnków rozpoczęła przygotowywanie wieczornego posiłku. Gdy żegnał się z Elisabeth w korytarzu, wyciągnęła rękę i uznała za miłe, że nie uniósł jej do ust, jak robiła większość mężczyzn w jej otoczeniu. Nie pasowałoby to do niego. Chwycił jej dłoń i potrząsnął ją lekko.

– Niech Bóg panią chroni. Ma pani wiadomość od męża? Jest na froncie we Francji, prawda?

Pytaniu towarzyszyło dobroduszne spojrzenie, wydawał się faktycznie martwić o los majora von Hagemanna. Musiała wziąć się w garść, żeby ukryć dyskomfort, jaki wywołało to pytanie. Od kilku miesięcy nie była zbyt zainteresowana losem swojego męża, wręcz nie życzyła mu zbyt dobrze. W domu, z tyłu szuflady w biurku leżał list, który dotarł do niej z Belgii. Księżna de Grignan informowała ją w nim, że major Klaus von Hagemann uwiódł jej córkę Caroline i zrobił jej dziecko. Zakłada, że major jest człowiekiem honoru, wymaga więc od niego, żeby wziął odpowiedzialność za swoje czyny. W przeciwnym razie jej brat, żyjący we Francji, będzie domagał się satysfakcji. Ewentualny pojedynek był oczywiście bzdurą, ale romans na pewno nie. Belgia była bądź co bądź okupowanym krajem, a panowie oficerowie nie mieli zbyt skrupułów przed uwodzeniem dziewcząt. Nawet jeśli jedna z nich była księżniczką de Grignan. Elisabeth przeczytała ten list z rozgoryczeniem i złością, nikomu o nim nie mówiąc. Po okropnych plotkach na temat Auguste to oskarżenie przelało czarę goryczy i wyczerpało jej limit upokorzeń.

– Tak, stacjonuje w Reims i walczy przeciwko żołnierzom generała Nivelle’a.

To była wiadomość sprzed kilku tygodni, gdyż kolejne dwa listy, które otrzymała, wrzuciła nieotwarte do szuflady w biurku. Z pewnością otrzyma relację z bohaterских czynów swojego męża, gdy teściowa pofatyguje się do posiadłości, bo trzeba było zapłacić czynsz.

– Będę się modlił za was oboje – powiedział na pożegnanie, a ona serdecznie mu podziękowała.

Nie, nie było nikogo, komu mogłaby w pełni zaufać. Ale to nie było nic nowego.

35 Dzielnica Augsburga, otoczona murami, pierwsza na świecie stworzona w celu pomocy ubogim. Jej twórcą był Jakub Fugger, najbogatszy wówczas obywatel Augsburga. Budowa rozpoczęła się w XVI wieku.

36 Dalsza część cytatu z wiersza *Warum gabst du uns die tiefen Blicke* brzmi „oder meine Frau” – „albo moją kobietą/żoną”.

Kitty z trudem uniosła głowę i mrugnęła. Auguste znowu w niewłaściwy sposób odłoniła zasłony, tak że do pokoju wpadały ostre promienie południowego słońca.

– Kitty, kochanie – zawołała mama, wchodząc do pokoju. – Chodź szybko, udało nam się zdobyć prawdziwą ziarnistą kawę. A do tego torcik z orzechami i miodem.

W świetle słońca tańczyły drobinki kurzu, złote iskierki, które wibrowały z góry na dół, jakby świętowały jakieś radosne wydarzenie. Kitty skrzywiła się i położyła ręce na czole.

– Nie mam apetytu, mamo.

Słyszała, jak matka westchnęła. Dlaczego wszyscy wywoływali w niej wyrzuty sumienia za to, że cierpiała? Czy sądzili, że bycie nieszczęśliwą sprawia jej przyjemność? Nawet Marie nie potrafiła jej zrozumieć. Zamiast ją pocieszać, robiła jej wyrzuty. Dlaczego niby nie miała prawa oddawać się swojemu żalowi? Bo miała dziecko? Co za bzdura! O Henni troszczyła się pani Sommerweiler, mała bawiła się z Dodo i Leo, gdy jej mama pojawiała się od czasu do czasu w pokoju dziecięcym, widziała, że dziecko jest zadbane.

– Ależ Kitty. Nie każ mi prosić, żebym siedziała sama. Marie i tata są w fabryce, Lisa jest na dole, w szpitalu.

Teraz to mama była dobra, a ona, Kitty, zła. Bo pozwalała siedzieć samotnie swojej biednej starej matce w czerwonym salonie przy kawie i torciku orzechowym. Usiadła na łóżku i z wściekłością zrzuciła dwie jedwabne poduszki na podłogę.

– Mamo, nie czuję się dobrze. Chciałabym być sama. Proszę, zrozum to. To nie ma nic wspólnego z tobą.

– Oczywiście... kochanie. Wyśpij się. Sen to najlepsze lekarstwo. Mam zawołać do ciebie doktora Schleichera?

– Nie!

Tego jeszcze brakowało. Tego ciekawskiego, zarozumiałego bufona, który zadawał wszelkie możliwe i niemożliwe pytania. Czy miewa sny? Czy lubi spacerować po lesie? Czy boi się węży i robaków? Wcześniej opowiadała mu wyczerpująco o wszystkim, co chciał wiedzieć. Ale teraz, gdy los tak surowo się z nią obszedł, niech zachowa dla siebie swoje głupie pytania. I swoje pigułki nasenne też. Niech sam sobie je połyka. Tak, miewała sny. Więcej, niż chciała mieć. Przychodziły najczęściej, gdy spała już przez jakiś czas, i wtedy z ciemności wyłaniał się jakiś zły duch i przejmował nad nią kontrolę. Często widziała przed sobą górskie jezioro, jasny, nieskończenie głęboki zbiornik wodny, w którym odbijały się ośnieżone szczyty gór i zielone sosny. To był piękny widok, spokojny, a obrazy odbijały się na powierzchni wody bez najmniejszych zakłóceń. Gdy jednak podchodziła bliżej, woda nagle zmieniała się w bardzo ciemną taflę, łąka nad brzegiem stawała się brązowym mułem i gwałtowne, ciemne fale jeziora dobijały aż do jej stóp. Najgorsze było jednak to, że w tej brudnej wodzie pływały rozmaite żyjątka: jaszczurki z długimi ogonami i oślizgłe ryby, wpatrujące się w nią okrągłymi oczami.

Próbowała rozpaczliwie stamtąd uciec, ale wiedziała z góry, że cienkie odnóża jaszczurek oplotą się wokół jej ciała i ją przewrócą. Co się potem z nią działo, tego nie wiedziała dokładnie, ale było to w każdym razie okropne – najprawdopodobniej została zjedzona. Potem się budziła, spocona ze strachu, leżała długo na plecach i nie odważyła się znów zasnąć.

Kiedyś Humbert przyniósł jej filiżankę rosółu do pokoju i z jakiegoś nieokreślonego powodu zapytał go, czy miewa takie straszne sny. Być może dlatego, że mu się przyjrzała i zobaczyła, że chłopak jest bardzo wychudzony, a jego twarz nabrała innego wyrazu.

– Sny? O tak, łaskawa pani. Przychodzą każdej nocy i nic nie można na to poradzić, wie pani? Gdzieś w mojej głowie są drzwi i gdy się otwierają, one dostają się do środka.

Była zafascynowana. U niej było dokładnie tak samo. Zapytała więc, co mu się śni.

– Przede wszystkim szczury, łaskawa pani. To są bardzo zabawne zwierzęta, siedzą na zadkach, trzymają kawałek chleba w obu łapkach i obgryzają. Byłaby pani zaskoczona, gdyby pani zobaczyła, jak wprawnie obracają w łapkach taki kawałek. I jak ich różowe nosy i długie wąsy się przy tym ruszają.

Ten opis wydał się jej niezwykley. Faj, szczury. Jakie to obrzydliwe. Co było w nich zabawnego? One mogą przenosić zarazę.

– Widzę też czasami czarne fale, wzgórza i doliny pokryte brązowym mułem. Poruszają się niczym ogromne morze i wyrzucają na brzeg ludzi. Wielu szarych ludzi z dużymi, wybałuszonymi oczami leży na zielonej trawie. Są tam również zniszczone hełmy, zepsuta broń, naboje, a między nimi rosną czerwone maki.

Słuchała z przerażeniem i przypominało się jej zdradliwe górskie jezioro. Chciała wiedzieć, co robi Humbert, gdy nawiedzają go w nocy takie sny.

– Nie wiem, łaskawa pani, bo śpię dalej. Najczęściej budzę się w swoim łóżku, ale czasami siedzę w kuchni pod stołem i przysięgam pani, że nie mam pojęcia, jak się tam znalazłem.

– To faktycznie jest dziwne. Postaw proszę tę filiżankę z rosółem na stoliku. Bardzo dziękuję.

Trzymał filiżankę w lewej ręce, bo bał się, że rosół może się wylać. Jego prawa dłoń wciąż była sztywna. Gdy się jej uklonił, wyglądał jednak tak samo elegancko jak zawsze.

– Oczywiście, łaskawa pani. Wszystkiego dobrego dla pani. I dla pani snów.

Cóż to za odmieniec. Absolutnie uroczy, ale nieco cudaczny. Alfons tak zawsze mawiał. Alfons... Poczuli nagły ból, gdy pomyślała o Alfonsie. Skurcz zaczął się w żołądku i szybko przechodził do góry, aż wreszcie puchnął jej w gardle, tak że musiała przełknąć ślinę. Najczęściej zaczynała wtedy szlochać, całe jej ciało się napinało i dopiero gdy trochę popłakała, ból puszczał. Było tak wiele powodów, które sprawiały, że myślała o Alfonsie. Wszędzie w pokoju leżały drobiazgi, które podarował jej w czasie ich krótkiego małżeństwa. Jedwabne chusteczki, flakoniki perfum, nożyk do papieru z uchwytem w kształcie słonia, zielona torebeczka z barwionej skóry węża, siedem małych słoników z alabastru. Powiedział, że przyniosą jej szczęście. Zakochała się w nim dopiero wtedy, gdy byli już małżeństwem. Jakie to okrutne. Jakie niesprawiedliwe. Nie

mieli nawet czterech tygodni na cieszenie się miesiącem miodowym, bo zaraz go wysłali na front. Nikt jej nie uwierzył, że tak niesamowicie go jej brakuje. W czasie tego jednego szczęśliwego miesiąca był dla niej wszystkim. Ojcem i bratem, przyjacielem i kochankiem. Stał się jej drugą połówką, wszystko, co robiła, w co wierzyła i na co miała nadzieję, powierzała jemu, a on jej to oddawał w dwójnasób. Jak niezgrabnie się zachowywał w ich noc poślubną! Nie, nie był doświadczonego kochankiem, ale jej się to podobało. Była jego nauczycielką, a on uczył się szybko.

To było głupie, że myślała teraz o nocach spędzonych z Alfonsem, bo znowu pojawił się w niej dotkliwy ból i zaraz znów zaczęła płakać. Płacz sprawiał, że stawała się brzydka, powieki jej puchły, policzki robiły się grube i pojawiały się na nich plamy – przypominały nieudane naleśniki. Ale czy to było ważne, jak teraz wyglądała? Była nieszczęśliwa, bez Alfonsa nie chciała dłużej żyć.

– Kitty! Kitty!

Szlochała tak głośno, że na początku nie rozpoznała głosu Marie. Ach, Marie, ona też nie była już tą jej serdeczną przyjaciółką, którą była kiedyś. Marie okazała się osobą bez serca, Kitty nie chciała, żeby wchodziła do jej pokoju.

– I... idź... idź so... bie – wyjąkała, szlochając.

Marie chyba nie usłyszała tego, bo po chwili stała przy jej łóżku.

– Nie uważasz, że to przesada leżeć cały dzień w łóżku i płakać?

Kitty oburzyły jej słowa. Cóż to za bezczelność! Szczyt bezduszości! Ach, jakże Marie się zmieniła! Wyszła z niej wredna czarownica, stroiła sobie żarty z jej nieszczęścia.

– Dobry Boże, Kitty! Wszyscy rozumiemy i szanujemy twój ból, ale nie ty jedna straciłaś męża w tej wojnie. Taki los spotkał kobiety w całej Europie, a nawet w Ameryce oraz w koloniach...

W odpowiedzi Kitty rzuciła w nią jedwabną poduszką, ale Marie stała niewzruszona. Podniosła poduszkę i położyła na błękitnej sofie. Potem podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Do pokoju wpadło złote jesienne słońce, tak ciepłe i pełne życia, że to było aż bezczelne.

– Za... zasun natychmiast... te zasło... zasłony.

Kitty nie mogła dalej mówić, bo ciekło jej z nosa. Wyciągnęła chusteczkę spod poduszki.

– A... a potem... potem masz... wyjść stąd... Wiedźmo... hetero... złońco... – płakała dalej w chusteczkę.

– Nawet o tym nie myśl!

Zaczęła zawodzić jeszcze głośniejsze nie tyle z żalu, ile ze złości. Wykrzesła z siebie wszelkie możliwe oznaki rozpacz: łapała się za czoło, za serce, rzucała się na poduszki, a gdy Marie wciąż stała nieporuszona przy jej łóżku, zaczęła wrzeszczeć.

Marie trwała w miejscu i czekała. Za nią otworzyły się drzwi. Do sypialni Kitty weszła Lisa i patrzyła z przerażeniem na tę scenę.

– Wynocha! Wszyscy wynocha! Aaaaaaa!

Marie odwróciła się do Lisy i obie spojrzały na siebie znacząco. Kitty widziała grymas na twarzy Lisy. Jej okropna siostra wrzuciła ramionami i rzuciła Marie trzy

słowa, zanim wyszła z pokoju.

– Znowu istny teatr.

Kitty czuła, że zaczyna brakować jej sił. Za chwilę zemdleje i wtedy Marie zobaczy, do czego doprowadziła. Zaciśnęła palce na kocu i wzięła głęboki oddech.

– Co powiedziała by Alfons, gdyby zobaczył cię w takim stanie!

Opadła znów na poduszki – wyczerpana i całkowicie bezradna.

– On nie może mnie zobaczyć. Jest martwy... martwy... martwy... – szlochała.

Teraz Marie usiadła na krawędzi łóżka i ją objęła. Kitty poczuła się tak wspaniale, jakby była tulonym dzieckiem i słuchała cichych pocieszających słów Marie. Przyłgnęła mocno do swojej bratowej, którą jeszcze przed chwilą nazwała wiedźmą i heterą, całkowicie oddając się swojej tęsknocie za ciepłem i bezpieczeństwem.

– Kochana, wszyscy wiemy, jak ci jest ciężko na sercu. Ale Alfons nie chciałby, żebyś zamieniła się w brzydką, wychudzoną żalobnicę, chodzącą w czarnych sukniach.

Kitty przełknęła ślinę. Gardło koszmarnie ją bolało od głośnych wrzasków. Czuła się cała spuchnięta. Wyglądała pewnie jak pęknięta kluska ziemniaczana.

– Jestem wychudzona – wychrypiała.

Marie uśmiechnęła się i przytuliła ją do siebie.

– Jeśli dalej tak będziesz się zachowywać, wkrótce faktycznie będziesz. Zobacz, jak ty wyglądasz. Nieuczesa, w szlafroku. Kiedy ostatni raz się ubrałaś?

– Kilka dni temu... Może tydzień...

Wtedy Gertrude Bräuer i jej mąż przyszli z wizytą. Oboje byli pogrążeni w głębokim smutku, zwłaszcza Edgar Bräuer wydawał się zupełnie załamany, tak bardzo, że należało się o niego martwić. Przyszli zobaczyć małą Henni i trochę się z nią pobawić. Kitty pokazała się w niebieskiej sukience codziennej, która wisiała w szafie od lat i już powinna zostać wyrzucona. Gdy teściowie poprosili ją, żeby razem z nimi poszła na grób na cmentarzu Hermana, odmówiła.

– To było bardzo małoduszne z twojej strony, Kitty. Oboje są tak zrozpaczeni, twoim zadaniem jest ich wspierać.

Kitty chłodziła rozpalone policzki chusteczką, którą skropiła wodą kolońską.

– Nienawidzę grobów, Marie – broniła się płaczliwie. – A poza tym biedny Alfons wcale nie jest tam pogrzebany. Nikt nie wie, gdzie jest jego grób. Pochowali go gdzieś we Francji. Po co mu zatem grób w Augsburgu?

– Myślę, że oni potrzebowali miejsca, w którym będą mogli wyrzucać z siebie swój ból.

– Ja wolę to robić w swoim łóżku – warknęła Kitty.

Uścisk Marie stał się silniejszy, potrząsnęła nawet lekko Kitty.

– Koniec z tym!

– Dlaczego? – jęknęła Kitty.

– Bo to donikąd nie prowadzi. Nie wrócisz życia biednemu Alfonsowi, jeśli wtulisz się w łóżko jak niemowlę. Obudź się wreszcie, Kitty! Jesteś wciąż młoda, śliczna i urodziłaś się z wielkim talentem!

Zamrugała i przetarła oczy. Jej powieki były bardzo grube. Bolały, gdy je pocierała.

– Jaki talent?

– Pytasz jeszcze? – krzyknęła rozgniewana Marie. – Zapomniałaś, że jesteś artystką? Malarką?

Kitty wzruszyła obojętnie ramionami, spojrzała jednak w stronę sztalug, które od wielu miesięcy stały w kącie. W myśli o wzięciu pędzla do ręki było coś paraliżującego. Zapach farb. Zabrudzona paleta. Terpentyna. Puste płótno.

– A, to masz na myśli. To nic specjalnego. Takie tam paćkanie.

Marie chwyciła ją za ręce i podniosła do pozycji siedzącej. Jej ciemne oczy przeszywały ją teraz na wylot. Marie miała w sobie taką siłę, że można się było jej przestraszyć.

– Nie masz prawa marnować daru, którego Bóg ci użyczył, Kitty. Myśl zawsze o tym, że Alfons cię za niego podziwiał. Chciał, żebyś malowała, nie pamiętasz?

To była prawda. Mało brakowało, a znów by się rozpląkała, ale nieustępliwe spojrzenie Marie ją powstrzymało. Alfons wielokrotnie widział ją, gdy malowała, i zawsze ją do tego zachęcał. A we Francji kupił dla niej te wszystkie wspaniałe obrazy.

– Tak – mruknęła i opuściła głowę. – Masz rację, Marie... Zapomniałam o tym.

– A więc?

Kitty westchnęła ciężko.

– Mogę kiedyś spróbować.

Surowe napięcie widoczne na twarzy Marie zniknęło, uśmiechnęła się i pogłaskała Kitty po głowie. Doradziła jej, żeby najpierw się uczesała, bo włosy są zupełnie splątane. Powinna też wziąć kąpiel. Upiększyć się trochę. Zajrzeć do Henni. I posiedzieć z mamą, która jest bardzo samotna i potrzebuje towarzystwa.

– Tak, tak... – potwierdziła Kitty.

Próbowała się lekko uśmiechnąć, ale bała się, że wtedy będzie wyglądała jeszcze gorzej. Taka opuchnięta i zapłakana. W istocie, codzienny płacz nic jej nie da. Marie miała rację. Płakała jak bóbr i nic się przez to nie zmieniało. Następnego dnia można zacząć wszystko od początku.

– Przyślę do ciebie Auguste, przygotuje ci kąpiel i zajmie się twoimi włosami.

– Tak, tak.

Ponownie mocno ją objęła i wyszeptowała jej do ucha, że jest dzielną dziewczyną i wielką artystką. Potem wyszła i Kitty słyszała, jak w korytarzu woła Auguste. Powoli odsunęła koc i potrząsnęła rozpuszczonymi włosami, mrużąc oczy przed oślepiającym słońcem. Jesienne promienie wpadały ukośnie przez okno. Czy liście w parku mieniły się już kolorami? Przeszła boso po pokoju, znalazła szlafrok i zarzuciła go sobie na ramiona. Nie, park miał odcień ciemnej zieleni, tylko na starym dębie pojawiły się już czerwone i żółte liście. Odsunęła się od okna i podeszła niepewnym krokiem do sztalug. Przeszła koło nich dwukrotnie, a potem niezdecydowana wzięła szczotkę do ręki i zaczęła czesać włosy, ale po chwili odłożyła ją znów na toaletkę. Zebrała się na odwagę i spojrzała na obraz, który zaczęła malować. Tfu! Wiosenny kraj-obraz gdzieś we Włoszech, który kopiowała z fotografii znalezionej w jakiejś książce.

Wzięła nowe płótno, odsunęła się od niego o dwa kroki i wpatrywała się w białą powierzchnię. Wyrastały z białej nicości i obserwowały ją. Jaszczurki i ryby. Przepychały się, z głowami blisko siebie wydawały się walczyć o każdy haust powietrza.

Szarobrązowa mieszanina głów pokrytych łuskami i okrągłych, oskarżających oczu.

Gdy Auguste weszła po półgodzinie do pokoju, żeby powiedzieć, że przygotowała jej gorącą kąpiel, Kitty stała przy sztalugach i małym ołówkiem rysowała kontury.

– Tak, tak – powiedziała roztargniona.

Nawet się nie odwróciła, tak bardzo była zajęta rysowaniem.

Cały park – tak ma być!

Gustav chwycił niebieską filiżankę, do której Brunnenmayer naląła mu kawę ze słodem, i wziął duży łyk. Wytarł potem ręką blond wąsy. Zapamiętał je w czasie wojny i nie chciał zgolić, nawet gdy Auguste złościła się, że drapie ją ta szczotka, którą nosi pod nosem.

– Mój Boże – powiedziała Brunnenmayer. – To naprawdę szkoda, Gustavie. Takie piękne, stare drzewa.

– A tam – odpowiedział Gustav, podnosząc małą Liesel, żeby posadzić ją sobie na kolanach.

Trzylatka wyciągała ręce w kierunku talerza z orzechowym keksem, który państwo przekazali pracownikom, a Gustav dał jej pół kawałka do rączki.

– Ssij – powiedział. – To jest twarde jak cement.

Rzucił przy tym złośliwe spojrzenie kucharce, a ona nie mogła zaprzeczyć – keks faktycznie wyszedł zbyt twardy. Powinna być w nim mąka, ale nikt nie wiedział, co ona tam wmieszała. Pewnie jakiś gips albo coś takiego.

– Wcześniej w parku była łąka. I pole uprawne. To jest bardzo żyzna ziemia. I jest tam dość wilgotno. To obszar zalewowy.

Brunnenmayer przestała się nim zajmować. Wzięła duży talerz, który Hanna właśnie umyła, i dokonała dokładnych oględzin.

– To nie jest czyste. Otwórz oczy, dziewczyno. Umyj go jeszcze raz!

Hanna wzięła talerz, uniosła do światła i wilgotną ściereczką zmywała z niego resztki zupy.

– Jesteś jakaś nieobecna ostatnio – narzekała dalej kucharka. – Dwie filiżanki potłuczone, drewno nieprzyniesione, wiadro z popiołem pełne. Gdzie ty błędzisz myślami?

– Myśli o swoim kochanku! – krzyknęła Jordan, która właśnie weszła do kuchni.

Hanna spojrzała na nią złowrogo, ale nic nie powiedziała, tylko dalej polerowała talerz. Chwilę później pojawiła się Auguste z małym Maxlem, a potem do kuchni przyszła Eleonore Schmalzler, żeby razem z pracownikami wypić wieczorną kawę. Dołączył do nich Humbert, którego od trzech nocy niemalże nie dręczyły koszmary i znów mógł opowiadać dowcipy.

– A gdzie jest Else? – gospodyni rozejrzała się szybko wokół i zauważyła, że nie są w komplecie.

– Najpewniej siedzi w pokoju i wypłakuje sobie oczy – ogłosiła bez skrępowań Auguste. – Bo piękny doktor Moebius został uznany za zaginionego.

– Doktor Moebius? – powiedziała kucharka, kręcąc głową. – A zawsze sądziłam, że lekarzom nic się nie może stać. Bo przecież nie ma ich na linii frontu.

– Ale są zaraz za nią – odpowiedział Gustav rzeczowo. – Budują awaryjne lazarety zawsze tuż za linią frontu, żeby od razu mogli się zająć rannymi. A jeśli uderzy granat, to

katastrofa!

– Mam nadzieję, że się odnajdzie – powiedziała Schmalzler z westchnieniem. – To wspaniały lekarz i jeszcze lepszy człowiek.

Wszyscy napili się kawy ze słodem, a reszta keksu została podzielona sprawiedliwie i odłożona dla nieobecnych pracowników. Tak jak zawsze mawiała gospodyni, byli przecież jedną wielką rodziną. Tutaj w kuchni jakby czas się zatrzymał, w piecu palił się ogień, a oni rozmawiali i śmiali się jak zawsze. Jakie to szczęście, że Gustav i Humbert znów byli z nimi.

– Zaorać cały park, żeby posiać pszenicę i zasadzić ziemniaki? Czyś ty zgłupiał, Gustl? – śmiała się Augus-te. – Do tego byłby potrzebny cały pułk ogrodników!

Gustav nie dał się odwieść od swojego pomysłu. Stare drzewa były dobre w czasie pokoju, ale teraz panowała wojna i trzeba się było dobrze zaopatrzyć. Nie tylko w zboże i ziemniaki, ale też w warzywa i owoce, może nawet kukurydzę. Amerykanie żywią się nią, nawet pieką z niej chleb. Humbert zauważył, że chleb z kukurydzy to się daje co najwyżej kurom i że oni też zaczną po nim gdakać jak kury, które właśnie pokrył kogut. A Maria Jordan dodała, że to okropnie perwersyjne.

– Proszę się tak nie wyrażać przy stole, panno Jordan – powiedziała Schmalzler. – Dzieci są w kuchni, a i Hannę powinniśmy też brać pod uwagę.

W tej chwili ktoś nacisnął dzwonek do drzwi dla służby i Humbert przestał gdakać, co robił do tej pory ku uciechu wszystkich, żeby je otworzyć.

– Dzień dobry – powiedział męski głos. – Szukam Hanny Weber, zatrudnionej jako pomoc kuchenna w posiadłości właściciela fabryki Johanna Melzera.

Mężczyzna zakaszłał, najpewniej był mocno przeziębiony. Mimo to jego słowa zabrzmiały w nieprzyjemnie oficjalny sposób.

– Przeskrobałaś coś? – wyszeptała Auguste do Hanny.

– Cicho – syknęła gospodyni. Wszyscy nadstawili uszu, żeby usłyszeć, o czym się mówi w przedpokoju.

– Czy mogę spytać, z kim mam do czynienia?

Ton Humberta był bardzo uprzejmy, ale ci, którzy go dobrze znali, wiedzieli, że ukryta jest w nim również ironia.

– Nie widzi pan, że jestem urzędnikiem? Czy poszukiwana jest obecna?

– Hanna Weber, mówi pan?

– Zgadza się. Hanna Weber.

Posterunkowego chwycił znowu atak kaszlu, a Auguste spojrzała na męża pełna oburzenia.

– Ten człowiek jeszcze zarazi nas suchotami. Wezmę dzieci i pójdę do dziadka.

– Zostań lepiej tutaj – odpowiedział Gustav.

Wszyscy patrzyli na Hannę, która blada jak ściana wpatrywała się z przerażeniem w swoją filiżankę.

– Co to znaczy? Chce pan udaremnić czynności urzędowe, młody człowieku? Może pan za to drogo zapłacić.

– Ależ nie – odparł przestraszony Humbert. – Chciałem się tylko upewnić... Wie pan, panie posterunkowy, w naszych czasach nigdy nie można być do końca pewnym.

Usłyszeli stąpanie solidnych butów po kamiennej podłodze, a potem głucho uderzenie, gdy Humbert gruchnął plecami o ścianę. Posterunkowy był średniego wzrostu, nie miał na głowie hełmu, zielony mundur był pomięty, bo najwyraźniej został skrojony na obszerniejszego mężczyznę, bryczesy zwijały się, opierając na jego ciężkich butach. Zrobił kilka kroków, wszedł do kuchni, zatrzymał się i spojrzał na wszystkich, którzy siedzieli przy stole.

– Która z obecnych kobiet to Hanna Weber?

– Ja... ja jestem... Hanna Weber.

Głos Hanny brzmiał niepewnie. Stała przy ławce i nie wiedziała, czy ma dygnać przed posterunkowym, czy raczej nie powinna.

– Czy mogłaby się pani wylegitymować?

Patrzyła na niego wystraszona i ze zdenerwowania nie zrozumiała, o co mu chodzi.

– Wylegitymować?

– Dokumenty. Paszport.

– Tak, tak – przytaknęła. – Na górze w pokoju. Czy mam je przynieść?

– Proszę!

Słowo proszę zabrzmiało w jego ustach jak rozkaz i Hanna wyszła go spełnić. Reszta osób pozostała w kuchni i mierzyła posterunkowego nieprzyjaznym wzrokiem. Cokolwiek Hanna przeskrobała, ten żandarm nikomu się nie podobał. Humbert rozmasowywał plecy, posterunkowy popchnął go na ścianę, gdy przechodził. Kucharka, która, odkąd chłopak wrócił, opiekowała się nim jak matka, prychnęła. Jedyne gospodyni była na tyle uprzejma, że zaproponowała mężczyźnie, żeby usiadł.

– Dziękuję. To bardzo uprzejme, ale wolę stać. Widzę wtedy wszystko z góry.

Chciał zaśmiać się z własnego żartu, ale znowu zaczął kaszleć.

– Jest pan przeziębiony, panie posterunkowy – powiedziała Auguste współczującym tonem.

– A tak, to przez zimny jesienny wiatr.

– Niech się pan napije kawy, panie posterunkowy.

Spojrzał na filiżankę, którą Auguste pośpiesznie napełniała, ale wyjaśnił, że nie pije nic na służbie.

– Mamy też owocową nalewkę – wtrącił się Gustav, który zrozumiał szybciej niż postali.

– Najlepsze, co można wziąć podczas ostrego przeziębienia.

– Lek w czystej postaci.

– Prawdziwy dar od Boga.

Wreszcie posterunkowy zgodził się przyjąć życzliwą ofertę, a Humbert wyczarował w mgnieniu oka butelkę z tajemniczym płynem ze śliwek.

– Za zdrowie, panie posterunkowy. Oby pomogło!

Wódka pochodziła z zapasów, które zrobiono w posiadłości, i nie była zła. Śmiertelnie zmęczony urzędnik wlał sobie kieliszek do gardła i powiedział, że to na zwalczenie zarazków.

– No to teraz na drugą nóżkę, panie posterunkowy – powiedział Humbert i nalał mu znowu.

Else, która z zaczerwienionymi oczami przyszła na zwyczajowe picie kawy, stanęła zdumiona w progu.

– Usiądź i ani słowa – rzuciła jej Auguste i sama też zajęła miejsce na ławie.

– Całkiem dobry trunek... To jeszcze z czasów pokoju, nie?

– Ależ nie, panie posterunkowy – powiedziała życzliwie gospodyni. – My augsburczycy wciąż warzymy nasze piwo i robimy dobry obstler³⁷. Tego nawet nasz wróg nie może nam odebrać!

Na twarz posterunkowego wypląnął lekki uśmiech, ale w tej chwili w kuchni pojawiła się Hanna, śmiertelnie blada i drżąca ze strachu. Widoczne poczucie winy, które w sobie nosiła, sprawiło, że posterunkowy znów przyjął urzędowy ton. Wypił trzeci kieliszek, który mu nalano, i sięgnął po paszport Hanny.

– W porządku – warknął. – Wysłaliśmy wezwanie z żandarmerii, panno Weber. Dlaczego się pani nie pojawiła?

Hanna załamała ręce i rozejrzała się bezradnie.

– Ja... ja nie wiem o żadnym wezwaniu, panie posterunkowy.

Była wyjątkowo niewiarygodnym kłamcą. Żandarm spojrzał na nią rozgniewany i zmarszczył nos.

– Kto z was przynosi pocztę? – zapytał, spoglądając na osoby siedzące przy stole.

Za ławą kuchenną dał się słyszeć krótki pomruk, jakby przerwane zawołanie. Brunnenmayer nadepnęła mocno na stopę Else, która rano przynosiła pocztę.

– Ja, panie policjancie – powiedział zatroskany Humbert. – Codziennie dostajemy cały kosz listów, prywatnych oraz handlowych dla pana dyrektora. Mogło więc łatwo się coś zawieruszyć.

Posterunkowy był teraz rozgniewany i zażądał jego nazwiska.

– Humbert Sedlmayer – Jedenasty Wirtemberski Pułk Kawalerii, ranny pod Verdun, jeniec wojenny, po pobycie w lazarecie, w ojczyźnie za sprawą wymiany inwalidów wojennych.

– Ach tak, tak.

Nie można było w żaden sposób zlekceważyć tej listy bohaterskich zasług dla ojczyzny, dlatego posterunkowy tylko odchrząknął i powiedział, że chce rozmawiać z Hanną na osobności, bo w przeciwnym razie będzie musiał ją zabrać na posterunek.

– No to może w spiżarni – zaproponowała panna Schmalzler. – Mamy niestety mocno ograniczoną przestrzeń, bo urządziliśmy w posiadłości lazaret.

– Jak najbardziej.

Hanna szła na górę z miną, jakby za chwilę miała stanąć na szafocie. Policjant poprawił pasek i wygładził mundur, zanim za nią poszedł. Zamaszyście zamknął za sobą drzwi, tak że ze ściany wokół futryny odpadło trochę tynku.

– Tak to nie przejdzie – powiedziała Eleonore Schmalzler, która ze zdenerwowania dostała czerwonych plam na policzkach i czole. – Idę na górę powiedzieć o wszystkim pani Melzer. Żandarm czy nie żandarm, nie może się tutaj panoszyć, nie pytając państwa o pozwolenie!

Gdy tylko opuściła kuchnię, Auguste, Else, a także Humbert rzucili się pod drzwi do spiżarni. Auguste zawładnęła miejscem przy dziurce od klucza, więc reszta mogła

jedynie przyłożyć ucho do drzwi.

– Widzisz coś? – wyszeptwała Else.

– Jezusie... Gruba kiełbasa z Pomorza... i szynka... Ten chudy posterunkowy będzie zazdrosny!

– Czy Hannę widzisz, głupia! – syknęła Else.

– Oczywiście. Stoi jak zdjęta z krzyża i przewraca oczami. Ech, ależ ona jest głupia.

– Bądźcie cicho – zdenerwował się Humbert.

Gustav w tym czasie starał się uciszać dzieci i dał im resztę swojej kawy, Brunnenmayer dołożyła drewna do pieca i zaczęła kroić ugotowane ziemniaki, żeby czymś się zająć. Maria Jordan skrzyżowała ręce na piersi, jakby to wszystko wcale jej nie obeszło.

– Chodzi o stare ubrania – relacjonował Humbert. – Dołek w ziemi.

– Hanna stanęła zupełnie z tyłu – jęknęła Auguste. – Teraz widzę tylko zielony mundur żandarma, odwróconego plecami. Drań ma na nim wielkie plamy.

– Cicho już bądź, Auguste – skarciła ją Else. – Nic nie słyszę, gdy gadasz.

– Jaki dół? – zapytał Gustav nieco poirytowany, bo Liesel ciągle szarpała go za wąsy.

– Jeniec... jeniec wojenny uciekł – przekazywał dalej Humbert. – Rosjanin. Znaleźli jego ubrania. W starej szopie.

– Patrzcie ją – szepnęła Jordan i wzięła głęboki oddech, jakby reagowała na wiadomość, którą pierwszy raz usłyszała.

Otworzyły się drzwi do szpitala i pojawiła się w nich Schmalzler, za nią podążała Alicia Melzer. Auguste odskoczyła gwałtownie od dziurki od klucza, stanęła obok Else. Humbertowi w elegancki sposób udało się odsunąć na bok.

– Tutaj? – zapytała Alicia.

Skinęła na powitanie wszystkim obecnym. Dawniej bez wątplenia przepraszałyby, że wchodzi do kuchni, bo pomieszczenia gospodarcze były wyłączną przestrzenią służby. Po urządzeniu lazaretu zwyczajnie dość mocno się rozluźniły.

– W spiżarni, łaskawa pani – odpowiedziała gospodyni.

Alicia poszła prosto w stronę wskazanych drzwi i zapukała. Nie było to ciche pukanie, raczej dość mocne uderzanie.

– Wejść.

Otworzyła drzwi i Gustav widział przez nie posterunkowego, stojącego między dwoma szeregami pęt kiełbasy z Pomorza. Hanna kryła się za nim, widać było jedynie jej lewą stopę w drewniaku.

– Jestem zaskoczona! – powiedziała Alicia Melzer z naciskiem. – Czy policja ma w zwyczaju wchodzić do posiadłości szanowanej rodziny w tajemnicy, wejściem dla służby?

Posterunkowy włożył ołówek do kieszeni munduru na piersi i zamknął notatnik. Był tu z misją służbową, w związku z działaniem przestępczym wymierzonym przeciwko cesarskiej armii, zagrażającym bezpieczeństwu wewnętrznemu.

– Niechże będzie – skomentowała Alicia z wyższością. – Oczekiwałabym, że się

pan u mnie zapowie i wtajemniczy mnie w pańskie zamiary. Policja także powinna przestrzegać praw i zasad przyzwoitości.

Posterunkowy nie odpowiedział. Melzerowie zachowali dobrą pozycję i znajomości w Augsburgu, więc w żadnym razie nie chciał narazić się na ich gniew.

– Już dawno skończyliśmy – powiedział i zwrócił się do Hanny. – Może panienka wracać do swoich obowiązków, panienko Weber.

Hanna początkowo nie odważyła się ruszyć do kuchni. Dopiero gdy odsunął się na bok, wymknęła się ze spiżarni i przykucnęła na ławce przy piecu. Wszystkie oczy były zwrócone na nią, więc mocno się przygarbiła, jakby przez to mogła stać się niewidzialna.

– Czy mogę się dowiedzieć, o co chodzi? – domagała się Alicia.

Posterunkowy zawahał się, a potem zdecydował się odpowiedzieć. Lepiej było nie podsycać zdenerwowania i tak już rozgniewanej kobiety.

– To tylko przesłuchanie, łaskawa pani. Nic więcej. W związku z oskarżeniem wniesionym przez jedną z pracownic fabryki.

Łaskawa pani była zniecierpliwiona. Leo miał lekką gorączkę, a Henni znów wymiotowała śniadanie. Martwiła się, dlatego doktor Stromberger miał przyjść z lazaretu i zbadać dzieci. A ten mężczyzna zatrzymywał ją tutaj swoimi gadkami.

– Co to za oskarżenie, panie posterunkowy?

– Cóż – powiedział i zakaszłał. – Twierdzi się, że panna Hanna Weber była w bliskich relacjach z jednym z jeńców wojennych. Wiadomo z którym – Grigorijem Szukowem. Chłopak zbiegł z trzynastego na czternastego września w nocy.

Pani Melzer wyprostowała się. Za pomoc w ucieczce jeńca wojennego groziła śmierć. A kobiety, które dopuściły się intymnej relacji z więźniem, wtrącano do więzienia i obcinano im włosy. Jaka straszna hańba – coś takiego nie miało i nie mogło mieć miejsca w ich posiadłości.

– Cóż to za obrzydliwa potwarz, panie policjancie! Nasze pracownice nie wążają się same nocą po okolicy. Willa jest zamykana na noc.

– Oczywiście, łaskawa pani. Ale pracownica mogła wziąć klucz.

– Trzynasty – to był czwartek dwa tygodnie temu – powiedziała Brunnenmayer. – W nocy wszyscy zostaliśmy obudzeni.

Zawahała się, bo nie chciała dotknąć Humberta, ale nikt nie spał, bo on znowu miał atak.

– Aha! – powiedział posterunkowy. – A więc możecie wszyscy zaświadczyć, że panna Weber była wtedy w posiadłości?

Zapadło milczenie. Jeśli chcieli pomóc Hannie, powinni rozważyć złożenie fałszywych zeznań. Auguste powiedziała, że razem z rodziną nie mieszka w willi i dlatego nie ma na ten temat nic do powiedzenia. Else wruszyła niepewnie ramionami, Brunnenmayer się wahała, a Eleonore Schmalzler była niezdecydowana. Jordan siedziała jak na rozżarzonych węglach. Jeśli wsadzą Hannę do ciupy, ona powie z pewnością, że Maria Jordan od miesięcy śpi w jej pokoju. Gdyby wystąpiła w obronie Hanny, również by się zdradziła. Paskudny dylemat.

– Ja – powiedział Humbert, przerywając ciszę. – Ja mogę zaświadczyć. Widziałem ją, tutaj w kuchni. Pytała mnie, jak się czuję.

– Ach! – odpowiedział posterunkowy z uśmiechem niedowierzania. – A co pan robił w nocy w kuchni, panie Sedlmayer? Chciał pan może obierać ziemniaki?

Humbert spojrział na niego z nienawiścią. Ten perfidny typ wywinął się od służby wojskowej i utrudnia życie porządnym ludziom z tej posiadłości.

– Miałem atak lękowy, panie policjancie. Uraz wojenny. Mogą o tym zaświadczyć wszyscy tutaj obecni.

– To jest niestety prawda – potwierdziła gospodyni. – Mamy tutaj w lazarecie wiele takich smutnych przypadków.

– Jak wojna, to i nędza – dodała Brunnenmayer.

– Na pewno pan o tym wie, panie posterunkowy. Przecież niewątpliwie sam pan pełnił służbę dla cesarza i ojczyzny – powiedział z niewinną miną Gustav.

– Oczywiście – mruknął żandarm. – Jest więc oczywiste, że panna Hanna Weber spędziła tamtą noc w willi.

Wszyscy przytaknęli we wspólniejszej jednomyślności. Hanna była w posiadłości. Nawet Hanna to potwierdziła, kiwając głową i siedząc na ławce.

– Mówiłam to panu – powiedziała rozgniewana Alicia Melzer. – Nasi pracownicy są wierni niemieckiej ojczyźnie. Pilnujemy tego. Ten, kto doniósł na Hannę, popełnił złośliwe kłamstwo.

Stuknął oficjalnie obcasami.

– Łaskawa pani, proszę nie brać mi tego za złe. Muszę wypełniać swoje obowiązki, nawet jeśli czasami są nieprzyjemne.

– Oczywiście – powiedziała Alicia chłodno. – Wszyscy wypełniamy swoje obowiązki, każdy po swojemu.

37 Tradycyjna niemiecka nalewka owocowa, robiona na spirytusie.

Elisabeth wielokrotnie podejmowała w szpitalu rozmowę na temat doktora Moebiusa, ale Tilly była bardzo skryta i nikomu nie powierzała swoich trosk. Punktualnie pełniła dyżury w lazarecie, gorliwie jak zawsze, a doktor Stromberger zauważył, że panna Bräuer ma niezwykle wręcz talent do wykonywania zabiegów chirurgicznych. Gdy Tilly asystowała w czasie operacji, sama wiedziała, które narzędzia są właśnie potrzebne. Działała rozważnie, ta młoda dama. Kiedyś zażartował, że idzie teraz do parku zapalić, a Tilly z powodzeniem może sama zacząć operację.

Elisabeth wiedziała doskonale, że Tilly i doktor Moebius pisali do siebie. Gertrude Bräuer powiedziała o tym w czasie wizyty i ciągle narzekała, że lekarz zupełnie nie pasuje do ich rodziny, bo przecież ktoś musi prowadzić ich bank. Nie można pierwszemu lepszemu rzucać się na szyję tylko dlatego, że się w nim zakochało. Wcześniej Elisabeth uznałaby to stwierdzenie za okropnie staroświeckie. Dzisiaj jednak postrzegając tę kwestię nieco inaczej. Ona sama była po uszy zakochana, ale ta wielka miłość przyniosła jej tylko troski i rozczarowanie.

– Zaginął w Rosji? – spytała Tilly. – Cóż, słyszałam, że u Rosjan panuje teraz straszny chaos. Pozwalają po prostu porywać swoich carów, a jak długo ten prowizoryczny rząd będzie się opowiadał przeciwko tym okropnym bolszewikom, jest jedynie zapisane w gwiazdach. Może szybko złożą broń i odeślą jeńców wojennych z powrotem do Niemiec.

– Tak może się stać – powiedziała uprzejmie Tilly i patrząc na nią, można było sądzić, że to zupełnie nie zaprzęta jej myśli.

W szpitalu przebywali pacjenci, którzy zostali ranni w bitwie pod Rygą, i to, co opowiadali o Rosji, nie dodawało otuchy. Spalone wsie, martwe bydło, pobici chłopci. Snajperzy, którzy z ukrycia strzelali do niemieckich żołnierzy. Zatruta woda i do tego słynne rosyjskie zimy.

– Pani von Hagemann? – zagadnęła ją siostra Hedwig. – Chyba panią wzywają.

Elisabeth odwróciła się, bo przypuszczała, że doktor Stromberger potrzebuje jej pomocy, ale ten zakończył właśnie obchód sali i w dobrym humorze rozmawiał z jednym z pacjentów.

– Tam, przy wejściu.

Szła przez korytarz i poczuła, że ten głupi i jednocześnie wspaniały niepokój znów ją obezwładnia. To mógł być tylko Sebastian Winkler. Obiecała, że wyszuka dla niego w bibliotece kilka książek – poezję Hölderlina, tom Eichendorffa i opowiadania rosyjskiego poety Turgieniewa, którego szczególnie sobie upodobał. Książki już dawno przygotowała, żeby mu je zanieść dzisiaj po południu, ale chyba sam po nie przyszedł.

Mężczyzna, który czekał przed drzwiami posiadłości, z pewnością nie był Sebastianem Winklerem. Był szczupły i miał na sobie mundur, który leżał tak dobrze, jakby był na niego szyty.

– Ach, jesteś wreszcie! – zawołał Klaus von Hagemann. – Miałem nadzieję, że

zostanę powitany przez moją drogą żonę gorącymi łzami radości, ale wydaje się, jakby okazywanie szczęścia z naszego spotkania było dla ciebie jedynie obowiązkiem.

Była tak zaskoczona, że początkowo wzięła go jedynie za wytwór swojej fantazji. Koszmarny sen.

– Klaus... – wyjąkała. – Jak to możliwe, że ja nic...

Zamilkła, bo zrozumiała, że musiał wysłać wiadomość o swojej przepustce do ich mieszkania. A złoś-liwi teściowie nic jej o tym nie powiedzieli. Uniósł głowę i patrzył na nią badawczo. Potem uśmiechnął się i podszedł do niej.

– Nie wydajesz się szczególnie zachwycona tym, że mnie widzisz, kochanie. Jak mam to rozumieć? Czy ktoś inny zawładnął sercem mojej słodkiej żoneczki? Pokaż mi go, wyzwę jegomościa na pojedynek.

Sam uznał swój żart za bardzo zabawny i śmiał się z niego jeszcze wtedy, gdy ją obejmował. Jego pocałunek był pełen szczerzej namiętności i sprawił, że nie wiedziała, co ma myśleć. Długo tłumione uczucia znów w niej odżyły. Jego błękitne oczy patrzyły na nią tak władczo i pożądliwie. Wiedziała jednak, że spoglądały tak nie tylko na nią.

– Co za nedorzeczności wygadujesz – powiedziała w końcu. – Po prostu nie wiedziałam o twoim przyjeździe i jestem zupełnie zaskoczona.

Pocałował ją kolejny raz, tym razem mniej namiętnie, a raczej jak ktoś, kto uważał ją za swoją własność. Potem powiedział, że nie rozumie, dlaczego mieszka w posiadłości rodziców, a nie w ich małżeńskim mieszkaniu, które przecież należy do niej, do jego żony. Jego rodzice są tym oburzeni, a on dobrze rozumie ich gniew.

– Pomówmy o tym później, na spokojnie, Klaus.

– Dobrze. Chodźmy na górę, chcę się przywitać z twoją mamą i powiedzieć biednej Kitty kilka słów pocieszenia.

Do tej pory pisał do Kitty trzykrotnie, jej siostra zostawiała listy od niego na stoliku śniadaniowym, nie przywiązując do nich wagi. Ostatniego nawet nie otworzyła.

– Od czwartej mam dzisiaj dyżur.

Powiedziała to bez szczególnego nacisku i bez żalu. Zwyczajne oświadczenie – miała dzisiaj dyżur.

– No i? – zapytał, marszcząc czoło. – Twój mąż jest w domu na przepustce, a to jest wystarczający powód, żeby znaleźć zastępstwo.

Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo był władczy. Wcześniej jej to nie przeszkadzało? No tak, była zakochana i wszystko, co robił, uznawała za wspaniałe. I teraz wciąż żyła w niej część tej miłości, gdy był blisko, znów czuła szybsze bicie serca. Nie paraliżował już jednak jej umysłu, była w stanie podążać za tym, co mówił jej rozsądek.

– Na najbliższe dni z pewnością to zmienię – powiedziała uprzejmie. – Dzisiaj jest już za późno. Zobaczmy się o czwartej na górze?

Jego piękne niebieskie oczy zmrużyły się, było w nich widać gniew i rozczarowanie. Elisabeth poczuła wyrzuty sumienia, bo oczywiście mogła odwołać dyżur. Nawet jeśli z trudem. Nie miała jednak ochoty wykonywać jego poleceń.

– Jak uważasz – powiedział chłodno i wzruszył ramionami. – Nasza ojczyzna na pewno będzie ci wdzięczna, kochanie. Ale może mnie później nie być w posiadłości, bo

chciałbym się zobaczyć z kilkoma znajomymi.

Uraziła jego dumę i to była jego mała zemsta. Elisabeth uśmiechnęła się sztywno, kiwnęła głową i wróciła do pracy. Gdy szła z cynową miednicą do obłożnie chorych pacjentów, aby ich odświeżyć, minęła siostrę Hedwig, która zbierała i opróżniała pojemniki na mocz.

– To nie był twój mąż? Major von Hagemann?

Ta ciekawska baba musiała widzieć ich rozstanie. Hedwig była jedną z kobiet, których Elisabeth śmiertelnie nie znosiła. Pozornie obowiązkowa i pobożna, a w rzeczywistości perfidna intrygantka.

– Tak, jest w domu na przepustce.

– O mój Boże, to przecież nie może pani pracować, pani von Hagemann. Zaraz zapytam Tilly, czy przejęłaby pani obowiązki.

– Bardzo dziękuję – przerwała jej Elisabeth. – Sama się już tym zajęłam.

Tak właśnie zrobiła. Jutro i tak wszystkie będą o niej plotkować. Zaniósł miednicę z wodą po myciu do drzwi tarasowych, które z powodu zimnego jesienno-wiatru przeważnie były zamknięte. Listopad był mokry i nieprzyjemnie chłodny, rzadko jesienne słońce oświetlało ostatnie kolorowe liście. Na tarasie stały wciąż wiklinowe krzesła, przykryte je brezentem, żeby nie zniszczył ich deszcz. Elisabeth zamachnęła się, żeby wylać wodę na trawę, wytarła naczynie ściereczką i mimochodem spojrzała na ogród zimowy.

Stał tam Klaus von Hagemann. Jego kurtka była przesunięta na prawą stronę, bo trzymał rękę w kieszeni spodni. Jego postawa wydawała się jej niezwykle odpychająca, wręcz prowokująca. Wyteżyła wzrok, żeby między liśćmi lipy pokojowej i drzewka kauczukowego rozpoznać osobę, z którą rozmawiał. To była Auguste. Gestykulowała energicznie, z pewnością wyjaśniała mu coś bardzo istotnego. Nie zachowywała się tak jako pokojówka, rzadko w ogóle przejawiała skłonności do gestykulacji. To była zupełnie prywatna rozmowa i Elisabeth domyślała się, czego dotyczyła. Jeśli Klaus faktycznie był ojcem małej Liesel, ta pozbawiona skrupułów kobieta z pewnością chciała wyciągnąć od niego alimenty. Klaus na pewno odmówi, bo jego żołnierski żołd ledwie starczał na jego własne potrzeby, nie mówiąc już o długach i stylu życia jego rodziców.

Zaczynam wariować, pomyślała i wróciła do sali szpitalnej. Zaraz wymyślę prawdopodobnie rozmowę, której w rzeczywistości wcale nie było. Najpewniej Auguste przekazuje mu coś zupełnie innego.

W końcu przystała na propozycję Tilly, która chciała przejąć jej dyżur, powiesiła na haczyku biały fartuch, ściągnęła czepek i poszła schodami na górę. Zanim wyszła na korytarz, wygładziła sukienkę. Straciła kilka kilogramów, co prawda niezupełnie tam, gdzie chciała, ale jednak. Zobaczyła Humberta z tacą, który widząc ją, skłonił się lekko. Jego mina wydawała się Elisabeth dziwna, jakby na jego twarzy widniało poczucie winy.

– Państwo są w jadalni – powiedział, gdy przechodził obok niej.

Powinna była się domyślić, ale okazała się głupiotką owieczką i podskoczyła przestraszona, gdy weszła do pokoju. Oczywiście przyszli jej teściowie, żeby w kręgu bliskich uczcić bohaterskie czyny syna. Na koszt Melzerów – jak zawsze. Była kawa, usmażone szybko placuszki z jabłkami, ciasteczka owsiane z nadzieniem z marmolady

oraz patera z wędzoną kiełbasą z Pomorza, szynką i ogórkami konserwowymi. Do tego garnek gęsiego smalca, również przysłany z Pomorza, oraz chleb pieczony w posiadłości, który Brunnenmayer przyprawiła solą i kminkiem. Christian von Hagemann naładował sobie właśnie cały talerz jedzenia i podniósł się tylko nieznacznie, gdy weszła Elisabeth, a jego żona posłała synowej zjadliwy uśmiech.

– Lisa! No wreszcie przyszłaś! – zawołała Kitty z oburzeniem. – Klaus zdążył już pomyśleć, że znalazłaś sobie kochanka. Zapewniłam go jednak, że prócz niego masz tylko jedną jedyną namiętność, a jest nią twój szpital.

Elisabeth zmusiła się do uśmiechu i usiadła koło swojej matki. Klaus, który siedział między Kitty a swoją matką, nie podniósł się nawet, żeby przysunąć jej krzesło albo usiąść obok niej.

– Jestem zdumiony, droga Kitty, że bierzesz tak niewielki udział w tym świętym przedsięwzięciu – powiedział. – Sam twój widok uzdrowiłby wielu tych biednych młodych mężczyzn.

Wciąż był na nią zły? Przynajmniej tutaj przy stole kierował wzrok wyłącznie na Kitty. Była taką dzielną, małą kobietką. I miała tak ogromny talent. Widział dwie z jej prac w holu i był porażony atmosferą tych obrazów.

– Naprawdę, droga Kitty. Aż poczułem ciarki, gdy zobaczyłem te piękne rybie głowy. Przypomniałem sobie sklep w centrum, w którym zawsze kupowaliśmy karpia na sylwestra. Pamiętasz jeszcze, mamó? Był tam taki basenik z dobrze karmionymi karpami.

Kitty popatrzyła na niego tak, jakby nigdy wcześniej go nie widziała, a potem odwróciła się, żeby nałożyć sobie na talerz ostatnie placuszki jabłkowe, które zostały. Christian von Hagemann spojrział na to z żalem, wydawał się niemal zupełnie zagłodzony i nieustannie miał pełne usta.

– Bardzo żałuję, że nie ma tutaj z nami Marie – powiedziała Riccarda von Hagemann. – Podobno spędza mnóstwo czasu w fabryce.

– Oczywiście! – potwierdziła Alicia, która wyraźnie czuła napięcie panujące przy stole i zauważała już u siebie pierwsze symptomy nadchodzącej migreny. – Mój mąż jest bardzo zadowolony z takiego wsparcia. Marie rozumie doskonale meandry procesów produkcji i sprzedaży.

Riccarda von Hagemann rzuciła swojemu synowi wymowne spojrzenie, jakby chciała powiedzieć: posłuchaj no tylko!

– Cóż, ja jestem staroświecki – powiedział Klaus i podarował Elisabeth lekki uśmiech. – Działania mojej żony powinny być ograniczone do kręgu domowego, nie pociągają mnie pracujące ani studiujące kobiety. Mam tylko nadzieję, że Paul myśli inaczej.

– Nasz drogi Paul jest bardzo dumny z Marie – wmieszała się Kitty.

Poruszała triumfalnie kawałkiem placka nabitym na widelec i oznajmiła, że na niemieckich uniwersytetach jedna trzecia studentów to obecnie kobiety. Tak powiedział doktor Stromberger, którego brat jest teraz na Uniwersytecie Goethego we Frankfurcie.

Oczywiście kawałek placuszka spadł jej teraz z widelca, wpadł do filiżanki Klaususa i spowodował małą powódź. Klaus wykazał się refleksem i w porę się odsunął,

w przeciwnym razie brązowa ciecz zachlapałaby jego mundur.

– Cały czas tak zaskakująca i spontaniczna, moja droga? – zwrócił się z uśmiechem do Kitty. – Wiesz, że łamiesz tym wszystkie męskie serca, z moim włącznie?

– Tak, są tacy głupcy, którzy sądzą, że są we mnie gorąco zakochani – odpowiedziała Kitty. – Ale prawdziwą miłość odkryłam dopiero przy Alfonsie. To jest coś tak niesłychanie cennego, to tak ogromne szczęście, że wystarczy mi do końca mojego życia.

Klaus obserwował w milczeniu, jak jego matka wyławia z kawy kawałek placuszka i kładzie swojemu małżonkowi na talerzu. Elisabeth po raz pierwszy w życiu była pod wrażeniem, słuchając swojej małej siostrzyczki. Jak pięknie to powiedziała! I jak cudownie musi się doświadczać takiej miłości! Nawet jeśli trwa ona krótko.

– Co powiesz na to, kochanie – Klaus zwrócił się teraz do Elisabeth – żebyśmy opuścili to miłe towarzystwo i pomieszkali trochę w naszym domu? Nie weźmiecie nam tego za złe, prawda?

Kitty wzruszyła ramionami i powiedziała, że i tak ma coś jeszcze do zrobienia, a Alicia zapewniła ich, że w zupełności to rozumie.

– Nie musicie być z tego powodu nieuprzejmi – powiedział Klaus do swoich rodziców, którzy zrobili oburzone miny, że też muszą już iść. – Zostańcie spokojnie, żeby Alicia nie była sama. Byłoby przecież szkoda, żeby zmarnowała się taka wspaniała kawa i wędzona kiełbasa.

Uśmiechnął się i pośpiesznie włożył sobie jeszcze kawałek kiełbasy do ust, przeżuwał ją i stwierdził, że od lat nie jadł lepszej. Wędzonej na drewnie bukowym, tak jak być powinno.

– Ach tak, to życie na wsi – westchnął i podniósł się z krzesła. – Jak okiem sięgnąć wszędzie lasy i łąki. Pasące się bydło. A potem jesienią, gdy trąbką oznajmia się początek polowania... Godne pozazdroszczenia!

– Z pewnością – skomentowała ironicznie Kitty. – I jeszcze piękny gnojownik pod oknem sypialni. I muchy. I zapach obory.

Alicia zapytała Humberta, czy odwiezie pana majora z bagażami i jego małżonkę na Bismarckstraße.

– Oczywiście, łaskawa pani – odpowiedział i ukłonił się niżej, niż to było konieczne. – Chciałbym tylko przypomnieć, że paliwo jest bardzo drogie i my też czerpiemy z rezerwy na wypadek sytuacji kryzysowej...

– Wiem, wiem – Alicia rozwiała jego obawy. – Zrób, o co cię proszę.

– Oczywiście, łaskawa pani.

Elisabeth była wciąż zła na Klause, ale gdy tak dobitnie wyraził zamiar spełniania obowiązków małżeńskich, krew zaczęła jej szybciej krążyć w żyłach. Tak, pragnęła go. Tęskniła, by poczuć jego męską siłę. O Boże, powinna była dzisiaj wziąć wcześniejszą kąpiel, umyć włosy, włożyć ładną bieliznę i skropić perfumami szyję i nadgarstki. Na to było już jednak zbyt późno, a w mieszkaniu na pewno nie było drewna, żeby rozpalic w piecu łazienkowym.

– Jak pięknie cię widzieć zdrowego i w dobrym nastroju, drogi Humbencie – powiedział Klaus, gdy wsiadali do samochodu. – Wojna ma nie tylko dobre strony,

prawda? Są takie przeżycia, które chcemy zachować tylko dla siebie. Nie jest tak?

Humbert otwierał Elisabeth drzwi, a ona dostrzegła, że jego uśmiech był wymuszony. Czyżby znów zanosilo się na atak?

– Tak właśnie jest, panie majorze – odparł Humbert. – Wojna rządzi się swoimi prawami, dzieją się tam rzeczy, które innym wydają się zupełnie niemożliwe. Ale o nich trzeba zapomnieć, panie majorze.

– To prawda, Humbercie – odpowiedział Klaus von Hagemann. – Jesteś dobrym człowiekiem. Jeszcze daleko zajdziesz.

– Dziękuję, panie majorze.

Elisabeth nie udało się uchwycić ukrytego sensu tych słów, bo Klaus objął ją na tylnym siedzeniu i chciwie pocałował w policzek.

Humbert wiózł ich powoli przez centrum Augsburga, bo wokół było mnóstwo pieszych oraz rowerzystów, tu i tam można było napotkać dorożkę. Między nimi jechał jeszcze tylko jeden jedyny samochód, za którego kierownicą siedział pan von Wolfram, nadburmistrz miasta. Klaus von Hagemann pozdrowił go przyjaznym skinieniem głowy, starszy mężczyzna nie odwzajemnił przywitania, może po prostu Klause nie rozpoznał. Niedaleko od ich mieszkania silnik przestał działać i musieli dalszą drogę przejść na piechotę. Humbert, który niósł bagaże, został nagrodzony przez Klause von Hagemanna sporym napiwkami.

– To nie jest konieczne, Klaus. To przecież nasz pracownik.

Ugryzła się w język i dużo by dała, żeby ten jej komentarz nigdy nie padł. Ledwie Humbert wyszedł z mieszkania, a on już na nią syknął, że nie powinna była mu mówić, co ma robić.

– Twoje skąpstwo przewyższa wszystko, czego do tej pory doświadczyłem w tym względzie!

Była w pokojowym nastroju, choćby dlatego, że liczyła na czułe miłosne zjednoczenie, ale oskarżenie było niesprawiedliwe i ją obraziło. Czyż nie przepuścił jej posagu – który nie był mały – już w pierwszym roku ich małżeństwa? I to na co? Do dzisiaj się nie dowiedziała, tak jak nie wiedziała, że Klaus i jego rodzice są mocno zadłużeni.

– Nie jestem skąpa, Klaus – powiedziała stanowczo. – Ale w mojej rodzinie jesteśmy przyzwyczajeni do rozsądnego zarządzania posiadanymi zasobami.

– Ach tak? – zapytał drwiąco.

Patrzył, jak pokojówka zabiera jej kapelusz i płaszcz, a potem wieszka rzeczy w garderobie. Ledwie Gertie zniknęła w kuchni, on dalej dawał upust swojemu niezadowoleniu.

– Moi rodzice nie mają kucharki, nie mówiąc już o kamerdynerze czy starszej pokojówce. To jest hańba! Moja matka wielokrotnie gorzko się na ciebie skarżyła!

Milczała, żeby nie podgrzewać w nim złości, choć było to bardzo trudne.

– Proszę, Klaus. Porozmawiajmy o tym później, na spokojnie.

– No dobrze. Ale bardzo mnie rani, że w tak niewielkim stopniu okazujesz szacunek moim rodzicom.

Zdjął kurtkę od munduru i podał Gertie, żeby ją wyszczotkowała i ostrożnie

powiesiła na wieszaku. Potem rzucił krótkie oceniające spojrzenie na Elisabeth. Jej puls przyspieszył. Cokolwiek ich poróżniło, był to jej mąż i pragnęła go. Nagle szaleńczo zapragnęła robić z nim wszystkie te wstydlive i bolesne rzeczy, o których kobiety nie rozmawiają nawet z najlepszymi przyjaciółkami.

– Schudłaś – powiedział dobitnie. – Choć mam nadzieję, że nie w biuście, szkoda by było. W biodrach natomiast spokojnie mogłabyś mieć mniej.

Zachichotała i nagle poczuła się okropnie głupio. Ale co to znaczyło? Pożądał jej. I nie był jednym z tych, którzy owijają w bawełnę. Bez zbędnych słów poszedł prosto do sypialni, zasłonił kotary i zaczął rozpinąć koszulę.

– Rozbierz się, kochanie – rozkazał jej. – Cała. Nie mam ochoty odpinać haftek przy twoim gorsecie.

Ściągnął koszulę przez głowę i zaczął rozpinąć spodnie. Jak bardzo się przy tym śpieszył! Elisabeth drżała w tęsknym oczekiwaniu. Powoli zaczęła rozpinąć haftki przy sukience, które niestety bezmyślnie umieszczono na plecach. Zazwyczaj pomagała jej w tym Jordan, bo miała zwinne palce, ale ona sama...

– Łóżko mogłoby być świeżo pościelone.

Przerwała odpinanie i spojrzała na małżeńskie łoże, którego w półmroku prawie nie zauważyła. Włosy stanęły jej dęba. Łóżko było zasłane od niechcenia, na poduszkach leżała pomięta koszula nocna teściowej. A obok niej staroświecka męska koszula, która dawno powinna była zostać wyprana. Przed łóżkiem znajdowały się pantofle z szarego filcu – tuż obok nocnika z białej emalii. Teściowie zagarnęli dla siebie ich sypialnię! Elisabeth nagle poczuła tak ogromny wstręt, że musiała się odwrócić.

– Gdziekolwiek chcesz – powiedziała pośpiesznie. – Ale nie tutaj. Nie na prześcieradle, na którym śpią twoi rodzice.

Sam też się skrzywił, ale stwierdził, że nie powinna aż tak gwałtownie reagować.

– W końcu to twoja wina. Dlaczego wyprowadziłaś się z mieszkania? To przecież całkowicie zrozumiałe, że moi rodzice uznali ten pokój za gościnny.

– Jest mi obojętne, co zrobili twoi rodzice, ale nie położę się w tym łóżku. Za żadne skarby świata.

Czuła, że jej głos brzmi ostro, ale nie panowała już nad sobą. Jak mógł od niej tego żądać? Czy on w ogóle nie ma uczuć? Albo przez tę wojnę stał się tak otepiały, że było mu obojętne, czy będzie spał z własną żoną na świeżo pościelonym łóżku czy na gnojowniku?

– Przestań zrzędzić, cholera. Gertie szybko pościeli łóżko na nowo – powiedział wściekły i zapiął spodnie. – Gertie! – ryknął. – Co to za bałagan? Świeżo pościelone łóżko – natychmiast!

Palce Elisabeth były jak sparaliżowane, po prostu nie była w stanie zapiąć haftek przy sukience. A Gertie lamentowała, że nie ma świeżej pościeli. Drugi komplet był w praniu, ale praczka go nie przyniosła.

– Dlaczego nie? – naciskał Klaus.

– Sądzę, że... – wyjąkała Gertie i szybko zamilkła.

– Co sądzisz? No mów, przecież cię nie zjem.

– Sądzę, że nie otrzymała zapłaty. Dlatego odmówiła. Bo to już było trzeci raz

z rzędu.

– I dlatego nie ma pościeli? Jak to możliwe?

– Ja... ja nie wiem, łaskawy panie.

Elisabeth zrozumiała, że jej teściowe nie mieli żadnej służby. Na Boga, jak mogła być tak naiwna! Sprzedali jej obrusy i pościel. Gdzie była śliczna komoda, która stała w sypialni? A w salonie inkrustowane biurko?

Otworzyła drzwi i patrzyła na miejsce, w którym stały meble. Delikatny szary obrys ukazywał jeszcze jego kontury. Gdy spojrzała na witrynę, przekonała się również, że serwis obiadowy z porcelany miśnieńskiej, który dostała od swojej siostry Kitty w prezencie ślubnym, również zniknął.

– Nie dałaś moim rodzicom pieniędzy nawet na praczkę? – wrzasnął wściekły. – Żyją tutaj jak żebracy. Tak właśnie okazujesz szacunek, który jesteś winna mojej rodzinie?

Jej umysł był teraz jasny, a puls zwolnił. Nie było już mowy o słodkich pragnieniach. Ona nie była byle kim. Była z Melzerów i nie pozwoli się traktować jak jakaś podwładna.

– Twoi rodzice do woli korzystali z moich rzeczy. Srebra, serwis miśnieński, moje inkrustowane biurko – a to tylko niektóre rzeczy, które sprzedali bez mojej wiedzy.

Przez chwilę był oszołomiony, najpewniej się tego nie spodziewał. Nawet jeśli był rozgniewany, teraz tego nie okazywał.

– To nie są twoje, tylko nasze rzeczy – powiedział stanowczo. – To bardzo przykre, że moi rodzice byli zmuszeni je sprzedać. Wysyłałem co miesiąc sporo pieniędzy i zastanawiam się, co z nimi robiłaś?

To była nieprawdopodobna bezczelność. Pieniądze, które wysyłał, starczały ledwie na czynsz, wszystkie potrzebne rzeczy, łącznie z tymi, które musiała mu wysyłać, kupowała za pieniądze rodziców.

– Powiedz mi lepiej, co ty robiłaś ze swoimi pieniędzmi, Klaus – warknęła. – Wydawałaś je na alimenty? Potrzebowałaś ich dla Auguste?

Jak brzydka może się stać nawet najpiękniejsza twarz, gdy zniekształca ją przerażenie i wściekłość.

– Co ty powiedziałaś? – wyszeptał złowrogo. – O co mnie oskarżasz?

Teraz była już prawie pewna, samo przerażenie widniejące na jego twarzy mówiło wszystko.

– Jesteś ojcem córki Auguste! To wiedzą wszyscy w posiadłości. A ta wywłoka miała jeszcze czelność uczynić mnie matką chrzestną jej dziecka i nazwać je moim imieniem!

Jeśli miała nadzieję, że będzie teraz stał przed nią jak skruszony grzesznik, mocno się rozczarowała.

– Proszę cię, Elisabeth. Takie rzeczy zdarzają się nagminnie. Sądzisz, że jakiegokolwiek uczucia łączą mnie z Auguste? Z pokojówką? Na Boga! A poza tym wydarzyło się to przed naszym ślubem.

A więc to była prawda! Mimo tej gorzkiej oczywistości wciąż nie była pewna ich relacji, bo jego ton głosu nagle się zmienił. Brzmiał teraz delikatniej, szukał u niej

zrozumienia, apelował do jej wielkoduszności. I miał rację, zdarzyło się to przed ich ślubem. Ba, nie byli wtedy nawet zaręczeni!

– Nie jestem święty, skarbie – mówił dalej. – Jestem mężczyzną i na zbyt wiele sobie pozwalałem tu i tam. Nie oznacza to jednak, że mniej cię kocham.

Znała taką postawę. Wujek Rudolf żył z nią w zgodzie, a jej matka też została tak wychowana. Mężczyźni czasami są skłonni do zdrady, dlatego muszą wybierać dobre żony. Ale jednak...

– A co by się stało, gdyby mnie się coś takiego przydarzyło?

Otworzył szeroko oczy i wpatrywał się w nią, jakby była nie z tego świata.

– To byłabyś ladaczną! – ryknął.

A więc to tak. On był skłonny do zdrady, bo był mężczyzną. Jeśli natomiast ona zrobiłaby coś takiego, byłaby ladaczną.

Z wrogą miną podszedł do niej, uniósł ręce i złapał ją mocno za ramiona.

– Ty... ty mi chyba nie przyprawiłaś rogów? – syknął wściekły. – Zabawiałaś się z innym, podczas gdy ja poświęcałem życie dla cesarza i ojczyzny?

Jak śmiesznie się zachowywał. Próbowła wyzwolić się z jego uścisku, ale on trzymał ją tak mocno, że aż sprawiał jej ból. Naszła ją ochota, by walczyć z nim aż do krwi.

– A jeśli to zrobiłam?

Usłyszała wściekłe syknięcie i poczuła, że odepchnął ją od siebie z całych sił. Zatoczyła się kilka kroków do tyłu i uderzyła o ścianę.

– W takim wypadku pozostaje ci tylko hańba. I rozwód!

Uderzyła tyłem głowy o ścianę, ale nie czuła bólu, tylko palące upokorzenie, że odważył się podnieść na nią rękę. Ku jej własnemu zdumieniu ton jej głosu był spokojny i chłodny.

– Uspokoję cię, Klaus. Nie zrobiłam niczego takiego. Ale co do z rozvodu – w pełni się zgadzam!

Przynieś jeszcze trochę węgla, Humbercie – powiedziała Alicia. – A potem już możesz sobie pójść. Jest późno.

– Oczywiście, łaskawa pani.

Na dworze szalała burza, słychać było pojękiwanie starych drzew i trzeszczenie okiennic. Humbert postawił wiadro wypełnione węglem. Gdy kładł do piecyka w jadalni kolejne bryły węgla, ręce mu mocno drżały.

– Czy wszystko w porządku, Humbercie? – zapytała Marie z troską.

– Dziękuję za zainteresowanie, łaskawa pani... To tylko ta burza... te odgłosy... Ale to przejdzie, łaskawa pani.

– Połóż się do łóżka i zatkaaj uszy watą – poradziła mu Kitty. – Wtedy nic nie usłyszysz i będziesz spał jak zabity.

Humbert zamknął drzwiczki od pieca i odłożył bezgłośnie szufelkę do węgla na swoje miejsce. Uśmiechnął się i z wyrazem bezradności wypisanym na twarzy spojrzął na wszystkich. Przecież był już na dobrej drodze, żeby wyzdrowieć. Od kilku tygodni nie miał żadnego ataku.

– Dziękuję za radę, pani Bräuer. Wypróbuję ją. Życzę państwu spokojnej nocy. Dobrych snów!

Uklonił się i wyszedł. Jego ruchy jak zawsze były pełne elegancji i finezji – to dawało nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

– Przekazałaś informację Else?

– Tak, mam – odpowiedziała Marie. – Hanna i Brunnenmayer też wiedzą, że dzisiaj wieczorem nie będą nam potrzebne. A Auguste już od dawna jest w domku w ogrodzie.

Pozostawała tylko Schmalzler, która miała dyżur w szpitalu i najpewniej będzie później chciała życzyć im dobrej nocy. Była od jakichś czterdziestu lat związana z rodziną i na jej dyskrecję można było liczyć. Elisabeth ogłosiła swoją decyzję w czasie wieczornej kolacji i Alicia była tak przerażona tym, co usłyszała, że poprosiła, żeby porozmawiali o tej delikatnej kwestii dopiero wtedy, gdy cała służba będzie już w łóżkach. Zgodzili się spełnić tę prośbę, choć Johann Melzer mruczał nieco rozgniewany, że nie ma ochoty zarywać nocy po to, żeby nabijać sobie głowę rozmowami o tego typu drobnostkach.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Elisabeth. – Bardzo bym chciała oszczędzić tego sobie i nam wszystkim...

– Nalej mi jeszcze filiżankę tej obrzydliwej miętowej herbaty, Alicio – wszedł jej w słowo Johann Melzer. – Jeśli cenicie sobie moje zdanie, to mogę powiedzieć, że to jest najlepsza decyzja, jaką podjęłaś od dłuższego czasu, Liso. Szkoda tylko, że w ogóle wyszłaś za męża z tego typu. Wiele pieniędzy nas kosztował ten łowca posagów z jego chciwą rodziną!

Przy stole zapadła cisza. Nawet Kitty nie wiedziała, co mogłaby dodać do tych niezwykle bezpośrednich słów. Słychać było wręcz dźwięk wlewania herbaty do filiżanki

z porcelanowego czajniczka. Alicia postawiła go z powrotem na podstawce i podała filiżankę Johannowi. Włożył dwie kostki cukru i rozejrzał się po zgromadzonych kobietach.

– No? Wszystkim nagle ucięto języki? Kitty? Alicia? Marie? Dlaczego nie słyszę waszych sprzeciwów?

Kitty przerwała milczenie pierwsza.

– Bo masz całkowitą rację, tato – powiedziała i uśmiechnęła się ciepło do Alicii. – Nawet jeśli jak zawsze w trochę drastyczny sposób to ująłeś. Klaus von Hagemann źle się zachowywał wobec Elisabeth, a ci jego rodzice – święci pańscy! Jaka byłabym szczęśliwa, mogąc się uwolnić od tego balastu!

– Kitty, proszę cię! – odważyła się wtrącić Alicia. – Jeśli tata wygłasza takie drastyczne opinie, to jego sprawa. Ale ty nie powinnaś zapominać, że jesteś damą!

– Przepraszam, mamó. Chciałam powiedzieć, od tych szlachetnie urodzonych krewnych, którzy w czasie każdej rodzinnej uroczystości napychali sobie brzuchy za nasze pieniądze i przedstawiali poglądy pochodzące z poprzedniego stulecia.

Przemilczała fakt, że jej siostra wielokrotnie pożyczła od niej pieniądze, żeby dać je swoim teściom, i Elisabeth była jej za to wdzięczna. W końcu Kitty jej obiecała, że nikomu o tym nie powie.

– Cóż, przecież nie żyjemy już w dziewiętnastym wieku – włączyła się Marie. – Jeśli małżeństwa nie można uratować, kobieta nie powinna się wahać, lecz zażądać rozwodu. Jednakże...

Przerwała i spojrzała na Elisabeth z powątpiewaniem.

– Co masz na myśli, mówiąc „jednakże”? – zapytała Elisabeth nieco rozgniewana. – Myślisz, że łatwo mi było podjąć tę decyzję? Dobrze wiem, co potem na mnie spadnie. Sądzę jednak, że w tej rodzinie nie będzie to precedens, prawda, Kitty?

Zabrzmiało to dość prowokacyjnie i przypomniało czasy, w których Elisabeth i Kitty żyły w willi jak pies z kotem. Wtedy też Kitty uciekła ze swoim francuskim kochankiem Gérardem do Paryża.

– Chcesz powiedzieć, że ty też masz prawo do skandalu – odparła Kitty z uśmiechem. – Ależ oczywiście. Mam już dość bycia czarną owcą w rodzinie.

Elisabeth była mocno zdenerwowana, wiedzieli o tym wszyscy siedzący przy stole. Wczesnym popołudniem wróciła do posiadłości z włosami rozwianymi przez wiatr, w zniszczonym kapeluszu i przemoczonym płaszczu oraz spódnicy. Potem zamknęła się w swoim pokoju, a Auguste przekazała, że pani von Hagemann leży na łóżku i tonie we łzach. Wiedziała o tym, bo zaniósła Elisabeth czajniczek z gorącym naparem z rumianku. Później major von Hagemann dzwonił kilka razy, ale jego małżonka nie chciała podejść do telefonu. Major nie pofatygował się, żeby osobiście pojawić się w willi.

– Nie zrozum mnie proszę źle – Marie znów podjęła wątek. – Po prostu nie chciałabym, żebyś podjęła pochopną decyzję, której później może będziesz żałowała. Pokłóciliście się, tak? Czy nie byłoby więc rozsądniej poczekać kilka dni z podjęciem tak ważnej decyzji, Lisa? Jeśli jest ona słuszna, nie ma znaczenia, czy wniesiesz pozew jutro rano czy dopiero za kilka tygodni...

Alicia przytaknęła, popierając zdanie Marie. Jej synowa trafiła w sedno.

– Jest wojna, Lisa – powiedziała delikatnie. – Nie mieliście nawet okazji, żeby pobyć ze sobą. To jest wasza pierwsza kłótnia, Boże święty. Gdybym po każdej naszej kłótni podejmowała decyzję o rozwodzie, nie byłoby tutaj teraz nikogo z nas.

Elisabeth przewróciła oczami. Teraz mama powie, że żona powinna umieć rezygnować ze swoich egoistycznych potrzeb. Dobre małżeństwo wymaga wielkodusznego podejścia i cierpliwości. Mężczyźni mają swoje upodobania, a kobiety muszą się nauczyć, jak w rozważny sposób egzekwować od nich, żeby spełniali ich życzenia...

– Nie ma już czego rozważać – odpowiedziała Elisabeth. – A jeśli masz jeszcze co do tego wątpliwości, Marie, myślę o rozwodzie nie od dzisiejszego popołudnia. Miarka się przebrała!

Teraz wreszcie się odważyła. Wyciągnęła list przysłany do niej z Belgii, położyła na stole i podsunęła w stronę mamy, która musiała najpierw znaleźć okulary, żeby go przeczytać. Zamiast niej list wziął tata, który okulary nosił w kieszeni marynarki.

– Ach tak... Brat domaga się satysfakcji. Ależ proszę bardzo! Im szybciej, tym lepiej!

– To nie jest jedyny powód – powiedziała Elisabeth, gdy matka zabrała się do czytania listu. – Ale to była kropla, która przelała czarę goryczy.

Alicia odłożyła list i potrząsnęła głową ze smutkiem. Kitty przebiegła wzrokiem po zapisanej kartce i podała ją Marie. Elisabeth przygryzała wargi – nie czuła się komfortowo, będąc obiektem ogólnego współczucia. Nie dało się jednak tego uniknąć.

– A jeśli to nie jest prawda? – zapytała Alicia niepewnie. – Może to fałszywe oskarżenie?

– Mamo! – zdenerwowała się Kitty. – Chyba nie mówisz tego poważnie, prawda?

Alicia westchnęła ciężko i spojrzała na Marie, szukając u niej poparcia. Marie wzruszyła jednak ramionami. Przedstawiła swój punkt widzenia, nic więcej nie mogła zrobić.

– W moich czasach nie było w zwyczaju, żeby kobieta domagała się rozwodu – powiedziała Alicia z troską. – A już na pewno nie wśród szlachetnie urodzonych.

– Przetrywamy to, Alicio – powiedział Johann i pocieszającym gestem położył rękę na jej ramieniu. – Finansowo jeszcze możemy na tym zyskać.

– Ale pod względem rodzinnym też! – krzyknęła Kitty. – Jestem całkowicie po stronie Lisy. Wyślij tego piękniśia do diabła, siostrzyczko. Nie zasługuje na taką żonę jak ty. I na taką szwagierkę jak ja też nie!

Elisabeth była wzruszona tak gwałtownie wyrażoną siostrzaną solidarnością. Spodziewała się tego raczej po Marie niż po Kitty. Objęła Kitty i wylewała na jej ramieniu gorące łzy wdzięczności.

– Jeśli naprawdę nie zmienisz zdania, Lisa – powiedziała Marie – to wszyscy będziemy cię wspierać. Również mama.

– Oczywiście, że tak! – krzyknęła Kitty. – Lisa pochodzi z Melzerów, należy do naszej rodziny i nie zostawimy jej na lodzie. Prawda, tato? No już, mamusiu. Weź się w garść. Rozwód to przecież nie koniec świata. To może być nawet łut szczęścia.

Alicia położyła dłonie na uszach i stwierdziła, że to, co mówi Kitty, kiedyś

doprowadzi ją do szaleństwa. Potem wstała i przytuliła Lisę.

– Oczywiście, że będę przy tobie. Moje dziecko. Moja Liso. Ach, że też ty zawsze musisz mieć w życiu tak ciężko... Johann, powinniśmy zasięgnąć porady doktora Grünlinga, on wrócił i znowu prowadzi swoją praktykę prawniczą.

– Na Boga! – krzyknęła Kitty. – Tylko nie ta zarozumiała małpa! To przecież żaden...

Przerwało jej pukanie do drzwi.

– Niech pani wejdzie, panno Schmalzler!

Uchyliły się drzwi, tworząc niewielką szparę, i pojawiła się w niej blada twarz ze spiczastym nosem. To nie była gospodyni, jak przypuszczała Alicia, tylko Maria Jordan.

– Jordan? – krzyknęła zdumiona Elisabeth. – Co pani tutaj robi? Dlaczego nie jest pani na Bismarck-straße?

Maria Jordan nie odpowiedziała na pytanie.

– Proszę... łaskawa pani... musimy pojechać po lekarza...

Skierowała swoje słowa do Elisabeth, a powiedziała to tak teatralnym tonem, że można było pomyśleć, iż sprawa dotyczy życia i śmierci.

– Lekarza? Jest pani chora?

– Nie ja, łaskawa pani. Hanna. Proszę... Musi pani posłać po doktora Greinera albo doktora Strombergera.

Marie poderwała się przestraszona ze swojego krzeselka i chciała wybiec z jadalni, ale Maria Jordan przytrzymała drzwi od zewnątrz.

– Nie... proszę poczekać, aż sobie pójdę. Proszę...

– Co się z panią dzieje, Jordan? – zdenerwował się Johann Melzer. – Czy stoi pani tam na korytarzu w negliżu? A co pani tutaj robi w nocy?

Słychać było teraz szybkie kroki i gdy Marie otworzyła drzwi, zobaczyli białą postać biegnącą przez korytarz w stronę klatki schodowej w powiewającej koszuli.

– To... to niewiarygodne! – krzyknęła Alicia. – Ona chyba nocuje w posiadłości. A jest przecież zatrudniona jedynie jako szwaczka. Jak to możliwe, Liso?

– Nie mam pojęcia, mamó.

Marie biegła już korytarzem i wchodziła po schodach, żeby dotrzeć do pokoju Hanny. Zdenerwowana Kitty podążała za nią.

– Boże, jak tu stromo. I zimno. I brudno. Nie idź tak szybko, Marie.

Na górze ktoś zapalił światło. W przyćmionym, żółtawym blasku Marie rozpoznała kucharkę Fanny Brunnenmayer, która w szerokiej koszuli nocnej przypominała zaparzaczkę do kawy. Przez chwilę widziała też pomarszczoną twarz Else i staromodny czepek, który miała na głowie. Schowała się jednak szybko do swojego pokoju, gdy zobaczyła, że idą Marie i Kitty.

– Co się stało? Co jest z Hanną?

– Ona potrzebuje lekarza, łaskawa pani – powiedziała kucharka. – Teraz, gdy jeszcze nie jest za późno. Och, ta Jordan! Mówiłam jej, że powinna dać sobie spokój z tymi swoimi przeklętymi...

Marie przeszła obok niej i zaczęła uderzać pięściami w drzwi do pokoju Hanny. Znała to pomieszczenie aż za dobrze, sama przecież wcześniej tam mieszkała.

– Zaraz... zaraz...

Marie nie czekała, otworzyła drzwi i weszła do środka. Elektryczne oświetlenie było włączone i naga żarówka oświetlała łóżko Hanny. Śmiertelnie blada, z zamkniętymi oczami, leżała na plecach z kocem naciągniętym aż pod szyję.

– O Boże – wyszeptała Kitty, która szła za Marie. – Ona wygląda, jakby już...

Hanna miała ciemne obwódki wokół oczu, nos jej się wyostrzył, usta były zupełnie blade. Maria Jordan stała koło łóżka i trzymała przed sobą poduszkę. Wyglądało na to, że chciała się szybko ubrać, ale Marie jej przeszkodziła.

– Co jej dałaś?

Marie podeszła z groźną miną do Marii Jordan, a ta się cofnęła i w końcu usiadła na łóżku, pojękując żałośnie, że ona nic nie zrobiła.

– Nic? – wrzasnęła Marie. – Żadnych cudownych środków? Żadnego wrotyczu, senesu albo innej trucizny?

– Ja tylko w dobrej wierze...

– Marie – wyszeptała Kitty drżącym głosem. – Spójrz tylko.

Podniosła kołdrę, którą była przykryta Hanna. Jej biała koszula nocna na wysokości brzucha została skręcona w podłużny walek i wciśnięta między nogi. Najpewniej chciała w ten sposób zatamować krwotok, ale jej się nie udało. Koszula była cała we krwi aż do piersi, prześcieradło też było zakrwawione. Marie rzuciła okiem na ten przerażający widok, odsunęła na bok kucharkę, która ciekawie zaglądała do pokoju, i zbiegła na dół. Jej zdenerwowany głos było słychać aż na samej górze willi.

– Numer do doktora Greinera, szybko. Przyślij tutaj szybko pannę Schmalzler, Liso. Niech przyniesie jakieś środki na tamowanie krwawienia. Halo? Tak, połączenie w obrębie miasta. Trzy, osiem, dziewięć, cztery. Nie odpowiada? Niech pani spróbuje jeszcze raz.

– Jest aż tak źle, Marie? – zapytała Alicia. – Powinniśmy posłać po wielebnego Leutwiena?

Kitty stała wciąż przy łóżku Hanny i wpatrywała się w jasnoczerwoną krew. Dziewczyna poruszyła się, sięgnęła ręką pod kołdrę i jęknęła cicho.

– Jest mi tak źle.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała Kitty. – Jesteśmy tutaj i pomożemy ci.

Przykryła ją, a ponieważ Hanna wciąż drżała z zimna, powiedziała Marii Jordan, żeby okryła ją dodatkową kołdrą. Jordan posłuchała, choć niechętnie.

– Taka piękna kołdra z pierza... Żeby tylko się nie ubrudziła.

– Pani to naprawdę ma serce, panno Jordan – odpowiedziała ze złością Kitty. – Im szybciej opuści pani ten dom, tym lepiej!

Wypowiadając te słowa, poszła za Marie na dół.

Eleonore Schmalzler wróciła z lazaretu i wyjaśniła, że chociaż wzięła ze sobą środki tamujące krwawienie, powinny być one używane jedynie pod nadzorem lekarza.

Preparat z przetworzonego pięciornika kurzego ziela powinien zadziałać.

– Musimy zachować dyskrecję, łaskawa pani – powiedziała do Alicii. – Jeśli dziewczyna miała aborcję, w żadnym wypadku nie może to wyjść na zewnątrz... Wie pani dlaczego...

– Dziękuję, panno Schmalzler – odpowiedziała Alicja.

Marie i Elisabeth potwierdziły, że rozumieją, tylko Kitty zrobiła zdziwioną minę.

– Chodzi o tę głupią historię z rosyjskim jeńcem wojennym – uświadomiła ją Marie. – Nawet nie chcemy myśleć, że to z nim Hanna była w ciąży.

– Dobry Boże! – wyszeptała Kitty. – To jest niesamowicie ekscytujące! Rosjanin? I Hanna z nim po...

– Zamilcz, proszę... Ten jedyny raz... Ten twój niewyparzony język, Kitty! – fuknęła na nią Alicja. – Tak! Teraz dzwoni! Doktor Greiner. Moje nerwy. Kolejnej takiej nocy już nie zniosę!

Opadła na krzesło. A ponieważ ani Auguste, ani Humberta i Else nie było w pobliżu, Marie zeszła otworzyć drzwi. Doktor Greiner mimo swojego zaawansowanego wieku i godzin nocnych przybył do willi najszybciej, jak mógł. Nie przeszkodził mu nawet padający deszcz. Gdy Marie otworzyła drzwi, zobaczyła najpierw jego wielki czarny parasol, który szarpał wiatr.

– Dobry wieczór – powiedział spod parasola. – Albo raczej dzień dobry! Przewidywałem, że coś takiego może się stać. A więc do rzeczy. Gdzie on jest?

Marie pomogła zamknąć parasol i wzięła jego kapelusz. Nie, nie chodzi o jej teścia, który, Bogu dzięki, jest zdrowy. Chodzi o Hannę. Doktor Greiner wyciągnął z kieszeni chusteczkę, żeby przetrzeć okulary. Po chwili zastanowienia zapytał:

– Hannę? A kto to jest?

– Pomoc kuchenna. Widział pan ją wielokrotnie, panie doktorze. Ciemne włosy, brązowe oczy. Gdy Humbert był na froncie, kilka razy podawała do stołu.

– Aha!

Wydawał się poirytowany. Był mocno związany z rodziną, to prawda, ale ściąganie go z łóżka w środku nocy dla pomocy kuchennej wydało mu się zupełnie niewłaściwe.

– No więc co się dzieje? Gorączka? Wypadek?

– Prawie się wykrwawiła.

Założył okulary, poprawił je na nosie i zrobił ponurą minę.

– Taki z niej aniołeczek, co?

Marie dotychczas bardzo ceniła tego starszego człowieka, jego zaangażowanie w pracę w szpitalu było wzorowe i często ponad jego siły. Teraz najchętniej jednak skoczyłaby mu do oczu.

– Czy zechciałby pan nam pomóc, doktorze Greiner? – zapytała najserdeczniej, jak potrafiła.

– Pani zawsze, młoda damo.

Musiał przejść przez salę chorych, żeby wejść na pierwsze piętro, a tam z wielką uprzejmością przywitały go panie z rodziny Melzerów. Johann Melzer poszedł już z powrotem do łóżka, sprawa z pewnością była wyłącznie kobieca, jak ogłosił, wychodząc. Lekarz krótko był u Hanny na górze, a gdy zjawił się w jadalni, wzruszył

ramionami i oznajmił, że trzeba czekać.

– Dałem jej zastrzyk, a czy pomoże, to jest zapisane w gwiązdach. Mogą jej panie obłożyć brzuch lodem. A tak między nami: wielu żołnierzy straciło więcej krwi niż ona i nie robiono z tego takiego przedstawienia.

– Jesteśmy panu nieskończenie wdzięczni, doktorze Greiner – powiedziała Alicia.

– Jest dla nas bardzo ważne, żeby zachować tę sprawę w tajemnicy.

Stwierdził, że to oczywistość, bo dyskrecja to obowiązek lekarza.

– A teraz chciałbym panie serdecznie prosić o jakieś miejsce do spania, mój dyżur w lazarecie zaczyna się dokładnie za cztery godziny i dwadzieścia minut, więc nie ma sensu, żebym wrócił do domu...

– Ależ oczywiście. Czy zechciałby pan położyć się na sofie w pokoju, w którym na co dzień pracuje mój mąż?

– Zasnąłbym, nawet opierając się o wieżę zegarową, łaskawa pani.

Marie zawołała Else, żeby przyniosła poduszkę i świeżą pościel, a w korytarzu natknęła się niespodziewanie na ciemną zjawę. To była Maria Jordan w płaszczu i kapeluszu, z torebką w ręce.

– Po tym, co stało się dzisiaj, zdecydowałam się poszukać sobie nowego stanowiska

– powiedziała do Elisabeth. – W najbliższych dniach zgłoszę się po moje dokumenty.

Ukłoniła się z godnością wszystkim zgromadzonym, odwróciła się i zeszła schodami na dół. Nikt jej nie zatrzymywał.

15 grudnia 1917 roku

Mój Kochany,

Twoja krótka wiadomość przyniosła nam wszystkim dużą ulgę. Każdego dnia modłę się, żeby los obszedł się z nami łaskawie i pozwolił Ci wrócić do domu. Ach, wiesz przecież, że znacznie bardziej wolałabym być u Twojego boku, zamiast siedzieć tutaj bezczynnie i tylko cierpliwie czekać. Dlaczego nie mam skrzydeł, abym mogła do Ciebie pofrunąć? Dlaczego moje myśli nie mogą zamienić się w takie skrzydła i zanieść mnie do Ciebie? Dość już – uzbroję się w cierpliwość, tak jak tysiące innych kobiet.

Dzisiaj napisano w gazetach, że kontynuowane są negocjacje pokojowe z Rosją. Ten straszny przewrót w imperium rosyjskim ma więc też swoje dobre strony – ci, którzy są teraz u władzy, nie chcą prowadzić tej wojny aż do samego jej gorzkiego końca. Może inne narody biorące udział w wojnie też pójdą po rozum do głowy i zakończą to bezsensowne wykrwawianie całego pokolenia na polach bitewnych.

Przygotowujemy się do świąt Bożego Narodzenia, które już po raz czwarty będą obchodzone w czasie wojny.

Musiałam walczyć z ojcem, ale w końcu wymusiłam na nim podwyższenie płac dla naszych pracowników. Przedsiębiorstwo przynosi zadowalające wyniki, szkoda tylko, że

wydajność maszyn jest ograniczona i nie możemy przyjmować wszystkich ofert. Jeszcze ważniejsze dla naszych pracowników (w siedemdziesięciu procentach to kobiety) niż podwyżki płac okazało się to, iż od kilku tygodni codziennie otrzymują ciepły posiłek. Także w tej kwestii musiałam się wykazać darem przekonywania, by nakłonić do tego Twojego ojca. To jest tylko gorąca zupa, głównie kartofle i brukiew, mało mięsa i ani odrobiny tłuszczu. Ale wiele kobiet i tak odejmuje sobie to jedzenie od ust i wlewa do przyniesionego garnka, żeby zanieść do domu i nakarmić swoje dzieci.

W posiadłości na szczęście wszystko jest w porządku. Kitty znów całkowicie poświęciła się malarstwu. Jej obrazy zyskały nową głębię, być może to okropne cierpienie, którego doświadczyła, zmienił Twoją małą siostrzyczkę w poważną artystkę. Elisabeth też się zmieniła i obawiam się, że decyzja, którą podjęła, może Cię przerazić. Zdecydowała, że rozwiedzie się z Klausem. Z wielu powodów. Wszyscy, łącznie z mamą, popieramy decyzję Lisy i sądzę, że Ty też byś rozumiał, gdybyś poznał wszystkie okoliczności. Major von Hagemann walczy obecnie w Ypres, więc rozwód może być przeprowadzony dopiero, gdy wróci do ojczyzny. Lisa jest mocno zaangażowana w sprawy lazaretu, który właściwie przez cały czas jest przepelniony. Potrzebne byłyby kolejne pomieszczenia; Lisa postanowiła kształcić się na nauczycielkę, żeby uczyć w szkole podstawowej. Oczywiście dopiero, gdy wojna dobiegnie końca. Możesz sobie wyobrazić, że mama zareagowała bardzo negatywnie na ten plan, więc sprawa nie jest jeszcze przesądzona. Nie wiadomo poza tym, czym zaskoczy nas jeszcze wojna – nie jest zbyt mądrym posunięciem planować coś, co później rozpadnie się w pył.

Muszę Ci też powiedzieć, że nasza Hanna była bardzo chora, ale na szczęście zaczyna powoli wracać do zdrowia. Maria Jordan, która była zatrudniona jako starsza pokojówka u Elisabeth i jako szwaczka w posiadłości, zrezygnowała z pracy. Jak słyszeliśmy, dzięki Lisie znalazła zatrudnienie jako opiekunka w sierocińcu, co z pewnością nie odpowiada jej oczekiwaniom, ale zapewnia jej utrzymanie. Nasz Humbert odnalazł wreszcie swoją dawną pogodę ducha. Dość często rozmawia z kobietami z kuchni i przy tym niektórych ludzi potrafi łudzaco naśladować – to talent, który z pewnością wyssał z mlekiem matki. Czasami, gdy jest burza albo mocno wieje, może mieć znów atak. Reaguje też na inne głośne dźwięki. Gdy wczoraj kucharka niechcący upuściła pokrywkę, biedak śmiertelnie się przestraszył.

Nasz ogród, który Gustav i jego dziadek stworzyli z tak ogromnym poświęceniem, pokryła cienka warstwa śniegu. Nawet teraz, gdy piszę do Ciebie te słowa, białe płatki wirują wokół willi, tworzą białe poduszeczki na parapetach, a stare drzewa w parku zamieniają w osobliwe baśniowe olbrzymy. Wiosną Gustav wybuduje szklarnię, żeby uprawiać w niej warzywa i świeże zioła. Wtedy też Auguste urodzi swoje trzecie dziecko.

Jak wiele radości sprawiają nam nasze trzy maluchy! Niestety, pani Sommerweiler musiała nas opuścić, obecnie opiekuje się nimi tylko Rosa, ale mama, razem z Else, chętnie pomaga przy dzieciach, chociaż zachowuje się zawsze jak zatroskana babcia. Już od dawna tych troje odkrywa po swojemu całą posiadłość, chodzą po schodach na górę i w dół, dotykają zasłon i zwisających obrusów, a pod komendą Liesel zaczynają też opanowywać kuchenną przestrzeń. Naszej Dodo, która przez dłuższy czas nie miała włosów, wyrosły teraz grube loczki w kolorze blond i stała się łudzaco podobna do

swojego brata. Henriette też jest blondynką – jak bardzo upodobniły się do swoich tatusiów! Przesyłam Ci dwa rysunki, które zrobiłam, gdy mama i Rosa bawiły się z maluchami. Są to chwile uchwycone na chybicka ołówkiem. Brakuje mi czasu, żeby je dopracować. Tata zrobił natomiast kilka nowych zdjęć, każe je wywołać i wtedy Ci je wyślę.

Na koniec jeszcze jedna nowina, która z pewnością Cię ucieszy. W ostatnim tygodniu otrzymaliśmy list od Twojego przyjaciela Ernsta von Klippsteina. Przebywał dotąd u krewnych w Berlinie, a teraz zamierza przyjechać do nas z wizytą. Proponuje swoją pomoc w wielu sprawach, ale tylko wtedy, jeśli będziemy tego chcieli. Napisałam mu, że ucieszymy się bardzo z jego odwiedzin, a cała reszta okaże się później.

Kochany Paulu, zastanawiam się, czy nie zanudzam Cię tymi opowieściami o codziennych sprawach. Tęsknię za Twoją obecnością, ale to pisałam Ci już przecież setki razy. Czy nie jest tak, że listy wszystkich żon w tych czasach są do siebie bardzo podobne? Wiele tysięcy kobiet przeklina tę wojnę, która odebrała im tych najdroższych. A przecież jakoś znosimy ten stan rzeczy, przyjmujemy go w milczeniu jako nasze wspólne przeznaczenie i wierzymy w to, że rządzący Europą, czy to Ludendorff, czy Hindenburg, cesarz, minister spraw zagranicznych Balfour czy francuski premier Clemenceau, w końcu to dostrzegą.

Czy jestem buntowniczką? Ach, miałabym ogromną ochotę biegać po ulicach i głośno wzywać do pokoju i sprawiedliwości. Ale nie martw się, nie zrobię tego. Będę mieć nadzieję i czekać. I ze wszystkich sił będę się starała dbać o fabrykę Melzerów, aż do czasu, gdy do nas wrócisz.

Ściskam Cię gorąco.

Twoja wierna Marie

CZEŚĆ III

LISTOPAD 1918 – STYCZEŃ 1920

A więc to była ona! Rosa Menotti – wielka artystka, która poprzedniego wieczoru wywołała tak wielki entuzjazm w Teatrze Miejskim. Tutaj, w hotelowym pokoju, w dziennej sukience i bez makijażu nie wygląda już tak fascynująco.

– Tylko w drodze wyjątku, młody człowieku. I jedynie dlatego, że podoba mi się twój nos!

Jej śmiech był głęboki i z chrypką – dokładnie tak jak jej głos, gdy śpiewała. Piosenki i skecze, które Humbert słyszał wczoraj w teatrze, były bez wątpienia niezwykle zuchwałe. Prowokacyjne. Bynajmniej nie cnotliwe. Część publiczności, choć na szczęście jedynie niewielka, pozwoliła sobie na głośne gwizdy i inne oznaki oburzenia, a potem wyszła. Pozostali widzowie krzyczeli z zachwytu i żądali bisu za bisem. Humbert przerósł już natomiast samego siebie i czatował na Rosę przy wyjściu dla artystów. Chciał, żeby go przesłuchała...

– Jestem niesłychanie wdzięczny, łaskawa pani, że znalazła pani dla mnie czas. Mówiąc szczerze, nie śmiałem nawet o tym pomyśleć.

Poruszała się ociężale, bez porównania z prowokacyjnymi pozami, które prezentowała wczoraj na scenie. Teraz poczłapała w wygodnych filcowych pantoflach po drewnianej podłodze w stronę fortepianu i rutynowym gestem uniosła klapę do góry.

– Niech pan nie gada, tylko pokaże, co potrafi. Mój pociąg odjeżdża za godzinę.

Usiadła na stołku przy fortepianie i zagrała kilka akordów. Czy on to zauważył? Nie? To o co chodzi?

Zrobiło mu się gorąco. Co mu przyszło do głowy? Przecież zrobi z siebie błazna.

– Ja chciałbym raczej coś wyrecytować.

– No to już – powiedziała i odwróciła się na krześle w jego stronę.

Oczy miała wąskie i trochę skośne, nos ostry, usta pełne. W jej wzroku widać było ironię. Wyniosłość. No mały, pokaż się. To go zirytowało. Właściwie co miał do stracenia?

Zagrał scenkę, którą sobie wymyślił wczorajszej nocy. Zabawną rozmowę między majorem, pułkownikiem i żołnierzem, którzy zalecali się do tej samej dziewczyny. Sprawiało mu przyjemność wcielanie się w zarozumiałego majora, pochodzącego ze starej rodziny szlacheckiej, ambitnego, ale naiwnego pułkownika i żołnierza cwaniaczka. Odegrał nawet z werwą dziewczynę, zresztą doskonale potrafił na-ś-ladować kobiety.

Obserwowała go z nieruchomą twarzą, dopiero gdy skończył, zobaczył, że jednak się uśmiechnęła.

– Kto napisał tę scenkę?

Nie zrozumiał od razu. Potem dopiero dotarło do niego, że słynna Rosa Menotti najwyraźniej sama nie pisała swoich skeczy.

– Ja. Wczoraj wieczorem. Po pani występie.

Uniosła brwi i patrzyła na niego uważnie, jakby chciała sprawdzić, czy nie kłamie.

– Czy potrafi pan śpiewać?

– Jestem raczej aktorem.

Chciała coś powiedzieć, ale zamilkła, bo zagłuszał ją hałas dochodzący z ulicy.

Znowu jacyś szaleńcy, którzy idą przez miasto, trzymając w górze tablice, wrzeszcząc, wyjąc i wykrzykując jakieś hasła. Od miesiąca tak się działo. Chcą przepędzić bawarskiego króla Ludwika z Monachium, cesarz abdykował, nic dziwnego, że nikt nie dba o porządek. Republika – kto w ogóle chce czegoś takiego?

Rosa Menotti podniosła się, żeby zasunąć ciężkie story, i włączyła lampę elektryczną.

– Ale na pewno potrafi pan coś zaśpiewać.

Oczywiście, że potrafił. Tylko cóż... jakieś śpiewki ludowe? Znał je dobrze z kuchni. Brunnenmayer lubiła śpiewać przy pracy. Były wzruszające. I straszne. I smutne.

– „Sabinka była kobietką nawet słodką i cnotliwą...” – zaczął niepewnie.

Okazało się, że znalazła nuty do tej piosenki, więc odwróciła się i kazała mu śpiewać drugą zwrotkę. Gdy on dawał z siebie wszystko, ona obserwowała go badawczo kątem oka.

– Coś by się dało z tego zrobić – brzmiała jej ocena.

Potem zaczęła go wypytywać. Jak się nazywa? Co do tej pory robił? Dlaczego chce się znaleźć na scenie? Czy liczy na to, że może się stać sławny i bogaty? Czy występował już kiedyś przed publicznością? Czy nie wolałby jednak pozostać na swoim spokojnym i pewnym stanowisku w posiadłości?

Zaczął się jąkać, plątać w swoich wypowiedziach, mówić półsłówkami, a kiedy zapytała go ze złośliwym uśmiechem, czy mógłby wystąpić w damskiej sukience, stracił resztę animuszu.

– Mam nadzieję, że dobrze się pani bawiła, łaskawa pani. Chciałbym się pożegnać...

Nie poruszyła się nawet, jakby nie słyszała, co powiedział, i poczekała, aż doszedł do drzwi.

– Ten, kto chce wykonywać ten zawód, młody człowieku, musi być opętany na tym punkcie – powiedziała stanowczo. – Powinny istnieć dla niego tylko trzy rzeczy. Teatr. Teatr. I jeszcze raz teatr. Dla niego można sypiać w ciasnych pokoikach i jeść cokolwiek między malowaniem ust i zakładaniem sztucznych rzęs. Dla teatru zarywa się noce, pozwala się z siebie szydzić, znosi złośliwe uwagi zazdrosnych kolegów, ślinienie się panów dyrektorów i wystawianie swoich marzeń na widok publiczny...

Humbert trzymał rękę na klamce. Dlaczego ona mu to mówi? Nie był fanatykiem. Nie miał ochoty na biedę, głód i rozczarowania.

– Jest wielu szaleńców, którzy nie potrafią z tego zrezygnować. Którzy ciągle próbują i nigdy nie odnoszą sukcesu. Bo brakuje im jednego: talentu.

Humbert usłyszał już dość. Nacisnął klamkę i drzwi się otworzyły. Kilka bukietów kwiatów i prezentów leżało na podłodze za drzwiami, więc musiał je przekroczyć.

– Pan, młody człowieku, jest nim sownie obdarzony!

Zatrzymał się w korytarzu i zastanawiał się, czy ona sobie z niego kpi. Jej wypowiedź była taka pociągająca. Miał talent. Był nim nawet sownie obdarzony. Tak właśnie powiedziała. Chyba że źle ją zrozumiał?

Gdy się odwrócił, stała przy drzwiach i trzymała rękę w kieszeni dziennej sukienki.

Złośliwy grymas był widoczny w lewym kącie jej ust.

– Oczywiście jeśli myślisz o tym poważnie – powiedziała. – I tylko wtedy.

Wyciągnęła rękę z kieszeni i podała mu wizytówkę. Adres w Berlinie.

– Mały urwisie – dodała. – Powiedz im, że ja cię rekomenduję.

Obracał karteczkę w rękach. Berlin! Co ona właściwie miała na myśli? Gdy podniósł wzrok, Rosy już nie było. Młoda służąca kucała na podłodze, zbierając kwiaty i prezenty, spojrzała na niego, uśmiechnęła się i wniosła wszystko do pokoju hotelowego. Drzwi zamknęły się ostatecznie.

Biegł korytarzem, zszedł schodami i znalazł się przed głównym wyjściem, gdzie jakiś mężczyzna w ciemnym ubraniu zapytał go, w czym mógłby mu pomóc. Humbert coś wybełkotał i dwukrotnie zakręcił się w drzwiach obrotowych, zanim wreszcie znalazł się na ulicy. Unosił się nad ziemią w poczuciu triumfu i największego szczęścia, po chwili jednak poczuł rozpacz, stracił całą odwagę, ale później znów wezbrała w nim nadzieja. Miał talent. Publiczność będzie go podziwiać. Zrobi to. W Berlinie.

Ale ja nie znam nikogo w Berlinie, pomyślał z niepokojem. Jak to może się udać? Byłby całkiem sam. Gdyby przynajmniej Brunnenmayer z nim pojechała. Ale ona za nic nie opuści willi. Tym bardziej nie pojedzie do Berlina. A poza tym musiałby wypowiedzieć pracę. Stracić dobre stanowisko...

Niespodziewanie natknął się na grupę mężczyzn i szedł z nimi przez jakiś czas. Słyszał niewybredne żarty, śmiech, pachniało tanim sznapsem.

– Precz z wyzyskiwaczami!

– Cała władza w ręce rad!

– Rozbroić policję!

– Unieważnić pożyczki wojenne!

Dopiero gdy ktoś krzyknął mu do ucha, że powinien z łaski swojej trzymać szereg, zrozumiał, że znalazł się w samym środku ulicznej manifestacji. Rozejrzał się przerażony. Był otoczony przez ogromny tłum ludzi, mężczyźni i kobiety w różnym wieku maszerowali przez Maximilianstraße w kierunku Perlachbergu – brali się pod rękę, lamentowali, krzyczeli, śpiewali jakieś nieznane piosenki. Większość z nich stanowili robotnicy oraz żołnierze, którzy wrócili z wojny. Były też kobiety, zachowywały się po męsku i wygrażały pięściami. Gdzieś widać było lepiej ubrane osoby – studentów z szaleństwem w oczach i błyszczącymi twarzami, którzy wykrzykiwali co rusz jakieś nowe hasła i porywali za sobą tłum.

– Niech żyje międzynarodowa rewolucja!

Humbert wyrwał się z uścisku młodego robotnika, który trzymał go pod ramię, i podjął daremną próbę ucieczki. Potknął się o krawężnik i niemal upadł, złapał się jednak kurtki jakiegoś mężczyzny, a po chwili otrzymał cios w zębra.

– Policja! – wrzasnął ktoś w tłumie. – Stać!

– Dalej! – krzyknął ktoś z innej strony. – Nikt nie może nas zatrzymać! Idziemy do ratusza!

– Nie strzelać!

Humbert poczuł, że znowu ma atak. Brzęczenie w uszach. Gwizdy samolotów. Głuchy dźwięk eksplodujących granatów. Drżał na całym ciele, szukając miejsca, gdzie

mógłby się schować, bo wiedział, że jeśli upadnie w samym środku tego tłumu, będzie po nim.

– Świnie! Strzelacie do bezbronnych ludzi! Do kobiet!

Usłyszał pojedynczy strzał, który spowodował, że ludzie zaczęli kręcić się w panicznym strachu, pochód zatrzymał się i zrobiło się jeszcze ciasniej.

– Wracać! Wracać natychmiast!

– Naprzód, ludzie! Ja prowadzę!

Przenikliwy krzyk młodej kobiety zabrzmiał boleśnie w jego uszach i sprawił, że odzyskał świadomość. Machając rękami, przepychał się przez tłum, parł pod prąd, potykał się, podnosił, przechodził między ludźmi, patrzył w naznaczone przerażeniem i wściekłością twarze osób, które mijał. Ich oczy, usta, ręce...

Przykucnął wreszcie za ścianą jednego z domów. Granaty syczały wokół niego, unosił się kurz, urwane ręce, podarte mundury, hełmy, ludzkie głowy ze szurzymi ryjkami zamiast twarzy. W jego uszach szumiał ocean.

– Humbert? Ty jesteś Humbert, prawda? Kamerdyner z posiadłości Melzerów?

Słyszał te słowa bardzo niewyraźnie, ktoś pochylił się nad nim. Położył dłoń na ramieniu, ciepłą rękę, która była przyjemnie ciężka.

– Spokojnie – powiedział męski głos, a ręka poklepywała go uspokajająco. – Oni już poszli. Nikt panu nic nie zrobi.

Teraz dopiero sobie uświadomił, że konwulsyjnie zaciska powieki. Kiedy otworzył oczy, zamrugał i zobaczył szare tafle chodnika tuż przed swoim nosem, potem dostrzegł ściany domu z piaskowca, przed którymi kuczał, a następnie widział już dwie nogi w spodniach z ciemnego materiału, na których znajdowało się sporo plam z kurzu.

– No właśnie – powiedział mężczyzna. – Tylko powoli. Ty jesteś Humbert, prawda?

Spojrzał w górę, twarz mężczyzny była szeroka – wyglądał na rolnika. Znał go i widział go wiele razy, ale nie pamiętał, w jakiej sytuacji. To musiało być najpewniej spowodowane uporczywym drżeniem, które nie chciało ustąpić.

– Humbert Sedlmayer – powiedział automatycznie. – Jedenasty Pułk Kawalerii Wirtemberskiej...

– W takim razie jesteśmy tu sami swoi, kolego.

Mężczyzna chwycił go pod ramiona i podniósł. Humbert stał oparty o ścianę, wciąż dysząc i drżąc. Po chwili spojrzał na swojego wybawcę.

– Sebastian Winkler, widzieliśmy się kilka razy w willi. Nie pamięta pan? Pani von Hagemann jest tak miła, że co jakiś czas pożycza mi książki.

Humbert gorączkowo zamykał i otwierał oczy, żeby rozproszyła się biała mgła, która zacierała mu wzrok. Prawda – teraz wracała mu pamięć. Pan Winkler prowadził w bibliotece dłuższe rozmowy przy herbacie z panią von Hagemann. Humbert słyszał nawet, jak Alicia robiła z tego powodu wyrzuty córce i prawie doszło do kłótni, gdy młoda pani Melzer nie chciała z nich zrezygnować.

– Panie Winkler... Jestem panu bardzo wdzięczny... Wie pan, to pozostałość po wojnie. Znowu miałem atak.

Winkler przytaknął i strzepnął kurz z ramienia Humberta. Jakże był opiekuńczy.

Ach, prawda, był przecież dyrektorem sierocińca.

– Znam to dobrze. Sam byłem na froncie.

Humbert wreszcie odzyskał wzrok i uśmiechnął się życzliwie do mężczyzny. Czy on przypadkiem nie stracił stopy? Czy nie chodzi w protezie? W każdym razie był to na pewno miły, porządny człowiek.

– Co to za dzika horda! – powiedział Humbert. – Prawdopodobnie komuniści.

– Tak. Zwolennicy ruchu Spartakusa. I przy tym wspaniali ludzie. Ale prawdopodobnie nie będą w stanie się przebić...

Humbert zrozumiał, że ten miły człowiek, dyrektor sierocińca, pan Winkler, sympatyzował z komunistami. Nic dziwnego, że pani Melzer była zła, gdy jej córka piła z nim herbatę. Komuniści nie byli mile widziani w posiadłości, a już członkowie NSPN³⁸ byli określani mianem lewicowych pomyleńców i razem ze Związkiem Spartakusa utożsamiani z samym diabłem i Belzebubem.

– Ach tak? – wymamrotał Humbert zakłopotany.

Winkler zapytał go, czy może już iść. On może ewentualnie wziąć go pod ramię i część drogi przejdą razem.

– Oni dążą do swojego celu, o to chodzi. Teraz może za wcześnie, ale jestem przekonany, że republika radziecka to najlepsza forma rządów. Trzeba robić swoje, ale się tak bardzo nie śpieszyć. Słyszał pan kiedyś, jak przemawia Ernst Nickisch³⁹? Nie? Wielki człowiek. Był kiedyś nauczycielem, tak jak ja.

Humbert mu nie przerywał i szedł wolno obok niego. Było przyjemnie słuchać jego głosu, nawet jeśli nie do końca rozumiał jego słowa. Zgromadzenia. Decyzje większości. Wola ludu. Ustawodawstwo. Przemowa Winklera była tak płomienna, że ustały samoloty, wybuchy granatów, nie było już kolejnych eksplozji ani szumu oceanu. Gdy doszli na Jakoberstraße, a w oddali widzieli bramę Jakoba, Humbert czuł się trochę wyczerpany, ale poza tym nic mu nie dolegało.

– Jestem z tego bardzo dumny. To wielka odpowiedzialność, którą chętnie wziąłbym na siebie.

Z tego, co zrozumiał Humbert, Sebastian Winkler był członkiem jakiegoś związku robotników, rolników i żołnierzy, niezwykle ważnego dla dalszych losów republiki bawarskiej. Niemal zaczął odczuwać głęboki szacunek dla tego człowieka, który wydawał się tak prosty i skromny.

– Świat się zmieni, Humbercie – powiedział Winkler, gdy się z nim żegnał. Jego oczy błyszczały. – Cesarz i królowie przegrali. Teraz lud przejmie władzę. Wszyscy ludzie są równi – nie będzie już panów i sług, kapitał i środki produkcyjne zostaną sprawiedliwie rozdzielone, nikt nie będzie musiał głodować, gdy inni będą się cieszyć swoim bogactwem.

Brzmiało to wszystko dość butnie i jeśli Humbert miałby być zupełnie szczerzy, wcale mu się nie podobał ten pomysł. Żałował, że odebrano władzę staremu królowi Ludwikowi i cesarzowi Wilhelmowi, chętnie by ją przywrócił. Bał się jednak powiedzieć to głośno.

– Ani panów, ani sług? – zapytał niepewnie.

Sebastian Winkler uśmiechnął się i powiedział, że to tylko wizja na przyszłość.

Żagiew, którą się przed sobą trzyma. Nadzieja.

– A twój zawód to dzisiaj faktycznie wymierająca profesja – powiedział z uśmiechem i uściśnął mu dłoń na pożegnanie.

38 Niezależna Socjaldemokratyczna Partia Niemiec.

39 Niemiecki pisarz i polityk. Jeden z pierwszych przedstawicieli narodowego bolszewizmu w Niemczech.

Przez całą noc intensywnie padał deszcz, na wąskich ścieżkach między grobami utworzyło się błoto. Poranne słońce wyglądało na krótko pomiędzy ciemnych chmur i kolejna burza zaczynała nacierać na niewielką grupkę osób zgromadzonych na cmentarzu. Parasole były rozłożone, kapelusze naciągnięte na czoła, kołnierze płaszczy postawione wysoko.

– Nienawidzę cmentarzy – narzekała Kitty. – A o tak wczesnej porze najbardziej.

– Czy mogę zaoferować pani swoje ramię? – zapytał uprzejmie Ernst von Klippstein, wierny przyjaciel rodziny.

– Dziękuję, Klippi. Moje buty i tak już są zniszczone. Niech pan lepiej wesprze Marie, bo chciała się jeszcze zająć kwiatami.

Ernst von Klippstein zatrzymał się i poczekał na Marie, która teraz pojawiła się na cmentarzu z wiązanką z bluszczu oraz białych lili. Kwiaty były drogie w tych czasach, ale Melzerowie postanowili okazać swoim przyjaciołom i krewnym wsparcie w nieszczęściu. Potężny bank Bräuerów przestał istnieć. Edgar Bräuer, aby uniknąć upokarzającego ogłoszenia upadłości, przyjął ofertę fuzji od bawarskiego Vereinsbanku. Podpisał tę umowę przed tygodniem. Następnego nocy się zastrzelił.

– Nie potępiam go – powiedział wielebny Leut-wien. – Ale Kościół przestrzega reguł i ja muszę się ich trzymać. Nawet jeśli to trudne dla mojego serca...

Wczesnym rankiem spuszczone trumnę do ziemi, w oddalonym zakątku cmentarza, tam, gdzie chowano biedaków i samobójców. Nawet to było pewnym ustępstwem ze strony Kościoła, dawniej każdy, kto targnął się na swoje życie, był grzebany poza murami miasta. Mimo wczesnej pory – było tuż po dziewiątej – grób zdążono już zasypać. Powstał szarobrazowy, podłużny kopiec, żadnego krzyża ani nazwiska. Zgromadzeni musieli dreptać w błocie, które otaczało pośpiesznie wykopany grób. Grzmiało, deszcz bębnił w parasole i szerokimi strumyczkami spływał po nich na ziemię.

– Spoczywaj w pokoju, Edgarze Bräuer!

Johann Melzer mówił głośno, tak żeby wszyscy mogli go usłyszeć. Nawet jeśli żaden ksiądz nie chciał towarzyszyć jego przyjacielowi w ostatniej drodze, on przemówił nad jego grobem.

– Bóg, nasz Pan, zagłąda w nasze serca, wie, jak odróżnić sprawiedliwych od obłudników. My wszyscy, którzy się tutaj zgromadziliśmy, wiemy dobrze, jak wielkie nieszczęście cię spotkało, takie, którego nie byłeś już w stanie znieść. Nikt nie rozumie tego lepiej niż my, którzy byliśmy z tobą, Edgarze, związani miłością i przyjaźnią. Niech Bóg podaruje ci swoją łaskę i pokój.

Tilly musiała podtrzymywać matkę, która na widok tego usypanego z ziemi, nagiego grobu wybuchnęła płaczem. Kitty walczyła z ciekącym nosem, a Elisabeth stała obok ojca i trzymała nad nim parasol. Marie położyła wiązankę na grobie, Tilly również przyniosła kwiaty, a potem podeszli inni, też z wieńcami i bukietami. Pani dyrektorka

Wieslerowa, która straciła synów w czasie wojny, małżeństwo Manzingerów, doktor Greiner, adwokat Grünling i kilku pracowników banku, którzy do końca byli wierni swojemu dyrektorowi. To, czy monachijski bank dalej będzie ich zatrudniał, było zapisane w gwiazdach. Tylko niektórzy z nich przyjęli jednak zaproszenie Bräuerów na śniadanie w gospodzie Pod Białym Łabędziem. Żałobnicy byli przemoczeni i chcieli szybko wrócić do domów, żeby nie dostać zapalenia płuc. Melzerowie dotrzymywali towarzystwa Gertrudzie i Tilly. Marie wpadła na świetny pomysł, żeby wysłać samochodem do Willi Ernsta von Klippsteina po suche ubrania, rajstopy i buty.

– Klippi to naprawdę dobra dusza naszej posiadłości. Jak my wcześniej sobie bez niego radziliśmy? Pomaga w rachunkowości, przydaje się w lazarecie, kupił mi nowe farby olejne i pędzle, zna się na uprawie owoców i warzyw, a w dodatku ciągle jest w pobliżu, żeby być do dyspozycji swojej ukochanej i podziwianej Marie.

Marie skrzywiła się, najwyraźniej uznała uwagę Kitty za niestosowną w tak poważnych okolicznościach, ale Tilly uśmiechnęła się szczerze i stwierdziła, że Kitty jest jak promyk słońca w tym pochmurnym dniu. Usiadła obok swojej szwagierki i skierowała rozmowę na jej obrazy.

– Za każdym razem jestem wstrząśnięta, Kitty. To, co malujesz, jest wspaniałe i jednocześnie przerażające.

– Przykro mi, jeśli moja twórczość cię przeraża, Tilly, ale nie potrafię inaczej. Rozumiesz? Te obrazy, wizje po prostu są w mojej głowie i gdy maluję, uwalniam je z niej.

– To jest właśnie sztuka, droga Kitty. Jestem tego absolutnie pewna. Powinnaś wystawić swoje prace.

Kitty bez wątpienia schlebiały te słowa, ale stwierdziła, że maluje wyłącznie dla siebie samej.

– To jest zabawne, Tilly. Te obrazy są jak moje dzieci. Teraz wszystkie należą do mnie. Ale gdy je wystawię, to będzie tak, jakbym je nagle straciła.

Tilly potrząsnęła głową.

– A nie chciałabyś kiedyś zarabiać, sprzedając je? – zapytała cicho, tak żeby Alicia nie słyszała.

– Pieniądze... cóż, to byłoby... byłoby niegłupie.

Kitty posiadała wprawdzie dom na Frauentorstraße, który podarował jej Alfons, a do tego kilka obrazów i trochę kosztowności, jednak część jej majątku została ulokowana w banku Bräuerów i teraz na zawsze była utracona.

– Można by zacząć od czegoś niewielkiego – zastanawiała się Tilly. – Prywatna wystawa dla dobrych przyjaciół.

– Naprawdę tak sądzisz, Tilly? Och, ja nie mam nic przeciwko temu, żeby zostać słynną malarką. Wiesz co, jeśli głębiej się zastanawiam, również uważam, że moje obrazy są bardzo dobre. Nie, tak naprawdę uważam, że są wspaniałe. Być może, ale tylko być może, mogłabym się rozstać z jednym czy dwoma. Zwłaszcza gdybym mogła przynieść nimi komuś szczęście.

W sali obok, przeznaczonej dla żałobników, podawano gorącą kawę z mlekiem i cukrem, do tego świeży chleb, marmoladę, substytut masła i kilka kawałków sera. Nie był to skromny posiłek, mimo że z bogactwa właścicieli banku zostało niewiele. Co prawda kilku prawników pracowało nad tym, żeby długi banku spłacać z majątku rodziny, ale nie wyglądało to dobrze. Bank przeżywał trudności od kilku lat, ale wojna i upadek cesarstwa doprowadziły go do ostatecznego bankructwa.

– To by się nie wydarzyło, gdyby Alfons żył – powiedziała gorzko Gertrude Bräuer.
– Mam nadzieję, że Paul wróci cały i zdrowy do domu. Słyszeliśmy, że może przebywać w rosyjskim obozie dla jeńców wojennych. Rosjanie są nieprzewidywalni. Mogą go nawet wysłać na Syberię do pracy w kamieniołomie.

Wiadomość o tym, że Paul przebywa w rosyjskim więzieniu – po długim czasie nieotrzymywania od niego żadnych listów – dotarła do posiadłości przed miesiącem i wywołała ambiwalentne odczucia.

– Jestem szczęśliwa, że żyje – powiedziała Marie. – Cała reszta jest teraz nieważna. Wciąż wierzę, że ponownie się spotkamy.

Melzerowie postanowili nie przykładać zbyt dużej wagi do wypowiedzi Gertrude. Już wcześniej nie przebiegała w słowach, a teraz po tylu nieszczęściach, które ją spotkały, tym bardziej należało być dla niej wyrozumiałym.

– Już część żołnierzy wróciła do ojczyzny z rosyjskich więzień – powiedziała Alicia łagodnie. – Codziennie liczymy więc na to, że i Paul zapuka do willi.

– W jakich to czasach przyszło nam żyć! – powiedziała Gertrude. – Pożegnaliśmy rząd, a masy przejęły władzę. Strajki, zamieszki, bunty, rewolucje. Co sobie myślą ci ludzie? Że można być bogatym, nie pracując?

– Uspokój się, mam – powiedziała Tilly i złapała ją za rękę. – Strajki mają też dobre strony. Może wymuszają zawarcie pokoju.

– Co za brednie wygadujesz, dziecko – ofuknęła ją cicho Gertrude. – Co może być dobrego w strajkowaniu?

W czasie ostatnich miesięcy wielokrotnie doszło do strajków wśród pracowników fabryki maszyn MAN. Robotnicy nie chcieli już więcej produkować broni, dzięki której ta bezsensowna wojna wciąż trwała. Nawet Johann Melzer, który tego typu manifestacje uważał za grzech śmiertelny, powiedział, że ludzie zdają się wreszcie odzyskiwać rozum. Marie jednak podejrzewała, że po prostu był zły na MAN, bo w przeciwieństwie do jego fabryki materiałów przedsiębiorstwa produkujące maszyny i huty zbiły fortuny na tej wojnie.

– Jak to dobrze, że przynajmniej u was ludzie pracują – powiedziała Gertrude. – Wciąż produkujecie te brzydkie materiały z papieru?

– Oczywiście – odpowiedział krótko Johann Melzer i pochylił się, żeby wyjrzieć przez okno. Krople deszczu rysowały skomplikowane wzory na szybach, przypominające płataninę polnych ścieżek.

– Nie żebym miała coś przeciwko waszym materiałom – kontynuowała niestrudzona Gertrude. – Ale przy takiej pogodzie te wszystkie rzeczy pewnie rozpułnęłyby się w deszczu. Nie ma przecież jak dobra wełna czy bawełna.

Melzer uparcie milczał, a Marie też się nie odzywała. Zaledwie kilka osób

wiedziało, w jak trudnej sytuacji znajdowała się fabryka. Produkcja materiałów z włókien papierowych niedługo dobiegnie końca, po zawarciu pokoju konkurencja z Anglii i Francji zaleje rynek. Aby dotrzymać im kroku, trzeba będzie inwestować, kupować surowce, uruchomić maszyny, które od tak dawna stały bezczynnie, i zaproponować niższe ceny niż konkurencja. Na to nie wystarczą posiadane rezerwy, trzeba będzie znaleźć kredytodawcę, a bawarski Vereinsbank, który przejął bank Bräuerów, na pewno nie zaoferuje tak dogodnych warunków jak niegdyś Edgar Bräuer. Do tego Klaus von Hagemann postawił horrendalne roszczenia pieniężne, bez których nie podpisze papierów rozwodowych i trzeba będzie wtedy iść do sądu. Wyglądało również na to, że zarówno Kitty, jak i Lisa pozostaną bez środków do życia i będą mieszkać w posiadłości, a może także Tilly i jej matka będą potrzebowały pomocy Melzerów. Jedynym jasnym punktem w tej ponurej sytuacji był Ernst von Klippstein. Przyjaciół Paula wynajął mieszkanie w Augsburgu, miał własny samochód i ciągle był pod ręką, gdy go potrzebowano. Wydawało się, że dysponuje sporymi pieniędzmi, być może mógłby zainwestować je w fabrykę Melzera...

– Dobry Boże! – krzyknęła Kitty i wskazała na okno. – Wygląda to tak, jakbyśmy wybierali się za morze.

Ernst von Klippstein zawołał chłopaka z gospody, żeby pomógł mu wnieść wypakowaną walizkę. Sąsiednią salę panie wykorzystały jako szatnię, podczas gdy Johann Melzer zmienił jedynie buty i skarpety, twierdząc, że spodnie same na nim wyschną.

– Od razu jest człowiekowi przyjemniej – powiedziała Elisabeth, gdy wreszcie przebrała się w suche rzeczy. – Pan Winkler opowiadał wczoraj, że w sierocińcu już czworo dzieci zachorowało na gripę, nic dziwnego przy takiej zimnej, mokrej jesieni.

Rozmawiali przez chwilę o trudnej sytuacji dzieci z sierocińca, chwalili pracę pana Winklera i wreszcie Gertrude zapytała, czy to prawda, że Elisabeth chce zostać w przyszłości nauczycielką.

– W rzeczy samej chcę mieć własne pieniądze i nikomu nie zaglądać do kieszeni.

To śmiałe wyznanie spotkało się z różnymi reakcjami. Alicia westchnęła, Johann Melzer z zapalem wgryzł się w swoją kromkę z marmoladą, a Gertrude Bräuer przewróciła oczami. Kitty i Marie stwierdziły natomiast, że Elisabeth ma całkowitą rację. Czasy, w których kobiety z dobrych domów siedziały bezczynnie, haftując chusteczki, nieodwołalnie minęły.

– Tak samo jak długie spódnice oraz staromodne koczki! – krzyknęła Kitty wojowniczo, unosząc filiżankę. – Jestem artystką i mam zamiar sprzedawać swoje obrazy. Bo dlaczego nie? Inni przecież tak robią!

– Dobry Boże – jęknęła Gertrude. – Naprawdę sądzisz, że ktoś ci za to zapłaci? Co pan na to powie, panie pułkowniku? Chciałby pan, żeby pańska żona zarabiała pieniądze jak jakaś robotnica?

Ernst von Klippstein poczuł, że znalazł się między młotem a kowadłem, bo przecież nie chciał urazić żadnej z pań.

– Cóż, ja w tym momencie nie myślę o ponownym małżeństwie, więc nie mogę zbyt wiele powiedzieć na ten temat, łaskawa pani...

– Ach! Tchórzy pan! Moja Tilly na pewno nie znajdzie się w gronie tych wszystkich robotnic i sekretarek!

Tilly do tej pory jedynie przysłuchiwała się rozmowie w milczeniu, w tej chwili pozwoliła jednak sobie na małe wynurzenie.

– Ja właśnie już myślałam o tym, żeby wnieść cokolwiek do naszego rodzinnego budżetu. Poczta oferuje młodym kobietom z dobrych domów możliwość pracy przy obsłudze międzymiastowych...

Gertruda wzięła głęboki oddech, któremu towarzyszyły odpowiednie efekty dźwiękowe. To przecież niewiarygodne! Obsługiwanie połączeń międzymiastowych? Takie kobiety to przecież łatwy łup dla urzędników pocztowych!

– Nie, dopóki tylko ja żyję! O niebiosa! Gdyby twój ojciec to słyszał! Ale nie usłyszysz. On zresztą i tak zawsze zajęty był bankiem, a na mnie spadały problemy rodzinne. Aż w końcu zostawił nas całkiem same...

Zaczęła łkać. Żal, który tak usilnie w sobie skrywała, spadł teraz na nią z ogromną siłą.

– Ale tak to jest z mężczyznami – pociągała nosem. – Idą na wojnę albo siedzą w biurach. A gdy są potrzebni...

– Już dobrze, mamie – powiedziała Tilly łagodnie. – Bądź spokojna. Będziemy trzymać się razem. Damy sobie radę.

Gertrude wytarła twarz chusteczką i pogładziła córkę po ręce.

– Ale na pocztę nie pójdziesz, Tilly. Zabraniam ci.

– Jak zechcesz, mamie. To był tylko taki pomysł.

Przyniesiono kolejny czajniczek z kawą zbożową, do tego koszyk ze słodkimi wypiekami – drożdżówkami z kremem orzechowym i marmoladą. Okazało się, że to Ernst von Klippstein zamówił te słodkości i za nie zapłacił.

– To naprawdę miłe z pana strony – powiedziała Marie.

– Jestem szczęśliwy, że mogę dać państwu trochę radości.

Kitty wymieniła znaczące spojrzenie ze swoją siostrą – cóż to był za wierny paladyn! Wszyscy jedli z przyjemnością słodkie wypieki i rozmawiali o postanowieniach pokojowych, które wynegocjowano z tak wielkim trudem i które nie wydawały się korzystne dla Niemiec.

– *Vae victis!* – biada pokonanym! – powiedział Johann Melzer. – Kto przegrał, ten musi płacić.

Ernst von Klippstein zaprotestował. Niemcy pod względem militarnym nie są wcale na szarym końcu, mogliby jeszcze walczyć, żeby osiągnąć lepszą pozycję do negocjacji.

– To jak wielu mężczyzn ma jeszcze zginąć? – wtrąciła się oburzona Marie. – Powinno być zupełnie odwrotnie, od dawna trzeba było zawrzeć pokój. Już przed laty. A najlepiej by było, gdyby ta okropna wojna nigdy się nie zaczęła.

Von Klippstein przyznał jej tylko częściowo rację. Oczywiście, można było przyjąć w ubiegłym roku propozycję pokoju przedstawioną przez aliantów, teraz pewnie w Niemczech byłoby lepiej. Jednakże...

– Teraz to już dziecko zostało wylane z kąpielą – mruknął Johann Melzer

i przełknął kawałek drożdżówki, który popijał kawą zbożową. – Trzeba zapłacić reparacje. I to w ciągu roku. Wszyscy będą wyciągać ręce. Najpierw Francuzi, ale też Rosjanie i ci przekłeci Anglicy, Polacy oraz Włosi. Nie mówiąc już o Amerykanach.

– Ale przypisywanie wyłącznej winy za wybuch tej wojny naszemu krajowi jest niesprawiedliwe i nie powinno tak być! – ekscytował się von Klippstein. – Niech najpierw zwrócą się do Austrii. I do Serbii, która właściwie wywołała tę wojnę. To podstępne morderstwo w Sarajewie!

– Nie powinniśmy się teraz denerwować – powiedziała Marie, która bała się, że ta dyskusja będzie trwała w nieskończoność. – Myślę, że dzisiaj już mamy mało czasu.

Von Klippstein od razu zaproponował, że odwiezie panią Bräuer do domu, co ona przyjęła z wdzięcznością. Dla państwa Melzer też znajdzie się miejsce w samochodzie.

– Jeśli będziecie miały odrobinę cierpliwości, moje panie, oczywiście przyjadę po was, żebyście nie wróciły przemoczone do domu.

– To jest bardzo kusząca propozycja – powiedziała Kitty, uwodzicielsko trzepocąc rękami. – Ale razem we cztery chętnie się przejdziemy.

– Ach tak? – zdziwiła się Lisa.

Kiedy poczuła but siostry na swojej stopie, zapewniła pośpiesznie, że bardzo potrzebują świeżego powietrza. Pożegnano się więc i wszyscy włożyli mokre płaszcze oraz kapelusze.

– Nie przeziębicie się, dziewczęta! – krzyknęła Alicia przez okno samochodu.

– Ależ mam! Jesteśmy dorosłe!

– Racja, ciągle o tym zapominam...

Kitty zachichotała. Gdy samochód odjechał w stronę centrum miasta, złapała Marie pod rękę i stwierdziła, że teraz wreszcie zaczęła się najprzyjemniejsza część dnia. Albo najbardziej emocjonująca.

– Co masz na myśli? – zapytała Marie, która знаła spontaniczne wyskoki Kitty i poczuła lekki niepokój. Lisa również wykazała ożywioną ciekawość. Tylko Tilly milczała.

– Zaraz się przekonacie – powiedziała Kitty tajemniczo. – Gwarantuję wam ekscytujące widowisko. Maria Stuart to przy tym nic!

Cztery kobiety szły obok siebie, tak że nadchodzący z przeciwka musieli zejść na jezdnię, żeby je minąć.

– Maria Stuart została w końcu ścięta – przypomniała Elisabeth.

– Mam zamiar zrobić coś podobnego.

– Teraz to ona już całkiem zgłupiała – powiedziała Elisabeth do Marie.

Przeszły kilka bocznych uliczek i znalazły się na Annastraße. Marie, Lisa i Tilly snuły różnego rodzaju spekulacje. Może Kitty grała potajemnie w sztuce teatralnej? Nie? Wynajęła atelier, gdzie maluje nagich ludzi? Nie? Nowy film? Nie? Kochanek? Ależ nie!

– Jesteście wszystkie głupiutki... głupiutki... głupiutkie – śpiewała Kitty. Potem

tak gwałtownie zatrzymała się przed jedną z witryn, że Tilly, która szła z nią pod rękę, prawie się przewróciła.

– Tutaj – oznajmiła.

– Tutaj? A co tutaj jest?

Marie zrozumiała pierwsza. Potem Tilly. Elisabeth potrzebowała najwięcej czasu.

– To jest... fryzjer. Nowa fryzura.

Śmiałym krokiem Kitty weszła do małego pomieszczenia. Właściciel, człowieczek niewielkiego wzrostu, z okrągłymi brązowymi oczami i ciemnymi brwiami, wychodził z siebie z uprzejmości, zaprowadził ją do fotela i zacierał ręce, jakby przygotowywał się do jakiegoś wielkiego przedsięwzięcia. Jej towarzyszki obserwowały Kitty z niepewnością i kołataniem serca, stojąc w drzwiach i wymieniając zaniepokojone spojrzenia.

– Wiesz, że mama zemdleje – powiedziała Lisa karcąco. – A najpierw tata.

– Przeżyją to jakoś. Niech pan zaczyna. Bob. Bardzo krótki. Z... jak to tata mówi?

Z grzywką.

– Jak pani sobie życzy. Choć trochę szkoda tak pięknych włosów.

Rozpuścił upięcie Kitty i jej lśniące ciemne włosy spłynęły falą na plecy i ramiona.

– Na co pan czeka? Same się mają obciąć?

Elisabeth wydała ciche, przepelnione bólem westchnienie, gdy nożyczki obcinały pierwsze pasma. Brzmiało to tak, jakby odpadały z nich szklane włókna.

– A ty byś nie chciała, Marie? – zapytała Kitty, która z fascynacją obserwowała w lustrze cały proces. – Byłoby ci pięknie!

Nie, Marie pod żadnym pozorem nie chciała poświęcić swoich długich włosów. Co by na to powiedział Paul, gdy wróci? Ach, teraz, skoro nastanie pokój, już niedługo ponownie się zobaczą. Nadzieja jednak potrafi być bolesna.

– A ty, Tilly? Bob z grzywką w kolorze blond wyglądałby jak marzenie!

Tilly uznała, że jej matka ma już dość zmartwień i nie powinna dokładać jej kolejnych. Może później. Nie miała nic przeciwko temu, na pewno byłoby to praktyczne uczesanie. Kitty odsunęła włosy z twarzy i patrzyła z podziwem na swoją nową grzywkę. Wspaniała. Nie mogła się już doczekać, by fryzjer wyraził zadowolenie z jej fryzury.

– Pasuje pani po prostu znakomicie, łaskawa pani. Jak gdyby wynaleziono tę fryzurę specjalnie dla pani.

Miał rację. Włosy Kitty wyglądały dokładnie tak, jak dyktowała moda, leżały luźno, uniesione ślicznie na czubku głowy, i tworzyły dwa urocze zawinięcia za uszami, nazywane szóstkami. Grzywka świetnie pasowała do kształtu jej niebieskich oczu.

– No? I co sądzicie? – pytała triumfująco, potrząsając głową i przeczesując palcami włosy.

– Wspaniale – westchnęła Tilly.

– Całkiem niebrzydki – brzmiała opinia Marie.

Elisabeth milczała. Podeszła do Kitty. Pogładziła jej włosy, pociągnęła za nie, rzuciła kilka ściętych pasemek z ciemnej peleryny, którą fryzjer zawiązał jej wokół szyi.

– Proszę dla mnie to samo – oświadczyła głośno.

Teraz to mamy bałagan! – powiedziała Fanny Brunnenmayer.

Kucharka rozłożyła przed sobą na kuchennym stole „Augsburger Neuesten Nachrichten” i studiowała jeden z artykułów, posługując się okularami Else.

– Co tam znowu? – jęknęła Else. – Jeszcze będziemy chcieli, żeby wojna wróciła. Przynajmniej tutaj w Augsburgu był spokój i cisza. Ale odkąd mamy republikę i nasz dobry cesarz nas opuścił, wszędzie jest coraz większy bałagan. Człowiek się nie odważy wyjść na ulicę.

Kucharka upomniała ją, żeby nie gadała bzdur. Nikt z pewnością nie chce powrotu wojny. Ale o republice to ona paplała bez sensu.

– Teraz mamy Republikę Rad⁴⁰, Else – powiedziała. – Tak napisali w gazecie.

Else spojrzała z ukosa na zadrukowaną grubo stronę, ale najwyraźniej nie miała ochoty zagłębiać się w artykuł. Zresztą Brunnenmayer miała na nosie jej okulary.

– I co to jest ta Republika Rad?

Mimo że przeczytała artykuł dwukrotnie, Fanny Brunnenmayer nie potrafiła pojąć głębszego sensu tej formy rządu. Zrozumiała tylko tyle, że teraz będą rządzić przedstawiciele ludu i robotników i niedola społeczeństwa wkrótce dobiegnie końca. To ostatnie obiecywał też poprzedni rząd.

– Zmagamy się z rosyjskimi roszczeniami – powiedziała kucharka głucho. – Wybrali też rewolucyjną radę robotniczą i to ona teraz decyduje.

Else zrobiła wystraszone oczy. Panicznie się bała robotników, którzy ciągle strajkowali i włóczyli się po ulicach. A do tego jeszcze to brzydkie słowo rewolucja. Jak w Rosji. A potem ci rewolucjoniści się wzajemnie zabijali, bolszewicy i ci inni, jak oni się nazywali? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Nie miało to jednak większego znaczenia, oni też byli źli, tamci Rosjanie...

– Wszystko przez tych robotników – jęknęła. – Dlaczego oni teraz mają mieć ostatnie słowo? Przecież oni nic nie wiedzą. Kłóć się ciągle i wał się po głowach. Jeszcze będą cierpieć przez to, że pozbyli się naszego dobrego cesarza Wilhelma.

Humbert przyniósł do kuchni tacę pełną brudnych naczyń i z gracją włożył je do zlewu. Obwieścił, że państwo chcieliby teraz napić się kawy.

– Wydaje się, że w fabryce też maszyny teraz stoją. Strajk generalny, jak go nazywają. Młoda pani Melzer i pan dyrektor siedzą ze wszystkimi przy śniadaniu i dyskutują o nowej republice. W Monachium już ją ogłoszono.

– Republikę Rad – rzuciła Else w jego stronę, na co on odpowiedział zdziwionym spojrzeniem. Else zazwyczaj nie wiedziała zbyt wiele na temat procesów politycznych.

– Tak, wiem, że to się tak nazywa. Pani von Hagemann jest tym bardzo podekscytowana, bo pan Winkler jest w to zaangażowany. On jest teraz ważnym człowiekiem w Augsburgu.

– Ten pan Winkler, który prowadzi sierociniec? – zdziwiła się Brunnenmayer. – On i ważny człowiek, to dopiero zabawne!

Kucharka zaparzyła świeżą kawę, z prawdziwych ziaren, które pułkownik von Klippstein gdzieś zdobył i podarował rodzinie Melzerów. Dla pracowników pozostał oczywiście drugi sort, choć i tak był o niebo lepszy niż ta zatęchła kawa zbożowa.

Jakby zwabione zapachem kawy, również Hanna i Auguste postanowiły spędzić krótką popołudniową przerwę w kuchni.

– Jest kawa? – zapytała Auguste i spojrzała z zazdrością na czajnik, w którym gotowała się woda. – Czy znowu jest tylko dla „pań z lazaretu”?

– Ona jest tylko dla państwa – warknęła Brunnenmayer. – Podaj no dzbanek, Humbert.

Na dnie dzbanka przyniesionego od państwa znajdowały się fusy, które kucharka zalewała teraz wodą.

– Pamiętacie, jak Jordan odczytywała przyszłość z fusów po kawie? – zapytała Auguste i podstawiła przed Brunnenmayer swój pusty kubek. – Przepowiedziała ci wielką miłość, prawda, Else?

Else milczała zawstydzona. O takich bzdurach nikt nie powinien pamiętać.

– To akurat wyczytała z kart – powiedziała Hanna. – I może jednak trafi się ktoś...

– A co ty tam masz w kieszeni fartucha, Hanna? – dopytywała się Auguste. – List? Od swojego pięknego kochanka. Jejku, masz szczęście, że wojna już się skończyła, bo mógłby spędzić życie w więzieniu.

Hanna ostrożnie położyła rękę na kieszeni fartucha, z której wystawał rant koperty. Za nic na świecie nie chciała dopuścić, żeby ten list, który właśnie przyszedł razem z pocztą, został otworzony tutaj w kuchni.

Szkoda, pomyślała Auguste, chętnie bym się dowiedziała, co tam było napisane.

– Że też połknęłaś wtedy to świństwo od Jordan. Ja tego nie zrobiłam. I bardzo dobrze – kontynuowała. – Jordan zawsze sprzedawała te swoje środki. Nie chcę nawet wiedzieć, ile biednych dziewczyn ma na sumieniu.

Widziała wczoraj Marię Jordan na Maximilianstraße. Prowadziła grupę dziewczynek z sierocińca, robiących spory hałas. Były i mniejsze, i większe. Musiały wszystkie iść w parach i trzymać się za ręce. Były całkiem energiczne, maszerowały jak żołnierze, tylko ciszej. A Jordan przed nimi, stara wrona...

Humbert wiedział, że pan Winkler często ostatnio powierzał odpowiedzialność za sierociniec swoim pracownikom, bo udawał się na zebrania Rady.

– On ma jakieś szalone wizje, ten pan Winkler – powiedział, potrząsając głową. – Coś w rodzaju, że wszyscy ludzie są równi, że nie będzie już panów i sług. I że mój zawód już nie ma przyszłości.

Auguste słuchała z błyszczącymi oczami.

– Jeśli nie wygadacie się... – powiedziała cicho i pochyliła się lekko, żeby siedzący przy stole lepiej ją słyszeli.

– O co chodzi? – zapytała Hanna z zaciekawieniem.

Auguste rozejrzała się wokół, była zadowolona, że oczy wszystkich były skierowane na nią.

– Ach, sama nie wiem – powiedziała i odsunęła się. – Lepiej nic nie powiem. Gustl by mnie ukamienował, gdyby się dowiedział, że prawie wypaplałam...

Sprawiła tym, że ciekawość wszystkich osiągnęła punkt kulminacyjny.

– Teraz dopiero zrobiłaś się ważna i każesz nam się prosić!

Else dała jej kuksańca łokciem. Auguste nawet nie poczuła, bo od czasu swojego trzeciego porodu w ubiegłym roku jej kształty zyskały na obfitości. Oczywiście znowu był to chłopiec, Gustl potrafił płodzić jedynie chłopców.

– No dobrze, ale musicie mi przysiąc, że ani jedno słowo, które zostanie wypowiedziane w tej kuchni, nie powędruje na górę do państwa.

Zapewniono ją o tym, tylko kucharka warknęła, że ona ma jeszcze dużo pracy i odpuści sobie ten teatrzyk robiony przez Auguste.

– Gustl myśli o małym gospodarstwie ogrodniczym. Kupi od Melzerów kawałek ziemi i będzie uprawiał kwiaty i warzywa na sprzedaż. Może też hodował kury i gęsi.

Zaskoczenie było ogromne. Kucharka powiedziała, że jeśli ktoś ma w głowie różne szalone pomysły, to w końcu muszą one z niej wyskoczyć. Else zachichotała głupiutko, Humbert wzruszył ramionami, a Hanna powiedziała, że Melzerowie przecież nigdy nie zechcą sprzedać Gustavowi swojej wspaniałej ziemi.

– A jeśli nawet, to jak chcecie za to zapłacić? – zapytał Humbert.

– Auguste rzetelnie oszczędzała – powiedziała Else znacząco. – I Liesel przyniosła wam trochę szczęścia.

– Ach, przestań paplać!

Auguste nie zdenerwowała się zbyt mocno tym komentarzem, zwłaszcza że Else miała sporo racji. Alimenty, które wypłacił jej major, trzymała schowane w pończosze, nie wydała z nich ani feniga. Trzeba było myśleć o przyszłości, a na to Gustav był zbyt pros-toduszny. Auguste jednak nie była głupia, od dawna wiedziała, dokąd to wszystko zmierza. Fabryki tekstylne od dłuższego czasu ledwie przędły, niektórzy musieli je sprzedać, inni z trudem utrzymywali się na powierzchni. Melzerom też nie szło dobrze, dlatego więc nie mieliby sprzedać kawałka ziemi za dobre pieniądze?

– Jeśli sądzicie, że będziecie utrzymywani przez Melzerów do końca życia, to się grubo mylicie – powiedziała głośno. – Może wcześniej tak było, ale teraz żyjemy w nowych czasach. Pan Winkler ma całkowitą rację. Niedługo ludzie nie będą mieć służby w domach i każdy się będzie musiał troszczyć o siebie...

– Ty masz chyba szpinak zamiast mózgu – powiedziała gorzko kucharka.

– Niedługo sama zobaczysz, Brunnenmayer.

– A teraz precz stąd – ofuknęła ich kucharka. – Jest już dziesiąta. Idź do lazaretu Else i zapytaj Schmalzler, kiedy przyjdzie z pielęgniarkami na przegryzkę. Muszę iść dzisiaj na zakupy do miasta.

Else niechętnie się rozstała z wygodną ławką kuchenną. Auguste powiedziała, że dzień zapowiada się słoneczny, więc Humbert mógłby wynieść dywany z czerwonego salonu do trzepania.

– Srebra muszą zostać wyczyszczone – odpowiedział Humbert, który nie znoślił, gdy Auguste zrzucała na niego brudną robotę. – Ten ładny komplet cały szerniał. Będzie wstyd, jeśli się taki położy na stole.

Else wróciła i powiedziała, że u diabła nie wiadomo, co się dzieje w szpitalu, bo obie siostry nie stawiały się na dyżur. Elektryk, który wrócił do domu jakiś czas temu, też

strajkuje.

– Panna Schmalzler prosi więc, żeby przynieść kawę i kanapki do lazaretu. Pracują dzisiaj same z Tilly Bräuer i nie będą miały czasu, żeby przyjść do kuchni.

To Hanna miała zanieść talerze z jedzeniem do lazaretu, a Brunnenmayer i Else poszły na zakupy. Słyszały bowiem, że w sklepie Rosel Steinmayer od wczoraj można było kupić egzotyczne przyprawy. Papryka, curry i gałka muszkatołowa. Niezbyt tanie, ale na małe torebeczki budżet domowy powinien wystarczyć. Auguste i Humbert poszli do czerwonego salonu zwijać dywany, Hanna została sama w kuchni. Rozpaliła ogień w kuchennym piecu i postawiła czajnik na płycie, żeby zagotować kawę. Pokroiła chleb na kromki i położyła na nich plastry kielbasy. Woda dość długo nie chciała się zagotować, więc usiadła na ławce i wyciągnęła list z kieszeni fartucha. Podniosła głowę, nasłuchując – nie, nikogo nie było na schodach dla służby, a w szpitalu były potrzebne każde dodatkowe ręce do pomocy. Położyła kopertę przed sobą na stole i wpatrywała się raz jeszcze w adres:

*Panienka Hanna Beber
Fabryka Tkaniny
Dom Melzer
Augsburg Germania*

Cud, że listonosz jej to przyniósł. Dotykała palcami linijek, były napisane atramentem i zdobione dziwnymi zawijasami. Autor listu najwyraźniej nie był przyzwyczajony do używania łacińskiego alfabetu, był Rosjaninem i pisał czcionką rosyjską. Jak ona się nazywała? A, cyrylica. Jej serce łomotało jak skrzydła dzikiego ptaka. Otworzyć list? Czy wrzucić od razu do ognia? Po prostu wstać, zestawić czajnik, odsunąć pokrywę pogrzebaczem, żeby w otworze pojawiły się płomienie, i im go oddać. Żadnego listu, żadnego żalu, żadnej nadziei.

Zamiast tego odwróciła list i zobaczyła nadawcę. Był zapisany cyrylicą i wychodziły jej same niedorzeczności, gdy próbowała odczytać te słowa. „Zpuzopuu” i „wykob”. Ale miasto było napisane i cyrylicą, i w alfabecie zachodnim – Piotrogród. Wytarła oczy i uniosła głowę. Nie było teraz sensu płakać. Co się stało, to się nie odstanie. Zabiła swoje dziecko, zabiła dziecko Grigorija. Jak miała mu to wyjaśnić? Ach, mógł nigdy nie wysłać tego listu!

Wreszcie wzięła nóż i rozcięła kopertę. List to była jedna kartka papieru w linie, wyrwana z zeszytu i złożona na pół. W środku był banknot.

Moja ukochana Hanno. Przyjechałem z Zurychu do Piotrogradu kolejką cztery dni wcześniej. Mój rodzice i rodzina zdrowe i się cieszą. Ty przyjedzie do Piotrogród ja

ciebiem czekam. Weź ruble i kup bilet na kolej. Kocham Cię.

Grigorij

Czy napisał mu to ktoś, kto znał alfabet łaciński? Mimo to musiała niektóre fragmenty czytać po kilka razy, żeby zrozumieć ich sens. Tak więc udało mu się uciec do Szwajcarii i stamtąd pojechał do Piotrogradu. Cztery dni po swoim przybyciu do ojczyzny napisał do niej list. I wysłał nawet pieniądze. Oglądała banknot. Był to szary kawałek papieru, na którym widniała bogato ubrana kobieta. Była młoda i piękna. Nosila koronę z welonem, a w rękach trzymała tarczę i miecz. Była carycą? Ale mówiono przecież, że w Rosji przepędzono carów. Po lewej stronie carycy była nadrukowana liczba. Jedyńka i trzy zera. Tysiąc rubli. O Boże, ile to by było w niemieckich markach?

Usłyszała, że ktoś kaszle na schodach, i pośpiesznie schowała kopertę i pieniądze. Woda gotowała się już od jakiegoś czasu, kropelki wylatywały spod pokrywy czajnika na gorącą płytę i syczały, zamieniając się w parę. Humbert wszedł do kuchni, kaszłąc, i kichnął dwa razy.

– Dywany... kurz... obrzydliwe... – chrząknął. – Czy jest jeszcze kawa?

Hanna szybko wepchnęła list do kieszeni fartucha i wlała zagotowaną wodę do przygotowanego wcześniej dzbanka. Nalała kawę do filiżanki i podsunęła Humbertowi.

– Tak. Cukier stoi obok ciebie.

– Dziękuję.

Gdy on dmuchał w gorącą kawę, ona postawiła dzbanek i talerz z kanapkami na tacy i chciała zanieść do lazaretu.

– Tutaj – powiedział Humbert i pochylił się. – Coś ci wypadło.

Przerażona postawiła tacę na stole i wzięła od Humberta zmięty list.

– Z Rosji, tak? – zapytał.

Humbert był inny niż reszta. Hanna go lubiła. Kiedy policjant ją przesłuchiwał i kiedy prawie nie umarła ze strachu, Humbert ją uratował. Nigdy mu tego nie zapomni.

– Tak – odpowiedziała cicho.

Humbert spojrział na nią i milczał chwilę.

– Od Grigorija?

Przytaknęła. Wzięła głęboki wdech i starała się wygładzić kartkę.

– Chce, żebym do niego pojechała. Wysłał nawet pieniądze. Tysiąc rubli...

Humbert patrzył zdziwiony na zmięty banknot. Czy to dużo warte? Hanna wzruszyła ramionami.

– I tak nie mogę do niego jechać.

– Dlaczego?

Przełknęła ślinę i nie była pewna, czy powinna mu powiedzieć. Ale przecież i tak już chyba wiedział. Wszyscy wiedzieli.

– Dziecko – powiedziała. – Bo przerwałam ciążę. A doktor powiedział, że nie będę mogła mieć więcej dzieci.

Humbert spojrział na nią ze współczuciem i potrząsnął głową.

– Może to nieprawda.

Hanna uśmiechnęła się smutno. Tak, może doktor się pomylił. Tylko dziecko, ono było martwe, nieochrzczona dusza. I to był okropny grzech. Nie, nie mogła jechać do Grigorija do Piotrogradu. Co by na to powiedziała jego rodzina?

– Jeśli chcesz, dam ci te tysiąc rubli, Humbert. Możesz je wymienić i pojechać za nie do Berlina.

Opowiedział jej o Rosie Menotti. Tylko jej. Obiecała dotrzymać tajemnicy.

– W żadnym razie! – krzyknął. – Pieniądze są twoje, Hanno.

– Ale ja ich nie potrzebuję. Będziesz bardziej zadowolony, gdy wrzucę je do ognia? Zrobił gest wyrażający bezradność i burknął, że jest strasznie głupia.

– Nie kochasz go?

Hanna chwyciła tacę.

– O tym już nie ma mowy – powiedziała i wyszła z kuchni.

40 Powołana 13 kwietnia 1919 roku, podczas rewolucji listopadowej 1918/1919, republika socjalistyczna na terenie Bawarii.

Pan zmartwychwstał! Alleluja! Idźcie teraz w pokoju!

Słowa pozdrowienia wielkanocnego zagrzmiały w wypełnionym po brzegi kościele, a za nimi popłynęła melodia z organów. Wierni wstali z ławek i zaczęli się kierować do wyjścia.

Ławka rodziny Melzerów znajdowała się z przodu kościoła, niedaleko ołtarza. Był to przywilej poważanych obywateli. W czasie wychodzenia z kościoła sprawdzała się jedna z przypowieści, mówiąca o tym, że pierwsi będą ostatnimi, bo gdy kościelny nie otwierał bocznych drzwi, Melzerowie musieli długo czekać, aż droga na zewnątrz wreszcie będzie wolna. Uzbroili się więc w cierpliwość, witali z przyjaciółmi i znajomymi, życzyli sobie wzajemnie szczęśliwych świąt wielkanocnych, a Rosa Knickbein miała pełne ręce roboty, żeby bliźniaki nie kaprysiły. Zwłaszcza Dodo zawsze zaczynała płakać, gdy zapach kadzidła rozchodził się po kościele. Kitty zdecydowała się nie uczestniczyć we mszy wielkanocnej z małą Henni, bo dziewczynka miała gorączkę.

– A gdzie się podziewa nasz drogi paladyn? – zapytał Johann Melzer z ironią wyczuwalną w głosie.

– Klippi wyszedł wcześniej, bo chce podjechać samochodem tuż pod bramę kościoła. Bał się, że możemy się przeziębic.

– To taki miły człowiek – powiedziała Alicia. – Niewiarygodne, że ta Amanda tak haniebnie go oszukała.

– Adele, mamó. Ma na imię Adele – sprostowała Elisabeth.

– Prawda, Adele. O mój Boże, Lisa. Naprawdę pozwól odrosnąć swoim włosom!

– Mamó, proszę cię!

Elisabeth nosiła ciemny kapelusz w kształcie odwróconej miski, spod którego wystawały krótkie włosy. Nie, zdecydowanie nie wyglądała tak dobrze jak Kitty w tej nowoczesnej fryzurze, jak zauważyła Marie. Podobno nawet Sebastian zareagował niechętnie na tę zmianę. Chociaż walczył o postęp ludzkości oraz rządu ludu, w kwestiach osobistych był mocno konserwatywny. Kobieta nie powinna pozować na osobę światową, tylko pozostać „naturalna”. Długie włosy, długa spódnica, łagodne usposobienie. Kobiety nie powinny też palić papierosów, bo było to wulgarne. Nie uznawał również używania szminki ani lakieru do paznokci.

– Sprawdźmy może, czy uda nam się przejść – zasugerowała Marie, trzymając na rękach kwilącą Dodo. – Moja mała dziewczynka potrzebuje świeżego powietrza.

– Czego potrzebuje? – zapytał Johann Melzer, który gdy grały organy, źle słyszał.

– Świeżego powietrza! – krzyknęła głośno Marie.

Rozejrzała się zaraz dookoła przerażona, bo dokładnie wtedy, gdy krzyknęła, organy ucichły i jej słowa rozniosły się echem po kościele. Wyłowiła rozbawione spojrzenia zgromadzonych. Pani dyrektorowa Wieslerowa zapytała, czy mała nie jest chora.

– Ależ nie... to przez kadzidło... Za każdym razem, gdy...

Marie nie dokończyła, bo przy drzwiach kościoła zrobiło się nagłe zamieszanie. Ludzie przeciskali się między dwoma ministrantami, nie zważając na worek, do którego zbierali jałmużnę, przepychali się na zewnątrz, ale część z nich wracała do kościoła.

– Kryć się! Wszyscy do środka! – krzyknął ktoś.

Jakaś kobieta wrzasnęła, bo ktoś ją popchnął na filar. Dzieci płakały, na zewnątrz czekały psy.

– Co się dzieje? – jęknęła Alicia.

Tilly i jej matka były już w połowie drogi do wyjścia, ale teraz przystanąły przestraszone.

– Słyszycie? – spytała Marie. – Jestem prawie pewna, że na zewnątrz słychać wystrzały.

– Ależ to przecież jakieś brednie! – powiedział rozgniewany Johann Melzer.

Dał się słyszeć odgłos eksplozji, ludzie wpadli w panikę.

– Oddziały rządowe... Oni wszystkich wystrzelają!

– Zostać w kościele – tutaj jesteśmy bezpieczni!

– Zrobić przejście. Nasze dzieci są w środku. Muszą nas przepuścić!

Przepychanie się przy wejściu przybrało na sile, jakieś dziecko zostało popchnięte na podłogę i łkało rozpaczliwie, kobiety wymyślały na głos, kościelny wybiegł z zakrystii z wielkim pękiem kluczy w ręce.

– Zachowajcie spokój, bracia w wierze – rozległ się głos wielebnego Leutwiena. – Kto chce wyjść, niech idzie powoli i nie popycha innych. Kto chce pozostać w domu Bożym, niech odejdzie na bok, żeby zrobić przejście dla wychodzących.

– On otwiera boczne drzwi – szepnęła Elisabeth do matki. – Szybko, wychodzimy!

Nie byli jedynymi, którzy zobaczyli, co robi wielebny Leutwien. Ludzie natychmiast się stłoczyli przed bocznymi drzwiami. Mimo to, bez specjalnego wysiłku, Melzerom udało się wyjść na plac kościelny. Stał tam prawnik Grünling, prowadząc burzliwą rozmowę z małżeństwem Manzingerów i doktorem Greinerem.

– Wracajcie szybko do domu! – krzyknął do nich doktor Greiner. – Oddziały rządowe wkroczyły do Augsburga. Weszły tu jednocześnie z północy i południa. W dzielnicy Lechhausen toczy się walka...

Marie zrobiła się blada. W Lechhausen. To zaledwie kilka kilometrów od dzielnicy przemysłowej, w której znajdowała się posiadłość.

– Będą zajmować domy? Zatrzymywać mieszkańców? – krzyknęła jej teściowa.

– Ale jak to możliwe? – zdenerwował się Melzer. – Przecież odbyły się negocjacje. Republikę Rad rozwiązano. Spełniono wszystkie warunki rządu Hoffmanna.

Prawnik wzruszył ramionami. Kto może to wiedzieć? Republika Rad utrzymała się pięć dni, ale stary rząd, który uciekł do Bambergu, nałożył na Augsburg blokadę żywnościową, więc w końcu musieli się z nimi ułożyć. Wszystko wydawało się wracać do normy, jednoczyć, Augsburg stał otworem dla starego rządu. Czego więc chciały te oddziały?

– Idą do Monachium i nas atakują, bo mają po drodze.

– Mówi się, że nie ufają Augsburgowi i dlatego wolą nas rzucić na kolana.

– To jest haniebne!

– Dopiero co skończyła się wojna, a już my Niemcy zaczęliśmy wzajemnie się mordować.

– Ach, przecież nie będzie tak źle.

– Niech dobry Bóg usłyszy pańskie słowa, doktorze Grünling!

Marie z małą Dodo na rękach obeszła kościół i gdy doszła do głównego wejścia, pomachała do reszty podekscytowana. Pan von Klippstein czekał na nich z samochodem. Trzeba było się śpieszyć, by wrócić do Willi, zanim żołnierze opanują centrum miasta. Melzerowie zastosowali się do wskazówek Marie, również Tilly i Gertrude Bräuer ruszyły w kierunku głównej bramy kościoła Świętego Maxa. Mały Leo wrzeszczał na kościelnym placu, bo chciał iść na własnych nogach, zamiast być taszczonym przez Rosę.

– Co z tobą, Liso?

Tilly odwróciła się do Elisabeth, która nie poszła razem z innymi. Lisa wykonała obronny gest ręką w kierunku Tilly i powiedziała coś do doktora Greinera. Ten uklonił się i przytaknął trzykrotnie, a następnie pośpiesznie poszedł za Melzerami. Najwyraźniej zaoferowała mu miejsce w samochodzie. Tilly odłączyła się od matki i podbiegła do Lisy.

– Dlaczego nie idziesz z nami? Chcesz zostać w centrum? Nie słyszałaś? Oddziały zajmą niebawem całe centrum. Ratusz, dworzec. Może dojść do zamieszek...

Elisabeth miała minę zdeterminowaną, co być może podkreślały też jej krótkie włosy wystające spod kapelusza. W przeciwieństwie do Kitty, która prezentowała się w nowej fryzurze jeszcze bardziej pociągająco, Lisa wyglądała na osobę zasadniczą.

– Zostaję, Tilly. Nie myśl o tym i wracaj do reszty.

Tilly patrzyła przed siebie bez ruchu, a potem ją oświeciło. Mimo że od czasu do czasu zachowywała się dziwnie, była przecież inteligentną dziewczyną.

– Chcesz ostrzec pana Winklera?

Lisa milczała, ale rumieniec, który oblał jej twarz, wyjawiał wszystko. Oczywiście, że martwiła się o Sebastiana Winklera. Wymieniali się książkami, pili razem herbatę, namawiał ją, żeby została nauczycielką...

– Ale on na pewno od dawna o tym wie. Nie pomożesz mu, Liso.

– On musi się gdzieś ukryć, Tilly. Jeśli go znajdą, na pewno go zaaresztują. On był przecież zaangażowany w stworzenie tej nieszczęsnej republiki.

Tilly spojrzała na nią.

– Co więc zamierzasz?

– Musi przebrać się dla niepoznaki w stare ubrania i przeprowadzę go bocznymi uliczkami przez Lechhausen. Ukryjemy go w posiadłości, aż miną zamieszki. Jako jednego z pacjentów lazaretu nikt go nie rozpozna.

To brzmiało ryzykownie. Tilly wahała się, ale gdy Elisabeth poszła w kierunku Jakoberstraße, Tilly do niej dołączyła.

– Idę z tobą, Liso.

– Ale ty nie możesz mi pomóc.

– To nie wróży nic dobrego, jeśli młoda kobieta będzie sama przemykać bocznymi uliczkami.

Elisabeth nie zgodziła się z nią. Dość często chodziła sama do sierocińca, żeby odwiedzić Sebastiana. Ale że nie był to czas, by kłócić się o konwenanse, poszły po prostu

przed siebie i choć Tilly szybko chodziła, trudno jej było nadążyć za Elisabeth. W mieście panowało poruszenie, wiadomość o nadciągających żołnierzach rozniosła się z prędkością błyskawicy i napawała ludzi strachem. Niezmiennie i spokojnie stał tam natomiast starszy mężczyzna z koszem pełnym wielkanocnych żonkili, które chciał sprzedać ludziom wychodzącym z kościoła, i nie wiedział zupełnie, co się dzieje i dlaczego wszyscy przebiegają obok niego zdenerwowani. Na Jakoberstraße sprzedawcy zasłonili witryny sklepów drewnianymi okiennicami, inni chowali produkty z półek do magazynów, bo obawiali się kradzieży. W oknach domów było jednak widać wielu ciekawskich, którzy czekali na wkroczenie żołnierzy.

– Z jakiego powodu mieliby wejść do sierocińca? – zapytała Tilly, której wskutek szybkiego marszu brakowało tchu. – Wystarczy, że nie będzie się wychylać, a nic mu się nie stanie.

Elisabeth stanęła przed drzwiami Siedmiu Męczennic i nacisnęła dzwonek.

– Jego nazwisko i pozycja są przecież powszechnie znane, głupiutka – powiedziała do Tilly. – Był członkiem delegacji negocjacyjnej. Będą go tutaj szukać.

Tilly w to wątpiła, ale milczała, żeby bardziej nie irytować Lisy.

– Otwórzcie! To ja, pani von Hagemann!

W odpowiedzi na nieustępliwe dzwonicie i pukanie na piętrze otworzyło się okno. Pojawiła się w nim głowa chłopca o blond włosach i okropnie odstających uszach.

– My jesteśmy tylko sierocińcem. Nie mamy nic wspólnego z Radą!

Elisabeth spojrzała na chłopaka i wzięła się pod boki.

– Thomasie Benedictusie, nie poznajesz mnie?

Chłopiec wyciągnął szyję, żeby lepiej się przyjrzeć stojącym na dole kobietom, ale był niewielkiego wzros-tu i można było mieć obawy, że wypadnie przez okno.

– Nie mamy nic wspólnego z Radą! – powtórzył wyuczone zdanie.

– Do jasnej cholery – zaklęła Elisabeth. – My nie jesteśmy żołnierzami. Powiedz panu Winklerowi, że bez obaw może otworzyć drzwi.

W oknie pojawiła się teraz druga głowa i Tilly rozpoznała spiczasty nos Marii Jordan. Założyła okulary, żeby lepiej widzieć, kto przyszedł.

– Ach, to pani, pani von Hagemann. A już się baliśmy, że to żołnierze stoją przed drzwiami, bo tak mocno był naciskany dzwonek.

Elisabeth przewróciła oczami. Do tej pory nie było widać w okolicy żadnych żołnierzy, więc Jordan nie powinna się obawiać.

– Dobrze, dobrze – powiedziała Maria Jordan. – Musi pani zrozumieć, jestem tutaj sama z dziećmi, więc trzeba być ostrożnym i nie wolno...

– Jest pani sama? – krzyknęła przestraszona Elisabeth. Zaraz jednak zniżyła głos, żeby nie słyszeli jej sąsiedzi. – Dyrektora Winklera nie ma w domu?

– A kiedy on jest w domu? – prychnęła Jordan. – On zajmuje się tylko tymi swoimi posiedzeniami, chodzi na zebrania robotników i przemawia. A ja muszę wykonywać tutaj całą pracę.

– A gdzie on teraz jest?

Maria Jordan tak wspaniale czuła się w swojej roli, że trudno jej było przerwać wypowiedź. A doskonale wiedziała, dlaczego pani von Hagemann tak się denerwuje.

– Gdzie on może być? W ratuszu najpewniej. Jeżeli nie został wywieziony wraz z innymi z Rady i powieszony.

– Co pani wygaduje, panno Jordan? – spytała Elisabeth, nagle blednąc. – Dlaczego mieliby wypędzać ich przedstawicieli, a tym bardziej wieszać?

– Skąd to wiem? – odpowiedziała Jordan, wzruszając ramionami. – Grabarz powiedział, że oddziały rządowe w Augsburgu i Monachium powiesiły wszystkich mężczyzn, którzy byli związani z Republiką Rad. Liczył na duży zarobek, chciwy typ...

Tilly objęła Lisę i odciągnęła ją od wejścia do sierocińca na ulicę. To był najwyższy czas, bo słychać już było zbliżające się wystrzały i oddziały rządowe najpewniej za chwilę wejdą do centrum miasta.

– Chodź już, Liso. Jeśli jest w ratuszu, nic nie możemy zrobić. Nie pomożesz mi, jeśli sama narazisz się na niebezpieczeństwo.

Elisabeth jednak wyrwała się jej i pobiegła w stronę Perlachberg. Tilly nie pozostało nic innego jak pójść za nią, aby powstrzymać ją przed nieprzemyślanymi działaniami.

– Bądź rozsądna, Liso... Proszę cię... Pomyśl o rodzicach. Jeśli coś by ci się stało...

– Nie prosiłam cię, żebyś szła za mną – odpowiedziała gniewnie Elisabeth i przyśpieszyła kroku.

Nie mogąc złapać oddechu, szła ulicą pod górę, mijając spanikowanych ludzi, zabarykadowane w pośpiechu wejścia do domów i bezpieczne psy.

– Pani von Hagemann! – krzyknął ktoś z okna. – Pani Bräuer! Gdzie panie chcecie iść? Na miłość boską, zostańcie tu!

Skręciły za róg i stanęły jak wryte. To byli oni. Żołnierze zajęli już cały plac przy ratuszu. Konne oddziały przemieszczały się w małych grupach w stronę ulicy, piechota otoczyła ratusz i przylegające do niego budynki, od Maximilianstraße zbliżał się oddział artylerii, wystrzeliwując od czasu do czasu niewielki pocisk.

– Za późno! – jęknęła zrozpaczona Elisabeth, opierając się plecami o ścianę. – O mój Boże, oni ich otaczają. A on jest winien tylko tego, że chciał sprawiedliwości dla wszystkich ludzi. Wstawił się za biednymi i pozbawionymi praw. Och, Tilly, za to przecież nie można nikogo powiesić!

Wystrzały świszczały na całym placu, na Karolinenstraße słychać było wzrastający tumult. Jak się wydawało, doszło tam do jakichś walk, ale z daleka trudno było stwierdzić, kto stawiał opór oddziałom rządowym. Tilly pociągnęła Lisę do najbliższego wejścia do domu, bo grupa konnych żołnierzy właśnie wjeżdżała w ulicę. Jechali kłusem, końskie podkowy stuknęły o bruk, żołnierze mieli na sobie mundury cesarskiej armii, choć były one trochę zniszczone i nie zawsze kompletne. Byli uzbrojeni w karabiny i bagnety i czujnie się rozglądali po drzwiach i oknach domów. Dwie młode kobiety, które z przerażeniem w oczach się do siebie tuliły, wydały im się niegroźne. Jeden z jeźdźców w mundurze uśmiechał się do nich od czasu do czasu, pochylił potem głowę, jakby chciał się przywitać, i pojechał dalej.

– To są ci sami żołnierze, którzy walczyli za cesarza i ojczyznę – powiedziała Tilly ze złością. – Teraz strzelają do własnych ludzi.

Elisabeth była zdruzgotana. Czy nie przelano już dość krwi? Ale najwyraźniej byli jeszcze mężczyźni, którzy lubili zawód żołnierza i nie chcieli z niego rezygnować. I było im obojętne, czy walczyli w Rosji, we Francji czy we własnym kraju.

Coraz więcej żołnierzy wjeżdżało w uliczkę. Walki po drugiej stronie placu toczyły się dalej i Tilly widziała teraz, że byli tam młodzi robotnicy, którzy postawili barykadę na ulicy. Bronili się zawzięcie przeciwko żołnierzom, strzelano gwałtownie, słychać było wydawane rozkazy, została przygotowana broń.

– Nie będą przecież rzucać granatów – jęknęła Elisabeth. – Nie w samym środku naszego pięknego Augsburga. Na ulicach są przecież niewinni ludzie, kobiety i dzieci...

Ktoś za ich plecami przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi, robiąc niewielką szparę. W zaciemnionym korytarzu Elisabeth rozpoznała szczupłą męską postać o bladej twarzy i brodzie przyciętej w szpic.

– Pani von Hagemann, panienko Bräuer, niech panie szybko wchodzą do środka. To ja, Sibelius Grundig. Wchodźcie, panie, wchodźcie, zanim znów zaczną strzelać.

Tilly nie miała pojęcia, kto to jest, ale Elisabeth знаła go dobrze. To był fotograf, któremu jej ojciec często zlecał pracę. Wykonywał niezliczone rodzinne zdjęcia, ale też broszurki reklamowe dla fabryki.

– Pan Grundig? Przepraszam pana, w ciemności początkowo pana nie poznałam. Bardzo dziękujemy!

Poprowadził je przez wąski korytarz do atelier, poprosił, żeby usiadły, i zawołał żonę i córkę, żeby ugościły obie panie.

– To jest straszne... W parlamencie zabito już dziesięciu mężczyzn – powiedział Grundig, który dokładnie zamknął drzwi do zakładu.

– Jeśli to się rozprzestrzeni, to, Boże, dopomóż! – narzekała pani Grundig. – Wszystko zniszczą i zrujną.

Elisabeth było szkoda państwa Grundigów. Ten stary Sibelius to był dobry człowiek, Żyd. Dorobił się i miał nadzieję, że syn przejmie po nim atelier. Chłopak poległ jednak nad Marną. Miał jeszcze córkę, Elise, ale była niewidoma po chorobie przebytej w dzieciństwie.

– Musicie panie pójść przez ogród i przejść przez murek – powiedziała niewidoma dziewczyna. – Potem w dół wzgórza aż do wału. Przez wąski mostek i potem łąkami.

Lisa spojrzała na nią zaskoczona. Dziewczyna uniosła nieco głowę i uśmiechnęła się. Miała mocno zmrużone oczy, w wąskich szparkach było widać zupełnie blade źrenice.

– Często chodziłam tą drogą, gdy byłam mała – powiedziała cicho. – Widzę wciąż przed sobą każdy dom i każdy kawałek chodnika. A także zielone łąki i strumienie.

– Ona ma rację, łaskawa pani – powiedział Sibelius Grundig. – Oddziały niedługo zajmą całe centrum i wtedy nie dostaniecie się do posiadłości. Oczywiście chętnie was przenocujemy, ale sami nie jesteśmy pewni, czy nas oszczędzą.

Tilly rzuciła Lisie wyzywające spojrzenie, bo ona wciąż się zastanawiała, czy nie próbować dotrzeć do ratusza, żeby wstawić się za Sebastianem Winklerem. Przecież była Melzerówną. Ale oficerowie monachijscy najpewniej nie znali wpływowych rodzin Augsburga.

– Na co czekasz, Liso? – naciskała Tilly.

– Dobrze więc...

Nigdy nie zapomną tej pośpiesznej ucieczki w jasną wielkanocną niedzielę. Jak dwie uciekinierki przemknęły przez ogródek starego miasta, w którym na grządkach rósł już szczypiorek, a na krzakach porzeczek wyrastały zielone liście. Mury musiały pochodzić jeszcze z czasów średniowiecza, bo kruszyły się i były całe porośnięte mchem. Gdy pokonały te przeszkody, szukały dalszej drogi w gąszczu wąskich drózek, aż wreszcie zeszyły ze Wzgórza Żydów, jak je nazywano, i poszły dalej w stronę wału. Nie były jedyne. Wszędzie widziały uciekających ludzi, nieśli oni skrzynie i kufry, ciągnęli wózki z małymi dziećmi, pchali swoje rzeczy na taczkach. Towarzyszyły im salwy wystrzałów. Wielokrotnie wydawało im się, że słyszą wybuchy granatów, głucho eksplozje, po których następowały stłumione krzyki.

Przy klasztorze urszulanek przeskoczyły przez rów i poszły drogą przez pola do dzielnicy przemysłowej. Było bardzo zimno, buty miały przemoczone, płaszcze pochłapane błotem. Zaatakowali w wielkanocną niedzielę, gdy wszyscy włożyli do kościoła najlepsze ubrania.

Przy fabryce papieru musiały przycupnąć za murkiem, bo przejeżdżał tamtędy oddział konny. Dość długo stały na zimnie i czekały, aż ostatni jeździec wjedzie na utwardzoną drogę, prowadzącą do mias-ta. Pozostał im ostatni fragment tej trudnej drogi do domu.

– Gorąca kąpiel – jęknęła Lisa, gdy weszły do parku w posiadłości. – Auguste musi nam natychmiast przygotować kąpiel. Tylko o tym potrafię teraz myśleć.

Tilly nie odpowiedziała, ale pomyślała, że to najrozsądniejsza rzecz, jaką dzisiaj Lisa powiedziała.

Hamburg, 3 maja 1919 roku

Szanowna Pani Melzer,

Piszę te słowa w imieniu Pani męża Paula Melzera, mojego dobrego przyjaciela i towarzysza. W kwietniu zeszłego roku zostaliśmy przewiezieni do więzienia wojennego w Sewastopolu w Rosji i zabrani później do obozu jenieckiego w Jekaterynburgu pod stokami Uralu. Szczegółowego przebiegu naszej niewoli nie będę Pani opisywał, ale Paul nieraz mnie wspierał i ratował mi życie. Przed miesiącem razem z innymi więźniami zostałem odesłany do Niemiec, dlatego akurat ja, nie potrafię powiedzieć. Obiecałem mojemu przyjacielowi Paulowi, że tak szybko, jak to możliwe, wyślę wiadomość jego rodzinie. Paul jest dobrej myśli, rana na ramieniu zaczyna się goić, gorączka z pewnością niedługo spadnie. Prosił, żebym wszystkich Państwa pozdrowił z całego serca, a przede wszystkim jego ukochaną żonę Marie i dwójkę dzieci – Dodo i Lea. Gdy wyzdrowieje i będzie w stanie przetrwać długą podróż, on również wróci do ojczyzny.

Pozdrawia Panią nieznaną pani Julius Lebin

Kupiec towarami kolonialnymi

Pinneberg/Hamburg

– Mój Boże – westchnęła Alicia i przetarła ręką oczy. – Jak to dobrze otrzymać wreszcie jakąś wiadomość. Nawet jeśli nie przynosi ona zbyt wielu powodów do radości.

Marie zgodziła się z nią. Jak długo już trwali w niepewności, nie wiedząc nic o losach Paula! Żadnego listu, żadnej kartki pocztowej, tylko krótka wiadomość od dowódcztwa, że żołnierz Paul Melzer znajduje się w rosyjskim więzieniu. Teraz wiedzieli więcej: został ranny i przewieziony do obozu w Jekaterynburgu pod Uralem. Góry Ural – Marie natychmiast sprawdziła w atlasie – leżały na wschód od Moskwy, ale nie była to jeszcze Syberia.

– Jaka szkoda, że Lisa i Kitty nie przyszły na śniadanie, mogłyby razem z nami przeczytać list – ubolewała Alicia. – Nie podoba mi się, że nasze rodzinne życie się rozpada. Teraz każdy przychodzi i wychodzi, kiedy mu się podoba, i czuję się jak w restauracji na dworcu kolejowym!

Było w tym trochę racji. Kitty od kilku dni była zajęta urządzaniem swojej wystawy

w pomieszczeniu udostępnionym przez dyrektora Wieslera, a było to zajęcie, któremu poświęciła się tak bardzo, że nie przychodziła nawet na śniadanie. Natomiast Lisa z kilkoma paniami z towarzystwa charytatywnego udzielała wsparcia aresztowanym działaczom Republiki Rad, którzy czekali na proces.

– Zaraz przyjdzie tutaj Rosa z naszymi trzema maluchami, mamó – pocieszała ją Marie. – Na pewno zrobi się bardzo wesoło i nie będziesz miała powodów, by żałować minionych czasów.

Alicia się rozpogodziła i powiedziała, że jej wnukowie dają jej faktycznie wielkie szczęście. Przede wszystkim Dodo świergotała od rana do wieczora i zadawała mnóstwo pytań, które często były naiwne, czasami zaskakująco głębokie, a najczęściej naprawdę rozsądne. Leo do tej pory nie opanował zbyt dobrze sztuki mówienia, ograniczał się jedynie do nazywania tych rzeczy, które koniecznie chciał mieć, a i o nich mówił tylko półgłosem. Henni natomiast mówiła dużo w zupełnie niezrozumiały sposób, tak że jedynie Kitty i Rosa potrafiły pojąć, o co jej chodzi. Przy tym śmiała się w absolutnie ujmujący sposób i nikt nie miał wątpliwości, po kim odziedziczyła tę umiejętność.

– Czy tata jest w fabryce?

Alicia ostrożnie złożyła list i podała go Marie.

– Tak, poszedł tam wczesnym rankiem. Możesz mu tam pokazać list. Johann zazwyczaj milczy, gdy rozmawiamy o Paulu, ale wiem dobrze, że pokłada w nim wszystkie swoje nadzieje.

Marie przytaknęła i schowała list. Nastąpił dogodny moment, żeby wyjść, bo słyhać było głosiki dzieci w korytarzu. Marie pożegnała ciepło Alicię i życzyła jej przyjemnego, niezbyt męczącego przedpołudnia.

Aby wyjść na zewnątrz, wciąż trzeba było przejść przez ogród zimowy. Lazaret niebawem miał zostać zamknięty, czego Elisabeth i Tilly ogromnie żałowały. Marie uważała jednak, że jest to znak nowych czasów i nowych nadziei. Cztery długie i okropne lata wojny wszystkim dały się we znaki, teraz można było jedynie liczyć na to, że szcęk broni w końcu ucichnie i nie będzie żadnych nowych ofiar, a reszta jeńców wojennych powróci wreszcie do ojczyzny. Oby tylko tak faktycznie się stało!

Na podwórzu spotkała Humberta, który podniósł przednią klapę samochodu i był bardzo zajęty majstrowaniem przy silniku.

– Chwileczkę, łaskawa pani! – krzyknął i odsunął się o krok, żeby zamknąć klapę, ale jeszcze coś sprawdzał. – Zaraz możemy jechać.

Machnęła, dając znać, że nie ma to sensu, bo w tak piękną majową pogodę chętnie się przejdzie.

– Niech mi pan powie, Humbercie – powiedziała i podeszła bliżej, żeby mógł ją lepiej usłyszeć. – Docierają do moich uszu dość dziwne wieści. Prawdopodobnie to tylko plotki, więc przepraszam od razu za to pytanie...

Zastygł w bezruchu i patrzył na nią z takim poczuciem winy, że właściwie nie musiała już o nic pytać. A więc to ich kamerdyner Humbert Sedlmayer był tym aktorem, którego Ernst von Klippstein widział w kabarecie. Młody człowiek bardzo przekonująco naśladował byłego cesarza, a także cesarzową i sprawił, że cała sala raz za razem wybuchała śmiechem. Von Klippstein powiedział, że jedna z pań, siedząca trzy miejsca

dalej, ze śmiechu o mało się nie udławiła.

– Wstąpił więc pan do kabaretu?

Był tak zawstydzony, że puścił klapę samochodu. Opadła z hukiem i wyrwała go z chwilowego odrętwienia.

– To... to była... była tylko próba, łaskawa pani. Ja właściwie tego nie chciałem, ale pan Stegmüller, który prowadzi kabaret, powiedział, że chciałby sprawdzić, czy umiem występować przed publicznością. I ja... ja... dałem się po prostu namówić.

Marie nie była zadowolona z tego, co usłyszała. Chociaż jeśli miała być zupełnie szczerą, od początku było widać, że w tym dziwnym chłopcu kryją się niezwykle talenty.

– Nie jestem na pana zła, Humbencie – powiedziała z uśmiechem. – Ale wie pan zapewne, że kamerdyner, który występuje w kabarecie, nie jest osobą zbyt pożądaną w posiadłości. Będzie pan musiał podjąć decyzję.

Przełknął kilka razy ślinę i wyjąkał, że jest nieskończenie wdzięczny rodzinie Melzerów, czuje się tutaj jak w domu i nie potrafi sobie nawet wyobrazić, jak mógłby opuścić willę. I poprosił ją, żeby nie informowała o tym swoich teściów. Panna Schmalzler też nie powinna się denerwować taką drobnostką.

– Będę milczeć, dopóki się da – powiedziała. – Ale jeśli pana nazwisko pojawi się wydrukowane wielkimi literami na plakatach, wtedy już nic nie będę mogła zrobić.

– Ależ nie, łaskawa pani, to była jednorazowa przygoda. Nigdy więcej nie wystąpię, obiecuję to pani.

Udała, że mu wierzy, i poszła w stronę ulicy. Jaka piękna wiosna opanowała całą przestrzeń! Podczas gdy kwiecień był jeszcze zimny i nieprzyjemny, pierwsze ciepłe dni maja sprawiły prawdziwe cuda. Pierwiosnki i bratki zakwitły na rabatkach, wszędzie widać było żywą zielen liści. Kitty twierdziła niedawno, że można nawet usłyszeć, jak pąki kwiatów pękają z cichym plaśnięciem. Gustav i jego dziadek sadzili na klombach ulubione kwiaty.

Widok fabryki Melzerów zepsuł wiosenny nastrój Marie. Hale, mury, budynki administracyjne po latach wojny stały się jeszcze bardziej szare i ponure, w wielu miejscach tynk opadał ze ścian i wypaczyło się wiele futryn okiennych. Brakowało pieniędzy na remonty czy położenie nowego tynku. Sytuacja była rozpaczliwa nie tylko z powodu ciągłych strajków, materiał z włókien papierowych miał teraz nielicznych odbiorców, na rynku znów oferowano bawełnę i wełnę, były jednak zbyt drogie.

– Dzień dobry, panie Gruber!

– Piękny, dobry dzień, pani Melzer! Pan dyrektor już o panią pytał. Czy widziała pani, że konwalie już kwitną?

– Tak! Konwalie i mlecze!

– One nigdy nie znikną, pani Melzer. Mlecze będą kwitły na łąkach nawet wtedy, gdy my wszyscy będziemy już leżeć pod ziemią.

Stary stróż od lat nie wziął ani jednego wolnego dnia. Pilnie pełnił swoją służbę nawet wtedy, gdy w fabryce trwały strajki. Marie uśmiechnęła się do niego i poszła przez dziedziniec w kierunku wejścia.

Pracowano jedynie w dwóch z sześciu hal, a i tam większość maszyn stała beczynnie. Kończono realizowanie ostatnich zleceń na materiał papierowy, z którego

szyto ubrania robocze, worki na ziemniaki, tapety na ściany w biurach. Tymczasem zostały zniesione blokady handlowe i tanie tkaniny z Anglii i Indii zalały niemiecki rynek.

Mimo trudnej sytuacji starali się dać zatrudnienie przynajmniej części dawnej załogi, zwłaszcza tym powracającym z wojny, którzy chcieli wrócić na swoje dawne stanowiska. Na górze, w pomieszczeniach administracyjnych, wiele biurek stało jednak pustych, a sekretarki Hoffmann i Lüders pracowały na pół etatu.

– Pan dyrektor oczekuje pani, pani Melzer. Myślę, że jest nieco podenerwowany.

Johann Melzer był cały czerwony ze złości. Najpewniej chcąc ukoić nerwy, nalewał sobie krajową śliwovicę, którą pił z pogardą dla śmierci. Jego gniew wzmagął również smutny fakt, że wyczerpały mu się zapasy francuskiego koniaku i szkockiej whisky.

– No wreszcie jesteś! – burknął na widok Marie. – Tutaj, czytaj. Nie, najpierw usiądź, bo na stojąco będzie to trudne.

Wziął list ze swojego biurka i podał jej w taki sposób, jakby chodziło o brudną ścierkę.

– Z Ameryki... Greenville. Gdzie to jest? – zapytała Marie, która posłusznie usiadła i patrzyła na nagłówek listu.

– Gdzieś pośrodku Stanów Zjednoczonych. Rejon włókienniczy od wielu lat. I co? Zrozumiałaś, o co chodzi?

Marie na początku nie rozumiała. List był napisany łamanym niemieckim, ale za to prośba piszącego była aż nazbyt jasna.

W związku z tym jesteśmy zainteresowani nabyciem patentów na Państwa absolutnie doskonałe maszyny. Przede wszystkim te do tkania materiałów ze wzorami, ale także selffaktorów do przędzenia nici. Kilka lat temu nasi fachowcy mieli okazję sprawdzić dobrą jakość tych maszyn. Jesteśmy przekonani, że znajdziemy nić porozumienia. Wiemy, że w Niemczech sytuacja gospodarcza jest trudna, ale mamy pewność, że nawiążemy wkrótce korzystną współpracę.

Podpisano:

Jeremy Falk, dyrektor naczelny

Johann Melzer przysiadł na skraju biurka i popijał dalej przezroczysty płyn. Obserwował przy tym reakcję Marie na przeczytany list.

– Zrobili przegląd naszych maszyn? – zastanawiała się. – Kiedy to było?

– No jeszcze przed wojną – powiedział, powściągając gniew. – Jesienią tysiąc dziewięćset trzynastego roku, jeśli się nie mylę. Tak, mniej więcej wtedy, kiedy pojawiłaś się w willi.

Spojrzała na niego, a on jakby na chwilę zapomniał o swojej złości i uśmiechnął się

do niej. Zamieszkała wtedy w jego domu jako pomoc kuchenna, chude dziecko z wielkimi ciemnymi oczami. Nienawidził jej i jednocześnie się obawiał. Przyczyniła się prawie do jego śmierci, karząc mu się skonfrontować z najciemniejszą stroną jego życia. Był współwinny okropnej śmierci jej rodziców. Wina, do której nie chciał się przyznać przez wiele lat. A teraz? Była jego ostoją, jedyną osobą, która go rozumiała i go wspierała.

– Ten Jeremy Falk chce zatem kupić patenty na maszyny mojego ojca? – zapytała i zmrużyła oczy, bo nie była pewna. – Ale... czy w ogóle są jakieś patenty?

Johann Melzer potrząsnął głową. Maszyny zostały zaprojektowane przez jej ojca i wybudowane w fabryce. Później ojciec wprowadzał konieczne ulepszenia i przygotował plany kolejnych wynalazków. Te plany przez wiele lat były niedostępne.

– Wiem, tato. Miałeś je wprawdzie przez te wszystkie lata przed nosem, ale na to nie wpadłeś!

Warknął tylko, że nie jest to odpowiedni moment, żeby z niego szydzić. W każdym razie jej ojciec nigdy nie zgłosił swoich wynalazków w urzędzie patentowym i on także, po tym jak już plany się odnalazły, nie starał się o uzyskanie patentu.

– Czy to znaczy, że każdy mógłby skorzystać z wynalazku mojego ojca i zbudować taką maszynę?

Melzer uśmiechnął się przewrotnie. Ktoś, kto chciałby to zrobić, musiałby najpierw dostać te plany, a poza tym musiałby umieć je odczytać. Bo Jakob Burkard, z całym szacunkiem, miał dość nieczytelne pismo i w jego projektach są w stanie rozeznąć się jedynie specjaliści.

– Oczywiście można byłoby rozebrać maszyny na części i tym sposobem poznać ich tajemnicę – kontynuował. – Sekret tkwi tak naprawdę w niewielkich ulepszeniach, ale są one tak genialne, że mają kluczowe znaczenie w produkcji.

Marie oddała mu list i powiedziała, wzruszając ramionami, że nie bardzo rozumie, dlaczego jest aż tak zdenerwowany. Jeśli Amerykanie chcą kupić patent, to niestety mają pecha. Koniec kropka.

Patrzył na nią rozczarowany jej spokojem. Czyżby nie zauważyła podstępny, uknutego przez tych ważniaków? W Niemczech sytuacja gospodarcza jest trudna. Wiedzieli więc, że skoro wszyscy tutaj zostali rzućni na kolana, zmuszeni są też do korzystania z każdej propozycji. Była to więc paskudna próba szantażu!

– Ale my na to nie pójdziemy, tato! Zapomnij o tym. Mam lepsze wieści.

Wyciągnęła z kieszeni kurtki list od kupca kolonialnego Lebina i podała Johannowi do przeczytania. Alicia miała rację – jego twarz złagodniała, złość na potworny świat i rozgoryczenie minęła. Jak bardzo musiał go dręczyć niepokój o Paula.

– To daje nadzieję – odezwał się w końcu.

Nic więcej nie powiedział, ale zatkał korkiem butelkę ze śliwownicą – swoim pomocnikiem w potrzebie – i wstawił z powrotem do szafki z dokumentami.

Marie podniosła się, żeby pójść do biura Paula, gdzie urządziła swoje miejsce do pracy. Miała kilka pomysłów na nowe wykorzystanie materiału papierowego, których jeszcze nie opracowała i nie ujawniła teściowi. Chciała się też zastanowić nad propozycją jakiegoś wynalazcy z Rosenheim, który wrócił z wojny. Napisał on, że wie, jak z gliceryny i pewnego rodzaju żywicy można produkować tkaniny. Prawdopodobnie

wcześniej pracował w przędzalni. Tata miał więc częściowo rację – w tych trudnych czasach należało korzystać z każdej możliwości. Wyciągnęła list z koperty i zaczęła go ponownie czytać, gdy Lüders zapukała do drzwi.

– Pani Melzer? Pan von Klippstein prosił, żebym zapytała, czy może wejść na kilka minut.

Ernst von Klippstein od miesiący zajmował się rachunkowością w zakładzie, teraz jednak dwóch poprzednich księgowych wróciło z wojny na swoje stanowiska, więc zaoferował po prostu swoją pomoc darmo. I tak był ciągle w biurze, żeby opracowywać strategię przetrwania. Dlaczego jednak nie rozmawiał o tym z jej teściem, pozostawało zagadką.

– Proszę go poprosić, panno Lüders.

Jak zawsze chwilę czekał przed drzwiami, z ręką na klamce, jakby chciał sobie zostawić opcję odwrotu. Spojrzał na nią z uśmiechem i przypatrywał się przez kilka sekund jej minie, jakby dla upewnienia się, że nie przychodzi nie w porę.

– Czy otrzymała pani jakieś dobre wieści, Marie?

Zawsze była zdumiona, jak dobrze wyczuwał jej nastroje.

– Faktycznie dostałam – odpowiedziała. – Proszę wejść i usiąść.

Zamknął drzwi i podszedł do niewielkiej kanapy, ale usiadł dopiero wtedy, gdy ona zajęła swoje miejsce. Na jego twarzy było widoczne pełne oczekiwania napięcie.

– Mamy wieści o Paulu. Jest w obozie jenieckim w Jekaterynburgu na Uralu.

Czy ta wiadomość faktycznie przyniosła mu ulgę? Twierdził oczywiście, że bardzo się cieszy. Trzeba tylko czekać, aż Paul wkrótce powróci do ojczyzny. Potem milczał przez chwilę i wydawał się przygnębiony. A może to szczęście widoczne w jej oczach go irytowało? Ale przecież wiedział, jak bardzo kocha męża. Była też pewna, że uważa Paula za swojego najlepszego przyjaciela. A mimo to...

– W czasie ostatnich tygodni wszystko gruntow-nie przemyślałem – powiedział. – Chciałbym złożyć pani propozycję, Marie.

Znowu, pomyślała. Co tym razem wykiełkowało w głowie ich gorliwego pomocnika? Obserwowała, jak ze skrzyżowanymi nogami siada na fotelu, opiera się plecami i kieruje na nią wzrok pełen oczekiwania. Zupełnie nie przypominał ранnego nieszczęśnika, którego dwa lata temu przywieziono do lazaretu. Wtedy wyznał jej, że nie ma żadnej nadziei i chciałby umrzeć. Rana się jednak zagoiła i już prawie nie ograniczała jego ruchów, pomyślnie przeprowadził rozwód i wydawał się pełen planów na przyszłość.

– Proszę mówić...

Nie spuszczał z niej oczu, gdy zaczął przedstawiać jej swój pomysł, i wtedy zrozumiała, że bardzo poważnie mówił o tym, co było teraz dla niego ważne.

– Jak pani wie, moja droga Marie, po rozwodzie zostawiłem byłej żonie całą posiadłość, ze wszystkimi gruntami, budynkami i stadniną koni.

Zrobił niewielką przerwę, a Marie powiedziała cicho, że to niezwykle wspaniałomyślne z jego strony. Czy te dobra nie były od dawna własnością jego rodziny?

– Faktycznie były – odparł. – Dlatego mój syn zostanie ich jedynym dziedzicem. Do tego czasu dochody z posiadłości będą należeć wyłącznie do mojej byłej żony i jej drugiego męża. Mimo to nie jestem pozbawiony środków do życia – kazałem sobie

wpłacić do banku dużą sumę.

Patrzcie no, pomyślała Marie. Ten dobry Ernst nie był jednak aż tak szlachetny, jak początkowo myślała. Miał oczywiście rację. Inne rozwiązanie byłoby czystą głupotą. Usiadł prosto, oparł ręce na wypolerowanych bocznych oparciach i kontynuował żarliwie:

– Sytuacja gospodarcza w naszej biednej ojczyźnie, jak wiadomo, nie jest różowa. Obawiam się więc, że moje pieniądze ulokowane w banku mogą szybko stracić na wartości. Zastanawiałem się więc nad tym, jak je mądrze zainwestować.

Zrozumiała. Chciał pożyczyć im pieniądze, a być może nawet stać się ich partnerem i tym nowym zastrzykiem kapitału sprawić, że produkcja w fabryce nabierze rozpędu. Można będzie kupić bawełnę, dobrą wełnę, ruszyć z robotą. Wystarczyło przekalkulować, zyskać nowych klientów, oferując ciekawe wzory i kolory, i wreszcie pokonać zagraniczną konkurencję. Mogłaby nawet spełnić wtedy swoje marzenie i otworzyć atelier krawieckie, projektować modę i sprzedawać swoje kolekcje.

– Pomyślałem więc najpierw o fabryce Melzerów.

Powiedział to tonem, który brzmiał bardzo życzliwie i jednocześnie wzruszająco. I kojarzył się raczej z nieśmiałą prośbą niż ofertą, która tak naprawdę mogła być dla fabryki niespodziewanym łutem szczęścia.

– To byłoby oczywiście mile widziane – wyjąkała nieco przytłoczona. – Powinien się pan jednak bardzo dokładnie zapoznać z sytuacją fabryki i dopiero później zdecydować, czy chce pan podjąć to ryzyko, żeby zainwestować u nas pieniądze.

Zapewnił ją, że poznał bardzo dobrze sytuację w fabryce, miał przecież wgląd w księgi rachunkowe i wiedział, że jedynym powodem aktualnie marnej kondycji przedsiębiorstwa był brak surowców. Produkcja materiału z papieru, swoją drogą genialny pomysł, pomogła utrzymać zakład aż do teraz, ale obecna sytuacja wymaga nowych inwestycji.

– A na jakich warunkach chciałby pan zainwestować?

Oparł się znowu wygodnie, opuścił ręce i z łagodnym wyrazem twarzy powiedział, że wyobrażałby sobie na przykład partnerstwo. Melzer & Klippstein albo nawet po prostu Melzer & Partner. Trzeba byłoby zasięgnąć rady prawnika.

– Ja jednak nie oczekuję żadnych formalności – zapewnił ją ze szczerym wyrazem twarzy. – Ważne jest dla mnie zachowanie bliskiego związku z rodziną Melzerów. Wspólna przeszłość, biznesowa i osobista. Mam na to nadzieję.

Marie poczuła, że oferta jest szczerą i została zaproponowana z przyjaźni i sympatii. To, czy jej teść się na nią zgodzi, było jednak co najmniej wątpliwe. Melzer & Klippstein – to mu się raczej nie spodoba.

– Chciałem najpierw porozmawiać z panią – powiedział Ernst von Klippstein niepewnie. – Jest dla mnie bardzo ważne, żeby pani, droga Marie, zaakceptowała moją ofertę. Mam nadzieję, że nie zrozumie mnie pani źle. Nie chciałbym zrobić nic, co mogłoby się pani nie spodobać. Albo wydać nachalne.

Jego niebieskie oczy nabrały teraz innego wyrazu. Wpatrywał się w nią badawczo, z nadzieją, z uporem mężczyzny, który już wybrał kobietę i nigdy z niej nie zrezygnuje. Nagle zdała sobie sprawę, z czego wynika ta wspinałomyślna oferta i że będzie musiała wybrnąć z tej sytuacji.

– Jeśli mogę być zupełnie szczerą, drogi Ernście...

Uniósł brwi, a jego ciało się naprężyło. Nader przyzwoicie się przygotował na tę wizytę. Garnitur był nowo uszyty, a w butonierce widniał kwiat.

– Bardzo o to proszę, Marie!

– Dobrze – powiedziała i wzięła głęboki oddech. – Osobiście jestem przeciwko pana ofercie, ale decyzja nie należy do mnie.

– Właśnie – powiedział cicho.

Trzymał się znakomicie. Rozmawiali jeszcze chwilę o wiosennej pogodzie i o traktacie pokojowym, który ostatecznie obwieści koniec wojny. Dopiero gdy otworzył drzwi i nieoczekiwanie się odwrócił, zobaczyła jego zrezygnowaną minę i zaczęła mieć wyrzuty sumienia. Zadziałała intuicyjnie i nie tylko unieszczęśliwiła dobrego człowieka, ale wyrządziła też najpewniej krzywdę fabryce Melzerów.

Nienawidzę jeździć tramwajem elektrycznym – jęknęła Elisabeth, gdy razem z Tilly wysiadły na Königsplatz. – Ten smród smoły i brudu, a do tego ta ciasnota. A stopień przy wyjściu jest zbyt wysoki, można sobie złamać nogę.

Tilly złapała ją pod rękę i powiedziała, że w porównaniu z ich ucieczką przez stare miasto i bagniste łąki sprzed kilku tygodni jazda tramwajem to prawdziwy luksus.

– Tylko mi o tym nie przypominaj!

Skręciły w prawo w Annastraße i od czasu do czasu zatrzymywały się przy skromnie urządzonej wystawie sklepowych. Nie, nie było tak jak przed wojną. Sklepy były wtedy pełne różnorodnych towarów, więc wieczorami stare miasto było kolorowo oświetlone, a teraz dbano tylko o restauracje, małe sceny, sceny operowe i tę, na której urządzano letnie koncerty w miejskim parku. Z przygnębieniem oglądały jedyny wystawiony eksponat w sklepie sanitarnym: śnieżnobiały, ładny w kształcie klozet. Był już lekko zakurzony, bo do tej pory nie znalazł kupca. Nic dziwnego, ceny rosły z dnia na dzień i nikt nie wiedział, dokąd to doprowadzi.

– Dzisiaj już w zasadzie można kupić wszystko – powiedziała Tilly oburzona. – Tylko nie każdego na to stać. Ale ten, kto ma pieniądze, na czarnym rynku może nabyć, czego dusza zapagnie.

Poszły dalej i widok wysokich drzew, teraz już pełnych zielonych wiosennych liści, nieco je uspokoił. Czyż nie można się było cieszyć, że ta okropna wojna dobiegła końca? Tak jak natura ciągle się odradza, tak kraj ze swoimi mieszkańcami powstanie z martwych i rozkwitnie na nowo.

– Sebastian pragnął czegoś więcej – Lisa nie mogła opanować emocji. – Chciał sprawiedliwości. Nikt nie miał głodować i nikt nie miał żyć w luksusie. Za to siedzi teraz za kratkami. Jakby popełnił przestępstwo. A za to wolni są ci, którzy z żołnierzami zbrojnie najechali nasz piękny Augsburg.

Tilly ścisnęła jej dłoń i prosiła, żeby się uspokoiła. Nie zawsze na świecie panuje sprawiedliwość, ale przynajmniej sytuacja jest stabilna, oddziały opuściły miasto.

– Na pewno wkrótce go wypuszczą, Liso.

Elisabeth westchnęła głęboko. Kilka razy próbowała odwiedzić Sebastiana Winklera w więzieniu – na próżno. Zniosła jedzenie, ubrania i buty. Czy je dostał, nie wiedziała. Wysłała nawet do niego prawnika Grünlinga, ale ten jej potem wyjaśnił, że pan Winkler jest uparty, więc nie może nic dla niego zrobić.

– A kiedy go w końcu wypuszczą – powiedziała Elisabeth z goryczą w głosie – jak zarobi na swoje utrzymanie? Sierocińcem zaczęła kierować Maria Jordan.

To była dopiero nowina dla Tilly.

– Jordan dyrektorką sierocińca? To niesłychany awans dla byłej pokojówki.

– Całkowite nieporozumienie, chciałaś chyba powiedzieć – zdenerwowała się Elisabeth. – Ona jest taka sama jak ta jędza Pappert. Ach, Tilly, Sebastian był ojcem dla tych dzieci, ich strażnikiem, kochającym wychowawcą...

Tilly miała dość narzekania Lisy.

– Co z tobą, Elisabeth? Z całą pewnością nie powinnaś się martwić o pana Winklera. Nauczyciele będą wszędzie poszukiwani, od ręki będą dostawać pracę.

Lisa milczała. Tilly oczywiście miała rację. W wielu zawodach brakowało mężczyzn, bo zabrała ich wojna albo wrócili ciężko okaleczeni. Siedzieli teraz na Maximilianstraße i prosili o kilka fenigów. Sebastian stracił wprawdzie stopę, ale mógł pracować, więc miał szczęście. Tyle że w Augsburgu na pewno nie dostanie pracy jako nauczyciel. A ona wciąż nie miała rozwodu. Klaus von Hagemann po ostatnich walkach został wysłany do lazaretu w Prusach Wschodnich i nie było od niego żadnej wiadomości.

– Może już od dawna jest martwy – powiedziała Kitty, wzruszając ramionami. – Wtedy nie będziesz potrzebowała rozwodu.

Kitty, jej mała siostrzyczka. Jak bardzo się zmieniła w ciągu ostatnich czterech lat. Z rozpieszzonego bachora zmieniła się w kochającą żonę i matkę. A gdy po śmierci Alfonsa wszyscy sądzili, że na zawsze pogrzeży się w melancholii, z poczwarki przeobraziła się w pięknego, kolorowego motyla i stała się artystką. Elisabeth nie wiedziała już, czy ma się złościć na Kitty, czy ją podziwiać. Choć w wielu sytuacjach jej siostra nie zmieniła swego zachowania. Przede wszystkim wciąż bez skrpułów wygłaszała swoje zdanie, z tego nie zrezygnowała.

– Jesteśmy na miejscu, Liso. Zobacz, stoją tutaj już trzy, nie, cztery samochody. Ludzie naprawdę przyszli na wystawę Kitty.

Lisa wyteżyła wzrok i poznała Humberta, który pomagał jednej z pań wysiąść z auta. To mama? Nie, to była pani von Sontheim, matka jej przyjaciółki Serafiny. Nastrój Elisabeth się poprawił. Tak dobrze było zobaczyć znów Finchen. Biedaczka straciła ojca i brata.

– A oto i niezmordowany Klippi – zażartowała Tilly. – Cóż to za miły człowiek. Przywiózł tutaj twoich rodziców i Marie.

Spotkali się przed wejściem do wielkiej kamienicy na Karlstraße i przywitali ze sobą serdecznie. Cóż za piękna wiosna! Bzy stały właśnie w pełnym rozkwicie. To mogło oznaczać tylko dobre rzeczy...

– Widziały panie kwitnące wiśnie? – zapytał von Klippstein i podał Tilly ramię, żeby zaprowadzić ją na pierwsze piętro, do mieszkania dyrektora Wieslera. – Jakby pokryte białą pianą.

– Tak – powiedziała z uśmiechem. – Jeśli pszczoły będą pilnie pracować, zbierzemy ogromne ilości wiśni i będziemy piec ciasta z wiśniami.

– Jak miło spotkać młodą kobietę z tak rozwiniętym zmysłem praktycznym.

– Zupełnie nie – odpowiedziała z uśmiechem. – Pieczenie ciast zostawiam innym.

Na górze w mieszkaniu spotkali panią Wieslerową, ubraną na czarno, z perłami na szyi. Wydała się Tilly nadmiernie wylewna, witała każdego gościa osobiście i mówiła, jak bardzo jest szczęśliwa, że ma tak życzliwych i wrażliwych na sztukę przyjaciół. Dwaj kamerdynerzy – jednym z nich był Humbert – roznosili kieliszki z szampanem na srebrnych tacach i von Klippstein postarał się, by Tilly wypła przynajmniej połowę

trunku ze swojego kieliszka.

– Za artystkę należy wznieść toast prawdziwym szampanem, droga panienko Tilly. A pani szwagierka jest wielką artystką. Muszę powiedzieć, że jestem pełen podziwu!

Tilly знаła większość z obrazów Kitty, ale musiała przyznać, że oprawione i powieszona na ścianie robiły jeszcze większe wrażenie. Przede wszystkim widoki miasta, z niebem zasnutym chmurami. Tak, Kitty potrafiła malować niebo. Ponure mroczne obrazy chmur, delikatne owieczki z jasnoniebieskiej mgły, szare muśliny zawłasczone przez burzę, głęboki, nasycony firmament w odcieniu ciemnoniebieskim...

– Tilly! Moja słodka! Jak dobrze, że przyszedłaś. Przeprowadziłaś ze sobą mamę? Nie? Jaka szkoda! Ona musi w końcu wyjść z domu. Mój Boże, Tilly. Już sprzedałam trzy obrazy. A jeszcze oficjalnie nie zaczęliśmy... Ten młody człowiek o tam, ten z czerwoną krostą na nosie. On jest z gazety.

Kitty była bardziej ożywiona i piękniejsza niż kiedykolwiek. Krótkie włosy falowały przy każdym ruchu głowy, zakładała je szybkim ruchem ręki za uszy, ale nigdy nie chciały tam zostać. I wąska spódnica, o Boże, zakrywała kolana jedynie do połowy. Do tego nieprzyzwoicie drogie jedwabne pończochy i urocze białe buciki.

– Ach, kochana Lottchen! – zawołała podekscytowana i odwróciła się. – Pan Kochendorf, jak długo się nie widzieliśmy! Pani Gemahlin, dzień dobry! Wiedzieliście, że wcześniej nazywaliśmy go głodny Hermann? Co za naiwne, głupiutkie dzieci z nas wtedy były!

Tilly przechadzała się po pokoju, z w połowie pełnym kieliszkiem, i wpatrywała się uważnie w prace Kitty. Wieslerowie pościągali własne obrazy ze ścian, żeby zrobić miejsce dla tego prawdziwego zalewu malowideł. Jakże były one różne! Osobliwe rybie głowy – a może należały one do jaszczurek? – były namalowane cienkim pędzelkiem. Były też raki, szczury, a na jednym z obrazów kłębiły się obrzydliwe pająki. Tilly aż zadrżała. Kto chciałby kupić taki obraz? Coś takiego można było powiesić jedynie w jadalni, i to wtedy, gdy spodziewano się niemile widzianych gości. Potem Kitty zaczęła malować piękne, słoneczne krajobrazy. To było minionego lata, gdy chodziła ze sztalugami do parku.

– Moi drodzy, szanowni goście i przyjaciele – pani dyrektorowa Wieslerowa pozwoliła sobie przywitać przybyłych.

Tilly jej nie widziała, ale jej głos rozbrzmiewał donośnie nawet w najbardziej oddalonej części mieszkania. W przeciwieństwie do swojego męża, cichego nauczyciela i dyrektora gimnazjum Świętej Anny, pani Wieslerowa lubiła przemawiać publicznie. Oczywiście nie mogła przepuścić okazji, żeby nie wygłosić pochwały młodej artystki, dla której tak bezinteresownie poświęciła na wystawę swoje mieszkanie.

– ...wyjątkowy talent. Moi drodzy przyjaciele, zapewniam państwa, wkrótce nazwisko Katharina Bräuer będzie znane w całym cesarstwie!

Tilly była rozbawiona. Z całego tego podekscytowania pani dyrektorowa Wieslerowa zapomniała, że teraz żyli przecież w republice. Cesarz był na emigracji w Holandii, mówiono, że ścina tam drzewa.

– ...wszystko się zaczęło w małym pokoiku na poddaszu na Montmartrze. Tak, w Paryżu, gdy jeszcze panował pokój i sztuka kwitła na ulicach i w domach...

– Nie do wiary – wyszeptała Lisa, która wraz z towarzyszącą jej Serafiną odnalazła Tilly. – Artystka z Montmartre’u. Ta kobieta potrafiłaby chyba słomę sprzedać jako złoto!

Serafina von Sontheim przywitała się z Tilly raczej chłodno i zaraz pociągnęła Lisę do następnego pokoju, w którym zebrali się niektórzy z ich znajomych. Tilly widziała, jak szepczą między sobą, ale na widok Lisy zamilkli. Wciąż bolało ją to, że jest niewinną ofiarą ataków tych wszystkich ludzi, którzy na skutek upadku banku Bräuerów stracili pieniądze. Jej matka z tego powodu prawie nie wychodziła z domu, odrzucała nawet kierowane do niej w dobrej wierze zaproszenia Melzerów. To było niesprawiedliwe. Gdyby chociaż matka wiedziała o sytuacji banku! A ojciec nie żył. I naprawdę chcieli im jeszcze robić wyrzuty?

– ...te wspaniałe krajobrazy skąpane w słońcu o kolorze ciepłego złota, ta wibrująca symfonia nadziei i niezwykłego piękna. Niech państwo tylko spojrzą na dynamiczne ruchy pędzla!

Patetyczna przemowa pani dyrektorowej działała Tilly na nerwy. Podeszła do drzwi, żeby w razie konieczności ratować się ucieczką na korytarz. Tam natknęła się na Ernsta von Klippsteina, który właśnie chciał wejść do pokoju.

– Czy panienka chce już wyjść? – zapytał cicho. – Byłaby wielka szkoda. Bardzo bym się cieszył, gdybym mógł odwiedzić panienkę. Pani Melzer zaprasza nas wszystkich na kolację.

Najpewniej Marie wyznaczyła mu to zadanie, ona zawsze troszczyła się o wszystkich. Tilly była za to wdzięczna. Dobrze było wiedzieć, że ma wciąż przyjaciół, którzy są wobec niej lojalni.

– Nie, nie, chciałam tylko zaczerpnąć oddechu z dala od tłumu – uspokoiła go. – Nie lubię stać w samym środku, tutaj przy drzwiach czuję się lepiej...

Został z nią, popijając ze swojego kieliszka, i opowiadał, że z nim jest podobnie. Cóż, nie był człowiekiem, który lubił błyszczeć publicznie, raczej się wycofywał, żeby zrobić miejsce innym. Tilly miała problem ze zrozumieniem tego, co mówił tak cicho, bo głos pani dyrektorowej Wieslerowej wciąż wypełniał całe pomieszczenie. W dodatku zaczęła zastanawiać się, dlaczego Klippi poświęca jej tak wiele uwagi w to popołudnie, bo każdy wiedział, że adoruje Marie. Czy przywołała go do porządku i szukał chwilowego zastępstwa? Rozbawiła ją ta myśl. Biedny człowiek, dlaczego ulegał tak beznadziejnym namiętnościom?

– Droga Tilly, to chyba pani von Hagemann powiedziała mi o panienki powołaniu.

– O moim powołaniu?

Uśmiechnął się niepewnie, widocznie bał się, że powiedział coś głupiego.

– O panienki zainteresowaniu medycyną. A chyba nawet o tym, że chciałyby panienka zostać lekarką.

Oto więc chodziło. Lisa wszystko wypaplała. A Tilly sądziła, że zachowa to powierzone jej marzenie tylko dla siebie.

– Cóż, to niestety mało prawdopodobne. Najpierw musiałabym zdać maturę i skończyć studia.

– A co panienkę powstrzymuje? – zapytał łagodnie.

Chciała mu powiedzieć, że aby zdobyć takie wykształcenie, trzeba mieć na to

odpowiednie środki finansowe, których w domu Bräuerów już niestety nie było. Jej uwagę przykuł jednak spóźniony gość, który w tej chwili pojawił się w drzwiach, więc zamilkła zaskoczona.

Skąd ona знаła tego mężczyznę? Był zupełnie nieodpowiednio ubrany na taką okazję, nie miał na sobie smokingu, tylko poszarpaną szarą kurtkę i postrzępione brązowe spodnie. Artysta? Na to mogłyby wskazywać rozczochrane ciemne kręcone włosy i krótka bródka. Zbliżał się teraz do otwartych dwuskrzydłowych drzwi salonu, w którym właśnie dyrektorowa Wieslerowa pozwałała wypłynąć ostatnim słowem swojej przemowy. Zatrzymał się tam, przesunął się trochę, żeby zobaczyć coś nad głowami stojących przed nim gości, i wziął sobie kieliszek szampana z tacy, która została postawiona niedaleko drzwi.

– Dziwny jegomość – szepnął von Klippstein. – Chyba nie przyszedł tylko po to, żeby dostać darmową przekąskę i szampana.

W tej chwili czyjaś drobna sylwetka mignęła przed nimi, pociągnęła von Klippsteina na korytarz, a że Tilly stała obok niego, ona również poszła.

– Błagam pana, Klippi – prosiła zdenerwowana Kitty. – On musi natychmiast opuścić to mieszkanie. Niech pan do niego podejdzie i mu to powie. Natychmiast. Jeśli mama go zobaczy... Albo tata...

Von Klippstein zrozumiał, o kogo jej chodzi, dopiero gdy wskazała na mężczyznę palcem.

– Ale dlaczego? Kim on jest? Nie mogę przecież wyprosić stąd zupełnie mi nieznanego człowieka, łaskawa pani. Zwłaszcza z mieszkania, które nie należy do mnie.

– Proszę, Klippi! Padnę trupem, jeśli pan tego nie zrobi. Padnę martwa tutaj, na ten perski dywan...

Kitty drżała na całym ciele, istniała więc obawa, że znów dostała ataku nerwowego. I wtedy Tilly się domyśliła.

– Niech pan ze mną pójdzie – powiedziała cicho i wzięła von Klippsteina pod rękę, by odejść z nim kilka kroków na bok.

– Ale o co chodzi?

– To jest Gérard Duchamps. Rozumie pan? Ten Francuz, z którym przed laty uciekła Kitty.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem spojrział na mężczyznę w podartym ubraniu, który opierał się teraz o futrynę i pił szampana.

– Możliwe, że przebywał w niemieckim więzieniu i jest w drodze powrotnej do Francji.

– Dobry Boże! – powiedział von Klippstein i odchrząknął. – Jakie to żenujące. Ale dobrze, nie mogę pań rozczarować.

Wyprostował się, dał znak zrozpaczonej Kitty, że spełni jej życzenie, i wyszedł na korytarz. Kitty i Tilly z zapiętym tchem obserwowały, co się wydarzy. To była scena zupełnie niespektakularna. Von Klippstein powiedział coś do Duchamps, a ten zwrócił się do niego z gestem zapytania. Von Klippstein uklonił się lekko, najwyraźniej się przedstawiał. Duchamps też wyjawiał swoje nazwisko i zupełnie spokojnie zaczęli prowadzić rozmowę.

– Dlaczego oni tylko rozmawiają? – jęknęła Kitty. – Dlaczego on nie wychodzi? Och, moje nerwy. Klippi jest po prostu za miły. On powinien wysłać go do diabła! Natychmiast!

– Pssst, Kitty. A może o wiele mądrzej jest nie poświęcać mu zbytnej uwagi, nie sądzisz?

– Jak on mógł mi to zrobić? – wyszeptała ze łzami w oczach. – I to właśnie dzisiaj, w mój wielki dzień. Pojawił się tutaj jak zły duch. Cień przeszłości. Wspomnienie. Zrobił to specjalnie. Tylko po to, żeby mnie zranić.

W salonie powstało zamieszanie. Głośnymi brawami podziękowano pani domu i uniesiono kieliszki, żeby wznieść toast za młodą malarzkę.

– Pani Bräuer? Gdzie się pani ukryła? Gdzie jest nasza artystka?

Tilly złapała Kitty pod rękę i popchnęła ją przez drzwi. W chwili gdy na Kitty spoczęło tak wiele spojrzeń, na jej twarzy pojawił się promienny, błogi uśmiech.

– Tutaj! – krzyknęła wesoło i uniosła do góry palec wskazujący, jakby była w szkole. – Tutaj. Obecna. Szczęśliwa i dumna. Gotowa na wszystko! Ach, kocham was wszystkich!

Radośnie podążyła za Tilly w swoim triumfalnym pochodzie przez salon, gdzie pani dyrektorowa Wieslerowa przycisnęła ją do swojej matczynej piersi ze łzami wzruszenia i wygłosiła toast na jej cześć.

– Za naszą młodą artystkę, potomkinię augsburskiej rodziny i córkę mojej najdroższej przyjaciółki Alicii!

Gdy Tilly wyszła na korytarz, Gérard Duchamps właśnie wychodził. Ernst von Klippstein stał z niepewną miną przy drzwiach wyjściowych, wydawał się bardzo szczęśliwy, że Tilly wróciła.

– Biedny człowiek – powiedział. – Było mi przykro go wypraszać. Faktycznie był w więzieniu i dopiero niedawno wyszedł na wolność.

– Ale czego on tutaj chciał?

Wzruszył ramionami. Prawdopodobnie zobaczył plakaty i przeczytał na nich nazwisko Kitty.

– On z całą pewnością wciąż coś do niej czuje. Wyobraź sobie, Tilly: pytał, czy to prawda, że jej mąż poległ na wojnie.

– Ach – mruknęła Tilly. – I co pan odpowiedział?

Von Klippstein nie udzielił odpowiedzi. Zamiast tego podsunął jej ramię, żeby pójść z nią do salonu.

– Co z twoim szampanem, Tilly? Musimy wypić za naszą artystkę.

Mała Dodo trzymała ręce na uszach i skrzywiła buzię. W holu przy wejściu uderzano i pukano, przepychano się, krzyczano i przeklinano.

– Roosaaa – pojękiwała Henni i wyciągała rączki, żeby opiekunka wzięła ją na ręce.

Rosa Knickbein spełniła życzenie małej. Dziewczynka była bardzo wrażliwa na hałas, pójście na górę przez hol było błędem. Ale deszcz znowu zalał drogę przez ogród i trzeba by było suszyć, a potem pastować trzy pary dziecięcych butów.

– Leo! Chodź natychmiast do mnie! Odłóż ten młotek. Nie słyszałeś?

Leo spojrział z niezadowoleniem na nianię. Znowu zabraniają mu się bawić. Uniósł młotek najwyżej, jak potrafił, wykorzystując całą swoją siłę, i zastanawiał się, jak ludzie mogą podnosić takie ciężkie rzeczy, jakby były lekkie jak piórko.

– Leo! Niiieeee!

Rosa była zbyt wolna, bo musiała najpierw postawić Henni na podłodze, zanim po niego sięgnęła. Leo wykorzystał ten czas, żeby unieść swój wspaniały młotek i uderzyć w jedną z żelaznych konstrukcji, tworzących ścianę łóżka. Na konsekwencje nie trzeba było czekać. Młotek wypadł mu z rąk, lakierowana na biało tylna część łóżka przesunęła się do przodu, pociągając za sobą przylegające do niej ścianki, i wszystko runęło z okropnym hukiem na podłogę. Dwa kosze z pościelą i kocami zakołysały się, ale się nie przewróciły.

– Leo! Na litość boską! Gdzie jesteś?

Rosa omal nie dostała zawału. Czy chłopczyk został przytrzaśnięty przez żelazny stelaż łóżeczka? Czy był zgnieciony? Martwy? Zdeformowany do końca życia?

Leo na szczęście kuczał obok powstałego chaosu i łkał na cały głos. Płakał też wtedy, gdy Rosa go dokładnie oglądała, sprawdzając, czy nie jest zraniony, i pytała zrozpaczona, czy coś go boli. Głowa? Brzuch? Nogi może?

– Buuuuaah!

Dwóch mężczyzn pomagających w posiadłości przybiegło natychmiast, popatrzyli na zniszczenia i uznali, że chłopcu los sprzyjał. Sprawnie ustawili z powrotem obie boczne części i tylną łóżka i poradzili Rosie, żeby lepiej uważała na malca.

– Tutaj się pracuje! – wołali za nią, gdy szła z trójką łkających dzieci w stronę schodów. – To nie jest plac zabaw!

Na szerokich schodach dla państwa spotkała Marie Melzer, która wybierała się właśnie do fabryki. Nadchodziły też Elisabeth von Hagemann i panna Schmalzler, przestraszona hukiem i krzykiem dzieci.

– Co on tym razem nabroił? – zapytała Marie i wzięła małego na ręce.

Leo przycisnął zapłakaną twarz do jej świeżo upranej białej bluzki i wypowiadał jakieś sylaby, których nikt nie rozumiał.

– Wu... ha... ha... fi... auaaaah!

Lisa wzięła kwilącą Henni na ręce, jej małe kochanie, małą słodką dziewczynkę.

- Jak pani mogła, Roso? – krzyknęła na nią wzburzona. – Dzieci mogły zginąć!
- Ale nic się nie stało – jęknęła Rosa. – Leo płacze dlatego, że się przestraszył.
- Nie – odpowiedziała Marie. – Ma drzazgę w palcu. Widzi pani?
- O matuchno...

Panna Schmalzler powiedziała, że każde dziecko ma swojego anioła stróża, który je chroni przed złem. Na co Rosa odpowiedziała, że anioł stróż Lea ma pracę przez całe dnie i noce. Marie chciała oddać kwilącego synka opiekunce, ale mały dał się do tego przekonać dopiero wtedy, gdy zapewniła go, że na górze czeka na niego babcia z miodowymi ciasteczkami.

– Wrodził się w naszego ojca! – powiedziała Lisa, gdy Rosa poszła z trójką maluchów.

Marie patrzyła na mokre plamy na bluzce i stwierdziła, że Leo mógł też odziedziczyć charakter po jej mamie.

– Pamiętam ją tylko troszkę – dodała z uśmiechem. – Ale mówiono o niej, że miała żelazną wolę.

– Och, wśród Maydornów też było sporo osób, które nie pozwalały sobie w kaszę dmuchać – zauważyła panna Schmalzler. – Myślę o czasach, gdy żyłam na Pomorzu, i o tym, jak baron von Maydorn doskonale sprawował nad wszystkim pieczę.

Lisa myślami wróciła do pracy. Drewniane rusztowania zostały już na szczęście usunięte, trzeba je będzie porąbać i zimą posłużą jako opał. Żeby wreszcie przyjechały ciężarówki i zabrały żelazne konstrukcje łóżek i materace! Postanowiono przekazać je do różnych szpitali, a resztę łóżek dać biednym rodzinom. Pościel i wełniane koce zabierał Czerwony Krzyż, chcieli też wziąć inne przedmioty: wiadra, miski, garnki, filiżanki z pojnnikami i drewniane kule. Wszystkie te rzeczy zostały teraz zgromadzone przy wejściu.

– To była naprawdę błogosławiona praca – westchnęła Eleonore Schmalzler, która właśnie zajrzała do holu. – Teraz jednak najbardziej pragnę zobaczyć raz jeszcze ten piękny hol w jego dawnej świetności.

Lisa potwierdziła, że za kilka dni tak właśnie będzie. Ale zanim to nastąpi, czeka ich jeszcze mnóstwo pracy. Choćby samo sprzątanie. Piękny intarsjowany parkiet jest teraz w opłakanym stanie.

– Co miała pani na myśli, mówiąc „raz jeszcze”? – zapytała Marie.

Gospodyni trzymała się dzielnie, ale w ciągu kilku miesięcy zrobiła się przerażająco chuda, a na jej rękach pojawiły się grube, niebieskawe żyły. Eleonore Schmalzler niedługo skończy siedemdziesiąt lat. Gospodyni spojrzała na Marie i Elisabeth mądrymi szarymi oczami. Wciąż jeszcze ten wzrok potrafił przewiercić ludzi na wskroś, ale Lisa uważała, że Iris mocno nadszarpnęła siły w ostatnich miesiącach.

– Ma pani dobre ucho, pani Melzer – powiedziała, uśmiechając się łagodnie. – Pamięta pani jeszcze naszą pierwszą rozmowę? Minęło już prawie pięć lat, odkąd zastraszona, wychudzona dziewczyna starała się w posiadłości o posadę pomocy kuchennej. Och, wiedziałam już wtedy, że ma pani w sobie coś wyjątkowego. I miałam rację.

– Wtedy czułam do pani szacunek graniczący z przerażeniem potężną gospodynią

– zauważyła Marie z uśmiechem.

– A dzisiaj? – zapytała Eleonore Schmalzler.

– Dzisiaj, tak jak wcześniej, uważam panią za największy skarb naszej posiadłości. Zupełnie nie wiemy, co byśmy bez pani zrobili.

– Cóż – powiedziała Eleonore Schmalzler. – Pani i ja obie wiemy, że nadszedł czas, żeby się pożegnać.

Marie milczała, Elisabeth również. Oczywiście, że o tym wiedziały. Wielokrotnie rozmawiały z Alicią o pannie Schmalzler i postanowiły zaoferować jej spędzenie starości w willi. Był poza tym domek, w którym mieszkała Auguste z rodziną, i dwa inne niewielkie budynki. Można byłoby jeden z nich urządzić dla niej, dwa małe pokoje, piec, kuchnia, poddasze, niewielki ogródek. W razie konieczności mogłaby też być zaopatrywana przez kuchnię w posiadłości albo wciąż siadać ze wszystkimi do stołu.

– My nie przewidujemy pożegnania, panno Schmalzler – powiedziała Elisabeth.

Spodobało się jej, że o niej myślano. Gdy Marie opowiadała jej, co dla niej zaplanowano, w jej oczach pojawił się błysk radości. Była niezmiernie wdzięczna rodzinie, czuła się mocno z nimi wszystkimi związana, jakby byli jej prawdziwymi krewnymi.

– Mimo to zdecydowałam się opuścić Augsburg, droga pani Melzer.

Elisabeth zrobiła przerażoną minę.

– Chce nas pani zostawić? – krzyknęła. – Nie może nam pani tego zrobić, panno Schmalzler. Odkąd pamiętam, zawsze pani tutaj była.

– Te lata już minęły, pani von Hagemann. Nie jestem coraz młodsza.

– Ach, co z tego! Wygląda pani olśniewająco. Tylko trochę wyczerpana przez pracę w szpitalu. Ale teraz już jej nie będzie.

– Tak, już się skończyła – powiedziała gospodyni z ulgą. – Jesienią pojedę do mojego siostrzeńca na Pomorze, tam, skąd pochodzę, blisko posiadłości von Maydornów. Zaoszczędziłam pewną sumę, którą wesprę rodzinę syna mojej siostry. Wiedzą panie, ciągnie mnie, żeby wrócić do tamtych krajobrazów. Chyba jeszcze je pani pamięta. Wcześniej razem z matką i rodzeństwem spędzała tam pani prawie każde lato.

Lisa spojrzała na Marie bezradnie. Schmalzler chciała jechać na Pomorze. Ale czy jej ojczyzna nie była tutaj, w posiadłości, gdzie przeżyła i przepracowała ponad trzydzieści lat? A poza tym brat mamy, wujek Rudolf, zmarł przed kilkoma tygodniami i ciocia Elvira myślała o tym, żeby sprzedać posiadłość.

– Oczywiście, że pamiętam – powiedziała. – Było tam bardzo pięknie. Ale mimo to powinna to pani dobrze przemyśleć, panno Schmalzler. Posiadłość wkrótce nie będzie już należała do von Maydornów, a rodzina pani siostrzeńca...

Poczuła rękę Marie na swoim ramieniu i zamilkła. Po co o tym mówi? Panna Schmalzler podjęła decyzję, a ona знаła gospodynię dość dobrze, żeby wiedzieć, że dokładnie ją przemyślała.

– Jeśli panie pozwolą, to wrócę do swojej pracy – powiedziała Schmalzler uprzejmie, jakby nic się nie stało.

– Ależ oczywiście, panno Schmalzler.

Marie wzięła głęboki wdech. Trzeba było jak najszybciej naradzić się z resztą

rodziny, bo kilkoro innych pracowników też chciało opuścić posiadłość. Humbert zamierzał wyjechać do Berlina i zabrać ze sobą Hannę. Auguste i jej mąż planowali kupić kawałek parku i zająć się ogrodnictwem. A teraz jeszcze gospodyni.

– Nie będzie trudno znaleźć nowych pracowników – powiedziała Lisa.

– Pewnie nie – odpowiedziała Marie. – Pytanie natomiast, czy będziemy im mogli zapłacić. Sytuacja w fabryce naprawdę nie jest różowa. Musimy uświadomić mamie, że w przyszłości będziemy zmuszeni zatrudniać mniej personelu.

Elisabeth przytaknęła. Biedna mama, będzie jej trudno zrezygnować z dawnego statusu. W każdym razie ona chciała jak najszybciej zacząć się kształcić na nauczycielkę, żeby nie obciążać budżetu rodziny.

– Widzimy się w południe – powiedziała Marie i zbiegła schodami na dół.

Lisa patrzyła, jak balansuje między kartonami i stelażami łóżek w drodze do wyjścia, zatrzymuje się, by zamienić kilka słów z Tilly, i otwiera piękne, dwuskrzydłowe, rzeźbione drzwi.

Na zewnątrz stała kobieta. Prawdopodobnie naciskała dzwonek, ale z powodu hałasu panującego w środku nikt go nie usłyszał. Lisa natychmiast rozpoznała staromodny czarny kapelusz z piórem czapli i kostium z ciemnozielonego aksamitu. Znała również ten ciemnozielony parasol obsyty czarną koronką.

Riccarda von Hagemann wydawała się śpieszyć. Ledwie przywitała Marie, a już kapelusik z czarnym piórkiem zaczął się poruszać zygzakiem przez korytarz w stronę Elisabeth. Lisa miała złe przeczucia. Nie widziała teściów od ponad roku, a dokładniej mówiąc od tej nieszczęsnej kłótni z Klausem w ich dawnym mieszkaniu na Bismarckstraße. Od tamtego czasu nie była tam ani razu i nie płaciła czynszu. Czy Riccarda von Hagemann chciała jej teraz przekazać niezapłacony rachunek? Czy Lisa musiała odpowiadać za długi swoich teściów?

Riccarda von Hagemann zatrzymała się kilka kroków od niej, położyła parasol na podłodze i patrzyła na Elisabeth z nieskrywaną pogardą.

– Nadszedł czas – powiedziała Riccarda. – Jeśli zdecydowałaś się złamać przysięgę małżeńską, powinnaś porozmawiać z moim synem.

Elisabeth patrzyła na nią. Ta kobieta naprawdę wyglądała jak ktoś, kto zwiastuje złe wieści. Wystarczyło spojrzeć na jej twarz pełną wyrzutów. „Złamałaś przysięgę małżeńską” – jakie to umoralniające.

– Chciałabym bardzo – odpowiedziała. – Czy już powrócił?

– Wczoraj wczesnym rankiem wrócił do Augsburga i na razie mieszka u nas.

– Świetnie – powiedziała chłodno Elisabeth. – Dam znać mojemu prawnikowi. Pan Grünling ustali z nim jakiś termin.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli sama porozmawiasz z Klausem.

Wydawało się, że jest to dla niej bardzo ważne, bo przestępowała z nogi na nogę, mówiąc to, a piórko przy jej kapeluszu poruszało się przy tym w przód i w tył. Aha, pomyślała Elisabeth. Sądzi, że jej piękny synek swoim urokiem i umiejętnością perswazji odwiedzie mnie od moich planów.

– Nie uważam tego za konieczne. Będę rozmawiać z Klausem dopiero przed sądem. I to będzie nasze ostatnie spotkanie.

Oczy Riccardy zrobiły się wąskie, zacisnęła usta. Czy była wściekła? Co znaczyła jej mina? Czy Elisabeth obróciła wniwecz jej ostatnią nadzieję?

– Chciałabym, żebyś się z nim spotkała, Elisabeth!

Było w tej wypowiedzi coś, co ją zastanowiło. Jaka uparta była ta kobieta! Klaus ją do niej wysłał? Tego nie potrafiła sobie wyobrazić. Cokolwiek można było zarzucać jej mężowi, nie był człowiekiem, który wysłał matkę, żeby rozwiązała za niego problem.

– Jest mi niezmiernie przykro, droga Riccardo – powiedziała Elisabeth z fałszywą uprzejmością. – Nie spełnię jednak twojego życzenia. A teraz byłabym bardzo szczęśliwa, gdybym nie musiała dłużej zajmować się tą sprawą...

Riccarda odetchnęła gwałtownie. Czy naprawdę drżała? Piórko na jej kapeluszu kołysało się w powietrzu.

– Ja... ja cię proszę... Elisabeth – nie dawała za wygraną. – Bardzo cię proszę. Także dla twojego dobra. Bo może kiedyś będziesz żałować swojej zatwardziałości serca.

Zabrzmiało to nieprzyjemnie patetycznie i Lisa była przekonana, że to był po prostu tani chwyt. Z drugiej strony jednak nie była tego tak pewna. Jeszcze nigdy teściowa o nic jej nie prosiła. A zresztą co może być złego w tym, że ponownie zobaczy Klause? Niczego to nie zmieni, ale może będzie okazja, żeby się pogodzić.

– Zaczekaj, pójdę po kurtkę. I parasol.

Parasol okazał się zbędny, bo Humbert domyślił się, do czego zmierza, i zapytał, czy nie podwieźć pań samochodem. Lisa się zgodziła. Wiedziała doskonale, że tylko czekał, żeby się wymigać od nieprzyjemnej pracy w posiadłości. Dała mu tę szansę.

– Nie na Bismarckstraße. Skręć w lewo. A tam na dole znowu w lewo.

Aha, pomyślała Elisabeth. Zrezygnowali z drogiego mieszkania i się przeprowadzili. Cóż, no tak, bez pieniędzy synowej nie dało się płacić czynszu i spłacać długów. Riccarda kazała się zatrzymać Humbertowi w pobliżu Milchberg i Elisabeth poprosiła, żeby poczekał w samochodzie. Nie zamierzała być tam długo.

Nowe mieszkanie von Hagemannów znajdowało się na drugim piętrze wąskiego budynku, wciśniętego między inne kamienice. To z pewnością nie były pomieszczenia godne rodziny szlacheckiej, ale najpewniej odpowiadały jej finansowym możliwościom. Bury pręgowany kot wyskoczył im naprzeciw w korytarzu, syknął i mijając je, wybiegł na ulicę. Na klatce schodowej pachniało kapuśniakiem i spleśniałym drewnem. Drzwi prowadzące na półpiętro były uchylone i skrzypiały, gdy się przez nie przechodziło. Przed drzwiami do mieszkania na drugim piętrze Elisabeth musiała wziąć głęboki oddech, po pierwsze z powodu męczącej wspinaczki, po drugie dlatego, że zapach tego domu ją odpychał. Riccarda von Hagemann wyciągnęła pęk kluczy z kieszeni żakietu i otworzyła drzwi.

– Wejdz do środka i zaczekaj w korytarzu, dopóki cię nie zawołam – nakazała.

Elisabeth żałowała swojej uległości. Dlaczego dała się przekonać, żeby tutaj przyjść? Teraz stała, niczym zaparkowany samochód, w śmierdzącym stęchlizną korytarzu i musiała podążać za instrukcjami teściowej. Czy było jej to potrzebne? Ach, była głupią gęsią, która znowu wpakowała się w tę samą pułapkę...

W pokoju obok, w którym znikła Riccarda von Hagemann, słychać było głosy. Elisabeth wzdrygnęła się. To był bez wątpienia Klaus. Mówił spokojnie, wolno,

beznamiętnym tonem. Zdziwiło ją to. W końcu czekała go rozmowa z żoną, zdecydowaną na rozwód z nim. Oczekiwała trochę więcej emocji. Ale najwyraźniej stała mu się zupełnie obojętna. Rozdał swoje uczucia, może tamta młoda dama z Belgii czekała na rychłe zaręczyny...

Drzwi się otworzyły i Riccarda von Hagemann machnęła, żeby weszła. Elisabeth zajrzała do małego salonu i rozpoznała swoje zasłony i śliczną komodę, która też bez wątpienia pochodziła z jej zasobów. Potem dostrzegła swojego męża. Stał przy oknie, odwrócony do niej plecami.

– Klaus – powiedziała matka. – Spójrz, znalazłam otwieracz do listów.

Elisabeth pojęła znaczenie tych słów dopiero później. Przez kolejne sekundy była sparaliżowana z przerażenia i nie była w stanie myśleć. Klaus odwrócił się. Jego twarz zmieniła się w purpurową maskę poprzecinaną ciemnymi liniami. Usta były pozbawione warg, nos wyglądał jak kikut, oczy miał głęboko osadzone w ciemnych oczodołach. Także część jego czaszki była spalona, nie miał włosów, skóra na głowie była różową raną. Dopiero po chwili zrozumiała, że jego matka zwabiła go tutaj, używając podstępu, żeby pokazać go Elisabeth. Rozpoznał ją? Widział ją? Czy był niewidomy?

– Co to znaczy, matko? Dlaczego to zrobiłaś? – wybuchnął. – Mówiłem ci przecież, że nie chcę nikogo widzieć.

Elisabeth musiała się oprzeć o futrynę drzwi, bo drżała jak osika. Czy to był sen? Okropny koszmar? Znowu się odwrócił i widziała, że zakrywa rękami zniszczoną twarz.

– Możesz teraz być zadowolona, Elisabeth – powiedział z gorzką ironią. – Czy Opatrzność nie ukarała mnie w spektakularny sposób? Poparzony uwodziciel. Człowiek w żelaznej masce. Czy to nie romantyczne? Z pewnością istnieją kobiety, które zakochają się w takiej ohydnej facjacie jak moja.

Jego ramiona się trzęsły. Śmiał się? A może wstrząsał nim tylko histeryczny śmiech.

– Przestań – powiedziała. – Skończ z tym cynizmem. Jest mi nieskończenie przykro.

– Oszczędź sobie współczucia. Nie potrzebuję go. Zobaczymy się przed sądem rozwodowym, mój skarbie. A potem już nigdy. Tak jak tego chciałaś.

Elisabeth nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Czowała paraliżującą mieszaninę przerażenia, współczucia, poczucia winy i jeszcze tysiąca innych emocji. Zrobiła kilka kroków do tyłu i stała w korytarzu przerażona, starając się złapać oddech.

– Chciałam, żebyś wiedziała – powiedziała Riccarda von Hagemann i zamknęła drzwi do salonu. – A teraz już idź.

Alicia Melzer powiedziała rano, że hol wejściowy w posiadłości nigdy jeszcze nie był tak piękny i jasny. Ostatnie skrzynie zostały zabrane, drewniane ramy rozmontowane, a pomieszczeniom gospodarczym, w których urządzono pokój zabiegowy i salę chorych, przywrócono poprzednie funkcje. Wczoraj malarze pozdejmowali ze zniszczonych ścian regały i przykręcone haki i nałożyli na nie nową warstwę farby. Alicia radziła się w doborze koloru Marie i Kitty, po krótkiej dyskusji stanęło na delikatnej jasnej zieleni. Tworzyła iluzję wiosennej świeżości, pasowała wspaniale do złotych ram obrazów, do rzeźbionych szafek z drewna dębowego i do dwóch komód, nad którymi wisiały owalne lustra. Wszystkie kobiety z rodziny Melzerów były przyzwyczajone do spoglądania w te lustra, by sprawdzić, czy dobrze wyglądają przed wyjściem z willi.

Dzisiaj po południu Gustav i Humbert mieli wieszać obrazy i przestawiać meble na swoje miejsce. Wcześniej trzeba jednak było gruntownie wyczyścić podłogę i nasmarować ją specjalnym olejem, żeby nadać intarsjom dawną świeżość.

– Wy czyściec z przodu, ja zacznę tutaj – wydawała polecenia Auguste. – Uważajcie, żeby nie porysować marmuru.

Hanna postawiła pełne wiadro z płynem na podłodze i natychmiast została skarcona. Nie stawiać tak ciężko, bo będą zadrapania i smugi. I nie czyścić szczotką, tylko na kolanach pocierać delikatną ściereczką.

– A może powinniśmy jeszcze całować tę drogocenną podłogę? – mruknęła Else, która przezornie przyniosła sobie poduszkę pod kolana.

– Pssst, Else – upomniała ją Hanna. – Idzie panna Schmalzler.

Else, która nigdy nie była odważna i bała się każdego potencjalnego zagrożenia, teraz wzruszyła ramionami i przeszła ze swoim wiadrem w stronę drzwi tarasowych. Nie czuła już respektu przed Schmalzler, bo ta niebawem szła na emeryturę.

– Humbert! – krzyknęła gospodyni. – Trzeba napęlić tym środkiem trzy małe buteleczki i przekazać pracującym kobietom. Należy go użyć przy silnych zabrudzeniach, bardzo delikatnie rozsmarować i potem spłukać wodą.

Ktoś pukał do drzwi. Humbert zabrał środek i poszedł otworzyć listonoszowi. Zabrał stosik listów do kuchni, posortował je i postawił Hannie przed nosem buteleczkę z magiczną substancją.

– Masz! Znajdź trzy puste buteleczki w spiżarni i napełnij tym. I, no właśnie, tak, tak, jest list do ciebie. Och, z Piotrogradu.

Hanna wytarła ręce w fartuch i włożyła list za bluzkę. Potem wzięła butelkę, w której znajdowała się gęsta biała ciecz, i poszła z nią do spiżarni. Tam zamknęła za sobą drzwi i włączyła światło. Żarówka zwisająca z sufitu niezbyt dobrze oświetlała półki. Z Piotrogradu, ale tym razem adres został napisany na maszynie. Hanna Beber. Dlaczego ciągle pisał Beber, a nie Weber? Miała spuchnięte palce od wyżymania szmaty, potrzebowała więc chwili, żeby otworzyć kopertę. Potem musiała się uspokoić, bo serce biło tak gwałtownie, że kręciło się jej w głowie. Ach, z pewnością jest wściekły, że nie

przyjechała. Próbowała wysłać mu list, ale na poczcie powiedzieli jej, że adres jest niepełny. I że za tysiąc rubli mogą jej dać w banku tylko trzy marki i pięćdziesiąt fenigów. Wołała więc zatrzymać te ruble. Jako pamiątkę. Wyciągnęła list z koperty tak niezdarnie, że naddarła róg. Gdy go rozłożyła, litery zaczęły się kołysać jej przed oczami. Był napisany na maszynie, nieregularnym drukiem. E było ledwie widoczne, a o robiło dziurkę w papierze. Na górze, po lewej stronie kartki znajdował się jej adres, po drugiej stronie data: 8 maja 1919 roku.

*Panna Hanna Beber
Augsburg
Dom Melzerów, Fabryka tekstylna
Przy Proviantbach, Germania*

Szanowna Hanno Beber,

Tym listem chcę panią poinformować, że od tego dnia nie będę utrzymywał z panią żadnych więcej kontaktów. Na życzenie moich rodziców ożenię się z młodą Rosjanką i będę służył Rosyjskiej Federacji Socjalistycznej Republiki Radzieckiej z całych moich sił.

Z poważaniem

Grigorij Szukow

Oficer Armii Radzieckiej

Pod ostatnim zdaniem odbite było tuszem, w cyrylicy, nazwisko Grigorija. Wpatrywała się w niewielkie literki i przeczytała list raz jeszcze. Żadnych kontaktów... Młoda Rosjanka... Republiki Radzieckiej z całych moich sił... Po tym jak przeżyła pierwszy ból, stwierdziła, że to dobrze. I tak nie miała zamiaru jechać do Piotrogradu. Młoda Rosjanka... Tego akurat nie musiała wiedzieć. Dlaczego jej to napisał?

Podniosła kartkę wysoko do światła. Wszędzie tam, gdzie maszyna wystukała o, przez dziurkę w papierze wpadało światło żarówki. Jeśli Grigorij posiadał maszynę z niemieckimi literami, to dlaczego napisał ręcznie swój pierwszy list? I jak to się stało, że nagle tak dobrze znał niemiecki? W całym liście nie było żadnego błędu. Poza tym głupim „Beber”.

Nagle dotarło do niej, że Grigorij nie mógł napisać tego listu. Ktoś inny go napisał

i dał mu do podpisania. Zrobił to dobrowolnie czy został do tego zmuszony? Szalone wizje pojawiły się w jej głowie. Grigorij w więzieniu. Ręce i nogi zakute w żelazne łańcuchy. Grigorij nieprzytomny i zakrwawiony na posadzce. Jeśli poślubisz tę niemiecką dziwkę, to koniec z tobą. Niemcy zniszczyli nasze wioski, zburzyli budynki, nasze kobiety zgwałci...

– Hanna? – zadzwęczał w korytarzu głos Auguste. – Gdzie się ukrywasz, ty leniu? Myślisz, że same zrobimy całą robotę?

– Już idę – krzyknęła. – Musiałam rozlać ten środek czyszczący...

– Co ona powiedziała? – zapytała Else, która ostatnio nie słyszała najlepiej.

– Klęczy w spiżarni i odmawia psalmy!

Hanna włożyła list z powrotem do koperty i złożyła go kilka razy, aż był zupełnie mały. Potem schowała go do kieszeni fartucha, żeby przy najbliższej okazji wrzucić do ognia. Gdy w końcu napelniła tą białą, śmierdzącą substancją buteleczki i je rozdzieliła, spotkała się z wściekłym spojrzeniem.

– Miło minął ci czas, prawda?

Milcząc, zabrała się do pracy. Dobrze było wycierać te brudne marmurowe płyty, włożyć w tę czynność całą swoją siłę i za sprawą wkładanego w to wysiłku nie myśleć o niczym innym. Gdy czarne smugi nie chciały zejść, wylała na nie trochę tej białej brei i wcierała, aż klepki znów były czyste. Wzór ułożony na podłodze był bardzo piękny. Wyglądał prawie tak jak te na dywanach w pokojach państwa. Niekończąca się płatanina diamentów, gwiazd, kółek, kwadratów, rombów, można się było w tym pogubić. Około jedenastej podłoga była wyczyszczona i lśniła pod powłoką oleju lnianego, który został ostrożnie warty w jej powierzchni. W kuchni Brunnenmayer przygotowywała kawę i kanapki, tak żeby każdy mógł się wzmocnić przed kolejnym zadaniem.

– Ja zwariuję! – krzyknęła Auguste i klasnęła w ręce. – Jordan przyszła. Pani dyrektor sierocińca Siedmiu Męczennic zaskoczyła nas swoją wizytą.

Hanna wolałaby zostać sama z Humbertem, bo był jedynym człowiekiem, któremu mogła powierzyć swoje smutki. Ale Humbert nie mógł dzisiaj usiedzieć w miejscu, bo wieczorem występował w kabarecie. To będzie naprawdę duże przedstawienie, powiedział. Dwadzieścia minut tylko dla niego.

– Jak mogłabym zapomnieć o starych przyjaciółach – powiedziała Maria Jordan, stawiając przed sobą filiżankę kawy z mlekiem. – Dobre piętnaście lat służyłam w posiadłości.

Usiedli koło niej i przekazywali sobie dzbanek z kawą. Maria Jordan pochwaliła pracę personelu, podłoga w korytarzu lśniła teraz bardziej niż kiedykolwiek. Potem chciała wiedzieć, czy panna Schmalzler faktycznie odchodzi na emeryturę.

– Tak, to oczywiście prawda – odpowiedziała bezczelnie Auguste, zanim gospodyni sama się odezwała. – Jeśli się pośpieszysz, Jordan, sama możesz się starać o nową posadę.

Else zachichotała, a Brunnenmayer rzuciła Auguste pełne wyrzutu spojrzenie. Czegoś takiego nie można mówić nawet w żartach!

– Dziękuję – odparła cierpko Jordan. – Jestem naprawdę zadowolona z mojego obecnego stanowiska i nie myślę nic zmieniać. To bardzo satysfakcjonujące zajęcie.

– Biedne robaczki – mruknęła cicho Else. – Nie mogą się bronić.

– Wojna pozbawiła rodziców ogromną liczbę dzieci – kontynuowała niezrażona Jordan. – To jest prawdziwe błogosławieństwo, że Kościół prowadzi taką działalność. Gdybyście wiedzieli, jaki smutny los był udziałem tych biednych istot...

Słuchano jej jeszcze chwilę i zastanawiano się, czy faktycznie znała historię swoich podopiecznych. Chłopiec stracił ojca na wojnie, a matka zmarła ze zgrzyoty. Dziewczynka została oddana przez ciotkę do sierocińca, bo jej obecny kochanek za bardzo się przyglądał jej małej siostrzenicy.

– To bardzo ważne, żeby dać tym dzieciom solidne moralne wychowanie.

– Pani z pewnością jest właściwą osobą – skomentowała sucho kucharka.

Jordan zamilkła i patrzyła badawczo na Brunnenmayer. Gdy ta nie dodała nic więcej, Jordan oświadczyła, że wkłada w tę pracę całą swoją energię.

– Niech pani tylko uważa, żeby nie podzieliła losu swojej poprzedniczki – odpowiedziała Auguste z ironicznym uśmiechem. – Pappert wciąż siedzi w ciupie.

Maria Jordan nie zareagowała na ten komentarz, sięgnęła natomiast po pyszną kiełbasę z wątróbką, którą Brunnenmayer postawiła razem z cienko pokrojonymi, kwaszonymi ogórkami.

– Jeśli jest pani tak zajęta, panno Jordan – powiedziała gospodyni, marszcząc brwi – jak to jest, że ma pani czas jeść tutaj z nami? Kto zajmuje się dziećmi?

Maria Jordan z uwielbieniem przeżuwała kiełbasę z Pomorza i powiedziała, że akurat załatwiała po drodze urzędowe sprawy i dosłownie na kwadrans zajrzała do posiadłości. Dzieci pilnuje nieopłacany ochotnik.

– Patrzcie no – rzuciła Auguste znaczącym tonem głosu. – Nieopłacany ochotnik.

– Z pewnością jest młody i piękny – skomentowała złośliwie Else.

– Albo jakiś żwawy kuternoga – zażartował Humbert i przeszedł szybko przez kuchnię z ugiętymi kolanami i zgiętymi plecami. Wszyscy parsknęli śmiechem, bo wyglądał jak małpa.

– Żaden z nich – odpowiedziała Maria Jordan z lodowatym spokojem. – To Sebastian Winkler, poprzedni dyrektor. W zeszłym tygodniu wypuszczono go z więzienia, po cichu i w tajemnicy, bez sensacji. A ponieważ biedny człowiek nie wiedział, gdzie ma się podziąć, przyjął go do sierocińca.

Hanna nie powiązała ze sobą faktów, Else też potrzebowała dłuższej chwili, pozostali okazali się szybsi. Auguste, która miała cięty język, powiedziała to na głos.

– Pięknie, pani dyrektor. Pozwoliła pani pracować biednemu mężczyźnie za darmo, żeby pani mogła chodzić sobie na spacerki i pić kawę.

– W końcu śpi w sierocińcu i dostaje jedzenie – broniła się Jordan. – Dla kogoś, kto właśnie wyszedł z więzienia i nie ma nic prócz tego, co ma na sobie, to jest faktyczny łut szczęścia.

Dodała jeszcze, że przyjęła tego mężczyznę z czystej miłości bliźniego i nawet ryzykowała swoją posadę, bo to przecież przestępca polityczny.

– Naprawdę jest pani dobrym człowiekiem – powiedziała gospodyni i uśmiechnęła się przy tym tak serdecznie, że nikt nie wpadł na to, że wypowiedziała te słowa z ironią.

Kanapki z dużego talerza zniknęły z zawrotną szybkością. Auguste poinformowała,

że kupili kawałek ziemi, łąkę położoną między dwoma strumieniami, która do tej pory należała do olejarni. Obecnie tam nie pracowano, podobnie jak w wielu innych przedsiębiorstwach. To, że w fabryce Melzerów ciągle coś produkowano, było niemalże cudem, ale młodej pani Melzer zawsze coś wpadnie do głowy. Teraz produkują materiał z papieru, którym ludzie mogą tapetować ściany. Auguste nie powiedziała, że najpierw chcieli kupić ziemię od Melzerów, ale odmówiono im. Alicia Melzer raczej dałaby sobie odciąć mały palec, niż sprzedałaby choć kawałek swojego parku.

– Gustav wiele sobie zamierzył – powiedziała Else. – Żeby tylko dał radę z tą drewnianą nogą.

– Lepsza drewniana noga niż drewniana głowa – odpowiedziała zdenerwowana Auguste. – A za kilka lat chłopcy i Liesel będą mogli mu pomóc.

– Ach tak, Liesel. Chrzestna mogłaby jej coś dać, pani von Hagemann. Ona była tak wzruszona, gdy nazwałaś dziewczynkę jej imieniem – powiedziała dobitnie Maria Jordan i sięgnęła po dzbanek, bo chciała sobie nalać jeszcze pół kubka kawy. Ale kawa się skończyła, a do jej filiżanki wleciały jedynie grube fusy.

Auguste zrobiła się czerwona. Tajemnicą poliszynela stało się to, że to nie Gustav był ojcem Liesel, tylko ktoś inny. Również z tego powodu miała nadzieję, że dzięki dochodom uzyskiwanym z ogrodu szybko się uniezależni od Melzerów.

– Pani von Hagemann ma teraz zupełnie inne zmartwienia – odparowała.

– On wrócił, prawda? – zapytała Jordan łagodnie.

– Kto?

– Nasz piękny major, z którym Elisabeth chce się rozwieść.

– A, ten...

Auguste powiedziała, że nie wie. Krążą jakieś plotki, ale na pewno nic nie wiadomo. Oczy wszystkich zwróciły się teraz na Humberta, który najwięcej wiedział na ten temat. Oczywiście nie uszło ich uwagi, że Humbert niedawno zawoził do miasta Riccardę von Hagemann i jej synową. Gdy później wypytywali go, powiedział tylko, że czekał przed domem i o niczym nie ma pojęcia.

– Tak, i co? Nic nie powiedziała? Rodzicom też nie? – dopytywała się Jordan.

Humbert uniósł brwi i przybrał minę wyniosłego angielskiego kamerdynera.

– Nie mam w zwyczaju podsłuchiwać państwa, panno Jordan – wycedził przez zęby.

– Mój Boże – sarknęła Maria Jordan ze złością. – Cóż to za doskonały kamerdynier! Dyskrecja ponad wszystko. Ale ja mam własnego informatora.

Oparła się znów na krzesło i posłała wszystkim triumfalny uśmiech. Tak, tak, wiedziała coś, czego inni nie wiedzieli, i oczywiście aż przebierała nogami, żeby się tym podzielić. Ale, co oczywiste, chciała, by ją ładnie poproszono.

Panna Schmalzler podniosła się od stołu i ogłosiła, że czas na południową przekąskę dobiegł końca i powinni wrócić do pracy. Brunnenmayer też wstała, sięgnęła po dzbanek i dała Hannie znak, żeby zaniosiła kubki i talerze do mycia. Auguste i Else siedziały wciąż, nurtowała je ciekawość. Humbert też został na miejscu, nie podobało mu się, że Maria Jordan ujawni tajemnice, o których nie każdy z kuchni powinien wiedzieć.

– Patrzcie no, a cóż to za informator. Może szpieg? – szydziła Auguste.

– Bzdury. Hedwig mi powiedziała. Von Hagemannowie ją zawołali, bo przecież była pielęgniarką w lazarecie.

– Hedwig to straszna plotkara.

– Chcecie wiedzieć czy nie?

– No już, mów!

Maria Jordan milczała przez chwilę, żeby się upewnić, że wszyscy jej słuchają. Potem ciągnęła, nie zważając na ostrzegawcze spojrzenia Humberta.

– On jest pokiereszowany – wyszeptała. – Wygląda strasznie. Jak truposz. Otrzymał strzał prosto w twarz. Włosy spalone, nos odpadł, oczy...

– Przestań! – krzyknęła Auguste, zatykając sobie uszy. – To jest kłamstwo, Jordan! Wymyśliłaś to, ty złośliwa wiedźmo!

– Nie musisz w to wierzyć!

Maria Jordan skrzyżowała ręce i cieszyła się z reakcji na przyniesioną przez nią wiadomość. Prawie wszyscy patrzyli na nią przerażeni, tylko Humbert spoglądał z wściekłością. Wiedział już więc od dawna. A Auguste, kto by pomyślał, zaczęła teraz szlochać. Proszę, proszę, piękny Klaus podobał się jej bardziej, niż można się było spodziewać.

– Sądzę, że powinna pani wracać do swoich obowiązków do sierocińca, panno Jordan – powiedziała Eleonore Schmalzler rozgniewana i kontynuowała surowym tonem: – A tak w ogóle, nie chcę więcej tutaj pani widzieć.

Humbert z wielką satysfakcją obserwował, jak twarz Marii nagle się wydłużyła, a podbródek jeszcze bardziej się wyciągnął. Podniosła się bez słowa, sięgnęła po kapelusz i przycisnęła go mocno do głowy.

– Życzę pani szczęśliwego przejścia na emeryturę, panno Schmalzler. To już całkiem niedługo, prawda?

Potem poszła do wyjścia. Słysząc było, jak zamykają się za nią drzwi.

Auguste wciąż tonęła we łzach, a jej wzrok szukał teraz Humberta, który wolałby uniknąć tej konfrontacji, ale nie miał na to odwagi.

– Czy to rzeczywiście prawda? – wyszeptała, patrząc na niego błagalnie.

Przytaknął, ale nie powiedział ani słowa.

– O Boże – jęknęła Auguste, szlochając. – Gdyby tak nie szarżował! Nie byłby pierwszym, który...

Wytarła twarz rękawem i płakała dalej. Humbert przeczesał palcami włosy i potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć złych myśli.

– Akurat dzisiaj musiała przyjść ta plotkara – mruknął. – Zepsuła mi nastrój. A muszę mieć dzisiaj dobry. Przyjdiesz, Hanno, prawda? I ty też, Fanny? Zarezerwowałem dodatkowe dwa bilety!

– Na pewno przyjdziemy, Humbercie. I wcześniej spluniemy przez ramię.

Hanna wykorzystała moment. Podeszła do kuchennego pieca, odsunęła pokrywę i wrzuciła list do ognia.

– Ale tylko przez lewe ramię, Hanno. Trzy razy: tfu, tfu, tfu.

Marie czuła się tego ranka zupełnie wyczerpana. Nic dziwnego, pomyślała, oglądając cienie pod oczami. Pół nocy kłóciła się z dwoma mężczyznami i nie mogła zasnąć aż do rana. Uczesała się i przypudrowała twarz, ale nie wyglądała dzięki temu o wiele świeżej. Skąd wzięły się te zmarszczki na czole? Wokół oczu też jakieś się pokazały. Czy w wieku dwudziestu czterech lat jest się już starszą panią?

To przez to długie czekanie, pomyślała. Ten nieustający niepokój. Zranione ramię. Gorączka. Czy on jeszcze żył? A może już od dawna... Nie, nie dopuszczała takich myśli.

Związała włosy na czubku głowy i spojrzała znowu badawczo w lustro. Wciąż była ładna. Gdy Paul wróci, nie zauważy w niej żadnych zmian i będzie tak samo zakochany i czuły jak wcześniej. Jeśli wróci.

Uniosła się honorem i nie wypowiedziała swoich wątpliwości dotyczących oferty von Klippsteina, tylko przedstawiła teściowi jego propozycję. Johann Melzer natychmiast się do tego projektu zapalił, wydawało się, że potajemnie od dawna żywił nadzieję, że von Klippstein udzieli mu finansowego wsparcia. Tylko ten wariant z partnerstwem mu się nie podobał. Wczoraj wieczorem w posiadłości, w pokoju dla panów, trwały długie spory. Johann Melzer mówił o zaciągnięciu długu, von Klippstein chciał mieć coś do powiedzenia w sprawach dotyczących fabryki, Marie starała się pośredniczyć. Rozważali nawet, czy dobrze byłoby, gdyby fabryka przekształciła się w spółkę publiczną, jak robiły inne przedsiębiorstwa w Augsburgu, ale w końcu obaj mężczyźni przyznali, że przy aktualnie katastrofalnej sytuacji gospodarczej nie byłoby to wskazane.

Gazety rozpisywały się o haniebnym pokoju, do którego przyjęcia Niemcy zostały zmuszone w Wersalu. Po co to całe cierpienie, te wszystkie śmierci? Po co ofiary? Ci wszyscy bohaterowie walczący za ojczyznę? Wszystko na próżno. Ci, którzy byli odpowiedzialni za to nieszczęście, tchórzliwie uciekli i zostawili ludzi w potrzebie samym sobie. Niemal doszło do niepotrzebnej kłótni między jej teściem i von Klippsteinem, bo Prusak mimo wszystko pozostawał wierny cesarzowi i dowództwu, podczas gdy Melzer twierdził z wściekłością, że to są głupcy i przestępcy. Wycyganili od ludzi pożyczki wojenne, zdarli z nich ostatnią koszulę, nawet obrączki zabierali. Obiecywali, że kiedyś zostanie im to zwrócone z nawiązką. Gdy wrogowie zostaną pokonani i będą musieli zapłacić reparacje wojenne. A teraz kto zapłaci te reparacje? Niemcy. To oznacza, że niemiecka gospodarka jeszcze przez lata nie stanie na nogi.

Marie w końcu miała dość narzekania. Czy naprawdę siedzą tutaj, żeby narzekać, że przed niemiecką gospodarką nie ma przyszłości? Jeśli każdy w kraju będzie tak myślał, to można od razu schować się w skorupie jak ślimak. Nie, właśnie teraz są potrzebne nowe pomysły, odwaga, duch przedsiębiorczości i – nowy kapitał. Zyskała sobie ich aprobatę, doskonale sformułowała to, co oni też mieli na myśli.

Von Klippstein podniósł kieliszek i stwierdził, że jest niesamowitą kobietą, jego przyjaciel Paul może się czuć szczęśliwy. Johann Melzer powiedział z uśmiechem, że jego synowa to twardy orzech do zgryzienia, ale jak dotąd to jej pomysły okazywały się

najlepsze dla fabryki. Marie pozwoliła im mówić i cieszyła się, że rozmowa zaczęła zmierzać wreszcie do rozsądnego porozumienia. Ustalili: pozostanie nazwa „Fabryka Melzerów”, von Klippstein zostanie partnerem, otrzyma wynagrodzenie i będzie miał udział w zyskach. Negocjacje zostały zakończone uściskiem dłoni, postanowili, że w najbliższych dniach podpiszą umowę. Wtedy kupią tak potrzebne surowce i rozpoczną produkcję. Oczywiście Marie już zaprojektowała nowe wzory, trzeba je wygrawerować na walcach i pokonać konkurencję nowoczesnymi pomysłami.

Gdyby to tylko było tak proste! Kiedy von Klippstein jak zwykle pełnym szacunku pocałunkiem w rękę pożegnał się z nią, a Johann Melzer poszedł do swojej sypialni, w głowie Marie wciąż tłukły się niepokojące myśli. Co, jeśli nie uda się sprzedać tych materiałów? Jeśli koszty produkcji przekroczą zyski? Robotnicy będą wciąż strajkować i żądać wyższych wynagrodzeń?

Postanowiła nie dopuszczać do siebie takich myśli, gdy nagle na korytarzu pojawiła się Kitty. Marie wiedziała wprawdzie, że jej szwagierka była w kabarecie razem z Lisą i Tilly, ale Elisabeth już dawno wróciła.

– Marie? – wyszeptwała Kitty i podeszła do niej. – No proszę. Jeszcze nie śpisz. Czy do tej pory kłóciłaś się z tatą i Klippim? Biedna Marie. Jesteś blada i wyglądasz na zmęczoną.

Kitty trzymała w ręce buty i szła w samych pończochach – oczywiście miała nadzieję przemknąć się niepostrzeżenie do swojego pokoju.

– Tak, dyskutowaliśmy aż do tej pory... A ty? Skąd wracasz tak późno?

– Ja? – zapytała Kitty, zakładając krótkie włosy za ucho. – Wiesz przecież, że byłam z Tilly i Lisą w kabarecie. Och, Marie! Szkoda wielka, że nie poszłaś z nami! Było tak wspaniale! A nasz Humbert! Co z niego za artysta! Aż trudno w to uwierzyć, na początku w ogóle go nie poznałam. Naśladował cesarza, a potem naszego nowego burmistrza. I nawet Astę Nielsen – to było *clou* całego przedstawienia.

Marie była zbyt zmęczona, żeby okazać ciekawość. Poza tym Kitty była przecież dorosła i sama powinna na siebie uważać. Przynajmniej miała taką nadzieję. A co się tyczyło Humberta, cóż, wyglądało na to, że go stracą. Myślała o tym ze smutkiem, bo ten osobliwy młodzieniec wszystkich tutaj zauroczył. Musi podążać za własnym przeznaczeniem.

– Byłaś też u Tilly? Czy twoja teściowa ma się lepiej?

Kitty patrzyła na nią, zupełnie nie rozumiejąc pytania, wielkimi szczerymi oczami. Nie, nie była u Tilly. Lisa odwiozła ją do domu zaraz po przedstawieniu. Jej matka wciąż cierpi na silne zapalenie oskrzeli, ma kłopoty z sercem.

Marie milczała. Oczy zamykały się jej ze zmęczenia, ale było dla niej jasne, że Kitty chce jej jeszcze coś opowiedzieć. Było to coś, co Kitty ewidentnie musiała wyrzucić z siebie, bo nie dałoby to jej spokoju. Przez całą noc.

– Wyobraź sobie, że... po kabarecie jeszcze gdzieś wyszłam.

– Ach tak? Tak późno? Gdzie jeszcze można pójść o takiej porze?

Kitty uśmiechnęła się rozanielona i wyjaśniła, że w centrum miasta jest bardzo przyjemny bar, w którym nawet o północy można się napić kawy albo czegoś innego.

– Piliśmy szampana. Nawet szampan...

– My?

– Tak, oczywiście – powiedziała Kitty z oburzeniem. – Nie sądzisz chyba, że poszłabym do baru zupełnie sama?

Marie zaczęło się trochę kręcić w głowie, co z pewnością wynikało z tłumionej potrzeby snu. Albo z niepokoju, że Kitty mogła się oddać frywolnemu życiu bohemy i spotykać się z obcymi mężczyznami w zadymionych barach.

– Nie rób takiej miny, Marie – szepnęła czule Kitty i pogłaskała ją po policzku. – Moja kochana Marie. Moja przyjaciółko od serca. Moja jedyna powierniczko...

O Boże, pomyślała Marie. Teraz to już na pewno nastąpi jakieś straszne wyznanie. Tak bym chciała być już w łóżku...

– Byłam tam z... z Gérardem – wyszeptała Kitty.

– Z... z kim?

Marie nie rozumiała. Kitty faktycznie mówiła o Gérardzie Duchampsie? To przecież niemożliwe.

– Nie myśl tylko, że to było zaplanowane, Marie. To był czysty przypadek. Siedział w kabarecie dwa miejsca ode mnie. Czy to nie zabawne? I wyglądał już znacznie lepiej niż ostatnio, na mojej wystawie. Był wtedy rozczochrany i obszarpany jak leśny skrzat, nawet można było się go przestraszyć.

Gérard Duchamps zagadał do niej po przedstawieniu i zaprosił ją na krótkie spotkanie w barze. Prawdopodobnie nie spuszczał jej z oczu od czasu wystawy w mieszkaniu pani dyrektorowej Wieslerowej. Niesamowite, jaki był wytrwały. Ale co on sobie myślał? Był Francuzem i sądził, że zostanie przyjęty z otwartymi ramionami? Albo może znów miał nadzieję na niezobowiązującą przygodę z olśniewającą Kitty?

– On się zupełnie zmienił, Marie. W lazarecie był bliski śmierci, a w czasie wojny widział tyle niedoli. Powiedział, że nie da się tego opowiedzieć, tego można jedynie samemu doświadczyć. I wyobraź sobie, że biedak okropnie się skłócił ze swoją rodziną. Wydziedziczyli go. Jest zupełnie bez środków do życia, ale ode mnie nie chciał wziąć pieniędzy, w żadnym wypadku. Zapłacił nawet za szampana. I oczywiście... oczywiście nic się między nami nie wydarzyło. Dlaczego? Były tam tylko małe stoliki i niewygodne meble obite pluszem w ohydnej czerwieni.

Zawroty głowy Marie nasiliły się. Wystarczyło na dzisiaj.

– I co teraz będzie? Z wami obojgiem oczywiście?

Kitty uśmiechnęła się w zadumie i wzruszyła ramionami. Ach, przyszłość pokaże.

– Powiedział, że Alfons Bräuer był wspaniałym człowiekiem. Przed wojną Gérard od czasu do czasu załatwiał jakieś sprawy w banku Bräuerów, więc go poznał.

Marie pod wpływem impulsu objęła ją.

– Jesteś dorosła, Kitty. Weź życie we własne ręce. Podążaj za głosem serca, jeśli sądzisz, że tak właśnie musisz zrobić. Nie zapominaj jednak, że masz rodzinę i małą córeczkę. I że wszyscy cię bardzo kochamy...

– Ach, Marie. Moja jedyna Marie...

Kitty, szlochając, przytuliła się do swojej bratowej. Szeptala jej do ucha, że wiedziała, iż jedynie Marie będzie ją potrafiła zrozumieć, i poszła w końcu pocieszona do swojego pokoju.

Gdy rano Marie zeszła do jadalni, przy śniadaniu siedziały Alicia i Elisabeth. Po ich minach było widać, że rozmowa nie należała do wesołych. Tym bardziej więc starały się serdecznie przywitać Marie.

– Dzień dobry, moja droga Marie – powiedziała Alicia. – Jaka jesteś blada. Czyżby wczoraj wieczorem nasi mężczyźni porządnie cię przemaglowali?

– Ależ było zupełnie odwrotnie, mamó – zażartowała Marie. – Gdy z nimi skończyłam, śmiertelnie zmęczeni padli na łóżka.

Elisabeth rozbila skorupkę jajka na miękko i posypała je solą. Alicia zaśmiała się z żartu Marie i stwierdziła, że nie musiało być tak źle, bo Johann dawno już zjadł śniadanie i poszedł do fabryki. Nie chciał nawet tracić czasu, żeby zajrzeć do „Augsburger Neuesten Nachrichten”.

– To zrozumiałe – powiedziała Elisabeth, podczas gdy Marie usiadła na swoim miejscu i rozłożyła białą serwetę. – To, co się teraz czyta, niespecjalnie może podnieść na duchu. Jak sępy pastwią się wszyscy nad naszą biedną ojczyzną.

– Jeśli masz nadzieję, że dzięki tej uwadze uciekniesz od tematu, to cię rozczaruję, Elisabeth – powiedziała Alicia. – Podtrzymuj swoje zdanie. Są pewne zasady, których kobiety z dobrych domów powinny się trzymać. Nawet w dzisiejszych czasach. Należy do nich zakaz pokazywania się w miejscach rozrywki takich jak kabaret. A jeśli się już tam chodzi, to tylko w towarzystwie męża.

Ach, więc o to chodziło. Marie sięgnęła po bułki, które teraz znów były w sprzedaży, choć ich cena wzrosła potwornie. Wszystkie artykuły drożały w przerażającym tempie. Ernst miał rację, nie można było pod żadnym pozorem lokować pieniędzy w banku...

– Byłyśmy we trzy – odpowiedziała Elisabeth.

– To niewiele zmienia, Liso!

Marie widziała rozgniewane spojrzenie Elisabeth i chciała uspokajająco interweniować, gdy Lisa wypaliła:

– Jeśli chcesz wiedzieć dokładnie, mamó, to byłam tam w towarzystwie pewnego mężczyzny. Jesteś zadowolona?

Oho! Marie przekroiła bułkę i posmarowała obie połówki marmoladą. Napila się kawy i czekała na pytanie, które nieuchronnie musiało paść.

– A mogę się dowiedzieć, z kim byłaś? Bo oficjalnie wciąż jesteś żoną Klause von Hagemanna, nie zapominaj o tym.

Lisa włożyła łyżeczkę z masy perłowej do pustej skorupki jajka, tak że utrzymała się ona w niej w pozycji pionowej.

– O tym zdecydowanie pamiętam, mamó. Myślę o tym dzień i noc, jeśli chcesz wiedzieć. Ale wczoraj towarzyszył mi pan Winkler.

Alicia odetchnęła głęboko i widać było, że ma wiele do powiedzenia w tej kwestii. Zamiast tego w milczeniu nalała sobie jednak kawę do filiżanki, dodała śmietankę i cukier. Marie wiedziała, co Alicia sądzi o przyjaźni Elisabeth z nauczycielem Sebastianem Winklerem – że to nie przystoi. Gdy kobieta chce się rozwieść z mężczyzną

pochodzącym z wyższych sfer, nie powinna upaść tak nisko, żeby powiedzieć „tak” zwykłemu nauczycielowi. Ale oczywiście – dzisiaj wszystko się zmieniło. Młode kobiety myślą w sposób nowoczesny, noszą krótkie spódnice i każą sobie ścinać włosy. A poglądy ich matki, jak to Kitty ostatnio dobitnie wyraziła, pochodzą z poprzedniego stulecia.

– Pan Winkler? – wtrąciła się Marie. – Ten, który prowadził sierociniec Siedmiu Męczennic? Słyszałam o nim wiele dobrego. Czy znalazł nową pracę?

– Niestety nie. Nie chcą go zatrudnić w żadnej szkole. Jest z tego powodu ogromnie nieszczęśliwy.

– Cóż – skomentowała Alicia. – Jeśli pan Wink-ler, jak mówią, posiada niezwykle umiejętności pedagogiczne, to nasze miasto musi mieć naprawdę dobry powód, żeby odmawiać mu zatrudnienia...

Elisabeth nie odpowiedziała. Nie było sensu kłócić się z rodzicami na temat polityki. Republika – to już było wystarczająco okropne. A Republika Rad oznacza w ich oczach jedynie próbę zniszczenia kraju.

– A gdzie właściwie jest Kitty? – chciała wiedzieć Alicia. – Nie słyszałam nawet, jak wróciła do domu. Ta dziewczyna jest cicha jak kotek.

– Kitty? – mruknęła Elisabeth z tajonym uśmiechem. – Och, myślę, że śpi jak kłoda.

– Cóż, uważam, że śniadanie można zjeść o wpół do dziewiątej – powiedziała niezadowolona Alicia. – Nawet jeśli poprzedni wieczór się przedłużył. Marie jest przecież tutaj...

Przerwała, bo w gabinecie zadzwonił telefon. Zastanawiała się, czy sama powinna podejść, żeby odebrać rozmowę. Ale ponieważ w tym momencie na górę szedł Humbert z pocztą, poprosiła go o odebranie telefonu.

– Oczywiście, łaskawa pani.

– Był pan wczoraj wieczorem niesamowity, Humbercie! – krzyknęła Elisabeth. – O mało nie skonałyśmy ze śmiechu!

Skłonił się nisko, przechodząc, jak zawsze profesjonalny. Tylko w jego oczach widać było blask. Sukces. Sukces na całej linii. Bito mu brawo przez wiele minut, wywołano kilkakrotnie. Wiedział teraz, że takie brawa oznaczają największe szczęście, szczęście, które uzależnia.

– Bardzo dziękuję, łaskawa pani.

Alicia znowu westchnęła głęboko. Podczas przeglądania listów spojrzała wymownie na Marie. Jej wzrok zdawał się mówić, że tak nie może niestety być, że trzeba będzie zatrudnić nowego kamerdynera. Jakie to smutne, że ten młody człowiek tak lekkomyślnie zaryzykował swoją bezpieczną pozycję, żeby występować w kabarecie.

Tymczasem było słyhać, jak Humbert rozmawia przez telefon, i po chwili znów wszedł do jadalni.

– Panna Lüders prosi, żeby jak najszybciej przyjechała pani do fabryki.

– Dziękuję, Humbercie. Nie powiedziała nic więcej?

– Nie, łaskawa pani. Tylko że to pilne...

Czyżby obaj panowie znowu skoczyli sobie do gardeł i potrzebują rozjemczyni?

Marie podniosła się i zażartowała, że chyba już się nie pozbędzie tych duchów, które ją wzywają. W korytarzu spotkała Humberta, który na nią czekał i powiedział, że w jadalni nie przekazał jej wszystkiego.

– Będzie lepiej, jeśli panią zawiozę, łaskawa pani. Zdaje się, że dzieją się tam naprawdę dziwne rzeczy.

– Ale o co chodzi, na miłość boską?

– Pani Lüders mówiła o napaści. Że zawiadomiła policję, a pan dyrektor jest zupełnie załamany.

Marie chwyciła kapelusz z wieszaka, nie traciła nawet czasu na włożenie żakietu. Było to zresztą zbędne, bo sierpniowe słońce powodowało prawdziwy upał w całym kraju.

– Napaść, mówisz? Ale to przecież śmieszne!

Znowu strajk pracowników fabryki? Czyżby w końcu dotarł aż do biura jej teścia? Czy mu grożono? Ale przecież był tam von Klippstein. Czy nie był to człowiek, który potrafi sobie radzić z takimi sytuacjami? Musieli czekać chwilę przy wyjeździe z parku na ulicę. Wiele samochodów jechało w stronę centrum miasta, żółtawy kurz unosił się na wysuszonych od słońca poboczach, opadając na samochody.

Humbert zakaszłał. Przez jakiś czas jechali w unoszącym się kurzu, zanim dostrzegli fabrykę.

– Co tam się dzieje? – wyszeptała Marie, gdy dojeżdżali na miejsce.

Brama fabryki była szeroko otwarta. Po lewej stronie stały cztery samochody, które ewidentnie czekały, aż będą mogły wjechać do środka. Prawy pas służył pojazdom do opuszczania terenu fabryki.

– Zatrzymaj się za ciężarówką, Humbercie.

– Mogę wjechać na podwórze, łaskawa pani.

– Nie, wysiądę tutaj.

– W takim razie proszę poczekać, idę z panią.

Nikt nie zwrócił na nich uwagi. Gdy cali spowici kurzem podeszli do bramy, mijały ich załadowane ciężarówki. Przy bramie ktoś wrzasnął, czego tutaj szukają.

– To jest pani Melzer – usłyszała przerażony głos dozorczy. – Ona prowadzi to przedsiębiorstwo...

Ciężarówka za nimi uruchomiła silnik i przejechała na podwórze. To, co się działo, było tak niesamowite, że Marie na początku uznała to za sen.

Armia pracowników ciągnęła metalowe części, niektóre na wózkach. Duże i małe, ciężkie, które musiały być ciągnięte przez kilka osób, i drobne, włożone do wiader. Błyszczące korby, koła zębate, pręty montowane w urządzeniach, łańcuchy, rury poplamione smarem. Minęła chwila, zanim Marie pojęła, co to jest: selfactory, maszyny przędzalnicze i drukarskie porozkładane na części i ładowane na przyczepy i ciężarówki.

– Kradną pani maszyny – wyjąkał Humbert. – To przecież niemożliwe. Tak nie wolno.

Marie próbowała w kurzu i tłumie odnaleźć choć jedną znaną jej osobę. Czy to nie von Klippstein stał przed wejściem do budynków administracyjnych? Mężczyzna odwrócony plecami, który rozmawiał z kimś, gwałtownie gestykulując?

– Chodź! – nakazała Humbertowi, przepychając się między robotnikami.

Podążał krok w krok za nią, obawiając się, że ktoś mógłby ją zaatakować. Jednocześnie bał się wdać w bójkę. Nie był bohaterem, co to, to nie.

Zanim Marie dotarła do obu mężczyzn, zaczęła domyślać się, co się dzieje. Ale czy to możliwe? Właśnie w taki sposób? Ale co Lisa mówiła? Że jak sępy...

– To jest nielegalne – usłyszała pełen wściekłości głos von Klippsteina. – Nie mają prawa demontować maszyn! Podpisano porozumienia. Takie działania są regulowane przez umowy!

– *We don't care, Mr. Klichen. You lost the war – so you will pay the debt*⁴¹. Państwo płacicie... bo przegraliście tę wojnę. Takie jest życie, *my boy*.

– Policja zajmie się tą sprawą.

– *We are not afraid of the German police*⁴²... My kupiliśmy te maszyny. Mamy umowę, podpisaną przez pana Melzera.

– To jest z pewnością kłamstwo. Dyrektor Melzer nigdy nie sprzedałby wam swoich maszyn!

– Mogę to poświadczyć! – krzyknęła głośno Marie. – Mogę nawet przysiąc!

Mężczyzna, który kłócił się z von Klippsteinem, miał na sobie garnitur skrojony na wzór zachodni i kapelusz, który ciągle naciągał na spocone czoło. Był pulchny, a jego twarz lśniła od słońca.

– *Who are you?*⁴³.

– To jest pan Jeremy Falk z Ameryki, z Greenville – powiedział von Klippstein do Marie, dotknięty nieuprzejmością Amerykanina. Potem odwrócił się do Falka. – Pani Marie Melzer, synowa dyrektora i kierowniczka przedsiębiorstwa.

– *I am very sorry, Mrs. Melzer*⁴⁴ – powiedział pulchny mężczyzna, nie witając się z Marie, nawet nie ściągając kapelusza.

– *The game is already over*⁴⁵... Szkoda, ale już po wszystkim.

W tej samej chwili rozległ się krzyk. Głośny i nieskrępowany krzyk bezsilnej rozpacz.

– Nie! Wy dranie, nie zabierzecie moich maszyn! To są maszyny, które zbudował Jakob! Nie moje maszyny! Nie moje...

– Na miłość boską – wyszeptała Marie. – Ojciec! Gdzie on jest?

Von Klippstein rzucił się w sam środek tłumu, w skupisko ludzi złożone z pracowników, którzy się przepychali, rozmawiali, a teraz postawili dźwigane części i wskazywali palcami.

– Lekarza! Wezwijcie lekarza! – krzyczał ktoś.

Marie odpychała ludzi na bok, ciągnęła ich za rękawy, używała nawet łokci, w końcu znalazła się w środku grupy. Von Klippstein klęczał przy człowieku, który leżał na ziemi z wyciągniętymi i dziwnie skrzyżnymi rękami. Marie poznała jasnoszary letni garnitur, szare sznurowane buty, srebrny zegarek na rękę z brązowym paskiem ze skóry, z którego jej teść był tak dumny. Podeszła bliżej, uklękła obok niego, zobaczyła jego bladą twarz i na wpół otwarte usta, z których sączyła się krew.

– Oddycha jeszcze – usłyszała, jak mówi von Klippstein. – Gdzie postawiliście samochód? Musimy jechać do szpitala...

Marie dostrzegła spojrzenie Johanna Melzera zza prawie już zamkniętych oczu. Był to tylko jakby błysk, może ostatni przejaw świadomości, a może jedynie reakcja tęczy na śmierć, która obejmowała całe jego ciało.

– Humbert! – krzyknął zdenerwowany von Klippstein. – Humbert, gdzie pan jest? Niech pan biegnie po samochód, szybko!

Jego głos zginął pośród odgłosu silnika, który włączył właśnie kierowca ciężarówki stojącej nieopodal.

– *Im so sorry, Mrs. Melzer* – powiedział ktoś stojący obok Marie. – *We didn't touch him. He just fell down*⁴⁶.

Ledwie to do niej dotarło. Delikatnie położyła dłoń na twarzy Johanna Melzera, czułym gestem zrobiła znak pożegnania na jego czole i zamknęła mu powieki. Płakała. Ale w ogólnym zgiełku, pośród krzyków i hałasu silników nikt tego nie zauważył.

41 Ang. Nie obchodzi nas to, panie Klichen. Przegraliście wojnę – spłacacie długi.

42 Ang. Nie boimy się niemieckiej policji.

43 Ang. Kim pani jest?

44 Ang. Bardzo mi przykro, pani Melzer.

45 Ang. Gra się skończyła.

46 Ang. Bardzo mi przykro, pani Melzer. (...) Nawet go nie dotknęliśmy, on po prostu upadł.

Zakończyła się pewna era – powiedziała pani dyrektorowa Wieslerowa drżącym głosem. – Moje szczere kondolencje, moja kochana...

Objęła Alicję Melzer i musiała szybko wytrzeć oczy chusteczką. Dyrektor Wiesler bez słowa uściśnął dłoń Alicji i pokiwał głową kilka razy, jakby właśnie w ten sposób wyrażał współczucie i musiał to jeszcze potwierdzić ruchem głowy. Alicja uśmiechnęła się nieco zmieszana i odwróciła się do kolejnej osoby, składającej wyrazy współczucia. Zawsze te same słowa. Serdecznie dziękuję. To wspaniale, że przyszliście. Dziękuję państwu z całego serca. Tak, to straszny cios dla nas wszystkich. Tak, to stało się zupełnie nieoczekiwane. Bardzo dziękuję. Humbencie, zabierz proszę kwiaty. Tak, dzisiaj po południu, zaraz po...

Trumna z Johannem Melzerem zostanie wystawiona w holu posiadłości. Tam będzie stała otwarta na czarnym katafalku w niebieskawym półmroku, światło pochodzącym od ośmiu świec umieszczonych w srebrnym świeczniku.

Grube zasłony przysłaniały szklane drzwi prowadzące na taras. Alicja kazała też zakryć wszystkie lustra ciemnym materiałem. Johann Melzer miał surową minę na zupełnie białej twarzy, ręce złożone i obłożone mnóstwem kwiatów.

– Jesteśmy to winni naszym przyjaciom – powiedziała Alicja. – Melzerowie wciąż mają coś do powiedzenia w Augsburgu, Johann był ważną postacią. Dużo osób przyjedzie, żeby się z nim pożegnać.

Marie była zaskoczona, jak szybko Alicja wzięła się w garść po śmierci męża, z którym spędziła tyle szczęśliwych, choć czasami trudnych lat. Oczywiście Alicja mogła się uskarżać na chłód, który pojawił się w ich małżeństwie w ostatnich latach, i na brak zrozumienia ze strony Johanna, ale Marie wiedziała, że teściowa kochała swojego męża. Teraz w obliczu najgłębszego smutku Alicja okazała się bardzo silna. Pocieszała córki, które z rozpaczą nie mogły się pozbierać, kierowała pracą służby, razem z Marie zajmowała się urządzeniem pogrzebu.

Pan Falk sam był zszokowany tym, co się stało. Zarządził, żeby położyć nieprzytomnego z zachowaniem pełnej ostrożności na platformie załadunkowej jednej ze swoich ciężarówek. Tylko Marie wiedziała już wtedy, że Johann Melzer wstąpił właśnie do królestwa zmarłych, ale mimo to nie sprzeciwiała się poleceniu Falka. Później, gdy lekarze w szpitalu stwierdzili śmierć pacjenta, zadzwoniła do Alicji. Kitty była w centrum, gdzie robiła właśnie zakupy, i tam należało jej szukać, a Lisę znaleziono w sierocińcu u Sebastiana Winklera.

Alicja domagała się, żeby całą noc przed pogrzebem rodzina czuwała przy jej mężu, jak to było w zwyczaju. Nikt się jej nie sprzeciwił. Wielebny Leutwien odprawił żałobną ceremonię i spędził długi czas przed trumną na głębokiej modlitwie. Potem przyszły Kitty, Elisabeth i Marie, usiadły na niewygodnych krzesłach obok Alicji, patrzyły na obcą, woskową twarz zmarłego i czuły głęboki mrok tego wielkiego holu. Także panna Schmalzler i Fanny Brunnenmayer przyszły na kilka godzin, jak nakazywał zwyczaj,

później starały się regularnie podawać kawę, herbatę i wodę. Niewielu mieszkańców posiadłości zasnęło tej nocy, nawet trójka dzieci była niespokojna i płakała.

Od jedenastej następnego dnia zaczęły przychodzić kolejne osoby, by złożyć kondolencje. Byli to przedstawiciele władz miejskich, przyjaciele, znajomi, a także robotnicy i pracownicy fabryki. Kiedy członkowie rodziny wyrazili swój żal i złożyli kwiaty, wchodzili na pierwsze piętro, żeby przywitać się ze znajomymi i skorzystać z poczęstunku.

Humbert przez cały czas był w ruchu. Układał kwiaty przed trumną, przynosił tacę za tacą z kawą i przekąskami do pokoi, znajdował zagubione okulary i torebki, starał się odpowiadać na niezliczoną ilość pytań.

– Dlaczego oni chcą o wszystkim wiedzieć – skarżył się na dole w kuchni, gdzie kucharka z pomocą Auguste przystrajała kanapki z szynką oraz jajka z musztardą.

Hanna i Else zostały wyznaczone do mycia naczyń, bo zużywano ogromną liczbę filiżanek, szklanek i małych talerzyków.

– Tak, alkohol – mruknął, naśladując głos starego człowieka. – Błogosławiony pan Melzer faktycznie często sobie przysposabiał francuski koniak. – Potem kontynuował już głosem przypominającym ton urzędniczy: – Teraz fabryka już na pewno jest w stanie upadku, prawda? – Nie czekając nawet na reakcję i nie przerywając, zaczął naśladować panią von Sontheim: – Zupełnie nie rozumiem, dlaczego pani von Hagemann nie jest jeszcze rozwiedziona.

Else przetarła twarz fartuchem. Jak ludzie mogą tak nawet pomyśleć! Upadek fabryki! To by im zresztą pasowało.

– Ach, gdybyśmy tylko wiedziały, na jaką to okazję wyszorowałyśmy i wypolerowałyśmy podłogę w holu! On leży teraz sztywny i niemy w trumnie. A jeszcze w poniedziałek rano zawołał mnie do siebie i prosił, żebym podnosiła nogi wyżej, bo strasznie szuram, gdy chodzę.

Do kuchni weszła panna Schmalzler ubrana na czarno i z żałobną wstążką we włosach. Użyła pudru i trochę różu, żeby nie wyglądać strasznie blado po nocy spędzonej na czuwaniu. Uśmiechnęła się do kobiet zgromadzonych w kuchni, dodając im otuchy. Jak za swoich najlepszych czasów.

– Wszystko przebiega dobrze. Pani Melzer jest zadowolona, że przyszło tak wiele osób. Staramy się, jak możemy, żeby pokazać posiadłość z jak najlepszej strony. Nawet teraz w tym smutnym dniu. Zwłaszcza teraz.

– Auu! – krzyknęła Auguste i włożyła krwawiący palec do ust. – Jezu, Brunnenmayer, twoje noże są ostre jak żyłki!

– Jeśli chcesz zatamować krwawienie...

Panna Schmalzler zwróciła się do Humberta:

– Przybył właśnie burmistrz, pan von Wolfram z małżonką. W salonie brakuje szklanek i karafki z wodą.

– Natychmiast, panno Schmalzler.

Humbert przebiegł obok gospodyni i ruszył ze szklankami na schody dla służby,

nie powodując nawet najmniejszego brzęknięcia szkła. Był szybszy od windy do przewożenia jedzenia i zastawy, która teraz była wypełniona brudnymi naczyniami.

Około pierwszej napływ gości zmalął, wiele rodzin o tej porze jadło obiad. Panował okropny zaduch, który paraliżował ciało i umysł. Ziemia była wyschnięta od słońca, gdzieś tam nawet pękała, niektóre małe strumienie wyschły i tylko stare drzewa w parku, których korzenie tkwiły głęboko w ziemi, nie miały jeszcze ani jednego żółtego liścia.

– Niebo się zasnuło – powiedział Ernst von Klippstein do Marie. – Miejmy nadzieję, że nie będzie burzy.

– Ach, gdzie tam – powiedziała z goryczą Kitty. – Choć tacie sprawiłoby radość, gdyby jego pogrzeb odbył się pośród błyskawic i grzmotów. Niezmiernie by się cieszył, gdyby ci wszyscy ludzie zmokli...

– To jest całkiem możliwe – powiedziała Marie i położyła rękę na ramieniu Kitty.
– Na wszelki wypadek zabierzemy dziś parasole, prawda?

Kitty przytaknęła i przytuliła się do Marie. Większą część poprzedniej nocy spędziła w pokoju bratowej, mówiła bez przerwy, płakała, żaliła się, a potem znów chichotała naiwnie. Ach, tatuś! Że też odszedł tak szybko! Nawet nie mogła się z nim pożegnać.

– Powinno się aresztować tego Amerykanina. Jak on się nazywa? James Fork czy jakoś tak? Nieważne. Przeklęty drań. Nędzny morderca.

– Pssst, Kitty – szepnęła jej Marie do ucha. – Nie teraz, nie tutaj.

– Dlaczego? – szlochała Kitty. – Tacie by się to spodobało. Gdyby tylko mógł, rzuciłby tym draniem o podłogę. Właśnie tak, nie inaczej, trzeba się obchodzić z tymi ludźmi. Oni znają tylko czystą przemoc tam, na tym Dzikim Zachodzie...

Marie wiedziała, że nic nie da przywoływanie Kitty do porządku, więc pogłaskała ją delikatnie po włosach i pocałowała w policzek. Niedaleko stał Ernst von Klippstein ze zrozpaczoną miną. Słowa Kitty mocno go dotknęły. Sam sobie wyrzucał, że nie zareagował bardziej stanowczo, gdy Jeremy Falk wkroczył do fabryki. Miał zaufanie do policji, którą wezwały sekretarki. Chciał uniknąć eskalacji przemocy. Po prostu się nie udało.

– Spójrz, Kitty – powiedziała Marie. – Przyszły Tilly i jej matka. Chcesz się z nimi przywitać?

– Och tak – westchnęła Kitty. – To znacznie przyjemniejsze niż witanie się z tymi czarnymi wronami z władz miasta, które kraczą tylko w kółko: „Moje serdeczne kondolencje”.

Von Klippstein stanął teraz koło Marie.

– Chciałem jeszcze pani coś wyznać, Marie – powiedział ściszone głosem. – Moja propozycja bycia partnerem w fabryce jest nadal aktualna. Podtrzymuję dane słowo. I będę stał u pani boku, gdy będzie pani kierowała fabryką. Teraz dopiero naprawdę, Marie.

– Bardzo panu dziękuję.

Ukryła zmieszanie za życzliwym uśmiechem. Można było przewidzieć, jak wszystko się dalej potoczy. Bez wsparcia Johanna Melzera, który co prawda nie zawsze był uległy, ale mimo to zawsze stawał po jej stronie, nie będzie mogła prowadzić fabryki. Potrzebowała von Klippsteina, żeby zaakceptowali ją pracownicy. Potrzebowała też jego pieniędzy, żeby fabryka mogła działać. Ale czy na dłuższą metę będzie spełniał jej życzenia? Stosował się do jej decyzji? Pomagał jej wprowadzać nowe, odważne pomysły? Może nawet to wszystko uczyni. Ale prędzej czy później zażąda zapłaty.

Paul. Gdyby wreszcie wrócił! Czuła się tak okropnie wyczerpana, tak bezbronna, pozbawiona odwagi i nadziei. Musiała być silna. Kto inny był w stanie walczyć o to, żeby fabryka przetrwała? Tylko ona. Na jej ramionach spoczywała ogromna odpowiedzialność.

Około drugiej uciążliwy upał sięgnął zenitu, niebo przykryła zasłonka z białych, delikatnych chmur, w oddali słychać było ciche grzmoty. W korytarzu pojawiło się sześciu krzepkich mężczyzn, którzy zostali przysłani przez przedsiębiorstwo pogrzebowe. Mieli wynieść zmarłego pana posiadłości z holu, a potem drogą parkową na ulicę. Tam czekała staroświecka bryczka, żeby zawieźć trumnę na cmentarz, gdzie przed laty Johann Melzer zlecił wykonanie rodzinnego grobowca.

Był to bardzo wzruszający moment, gdy uniesiono zamkniętą trumnę i powolnym, majestatycznym krokiem przeniesiono ją przez hol do wyjścia. Marie ostrożnie objęła Alicję, Kitty i Elisabeth trzymały się za ręce, a Tilly wspierała matkę, która mocno przeżywała ten pogrzeb.

– Jak uroczyście. Przyszedł nawet burmistrz. I ten cały blichtr... A twojego biednego ojca musieliśmy pochować w ciszy – wycodziła Gertrude Bräuer.

– Mamo, proszę.

– To przecież prawda, nie sądzisz?

– Pssst!

Gdy trumna przechodziła obok nich, Gertrude powiedziała głośno:

– Był twardym człowiekiem, ale dobrym przyjacielem... najlepszym, jakiego kiedykolwiek mieliśmy.

Potem zaczęła głośno płakać i Tilly nie mogła uspokoić matki.

Na zewnątrz coraz wyraźniej było słychać grzmoty, nad zachodnią częścią miasta jakby zawisła ciemna chusta, na której pojawiały się błyskawice. Tu i tam zawiewał ciepły wiatr, wprawiając w ruch kurz i martwe liście, wirujące podmuchy unosiły je nad parkową aleją i opadały na ziemię. Powoli i uroczyście za trumną podążał szereg ubranych na czarno ludzi, większość pogrążona w żałobie, tylko niektórzy z niepokojem spoglądali w niebo. Humbert, który szedł ostatni, zamknął najpierw drzwi do posiadłości. Nikt nie został w willi, wszyscy pracownicy towarzyszyli swojemu pracodawcy w ostatniej drodze, nawet Rosa z trojgiem dzieci doszła aż do końca bramy parkowej.

Elisabeth i Kitty razem ze swoją matką szły zaraz za trumną i Lisa miała wrażenie, że Alicia jakby nieco zmalęła. Ale trzymała się prosto, miała sztywne plecy, głowę uniesioną, tak jak nauczono ją, gdy była dzieckiem i dorastała w posiadłości von

Maydornów. Lisa zazdrościła matce panowania nad sobą. Sama zamknęła się w pokoju, bo obezwładnił ją smutek. Nie miała w zwyczaju się żalić, tak jak robiła Kitty, rzucając się Marie na szyję. Lisa samotnie płakała w poduszkę. W posiadłości nie było nikogo, kto mógł-by ją pocieszyć. Jedyna osoba, która była w stanie to zrobić, która potrafiłaby dodać jej odwagi i podnieść ją na duchu, nie miała wstępu do tej rodziny.

Sebastiana widziała dzisiaj tylko przez chwilę, kiedy, w pożyczonym garniturze, podszedł do nich i bardzo oficjalnie przekazał im wyrazy współczucia.

Ułamek sekundy, chwila zapomnienia mogły sprawić, że uczucia wymknęłyby się spod kontroli. Widziała, jak zadrżały mu ramiona, jakby chciał je wyciągnąć w jej stronę, ale się nie odważył. A ona też o mało nie rzuciła mu się w objęcia. Konwenanse zwyciężyły i przestali na uściśnięciu sobie dłoni.

Teraz szedł na samym końcu, wśród pracowników fabryki i personelu posiadłości. Czy on też wyczuł to napięcie? A jeśli tak, co teraz myślał, jak to odbierał?

Odsunęła te myśli od siebie i starała się skoncentrować na powadze ceremonii. Mój Boże, tam z przodu w trumnie leżał tata. Straciła go. Straciła na zawsze. Nigdy już nie będzie siedział w swoim gabinecie. Nigdy już nie będzie jadła z nim śniadania i nie będzie już mówił swoich gderliwych żartów. Nigdy już jej nie obejmie.

Głosny grzmot wyrwał wszystkich z zamyślenia. Gdy chwilę później błyskawica przecięła niebo niczym świetlisty zygzak, na twarzach zgromadzonych pojawił się niepokój. Wiatr poruszał starymi drzewami i szeleścił liśćmi, odleciały dwa kapelusze, potoczyły się po zakurzonej drodze, tracąc pierwotny kształt.

– Jesteśmy już w bramie – powiedział ktoś. – Bogu dzięki! Pod drzewami można zostać trafionym piorunem!

W głowie Lisy wciąż panował okropny chaos. Kiedy to było? W tamtym tygodniu? A może jeszcze wcześniej? Dlaczego przypomniła jej się właśnie ta rozmowa prowadzona z ojcem?

– On niczego nie ma, Liso. A ja nie mogę po raz drugi dać ci posagu.

– Czy ktoś się tym przejmuje? Będziemy pracować.

– Jeśli on znajdzie posadę...

– To będę pracować na nas oboje!

– Najpierw musisz zdobyć wykształcenie. Kiedy zaczynasz?

– Wkrótce!

– To życzę wam obojgu cierpliwości.

– Dziękuję!

– Dlaczego jesteś taka uparta, Liso? Jesteś przecież mądrą dziewczyną. Co jest złego w mojej propozycji?

– Wszystko, tato!

Trumna przekroczyła bramę, a pochód powoli zaczynał się zmniejszać. Wiele wystraszonych osób wracało do domów. Inni obserwowali starania mężczyzn, próbujących włożyć trumnę na bryczkę. Było to trudniejsze, niż oczekiwano, bo odgłosy burzy sprawiły, że konie były bardzo niespokojne i wóz kołysał się gwałtownie.

Rosa i Else wróciły z dziećmi do posiadłości, reszta pracowników poczekała, aż bryczka z trumną ruszy, i też poszła do willi. Rodzina i przyjaciele spotkają się ponownie

na cmentarzu Hermana. Lisa siedziała obok swojej matki na tylnym siedzeniu samochodu, którym kierował Humbert. Inne samochody towarzyszyły im wolno aż do murów cmentarza. Zaraz za nimi jechał Klippi, który wiozł Tilly i Gertrude Bräuer oraz pannę Schmalzler i doktora Greinera. Lisa nie była w stanie rozpoznać, kto siedział w pozostałych autach, było jednak wątpliwe, żeby ktoś zabrał Sebastiana Winklera. To, że da radę przebyć całą długą drogę na cmentarz na piechotę, było mało prawdopodobne, bo przecież stracił stopę i chodził w protezie. Możliwe, że od razu wrócił do sierocińca.

Tata miał rację, pomyślała z troską. On niczego nie ma i nikt go nie szanuje. Na tym świecie najwyraźniej nie wystarczy być porządnym człowiekiem...

Jak bolesna była ta długa ceremonia. Niewiarygodne, z jaką siłą mama to znosiła. Ci wszyscy ludzie, którzy zebrali się na cmentarzu, żeby pożegnać Johanna Melzera. Te niespokojne konie, które ciągnęły bryczkę, z której o mały włos tragarzom nie wyslizgnęła się trumna. Do tego głuchoe odgłosy grzmotów, rozbłyskujące błyskawice i czarne chmury, które zebrały się nad cmentarzem.

Przyspieszono nieco ceremonię, żeby dobiegła końca, zanim na dobre się rozpadła. Gdy mężczyźni w pośpiechu wnosili trumnę przez bramę cmentarną, niemal potracili starszą kobietę, która szła z konewką do studni, i postawili swój ładunek na deskach leżących nad otwartym grobem. Lisa poczuła lodowatą dłoń Kitty, która zacisnęła palce na rękę siostry. Długą szatę kapłana rozwiewał wiatr. Gdy uniósł ręce, Lisa miała wrażenie, że chce odlecieć niczym ptak. Potem zobaczyła, że Marie obejmuje Alicję obiema rękami, i słyszała, jak Kitty głośno szlocha. Odsunięto deski i na dwóch sznurach powoli opuszczono trumnę w głąb ziemi. Zaczęło padać w chwili, gdy stały nad otwartym grobem i Alicia wrzuciła do niego garść ziemi. Najpierw spadały jedynie grube krople, potem woda zaczęła się lać strumieniami i uratowało je to, że przezorny Klippi zabrał ze sobą parasole. Chmury unosiły się tuż nad granitowym pomnikiem, jasne światło błyskawic chwilami tak mocno oświetlało płytę, że było doskonale widać każdą literę. Potem znów wszystko spowijał ponury, deszczowy półmrok.

– Trzymajcie się blisko mnie – słyszała, jak mówi Klippi. – Mój samochód stoi pod bramą cmentarną...

Lisie było obojętne, czy zmoknie. Ludzie zgromadzeni na cmentarzu pośpiesznie uciekali w stronę wyjścia. Obok niej płynęły parasole, kapelusze i kurtki, które trzymano nad głowami dla ochrony przed deszczem. Wtedy rozpoznała trzy osoby, które szły w przeciwnym kierunku. Nie mieli łatwo, musieli schodzić na trawnik, żeby nie zderzyć się z biegnącymi z cmentarza ludźmi.

– Lisa! – krzyknęła do niej zdenerwowana Kitty. – Dlaczego tak stoisz?

Nie troszczyła się o to. W strugach deszczu poszła za tymi trzema osobami, nie wiedząc właściwie, dlaczego to robi.

Riccarda von Hagemann i jej mąż stanęli nad otwartym grobem Johanna Melzera, trzymali się za ręce i patrzyli. Widziała, że Christian von Hagemann mówi coś do żony. Riccarda kiwnęła głową. Klaus stał tuż za swoimi rodzicami, kapelusz naciągnął mocno na twarz, dopiero teraz rozłożył parasol. Nie spodziewali się Elisabeth i patrzyli na nią ze zdumieniem, gdy się do nich odezwała. Klaus odwracał głowę na bok, nie chciał, żeby widziała jego oszpeconą twarz.

– Z pewnością słyszałaś już dzisiaj te słowa wielokrotnie – powiedziała Riccarda.
– Nie ma jednak wielu możliwości wyrażenia tego, co się czuje w takich okolicznościach.
Jest nam niezmiernie przykro, Elisabeth.

Podziękowała, ucisnęła ręce, które do niej wyciągnęli. Wreszcie odwrócił się do niej również Klaus. Jedną ręką przytrzymał rondo kapelusza, jakby chciał jeszcze mocniej naciągnąć go na twarz.

– Wiele się wydarzyło, Lisa – powiedział. – Tak często myślę, że chciałbym zacząć raz jeszcze, od nowa. Ale jest na to za późno.

Nie wiedziała, jak bardzo szczerze wypowiedział te słowa, bo potężny grzmot huknął nad nimi, jakby niebo chciało ich ostrzec.

– Mam propozycję, Klaus. Wysłuchaj mnie spokojnie, potem będziesz miał czas się nad tym zastanowić i podjąć decyzję.

Pssst!

Te głupie drzwi tak strasznie skrzypiały. Dodo wystawiła głowę przez szparę w drzwiach i starała się coś zobaczyć w ciemności.

– Odsuń się! – nakazał jej Leo, który stał za nią i szarpał ją za ubranie.

– Zostaw mnie!

– Nie powinniśmy tutaj zaglądać!

Drzwi zaskrzypiały znowu, bo Leo pchał się, żeby stanąć obok siostry. W sypialni babci panował półmrok, zasłony w oknach były zaciągnięte. Widać było łóżko małżeńskie ze złotym baldachimem, zarys ustawionych w pokoju w półokręgu krzeseł, toaletkę z trzema ruchomymi lustrami, szafkę z marmurową nadstawką. Babcia wydawała się bardzo mała pośród wielkiego łóżka. Leżała na plecach, a jej twarz była bardzo blada.

– Czy ona nie żyje? – wyszeptał Leo.

– Nie – odpowiedziała cicho Dodo. – Zapadła w popołudniową drzemkę. Cierpi tylko na migrenę.

– Od tego można przecież umrzeć.

Dodo popukała go w czoło. Jej brat był strasznie głupi.

– Przecież oddycha. Spójrz tam...

Leo zmrużył oczy i zobaczył, że klatka piersiowa babci regularnie opada i się unosi. Nie wiedział tylko, czy cieszył się z tego powodu, czy był tym rozczarowany. Raczej się cieszył. Chociaż śmierć była tajemnicą, która go bardzo fascynowała.

– Nie możemy jej obudzić – powiedziała Dodo zdecydowanie. – Babcia potrzebuje snu.

Leo prychnął rozgniewany. No tak, Dodo zawsze wiedziała lepiej. Nie możemy wchodzić do spiżarni. Nie możemy malować pędzlami mamy. Nie wolno nam obrywać liści z roślin w ogrodzie. Dziewczyny są takie przemądrzałe.

– Może sama się po prostu obudzi – stwierdził Leo.

– Tak, później – szepnęła Dodo. – Obiecała pobawić się z nami potem w „Mama, tata, dziecko i babcia”.

Leo ostrożnie zamknął drzwi sypialni. Zaskrzypiały jeszcze bardziej niż wcześniej. I wcale się nie cieszył na tę głupią grę. Zawsze musiał grać tatę. Albo dziecko. A to nie były ciekawe role. Wolałyby być rabusiem. Albo piratem. Ale w to gra z nimi tylko mama, a ona nigdy nie ma czasu...

– Nie wolno tego robić!

Odwrócił się do niej i położył na ustach palec wskazujący. Dodo zamilkła i patrzyła na to, co robił dużymi oczami, w których widać było ekscytację. Było surowo zabronione wchodzić do tego pokoju. Rosa mówiła im to już wiele razy. Nikt nie może tam wchodzić oprócz babci. I Else, która czasami tam sprzątała. Ale poza tym nikt. Nawet mama. Leo jednak właśnie zdecydował, że zostanie rabusiem. Pociągnął w dół klamkę i popchnął drzwi. Nie chciały się otworzyć.

– Zamknięte – szepnęła stojąca za nim Dodo. – Widzisz...

Takim widzisz żaden prawdziwy rabuś się nie zniechęca. Leo pchał z całej siły, używając do tego również ramion, i w końcu się udało. O mało przy tym nie wpadł z drzwiami do pokoju, a Dodo, która przylgnęła mu do pleców, razem z nim. Wyczuli od razu zapach stęchlizny. Pochodzący z dywanów, zasłon, pościeli i trochę z dziadka. To znaczy z jego surduta, który wisiał w szafie.

– Nie powinniśmy – szeptała Dodo, ale szła za nim z wielką ciekawością do zakazanego królestwa. Jasnoniebieskie zasłony były zasunięte tylko do połowy okien, tak że widać było przez nie ciężkie, bure, zimowe niebo. Wszystko w pokoju zostało tak, jakby dziadek wciąż z nimi był. Jego łóżko z wieloma poduszkami, gazety i książki ułożone na stoliku nocnym, leżały tam też jego okulary. Kapatki stały na futrzanym dywaniku przed łóżkiem. A okrągły blaszany zegar wciąż głośno tykał. To jego dziadek używał, żeby się budzić rano. Leo zastanawiał się, czy dziadek ciągle tutaj z nimi mieszka. A może zmarli byli tylko po prostu niewidzialni?

– Jeśli babcia to zauważy...

Zegarek na rękę leżał na komodzie, przed zawieszonym wyżej lustrem. Obok stał pędzel do golenia, a pasujący do niego nożyk tkwił w szklanej misce. Leo się zawahał, bo nożyk bardzo go kusił, ale mimo to sięgnął najpierw po zegarek. Nie było łatwo go dosięgnąć, bo komoda była wysoka, a Leo nie miał jeszcze czterech lat.

Zegarek był wykonany z jasnego metalu i miał okrągły kształt. Przez szybkę wyraźnie było widać kreseczki i cyferki. Leo znał już wszystkie liczby aż do stu. Prawie wszystkie. Nie umiał ich pisać, ale potrafił je wypowiadać.

– Tym kółeczkiem trzeba go nakręcić – powiedziała Dodo poważnie. – Wtedy będzie chodził.

– Wiem o tym – mruknął.

Pokręcił przez chwilę, usłyszał ciche klikanie i postanowił, że lepiej go odłoży. Babcia powiedziała, że kiedyś ten zegarek będzie należał do niego. Ale wcześniej będzie go miał tata. Gdy wróci z Rosji. Leo nie pamiętał dobrze swojego taty. Dodo też nie. Mama miała w biurku wiele listów od niego. I rysunki, które zrobił. Budynki, drzewa i ludzie, okropnie nudne. I był tam też konik wyrzeźbiony w drewnie, któremu brakowało nogi...

– Dodo! Leo!

Rodzeństwo podskoczyło ze strachu, a Leo tak szybko chciał odłożyć zegarek na komodę, że ten mu upadł. Na szczęście spadł na dywan i się nie zepsuł.

– Doooo! – krzyczała Henni, człapiąc przez korytarz. – Leooo!

Wobec Henni bliźniaki pozostawały zazwyczaj zupełnie niewzruszone. Ale teraz było inaczej. Dodo podniosła zegarek i położyła go na swoim miejscu. Leo stał już przy drzwiach, żeby je zamknąć tak cicho, jak tylko potrafił.

– Jej, tutaj nie wolno.

Oczywiście, że to widziała. Henni stała na środku korytarza, aniołek z blond lokami i dużymi oczami, które były tak błękitne, że wyglądały, jakby przeglądało się w nich niebo. W rzeczywistości była jednak prawdziwym diabełkiem. Przynajmniej czasami.

– Nie byliśmy w środku – próbował nabrać ją Leo.

Henni przez chwilę stała oszołomiona. Jej wzrok badawczo podążał od Lea do Dodo i wydawało się, że intensywnie o tym myśli.

– Widziałam, jak zamykałeś drzwi – powiedziała do Lea.

– Tak. No i?

– Więc byliście w środku – wysnuła wniosek mała detektyw.

– Nie byliśmy.

– To dlaczego otworzyliście drzwi?

Leo spojrział ukradkiem na siostrę, żeby sprawdzić, czy na pewno z nim trzyma. Mina Dodo wskazywała na jej absolutną determinację.

– My tylko raz tam zerknęliśmy – powiedział Leo odważnie, a Dodo przytaknęła.

– Zagląwanie też jest zabronione! – ucieszyła się Henni. – Dostaniecie w skórę!

Leo nadał się ze złości. Znowu ta mała bestia. Bawią się z nią, a potem muszą robić, co ona chce. Jeśli nie chcą, biegnie do Rosy i wyje. Więc zawsze jest tak, że dostaje, co zechce. Bo Henni jest najmłodsza i starsze dzieci muszą nauczyć się jej ustępować.

– Najpierw dostaniesz w skórę ode mnie! – zagroził jej Leo, mrużąc oczy.

Henni przechyliła głowę, starając się ocenić, jak prawdziwe były te groźby. Rosa była w kuchni i nie mogła jej bronić. W pokoju obok spała babcia, która z pewnością by wstała, gdyby zaczęła krzyczeć odpowiednio głośno. Ale babcię Leo mógł łatwo owinąć sobie wokół palca, bo był jej ulubionym wnuczkiem.

– Chcę się potem z wami pobawić – rozkazała. – Też jestem dzieckiem, nie?

Leo spojrział na Dodo i ulżyło mu, że przytaknęła.

– No dobrze. Ale wsiądziesz do samochodu i mogę cię popchać.

– Ale nie za szybko – zażądała Henni.

Ostatnim razem stary samochód zabawka się rozpadł i Henni wpadła na stos klocków. Naprawdę mocno to bolało i od tego czasu już wcale nie chciała być dzieckiem.

Na drugim końcu korytarza otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich mama Henni. Była gotowa do wyjścia, miała już na sobie płaszcz. Płaszcz z czerwonej wełny, który kończył się tuż nad kolanami. Na dole był bardzo wąski, więc mama Henni wyglądała jak duży czerwony balon.

– Henni? Chodź tutaj, kochanie. Rosa zaraz cię przebierze, pójdziemy do miasta.

Entuzjazm pojawił się na twarzach bliźniaków. Wychodziły! Henni podbiegła do mamy, złapała za płaszcz i zapytała, dlaczego ma tak duży kołnierz.

– Dlatego żebym mogła go postawić do góry, skarbie. Widzisz? Tak!

Kołnierz prawie zupełnie zakrył głowę, wyglądały spod niego tylko włosy.

– Dostanę cukierki?

– Tylko jeśli będziesz grzeczna... Chodź już, kochanie. Bądź cicho, babcia ma migrenę.

Kitty pobiegła jeszcze do swojego pokoju, bo zapomniała zabrać torebkę, pokręciła się tam i włożyła do portmonetki trochę pieniędzy, które wyjęła z tajnego schowka w biurku.

– Rosa! Włóż jej wysokie buciki. I ten biały płaszczyk z kołnierzem z futra.

I czapczkę z wełny.

– Niiieeee! – buntowała się Henni. – Tylko nie czapkę z wełny, ona drapie, mammo!

– Ale pada śnieg.

– Uniosę wysoko kołnierz. Tak jak ty.

Kitty zarządziła, żeby zabrała również ciepły szalik. Drapiące wełniane czapki z dzieciństwa jej samej nie pozostawiły dobrych wspomnień. Najgorsze były jednak długie wełniane pończochy. Dla Henni kupowała już tylko rajstopy z bawełny.

Wzięła córkę za rękę i zesłała schodami w dół. Korytarz był już przystrojony gałązkami jodły i złotymi, papierowymi gwiazdkami, które zrobiły dzieci. Święta Bożego Narodzenia nadchodziły wielkimi krokami, pierwsza Wigilia po zakończeniu wojny, ale wygląda na to, że wciąż będzie bez Paula. Ciągłe nie było po nim śladu, nikt nie potrafił powiedzieć, czy jest zdrowy i kiedy odeśle go do ojczyzny. Mama powiedziała kiedyś cicho, że to zły znak, że nie ma od niego żadnej wiadomości. Mama jednak od śmierci taty była w ponurym nastroju, zrobił się z niej prawdziwy czarnowidz, zawsze przewidywała najgorsze.

– A czy będzie choinka, mammo?

Kitty nie była pewna, czy mama pozwoli na taki wydatek zaledwie kilka miesięcy po tym, jak odszedł tata. Z drugiej strony dla dzieci z pewnością byłoby to wspaniałe wydarzenie, bo przez ostatnie trzy lata, z powodu lazaretu, nie mogli ustawić dużej choinki. Ach, jak pięknie było wtedy, gdy Gustav i jego dziadek przynosili z parku drzewko i wszyscy razem je przystrajali. Jak wspaniale wyglądała ogromna choinka. Cały korytarz był wypełniony zapachem jodły, a w Wigilię Else i Auguste zawieszały na gałązkach własnoręcznie upieczone pierniczki.

– Tak sądzę, Henni. I będzie olbrzymia. Prawie do sufitu.

– Do nieba! – głośno śmiała się mała, zeskakując na dół po schodkach.

Na podwórzu czekał na nie Humbert. Zmiał właśnie śnieg z samochodu i przecierał ściereczką przednią szybę.

– Bardzo proszę, łaskawa pani – powiedział, otwierając zamasyżycie drzwi.

– Ale musi pan usiąść z tyłu, obok Henni.

– Żaden problem, łaskawa pani. Bardzo ostrożnie podczas uruchamiania. Niewiele gazu. Z wyczuciem...

Kitty usiadła za kierownicą, nie zwracając uwagi na okrzyki sprzeciwu Henni. Od kilku tygodni Humbert dawał jej lekcje jazdy, co nie było zbyt łatwe, bo Kitty nie miała uzdolnień technicznych. Mimo to uparcie trwała przy swoim postanowieniu, bo Lisa się już przecież dawno nauczyła.

– Mama nie powinna jeździć – narzekała Henni, która siedziała z tyłu na kolanach Humberta. – Boję się!

– Rozrusznik... sprzęgło... pierwszy bieg. Bardzo dobrze. Delikatnie obrócić. Niech jedzie. Delikatnie... delikatnie...

Pierwsza próba się nie powiodła. Samochód podskoczył, a Henni krzyknęła i przyłgnęła do Humberta. Druga próba przebiegła lepiej. Kitty wrzuciła pierwszy bieg i udało się jej wprawić samochód w ruch. Powoli toczył się wzdłuż zaśnieżonej alejki parkowej aż do bramy. Udało się jej nawet, bez spowodowania katastrofy, przełączyć na

drugi, a potem trzeci bieg. Tuż przed bramą zapomniała jednak o hamowaniu i samochód wypadł z alejki i wylądował na łące. Ale to była wyłącznie wina śniegu.

– Było już bardzo dobrze, łaskawa pani. Jeszcze kilka dni i będzie pani piratem drogowym. Proszę zaciągnąć hamulec ręczny.

– Ach tak, prawie o nim zapomniałam.

Zamienili się miejscami. Humbert wjechał na drogę i bez żadnych trudności ruszył do miasta. Płatki śniegu zasypywały przednią szybę, więc Humbert musiał ciągle używać wycieraczek, żeby lepiej widzieć.

– Nie powinnaś jeździć samochodem, mamó – narzekała Henni. – Zawsze tak trzęsie.

– Ależ kochanie, muszę się nauczyć, bo Humbert wyjeżdża w styczniu do Berlina. A może powinniśmy cały czas chodzić pieszo?

– Ciocia Lisa może prowadzić.

Kitty milczała rozgniewana. Niestety nie dało się zaprzeczyć, że Lisa potrafiła spokojniej i pewniej jeździć samochodem. Ale Lisa miała dziwne plany i nikt nie wiedział, czy wkrótce nie opuści posiadłości.

– Niech się pan zatrzyma tutaj, w górnej części Maximilianstraße, Humbercie. Resztę drogi przejdziemy.

– Jak sobie pani życzy, łaskawa pani.

Mimo trudnej sytuacji gospodarczej miasto przygotowywało się na święta Bożego Narodzenia. Na szerokiej Prachtstraße postawiono kilka drewnianych stoisk, przystrojonych gałązkami jodły, w których handlarze oferowali swoje produkty. Można było kupić strugane w drewnie zabawki, świece, kolorowe słodycze i ciepłe kasztany, a na jednym ze straganów były nawet błyszczące, pozłacane aniołki, dziadki do orzechów, ubrane w świąteczne mundury, i różnego rodzaju blaszane zabawki do nakręcania. Grupki dzieci w podartych, zbyt dużych ubraniach oblegały stoisko z zabawkami, rzucając tęskne spojrzenia w stronę blaszanych zabawek i porcelanowych lalek. Handlarze wielokrotnie je przeganiali.

– Cukierki, mamó! Tam są malinowe cukierki!

Kitty kupiła papierową torebkę pełną kolorowych, lepkich cukierków i upomniała córkę, żeby tym razem powoli je ssła. Ostatnim razem Henni z przejęcia połknęła cukierek i o mało się nie udusiła. Otoczona zazdrosnymi spojrzeniami dzieci niemających ani grosza, Henni wkładała sobie słodkie, nadziewane cukierki do buzi i szła za mamą do pracowni Sibeliusa Grundiga. Kitty nienawidziła przechodzić obok żebraków i kalek, a właśnie w czasie przedświątecznym byli oni wszędzie. Siedzieli nawet w śniegu, podkładając sobie koc i zarzucając na plecy obszarpany płaszcz. Kitty zbierała drobne pieniądze i rozdzielala je między nich. Biedacy zostali wysłani na wojnę, a teraz siedzieli tutaj, okaleczeni, ślepi albo głusi. Taka właśnie była wdzięczność narodu. Jak bardzo ich wszystkich oszukano. Co by było, gdyby Alfons wrócił do niej jako kaleka? Ach, wołała sobie tego nawet nie wyobrażać.

Zadzwoił dzwonek, gdy Kitty otworzyła drzwi. W środku poodsuwano prawie wszystkie meble i w pustym pokoju z żeliwnego piecyka wydobywało się przyjemne ciepło. Kitty zauważyła, że jej obrazy wciąż stoją zapakowane i oparte o ścianę. Było więc

dużo do roboty.

– O, jesteś już! I wzięłaś ze sobą Henni!

Tilly wyszła z sąsiedniego pokoju i wzięła na ręce dziewczynkę, która rzuciła się jej w ramiona. Przywitanie było bardzo wylewne – Tilly była ulubioną ciocią małej Henni.

– Och, jakie masz lepkie policzki – zaśmiała się Tilly.

– Cukierki malinowe – wymamrotała dumnie Henni.

– Chcesz nam pomóc?

Henni chciała. Miała trzymać pudełko z gwoździami tak długo, jak mama i Tilly będą ściągać z obrazów materiały, którymi były ochronione w czasie transportu.

– Materiał papierowy z fabryki – powiedziała Kitty z uśmiechem. – Nie mogli go sprzedawać, więc go zabrałam. Nadaje się idealnie jako warstwa ochronna.

Tilly składała ostrożnie brązowy materiał i przyglądała się, jak Kitty długo wybiera odpowiednie miejsca na ścianie dla obrazów. Były to osobliwe połączenia kwitnących krajobrazów i twarzy, Tilly nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziała. Twarze należały do żołnierzy, widać było hełmy i czapki. Wszystkie były szare lub niebieskawe, oczy miały głęboko osadzone, usta często zniekształcone.

– Obawiam się, że nikt nie zechce kupić tych obrazów – powiedziała Kitty. – Ludzie uważają, że te obrazy są wspaniałe, ale to nie znaczy, że chcieliby sobie taki powiesić nad sofą. Chcą tam mieć coś na pocieszenie serca i duszy. A poza tym musi jeszcze pasować kolorystycznie do wystroju. Potrzyj to wysoko, Tilly. Jeszcze wyżej. Dalej w lewo. Bardzo dobrze.

Drabina została wniesiona i Tilly wyjęła gwóźdź z pudełka. Henni patrzyła z ciekawością, jak Tilly wchodzi na drabinę i młotkiem przybija gwóźdź do ściany.

– Perfekcyjnie! – krzyknęła Kitty. – Jest pani niesamowita, pani doktor Bräuer!

– Nie zapieszaj, Kitty. Do tego jeszcze daleka droga!

– Ale dasz radę, Tilly. Najpierw matura, a potem studia medyczne w Monachium.

Pomogę ci, tak jak obiecałam.

– Och, Kitty... Naprawdę nie jest mi łatwo tak na was wszystkich wisieć finansowo.

– Oj, nie opowiadaj głupstw. Potem możesz nas leczyć, więc oszczędzimy dużo pieniędzy.

Tilly westchnęła i wzięła obraz, który podała jej Kitty, żeby go powiesić na ścianie. Uczyła się teraz do matury, którą chciała zdać wiosną eksternistycznie w gimnazjum męskim Świętej Anny. Obecnie tylko tam kobieta mogła zdać maturę. Jeśli wszystko pójdzie pomyślnie, w semestrze zimowym przyszłego roku będzie mogła zacząć studia. Oczywiście jeśli Melzerowie ją wesprą finansowo, bo jak przypuszczała wcześniej, ona i jej matka zostały bez grosza. To, że mogły mieszkać w domu na Frauentorstraße, zawdzięczały wyłącznie Kitty, bo Alfons zapisał jej ten dom zaraz po ślubie. Kitty nie pobierała od szwagierki i jej matki żadnego czynszu, przeciwnie, od czasu do czasu wręczała im nawet jakąś drobną sumę, zarobioną na sprzedaży obrazów. Oficjalnie te pieniądze były przeznaczone na różne naprawy w domu.

– Pani Bräuer?

Pani Grundig wyjrzała przez szparę w drzwiach, popatrzyła krytycznie na obrazy

Kitty, a potem zauważyła Henni i ciepły uśmiech pojawił się na jej twarzy.

– Och, przyprowadziła pani małą. Elise się bardzo ucieszy. Może pójść ze mną?

– Jeśli chce...

Henni nie chciała się rozstawać z pudełkiem z gwoździami. Poza tym Kitty wiedziała, że Elise z jej dziwnymi oczami trochę przerażała małą. Nawet gdy była wyjątkowo miła i robiła dla niej statki i ptaszki z papieru.

– Jest tu ktoś, kto chce z panią porozmawiać.

Pani Grundig powiedziała to cicho, konspiracyjnym szeptem i zaprowadziła Henni do mieszkania, zamykając otwarte drzwi. Tilly zeszła z drabiny i stała, zastanawiając się nad czymś. Potem powiedziała, że chciałaby kupić kilka metalowych haczyków w sklepie z narzędziami, włożyła płaszcz i wyszła.

Kitty została z mieszanymi odczuciami. Jakie to było żenujące. W biały dzień. W dodatku w sklepie, w którym można ich było zobaczyć przez dużą witrynę. Myślała o tym, czyby nie uciec, ale było już za późno.

– Tylko kilka minut, Kitty – powiedział Gérard. – Nie chciałem wyjeżdżać, nie mówiąc ci do widzenia.

Zamknął za sobą drzwi i stał w milczeniu, nie wiedząc, jak ona zareaguje na to niespodziewane spotkanie. Kitty patrzyła na niego wielkimi oczami.

– Chcesz wrócić do Francji?

– Nie ma sensu zostawać tutaj dłużej.

Milcząco przyznała mu rację. Miesiącami spotykali się potajemnie, najczęściej w małej kawiarni na przedmieściu, w której były tylko dwa stoły i cztery krzesła. To były intensywne spotkania i godziny, rozmawiali wtedy o najróżniejszych szalonych rzeczach, ale nigdy o tym, co naprawdę im leżało na sercu. Mijały zbyt szybko. Często spotykali się też w parku albo na ulicy, szli obok siebie, mówili o jakichś nic nieznaczących drobiazgach i rozstawali się pogodnie. Kitty sądziła, że to wszystko jest bez znaczenia – kilka spotkań ze starym znajomym, dobrym przyjacielem. Żadnej namiętności ani niczego podobnego. Te czasy już minęły. Ale teraz nagle stało się dla niej jasne, jak bardzo będzie jej brakować jego obecności.

– To... to bardzo szkoda... – powiedziała, wiedząc od razu, że nie mówi tego, co czuje.

– Tak musi być, Kitty. W przeciwnym razie mnie to zniszczy.

Odważył się podejść kilka kroków w jej stronę i musiała wziąć się w garść, żeby stać spokojnie na miejscu. Setki razy powtarzała sobie, że jest głupią istotą. Co było w nim takiego, czego jeszcze nie знаła? Wtedy w Paryżu kochali się codziennie, częściej nawet, ach, jakie szalone rzeczy ze sobą robili. Ale wówczas była jeszcze prawie dzieckiem, a teraz jest dojrzałą kobietą i sama ma dziecko.

– Nie! – krzyknęła wzburzona. – Dalej nie... W żadnym razie... ani kroku!

Zatrzymał się posłusznie, spojrzał na nią z powątpiewaniem i uśmiechnął się.

– Nie musisz się mnie bać, Kitty – powiedział cicho. – Nie jestem już tym, kim byłem wtedy. Moje szalone lata już minęły. Zobacz...

Chwycił ręką grube, kręcone włosy i pokazał jej siwe pasemka na skroniach. Faktycznie miał trochę siwych włosów, a skończył dopiero trzydzieści kilka lat. Kitty nie

miała jednak wrażenia, że był przez to mniej pociągający – wręcz przeciwnie.

– Oboje jesteśmy już dorośli – powiedziała, poważnie kiwając głową.

Starał się dalej patrzeć na nią z uśmiechem. A ona nie czuła się komfortowo pod jego spojrzeniem, bo ono sprawiało, że coraz mniej chciała się bronić. Oczywiście, że brakowało jej objęć mężczyzny. Ale nie tylko o to chodziło. Ciągnęło ją do niego znacznie więcej. To był dziwny rodzaj intymności, tęsknoty, żeby znaleźć się w miejscu, którego od dawna na próżno się szukało. W domu...

– Tak, jesteśmy dorośli – powiedział. – Ale to przede wszystkim wojna nas zmieniła. Oboje mamy za sobą gorzkie doświadczenia...

Podczas spotkań mówili czasami o Alfonsie, potem także o jej ojcu. Gérard pocieszał ją, zapewniał, że rozumie, ale bardzo rzadko sam mówił o swoich przeżyciach. Wiedziała jedynie, że fabryka jedwabiu jego rodziców upadła i że we Francji głęboko nienawidzono Niemców za wszystko, co się stało.

– Co teraz zrobisz? – zapytała. – Wrócisz do rodziny?

Tak, był im to winien. Mimo ich waśni rodzice będą szczęśliwi, że wrócił do nich cały i zdrowy. A wszystko inne musi się jakoś ułożyć. Właśnie do nich napisał i zapowiedział swój przyjazd.

Kitty nie wierzyła w to zbytnio. Z pewnością nie tęsknił zbyt przemożnie za rodzicami, bo nie siedziałby miesiącami w Augsburgu, zamiast wrócić od razu do Francji. Z czego przez ten czas się utrzymywał, było dla niej zagadką. Raz czy dwa zaproponowała mu pożyczkę, ale odmówił.

– Więc...

Musiała odchrząknąć, bo poczuła nagle, że ściska ją w gardle.

– Więc widzimy się... po raz ostatni?

Jej głos brzmiał wątpo, niemalże płacząco. Jego czarne oczy zdawały się rozszerzać, wchłaniać ją całkowicie, pieścić ją, całować, szeptać jej do ucha o miłości i tęsknocie...

– Chciałabyś tego, Kitty?

Przełknęła ślinę. Przesunęła ręką po włosach, potem po twarzy. Nie miała jednak na tyle siły, żeby wyzwolić się spod spojrzenia jego ciemnych oczu.

– Nie – wyszeptała. – Chciałabym, żebyś został, Gérardzie.

Stało się tak, jak musiało się stać. Dwa kroki i już była w jego ramionach, obejmowała go, szlochając na jego piersi, prosiła go, żeby jej nie zostawiał, i zamilkła dopiero wtedy, gdy on zamknął jej usta. Pocałunek był cudowniejszy niż te, które zachowała we wspomnieniach. Był nowy, inny, pełen napiętności i władczy, a do tego gorzki i nieskończenie delikatny.

– To nie wyjdzie, moja kochana – szepnął jej do ucha. – Nigdy nie byłem bliżej ciebie niż teraz, Kitty. Nigdy nie kochałem cię mocniej niż przez ostatnie miesiące, gdy byłaś dla mnie niedostępna. Ale nie mamy szans. Nie teraz, gdy wojna zatrzała dusze naszych narodów tak ogromną nienawiścią.

Przytuliła się do niego, wdychała jego zapach, tak bardzo znany i jednocześnie tak nowy. Przesunęła palcami po jego włosach, a potem delikatnie i czule po linii brwi.

– Ależ nie – sprzeciwiła się. – W mojej rodzinie nikomu nie będzie przeszkadzało,

że jesteś Francuzem. A już na pewno Marie, która razem z Klippim prowadzi fabrykę. Ty znasz się na jedwabiu. Przyłącz się do nich...

Czuła, że cały się trzęsie. Roześmiał się. Ale ona przecież mówiła zupełnie poważnie. Czy to nie był wspaniały pomysł? Gérard jako drugi dyrektor fabryki Melzerów.

– Marzycielka z ciebie – wymamrotał i pocałował ją. – Nie, moja kochana. Jeśli to będzie możliwe, będę odbudowywał naszą fabrykę w Lyonie i będę się starał wrócić na rynek z produkcją jedwabiu.

W tym momencie Kitty dostrzegła kilka głów za oknem – kilkoro dzieci przyłożyło nosy do szyby. Ponieważ mogły zobaczyć jedynie duże obrazy malowane na płótnie, szybko straciły zainteresowanie i odeszły.

– Tak, cudownie – powiedziała obrażona Kitty, pociągając nosem. – Jeśli tego tak koniecznie chcesz, zrób to. Miałam jednak nadzieję, że przystaniesz na moją propozycję.

Przycisnęła ją jeszcze mocniej i chociaż zachowywała się tak, jakby tego nie chciała, pozwoliła, żeby się działo. Ach, nie chciała mu ponownie ulec. Jeśli wyjedzie do Francji, więcej go nie zobaczy. Mówili chyba, że Francja zamknęła granice dla Niemców?

– Nie teraz i nie w ten sposób, ukochana – powiedział z wielką powagą. – Ty stałaś się artystką i podziwiam cię ogromnie. Ale kim ja jestem? Nikim. Uwolnionym jeńcem wojennym, który prowadzi mały interes na czarnym rynku. Mężczyzną, który nie może publicznie rozmawiać z kobietą, którą kocha. Z którą nigdzie nie może się widywać. Chcesz usłyszeć więcej?

Potrząsnęła energicznie głową i położyła dłonie na uszach. Skarciła go, że nie chce więcej tego słuchać. Mógłby przecież być dyrektorem fabryki Melzerów...

– Cicho bądź, ukochana – szepnął czule. – Powiedz mi lepiej, czy zechcesz na mnie poczekać. Jeśli będzie to trwało miesiące, a może nawet lata...

– Lata? – powtórzyła za nim wstrząśnięta.

– Jesteś moją jedyną, moją wielką miłością, Kitty. Wtedy byłaś i dzisiaj, to się nie zmieniło. Zawładnęłaś wszystkimi moimi myślami, gdy sądziłem, że umrę. A jeśli teraz wróciłem, to po to, żeby zyskać prawo do tego, żeby kiedyś starać się o ciebie.

Przenikliwy wrzask przerwał jego przemowę, a pochodził on z gardła małej Henni, która najwyraźniej się nudziła i wołała swoją mamę. Gérard uśmiechnął się i pocałował Kitty w nos na pożegnanie.

– Przed sklepem z narzędziami biedna Tilly stoi już na pewno cała zmarznięta – powiedział żartobliwie, ale również z wyczuwalnym w głosie współczuciem. – Czas na mnie.

Kitty poczuła chłód, gdy się od niej odsunął. Starła się zatrzymać na sobie jego wzrok. Choćby jeszcze przez chwilę.

– Będę na ciebie czekać – wyszeptała. – Pisz do mnie.

– Spróbuję.

Dzwonek przy witrynie wydał przeciągły dźwięk, gdy Gérard wychodził. Podbiegła do okna i zobaczyła jego cień pośród wirujących płatków śniegu.

Ach, jak pięknie, pomyślała Elisabeth. Tak i nie inaczej powinno być. Właśnie ta jodła. I wszyscy będziemy ją wspólnie dekorować.

Stała w płaszczu i kapeluszu przy wyjściu i patrzyła, jak Gustav i Humbert wnoszą do holu duże drzewko. Za nimi szły dzieci, oczywiście zachowując odpowiedni odstęp, bo Gustav im powiedział, że jeśli któreś dotknie choinki, zanim zostanie ustawiona, przylepi się do niej aż do samej Wigilii.

– Ciocia Lisa, ciocia Lisa! – krzyknęła Dodo i objęła ją, robiąc wilgotne plamy na jej jasnym zimowym płaszczu. – Każdy musi powiesić bombkę. Ty też!

Elisabeth podniosła ją i powiedziała, że w Boże Narodzenie na choince zostaną też powieszzone prawdziwe pierniki, ale Dodo wiedziała to już od Henni.

– Czy to prawda, że niedługo pójdziesz sobie bardzo daleko stąd, ciociu Liso?

– Kto tak powiedział?

– Auguste powiedziała to Else.

Oczywiście. Pracownicy mają uszy dookoła głowy. Auguste, ta stara plotkara!

– Nie wierz jej.

Postawiła dziewczynkę na podłodze i Dodo pobiegła pocieszona. Na schodach wreszcie pojawiła się Marie, zamieniła kilka zdań z panną Schmalzler i zeszła do holu. Musiała tam ostrożnie przejść obok drzewa, które wciąż leżało na posadzce i czekało, aż zostanie ustawione w drewnianej skrzyni.

– Gdzie byłaś? – skarciła ją Lisa. – Przyjeździemy za późno...

Marie nie odpowiedziała, bo w tym momencie rzuciły się na nią bliźniaki i zaczęły opowiadać jej o wszystkim. Gdzie widziały kolorowe bombki. I ptaszki ze szkła. I metalowe, błyszczące nitki w srebrnym kolorze.

– Wiecie co? Idźcie na górę do babci, ona wam wszystko pokaże.

– Taaaaaak!

Pod przewodnictwem Liesel dzika banda pognęła schodami na górę. Alicia będzie mieć kłopot z uspokojeniem tej czeredy.

– Mama o niczym nie wie? – zapytała cicho Lisa.

– Nie powiedziałam jej. Nie chciałam, żeby robiła sobie nadzieję, która może okazać się rozczarowaniem.

Elisabeth spojrzała na Marie, która ze zdenerwowania przez całą noc nie zmrużyła oka. Sama też źle spała. Natomiast Kitty miała okropny ból głowy i została w łóżku.

– Marie, na pewno przyjedzie. Czuję to – powiedziała i złapała ją pod rękę. – Przywieziemy go dzisiaj triumfalnie do posiadłości.

– Oby Bóg dał, żebyś miała rację, Liso!

Wczoraj po południu rozeszła się wieść, że pociąg z jeńcami zwolnionymi z więzienia w Rosji przyjedzie następnego dnia około godziny jedenastej na dworzec kolejowy w Augsburgu. Nie było oficjalnego ogłoszenia, w gazetach też nic nie pisano na ten temat. Mimo to połowa Augsburga trwała w gorączkowym oczekiwaniu i można było

być pewnym, że dworzec będzie przepelniony czekającymi ludźmi.

Gdy Lisa i Marie schodziły po schodach, czuły liczne spojrzenia na swoich plecach. Pracownicy od dawna wiedzieli, dokąd jada. Wszyscy byli podekscytowani i pełni nadziei. Humbert przygotował samochód, uzupełnił poziom benzyny i oleju, wyczyścił szyby. Wczoraj po południu Gustav razem z ojcem oczyścili ze śniegu wyjazd z parku na ulicę. Nikt im tego nie zlecał, zrobili to z własnej woli.

Lisa prowadziła samochód powoli, uważając, żeby nie zjechać z drogi albo nie popełnić innego głupiego błędu, który by spowodował opóźnienie. Przy bramie wyjazdowej musiała chwilę poczekać, bo kilka wozów wyładowanych kartoflami i brukwią zmierzało również w kierunku miasta. Marie siedziała obok niej w napięciu, patrzyła na ulicę i milczała. Lisie również nie przychodziło do głowy nic, o czym mogłyby teraz rozmawiać. Jej palce były lodowate, powinna była włożyć skórzane rękawiczki.

Zgodnie z przewidywaniami dworzec był oblegany przez mieszkańców Augsburga, zostawiły więc samochód na Prinzregentenstraße i dalej poszły pieszo. Na miejscu kręciło się sporo policjantów, którzy mieli pilnować, żeby nie doszło do jakichś groźnych sytuacji, słychać było głośno wypowiedane zalecenia, że należy chodzić powoli, nie przepychać się, trzymać dzieci mocno za ręce.

– Jest już jedenasta – powiedziała Marie, patrząc na zegar dworcowy.

– Mówiłam, że się spóźnimy!

Marie przystanąła przygnębiona przy głównym wejściu i zapytała Lisę, czy nie byłoby lepiej poczekać tutaj. Jednak napierały na nie grupy ludzi, więc musiały udać się w kierunku peronów, czy tego chciały, czy nie. Przyszły przeważnie kobiety – młode i starsze, żony, matki, babki, tłoczyły się na peronach w towarzystwie podrośniętych dzieci z wielkimi wystraszonymi oczami oraz płaczących niemowląt. Jedne były dobrze ubrane, inne nosiły podarte kurtki i buty na drewnianych podeszwach, wszystkie miały tę samą rozpaczliwą nadzieję wymalowaną na twarzy.

Lisa i Marie precyzyjnie się obok tłumu czekających i ciągle jeszcze nadchodzących osób i znalazły wreszcie dla siebie miejsce na samym przodzie, przy pustych torach. Pociąg miał opóźnienie. Nic dziwnego, jeśli na każdej stacji, na której się zatrzymywał, sytuacja wyglądała podobnie do tej w Augsburgu.

Jak będzie można kogoś odszukać w tym zgiełku, myślała zaniepokojona Lisa. Stoimy tak bardzo na uboczu, że nawet nie będziemy widziały wysiadających z pociągu żołnierzy. Chwyła dłoń Marie i przytuliła ją, żeby dodać jej odwagi.

– Powinniśmy były zostać w domu – powiedziała Marie. – Tyle ludzi! Oni się przecież wszyscy stratuja na śmierć!

Faktycznie tu i tam się przepychano, słychać było gniewne okrzyki i płacz dzieci. Mimo to większość osób stała spokojnie i starała się uważać, by nie zrobić nikomu krzywdy. Stojących z przodu pytano, czy nie widzą nadjeżdżającego pociągu, ale do tej pory zbawienna wiadomość jeszcze nie została przekazana.

– Pamiętasz? – zapytała Marie. – Pięć i pół roku temu stałyśmy w tym samym miejscu. Ty rozdzielaaś chleb, a ja chodziłam wzdłuż pociągu i podawałam żołnierzom kubki z gorącą kawą.

– Dobry Boże – jęknęła Elisabeth. – Przypominam sobie. Wśród tych pierwszych byli przyjaciele Paula ze szkoły. A potem też biedny Alfons...

– Tak – powiedziała gorzko Marie. – Jacy wszyscy byliśmy podekscytowani. Jacy pewni zwycięstwa. Młodzi mężczyźni się do nas uśmiechali i machali nam radośnie, a my czułyśmy się tak wspaniale, że możemy obdzielić przyszłych bohaterów chlebem i kawą.

– Na Boże Narodzenie wszyscy mieli być z powrotem w domu – mruknęła Elisabeth. – Boże Narodzenie pięć lat temu.

Pośród tłumu zrobiło się nagłe poruszenie, z przodu, przy krawędzi peronu słyhać było głośnie okrzyki.

– Odsuńcie się! Uwaga! Zabierzcie stąd dzieci!

Ktoś nadepnął Lisie na stopę, a Marie została przepchnięta do tyłu przez jakieś młode kobiety, tak że straciły siebie z oczu. Potem Lisa zobaczyła szary dym z lokomotywy i jej serce zaczęło walić z podenerwowania. Paul. Jej brat Paul. Kochany Paul. Ach, żeby tylko tam był.

– Drogi Boże – szepnęła do siebie. – Drogi Boże.

Pociąg powoli wjechał na peron. Wiele okien w wagonach było opuszczonych, mężczyźni przepychali się przy nich, żeby widzieć ludzi czekających na peronach. Tu i tam słyhać było głośny krzyk, jakieś nazwisko, szloch. Ktoś rozpoznał swojego męża, syna, brata. Potem głośny dźwięk hamulców zagłuszył na jakiś czas wszystkie inne odgłosy.

Lisa została wypchnięta przez jakieś kobiety do przodu i przyciśnięta do słupa lampy łukowej, więc tam już została. Niedaleko od niej otworzono drzwi, mężczyźni w podartych kurtkach i spodniach zaczęli wysiadać z pociągu, mieli szare twarze i zapadnięte oczy, niektórzy nie mieli butów, tylko szmaty zawinięte wokół stóp. Lisa zadrżała. Byli to naprawdę ci sami chłopcy, którzy odjeżdżali stąd z takim entuzjazmem? Jacy byli teraz postarzali, jacy wychudzeni, wielu utykało, nosiło bandaże i przepaski na oczach, chodziło z trudem o kulach. Większość stała najpierw bezradnie, ale musiała iść na oślep do przodu, popychana przez innych. Tylko nieliczni szczęśliwcy byli od razu obejmowani przez żony i matki. Lisa starała się sobie wyobrazić, jak po tej całej męce może teraz wyglądać Paul. Czy w ogóle będzie w stanie go rozpoznać? Patrzyła na powracających, którzy przechodzili koło niej, ale żaden z nich nie był jej bratem.

Co za chaos! Lisa zdecydowała, że będzie tutaj po prostu stać i czekać, aż tłum trochę się przersedzi. Widziała płaczących ludzi, którzy rzucali się sobie w ramiona, szlochające kobiety, kwilące dzieci, mężczyzn, którzy nie mogli uwierzyć, że wrócili do domu. Po chwili poczuła czyjaś dłoń na ramieniu – to Marie ją odnalazła.

– Wsiądzie i będzie na nas gdzieś czekał – powiedziała. – Na pewno się domyśli, że przyszliśmy...

Trzymały się za ręce i wypatrywały. Ci, którzy się już odnaleźli, kierowali się do wyjścia. Inni stali tak jak one, trwając w oczekiwaniu i nadziei. Powracający, o których nikt się nie zatroszczył, szli powoli wzdłuż peronu, niektórzy nieśli tobołki z tym, co im zostało. Rozległo się syczenie, warkot i lokomotywa wypuściła parę. Drzwi się zamknęły, przy szybach nie było już widać żadnych twarzy, konduktor podnosił okna do góry. Marie i Lisa czekały, aż pociąg odjechał z toru, potem szły jeszcze wzdłuż peronu, rozglądały

się, przypatrywały każdemu żołnierzowi i rozczarowane szły dalej. Potem zatrzymały się w hali dworcowej, chodziły między ludźmi, szukały, rozglądały się, starając się nie tracić ostatniej nadziei.

– Może go przegapiłyśmy – powiedziała Lisa stanowczo. – To nie byłoby nic dziwnego w tym zgiełku. Może pojechał tramwajem do posiadłości.

– To możliwe – przytaknęła przygnębiona Marie.

Tak kurczowo trzymały się teraz tej możliwości, choć była mało prawdopodobna. Wyobrażały sobie, jak Paul będzie się z nich śmiał, jak wróca do domu. One tam godzinami stały i czekały na niego, a on od dawna już pił sobie kawę w domu. Przecisnęły się ulicami do samochodu, pomiędzy szczęśliwie połączonymi znów rodzinami, pomiędzy samotnymi kobietami z oczami pełnymi rozczarowania i dziećmi, które nie rozumiały, po co je tutaj przyciągnięto. Po drodze widziały Tilly, która też przyszła na dworzec. Wołały ją po imieniu, ale się nie odwróciła.

– Chyba nie było informacji, że doktor Moebius zaginął? – zapytała zaniepokojona Marie, gdy siedziały już w samochodzie.

– Z tego, co wiem, to tak – odpowiedziała Lisa. – Ale ona ma wciąż nadzieję.

Nadzieja. Elisabeth wolno jechała samochodem przez ulice, zatrzymywała się, żeby przepuścić pieszych i rowerzystów, nie wyprzedzała dorożek i wozów. Kiedy wyjechała za bramę Jakoba, zaczął padać śnieg. Gdy skręciła do parku, samochód był już okryty cienką warstwą białego puchu. Lisa objechała okrągły klomb, znajdujący się na środku dziedzińca, i zatrzymała się niedaleko od wejścia. Przez chwilę jeszcze obie siedziały w samochodzie, trzymając się tłęcej się jeszcze w nich cennej nadziei. Humbert pojawił się przy wejściu, potem przyszła także Auguste. Ich miny nie pozostawiały wątpliwości.

– Może być tak, że jeszcze tutaj idzie – powiedziała Elisabeth.

Marie potrząsnęła głową przygnębiona.

– Obawiam się, że nie, Liso. Dobrze, że mama nic nie wie.

– W końcu kiedyś przyjedzie – powiedziała z przekonaniem Elisabeth. – Wiem to na pewno, Marie!

Zanim wysiadły, objęły się. Potem weszły na schody, wdychając zapach świątecznego drzewka w holu. Widziały jeszcze, jak Else i Hanna znikają pośpiesznie w kuchni. Czyżby przygotowały coś na powitanie młodego pana? Cóż, teraz było już chyba jasne, że Paul Melzer nie wrócił tym pociągiem.

– Tutaj jesteście – usłyszały głos Alicii. – Kitty już o was pytała. Ponoć miałyście coś dla niej załatwić w mieście?

Alicia stała zupełnie nieświadoma, uśmiechnięta, przy poręczy schodów dla państwa na pierwszym piętrze i obserwowała wysiłki Gustava, który starał się ustawionemu już drzewku za pomocą sekatora i piły nadać kształt piramidy.

– Już idę na górę do Kitty – powiedziała Marie. – Muszę tylko zadzwonić do fabryki.

– Nie powinnaś dzisiaj iść do fabryki – skarciła ją Alicia. – Jutro jest Wigilia i dzisiaj po południu musimy udekorować drzewko. Dzieci są bardzo podekscytowane.

Marie nie odpowiedziała ani tak, ani nie, tylko z uśmiechem weszła po schodach, żeby zatelefonować z gabinetu.

– Powiedz panu von Klippsteinowi, że będziemy szczęśliwi, mogąc go u nas gościć na Wigilii oraz w czasie dni świątecznych – zawołała za nią Alicia.

Potem odwróciła się gwałtownie do Elisabeth, jakby nagle przypomniała sobie coś ważnego.

– Aha, właśnie, ten nauczyciel czeka na ciebie, Liso. Zaprosiłam go do pokoju dla panów i powiedziałam, że mamy obiad około pierwszej.

– Pan Winkler? Na miłość boską, dlaczego od razu nie mówiłaś, mamo?

Alicia westchnęła i powiedziała z lekkim wyrzutem, że takie wizyty są nie na miejscu. Nie wywoła to dobrego wrażenia wśród mieszkańców, gdy wyjdzie na jaw, że rodzina Melzerów utrzymuje kontakty ze skazanym socjalistą i byłym członkiem Republiki Rad.

Elisabeth ściągnęła szybko płaszcz, zdjęła kapelusz i poszła na górę. Przed drzwiami pokoju dla panów musiała postać przez moment, żeby złapać oddech. Teraz się rozstrzygnie. Musiała zachować spokój. Zachowywać się przyjaźnie. Być wyrozumiała dla swojego przyjaciela. Oferować pomoc w razie konieczności.

On siedział w fotelu z rozłożoną gazetą. Gdy pojawiła się w drzwiach, rzucił gazetę na stół i podniósł się. Jaki był chudy! Przekłeta Jordan pozwalała mu co prawda jadać posiłki w sierocińcu, ale nimi doros-ły mężczyzna nie mógł się przecież najeść do syta. Z pewnością nękały go także obawy o przyszłość. Może też miłość do nieosiągalnej dla niego kobiety.

– Sebastianie! Tak mi przykro, że musiał pan czekać! Razem z moją bratową byliśmy na dworcu kolejowym.

Zrozumiał natychmiast. Oczywiście słyszał o tym, że dzisiaj mieli wracać jeńcy wojenni z Rosji. I wywnioskował z jej zatroskanej miny, że jej brata Paula nie było wśród nich.

– Niech pani nie traci nadziei, Elisabeth – powiedział. – Będą jeszcze następne transporty. A jeśli o mnie chodzi, czekanie zupełnie mi nie przeszkadzało. Obawiam się tylko, że mogłem być ciężarem dla pani matki.

Mówił powoli i robił przerwy, żeby przemyśleć następne zdanie raz jeszcze, jakby szukał odpowiednich słów. Elisabeth uwielbiała ten rodzaj namysłu, nieśmiały uśmiech pojawiający się na jego twarzy, o którego istnieniu pewnie nawet nie wiedział. I podziwiała jego determinację, która skrywała się za niepozornym wyglądem.

– Mama jest trochę zagubiona – powiedziała z uśmiechem. – Przygotowania do świąt przyprawiają ją o zawrót głowy. Ale nie rozprawiajmy już o tym, Sebastianie. Usiądźmy.

– Jeśli pani pozwoli.

Począł, aż ona usiądzie, żeby zająć miejsce naprzeciwko. Elisabeth czuła, że robi się jej gorąco. Nie była pewna, co postanowił. Nie, w ogóle tego nie przeczuwała. W żaden sposób.

– Potrzebowałem trochę czasu, żeby przemyśleć pani propozycję – powiedział z wahaniem. – Spadło to na mnie zupełnie nieoczekiwanie i obawiałem się, że mogę narobić pani kłopotu, jeśli ją przyjmę. To była moja największa troska, Elisabeth. Nie potrafiłbym sobie tego nigdy wybaczyć, gdyby pani reputacja ucierpiała przeze mnie.

Jakie to było poruszające. Najchętniej wzięłaby go w ramiona i zaczęła głaskać. Objęłaby go rękami za szyję. Ale taka poufałość wytraciłaby go teraz z równowagi.

– Mogę pana uspokoić. Nikt by się o tym nie dowiedział. Pomorze jest daleko stąd.

Uśmiechnął się i przytaknął, kiwając głową. Nie wydawał się jednak szczęśliwy. I nie powinien być. Powinien być absolutnie niepokieszony, jej Sebastian. Wysyłała go przecież daleko.

– Powiedziała pani – kontynuował, ciągle sięgając po chusteczkę, żeby wycierać czoło – że Pomorze jest daleko. Ale ja nie zasługuję też na nic lepszego.

Siedział skulony ze zwieszoną głową. Gdy spojrział na nią pełen niepokoju, poczuła serce aż w gardle. Ale musiała pozostać silna. On nigdy nie podejmie tej gry dobrowolnie. Musiała podstępem ofiarować mu szczęście.

– Sądzę, że sprawiłoby panu ogromną radość, gdyby mógł pan zarządzać obszerną biblioteką mojej cioci – powiedziała z nadzieją. – Założył ją mój pradziadek, a każde następne pokolenie ją rozszerzało. Są tam zakopane prawdziwe skarby, Sebastianie.

Wiedziała, że był bibliofilem, ale jego entuzjazm miał swoje granice. Cóż, fakt, majątek von Maydornów był daleko stąd, żeby dotrzeć stamtąd do Kołobrzegu, trzeba było jechać trzy godziny dorożką. A poczta była dostarczana raz w tygodniu.

– Jeśli przyjmę tę propozycję, Elisabeth, to głównie dlatego, że będę chciał pewnego dnia przekazać pani wspaniale uporządkowaną bibliotekę.

Jej serce podskoczyło. Wygrała.

– Przyjmie zatem pan moją propozycję? – zapytała, nie mogąc złapać tchu.

– Jak mógłbym odmówić przyjęcia tak życzliwej i bezinteresownej oferty?

Starał się uśmiechnąć, choć tak naprawdę był przygnębiony. Wyraził swoje zdanie, zostanie więc wysłany na to pustkowie. Na Pomorze, gdzie diabeł mówi dobranoc. Elisabeth walczyła z wyrzutami sumienia, ale powtarzała sobie, że wszystko robi dla jego dobra.

– Bardzo się cieszę, Sebastianie – powiedziała, wzdychając głęboko. – Oczywiście oczekuję regularnych opowieści o postępach w pracy.

To była propozycja, żeby ze sobą korespondowali. Wydawało się, że mu się spodobała, bo spojrział na nią z wdzięcznością. Zaraz jednak jego spojrzenie zrobiło się chłodne i patrzył jedynie przed siebie.

– Był taki czas, Elisabeth, gdy miałem w głowie te wszystkie szalone plany. Marzenia o świecie, w którym bogaty właściciel fabryki i biedny nauczyciel mogą się spotykać na równych warunkach. I naprawdę wierzyłem wtedy, że mogę powiązać mój los z twoim.

Potrząsnął głową, jakby z perspektywy czasu sam nie potrafił pojąć swojej naiwności.

– Ja również miałam takie marzenia, Sebastianie – powiedziała powoli. – Ale rzeczywistość nas dogoniła. Świat jest, jaki jest, i nie jest mądrze przeciwstawiać się biegowi rzeczy. Ostatnie wydarzenia po raz kolejny tego dowiodły.

Odpowiedział na te słowa przeciągłym spojrzeniem. Jak ciepło i wnikliwie potrafił na nią patrzeć. Nagle zaczęła mieć wątpliwości co do swojego postanowienia. Czy mogła tego od niego wymagać? Był takim porządnym człowiekiem. Mężczyzną z zasadami

moralnymi. Czy nie straci w ten sposób jego miłości?

– Zdecydowała się pani nie rozwodzić, prawda? – zapytał niepewnie.

Powiedziała mu to tylko raz w pośpiechu, ale wiedziała, że ta wiadomość go dotknęła.

– Tak – odpowiedziała szybko i zastanawiała się, co dalej mówić. – Mój mąż doznał w czasie wojny poważnych obrażeń, nie mam więc odwagi, żeby żądać od niego rozwodu. My kobiety jesteśmy istotami pełnymi współczucia. Zostanę przy nim, nawet jeśli to małżeństwo będzie dla mnie oznaczać jedynie chłód i samotność.

Widziała, że pragnął w tej chwili chwycić ją w ramiona. Dać jej swoje ciepło i pocieszenie, całą tę czułość, za którą tak tęskniła. Nie odważył się jednak, a ona nie zrobiła nic, żeby go zachęcić.

– Panna Schmalzler, nasza gospodyni, w styczniu wyjeżdża na Pomorze, żeby tam żyć na emeryturze. Może mógłby pan jechać razem z nią.

Przytaknął, kiwając głową, i powiedział, że byłoby to bardzo praktyczne, bo ona na pewno zna otoczenie. Potem sięgnął po kapelusz, który położył obok siebie na fotelu, i podniósł się.

– Proszę na mnie polegać, Elisabeth – powiedział z lekkim ukłonem. – Zrobię wszystko, co uzna pani za przyjemne i pożyteczne.

Moi kochani...

Alicia przerwała i odchrząknęła, bo ogarnęło ją wzruszenie. Pierwszy raz to ona przemawiała przy stole. Przez wszystkie wcześniejsze lata było to zadanie Johanna.

– Moi kochani goście – powiedziała i rozejrzała się po świątecznie ubranych słuchaczach. Czy nie potrafiła być szczęśliwa, otoczona przez tak dużą rodzinę? Oczywiście, musiała być za to wdzięczna Bogu. Nawet jeśli brakowało niektórych ukochanych osób. – Bardzo się cieszę, że widzę was tutaj wszystkich w ten szczególny dzień Bożego Narodzenia. Chcemy świętować tę pierwszą po zakończeniu okropnej wojny Wigilię z oddaniem i wdzięcznością, dlatego...

Przerwał jej czyjś gniewny okrzyk. Tam, gdzie Rosa siedziała z dziećmi, widelec spadł na podłogę i słychać było karcący szept opiekunki:

– Henni! Zostaw to. Proszę! Oddaj Leo tę łyżkę. Henni, proszę cię. Inaczej babcia będzie smutna.

– Niiieeee! Chcę to mieeeeeć!

Dorośli zaczęli między sobą szeptać, potrząsać głowami, a ciotka Helene powiedziała, że byłoby lepiej zostawić dzieci na gorze. Kitty wstała z krzesła i wzięła na ręce wrzeszczącą córeczkę.

– Uspokój się natychmiast! – krzyknęła do małej. – Bo zaniosę cię do łóżka.

Henni pociągnęła nosem jeszcze kilka razy, ale ponieważ mogła usiąść na kolanach mamy, to się rozpogodziła. Leo trzymał w rączce, z wyrazem radości ze zwycięstwa na twarzy, swoją wywalczoną łyżkę do deseru. Alicia patrzyła na tę scenę z dezaprobatą. Jak to się stało, że dzisiaj dzieci były tak niezdolne? Ach, brakowało im ręki ojca.

– Bardzo się cieszę, że mój szwagier Gabriel ze swoją uroczą żoną Helene przyjechali do nas i tym samym odnowiliśmy tradycję świąt Bożego Narodzenia.

Kitty użyła wykrochmalonej serwety, żeby wytrzeć nos córce. Szczerze nie znosiła wujka Gabriela i ciotki Helene, więc była bardzo zadowolona z faktu, że niepewne i niebezpieczne połączenia kolejowe uniemożliwiły im wizyty w czasie ostatnich lat. Teraz jednak było ich jej żal. Dwaj starsi synowie polegli na wojnie, trzeci zmarł na zapalenie płuc i została im jedynie chorowita córka. Wujek i ciotka wyglądali mizernie, byli jakby cali pomarszczeni, zauważyła Kitty. Byłoby całkiem interesująco, gdyby mogła ich narysować. Wszystkie te fałdy i bruzdy. Obwisłe powieki wujka. Nie, wcale nie był podobny do taty, mimo że był jego młodszym bratem. A ciotka zawsze trzymała rękę przy ustach, gdy mówiła, bo brakowało jej siekacza.

Gdy mama witała wielebnego Leutwiena oraz doktora Greinera jako wieloletnich przyjaciół i drogich gości, Kitty spojrzała na Marie. Ach, mogła sobie doskonale wyobrazić, jak nieszczęśliwa musiała dzisiaj być jej kochana Marie. Pani dyrektorowa Wieslerowa, ta bezmyślna gaduła, wyszeptała jej do ucha podczas wczorajszej mszy, że biedny Paul Melzer już na pewno jest w rękach Boga. Cokolwiek miała na myśli.

Obok Marie siedział oczywiście Ernst von Klippstein, jej wierny cień. Kazał sobie

uszyć na ten świąteczny dzień nowy garnitur, który bardzo dobrze na nim leżał. Był przystojnym mężczyzną, miał lekki wąsik i błękitne oczy, w których było coś kojącego. Na gust Kitty był nieco zbyt pruski, ale jeśli komuś się to podobało... Ostatnio częściej się go widywało również w towarzystwie Tilly, ale wydawało się, że to niewiele dla niej znaczy. Najpewniej marzyła wciąż o nieszczęsnym doktorze Moebiusie. Jak wielu mężczyzn takich jak on – mądrych, utalentowanych, pełnych planów na przyszłość – pochłonęła ta okropna wojna!

– Mamo? Kiedy będzie pudding? – zapytała Henni, przerywając jej rozmyślenia.

– Najpierw zjemy zupę, potem rybę, pieczeń i warzywa – szepnęła córce do ucha.

Mała wykrzywiła buzię i powiedziała, że nie chce jeść warzyw. Rybę i pieczeń tak, warzywa – nie!

– Nie zjesz warzyw, nie będzie puddingu.

Jej córeczka pomyślała króciutko, potem przytuliła się czule do mamy i uśmiechnęła się anielsko. Mama z pewnością nie wahałaby się zbyt długo i zaraz by wstała, żeby zabrać Henni do pokoju dziecięcego. Rosa tego nie robiła.

– Moja mała przytulanka – szepnęła do niej Kitty i pocałowała ją w policzek.

Cała trójka maluchów została hojnie obdarowana prezentami, szczególnie Klippi się postarał. Może chciał zyskać większą przychylność Marie, ten wytrwały mężczyzna. Leo dostał od niego metalowe pudełko z klockami, Dodo lalkę w stroju kucharki i Kuchenkę, na której można było gotować. Do tego przybory kuchenne, łyżeczki, serwis do kawy i książkę kucharską dla mamy lalki. Wszystkie te podarunki przebił jednak prezent dla Henni – prawdziwy koń na biegunach, obity naturalnym pluszem, wielkości cielaka. Oczywiście bliźniaki też chciały na nim jeździć, a Henni, ta mała bestyjka, była bardzo zadowolona, że muszą ją prosić o pozwolenie.

– Narodził się nasz Zbawiciel – powiedziała uroczyście Alicia. – Świętujmy więc wspólnie nowy początek. Niech przyniesie wszystkim ludziom pokój na ziemi, niech zagoją się wszystkie rany i nastaną lepsze czasy...

Rozległy się oklaski, von Klippstein pochylił się w jej stronę, żeby powiedzieć, że wyraziła doskonale to, co czuł każdy siedzący przy stole. Kitty uznała, że to przesada, ale mama faktycznie włożyła w to sporo wysiłku. Przemowy taty były krótsze, zwięzłe, zakończone zawsze jakimś żartem. Zamknęła oczy, żeby zwalczyć narastający w niej smutek. Tata, jak bardzo jej go brakowało. Jego mrukliwego, zręczliwego sposobu bycia. Jego niezdarnych rąk, którymi gładził ją po policzku. Podczas zeszłorocznych świąt siedział jeszcze obok mamy. Kto wtedy mógłby przypuszczać, że to będzie ostatni raz.

Humbert stał w drzwiach i bił brawo tak jak goście. Na znak Alicii zaczął roznosić zupę. Rosół wołowy z jajkiem. Wszyscy się dołożyli finansowo do tego, żeby przygotować ten wystawny świąteczny obiad. W fabryce na razie nie działo się dobrze. Ten nędzny drań, ten Amerykanin, zdemontował i wywiózł ich najlepsze maszyny i ani policja, ani sąd nie chcieli się zainteresować tą sprawą. Dla fabryki były to straty ogromne. O ile Kitty pojmowała sytuację, brakowało bardzo tych rozmontowanych maszyn i nie mogły być one zastąpione żadnymi innymi. Och, jakże denerwujące było to, że Gérard był tak uparty. Co on niby mógł zrobić w Lyonie? Tutaj w Augsburgu naprawdę go potrzebowali. W fabryce brakowało mężczyzn. A najlepszy byłby taki, który się zna na

materiałach i procesie przedzalnicy, a ponadto umiałby trzymać w ryzach pracowników.

– Zobacz, Henni – powiedziała energicznie. – Humbert wlał zupę na twój talerz. Idź teraz do Rosy i pokaż wszystkim, że potrafisz jeść zupę bez rozlewania.

Henni miała nadzieję, że zostanie na kolanach mamy, dlatego trochę marudziła, ale w końcu przeszła do Rosy. Kitty patrzyła na córkę surowym wzrokiem, a potem sama zaczęła jeść. Zupa nie była jej ulubionym daniem, dlatego Humbert nalał jej niewiele. Westchnęła cicho. Jaka szkoda, że ten jej ukochany dziwak już niedługo ją opuści.

– Och nie, jak to możliwe, a świąteczna dekoracja znowu jest tak przepiękna! – powiedziała głośno Gertrude Bräuer. – Ta jodła, te mahonie i do tego białe ciemierniki. Bardzo gustownie. My wczoraj położyliśmy piękny wieniec z bluszczu i białych lilii na grobie Edgara, prawda, Tilly?

Tilly zrobiła się czerwona, jak zawsze, gdy matka mówiła tak głośno i naiwnie. Gertrude Bräuer właściwie nie opuszczała domu, tylko w soboty Tilly musiała jej towarzyszyć w wyjściu na cmentarz – przystrajała wtedy grób. Tilly wiele godzin namawiała matkę, żeby przyjęła zaproszenie Melzerów na świąteczny obiad.

– Tak, mamo – powiedziała uprzejmie Tilly. – Ale nie mówmy dzisiaj, proszę, o grobach i cmentarzach.

Gertrude uniosła brwi i stwierdziła, że jej córka od kilku miesięcy zachowuje się, jakby zjadła wszystkie rozumy.

– Przygotowuje się do matury – powiedziała konspiracyjnym tonem do Ernsta von Klippsteina. – Musi się uczyć łaciny i greki – niech pan sobie to tylko wyobrazi! Młoda kobieta, która w żadnym razie nie jest brzydka, musi się mierzyć z takimi rzeczami! To jest przecież sawantka, ta moja Tilly. Nie sądzi pan, że jest śliczna?

Kitty omal się nie udławiła przełykanym rosołem. Mój Boże, biedna Tilly. Teraz pewnie żałowała, że przyciągnęła tutaj swoją matkę.

– Mamo, proszę cię!

Tilly prawie płonęła na twarzy, tak żenująca była dla niej ta próba zachęcenia do niej Klippiego. Gertrude nie była tym jednak zmieszana, przeciwnie, oznajmiła jeszcze głośno, że jej córka odrzuciła już kilka propozycji zamążpójścia.

– Dziewczyna nabiła sobie głowę, że zostanie lekarką. Co pan na to powie? Oddałby się pan w ręce lekarza kobiety, panie poruczniku?

Kitty obserwowała von Klippsteina. Początkowo słowa Gertrude wprawiły go w zakłopotanie, ale teraz wydawały się go bawić.

– Nie miałbym z tym żadnego problemu, łaskawa pani – powiedział, patrząc szelmowsko na Tilly. – W rękach pani córki z pewnością czułem się bardzo dobrze.

Gertrude wyjątkowo nie pociągnęła tego wątku, wujek Gabriel i ciotka Helene, którzy nie do końca rozumieli, o co chodzi, patrzyli zawstydzeni w swoje puste talerze. Tilly nie wiedziała właściwie, czy ma być zła, czy raczej zakłopotana, w każdym razie postanowiła dokładnie wyjaśnić sprawę.

– Mówi pan o czasie, gdy leżał pan ranny w lazarecie, prawda, panie von Klippstein?

– W rzeczy samej, panienko Bräuer.

– W takim razie uprzejmie panu dziękuję za tę pochwałę.

Gdy spojrzała na niego wymownie, opuścił wzrok i Kitty spostrzegła ze zdumieniem, że teraz to on zrobił się czerwony.

W tym czasie Marie rozmawiała z doktorem Grei-nerem o praktyce lekarskiej prowadzonej przez doktora Strombergera. Najlepsza lokalizacja w centrum miasta, a poprzednik zostawił mu wszystkie narzędzia i urządzenia oraz swoich trzech pracowników.

– Od rana do wieczora ma gabinet pełen pacjentów – powiedział doktor Greiner z zazdrością. – Ale słono sobie liczy za usługi. U niego tylko dobrze sytuowani ludzie będą mogli wyzdrowieć...

Hanna w czarnej sukience z białym koronkowym kołnierzem zbierała talerze, bo w windzie czekał już karp w maśle z dodatkiem warzyw i ziemniaki w mundurkach. Jak ślicznie Hanna wygląda w tej sukience, pomyślała Kitty. Tak dojrzałe. I tylko trochę smutno. Ale strasznie głupia była ta historia z jeńcem wojennym z Rosji. Naprawdę szkoda byłoby dziewczyny. Mogłaby mi pozować. Tak, to całkiem dobry pomysł...

– Ja myślę tak samo – Gertrude Bräuer poczuła się wezwana do odpowiedzi. – Uważam, że mogliby go spokojnie wydać. W wieży powinni takich zamykać. O chlebie i wodzie!

Wywołało to gwałtowny sprzeciw. Zwłaszcza Klippiego oburzyły jej słowa.

– Monarcha nie powinien być oceniany zwykłą miarą, pani Bräuer. On też może popełniać błędy. Wilhelm II jest i będzie niemieckim cesarzem i niesłuchanie mi ulżyło, że Holendrzy nie wydadzą go aliantom.

Wszystkich poruszył ten temat. Alicia powiedziała, że republika, którą teraz proklamowano, nie ma żadnych podstaw, żeby przetrwać. Klippi podzielał jej pogląd. Wszędzie tak zwani demokraci łączą swoje siły, zakładają związki i partie, tak że można stracić rozeznanie. Komuniści, członkowie Związku Spartakusa, socjaliści wyrastają jak grzyby po deszczu.

– Jak gdyby nasz biedny kraj nie poniósł wielu strat – powiedział. – Musieliśmy oddać całą flotę hand-lową. Wszystkie kolonie stracone. Jak mamy znów się podźwignąć, jeśli nie będziemy mieć rozumnych rządzących? Jakiejś silnej osobowości, człowieka, który nas poprowadzi ku przyszłości?

Elisabeth dotychczas niewiele mówiła, teraz energicznie włączyła się do rozmowy.

– Nasz kraj nie potrzebuje ani floty, ani kolonii – powiedziała, patrząc wojowniczo na von Klippstei-na. – Nasz kraj potrzebuje sprawiedliwego podziału dóbr.

O nie, pomyślała Kitty, teraz to ona mówi jak socjalistka. To wpływ pana Winklera, w którego jest tak zapatrzona. Jakie to szczęście, że przynajmniej porzuciła ten szalony pomysł, żeby zarabiać na swoje utrzymanie, pracując jako nauczycielka.

Wypowiedź Elisabeth wywołała pełne oburzenie. Zwłaszcza mama i Klippi sprzeciwiali się gwałtownie, także ciocia Helene uznała, że Elisabeth mówi bardzo trudne rzeczy, a wujek Gabriel potwierdził, że należy przywrócić cesarza, bo inaczej wszystko pójdzie w błoto. Tylko Marie i wielebny Leutwien poparli Lisę i uznali, że należy dać szansę republice – w Ameryce się przecież sprawdza.

– Musimy zachować spokój, moi kochani – powiedziała Alicia. – Ta dyskusja

wytrąciła nas z równowagi. Proszę was wszystkich – jest Boże Narodzenie!

– Boże Narodzenie czy nie – krzyknęła Gertrude. – W Ameryce pośród Indian lubią demok...

Nie mogła dokończyć, bo zaczęła nagle kasłać. Złapała się za gardło i zaczęła się dusić, jakby nie mogła złapać powietrza.

– To na pewno to – powiedział doktor Greiner z lekarską powagą. – Ość. Niech pani otworzy usta, pani Bräuer. Tylko bez paniki. Niech panienka da jej wodę do picia, panienko Bräuer.

– Na miłość boską! – krzyknęła Alicia.

– Tak to się właśnie dzieje – skomentowała ciotka Helene.

Tilly podała matce szklankę wody. Gertrude jęczała głośno i twierdziła, że ość karpia stoi w poprzek gardła i że z pewnością ona zaraz umrze.

– Bzdura, mamó. Zjedz kartofel. Jeszcze jeden. I dob-rze przełknij. Tak, to trochę boli. I jeszcze kartofle...

Kitty tak jak inni podniosła się ze swojego miejsca. Och, jakie to okropne, pomyślała. Musiało się zdarzyć właśnie w Boże Narodzenie.

– Robi to naprawdę imponująco – powiedział Klippi do Marie. – I potrafi zachować spokój.

– O tak – potwierdziła Marie. – Tilly to zdumiewająca młoda kobieta. Myślę, że Gertrude jest już lepiej.

– Humbert! – zawołała Alicia. – Przynieś jeszcze kartofle!

– Oczywiście, łaskawa pani!

Na dole w kuchni pracowano na najwyższych obrotach. Potrawy podawane w czasie Bożego Narodzenia zawsze stawały się kulinarnym wydarzeniem roku. Nawet teraz, gdy Brunnenmayer musiała nieco improwizować, bo nie dało się kupić wszystkich niezbędnych składników, była w swoim żywiole. Miała w głowie dokładny plan, w którym proces przygotowań, czas trwania świąt, czas odpoczynku i potrzebny na przygotowanie każdej potrawy tworzyły idealną sekwencję i była po prostu wściekła, gdy Hanna, Else czy Auguste zrobiły coś nie tak, jak im kazała.

– Kartofle? – złościła się, stojąc nad garnkiem z pieczenią. – O co chodzi z tymi kartoflami? Potrzebuję ich do dania głównego.

– To nieważne – powiedział Humbert i napełnił miskę parującymi ziemniakami, które wcześniej obrała Auguste. – Pani Bräuer dusi się ością.

– To niech lepiej się udusi, a nie będzie mi rujnować moich dań – mruknęła wściekła Brunnenmayer.

– Wielkie rzeczy – powiedziała Auguste, wzruszając ramionami. – Te kartofle i tak trzeba zanieść. A poza tym i tak już część z nich została podana razem z rybą.

Kucharka nie raczyła odpowiedzieć, tylko popchnęła garnek na obrzeża pieca, gdzie dochodziło najmniej ciepła. Oby tylko ci na górze nie marudzili przy tym za długo. W przeciwnym razie pieczeń będzie sucha i twarda. A marchewka z kapustą i cebulą też zrobi się wcale...

– Co chcesz zrobić z tą niebieską wełną, którą dostałaś na Boże Narodzenie? – dopytywała się Auguste.

Else, która stała właśnie przy zmywaniu, odpowiedziała, że każe sobie uszyć żakiet.

– A będziesz nosić taki żakiet? Wiesz co, Else? Dam ci za nią buty zimowe, które dostałam. Z tej wełny mogłabym uszyć Maxlowi spodnie, a pewnie jeszcze i kurtkę.

Else chciała najpierw je przymierzyć. Bo jeśli będą ją cisnąć, to diabła warta taka wymiana.

Prezenty dla pracowników w tym roku były dość skromne. Materiały z zapasów łaskawej pani, używane ubrania i buty, rysunki, które przygotowała pani Kitty Bräuer, i jakieś tanie naszyjniki i broszki, pochodzące ze szkatulek z biżuterią, należących do państwa. Wcześniej dostawali na Boże Narodzenie pieniądze, teraz nie było ich w żadnej paczce, nawet dla Eleonore Schmalzler.

– Widzieliście, co dostały dzieci? – zapytała Auguste, wrzucając ostatni ziemniak do miski. – Po prostu oczy wychodzą. Dobrze, że moja trójka nic o tym nie wie. Przynajmniej na razie. Potem, gdy będą się z nimi bawić, zobaczą te skarby.

– Ale to wszystko przyniósł porucznik – wyjaśniła Else. – On ma tyle pieniędzy, że sam nie wie, na co powinien je wydawać.

Hanna stwierdziła, że porucznik von Klippstein i tak jest biedakiem, bo beznadziejnie się zakochał.

– Tak to już jest z miłością – powiedziała Auguste lekkim tonem. – Ale jeśli łaskawy pan faktycznie nie wróci z Rosji, to czy wtedy łaskawa pani nie zainteresuje się porucznikiem? W końcu lepszy taki niż żaden. A on i tak już włożył pieniądze w fabrykę.

– Zrób miejsce, muszę wyjąć pieczeń! – krzyknęła kucharka i postawiła ogromną drewnianą deskę do krojenia na stole. – A wy musicie wiedzieć jedno. Młody pan na pewno wróci. A Marie Melzer jest mu wierna. A jeśli ty, Auguste, nie przestaniesz gadać takich bzdur, będziesz mieć ze mną do czynienia!

Auguste wytarła ręce w ścierkę i powiedziała, że i tak już długo nie zostanie tutaj na służbie. Gustl zatrudnił teraz kilku robotników, z którymi skopie ziemię i posadzi grządki. W przyszłym roku będą już sprzedawać kwiaty i warzywa.

– Jej, to miliony same wam będą wpadać do domu – powiedziała ironicznie Else.

Humbert wszedł do kuchni i przekazał, że życie pani Gertrude Bräuer zostało uratowane, położyła się jednak w gabinecie na kanapie i oznajmiła, że nie chce już więcej jeść.

– Nic dziwnego – powiedziała Else. – Jeśli zjadła całą miskę kartofli...

– Hanna – do sprzątania. A potem zaraz możemy podawać danie główne.

– Boże, bądź pochwalony! – jęknęła z ulgą kucharka. – Trzy srebrne tace, już! Już! Już! Auguste, ty będziesz polewać pieczeń sosem. W garnku po prawej stronie obok czajnika. Pamiętaj, trzeba delikatnie kropić, nie polewać.

Naostrzyła raz jeszcze duży nóż do mięsa i wprawna ręką pocięła pieczeń na cienkie plastry. Warzywa też podano z różnymi sosami, do tego żurawinę marynowaną w śliwownicy i gotowane borowiki.

Panna Schmalzler weszła do kuchni, żeby sprawdzić, co się dzieje. Na górze zabrakło wody w karafkach, skończył się też sok winogronowy dla dzieci. Potem miała

zaraz iść z powrotem na górę, żeby rozstawić serwis do kawy w czerwonym salonie, bo panowie się tam właśnie później udadzą. Powiedziała, że Else powinna teraz szybko zamieść dywan, bo choinka, którą ustawiła w czerwonym salonie pani von Hagemann, zaczynała już tracić igły. Później opuściła kuchnię, a Else i Auguste czekały na winę, która miała zwieźć brudne talerze, bo chciały je szybko zanieść do kuchni i położyć na ich miejscu czyste naczynia i sztuce.

– Wszystko jest super! – powiedziała Fanny Brunnenmayer zadowolona, gdy Humbert wnosił na górę główne danie. – Tylko kartofle będą zimne. Więc wstyd.

Wytarła twarz rękawem fartucha i zrobiła sobie małą przerwę – zanim nadejdzie czas na deser. Pudding gotował się długo w porcelanowych naczyniach, które później musiały być zanurzone w kąpeli wodnej, tak żeby można było go wyjąć. Potem był polewany słodkimi sosami i podawany z owocami z zalewy z koniaku. Dla dzieci oczywiście nie było owoców z koniakiem, tylko kuleczki z cukru.

Else i Auguste również usiadły na chwilę przy stole, zmywanie mogło poczekać, Hanna i tak najpierw musiała zeskrobać ości z talerzy i pater, bo mogłyby wpaść do zlewu i wbić się w palce.

– Jezus Maria, wczoraj widziałam Jordan na mszy – powiedziała Else. – Ze swoimi uczniami siedziała z przodu w kościele Świętego Maxa. Całkiem pobożnie i świętecznie wyglądały te sieroty. A Jordan miała futrzany kołnierz założony na płaszcz. Co na to powiecie?

– Lis? – zapytała Auguste i machnęła ręką. – Ten to dostała kiedyś przed laty od łaskawej, gdy zaczął obłazić.

– Być może – odpowiedziała Else. – Ale pan Wink-ler, który siedział obok niej, nie miał nawet płaszcz. Tylko samą kurtkę.

Auguste zachichotała i powiedziała, że pan Winkler już dobrą chwilę zabawia w sierocińcu. Jordan na stare lata pewnie przyprowadziła sobie kochankę do domu.

– Tylko ty jedna tak uważasz! – odparowała kucharka. – Pan Winkler jedzie zaraz po świętach Bożego Narodzenia na Pomorze. Ma tam objąć posadę.

Auguste nie mogła w to uwierzyć. Skąd ona to wie? Maria Jordan jej powiedziała?

– Panna Schmalzler mi powiedziała, bo pojedzie tam razem z nim. Jest bardzo z tego powodu zadowolona, bo on jest bardzo miłym człowiekiem, a ona nie będzie siedziała sama w pociągu. No i będzie miała przecież ciężki kufer.

– Tak też może być – dumiała Auguste. – Pan Wink-ler musiał tam dostać pracę jako nauczyciel. Może nawet w pobliżu tamtejszej posiadłości.

Fanny Brunnenmayer nie była plotkarą. Ale dzisiaj był trudny dzień, a musiała potem jeszcze przygotować kawę. Miała też jeszcze wyłożyć na srebrną paterę ptifurki, które upiekła wczoraj.

– Ach – warknęła i wytarła znowu twarz. – On będzie zatrudniony w samej posiadłości. W bibliotece.

Zaskoczonych Auguste prawie wypadła z rąk łyżka, którą polewała właśnie resztą sosu pieczeń. Potem zaczęła się śmiać i nie mogła przestać, aż złapała ją czkawka i Else musiała ją walnąć kilka razy po plecach.

– To... to... takie przebiegłe. Zrobiła to tak, jakby była zupełnie niewinna – dyszała

Auguste. – Wierna żona. Współczująca małżonka... – Znowu zaczęła chichotać. – Czy nie wiecie, że Elisabeth von Hagemann chce przejąć posiadłość na Pomorzu? Bo wujek Rudolf już umarł, a jego syn nie chce tego majątku.

Teraz Hanna też sobie coś przypomniała. Pani von Hagemann faktycznie chciała się przenieść na Pomorze i zabrać ze sobą swojego męża, teściów i pana Winklera najwyraźniej też.

– Męża potrzebuje do zarządzania posiadłością, teściów umieści gdzieś w domku obok, a pana Winklera będzie odwiedzać codziennie w bibliotece. Sprytnie to sobie przemyślała!

Auguste była pełna uznania. Kto by podejrzewał Elisabeth von Hagemann o coś takiego?

– Teraz wreszcie będzie mogła mu się odplącić – powiedziała Else, zaciskając usta.

– Zasłużył sobie – dorzuciła kucharka. – Ale w końcu to tylko biedny łajdak. Łaskawa zaprosiła jego i jego rodziców na świąteczny obiad. Ale ponieważ on nie chciał przyjść, jego rodzice też zostali w domu.

– A dlaczego on nie chciał przyjść?

– Boże, jaka ty jesteś głupia! – odpowiedziała Auguste. – Dlatego że jest tak potwornie okaleczony! Ja też bym nie mogła nic zjeść, gdyby taki siedział przy stole...

Humbert przyszedł do kuchni, on też chciał sobie zrobić krótką przerwę, zanim znowu pójdzie na górę, żeby spełniać polecenia państwa.

– Wielkie uznanie dla kucharki – donosił. – Pieczeń jest delikatna i soczysta, a sos to poezja.

Fanny Brunnenmayer uznała to za oczywistość. Sama wiedziała najlepiej, czy mogła być zadowolona ze swojej pracy, czy potrawa się jej udała, czy też nie. Dzisiaj było jej tylko wstyd za kartofle, które były podawane z ciepłym masłem i suszoną pietruszką.

– Duża, metalowa miska na stole – dyrygowała nim. – Wlej do niej gorącą wodę z czajnika, Else. A wy dwie przynieście ze spiżarni naczynia z puddingiem i trzy słoiki z marynowanymi owocami. Już, już! Co jest z tobą, Auguste? Przykleiłaś się tyłkiem do ławki?

Klasnęła w ręce i znów zajęła się pracą, która była jej wielką pasją. Deser stanowił ukoronowanie uczy. Żeby tylko pudding gładko wyszedł z form.

– Wkrótce będziesz mogła dyrygować jedynie Else, Brunnenmayer – powiedziała uszczypliwie Auguste. – Humbert wyjeżdża do Berlina i zabiera ze sobą Hannę.

Hanna postawiła na stole dwie formy z puddingiem. Jedna była w kształcie serca, druga – czterolistnej koniczynki.

– Zostaję tutaj – powiedziała Hanna do kucharki. – Nie pojedę do Berlina. Nie mogę tego zrobić pani Melzer.

– Każdy jest kowalem własnego losu – mruknęła Fanny Brunnenmayer i włożyła formy z puddingiem do garnka z ciepłą wodą.

Po świętach Bożego Narodzenia zaczęła się odwilż. Śnieg na parkowych łąkach topił się, tworząc małe wysepki. Gdy te zniknęły, już tylko trzy bałwanki, które ulepiły dzieci, broniły się jeszcze przed topnieniem w wyższej temperaturze. Potem zaczęło jednak padać i w czasie nocy po tych ponurych jegomościach pozostało jedynie kilka kamyków, które służyły im za oczy i usta.

– Nieszczęścia zawsze chodzą parami – powiedziała Alicia przy śniadaniu. – W Lechhausen poziom wód jest podwyższony z powodu roztopów, a pada teraz nieprzerwanie od kilku dni.

Marie powiedziała, że w Proviantbach też w kilku miejscach rzeka wylała, ale nie ma żadnego zagrożenia dla fabryki.

– Nie można tylko chodzić po łąkach – powiedziała z uśmiechem. – Można się tam utopić w błocie.

Elisabeth sięgnęła po dzbanek i naląła wszystkim kawę. Znowu była to kawa zbożowa – po wystawnych świętach Bożego Narodzenia w posiadłości wprowadzono pewne oszczędności.

– Dzisiaj nie powinno się nigdzie wychodzić – stwierdziła, spoglądając w okno. – Nic nie widać, ciemno jak w grobie.

Park i ścieżki były spowite ciemną mgłą, która najpewniej powstrzymała też listonosza przed wypełnianiem swoich obowiązków, bo do tej pory nie przybył z pocztą.

– Przynajmniej już tak mocno nie pada – powiedziała Marie. – Więc багаż nie zmoknie. Ale możliwe, że pociąg się opóźni.

Lisa posmarowała bułkę substytutem masła i pomyślała z zazdrością o Kitty, która wciąż smacznie sobie spała. Mała Henni też należała do śpiochów, za to bliźniaki już się obudziły i dawały się we znaki Rosie w pokoju dziecięcym.

– Nie miejcie mi za złe, dziewczęta – powiedziała Alicia, dotykając ręką czoła. – Muszę się położyć, obawiam się, że temperatura mi rośnie. Pewnie to przeziębienie, nic dziwnego przy takiej zimnej, wilgotnej pogodzie.

Lisa i Marie zachęciły ją, by się szybko położyła do łóżka.

– Przyślę Else z zaparzoną rumiankiem – powiedziała Elisabeth. – A może wolisz mleko z miodem?

– Nie, nie – odpowiedziała Alicia. – Najlepszy jest rumianek, muszę wypocić przeziębienie.

– Zadzwońię po doktora Greinera – zaproponowała Marie, ale Alicia oświadczyła, że to zbyt wiele zachodu, a poza tym jej budżet nie przewidywał wizyty lekarskiej.

Lisa dała znak Marie, żeby nie dyskutowała z mamą. I tak zadzwoni po lekarza, Alicia kasłała już od kilku dni, mogła dostać zapalenia płuc.

– Czy mam pójść z tobą, mamó? – zapytała zaniepokojona Lisa, gdy Alicia wstała.

– Nie, nie, dziewczyno. Myślę, że najwyższy czas wyruszać. Eleonore nie jest przyzwyczajona do podróży, martwi się, że spóźni się na pociąg.

Marie obserwowała ją, gdy powolnym krokiem wychodziła z jadalni. Dopiero za drugim razem udało się jej zamknąć za sobą drzwi.

– Jest jej ciężko – westchnęła Elisabeth. – Od ponad trzydziestu lat Schmalzler była tutaj, w willi. Nie rozumiem, dlaczego koniecznie chce wyjechać na Pomorze. Żeby tylko tego nie żałowała.

Marie zdusiła w sobie ironiczną uwagę, która cisnęła się jej na usta. Decyzja Elisabeth, żeby najpóźniej wiosną przejąć posiadłość na Pomorzu, też budziła wątpliwości. Oczywiście byli tacy, którym to odpowiadało. Ciotka Elvira była bardzo zadowolona, że będzie mogła zrzucić odpowiedzialność w odpowiednie ręce. Zwłaszcza że przez całe swoje życie przykładła niewielką wagę do gospodarstwa. Dla Klause von Hagemanna był to faktyczny łut szczęścia, bo po okropnym okaleczeniu czarno widział swoją przyszłość. Von Hagemannom wizja życia w posiadłości na Pomorzu mogła się jawić darem niebios. Przecież swoje dobra utracili lata temu. Jednak Marie wątpiła, by na dłuższą metę życie na wsi wystarczyło Elisabeth. I jeszcze ten bibliotekarz... Nie, Marie się to wcale nie podobało. Ale Lisa była dorosła i musiała wiedzieć, co robi.

Else popchnęła drzwi i wchodząc z drewnianą tacą, zahaczyła nią o futrynę.

– Przepraszam, łaskawa pani... Na dole w korytarzu jest pan Winkler. Powiedział, że mgła w mieście nie jest tak gęsta jak tutaj.

Else zebrała nieużywane naczynia Alicii i zapytała, czy ma przynieść kawę.

– Dziękuję, Else, skończyliśmy już. Kitty i dzieci zaraz przyjdą.

– Oczywiście, pani Melzer.

Porcelana brzęknęła, gdy podnosiła tacę. Kiedy wychodziła, znowu zahaczyła tacą o futrynę, dokładnie w tym samym miejscu.

– Będzie lepiej, jeśli to Hanna zajmie się podawaniem posiłków – powiedziała Elisabeth z westchnieniem.

Marie była innego zdania, ale nie chciała się kłócić. Hanna powinna skończyć kurs krawiecki, to była dla niej szansa, żeby coś osiągnąć. Szkoda by było, żeby została na zawsze pomocą kuchenną w posiadłości.

Lisa wyjrzała przez okno i zadrżała.

– Uff, co za ciemnica. Pociąg na pewno się spóźni. Będziemy na peronie przestępować z nogi na nogę i drzeć z zimna.

– A pan Winkler szedł przez tę mgłę. Jakie to poświęcenie z jego strony – zauważyła Marie. – Mogłyście go przecież odebrać spod sierocińca.

– Przez ostatnie dni mieszkał gdzie indziej – powiedziała Lisa z tłumionym gniewem. – Panna Jordan stwierdziła, że jej dobra reputacja mogłaby ucierpieć przez jego obecność w sierocińcu.

– Patrzcie ją – zakpiła Marie. – A wcześniej jej to nie przeszkadzało.

Potem skinęła głową do Lisy i poszła na drugie piętro zajrzeć do bliźniaków. Podbiegły do niej, wciąż miały na sobie koszule nocne, ale były już umyte i uczesane.

– Ona umyła nam uszy. Bardzo mocno! Mydłem!

– A ja musiałam włożyć wełniane rajstopy!

– A nasze bałwanki stopniały!

Marie obiecała, że po południu, gdy wróci z fabryki, na pewno się z nimi pobawi

i przeczyta im nową książkę.

– Ale tylko wtedy, gdy wszystkie zabawki będą posprzątane.

Maluchy nie ucieszyły się, słysząc te słowa. Wspaniałe prezenty bożonarodzeniowe miały też swoje negatywne strony, bo Rosa ciągle dzieciom przypominała, że każda śrubka, każdy garnek, łyżka dla lalki muszą być odłożone na swoje miejsce, zanim pójdą spać.

– Co pomyśli sobie tata, gdy wróci i zobaczy, że zrobiliście taki bałagan?

– Pffff. – Dodo wysunęła dolną wargę, a Leo przewrócił oczami.

– Tata? Jego przecież tutaj nie ma!

– Ciiii – upomniała go Dodo. – Nie możesz tak mówić, Leo.

Na dole już uruchomiono silnik samochodu, więc Marie odłożyła na później reprimendę. Było trudno utrzymać ich wiarę w powrót ojca, bo nie pamiętali już Paula.

W holu troje wyjeżdżających stało obok siebie. Ustalono, że razem pojedą pociągiem do Berlina. Panna Schmalzler i Sebastian Winkler spędzą tam noc w hotelu, żeby następnego dnia pojechać dalej na północny wschód, a Humbert tam zostanie, bo Berlin był celem jego podróży.

– No chodźże tutaj – krzyknęła kucharka do Humberta. – No. Przygotowałam dla ciebie prowiant na drogę. Ostrożnie z tą butelką, jest w niej kawa z mlekiem. A w torbie masz jajka...

Marie stała na schodach i czuła, jak udziela się jej nastrój pożegnania. Fanny Brunnenmayer traktowała Humberta jak matka, na pewno bardzo ją bolało, że teraz odchodził. Nie była jednak kobietą, która okazuje otwarcie swoją troskę, i z tego, co Marie wiedziała, ona wręcz zachęcała Humberta do zrobienia tego kroku.

– Pani von Hagemann powiedziała, że powinniście szybko zejść na dół, bo właśnie uruchomiła silnik. A trzeba jeszcze zapakować bagaże...

Else miała wypieki na twarzy i czuła się dzisiaj bardzo ważna, bo po odejściu Eleonore Schmalzler to ona była najdłuższą pracującą osobą z personelu. Marie chciała później pomówić z Alicią o tym, jak należy podzielić zadania między pozostałych pracowników. Ale Alicia była chora, więc Marie pewnie będzie musiała sama się tym zająć.

– W końcu to się stało – powiedziała Eleonore Schmalzler i podeszła do Marie, żeby podać jej rękę na pożegnanie. – Życzę pani całego szczęścia, jakie jest możliwe na tym świecie, pani Melzer. Wiem, jak bardzo los posiadłości zależy od pani. Myślę zawsze o wszystkich moich bliskich i za panią też będę się modlić.

Marie ucisnęła jej chłodną, pomarszczoną dłoń i powiedziała coś, czego nie potrafiła sobie potem przypomnieć. Jak dziwnie obco wyglądała ich gospodyni w szarym płaszczu i staromodnym kapeluszu. Wczoraj wieczorem pożegnała się z Alicią. Rozmowa między obiema paniami odbyła się w ciszy i była pełna emocji, ale Marie nie wiedziała, czego dotyczyła. Na dole w drzwiach prowadzących do kuchni Humbert i Brunnenmayer się obejmowali, a Auguste stała obok, trzymając chusteczkę przy twarzy. Hanna też szlochała.

– Nie chcesz jechać ze mną – powiedział Humbert, ściskając długo jej rękę. – Ale kto wie. Napiszę do ciebie, może do mnie przyjedziesz. Byłbym bardzo szczęśliwy,

gdybym nie musiał być tam sam...

Sebastian Winkler stał z zatroskaną miną wśród żegnających się osób, a ponieważ nikt nie zwracał na niego uwagi, chwycił kufer Eleonore Schmalzler, żeby włożyć go do samochodu. Nie ma płaszcza, pomyślała Marie ze współczuciem. A jego cały bagaż składał się z zawiązanego tobołka. Ale to jest naprawdę wartościowy człowiek. Miejmy nadzieję, że wszystko potoczy się tak, że jeszcze będzie zadowolony, a może nawet szczęśliwy.

– Co się dzieje? – usłyszeli gniewny głos Lisy. – Chcecie państwo zdążyć na pociąg? To proszę tutaj zaraz zejść!

Humbert podbiegł do Marie, żeby z nią szybko się pożegnać, a potem złapał swój bagaż oraz torbę z prowiantem i wybiegł z willi. Marie podeszła do progu i patrzyła, jak rozkładają bagaże w samochodzie, zajmują miejsca i zamykają drzwi. Widziała, jak panna Schmalzler machała jeszcze dłonią, jak samochód ruszył, a potem obraz stał się nieostry, mgła rozmywała kontury ciemnego samochodu, sprawiała, że stawał się szary, potem coraz bledszy, aż w końcu zniknął.

– Pojechali! – powiedziała Auguste, która stała w drzwiach razem z Else i Hanną.

– I nigdy nie wrócą – dodała Else z grobową miną.

Z kuchni dochodził głos Brunnenmayer, która dawała wyraz swojemu zdenerwowaniu. Gdzie podziewa się Hanna? Miała posiekać cebulę. Obrąć kartofle.

Marie się uśmiechnęła. Kucharka wzięła się do roboty, to był najlepszy sposób na zagłuszenie smutku.

– Hanno, powiedz pani Brunnenmayer, że pan von Klippstein je dzisiaj z nami obiad. I zerknij do mojej teściowej, bo położyła się do łóżka. Przed południem najpewniej przyjdzie doktor Greiner, zadzwonię po niego z fabryki.

– Oczywiście, pani Melzer.

Zeszła schodami na dziedziniec, a Auguste zamknęła za nią drzwi. Dzisiaj to nie będzie przyjemny spacer do fabryki. Przewornie włożyła odpowiednie buty, ale to wcale nie gwarantowało, że przy tyłu kałużach będzie mieć suche stopy. Gorsza była jednak mgła, która zawisła nad parkiem i ulicami, nie chcąc się rozejść. Marie szła szeroką alejką do bramy parkowej i starała się nie ulegać wrażeniu, że nagie drzewa z ich sękatymi gałęziami to duchy, które przyglądają się jej zza mgły. Tu i tam słaby wiatr rozwiewał kłęby szarych oparów, rozsuwał na chwilę ścianę mgły, tak że Marie przez ułamki sekund mogła zobaczyć łąkę, ławkę, strumyk. Starła się patrzeć przede wszystkim na drogę, żeby uniknąć głębokich kałuż i błota, i nie siedzieć potem z mokrymi stopami w fabryce.

Nie było tam niestety zbyt wiele do zrobienia, bo maszyny stały nieczynne. Nabyli co prawda kilka ładunków surowej bawełny, ale selfaktorów, które im pozostały, nie dało się uruchomić. Sugestia Ernsta von Klippsteina, żeby zainwestować w nowe maszyny, była z pewnością rozsądna. Tylko w które? Mieli co prawda plany jej ojca, według których można było zbudować nowoczesne przędzarki pierścieniowe, ale te schematy i obliczenia były bardzo trudne do odczytania.

Przystanęła i odwróciła się. Posiadłość znikła we mgle, widoczna była jedynie część dachu pokrytego szarą dachówką i słabo odznaczał się portyk. Na drugim piętrze światło świeciło się w trzech oknach, to najpewniej Kitty siedziała przy sztalugach.

Wkrótce odbędzie się wystawa jej prac w Monachium i uwijała się, by namalować jak najwięcej obrazów. Ach, jaka Kitty była szczęśliwa, że tak beztrudno mogła rozwijać swój talent!

Marie znowu ogarnął ponury nastrój. To przez pogodę. Ta przekłeta mgła. A wcześniej te pożegnania w holu. Wiosną posiadłość opuści też Lisa, a nikt nie mógł przewidzieć, gdzie któregoś dnia przypadnie Kitty. Wtedy ona sama z Alicią i dwojgiem bliźniaków zostanie w willi.

Przestań już, upomniała samą siebie. Cokolwiek się wydarzy, będzie kierować fabryką dla swoich dzieci. To był jej życiowy cel i zamierzała go spełnić.

Odwróciła się plecami do willi i zdecydowanym krokiem poszła w kierunku bramy. Po prawej i lewej stronie czarne duchy drzew pochylały się do niej, poruszały gałęziami we mgle i również zdawały się skarżyć na okropną pogodę. Marie się śpieszyła, już była spóźniona i von Klippstein z pewnością niedługo zadzwoni do posiadłości, żeby zapytać, czy przyjechać po nią samochodem. Tak, wreszcie brama. Szeroka, kuta żelazna brama była otwarta na oścież. Gustav najwyraźniej był tak zajęty swoimi sprawami, że zapomniał zamknąć bramę po wyjeździe samochodu.

Przystanęła, bo zobaczyła nagle jakiegoś mężczyznę. Ciemna postać, spowita mgłą, stała na samym środku drogi, ale widać było jedynie zarys sylwetki. Listonosz? Nie, nie miał torby. Może robotnik, który przyszedł z jakąś sprawą. To było możliwe, miał na głowie czapkę i – o ile dobrze widziała – był bez płaszcza, tylko w kurtce.

– Dzień dobry! – powiedziała głośno, żeby zagłuszyć strach. – W czym mogę panu pomóc?

Szedł powoli w jej stronę, nie zważając na kałuże. Marie poczuła niepokój, bo ten obcy człowiek szedł dziwnie sztywno, jak lunatyk. Nagle jego postać wydała się jej jednak dziwnie znajoma. Ale to przecież nie...

– Marie...

Zamarła. To nie sen. Serce zaczęło jej bić jak szalone. Proszę, niech to nie będzie sen.

Jego twarz wyłoniła się z mgły. Błada i wychudzona. Zapadnięte oczy. I ten znajomy uśmiech.

– Paul... – wyszeptała.

Potem powiedział jej, że raczej głośno krzyknęła, niż wyszeptała. Tak, że słyszeli ją z pewnością w samej willi. Gdyby szybko nie wziął jej w ramiona, pewnie zadzwoniliby na policję.

Jego usta. Jego ciepłe wargi. Słone łyzy. Śmiech. Szloch. Wyjąkiwane słowa. Nedorzeczne czułości. Słodkie słowa, które tylko oni znali. I znowu łyzy. Obejmujące ją ręce. Zapach jego włosów. Jego skóry. Paul. Jej ukochany. Jej mąż.

– Skąd ty się tu wzięłeś? Dlaczego nie zadzwoniłeś? Jesteś już zdrowy? Twoje ramię? O mój Boże, ale mama będzie szczęśliwa...

Mówił niewiele. Położył po prostu głowę na jej ramieniu. Później objął ją i poszli wolno do posiadłości. Czarne drzewa tworzyły szpaler, strzegąc uroczyście idącej pary niczym delegacja oddająca hołd staremu wojownikowi.

Gdy zobaczyli już zarys posiadłości, usłyszeli też cienkie dziecięce głosy.

Na dziedzińcu stała Rosa, zawinięta w obszerny płaszcz, w którym wyglądała jak ogromna, odwrócona do góry filiżanka do kawy. A obok niej Dodo i Leo kłócili się o czerwoną piłkę i oczywiście wpadali w każdą kałużę.

– To jest... nasza dwójka...?

Gdy ostatnio widział swoje dzieci, chodziły na czworakach i szwargotały po swoim. Teraz miały prawie po cztery latka, biegały i skakały, ganiały za piłką.

Marie śmiała się w duchu z jego zdumienia, z tego, jak kręcił głową, obserwując dzieci z dumą i radością. Czeka tutaj na niego tyle nowych i obcych rzeczy, ale ona będzie go wspierać. Będzie go delikatnie prowadzić przez to nowe stare życie, aż zdobędzie dość siły, żeby się w nim odnaleźć.

– To jest moje!

Czerwona piłka potoczyła się tuż pod stopy Paula i on ją podniósł. Patrzył z uśmiechem na dwójkę dzieci, które spoglądały na niego z przestraszeniem.

– Kto złapie? – zapytał i rzucił piłkę wysoko w powietrze.

Leo podskoczył nieco wyżej niż jego siostra. Dodo nagle się zachnęła.

– Kim ty jesteś? – zapytała mężczyznę, który niespodziewanie przyszedł z mamą.

– Twoim tatą!

Marie wstrzymała oddech. Jak teraz zareagują? Przerażeniem? Niedowierzaniem? Strachem? Przekorą?

Dodo przechyliła głowę i zerknęła pytająco na brata. Ten, ściskając mocno czerwoną piłkę, uniósł wysoko głowę.

– Grasz z nami? – zapytał nieśmiało.

– No pewnie...

– No to chodź!